# PRZEGLĄD

# POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
*Ps. 143.*

ROK DWUDZIESTY PIERWSZY. — TOM LXXXII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1904.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1904.

# NASZA AKCYA KATOLICKA.

## I.

W katolickiej pracy społecznej przechodzimy obecnie czas zastoju. Gdy przed kilku laty wzięto się do organizowania stowarzyszeń z zapałem i wiarą w przyszłość, powstawały one tak szybko i łatwo, iż zdawało się, że katolickie związki robotnicze pokryją wkrótce gęstą siecią kraj cały i staną się potężnym czynnikiem postępu w naszem społeczeństwie. Do dzisiaj wiele z nich już upadło, większość pozostałych zaledwie wegetuje, a mała garstka tylko na prawdę żyje — nic więc dziwnego, że najgorliwszych nawet ogarnęło zniechęcenie i brak ufności w skuteczność swych wysiłków. Coraz głośniejsze słyszy się skargi na nasze stosunki, coraz mniej się pracuje nad istniejącemi jeszcze stowarzyszeniami, więc i one coraz smutniejszy przedstawiając widok, tem więcej dają powodów do krytyki, niezadowolenia i narzekań.

Zwyczajnie całą winę przypisuje się robotnikom zszeregowanym w katolickich związkach — jakkolwiek w rzeczywistości przyczyny niepomyślnego rozwoju należy szukać przeważnie gdzieindziej. Prawda, że nadzieje, przywiązywane do katolickich organizacyi ziściły się w minimalnych zaledwie rozmiarach, lecz powodem tego nie jest bynajmniej grunt wyjątkowo twardy, stosunki w sferach robotniczych trudniejsze, niż gdzieindziej. Pod tym względem mamy do zwalczenia jedną tylko czysto rodzimą przeszkodę, mianowicie ogólny u nas brak zmysłu asocyacyjnego, spotęgowany jeszcze w sferach, o które się roz-

chodzi, niższym stosunkowo stopniem kultury, co utrudnia zrozumienie korzyści, które dobrze zorganizowane stowarzyszenie dać może. Brak ten jednak równoważy się co najmniej z dwoma innymi objawami, dla powstania organizacyi chrześcijańskiej korzystnymi, których nie dostrzegamy już zagranicą. Najpierw firma chrześcijańska nie tylko nie jest w warstwach ludowych, tak jak w wielu innych krajach, niepopularną, lecz owszem, dzięki tradycyjnemu charakterowi naszego społeczeństwa, posiada wielką siłę atrakcyjną, powtóre oporność wobec idei asocyacyjnej, nie pozwoliła na głębsze zapuszczenie korzeni przez związki socyalistyczne, tak że budząca się akcya katolicka niema w socyalizmie tak potężnego i silnie zorganizowanego, w ścisłą partyjną dyscyplinę ujętego wroga, jak w Niemczech, Belgii lub Francyi. Właściwie dziś jeszcze dla obu tych prądów społecznych, dla socyalizmu i demokracyi chrześcijańskiej najznaczniejsza część pola pracy stoi otworem, jedna i druga organizacya jest tylko powierzchowną, obejmującą zaledwie minimalną cząstkę warstw, na które liczy, tak że dopiero od przyszłych wysiłków, od obustronnej energii i wytrwałości zależeć będzie rozstrzygnięcie pytania, czy szerokie warstwy ludności robotniczej pójdą pod hasłem demokracyi socyalistycznej czy też chrześcijańskiej.

Za granicą, z chwilą gdy chrześcijańska szkoła socyalna, rozpoczęła pozytywną pracę, stosunki były nierównie gorsze. Rozwój wielkiego przemysłu szedł dziesiątki lat w myśl doktryny liberalnej, liczącej się jedynie z materyalnym zyskiem, nie uwzględniającej bynajmniej potrzeb i położenia klasy robotniczej. Jedni socyaliści wystąpili jawnie jako jej obrońcy, nic więc dziwnego, że zdobyli sobie tysiące zwolenników, a mając czas przed sobą, nie spotykając żadnych rywali, wzmogli się w siły i zorganizowali w potężne stronnictwo. Do czasu pojawienia się demokracyi chrześcijańskiej socyaliści byli już uznanymi zastępcami i kierownikami robotniczych szeregów, zdobyli dla nich liczne ulgi i koncesye, skłonili państwa do porzucenia stanowiska obojętnego i do zajęcia się uregulowaniem stosunków pracy, zapanowali nad poglądami robotników nie tylko ekono-

micznymi lecz także politycznymi, intellektualnymi i etycznymi. Praca przeto dla chrześcijańskiego kierunku była tam nierównie trudniejszą, aniżeli w naszym kraju. U nas chodzi o zajęcie bezpańskich niejako obszarów przez socyalizm lub organizacyę katolicką, tam należało właściwie zdobyć teren, na którym panował już nieprzyjaciel. Nie można więc twierdzić, jakoby dla demokracyi chrześcijańskiej był u nas grunt gorszy, a materyał wyjątkowo trudny.

Pomimo tego rozwój katolickich stowarzyszeń widocznie natrafia na specyalne przeszkody i dlatego jest tak słaby i powolny. Nie tkwią one jednak w stowarzyszonych, lecz leżą poza nimi, są wypływem całego szeregu okoliczności zewnętrznych, które w najznaczniejszej mierze są naturalnym wynikiem dorywczości w pracy i braku doświadczenia na tem polu. Ponieważ pierwszym warunkiem powodzenia jakiejkolwiek akcyi jest jasny obraz zamierzonego celu i rezultatów, które w danej chwili dadzą się osiągnąć, a niepodobna go sobie wyrobić, jeżeli nie widzi się wyraźnie wszystkich trudności i przeszkód, z któremi przyjdzie walczyć — przeto wypada przedewszystkiem określić czynniki, które u nas wpływają tamująco na postęp roboty społecznej. Na razie ograniczam się do przeszkód specyficznie krajowych, które, jak się przekonamy, są po największej części przejściowe i przypadkowe, dadzą się więc przy pewnym wysiłku usunąć.

Na pierwszem miejscu postawiłbym wielką dysproporcyę pomiędzy jakiemiś mglistemi nadziejami, a rezultatami, które nawet w najlepszym razie można było osiągnąć. Asocyacyjna praca w dziedzinie ekonomicznej była nam zupełnie obcą, nie posiadaliśmy w tym kierunku ani wprawy, ani wykształcenia. Wskutek inicyatywy kilku osób, pragnących działać w myśl wskazówek Leona XIII, rozpoczęło się u nas organizowanie stowarzyszeń robotniczych bez dostatecznego przygotowania, bez planu na teraźniejszość i przyszłość. Do tego przybył ruch socyalistyczny, który po dłuższem przygotowaniu wystąpił nagle na zewnątrz, a pozorną swą potęgą, przejawiającą się w wyborze dwóch posłów w r. 1897, zaskoczył i przeraził. Rozpoczęła

się więc akcya gorączkowa a dorywcza, która idąc początkowo szybkim krokiem naprzód, rozbudziła nieuzasadnione nadzieje, po których musiał przyjść zawód.

W samym początku już zwichnięto właściwą ideę racyonalnej organizacyi społecznej, a nie umiejąc przystosować zagranicznych wzorów do naszych stosunków, wybrano formę nieodpowiednią i dobrowolnie choć nieświadomie zwiększono trudności. W kraju, w którym ludność nie umie ocenić doniosłości asocyacyi, należy przedewszystkiem okazać na udatnych wzorach korzyści, które stowarzyszenie przynosi swym członkom; w społeczeństwie, w którem socyalizm był i jest ideą sztuczną, przeszczepioną z zagranicy, której byt lub upadek zależy przedewszystkiem od stanowiska zajętego przez warstwy żydowskie, a która w nader niewielkich tylko rozmiarach objęła właściwe sfery robotnicze — miała organizacya katolicka bardzo znaczne jeszcze a niezajęte pole. Mogła więc nie oglądając się na socyalizm, pracować na razie bez walki, szerząc się między tymi, którzy do żadnego jeszcze nie należeli obozu, a nie wysilać się na odebranie socyalistom tej garstki, którą oni istotnie już zorganizowali.

Niestety nie potrafiliśmy tego zrozumieć, nie stworzyliśmy organizacyi chrześcijańskiej, jako instytucyi samoistnej, uprawnionej samej w sobie. W samych początkach pojęto ją jako ochronę i taran przeciw socyalizmowi — i stąd w gruncie rzeczy wypływają wszystkie błędy, które zatamowały jej rozwój. Związki katolickie, mając walczyć z socyalizmem, stanowiąc do pewnego stopnia armię ochronną obecnego ustroju społecznego, musiałyby być przedewszystkiem dość liczne, ażeby skutecznie opierać się wrogowi, którego siły przecenialiśmy bardzo. W tym celu wypadało wybrać typ stowarzyszeń, który mógłby najłatwiej się rozszerzyć i największą pozyskać ilość członków — i dlatego to powstały u nas „Przyjaźnie“, owe prawdziwe amfibie asocyacyi, związki zawodowo-klasowe, będące raczej stowarzyszeniami towarzyskiemi. Organizacya ich była nader łatwa, bo zapewniając stowarzyszonym pewną ilość przyjemności, nie żądały od nich w gruncie rzeczy niczego, prócz drobnej wkładki

na pokrycie administracyjnych kosztów. Jeżeli się do tego doda, że w wielu wypadkach oparto je w większym lub mniejszym stopniu na filantropii, że w wielu razach nawet koszta utrzymania stowarzyszenia w nieznacznej tylko mierze ciężyły na członkach, to zrozumiemy, że w bardzo krótkim czasie powstało kilkadziesiąt Przyjaźni i pokrewnych związków, liczących kilka tysięcy członków.

Uprawniałoby to rzeczywiście do bardzo daleko idących nadziei, gdyby te stowarzyszenia były istotnie związkami społeczno-ekonomicznymi. Tak jednak nie było i nie jest. Wskutek swego zasadniczego ustroju Przyjaźnie nie mogły mieć tego charakteru, a nawet nie mogły stanowić ogniwa przejściowego do racyonalnej organizacyi. Wręcz przeciwnie, zużycie sił i środków do stworzenia tych instytucyi, raczej zaszkodziło idei demokracyi chrześcijańskiej, albowiem zawód, który wkrótce przyjść musiał, zraził wielu do dalszej pracy, z czem u nas więcej, niż gdziekolwiek liczyć się trzeba. Przyjaźnie nie tylko nie wykształciły swych członków w duchu asocyacyjnym, lecz tworząc siłą rzeczy niewłaściwe o nim pojęcie, tylko utrudniły grunt dla przyszłych, a lepszych prób, bo zmusiły do wypleniania fałszywych poglądów, a więc do walki ze złem, którego przedtem nie było.

Stając od razu do walki z socyalizmem, rywalizując z nim w pozyskaniu poszczególnych jednostek, stowarzyszenia katolickie nie liczyły się zupełnie z trudnościami, które z tego powodu powstaną, dzięki socyalistycznej taktyce. Agitacya socyalistyczna używa dla szerzenia swego wpływu, głównie dwóch środków bardzo zręcznie dobranych: systematycznie stara się obniżyć w opinii wartość, zasługi i istotne dla społeczeństwa znaczenie wszystkich klas nie-robotniczych, a zarazem gra na kontrastach jakie wytwarza w wyobraźni robotnika, przedstawiając mu jego obecne położenie w najczarniejszych kolorach, nie licujące bynajmniej ani z jego doniosłością dla społeczeństwa, ani z drzemiącą w wielkich masach robotniczych potęgą, którą ma rozbudzić i poprowadzić do boju uświadomiona swych sił organizacya. Cała polityczna strona marxowskiego systemu streszcza

się w tej antytezie, a prawie po mistrzowsku umieli ją wyzyskać kierownicy taktyki socyalistycznej. Systematycznie obniżając i denigrując wartość t. zw. sfery kapitalistycznej i burżoazyjnej, wzbudzają oni w swych szeregach poczucie etycznej potrzeby zwalczania wszystkiego, co z socyalizmem się nie łączy; naciskając niemiłosiernie na wszystkie rany warstw, żyjących z mechanicznej pracy, malując ich położenie w najczarniejszych kolorach, wytwarzają niezadowolenie i świadomość krzywdy. Prowadziłoby to do zniechęcenia, pesymizmu i bezczynnej rozpaczy, gdyby równocześnie agitacya nie akcentowała wielkiej, choć dotąd niezużytej potęgi tych właśnie, których krzywdzą i wyzyskują słabsi, a tylko zręczniejsi. Skoro ten olbrzym, mówi ona, który dzisiaj drzemie w milionach robotników i pozwala się bezkarnie gnębić, raz zbudzi się do życia, nastanie w społeczeństwach okres złoty, zapanuje sprawiedliwość, rozdział środków do życia według prawdziwych zasług, a nie tak jak dzisiaj na mocy wyzysku. Już nie tylko w egoistycznym interesie własnym, lecz w imię dobra ogółu należy pracować nad przyśpieszeniem tej chwili — a środkiem, który od razu może położyć kres dzisiejszych stosunkom, jest zszeregowanie mas ludowych pod egidą socyalizmu. Na tych przesłankach opierają się wszystkie obietnice na przyszłość, których socyalizm bynajmniej nie szczędzi — i w taki sposób zmienia on poczucie niezadowolenia w czynnik gniewu i energii, prowadzącej do walki, w końcu z konieczności zwycięskiej, bo stoczonej z przeciwnikiem pozornie tylko silnym, w gruncie rzeczy słabym, stojącym na glinianych nogach. Socyalistyczną armię, ożywia więc nadzieja zwycięstwa, a ponieważ na mocy powyżej skreślonej argumentacyi, stanowisko pierwotne egoistyczno-klasowe zmienia się w obronę wszystkich czynników społecznych, szlachetnych, użytecznych — więc tworzy się dla całej akcyi podkład na oko wysoce etyczny, tak że niejednokrotnie na ten lep idą natury wrażliwe, kierujące się przedewszystkiem uczuciem i zdolne do poświęceń — mianowicie kształcącą się młodzież, która stanowi najczęściej intelektualną siłę socyalizmu i daje mu najtęższych agitatorów wyższego pokroju.

Niepodobna przytem zaprzeczyć, że socyalizm przyczynił

się w praktyce do wykrycia lub powstrzymania wielu nadużyć. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, że każde stronnictwo polityczne, pragnące uzyskać pewien wpływ na tok spraw publicznych, nie trzyma się zasady sprawiedliwości bezwzględnej, lecz do pewnego stopnia liczy się także z postronnymi wpływami, ze względów oportunistycznych. Socyaliści nie odstępują bynajmniej od tej ogólnej reguły, działając jednak w odmiennych od wszystkich innych partyi warunkach, inaczej ją stosują. Ogromna większość gospodarstw, w których robotnicy pracują, nie zalicza się do szeregów socyalistycznych; najznaczniejsza liczba wpływowych, wybitniejsze stanowiska zajmujących jednostek, prądy socyalistyczne potępia i zwalcza. W interesie przeto socyalnej demokracyi leży osłabienie i obniżenie tych przeciwników, przedstawienie w najgorszem świetle ich działalności, stworzenie silnego ruchu, któryby przeciw nim się zwrócił. Stąd też napada socyalizm na nich systematycznie, a obok wielu zarzutów nieprawdziwych i przesadnych, wykrywa także niejednokrotnie braki i czyny potępienia godne. Przez to wpływa na zmniejszanie się ich liczby, a tem samem na polepszenie bytu jednostek, które przedtem cierpiały, wskutek istnienia tych rzeczy. Nie spełnia on tu bynajmniej jakiegoś posłannictwa etycznego czy społecznego, lecz po prostu odpowiada swej roli opozycyjnej, która jak wiadomo, w pewnej mierze jest zawsze użyteczną, bo wykonywa ścisłą a surową kontrolę nad większością. W stosunkach ze swymi własnymi zwolennikami, socyalizm ze względów utylitarnych jest bardzo pobłażliwy, co okazuje się choćby z tego, że w Niemczech, robotnicy pracujący w instytucyach socyalistycznych, wielokrotnie już zwracali się do władz państwowych z prośbą o usunięcie panujących w tych przedsiębiorstwach, niezgodnych z ustawami stosunków i ze skargami na przekroczenie przepisów ustawodawstwa fabrycznego, wydanych w interesie robotników. Prasa socyalistyczna jednak nie oburzała się bynajmniej na ten wyzysk proletaryatu, bo tu z jego rezultatów korzystali członkowie partyi, a nie kapitaliści „burżoazyjni“. Kto wie, czy w zrozumieniu tego stanowiska

utylitarnego socyalizmu, nie należy szukać głównej przyczyny garnięcia się do niego wszędzie sfer żydowskich.

Socyalizm przeto wykrywa, tak jak wogóle każda partya polityczna, panujące niedostatki tylko wtedy, gdy mu to jest dogodne. Stanowiąc jednak dotychczas mniejszość, ma szersze pole dla swej krytyki, stąd też więcej nieetycznych faktów i czynów może napiętnować, aniżeli inne stronnictwa. Ta jego działalność jest niewątpliwie dodatnia i dla ogółu korzystna, a byłaby o wiele jeszcze użyteczniejszą, gdyby w prasie socyalistycznej liczono się, przynajmniej co do konkretnych faktów, więcej z prawdą i nie stosowano w celach wyłącznie agitacyjnych, metody oskarżania i oczerniania, bez względu na to, czy podniesione zarzuty są uzasadnione czy też zupełnie nieprawdziwe. W każdym razie obawa krytyki bezwzględnej ze strony socyalistów nakłada więzy zbyt egoistycznym przedsiębiorcom, przynosi więc robotnikom niezaprzeczone korzyści. Oni też, widząc praktyczne rezultaty samych początków socyalistycznej akcyi, tem łatwiej wierzą w tezy o własnej swej potędze i szczęśliwej przyszłości, którą sobie zbudują przy pomocy socyalistycznej organizacyi.

Z tego rodzaju stronnictwem, posługującem się taką metodą, rozpoczęły związki katolickie walkę, już w samych swych początkach. Zdaje mi się, iż każdy przyzna, że musiała się ona zakończyć przegraną — o ile agitacyi i krytyce nie przeciwstawiono czynów, na które przecież potrzeba zawsze czasu. Jakżeż bowiem można wogóle zwalczać socyalizm, jeżeli chodzi o oderwanie od niego szerokich mas robotniczych? Zasadnicza krytyka jego tez i dogmatów jest bezskuteczną i bezcelową, bo główne siły socyalnej demokracyi nie idą za przywódcami dlatego, ażeby były przeświadczone o prawdzie doktryn Marxa, dla nich najzupełniej niezrozumiałego. Podobnie jak w sporach religijnych teologiczne dyskusye nie oddziałały nigdy na ludność, tak i krytyka socyalizmu ze stanowiska ekonomii lub etyki zwraca się z natury rzeczy nie do tysięcy jego zwolenników, lecz do kilku czy kilkuset przywódców. Również nie wiele może przynieść dowód, że ustrój socyalistyczny jest niemożliwy do

przeprowadzenia. Ci, którzy idą ze socyalizmem, więcej dbają, pomimo wszystkich frazesów, o teraźniejszość, aniżeli o przyszłość. Tezy o wprowadzeniu własności kollektywnej, zniesieniu kontraktu pracy i pieniędzy, objęciu całej produkcyi przez społeczeństwo i t. p., mają doniosłość jedynie doktrynerską; obaliwszy je, zadaje się śmiertelny cios socyalizmowi naukowemu, nie szkodzi się jednak wcale organizacyi jego politycznej. Wobec takiej krytyki przyszłości, powołuje się ona na rezultaty już osiągnięte, z których korzystają jej zwolennicy, a tem samem trzyma ich przy sobie siła osobistego interesu. Być może, pomyśli jeden lub drugi, że socyalizm nie zdoła nigdy osiągnąć ostatecznego swego celu, lecz uzyskał już wiele w obrębie dzisiejszej organizacyi, a może uzyskać jeszcze więcej — należy więc go popierać. Także zarzut ateizmu, czy walki z chrześcijaństwem niezbyt wiele może socyalizmowi zaszkodzić, ponieważ ideowo rzecz biorąc, socyalizm nie musi zwalczać religii, a zarazem i z tego względu, że jak w każdem stronnictwie politycznem, tak i w socyalizmie ci, na których ten argument może oddziałać, idą wraz z socyalizmem z tem zastrzeżeniem, że w kwestyach religijnych z nim się nie solidaryzują. Są po prostu socyalistami we wszystkiem, prócz w religii, tak jak mamy konserwatystów lub demokratów, którzy jednak w tej lub owej sprawie zachowują swe indywidualne przekonania. Są to zwolennicy z pewnością mniej pewni, lecz jak długo sprawa, co do której z kierownikami się różnią, nie przybiera aktualnej doniosłości, zwiększają siły stronnictwa zupełnie tak samo, jak gdyby żadnych różnic nie było. Wreszcie jeszcze na jedno należy zwrócić uwagę. Demokracya socyalna stanowi dzisiaj najskrajniejszą partyę opozycyjną, wskutek czego zjednywa sobie stronników nie tyle może dla swych zasad, ile dla swej taktyki. Garnie się do niej ogromna większość niezadowolonych, częścią w nadziei polepszenia swego bytu, jeszcze częściej z zawiści do szczęśliwszych i potężniejszych lub w celach odwetu i zemsty. Wszak nikt nie zechce na seryo twierdzić, że owe trzy miliony głosów, które padły w Niemczech na socyalistycznych kandydatów, w swej całości, a kto wie czy nawet większości, hołduje istotnie

zasadom socyalistycznym. Na tych żadna krytyka doktryn oddziałać nie może, bo bez względu na ich wartość, łączą się oni z socyalizmem z przyczyn taktycznych — i jak długo jest on w opozycyi, idą z nim razem na równi z prawdziwymi zwolennikami jego programu.

Jeżeli więc nie można oprzeć walki z socyalizmem praktycznym na krytyce doktryny, pozostaje tylko dziedzina taktyki i agitacyi. Tu jednak stowarzyszenia katolickie musiały natrafić na bardzo wielkie trudności. Niepodobna było okazać namacalnie, że organizacya chrześcijańska daje sferom pracującym jakiekolwiek korzyści i siłą faktu oddziałać na masy, albowiem od razu rozpoczęto walkę, na działalność pozytywną przeto nie było dość czasu. Nie można było także zaprzeczyć, że socyaliści w wielu razach mają słuszność, a zwracanie uwagi na zarzuty ich nieprawdziwe, na metodę oszczerstw i inwektyw nie prowadziło do celu wobec słuchaczy czy czytelników mniej inteligentnych, a więc skorych do uogólniania zdarzeń i wypadków. Każdy właściwie był czemś dotknięty i miał coś do zarzucenia, gdy więc usłyszał, że w pewnem miejscu czy sferze popełnia się taki a taki występek przeciw robotnikom, kontrolował prawdziwość zarzutu własnem doświadczeniem, a znalazłby w nim fakt podobny, wierzył święcie, że to objaw ogólny. Sprowadzenie przeto zarzutów socyalistycznych do właściwych rozmiarów w umysłach mniej wykształconych jest niemożliwem, a przynajmniej niewymownie trudnem tak długo, dopóki nie okaże się naocznie, że w jednym, drugim i w dziesiątym wypadku dzieje się wręcz przeciwnie. Tego namacalnego dowodu młode stowarzyszenia, które nic jeszcze nie zdziałały, dostarczyć nie mogły, chwyciły się więc innej metody. Jedne, widząc, że przyznawanie częściowej słuszności krytyce socyalistycznej wychodzi na korzyść przeciwników, negowały wogóle jej uprawnienie — nazwałbym ten kierunek konserwatywnym; drugie pomyślały o rywalizowaniu na jego własnym gruncie, zajęły więc wobec panujących stosunków stanowisko wyraźnie krytyczne i silnie opozycyjne — jest to odłam większy, radykalny. Należy stwierdzić, że jeden i drugi chybił swego celu. Organi-

zacye konserwatywne nie mogły w żadnym razie się przyjąć, teorya bowiem, że wszystko jest dobrze i żadnych zmian nie potrzeba, nie przemówi nigdy do umysłów ludzi, mających bardzo wiele do żądania; grupy radykalniejsze, jakkolwiek odpowiadały więcej prawdzie i rzeczywistości, nie mogły rywalizować z socyalizmem, bo prawda była kresem dla ich krytyki, a socyalizm tej granicy nie uznaje. Wskutek tego idąc równolegle z przeciwnikiem, dochodziły one do punktu ostatecznego, poza który dalej już iść nie mogły i tem samem musiały dać się przelicytować. Tak jak w sferze doktryny, tak i w dziedzinie taktyki walka na razie musiała być beznadziejna.

Lecz straty wskutek jej prowadzenia były bardzo znaczne i to na dwóch frontach, w stosunku do sfer, które zamierzano zorganizować i w stosunku do innych czynników społecznych, których pomoc czy niechęć nie mogły być obojętne dla dalszego rozwoju.

Każda doktryna społeczna posiada dodatnie i ujemne strony, żadna nie jest zupełnie złą, ale też żadna nie osiąga doskonałości. Prawda leży tu zawsze pośrodku, lecz właśnie dlatego tak trudno ją wynaleźć i określić. Dla umysłu ludzkiego przystępniejsze są zasady ujęte w sposób prosty, bez żadnych omówień i zastrzeżeń, a więc idące radykalnie w pewnym kierunku, jednostronne, podnoszące tylko pewne właściwości problematu, pomijające wszystkie czynniki inne. Im mniej posiada się wykształcenia i rutyny w myśleniu, tem silniej występuje ta dążność do ostateczności, tem trudniej rozumie się prawdziwą istotę rzeczy, zawsze bardzo skomplikowaną. Agitacya zwraca się głównie ku jednostkom intellektualnie stojącym niżej, stąd też chcąc uzyskać rezultat wydatny, musi być skrajną w swej krytyce lub apoteozie. Wprowadzając bowiem jakiekolwiek, choćby najsłuszniejsze warunki, względy czy okoliczności, oddziałałaby z pewnością prędzej na klasy wysoko wykształcone, lecz w szerokich sferach, o które w pierwszej linii chodzi, naraziłaby się na zarzut stronniczości lub połowiczności.

Problemat społeczny jest tak nadzwyczajnie trudny i zawiły, że jedynie w ostatecznym swym celu — w dążeniu do

zapewnienia wszystkim właściwego dobrobytu — da się przedstawić jasno i zrozumiale. Każde dalsze rozwinięcie tej myśli, o ile ma być zgodne z prawdą musi się oprzeć na przykładach praktycznych, a więc na pozytywnej akcyi, jeżeli ma być przystępne i przekonywujące. Tej pomocy faktów życiowych brakło na razie organizacyi katolickiej, stąd też propaganda jej zasad wydawała się niejednokrotnie połowiczną lub akademicką. Socyalizm grał na namiętnościach i nie oglądając się na istotną prawdę, kreślił swe doktryny w sposób przejrzysty, przemilczając wszystko, coby uniemożliwiało ich wykonanie, lub było szkodliwem; demokracya chrześcijańska nie chcąc i nie mogąc iść takim torem, stawała się na pozór chwiejną i nieszczerą.

Podobnie jak w każdej organizacyi społecznej, tak i w stowarzyszeniach katolickich, ogół zwolenników podzielił się na dwie części. Jedną, a jest to zawsze przeważna większość, stanowiły natury obojętniejsze i gnuśniejsze, tworzące wszędzie ową bierną masę, która znalazłszy się raz w pewnem ugrupowaniu, pozostaje w nim stale samą siłą przyzwyczajenia i własnego ciężaru; drugą, złożoną z niewielu jednostek energicznych i gorących, które winny tamtych rozruszać i prowadzić, nadawać całej akcyi ruchliwość i żywotność. O ile pierwsza grupa stanowi niezbędny czynnik trwałości, o tyle znowu nie może być mowy o postępie, rozwoju i zdobywaniu nowych zwolenników jeżeli organizacya nie rozporządza dostateczną ilością żywiołów drugiej kategoryi. Właściwy liczebny stosunek jednych i drugich jest pierwszym warunkiem żywotności każdej szerszej organizacyi; jeżeli bowiem braknie jej odpowiedniej ilości stronników biernych, jednostki wrażliwe wywołują bezustanne wahania i skoki, uniemożliwiające konsekwentną działalność, jeżeli zaś zamało jest osób żywego temperamentu, powstaje bezczynność i obojętność, prowadząca do obumarcia i zaniku.

W stowarzyszeniach katolickich nie było właśnie tej równowagi, gdyż jednostki ruchliwsze szybko się zniechęcały. Rozpoczęta odrazu w wielkich rozmiarach agitacya nie mogła potęgować się, gdyż z natury rzeczy musiała dojść w bardzo krótkim czasie do kresu, poza który demokracyi chrześcijańskiej

wyjść nie wolno; pozytywna działalność, jeżeli gdzie istniała była nadzwyczaj skromna, nic więc dziwnego, że rozbudzone a wkrótce zawiedzione nadzieje, oddziałały, szczególniej na temperamenty sangwiniczne, nader deprymująco. Traciły one wiarę w powodzenie i wycofywały się powoli od czynnego udziału, tak, że pozostawała tylko bierna masa, przez co organizacyi odpadały ostatnie resztki energii.

Równie szkodliwie oddziałał ten początek i na zewnątrz, na stosunek, jaki wytworzył się pomiędzy organizacyą katolicką, a resztą społeczeństwa. Może nigdzie niema narodu, w którym jakiekolwiek nowe ugrupowanie mogłoby powstać odrazu o własnych siłach, jako naturalny wypływ odczuwanych i zrozumianych potrzeb. Do tego niezbędnem jest tak wielkie wykształcenie publiczne i tak dokładna ocena dróg i środków prowadzących do celu, iż trudno przypuścić, ażeby to wszystko znalazło się w wielkich masach w samych już początkach. Z pewnością u nas niema jeszcze tych warunków, tak, że każda chociażby najlepsza i najpotrzebniejsza organizacya musi tworzyć się na razie sztucznie, z zewnątrz, i dopiero przez swe istnienie zlewać się organicznie z warstwami, które ma objąć. W taki sposób powstają wszystkie partye, a najlepiej przejawia się to w tak powszechnem zapatrywaniu, że pewnym jednostkom czy klasom społecznym „wypada“ należeć do pewnych stronnictw. Zaledwie niewielka stosunkowo liczba osób posiada tyle samoistnego sądu, ażeby wyłamać się z pod władzy tych typowych podziałów nad własnem niezależnem zdaniem. Jeżeli do tej kategoryi należą także wybitniejsi, posiadający wpływ na swe otoczenie, a tak jest najczęściej, w takim razie pociągają oni za sobą innych i siłą faktów przeprowadzają zmiany w poglądach na właściwy sposób ugrupowania społecznego.

Prócz tego należy zwrócić uwagę jeszcze na rzecz drugą. Każda tworząca się nowo organizacya jest niebezpieczeństwem dla stronnictw już istniejących. Jeżeli społeczeństwo uklasowało się partyjnie w swej całości, próbę nowego ugrupowania musi spotkać wrogie przyjęcie, bo jej powstanie i rozwój zależy od pogromu lub strat którejkolwiek z istniejących już partyi.

Starsze stronnictwa rozdzieliły już cały wpływ na społeczeństwo pomiędzy siebie, nowy kompetent przeto odbiera przynajmniej jednemu z nich część stanu posiadania. W tym wypadku dopiero stwierdzenie stanowczej przewagi jednej ze stron walczących może zakończyć walkę drogą zaabsorbowania jednych przez drugich. Taki proces rozwoju dostrzegamy w wielu krajach w zapasach liberalizmu i radykalizmu politycznego z socyalizmem, który pochłania coraz więcej elementów liberalnych.

Możliwym jest jednak, a nawet kto wie czy nie częstszym, drugi wypadek. Część tylko społeczeństwa należy do poszczególnych stronnictw, a poza tą formalną czy faktyczną tylko organizacyą znajdują się jeszcze pewne szeregi, które nie wchodzą do żadnego obozu. Tutaj nowa organizacya, reflektująca wyłącznie na tych niezszeregowanych, właściwie nie narusza praw niczyich, pomimo tego jednak spotka się również z silną nieufnością.

Podobnie jak w polityce zagranicznej odróżniamy posiadłości państwa od t. zw. sfery interesów i polityki drzwi otwartych, tak samo w życiu społecznem warstwy nieobjęte organizacyą partyjną mogą stale ulegać wpływom pewnego stronnictwa, albo też stanowić czynnik chwiejny, przechylający szalę w jedną lub drugą stronę. W miarę zorganizowania tych czynników, odbiera się część sił partyi, która niemi dotąd kierowała, albo też ogranicza teren agitacyjny dla wszystkich stronnictw; zawsze więc naraża się na niechęć bądź to jednej grupy, bądź wszystkich razem.

Jeżeli wpływ wszystkich istniejących stronnictw na warstwy, nigdzie nie należące, jest mniejwięcej równy, nowa organizacya znajdzie się w takiem samem położeniu, jak gdyby całe społeczeństwo było partyjnie rozdzielone, z tą tylko różnicą, że zdobycie sobie stanowiska będzie dla niej łatwiejsze, gdyż mniejszą jest siła odporna dotychczasowych posiadaczy. Najczęściej jednak warstwy niezorganizowane ulegają łatwiej kierownictwu jednych partyi, aniżeli innych, przez co konstelacya dla nowo powstającego stronnictwa przedstawia się korzystniej. Partya, która widzi, że pewna część ludności idzie

najczęściej za przeciwnikiem, wiedząc z doświadczenia, że na tem polu rywalizować nie może, chętnie wyrzeknie się możliwości, bardzo zresztą problematycznej, pozyskania tych czynników dla siebie, byleby tylko stronnictwo przeciwne utraciło ich poparcie. Skoro więc pojawi się w społeczeństwie nowa idea, posiadająca przyszłość i wzbudzająca zaufanie, że potrafi to uskutecznić i oderwać tamtym sojuszników, może liczyć z pewnem prawdopodobieństwem na pewną pomoc tych, którzy pośrednio przez osłabienie przeciwników korzystają z jej rozwoju. Pomoc ta jest tem pewniejsza, że nowe stronnictwo z natury rzeczy mniej jeszcze wzbudziło animozyi, a przytem jako młode i niezbyt silne, mniej jest niebezpieczne.

W takiem właśnie położeniu znalazła się w swych początkach u nas demokracya chrześcijańska. Zastała ona pięć stronnictw posiadających już pewne znaczenie i bardzo znaczną liczbę osób, nie zaliczających się do żadnej partyi. Konserwatyści, demokraci, socyaliści, ludowcy i stojałowczycy posiadali większą lub mniejszą liczbę zwolenników, lecz obok tego istniały miliony, które nie należały do żadnego obozu i ulegały chwilowej, niedającej się przewidzieć agitacyi. Zarazem zarysowały się bardzo silnie różnice w uzdolnieniu tych stronnictw do rozszerzenia swego stanu posiadania. Stronnictwo konserwatywne nie mogło wogóle oddziałać na sfery ludowe w swym duchu, tak, że owa masa stanowiła właściwie dla niego teren niedostępny, nieprzyjacielski; w demokracyi widoczny był proces rozkładowy, przebijający się w rozłamie na skrzydło prawie konserwatywne i prawie socyalistyczne; trzy inne grupy były dla obu tych starych stronnictw zarówno niebezpieczne. Nowa organizacya katolicka, a więc środkowa, musiała stąd być pożądaną w gruncie rzeczy dla konserwatywnej i demokratycznej partyi, chociażby tego interesu na razie nie rozumiano dość dokładnie.

Nie można przeto powiedzieć, ażeby stowarzyszenia katolickie natrafiły w chwili swego powstania na sytuacyę niekorzystną. Prawda, że właśnie ze strony tych, którzy powinniby je popierać, spotkano się z dość znacznemi trudnościami, lecz

nie miałyby one większego znaczenia, gdyby zręczniej wyzyskano ówczesne położenie.

Wszędzie, gdzie tylko demokracya chrześcijańska spotkała się z katolickim konserwatyzmem, grupy zachowawcze zajęły wobec nowej myśli stanowisko oporne. Rozwój historyczny, w który niepodobna tu wchodzić, sprawił, że katolicyzm zmonopolizowano niejako na rzecz konserwatyzmu, podczas gdy demokracyę uważano za jednoznaczną z liberalizmem i demagogią. Doktryna Leona XIII, stojąc na zupełnie odmiennem stanowisku, wprowadzała tak radykalną zmianę dotychczasowych utartych pojęć, że musiała być dla wielu przynajmniej niesympatyczną. Jedni instynktownie tylko, drudzy z całą świadomością starali się wtłoczyć ją sztucznie w panujące poglądy, ograniczając jej znaczenie do pewnych tylko dziedzin publicznego życia, tworząc z niej właściwie tylko odłam katolickiego konserwatyzmu. W ten sposób powstała teorya o bezpolitycznym charakterze nowej organizacyi, według której demokracyi chrześcijańskiej nie wolno mięszać się w sferę polityczną, tak, że cała jej akcya ma się skupić w dziedzinie społecznej, w pracy asocyacyjnej. Jasną jest rzeczą, że doktryna tego rodzaju utrzymać się nie da. Działalność społeczna musi liczyć się z rzeczywistością, a więc z przepisami i ustawami, wydawanemi przez organy publiczne. Zupełne wyeliminowanie polityki dałoby się pomyśleć na wypadek, gdybyśmy przypuścili, że wszystkie zarządzenia władz publicznych odpowiadają zawsze wymogom demokracyi chrześcijańskiej. W takim razie działalność jej mogłaby obracać się w ich obrębie i wszelkie politykowanie byłoby niepotrzebną stratą sił i czasu. Jeżeli jednak dostrzeżemy przepis jeden lub drugi, niezgodny z naszym poglądem, a nawet wprost szkodliwy, utrudniający lub uniemożliwiający odpowiednią reformę stosunków społecznych, natenczas chcąc działać w wytkniętym kierunku, należy przedewszystkiem usunąć wyższą przeszkodę, t. zn. dążyć do zmiany norm obowiązujących. Jedynym skutecznym środkiem, prowadzącym do takiego celu, jest akcya polityczna, stąd też żadna idea społeczna nie może wyrzec się jej pomocy. Inaczej podporządkowałaby się dobro-

wolnie innym partyom, mającym wpływ polityczny, musiałaby wyczekiwać ich poparcia, przyznawanego lub odmawianego we dług ich dowolnego uznania, prawdopodobnie w miarę tego, czy partyjny interes przemawiałby za, czy przeciw udzieleniu pomocy.

Tego rodzaju połowiczność jest tak dotkliwą, że żaden kierunek, który pragnie przeprowadzić znaczniejsze reformy, nie może jej przyjąć. Nigdzie też nie zadowoliła się demokracya chrześcijańska podobnem stanowiskiem, wszędzie więc spotkała się z niechęcią grup konserwatywnych. W naszym kraju było pod tym względem o tyle gorzej, że konserwatyzmowi nadano — jakkolwiek niesłusznie — piętno klasowości szlacheckiej, a jego metoda działania jak gdyby pracowała nad zdobyciem niepopularności. Nie było gorszego i trudniejszego do odparcia zarzutu od miana stańczykostwa, a ponieważ demokracya chrześcijańska, stojąc na gruncie wyraźnego katolicyzmu i nie prowadząc walki klasowej, zbliżała się pozornie do konserwatyzmu, więc ze strony radykalnych żywiołów starano się ją przedstawić jako odłam konserwatystów ukrytych, którzy przybierając maskę demokratów, na ten lep pragną wziąść warstwy ludowe, ażeby zapewnić i utrwalić panowanie klas uprzywilejowanych. W interesie rozwoju propagowanej myśli musiano się bronić przed inwektywami tego rodzaju, ścisłem odgraniczaniem od konserwatyzmu katolickich organizacyi, przez co pogłębiały się jeszcze różnice obu tych kierunków, potęgując tylko wzajemną niechęć.

Pomimo tego trudności te miałyby jedynie charakter przejściowy, gdyby akcyą demokracyi chrześcijańskiej pokierowano lepiej. Zarzut popierania interesów konserwatywnych upadłby sam przez się, albo przynajmniej nie oddziaływałby na masy, gdyby można było przeciwstawić mu pozytywne rezultaty pracy na rzecz warstw ludowych; obóz konserwatywny, mimo wszystko, byłby zmienił swe stanowisko, gdyby organizacya katolicka rosła w siły i coraz więcej szeregowała jednostek. Nawet z innych stronnictw, przedewszystkiem z liberalnego, można było zjednać sobie wielu zwolenników, jeżeliby się było udowodniło

namacalnie, że nowa idea jest żywotną i znajduje u nas grunt podatny.

Stało się inaczej, dzięki całemu szeregowi błędów taktycznych i nieudolności w prowadzeniu całej rzeczy. Już rozpoczęto całą pracę dość nieumiejętnie, zakładając stowarzyszenia bez zawodowego charakteru, dalej jednak poprowadzono ją jeszcze gorzej. Bądź co bądź Przyjaźnie i pokrewne im związki były podwalinami, na których miało budować się dalej. Tymczasem pod wpływem okoliczności zewnętrznych, przedewszystkiem utworzenia piątej kuryi, akcya nad samemi stowarzyszeniami zeszła na drugi plan, a pierwsze miejsce zajęła strona polityczna sprawy. Można powiedzieć, że zmieniła się zasadniczo cała metoda działania. W miejsce budowania od dołu, weszła praca od góry. Łudząc się co do trwałości podstaw całej organizacyi, rozpoczęto działalność, która mogła się udać tylko pod warunkiem, gdyby siła stowarzyszeń była istotnie znaczną, a rozwój ich stały i duży.

Zwrócono się ku politycznej działalności, która jak widzieliśmy powyżej, musiała przybrać formę antagonizmów do istniejących stronnictw. Akcya ta zaabsorbowała wszystkie prawie siły, a ponieważ opierała się na dość kruchych podstawach, więc doprowadziła do klęski, która nader niekorzystnie musiała się odbić na samych stowarzyszeniach. Błąd nie polegał na tem, że zajęto się polityką, bo prędzej czy później było to niezbędnem, tylko że wprowadzono ją zbyt wcześnie, bez dostatecznego przygotowania, powtóre że równolegle z nią nie wzmacniano swych sił przez usilną pracę nad wykształceniem i rozrostem organizacyi robotniczych.

Walcząc już bezpośrednio i wyraźnie ze stronnictwami starszemi i silniejszemi nie można było spodziewać się od nich życzliwości i pomocy tam nawet, gdzie kwestya polityczna w grę nie wchodziła; nie mogąc, dla swej słabości niczego osiągnąć, nie mogąc pochwalić się żadnem zwycięstwem, niepodobna było zużytkować akcyi politycznej dla szerzenia swojej idei społecznej. Każda przegrana, wzmagając zniechęcenie, odbierała stowarzyszeniom pewną ilość czynnych jednostek; żadnego nie

było faktu, któryby oddziaływał w przeciwnym kierunku — rezultatem więc musiało być chylenie się ku upadkowi całej organizacyi, cofanie się a nie postęp.

Z wielu stron „życzliwych“ pojawiają się wobec tego głosy, że akcya katolicka u nas nie może się rozwinąć, że należy porzucić pracę nad tą chybioną organizacyą; sądzę, że wszystko, co powiedziałem poprzednio, przemawia za poglądem wręcz przeciwnym. Poczynione doświadczenia są bardzo smutne i niekorzystne, dziś znajdujemy się w trudniejszych warunkach, aniżeli w chwili, gdy rozpoczęto działać w duchu demokracyi chrześcijańskiej, bo wypada naprawić poczynione błędy, należy pracować nad odzyskaniem utraconej wiary w możność rozwoju. Lecz dotychczasowe niepowodzenia nie były bynajmniej wynikiem wewnętrznych, zasadniczych braków samej idei, tylko płynęły z niezdolności i braku doświadczenia tak prowadzących, jak i prowadzonych. Nie myśl sama, lecz praktyczne jej przeprowadzenie było chybione, to też niema co porzucać zasady, tylko należy ulepszyć metodę. Wypada więc teraz przedstawić zarys akcyi, jakiej powinna się u nas podjąć demokracya chrześcijańska.

Demokracya chrześcijańska jest ideą społeczną, która w praktyce winna przybrać konkretne kształty przy pomocy odpowiedniej organizacyi i taktyki. Celem jej jest wprowadzenie takich stosunków społecznych, ażeby życie gospodarcze postępowało zgodnie z zasadami chrześcijańskiej etyki. Do tego celu można się zbliżyć przez podniesienie ogólnej kultury etycznej, lub przez wytworzenie, nawet u jednostek mniej etycznych, przeświadczenia o konieczności postępowania w pewien ściśle oznaczony sposób, a więc przez przymus moralny, prawny albo społeczny. Nie zapoznając doniosłości akcyi czysto etycznej, należy stwierdzić, że nie może ona pochłaniać całej działalności, gdyż wpływ jej jest z natury rzeczy bardzo powolny, podczas gdy sposób drugi — stworzenie stosunków przymusowych — działa nierównie prędzej. Powstają one dzięki ustawodawstwu i silnie zorganizowanej samopomocy, stąd też demokracya chrześcijańska musi pracować równolegle w dziedzinie asocyacyi

i w sferze polityki. Jedno bez drugiego nie da się pomyśleć, wpływ polityczny bowiem uzyskuje się przez silne i karne związki, a stowarzyszenia tem lepiej się rozwijają, im wyraźniej występuje na jaw ich znaczenie i doniosłość.

Asocyacya jednak, która nawet w obrębie obowiązujących przepisów prosperować może, musi poprzedzić wszelką polityczną działalność. Akcya polityczna słabych jest niemożliwa bez zasobu pewnych sił, przeto demokracya chrześcijańska nie może działać skutecznie na tem polu. Dopiero, gdy na gruncie panujących stosunków, powstaną dobrze zorganizowane stowarzyszenia, gdy się dla ich rozwoju zużytkuje obecny stan prawny, wtedy będzie można pomyśleć o reformach, pożądanych lub nawet niezbędnych. Przy pomocy narzędzi nawet gorszych można uzyskać pomyślne rezultaty. Celem powinno być zdobycie doskonałych maszyn, lecz potrzebnego kapitału nie zbierze się, jeżeli się nie rozpocznie pracy, choćby w gorszych warunkach. Tak samo i na polu publicznem. Demokracya chrześcijańska musi dążyć do otrzymania jak najlepszych środków działania, a więc do pozyskania wpływu na ustawodawstwo, lecz najpierw trzeba zebrać siły, pracując na razie w trudniejszych stosunkach.

Pierwszym przeto warunkiem powodzenia jest stworzenie silnych stowarzyszeń. Żywotność ich nie mierzy się ani mnogością odbytych zgromadzeń, ani liczbą zapisanych członków, lecz tylko prawdziwą spójnością wewnętrzną, wynikającą ze zrozumienia doniosłości solidarnej akcyi. Dopiero wtedy można mówić o dobrem stowarzyszeniu, jeżeli jego członkowie istotnie wierzą, że wspólnemi siłami dojdą do zamierzonego celu i rzeczywiście działają w duchu powziętych postanowień, nie ograniczając się — jak to jest dotąd — do oklaskiwania przemówień i uchwalania postulatów, których potem niema komu wykonać. Tak pojęta asocyacya staje się bez wątpienia potężnym czynnikiem społecznym, który nie powstaje ani agitacyą, ani sentymentem, lecz tylko przez ujęcie prawdziwej potrzeby i pozytywną działalność dla jej zaspokojenia. Tymczasem cóż się robi zwyczajnie? Stawia się rezolucye słuszne i użyteczne, lecz tak

daleko idące, że i wnioskodawca i słuchacze wiedzą, że w danej chwili przeprowadzić ich niepodobna; zakreśla się programy, na których wykonanie potrzeba sił bez porównania większych od tych, któremi się rozporządza. Stowarzyszenie przeto pozornie rusza się, w rzeczywistości nic nie robi, bo w samem założeniu tkwi zarodek bezczynności, bo program pracy nie liczy się z prawdziwem życiem.

Chcąc więc doprowadzić do rzeczywistej asocyacyi, należy liczyć się z rzeczywistością i zerwać z mierzeniem sił zamiarami, lecz cele podporządkować możliwości. Kolejno należy usuwać poszczególne braki — o ile na to wystarczą siły najdotkliwsze i najpowszechniejsze — a jak wiadomo, leżą one przedewszystkiem w ekonomicznej dziedzinie. Toteż od ściśle materyalnych reform musi się rozpocząć właściwą robotę, a w takim razie musi się poznać odnośne potrzeby i w tym kierunku uświadomić stowarzyszonych. W takim zaś razie widoczną jest rzeczą, że pierwszy stopień organizacyi musi polegać na związkach tworzonych pod hasłem polepszenia materyalnego bytu, t. zn. na stowarzyszeniach zawodowych. Charakterem ich, doniosłością i organizacyą zajmę się w następnym artykule.

*W. Czerkawski.*

# W TRZECHSETLECIE „DON KISZOTA".

W tym roku właśnie trzysta lat mija od czasu gdy Miguel Cervantes de Saavedra napisał monumentalną swą powieść o niefortunnym rycerzu z Manszy. W ciągu tych trzech wieków ukazał się „Don Kiszot" w przeszło 400 hiszpańskich wydaniach a w przekładach na wszystkie cywilizowane języki wychodził także nieskończoną ilość razy, tak że ogółem liczyć można około 1000 jego wydań. Któż nie czytał tej książki? Kto nie śmiał się serdecznie z jej komicznego bohatera i z jego giermka. Ich walka z wiatrakami lub ze stadem baranów poszła w przysłowie, Don Kiszot stał się synonimem śmiesznego ideologa, pędzącego na oślep za majakami swej wybujałej wyobraźni, a Sancho Pansa szłapiący za nim na swym osiełku synonimem ograniczonej i poziomej natury. Nawet ci, którzy dotąd nie czytali Cervantesowego arcydzieła słyszeć o niem musieli i powtarzają za innymi sławne na cały świat imiona rycerza „Smutnej Postaci" i jego giermka.

O genialnym twórcy tej książki i o niej samej nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę w 300 rocznicę jej narodzin — w rocznicę obchodzoną uroczyście w Hiszpanii a wspominaną w sferach literackich świata całego.

## I.

Miguel Cervantes ur. w r. 1547 w Alkali de Henares, był synem niezamożnych rodziców. O jego młodości niewiele wiemy.

Sam opowiada, że chłopcem widywał wędrowny teatr Lopeza Ruedy, który w dziejach sceny hiszpańskiej odgrywa taką rolę, jak u nas Wojciech Bogusławski. Sam Rueda pisywał sztuki i objeżdżał z niemi miasta i miasteczka, dając przedstawienia w szopach lub stodołach. Kilka beczek pokrytych pomostem z desek, parę płaszczów, kapeluszów z piórami i szpad — oto cała wystawa teatralna z owych czasów. Cervantes na owych przedstawieniach nabrał ochoty do komedyopisarstwa, od którego miał później zacząć swoją literacką działalność. Tymczasem podrósłszy zapisał się na uniwersytet w Salamance, gdzie niebawem stał się ulubionym uczniem słynnego naówczas Lopeza de Hoyos. W r. 1570 jako sekretarz kardynała Aquavivy jedzie do Rzymu, dokąd posłował kardynał w sprawie t. zw. Ligi świętej, mającej na celu wyrzucenie Turków z Europy. Jakoż w rok później widzimy Cervantesa żołnierzem Ligi. Jako prosty żołnierz walczy on w słynnej bitwie morskiej pod Lepanto, która była obok Chocimia i Wiednia największem zwycięstwem Krzyża nad Półksiężycem w nowożytnych dziejach. Pod Lepanto Cervantes stracił lewą rękę i z listami polecającymi naczelnego wodza Don Juana d'Austria miał zamiar wracać do Hiszpanii. Na razie wziął jednak jeszcze udział w zdobyciu Tunisu przez wojska hiszpańskie pod wodzą markiza de Sta Cruz. W powrotnej drodze do Hiszpanii statek wiozący Cervantesa wpadł w ręce korsarzy algierskich a listy polecające Don Juana d'Austria nie tylko nie pomogły, ale przeciwnie zaszkodziły Cervantesowi. Naczelnik korsarzy Mami sądził, że ma do czynienia z wpływową osobistością i tem większego okupu spodziewał się za Cervantesa. Kazał wrzucić go do więzienia i okuć w kajdany. W algierskiej niewoli przeżył Cervantes blizko pięć lat aż wreszcie wykupiony posagiem siostry powrócił do ojczyzny, kaleka i nędzarz, nie mający gdzie głowy skłonić. Chwycił się pióra i zaczął pracować dla teatru. „Napisałem w tym czasie 20—30 sztuk — pisze sam — które co do jednej były wystawione, przyczem zaznaczyć muszę, że obeszło się bez ofiary z ogórków i innych pocisków. Sztuki te odegrano bez gwizdania i rwetesu". Najciekawsza z nich wszystkich jest jedna zatytułowana „Wię-

źniowie algierscy", osnuta na tle wypadków przeżytych i wrażeń doznanych. Jeden z więźniów Saavedra, jest autobiograficznym portretem autora. Pod względem literackim najwięcej wartości przedstawiają drobne jednoaktowe obrazki zwane „Entremesas". Niektóre z nich, jak „Gaduły", „Wybór sędziów", „Stary zazdrośnik" należą do najlepszych utworów w tym drobnym rodzaju komedyowym. Ciekawa jest sielanka „Galatea" przesiąknięta wpływami literatury klasycznej. Powstała ona na wzór podobnej sielanki Montemayora „Diany" (1568), Montemayor zaś zapożyczył ten rodzaj literacki z piśmiennictwa włoskiego.

Małżeństwo zawarte z miłości z ubogą dziewczyną utrudniło jeszcze i tak już dość kłopotliwe położenie pieniężne poety. Praca literacka nie opłacała się, nędza zaglądająca do domu zmusiła Cervantesa do szukania zarobku na innej drodze. Zarzucił pisanie, jął się interesów handlowych. Jego ajencya przynosiła mu zaledwie tyle, że mógł z żoną wyżywić się od biedy. Przez lat 20 pcha on taczkę życia w niedostatku i smutku. Trudno wymyślić gorszą męczarnię: pomiędzy jego usposobieniem, skłonnościami i talentem a zajęciem, któremu poświęcić musi cały swój czas, jest przepaść niezgłębiona. Twórcza wyobraźnia, przywalona brzemieniem suchych kupieckich zajęć milczeć musi, dla nędznego kawałka chleba marnieje talent i w „milczeniu zapomnienia" upływa życie poety. Na domiar złego, Cervantes niesposobny do handlowego zawodu, nie umie dać sobie rady z formalnemi przepisami. Za sprzedanie partyi zboża bez zezwolenia władz odsiaduje areszt w r. 1597. Również bez winy dostaje się do więzienia w Valladolid w r. 1604. Poniewolna bezczynność więzienia zwraca jego myśli ku literaturze. W kaźni rodzi się pomysł „Don Kiszota", którego pierwsza część napisana bezpośrednio po wyjściu z więzienia ukazuje się w r. 1605. Książka miała powodzenie i choć nie wzbogaciła autora, to przynajmniej zachęciła go do dalszej pracy literackiej. Powodzenia dowodzi choćby tylko falsyfikat, który ukazał się niebawem: ktoś niewyśledzony dotąd poważył się dorobić II część „Don Kiszota" i wydać ją pod pseudonimem Alonsa Fernandeza de Avellaneda. Wzburzony Cervantes pisząc II część swojej

powieści dotkliwie skarcił fałszerza wydrwiwając bardzo dowcipnie jego poronioną robotę. Odtąd już nie ustaje autor „Don Kiszota“ w pisarskiej pracy. W r. 1613 wychodzą jego „Nowele przykładne“ między któremi kilka wprost znakomitych, jak np. „Licencyat szklany“, „Rozmowa psów“, a zwłaszcza zabawne i ciekawe opowiadanie „Rincanete y Cartodillo“ malujące historyę dwóch łobuzów. Jest to ulubiony w hiszpańskiej literaturze rodzaj noweli hultajskiej *(novella picaresca)*, który później przeniesiony na grunt francuski wydał słynną powieść Lesage'a: *Gil Blas de Santillane*. Do ostatnich prac Cervantesa należy „Podróż na Parnas“, satyra literacka wyświecająca stosunki, jakie wówczas panowały w piśmiennictwie hiszpańskiem. „Przygody Persilesa i Sigismundy“, powieść dość słabą, pisał on już w ostatnim roku życia a do pracy tej przywiązywał niestosunkowo wielką wagę, uważając ją za najlepszy płód swego pióra.

W rzeczywistości jedynem dziełem Cervantesa, które wieki przetrwało i na zawsze pozostanie w rzędzie najświetniejszych klejnotów poezyi, jest „Don Kiszot“. Ma on znaczenie osobliwe w dziejach nie tylko hiszpańskiej literatury, ale także i historyi literackiej świata.

Dla piśmiennictwa hiszpańskiego, dla całej nawet hiszpańskiej kultury umysłowej książka ta ma wagę niezrównaną przez to, że jak słup graniczny stoi pomiędzy światem średniowiecznych pojęć i kierunków a pomiędzy nowożytną twórczością literacką. Stadem baranów, które Don Kiszot rozbił w puch i wytępił, są romanse rycerskie *(Libros de caballeria)*. Były one plagą hiszpańskiego piśmiennictwa, mnożyły się bez końca a im później tem stawały się niedorzeczniejsze. Zachwaszczały one niwę literacką, przeszkadzały rozwojowi nowożytnej twórczości, odurzały swojemi bredniami umysł całego narodu i tamowały jego postęp duchowy.

Chcąc zrozumieć ich początek trzeba sięgnąć aż do ich źródła i do gruntu, na jakim ono wytrysło. Tym gruntem było rycerstwo średniowieczne. Nikt nie myśli zaprzeczyć, że w swoim czasie rycerstwo jako instytucya społeczno-kulturalna wywarło w całej Europie Zachodniej wpływ zbawienny. Wśród nieokrze-

sanych jeszcze ludów, które rządziły się prawem pięści, taka instytucya, oparta na zasadach chrześcijańskich, głosząca wierność królowi, obronę słabych i uciśnionych, cześć kobiety i nieskazitelność honoru jako najwyższe obowiązki rycerza — musiała być i była potężną dźwignią moralną średniowiecznego społeczeństwa. W Hiszpanii w ciągu długowiecznych walk z Maurami rycerstwo rozwinęło się szczególniej bujnie i świetnie i odegrało rolę większą może jeszcze, niż gdziekolwiek indziej. W pamięci i w pieśni narodu hiszpańskiego dwie postaci bohaterskie jako dwa wcielenia rycerskiego ideału: słynny Cid Campeador i dzielny Bernardo del Carpio. Całe cykle romansów i ballad śpiewano o ich czynach a sława nieporównana opromieniła ich czoła. Równocześnie w północnej Francyi powstały t. zw. *chanson de sestet* czyli pieśni o czynach wojennych. Były to epiczne rapsody opiewające palatynów Karola W. i rycerzy Okrągłego stołu, towarzyszy mitycznego króla Artura i członków bohaterskiego związku rycerzy św. Graala. Najsłynniejsza i najpiękniejsza z tych pieśni to przepyszna *Chanson de Roland* opowiadająca o bohaterskim zgonie Rolanda w wąwozach Roncewalskich.

Zarówno hiszpańskie jak francuskie pieśni rycerskie uległy znacznemu wpływowi poezyi wschodniej, czy to przez zetknięcie z ludami oryentalnymi podczas krucyat, czy podczas walk z Maurami na półwyspie Iberyjskim. Kto zna baśni wschodnie „Tysiąca i jednej nocy“, ten wie jak niezmiernie ważną rolę odgrywają w nich dobre i złe geniusze, duchy i gnomy, wróżki, czarodzieje, karły i olbrzymy, smoki i potwory, zaklęte królewne, zaczarowane zamki i t. d. Cały ten aparat wschodnich zabobonów i guseł przedostał się do wyobraźni ludów europejskich i przeniknął na wskroś pieśni rycerskie Francyi i Hiszpanii.

W miarę jak podnosiła się cywilizacya średniowieczna, wzrastało także i czytelnictwo. W całej Europie powstają wówczas prozaiczne powieści, będące przeróbkami średniowiecznych poematów. Powieści takie, z Francyi przenikają poprzez Pireneje i wkraczają do Hiszpanii. Najbardziej czytywaną jest *Amadis de Gaula* (Amadis z Gallii) przerobiony z francuskiego opowiadania na język portugalski przez Vasco de Lobeira. Przy-

swaja go Hiszpanom Ordonez Garcia de Montalvo. W ślad za nim idą inne i znajdują grunt podatny w duszy ludu śpiewającego o Cydzie Compeadorze. Autorowie tych powieści licytują się w wymyślaniu coraz dzikszych, coraz fantastyczniejszych i cudaczniejszych przygód. W opowiadaniach tych tkwił niezawodnie temat do arcydzieła, czego najlepszym dowodem jest „Orlando szalony“ Ariosta. Pod nieudolną ręką przerabiaczy nie arcydzieła urastały, ale przeciwnie lęgły się brednie pozbawione już nie tylko wszelkiej poezyi, lecz co gorsza, nawet zdrowego sensu. Gruby a jaskrawy styl, brak wszelkiego psychologicznego pogłębienia postaci, płytka i tania fantastyczność, piętrzenie rażących nieprawdopodobieństw i zupełny zanik poczucia przyrody, oto rysy cechujące ową lichą a liczną literaturę rycerską. I kiedy w całej cywilizowanej Europie od dawna już nastąpił przełom umysłowy ku odrodzeniu, gdy we Włoszech, Francyi, Anglii a nawet w odległej północnej Polsce rzucono się do studyowania klasycznych poetów i pod ich wpływem zdobywano nieznane dotąd światy myśli — to w Hiszpanii przez wiek XV i XVI wyłącznie prawie krzewią się *Libros de caballeria* i zagłuszają wszelkie objawy nowych prądów.

Aż oto z samym początkiem XVII wieku w szranki zajeżdża długi, chudy, kościsty rycerz na zbiedzonej szkapie; czoło mu ocienia golarska blaszana miednica zamiast hełmu, a tyka z nasadzonem na końcu starem żelaziwem miasto włóczni, sterczy w jego wyschłej dłoni. Książki rycerskie jak wiatraki mielą i mielą bez końca miałką mąkę niedorzecznych awantur i niestworzonych przygód — rycerz jednym skokiem rzuca się na nie, dziurawi niemiłosiernie ich śniegi, zrywa ich dachy, wali w proch zmurszałą ich budowę.

To Don Kiszot. W powieści wiatraki odrzuciły go i potłukły boleśnie; w historyi literatury hiszpańskiej on zwyciężył: *libros de caballeria* legły dzięki niemu w pyle zapomnienia, zabite... śmiesznością.

A w historyi literatury powszechnej, więcej nawet, w dziejach rozwoju ducha ludzkiego, jakież jest znaczenie walecznego rycerza z Manszy? Co sprawiło, że w tysiącu wydań na różne

języki powieść o nim przeleciała świat i dziś po trzech wiekach jest równie nowa, jak w r. 1605? Gdyby w nim nie było nic więcej okrom krwawej karykatury książek rycerskich, czyż nie byłby on przepadł bez echa razem z niemi?

## II.

Cervantes, wyszydzając w Don Kiszocie owe *libros de caballeria* i wszelkie martwe przeżytki średniowiecza, podaje swego bohatera na pośmiewisko czytelników i sam bawi się jego kosztem — to nie może chyba ulegać wątpliwości. Ale niemniej wątpliwości nie ulega i to, że jakaś nić sympatyczna, na każdej stronicy widoczna, wiąże serce autora z „rycerzem Smutnej Postaci". Ta litość, to rzewne współczucie Cervantesa dla nieszczęsnego szaleńca z Manszy da się wytłumaczyć przedewszystkiem genezą powieści.

Pisał ją człowiek z górą pięćdziesięcioletni, który całą górną i chmurną młodość swoją przeżył romantycznie i bohatersko w pogoni za sławą pod sztandarem wielkiej idei chrześcijańskiej i patryotycznej. Zaciągając się niegdyś w szeregi Ligi świętej, marzył Cervantes, że przykłada rękę do tryumfu Krzyża nad Półksiężycem, a sobie zdobędzie laur nigdy nie więdnący, i mieczem krzyżowca wyrobi przed sobą promienną świetną drogę życia. I dokądże zaprowadził go ten szlak bohaterskich zapałów? Kaleka bez ręki w algierskiej niewoli stracił najpiękniejsze lata, a wyszedł z niej żebrakiem pozbawionym wszelkich środków do życia. W Hiszpanii, po powrocie, nie *panis benemerentium*, należny dzielnemu weteranowi z pod Lepanto, ale czekała go czarna nędza. Odepchnięty i zapomniany, miał sposobność przekonać się raz jeszcze, jak dalece twarda rzeczywistość odbiega od marzeń młodzieńczych. Zostawała mu jedna jedyna pociecha, jedyny środek wybicia się w górę: talent pisarski. Ale i to go zawiodło. Wprawdzie sztuki jego odgrywano „bez gwizdania i bez rwetesów" — jak sam powiada — wszelako utrzymania zapewnić mu one nie mogą. Nieuleczalny idealista, przy wyborze małżonki kieruje się pomimo wszystkiego, wyłącznie sercem, i położenie swoje pogarsza jeszcze,

żeniąc się z ubogą panienką. Skutkiem tego wyrzec się musi nawet i pióra, tej jedynej osłody, i rzuca się do suchych zajęć handlowych, które mają jemu i żonie dać pożądany kawałek chleba. I znowu złudzenie: zamiast znośnego bytu — przykrości, a wkońcu i więzienie!

Aż wreszcie doznane rozczarowania, pogrzebane nadzieje, rozwiane sny młodości, niezisziczone pragnienia wielkich rzeczy, krwawy żal i poczucie zmarnowanego życia, wszystko to w jego duszy gorzknieje i przeradza się w gryzącą ironię. Z tej ironii rodzi się Don Kiszot. Cervantes zrobił z niego karykaturę samego siebie. Wysunął w nim własny idealizm czy ideologię, która biegnie na oślep za złudzeniami, a rozbija się o rzeczywistość zimną i nieubłaganą, rwie się do wielkich rzeczy, a zamyka oczy na prozaiczną małostkowość warunków bytu i otoczenia.

W molierowskiej „Szkole kobiet“, napisanej w niespełna sześćdziesiąt lat po „Don Kiszocie“, podobny zupełnie związek psychologiczny łączy autora z postacią Arnolfa. Starzejący się już Molière, ożeniony z młodziutką i uroczą aktorką Armandą Bejart, przez całe życie dręczył siebie i żonę okropną swoją zazdrością, która zresztą nie była bez powodów. Armanda oszukiwała go tak zręcznie, że nie mógł nigdy uchwycić niezbitych dowodów zdrady, ale na rozpaczliwą, zazdrosną miłość podstarzałego męża odpowiadała wzgardliwą, lodowatą obojętnością. Stosunek ten we własnem małżeństwie z krwawą ironią zkarykaturował Molière w „Szkole kobiet“, przedstawiając w Arnolfie starego oszukiwanego zazdrośnika, który z rozpaczą wije się u nóg młodziutkiej, naiwnej a chytrej Agnieszki.

To okropne tragiczne ironizowanie siebie samego, te drwiny z własnego nieszczęścia, ten śmiech i dowcip, pod którego maską kryją się gorżkie łzy, jest wspólnym rysem obu największych geniuszów komicznych nowożytnej literatury: Cervantesa i Molièra.

Współczucie dla Don Kiszota mieszające się z wyśmiewaniem jego szaleństw, jest wyraźne na każdej niemal stronicy książki. Udziela się ono i czytelnikowi, który śmiejąc się z ko-

micznych przygód i błędów niefortunnego bohatera, nie może powstrzymać się od szczerej dlań litości. Potęguje się ona jeszcze szacunkiem, jaki pomimowoli odczuwać musimy dla charakteru Don Kiszota.

Szacunek dla szaleńca? Nie inaczej! Wprawdzie rozum Don Kiszota odurzony tumanami niedorzeczności bijącej z romansów rycerskich uległ obłędowi, ale jego charakter, jego serce zostały nieskażone i wzbudzają cześć prawdziwą. Rozum jego popełnia pomyłki, naraża go na przykre awantury, wystawia na śmieszność; ale jego serce nie myli, z jego charakteru śmiać się nie można.

Jestto człowiek przejęty żywą i gorącą wiarą w swój ideał; ideał ten bez względu na niedorzeczne środki i sposoby, jakimi go chce Don Kiszot osiągnąć, ideał ten sam przez się jest wielki i wzniosły; to tryumf Sprawiedliwości na świecie. Serdeczna niczem niezrażona miłość dla tego ideału przepełnia duszę Don Kiszota. Niema ofiary, niema poświęcenia, któregoby rycerz z Manszy nie był gotów bez wahania ponieść dla urzeczywistnienia swego ideału. Ma on silne poczucie swego posłannictwa, jest przekonany niezłomnie, że wola Boża powołała go, aby niesprawiedliwość zwalczył, i wskrzeszając dawne rycerstwo, tryumf Sprawiedliwości zapewnił nad światem. To też z nieugiętą siłą woli, z wytrwałością niezłomną, z cierpliwością męczeńską postępuje raz obraną drogą. Nic nie może go zrazić ani odstraszyć. Ileżto razy czuje on, że całe otoczenie albo go nie rozumie, albo drwi i naigrawa się z niego, znosi jednak bolesne żarty, przycinki i urągowiska w mniemaniu, że to potrzebne dobrej sprawie, której służy; ileż razy zbity na kwaśne jabłko, sińcami pokryty i okrwawiony leży on bez przytomności na gościńcu, i wyzionąłby może ducha, gdyby go nie pozbierał i na osiełku do domu nie odstawił wierny Sancho Pansa. I znowu zaledwie z ran się wylizawszy, dosiada nieszczęsny rycerz swej szkapy i leci na nowe przygody i udręczenia w imię idei, która mu przyświeca. Nie można mu także odmówić prawdziwej i wielkiej odwagi, graniczącej z bohaterstwem. Powie kto może, iż nie jest dowodem męstwa jego atak na stado baranów, albo

jego walka z wiatrakami? Przeciwnie, bo Don Kiszot w najgłębszem przekonaniu i z najszczerszą wiarą widzi w baranach wojsko nieprzyjacielskie, a w wiatrakach — olbrzymów. Jego pomyłka jest bardzo śmieszna, dowodzi największego zaślepienia, lecz odwagi jego w niczem nie umniejsza. Gdyby ktoś przez pomyłkę wziął płynące z prądem rzeki ubranie za tonącego człowieka i z narażeniem życia skoczył do wody, zamiast bliźniego ratując starą odzież, możnaby z tego złudzenia żartować i śmiać się do upadłego, ale bohaterskiego poświęcenia i odwagi nie zaprzeczy chyba nikt w tym wypadku.

Podobnie ma się rzecz z Don Kiszotem. Niebezpieczeństwa, na które się naraża, czyny bohaterskie, które spełnia, śmieszne są niezawodnie, bo są urojone, ale niemniej dowodzą męstwa, poświęcenia i wielkości duszy. Niekiedy dokonywa on istotnie aktów heroicznej odwagi, narażając się na rzeczywiste i straszne niebezpieczeństwa. Tak np. Don Kiszot zatrzymuje ludzi wiozących do menażeryi klatkę z lwem, otwiera ją i bez drżenia wchodzi do dzikiego zwierzęcia, które wzrokiem jego zmagnetyzowane przylega ku ziemi gdzieś w kącie i rzucić się na niego nie śmie. W tym wypadku odwaga Don Kiszota jest chyba niezaprzeczona, lecz śmieszną być nie przestaje, bo jest zgoła bezcelowa. Pragnie on tem jedynie dać sobie samemu i otoczeniu dowód szalonego męstwa, któreby go postawiło na równi z legendowymi bohaterami ksiąg rycerskich. Naśladuje ich zresztą nie tylko w odwadze, ale wogóle we wszystkiem, niewolniczo powtarza ich obyczaje i sposoby postępowania, przejmuje się ich stylem w mowie i zachowaniu, nie bacząc, że czasy rycerstwa już dawno minęły, i że skutkiem tego popada on w ustawiczną sprzeczność z rzeczywistością i ze swoją epoką. Cechuje go w tem zacięty upór, niedający się niczem przekonać: swoje pojęcia i zasady, swoje przekonania i postępki, wzorowane na *libros de caballeria*, wprowadza on w życie, wbrew wszystkiemu i wszystkim, z zacietrzewieniem przechodzącem w fanatyzm.

Aby wytłumaczyć taki stan umysłu swego bohatera, Cervantes w pierwszym zaraz rozdziale podkreśla dobitnie zupełny

brak wykształcenia u Don Kiszota. Nie czytał on i nie znał nic, krom książek rycerskich. Na wrażliwy a martwy i pierwotny jego umysł oddziałały one wręcz odurzająco. W nich zasklepił się całkowicie. Wyobraźnia rozgorączkowana taką lekturą, rozwinęła się u niego chorobliwie kosztem innych władz duszy, zwłaszcza kosztem analizy i krytycyzmu, których Don Kiszot nie posiada ani cienia. Skutkiem tego musiał być doszczętny zanik poczucia rzeczywistości. Nieuniknionym a znamiennym rysem takiego zboczenia czy wypaczenia umysłu jest u niego dziecięca łatwowierność. Niema niedorzeczności, którejby nie można wmówić w Don Kiszota, toteż wywodzą go w pole i wystrychują na dudka wszyscy, i to bez wysiłku. Lecz i ta łatwowierność niesłychana ma swoje źródło nie tylko w zboczeniu umysłowem, ale także i w charakterze rycerza z Manszy. Sam prawy i prawdomowny, niezdolny do najmniejszego kłamstwa świadomego, przyrzeczeń swoich dotrzymujący z bezwzględną wiernością, człowiek ten nie domyśla się kłamstwa nigdzie i u nikogo, nawet tam, gdzie ono jest jawne i oczywiste.

Jedną z najkomiczniejszych stron powieści Cervantesa jest śmieszna i niedorzeczna miłość Don Kiszota ku Dulcynei z Tobozo. Brzydka, pospolita, grubiańska, a w dodatku brudna dziewka folwarczna jest przedmiotem jego czułych westchnień i marzeń idealnych. Autor mówi wyraźnie, że Don Kiszot uważał sobie za obowiązek prawego rycerza mieć „damę swego serca", bo bez dam swych serc nie obchodzili się bohaterowie ksiąg rycerskich. Wyczytał w nich również i to, że złośliwi, zazdrośni czarnoksiężnicy zamieniają czasem najcudniejsze damy w potworne i odradzające wiedźmy, a czar taki złamać może tylko wierna i czysta miłość rycerza. Nic dziwnego, że obrał sobie dziewkę folwarczną za przedmiot swoich afektów: pokochał ją nie taką jaką była, ale taką, jaką widział oczyma duszy w swej wykolejonej wyobraźni. Nawet nigdy nie przechodzi mu przez głowę sceptyczna myśl, że Dulcynea może nie być zaklętą księżniczką. I tu znowu, jak zawsze, winna jest jego biedna głowa, ale jego serce?... Przypatrzmy się tej miłości

bez względu na jej niegodny przedmiot, bez względu na niektóre jej dziwaczne objawy, będące wysiłkiem naśladowania rycerzy bajecznych z *libros de caballeria*, a wówczas będziemy musieli przyznać, że miłość ta ma w sobie coś wzruszającego. Wierna niezłomnie, idealnie czysta, szczera i głęboka, świadczy ona, że nie poziome i nie podłe było serce, które się umiało zdobyć na takie uczucie. Śmiejmy się z Don Kiszota i z Dulcynei, bo istotnie na pośmiewisko wystawił Cervantes tę parę kochanków i komizmu niebywałego odmówić mu nie można. Wszelako przyznajmy także — odkładając na bok słuszne żarty — że świat istotnie byłby lepszy i piękniejszy, gdyby na nim wielu mężczyzn zdolnych było do takiej miłości, jak miłość Don Kiszota, i że tylko najlepsza kobieta jest warta być tak kochaną, jak Dulcynea z Tobozo. Komizm tkwi w tem, że Dulcynea właśnie nie była takich uczuć wartą, ani się poznać na nich nie umiała.

Gladston, który nie tylko niepospolitym był mężem stanu, ale także w wolnych chwilach głębokim badaczem literatury (pozostawił po sobie wyborne studya homeryckie), nazywa Don Kiszota „wzorem gentelmana". I słusznie. Ten bojownik idei, niepragnący za swoje bohaterstwo żadnej korzyści materyalnej, nic, okrom sławy i wewnętrznego zadowolenia, ta dusza gorąca i czysta, przepełniona poczuciem obowiązku, charakter, w którym góruje ponad wszystkiem najczystszy etyzm i idealizm, ten kochanek Dulcynei pełen czci dla kochanej kobiety, całem postępowaniem swojem budzi zarówno szacunek jak... śmieszność. Romantyczna dewiza: „Miej serce i patrzaj w serce" stosuje się do niego w całej rozciągłości. To już nie jego wina, że nie miał przytem za grosz rozsądku i nawet nie patrzał rozsądkiem.

Ale wielkiem wszechświatowem arcydziełem jest „Historya Don Kiszota z Manszy" dopiero dzięki przedziwnemu zestawieniu „rycerza Smutnej Postaci" z jego giermkiem Sancho Pansą. Zasadnicza idea książki ujawnia się w całej pełni przez przeciwstawienie tych dwóch postaci. Są one najdoskonalszemi przeciwieństwami nawet pod względem fizycznym. Przy Don

Kiszocie, wysokim, chudym, kościstym szlachetce stoi zawsze nieodstępny jak cień Sancho, nizki, barczysty, brzuchaty i opasły. Stokroć jednak większa jest między nimi różnica duchowa. Sancho Pansa to uosobienie płaskiego realizmu. Cechuje go brak wszelkich wyższych aspiracyi, brak zasad i szerszych poglądów. Oportunista w każdym celu, nie sięga on wzrokiem poza garnek z jadłem, a pozornych swych instynktów nawet nie stara się ukrywać. Owszem, wyjeżdża z nimi najbrutalniej nawet przy każdej sposobności z naiwną dobrodusznością. Przy zupełnym zaniku wszelkiej wyobraźni posiada on aż nadto poczucia rzeczywistości, a praktyczny chłopski rozum jest jedynym jego przewodnikiem w życiu. Toteż nie szedłby tak wiernie ślad w ślad za obłąkanym swoim panem, gdyby nie wrodzona miękkość charakteru i poczciwość, która sprawia, że Sancho przywiązał się naprawdę do Don Kiszota. Z początku dał się Pansa skusić obietnicą wielkorządztwa na jakiejś urojonej wyspie, a że uwierzył obietnicy Don Kiszota, to przypisać trzeba zbytniej chciwości giermka. Mijają dni i miesiące, zamiast godności wielkorządcy, spada na Sancho Pansę nieraz grad kijów lub kamieni, on jednak rycerza swego nie opuszcza, choć o wielkorządztwie swojem nie na żarty powątpiewa. Przylgnął do Don Kiszota, zrósł się z nim, zdrowym swoim instynktem odgaduje w nim szaleńca, lecz nie może go już porzucić. Trzeźwy rozsądek na usługach maniactwa, ideologia wlokąca w trop za sobą gruby i płaski realizm — to dopiero szczyt ironii!

Czem do siebie przykuł, czem przywiązał Don Kiszot takiego Sancho Pansę? Nie czem innem, jak swoją nad nim wyższością moralną. Ten cudak, ścigający po świecie urojone mary swojej wyobraźni, tem samem podbił swego giermka, czem podbija czytelników. Sancho dziwactwa jego znosi cierpliwie, dla jego miłości popełnia z nim razem niedorzeczności, wpływowi jego ulega wbrew swoim zdrowym klepkom, a nad niefortunnemi i bolesnemi przygodami jego ryczy głośnym płaczem.

Ci nierozłączni towarzysze doli i niedoli są żywem uosobieniem dwóch skrajnie przeciwnych poglądów: idealistycznego

i realistycznego. Każdy z nich jest jednostronny i jednostronnością swą śmieszny. Prawda i droga życia znajduje się między nimi wpośrodku, nie ukazana przez autora wprost, ale bardzo wyraźnie, choć negatywnie określona. „Nie bądźcie takimi, jak Don Kiszot! Nie bądźcie takimi, jak Sancho Pansa!“ mówi do czytelników każda kartka tej niepospolitej książki.

Jej doniosłość, jej głębokie znaczenie dla ducha ludzkiego polega zaś na tem, że każdy z nas nosi w sobie i Don Kiszota i Sancho Pansę. Kto nie budował zamków na lodzie, kto nie czuł w sobie idealnych zapałów i porywów bez względu na twardą rzeczywistość? I kto wolny jest zupełnie od nizkich, zwierzęcych instynktów, komu płaski praktyczny zmysł nie podcinał skrzydeł, nie obniżał lotu ducha? Najwyższą sztuką życia jest umieć pogodzić i zharmonizować te dwa skrajne a nieodłączne przeciwieństwa, żadnemu z nich jednostronnie nie ulegając. Szczęśliwy, kto licząc się z rzeczywistością, patrzy rozważnie pod nogi a równocześnie polotem ducha aż ku gwiazdom sięga.

Oto zasadnicza wszechludzka myśl zawarta w Don Kiszocie, oto podstawa i przyczyna nieśmiertelnej, wszechwiekowej sławy Cervantesa.

*Lucyan Rydel.*

# DOKTRYNA LWA TOŁSTOJA.

(Ciąg dalszy).

Przeciwko żadnej wszakże instytucyi nie wybucha Tołstoj taką nienawiścią, jak przeciw Kościołowi. „Wśród wszystkich bezbożnych pojęć i wyrazów niema wyrazu i pojęcia, któreby spłodziło więcej złego, niema pojęcia bardziej wrogiego nauce Chrystusa nad pojęcie Kościoła“[1] — oto ogólny wyraz uczuć Tołstoja względem tej instytucyi. I nic dziwnego nie przedstawia ten surowy wyrok w ustach Tołstoja, skoro się zważy, jak ciężkie zbrodnie upatruje on w historyi Kościoła. Zarzuca mu sfałszowanie nauki Chrystusowej, bo na miejsce wiary rozumnej, rozwiązującej zagadkę życia, stawia Kościół wiarę jako *„argumentum non apparentium“*[2], co, według Tołstoja, tyleż znaczy, ile wiara w rzeczy, których wcale niema[3]. Kościół, skoro raz oparł się na zasadzie indywidualnego szczęścia człowieka, wprowadził doktrynę o grzechu pierworodnym, według której stan faktyczny życia uważa się za anormalny i przejściowy, a jako rzeczywistość obiecuje się ludziom urojony świat Edenu. Kościół dyspensował swych wiernych od obowiązku moralnego życia, podając, jako środek zbawienia, wiarę w Odkupienie, w moc łaski, modlitwy i sakramentów. Potrzeba walki przeciwko instynktom życia zwierzęcego wrzekomo wcale nie istnieje w nauce Kościoła. Walka taka miała miejsce tylko w raju, w osobie

[1] Kościół i państwo. Berlin, 1891, str. 9. [2] Do Żyd. XI, 1.
[3] Ma religion, p. 117.

Adama. Kwestyę tę Adam rozwiązał za wszystkich i odtąd wszystkie nasze wysiłki, aby żyć rozumnie, są próżne, a nawet bezbożne. „Moje zbawienie — takie słowa wkłada Tołstoj w usta Kościoła — wcale nie od tego zależy, że mogę rozumem rozjaśnić ścieżkę swego życia i poznawszy co złe, a co dobre, czynić co lepsze; nie, Adam raz na zawsze zbłądził za mnie, a Jezus raz na zawsze przyniósł lekarstwo na zło Adama; i stąd ja, niby widz, winienem smucić się z upadku Adama i cieszyć z odkupienia, dokonanego przez Jezusa“[1]. „Dlatego, że Chrystus umarł, Konstantyn może żyć, jak mu się spodoba“ pisze Tołstoj w innem miejscu[2]. I ja więc mogę żyć, jak mi się spodoba; bylebym wierzył w dogmaty i przyjmował sakramenta, Kościół bierze na siebie obowiązek zaprowadzenia mnie do nieba. Takie twierdzenia z oburzeniem i zgorszeniem przytacza Tołstoj jako *corpus delicti* nauki Kościoła. Zarzuca mu jeszcze, że naukę Chrystusa moralną uważa wprawdzie za wzniosłą, godną podziwu, ale z dodatkiem, iż ludzie są za słabi, aby ją wykonać mogli[3]. Kościół wreszcie winien jest spaczenia całej intellektualnej działalności człowieczeństwa. Nie co innego bowiem, tylko fałszywa teza nauki kościelnej o szczęściu indywidualnem nadała niemniej fałszywy kierunek całej nauce, filozofii, etyce, wynalazkom, tak, iż ci nawet ze współczesnych działaczy, którzy zdają się walczyć przeciw Kościołowi, w rzeczy samej kierują się jego zasadami[4].

Ale za te wszystkie zbrodnie Kościoła spoczęła już na nim ciężka ręka Nemezis dziejowej. Kościół usankcyonował wszystko złe na świecie: państwo, wojny, politykę, sądy i kary, naukę, sztukę i życie pogańskie; teraz to wszystko odwróciło się ze wstrętem od Kościoła i gdzieindziej szuka punktu oparcia do dalszej swej egzystencyi. Z Kościoła nic już nie pozostało, „oprócz świątyń, obrazów, złoceń i słów“; dzisiejszy Kościół to skorupa pusta, którą wenerują jeszcze ci i owi, przez wzgląd na to, co przedtem w sobie zawierała, i której nie wiedzieć

---

[1] Ma religion, p 111. [2] Kościół i państwo, str. 17.
Ma religion, p. 122. [4] Ma religion, p. 125.

dlaczego skruszyć nie śmieją[1]. Obarczywszy tak ciężkiemi inkryminacyami instytucyę Kościoła, cieszy się Tołstoj z dzisiejszego jego poniżenia w świecie, z jego upadku i życzy z całego serca, aby jak najprędzej wybiła ostatnia jego godzina. Nie będziemy tymczasem analizowali tego poglądu, lecz postępujmy dalej za Tołstojem. Wyobraźmy sobie, że już się dokonała tu niwelacya dzisiejszych stosunków i instytucyi, której życzy sobie Tołstoj; wystawmy sobie, że już niema ani Kościoła ani państwa, ani wojska, ani sądów, ani przysiąg. Jak będzie wyglądał świat odbudowany według planów Tołstoja, albo, jak jemu się zdaje, według nauki Jezusa?

Przedewszystkiem znikną z oblicza ziemi wielkie duszne miasta, te, podług Tołstoja, ogniska fałszu i zbrodni. Ludzkość się rozproszy po obszernych niwach, tworząc mniejsze ogniska społecznego życia, najbardziej odpowiadające naturze człowieka, tak zwane kolonie inteligentnych oraczów. Wszystko tam będzie wspólne, a właściwie niczyje. Każdy będzie pracował, bo praca to nieodzowny warunek życia ziemskiego. Chociaż do owoców swej pracy nikt ścisłego prawa nie posiada, żywić się jednak z nich będzie i nikomu rzeczy potrzebnych nie zabraknie, gdyż nikt sobie więcej zagrabiać nie będzie nad to, co mu nieodzownie potrzebnem się okaże. Wyraża się to u Tołstoja mniej więcej następującą formułką: Człowiek nie jest na świecie, aby nań pracowali inni, służyli mu inni, lecz aby pracował i służył drugim. Kto zaś będzie pracował, ten z głodu nie zginie[2]. Aby zjednać wiarę w swe zapewnienia, powołuje się Tołstoj na znany ewangeliczny fakt nakarmienia przez Chrystusa pięciu tysięcy ludzi na puszczy. Dopóki tam panowało samolubstwo, dopóty wielu głód cierpieć musiało, bo ci, co chleb posiadali, wskutek swego egoizmu nie chcieli się nim dzielić z tymi, co nic nie mieli. Lecz skoro na rozkaz Jezusa kilku posiadaczy chleba ofiarowało takowy na wspólny użytek, wtedy i inni, szlachetnym zwycięzeni przykładem, powyciągali swoje ukryte w tobołkach zapasy i w ten sposób wszystkim dostało

[1] Ma religion, p. 225 ss. [2] Ma religion, p. 208.

się tyle, ile kto potrzebował. Mamy tutaj nietylko argument na socyologiczną teoryę Tołstoja, ale zarazem jedną więcej próbkę egzegezy Pisma św. przez Tołstoja, który w ten mniej więcej sposób wszystkie cuda ewangeliczne objaśnił w wydanym przez się komentarzu.

Takie, jakie opisaliśmy, życie na łonie natury jest, zdaniem Tołstoja, zgodne z naturą człowieka i najprzyjemniejsze. W niem nawet na ziemi szczęśliwość się osiągnie.

Do szczęścia bowiem, według Tołstoja, potrzeba pięciu warunków: 1. obcować z naturą, to jest pracować na roli, hodować rośliny, zwierzęta domowe i cieszyć się nimi; 2. pracować, bo praca fizyczna sprowadza apetyt i spokojny twardy sen; 3. żyć na łonie rodziny; 4. utrzymywać serdeczne stosunki z możliwie największą liczbą ludzi; 5. cieszyć się zdrowiem ciała, nie znać chorób i umrzeć spokojnie. Te warunki dostępne są tylko życiu wiejskiemu, jak je pojmuje Tołstoj. Każdy z tych warunków szeroko rozwija, zestawiając je z życiem ludzi w wielkich miastach i centrach fabrycznych i wykazuje — należy mu przyznać — w wielu miejscach bardzo udatnie i na mocy licznych obserwacyi, że w obecnym ustroju społecznym, im kto na wyższym jego postawiony szczeblu, tem bardziej sztuczne, nienaturalne prowadzi życie. Ci, co należą do tak zwanych wyższych klas, co mieszkają w zatrutem powietrzu miast, pozbawieni możliwości pracy, w stosunkach swych zacieśnieni do bardzo szczupłego towarzyskiego grona, w pożyciu rodzinnem splamieni wielu występkami, wloką żywot nędzny, dla nikogo niepożyteczny, starzeją się przedwcześnie i schodzą do grobu, złamani raczej sztucznem życiem, niż wiekiem. Toż samo spotyka ludzi, pracujących po fabrykach, podczas gdy życie wiejskie, rolnicze, połączone z pracą fizyczną, podtrzymywane pokarmami roślinnymi, może stale utrzymać człowieka przy zdrowiu, sprowadzić szczęśliwą starość i śmierć lekką.

Co do pokarmów, to jedynie wegetaryanizm jest racyonalnym sposobem odżywiania się, albowiem z jednej strony pokarmy mięsne sprowadzać mają wiele chorób, a powtóre, używając mięsa, z konieczności musimy wyrabiać w sobie popędy

okrutne, stając się sprawcami bólu, tak wstrętnego dla naszej natury. „Nikt nie zaprzeczy, są słowa Tołstoja, że nietylko zabijać lub męczyć człowieka, ale męczyć nawet psa, zabić kurczę lub cielę, jest to sprawiać cierpienie, które potępia natura ludzka“ [1]. Z tego też powodu zaprzestał Tołstoj jadać mięso, a w ostatnich czasach podobno unika nawet nabiału i jaj używać nie chce.

Miary szczęścia opisanego życia wiejskiego na łonie przyrody i rodziny dopełniają stosunki z innemi rodzinami i dalszymi ludźmi całej kuli ziemskiej, oparte na wzajemnej miłości, usłużności, ofiarności. W takich warunkach ziemia się w raj przemienia i nie potrzeba imaginować mahometańskiego raju dopiero po śmierci.

Czy autor tej teoryi w istocie tak naiwny, iżby wierzył w możliwość praktycznego jej zastosowania przez całą ludzkość, przez tę ludzkość, którą znamy z historyi i doświadczenia? Czy wierzy, nie wiem, ale twierdzi i zapewnia, że jest to możliwe, a wszelki pod tym względem pesymizm piętnuje jako niewiarę, nieufność do nauki Jezusa. To właśnie i Kościołowi poczytuje za jedno z najcięższych przewinień, że głosząc naukę Jezusa, który mówi: nie troszczcie się o jutro, co byście jedli, w praktyce przeczy takowej, zalecając oszczędność i uświęcając prawo własności i stosunki na niem oparte.

Kiedy się czyta te sielankowe opisy życia tołstojowskiego, nie można się oprzeć pewnej sympatyi do autora, ale zarazem nie można nie spostrzedz, że to wszystko jest marzeniem głodnego, któremu się śni obfity obiad. Dobrzeby to było, aby w istocie raj taki rozpostarł się na ziemi, aby nie było chorób ani zbrodni, aby nikt nie mówił owego zimnego: to moje a to twoje, by ludzie się wzajem miłowali i służyli sobie jedynie z dobrej woli, bez żadnego przymusu. Ale cóż zrobić, kiedy temu wszystkiemu stoi na przeszkodzie raz natura człowieka, jaką ją znamy z doświadczenia, a powtóre cały porządek społeczny, na który liczne wieki pracowały. Wprawdzie w teoryi Tołstoja on już potępiony i racyi bytu nie ma, lecz rozumowa-

[1] Ma religion, p. 48.

nia i deklamacye filozofa nie są przecież trąbami Jozuego, by od nich mury Jerycha upaść miały. Fakt, że Jerycho stoi, a z faktami liczyć się trzeba. Więc nic innego nie pozostaje, jak jedno z dwojga: albo, ocknąwszy się ze snu przyjemnego, zrezygnować z wyśnionego ideału, lub też, jeśli się zechce koniecznie raj na ziemi zasadzić, trzeba się uciec wpierw do gwałtu, zniwelować nie na papierze, ale w rzeczywistości to wszystko, na co cywilizacya i praca tylu wieków się składała, wszystko pogrzebać w gruzach, zrosić krwią, aby ziemię uprawić pod nowy zasiew. Pierwszą alternatywę wybierają pesymiści, drugą zaś skrajni anarchiści i nihiliści, lecz Tołstoj ani z jednymi ani z drugimi zgodzić się nie chce.

Ze szczególną energią zastrzega się przed wnioskiem nihilizmu. Uciec się do gwałtu, aby stary świat zburzyć? Broń Boże! Podobna taktyka byłaby przecież wręcz przeciwną głównej zasadzie Jezusa: n i e s p r z e c i w i a j s i ę z ł e m u. „Jak ognia, powiada, nikt nie gasi ogniem, tak zła nikt złem nie zgładzi“ [1]. Dowodem tego cała historya, że żadne środki gwałtowne i przymusowe, sądy, kary, więzienia, zbrodniom zapobiedz nie zdołały, bo same były zbrodnią. Nie chce również Tołstoj uznać i tego planu działania, którego trzymają się socyaliści, lub nawet chrześcijańscy działacze socyalni, z których ostatni reformę stosunków społecznych pragną przeprowadzić z pomocą władz istniejących, a pierwsi dążą do zburzenia istniejących politycznych władz, a ustanowienia nowych, jako niezbędnych organów przyszłego szczęścia społecznego. W oczach Tołstoja wszystkie te reformy są „zasypywaniem dołu ziemią, wygrzebaną z innego dołu“, czyli poprostu zamianą jednej formy niewolnictwa inną formą. I takie reformy, jak np. przymusowa asekuracya, ograniczenie godzin pracy etc. są to tylko przygotowania do nowej nieznanej nam jeszcze formy niewoli [2].

Zasadniczym błędem wszystkich tych programów, jak dowodzi Tołstoj w licznych swych broszurach, np. w „Niewoli naszych czasów“ i w broszurze wydanej w zeszłym roku w Lon-

[1] Ma religion, p. 52. [2] Niewola naszych czasów. 1900, str. 50.

dynie, a zaadresowanej do politycznych działaczy, — jest to, że wszystkie te programy pracy społecznej suponują konieczność jakiejś władzy, jakiejś siły przymusowej, dla zrealizowania życiowych ideałów. Tymczasem od władzy niczego dobrego spodziewać się nie można. Władza jak dotąd tak i na przyszłość zawsze spoczywać będzie w rękach najgorszych ludzi, gdyż ludzie lepsi nigdy władzy piastować nie mogą, choćby już dla tego samego, że władza polega na użyciu gwałtu wobec innych ludzi. Mniemanie więc, że zburzywszy jedną władzę, a ustanowiwszy drugą, osiągnie się opiekę nad uciśnionymi jest złudzeniem w oczach Tołstoja. Dopóki władza będzie władzą, zawsze będzie dbała tylko o siebie. Nie zamiany, ale zupełnego usunięcia władzy potrzeba. Nie można jej jednak usunąć siłą, raz dlatego, że użycie siły jest samo w sobie złe, a powtóre, że jest to rzeczą wręcz niemożebną przy dzisiejszym rozwoju państwowego militaryzmu. Ale jest i na władzę sposób. „Władzę można pokonać, powiada Tołstoj, rozumną świadomością ludzi [1], przy takiem mianowicie religijnem pojęciu życia, w którem człowiek, uważając swoje życie ziemskie za cząstkowy tylko objaw powszechnego życia, łączy swe życie z życiem nieskończonem i poczytując za najwyższe swoje szczęście spełnienie praw tego życia nieskończonego, uważa ich wykonanie bardziej obowiązującem niż wykonywanie jakichkolwiek praw ludzkich“ [2]. Ten sposób patrzenia się na rzeczy ma być jedynym środkiem obalenia władzy, a nadto daje on ludziom możność i bez jej udziału skrystalizować się w rozumnych i sprawiedliwych formach życia [3].

A zatem recepta Tołstoja przepisuje dla reformy świata jedyne lekarstwo: budzić we wszystkich świadomość dobra i zagadki życia i przekonanie, że cały porządek obecny jest zły i że jedynem człowieka zadaniem jest miłość innych ludzi. Ludzie, którzy już o tem się przeświadczyli, powinni bezustanku powtarzać, jak Scipio: *Carthago delenda est* [4], aż w istocie Car-

[1] Do działaczy politycznych, p. 13. [2] Ibid. p. 14. [3] Ibid. p. 15.
[4] Tytuł jednej z broszur Tołstoja.

thago upadnie. Kościół, państwo, armie, sądy i więzienia — wszystko to się rozleci, skoro, poznawszy szkodliwość tych instytucyi, nikt dłużej nie zechce przykładać swej ręki do podtrzymywania strupieszałej budowy. Raj wprawdzie nie odrazu zapanuje na ziemi, ale to nie powinno nikogo upoważniać, aby zaniedbywał swego najbliższego obowiązku — usunięcia swego współdziałania z obecnym rzeczy porządkiem. „Byłoby to rzeczą bardzo dobrą, nagle, naprzykład, otrzymać las. Lecz tego dokazać nie można. Trzeba czekać, aż nasiona wzejdą, wydadzą liście, pędy i wreszcie staną się drzewami. Można nawtykać gałęzi do ziemi, i na jakiś czas będzie to miało pozór lasu, lecz tylko pozór. Tak samo rzecz się ma i z nagłem urządzaniem pomyślności ludzkiej“ [1].

Reasumując program Tołstoja, widzimy, iż pierwszym obowiązkiem oświeconego wyznawcy jego teoryi, oprócz nieustannego wołania o upadek Kartaginy, jest usunięcie się od wszelkiego udziału, czynnego czy biernego, w rządach, sądach, wojsku, policyi, odmowa przysięgi na wierność państwu lub panującemu. Posłuszeństwo w tych rzeczach względem władz ziemskich jest apostazyą od prawa Bożego, wyparciem się nauki Jezusowej. „Dla prawdziwego chrześcijanina, są słowa Tołstoja, wymagania władzy są wymaganiami ludzi, nie znających prawdy“ [2]. Trzeba ich oświecić, a tego nie można uczynić lepiej, jak właśnie odmawiając im posłuszeństwa. Dopóki ciemni, zbłąkani stanowią większość i rozporządzają siłą, dopóty synowie światłości niejedną od nich przykrość wycierpieć muszą; niech jednak każdy pamięta, że „gwałt, więzienie, śmierć dadzą mu właśnie okazyę i możność oddania świadectwa prawdzie nie tylko słowem, ale i czynem“ [3], dopomogą mu do szerzenia na ziemi Królestwa Bożego. „Postęp ludzkości ku dobru nie dokonywa się przez tyranów, lecz przez męczenników“ [4]. Zupełna więc bierność względem władz, to pierwszy obowiązek.

Drugim walnym obowiązkiem oświeconego — pozbyć się

---

[1] Do działaczy politycznych, str. 22. [2] Ma religion, p. 263.
[3] Ma religion, p. 263. [4] Ibidem, p. 52.

własności. „Jest rzeczą niemożliwą, odzywa się Tołstoj w imieniu Jezusa, wypełnić wolę Ojca, dopóki się zatrzymuje majętność na swoją własność i nie daje się jej innym“ [1], a gdzieindziej: „mój kawałek chleba wtedy tylko jest moją własnością, kiedy mi wiadomo, że każdy inny człowiek ma również swój kawałek chleba i że nikt głodu nie cierpi, podczas gdy ja jem“ [2]. Nikt nie ma się obawiać, że z głodu zginie, wyzbywszy się własności, zanim cały świat zostanie chrześcijańskim. Że to nie nastąpi, przekonywa Tołstoj następującymi dowodami, które podajemy w przekładzie dosłownym, by nie być posądzonymi o przesadę. W „Swojej religii“ tak pisze; „Egzystencya chrześcijanina będzie zupełnie zapewnioną wśród pogan zarówno jak i wśród chrześcijan. Będzie pracował dla drugich, a więc będzie dla nich niezbędny i stąd pewna rzecz, iż karmić go będą. Pies nawet, jeśli jest pożyteczny, dostaje pożywienie i opiekę, jakże więc mianoby odmówić pokarmu i opieki człowiekowi, którego wszyscy potrzebują?“ [3] Nie przestaną ludzie żywić człowieka nawet chorego i niezdolnego do pracy, „jak nie przestają dostarczać pokarmu choremu baranowi, wołowi, psu. Nawet starego konia nie zabija się, lecz wyznacza się mu pracę według jego sił. Żywi się stada baranów, nierogacizny, psów w nadziei, że się z nich korzyść odniesie. Jakżeby mieli ludzie odmówić pożywienia pożytecznemu człowiekowi, gdy zapadnie w chorobę, czemużby nie mieli znaleźć pracy, odpowiedniej nawet siłom starca lub dziecka, czemużby nie mieli podjąć się wychowania dzieci, które później dla nich będą pracowały?... Robotnicy są potrzebni. Ci więc, którzy korzystają z ich pracy, dołożą wszelkich starań, aby ich (robotników) nigdy nie zabrakło“ [4]. Ciekawy czytelnik może w książce Tołstoja wyczytać więcej takich ustępów, gdzie okrzyczany apostół braterstwa i miłości, i głosiciel „prawdy bezwzględnej, całkowitej prawdy, objawiającej się w życiu wewnętrznem duchów twórczych“ [5], stawia lud na równi z bydłem roboczem

---

[1] Les Évangiles, p. 108. [2] Ma religion, p. 50. [3] Ibidem, p. 206.
[4] Ma religion, p. 206, 207.
[5] Wyrazy jednego z dzienników naszych.

i zwierzętami podwórzowemi, ukazując mu w perspektywie psią dolę, w nagrodę pełnienia swej religii.

Dwa pomienione środki: bierność względem władz i porzucenie własności stanowią całą treść tołstojowskiego programu działalności społecznej i mają niechybnie sprowadzić, jeśli nie raj powszechny, to przynajmniej raj w sercach tych, którzy programu tego trzymać się zechcą. Kiedy więc Spencer zaledwie w dalekiej przyszłości widzi zbyteczność środków przymusowych w społeczności ludzkiej, mianowicie kiedy popędy altruistyczne zrównoważą się z egoistycznymi, Tołstoj natomiast żąda, aby każdy z nas w tej chwili został altruistą, nie czekając aż inni nimi się staną, a środkom przymusowym odmawia racyi bytu.

Na tem się kończy religijno-obyczajowo-społeczna nauka Lwa Tołstoja. Przechodzimy do jej oceny.

## IV.

Szczerem swem wyznaniem, że po dokonaniu teologicznych studyów, nic mu nie pozostało z nauki, jaką przechowują wyznania chrześcijańskie, Tołstoj zwolnił nas z konieczności szczegółowego zestawiania jego doktryny z tradycyjną chrześcijańską teologią. Z podanego przez nas szkicu tołstojowskiej ewangelii każdy czytelnik mógł wynieść to samo wrażenie, iż rzekomy neo-chrystyanizm proroka z Jasnej Polany, występujący pod firmą Jezusa, jest, w gruncie rzeczy, zupełną antytezą nauki Jezusowej, a Tołstoj nie wiernym jej wyznawcą, lecz nieprzejednanym przeciwnikiem. Nie chcemy jednak sądu o nowym systemie opierać li tylko na jego sprzeczności z nauką Kościoła; doktryna Tołstoja sama na siebie wyda wyrok, skoro rozpatrzymy jakiemi danemi rozporządza jej wszystko druzgocąca krytyka, jaka jej metoda naukowa, jaka nowego systemu wewnętrzna spójność, jakie praktyczne wyniki: słowem, zdanie nasze o nauce Tołstoja chcemy oprzeć na wewnętrznej jej wartości.

Co warta tołstojowska krytyka? Tołstoj, jak widzieliśmy,

podjął się wielkiego zadania: pociągnąć przed trybunał świata wszystkich dotychczasowych nauczycieli życia i przekonać ich o zbrodnię fałszerstwa nauki Jezusowej, niezrozumienia najważniejszej kwestyi, kwestyi życia, wprowadzenia demoralizującej etyki. Aby się ośmielić na podobne przedsięwzięcie, trzeba rozporządzać czemś więcej, aniżeli wyobraźnią choćby najbujniejszą: trzeba mieć w ręku n i e z b i t e d o w o d y. Czy tak jest u Tołstoja? Krytyka jego nie zadawalnia najskromniejszych wymagań, jakie nauka ma prawo postawić każdemu szanującemu się i sumiennemu uczonemu, tembardziej twórcy nowych systemów praktycznej życiowej natury.

Przedewszystkiem, zanim Tołstoj obarczył Kościół tylu zbrodniami, należało mu przekonać się gruntownie, czy rzeczywiście Kościół jest ich winien, czy w nauce lub życiu jego są podstawy do takiego oskarżenia. Nie chcemy zaprzeczać, iż w rzeczy samej możnaby wskazać pewne odłamy historycznego chrześcijaństwa, gdzie, jeśli nie w teoryi, to w praktyce, nie pokłada się istoty życia religijnego na czynnej miłości, lecz zastępuje się ją przez czczą formę sztywnego kultu; ale czy godzi się uogólniać jednostkowe stosunki pewnych miejsc i epok? czy za zboczenia, będące wynikiem anormalnego stanu Kościoła w danych, z zewnątrz mu narzuconych warunkach, wolno pociągać do odpowiedzialności Kościół powszechny wszystkich czasów? A inkryminacye Tołstoja, pamiętajmy o tem, skierowane są do całego Kościoła i do przedstawicieli wszystkich wyznań chrześcijańskich. Kościołowi katolickiemu najwięksi dotychczasowi wrogowie jego nie zaprzeczali wielkiego wpływu dodatniego na obyczaje świata i wielkiej powagi i żywotności po dzień dzisiejszy trwającej. Tołstoj wszystkie, bez wyjątku, wyznania chrześcijańskie odsądził od czci i wiary, przed zbadaniem ich treści, jedynie na tej podstawie, że różnią się one między sobą w tłómaczeniu objawienia chrześcijańskiego. Jeśliby taka racya była wystarczającą, to przedewszystkiem naukę samego Tołstoja odrzucićby należało, gdyż on nie tylko z innymi, ale i sam ze sobą często stoi w sprzeczności, jak się o tem niżej przekonamy.

W „Spowiedzi“ swojej opowiada Tołstoj, że badał naukę różnych wyznań chrześcijańskich, nie wyjmując Katolickiego Kościoła. Co do tego ostatniego jednak — pozwalamy sobie wątpić w zapewnienie Tołstoja. Gdyby w istocie chciał poznać, nie mówię już teologię katolicką, ale krótki przynajmniej katechizm, nie byłby zarzucał ryczałtowo Kościołowi, że ten zwolnił swych wiernych od zachowywania moralnego prawa, że przez ceremonie, ślepą wiarę w rzeczy, „których niema“, przez sakramenta i łaskę, obiecuje zbawienie wszystkich swych wyznawców, bez ich współudziału. Jest to zasada Lutra, która częściowo i gdzieindziej znalazła powodzenie, ale nie poczuwa się do niej wcale Kościół Katolicki. — Zarzuca Tołstoj Kościołowi, jakoby on pełnienie przykazań Jezusa Chrystusa uważał za rzecz przewyższającą siły ludzkie. Jest tu znowu albo niewiadomość, albo zła wola. Kościół wprawdzie naucza, że siły ludzkie, jako takie, nie mogą same zdobyć zbawienia, ale zarazem dodaje, że Bóg nikomu nie odmawia pomocy nadnaturalnej. Należy tylko przeczytać taki np. rozdział jedenasty szóstej sesyi Soboru Trydenckiego, aby się przekonać, jak w tej rzeczy Tołstoj rozminął się z prawdą. Ustami św. Augustyna i ojców Soboru, Kościół głosi, że „Bóg nie nakazuje rzeczy niemożebnych, lecz nakazując poleca czynić, co zdołasz, i prosić o to, czego nie zdołasz, i dopomaga, abyś zdołał“. Najcięższy zarzut demoralizacyi sumień ludzkich wcale Kościoła nie dosięga; musimy więc czuć ogromny żal do Tołstoja, uchodzącego w oczach wielu za apostoła miłości, iż tak bezpodstawnie a lekkomyślnie szkaluje na tym punkcie na naukę kościelną wobec całego świata.

Są jednak rzeczy, do których poczuwa się Kościół, a które stanowią ważny punkt w tołstojowskim akcie oskarżenia. Są to dogmaty. Kościół twierdzi od samego początku, że otrzymał je od swego boskiego założyciela, Tołstoj stanowczo temu przeczy, uważając dogmaty za rzecz podrzuconą przez kapłanów [1],

[1] Подтасовка жрецовъ. Жрецъ w języku rosyjskim do Tołstoja oznaczał jedynie kapłana pogańskiego.

za szalbierstwo kościelne[1]. Lecz fałszerstwo nauki Jezusowej i wprowadzenie do niej obcego elementu dogmatycznego, jeśli miało miejsce, to, jako fakt historyczny, winno być stwierdzone historycznymi dowodami. Ale u Tołstoja nie spotykamy ani cienia dowodów; są natomiast legendy. Raz twierdzi, iż na Soborze Nicejskim 325 r. chrześcijanie odrzekali się swojej wiary, poprzedzający zaś okres męczenników uważa za czas, kiedy rozumiano naukę Jezusową, gdzieindziej znowu każe nam wierzyć, że w II wieku powstały pofałszowane już ewangelie, to znowu, że Paweł Apostoł — nauczyciel z amatorstwa - stworzył teologię dogmatyczną, ów „talmud chrześcijański". Zdaje się nam, że przyciśnięty oczywistością dowodów, musiałby Tołstoj zgodzić się na to, iż jeśli zaszło jakie fałszerstwo w nauce Jezusowej, to nie później, jak w pierwszej chwili jej ogłoszenia światu, a zatem, że żadnego peryodu, w którymby panowała czysta moralna nauka Jezusowa, w znaczeniu tołstojowskiem, bez przymieszki dogmatyzmu, że takiego peryodu w historyi chrześcijaństwa wcale nie było. Akta męczenników, ściany krypt katakumbowych z ich napisami i malowidłami, autorowie pogańscy, jak Tacyt, Pliniusz, Swetoniusz, wszystko to świadczy, iż męczennicy nie umierali jedynie za pięć moralnych przykazań Jezusa, lecz za wiarę w niego, jako w Boga, i że umierając pocieszali się przyszłem zmartwychwstaniem, którego idea Tołstojowi wydaje się być właściwą jedynie ludziom dzikim.

Co się tyczy zapatrywań na pierwiastkowe życie Kościoła i jego nauki, można wogóle powiedzieć, że Tołstoj o sto lat pozostał w tyle za swymi kolegami z warsztatu racyonalistycznej krytyki. Dzisiaj żaden tuzinkowy racyonalista z obawy, aby nie być wyśmianym, nie posunie się do twierdzenia, iż na Soborze Nicejskim większość chrześcijan odrzekła się swojej wiary, albo, że dzisiejsza moralność kościelna bierze początek z sojuszu chrześcijan z „rozbójnikami". Na Soborze Nicejskim były dwie tylko partye: katolicka i aryańska; jeżeli katolicy odrzekli się się swej wiary przez to, że ułożyli symbol, to

[1] Церковный обманъ — stały frazes Tołstoja.

chyba aryanie pozostali przy wierze Jezusowej. Lecz nikomu nie tajno, że i im daleko było do „czystego“ tołstojowskiego adogmatyzmu. Podobnież rzecz się ma z owym, wszystko tłómaczącym, sojuszem Kościoła z rozbójnikami. Że nie wtedy po raz pierwszy Kościół legalizował władzę państwową, niema potrzeby dowodzić: już katakumby były świadkiem modlitw chrześcijan za pogańskich cesarzy, a nawet wcześniej jeszcze każdy chrześcijanin na władzę państwową zapatrywał się, jako na pochodzącą od Boga. Co się tyczy nawróconych cezarów, z ochotą przyznajemy, iż nie w zupełności, przynajmniej niektórzy, zrozumieli ducha nauki Chrystusowej. Rezultatem połowicznej chrystyanizacyi zjawił się cezaropapizm; ale czy Kościół go usankcyonował, czy mu dopomagał, to wcale inne pytanie. Historya dostarcza nam wprost przeciwnych wskazówek: Kościół w najwyższych swych przedstawicielach zawsze walczył z tem złem; służalcze zaś duchowieństwo, sprzyjające uzurpacyom, rekrutowało się przeważnie z pomiędzy zheretyczałych i odpadłych od jedności Nestoryuszów, Akacyuszów i tym podobnych. Kościół nigdy nie głosił, że ponieważ Jezus umarł za grzechy świata, więc „Konstantyn może czynić, co mu się spodoba“, Kościół katolicki nigdy nie fałszował ewangelii, by uprawnić rozwód jakiegoś cesarza byzantyńskiego. Za dowód niech posłuży Tołstojowi historya Henryków VIII-ch i Napoleonów. Nie; bajka o sojuszu z rozbójnikami nie zasługuje na to, aby ją brać na seryo.

Nie mniejszą, jak w historyi, widzimy samowolę Tołstoja w egzegezie, której również narzuconą została poważna rola w systemie, mieniącym się nauką Jezusową. — Jeżeli nauka Jezusa uległa rzeczywiście skażeniu i domaga się oczyszczenia od naleciałości późniejszych, to rekonstrukcya jej nie może mieć żadnej naukowej wartości, dopóki się nie oprze na autentycznych, nie podlegających wątpliwości, dokumentach. Tymczasem u Tołstoja wszystko opiera się na domysłach, na jakiejś intuicyi jasnowidzącego. Ewangelie wszystkie, według Tołstoja, zawierają, obok nauki Jezusowej, dużo rzeczy całkiem obcych Jezusowi. Skąd to wie Tołstoj? Czy z jakich innych zabytków

piśmiennych, współczesnych Chrystusowi, poznał, jaka prawdziwa jego nauka? czy z tradycyi najpierwszych uczniów Zbawiciela dowiedział się, jak należy Chrystusa rozumieć? Nie. Wszystkie pisma Apostołów, mężów apostolskich i Ojców Kościoła zawierają tę samą, co i ewangelie, naukę, według Tołstoja już sfałszowaną i dlatego przezeń odrzuconą; innych zabytków literackich, któreby mogły posłużyć za kryteryum do odróżnienia, co w ewangeliach pochodzi od Chrystusa, a co nie, nie posiadamy. Stąd też należy albo przyjąć jedyne źródła nauki Jezusowej, jak je posiadamy, i wierzyć im, lub też, powątpiewając o ich wiarogodności, wyrzec się wszelkich prób odszukania i wydzielenia nauki Jezusowej z pomiędzy późniejszych naleciałości. Racyonaliści postępują inaczej. Najpierw stawiają, jako pewnik, pewne niefilozoficzne uprzedzenia, naprzykład o niemożliwości cudów, lub pewną historyczną hypotezę, jak powstanie chrystyanizmu ze zlania się wrogich sobie stronnictw, — i w świetle swych uprzedzeń, czy hypotez badają ewangelie. Co zdaje się sprzyjać ich postulatom, to bywa ogłaszane za ustęp autentyczny, resztę wyrzuca się bez ceremonii. Tak postąpił i Tołstoj. W chwili, kiedy przystąpił do rzekomej rekonstrukcyi moralnej nauki Jezusowej, miał on już gotowym swój panteistyczno-nihilistyczny system, uprzedzenia zaś przeciwko wszystkiemu, co nosi cechę nadnaturalności, żywił on od dzieciństwa. Nic więc dziwnego, że wszelkie cuda, zapisane w ewangeliach, ogłasza za zmyślenie i lekką ręką pozbywa się ich, lub tłómaczy naturalistycznie, w czem zresztą nic po nad to nie wymyślił, co sto lat temu mówili Lessing lub Paulus, dzisiaj przez samych racyonalistów odrzuceni, jako zużyte rupiecie.

Mieliśmy powyżej kilka próbek egzegezy Tołstoja; posłuchajmy jeszcze jednej. Wszystkie synoptyczne ewangelie i św. Paweł, w pierwszym liście do Koryntyan, tak zgodnie i wyraźnie opowiadają o ustanowieniu przez Chrystusa Pana Najświętszego Sakramentu, że żaden heretyk nie kusił się podać w wątpliwość samego faktu ustanowienia Sakramentu miłości; co najwięcej starano się wykrętnie podsunąć temu Sakramentowi znaczenie pamiątki, symbolu lub obrazu Ciała Pańskiego,

zamiast rzeczywistej jego obecności. Lecz oto dokąd Tołstoja doprowadziło „wewnętrzne przeświadczenie człowieka poszukującego prawdy". „W pierwszy dzień Paschy, pisze on w swoich ewangeliach, Jezus zasiadł do uczty z uczniami swymi; Judasz, sądząc, że Jezus nie wie o jego zdradzie, również pożywał z nimi. Jezus jednak wiedział, że Judasz go zdradził; kiedy więc wszyscy zasiedli do stołu, wziął chleb, rozdzielił go na dwanaście części i podał wszystkim uczniom, nie pomijając Judasza. Nie wymieniając nikogo, rzekł: bierzcie i jedzcie ciało moje. Poczem puściwszy w obieg kielich wina, rzekł: jeden z was przeleje moją krew. Pijcie moją krew..... Uczniowie żądali, aby Jezus wskazał im zdrajcę, lecz Jezus odmówił, aby nie narażać go na karę z ich ręki" [1]. Cały ten fakt, w oświetleniu Tołstoja, to jedynie miał na celu, aby w dramatycznej a zarazem delikatnej formie dać upomnienie Judaszowi, powiadamiając go, że zdrada jego już jest znaną. Jeden też tylko Judasz zrozumiał, że to do niego piją, inni zaś Apostołowie wzięli z czasem z tego niewinnego faktu assumpt do swojej nauki o Eucharystyi. — Czy takie tłómaczenie nie zakrawa raczej na niesmaczny żart z czytelnika, niż na wykład krytyczny? Wszak przecież Chrystus, według VI rozdziału św. Jana, już wcześniej zapowiedział wydanie swego ciała na prawdziwy pokarm, a krwi na napój prawdziwy. Zapowiedź ta przez wszystkich zrozumianą była tak samo, jak ją dziś rozumieją wierzący chrześcijanie, żydzi zgorszyli się tą twardą mową i odstąpili Chrystusa, lecz On nie tylko nie podsunął im innego znaczenia swych słów, lecz raczej gotów był patrzeć na odstąpienie najbliższych uczniów swoich, aniżeli dać inne tłómaczenie. Widać, że współcześni lepiej zrozumieli Jezusa, niż jasnowidzący prorok z Jasnej Polany. Z szóstym rozdziałem Janowym każdy musi się liczyć, Tołstoj jednak wcale się o to nie troszczy, ma on sposób i na podobne trudne ustępy. Przepisując w swej poprawionej ewangelii ustęp, o którym mowa, wszędzie, gdzie były wyrazy „ciało", „krew", popodstawiał zamiast nich „nauka moja", a zamiast

[1] Les Évangiles, p. 175 ss.

kto „pożywa ciała mego i pije krew moją“ każe nam czytać: „każdy kto wierzy w moją naukę nie będzie nigdy czuł pragnienia“ [1]. Jeżeli tak Chrystus przemawiał, z czegoż się żydzi zgorszyli? Każdy widzi, że podobnej egzegezy nie można traktować poważnie, Tołstoj jednak nie wahał się ogłosić, w popularnem wydaniu, do tego stopnia skażoną ewangelię pod firmą autentycznej nauki Jezusa, chwaląc się przytem, że on pierwszy ją odgrzebał z pod komentarzy. Przynajmniej to ostatnie rozmija się z prawdą. Patent wynalazku komu innemu się należy, gdyż już w II wieku Marcion wstąpił na tę drogę fałszerstw; za nim inni heretycy; Tołstoj przewyższył wszystkich swych poprzedników tylko śmiałością, z jaką zamienia właściwy tekst ewangeliczny swemi zmyśleniami, i odwagą, z którą podaje swój produkt za naukę Jezusową.

Jak uprzedzenie racyonalistyczne stało się powodem wyrugowania przez Tołstoja wszelkiego cudownego pierwiastku z ewangelii, tak znowu do wykładu moralnych zasad Chrystusa służyły egzegecie za klucz słowa Jezusowe: nie sprzeciwiajcie się złemu. Zamiast, jak każe zdrowa krytyka, przypisać temu tekstowi właściwe znaczenie, w granicach, które mu zakreślają inne wyraźne nauki Jezusa Chrystusa, np. u św. Mateusza r. XVIII, 15—18, Tołstoj uogólnia znaczenie słów Zbawiciela, które jego kwietystycznej nauce najbardziej odpowiadały, i w ich świetle konstruuje całą teoryę moralności i stosunków społecznych, opuszczając lub znowu zmieniając w ewangelii wszystko to, co mu nie było na rękę. Dla czegóżby jednak kto innny nie mógł tem samem prawem wziąść innych słów ewangelicznych za „klucz“ do rozumienia całej ewangelii, a może i do obalenia wszystkich twierdzeń Tołstoja? Jeżeli w wyborze „klucza“ decyduje jedynie intuicya egzegety, to obadwaj, Tołstoj i jego przeciwnik, jednakową mieć będą słuszność, z czego jednak nie inny wypłynie wniosek, jak ten, że ani jeden ani drugi egzegeta nie będzie miał prawa poczytywać swych twierdzeń za wyniki nauki krytycznej, a tem mniej podawać je za

[1] Les Évangiles, p. 97, 98.

autentyczną i całkowitą naukę Jezusa. Nierównie rozsądniej byłby postąpił Tołstoj i bez wątpienia szlachetniej, gdyby otwarcie przyznał się do autorstwa własnej teoryi. Zyskałaby na tem prawda, autor uniknąłby niemałej kompromitacyi i świat wiedziałby z kim ma do czynienia. Podszywając zaś swoją naukę pod cudzą, ogólnie czczoną, powagę, wprowadza Tołstoj w błąd całe tłumy maluczkich duchem, a wobec poważnej nauki naraża się na śmieszność. Zdaje się bowiem, jakoby tylko na to wzywał powagi ewangelicznej, by pokryć wewnętrzną niemoc swej nauki.

Po tem, co się powiedziało, w żaden sposób dzieła Tołstoja nie można uważać za próbę przywrócenia ewangelii pierwotnej jej czystości. Lecz, zapatrując się nawet na system Tołstoja tylko jako na samodzielny płód jego ducha, widząc w nim próbę dania na własną rękę pewnego systemu etyczno-socyologicznego, niezależnego od nauki objawionej, musimy również przyjść do przeświadczenia, że jest to próba chybiona, płód poroniony.

Od twórcy nowego filozoficznego systemu, zwłaszcza roszczącego tak wysokie pretensye, jakie rości sobie Tołstoj, mamy prawo domagać się, aby naukę swoją oparł na trwałych rozumowych podstawach, przeprowadził ją konsekwentnie w całej budowie i zadowalniająco rozwiązał postawiony problemat. Żadnemu z tych żądań nie czyni zadość system Tołstoja: jest on kruchym w swych fundamentach, sprzecznym i chaotycznym w wewnętrznej swej budowie, niedostatecznym i nie dającym się zastosować w praktyce. Postaramy się udowodnić nasze twierdzenie.

Widzieliśmy wyżej, że Tołstoj nie zamierza dać nam etyki zlaicyzowanej, lecz usiłuje oprzeć ją na pewnym religijnym poglądzie na świat i życie, na pewnej wierze w Boga. Jak wygląda „wiara“ Tołstoja wobec rozumu? Odrzuciwszy dogmaty chrześcijańskie na tej zasadzie, iż nie mógł ich objąć jego rozum, odrzuca Tołstoj jednocześnie samo pojęcie wiary, jakie zna teologia chrześcijańska. Dla niego wiara jest uczuciowem poznaniem naszego stosunku do Boga, a właściwie tożsamości z nim. Pomijając tę okoliczność, że Tołstoj, gdy odrzucił do-

gmaty w imię rozumu, a mimo to postawił jako pewnik, iż Boga, ani naszego doń stosunku rozumowaniem poznać nie można tylko uczuciem, na samym wstępie swej teoryi wpadł w sprzeczność z samym sobą, widzimy nadto, iż danego przezeń pojęcia wiary w żaden sposób przyjąć nie można. Skoro najwyższym darem człowieka jest rozum, który, według Tołstoja, jest Synem Bożym, nawet samym Bogiem, to wiary, której kryteryum jest uczucie czyli coś podlejszego od rozumu, w żaden sposób nie można uznać za godną człowieka, ani przyjąć jej za podstawę życia moralnego.

Dalej, kto uczucie jakieś tajemnicze nazywa wiarą, ten rozmija się ze znaczeniem, jakie wszyscy po wszystkie czasy temu wyrazowi przypisywali. Uczucie jest uczuciem, ale nie wiarą. Wiara jest to pewien rodzaj poznania r o z u m o w e g o, różniący się tem tylko od innych rodzajów takiegoż poznania, że za źródło, z którego czerpie swą treść, służy mu nie światło własnego rozumu i nie doświadczenie lub indukcya, lecz świadectwo innej istoty rozumnej, a rolę pobudki, zniewalającej umysł do przyzwolenia, gra nie wewnętrzna oczywistość danego twierdzenia, lecz skądinąd poznana wiarogodność świadka. Tak wiarę rozumieją wszyscy i taka wiara nie jest czemś tajemniczem, nieznanem, niezrozumiałem, lecz codziennym chlebem ludzi, którzy największy zapas wiadomości ze wszystkich dziedzin tym sposobem sobie zdobywają. Nie jest też innej natury i wiara religijna. Może ktoś w sentymentaliźmie szukać źródła mniemań religijnych, lecz nikt takiego poznania nie nazwie wiarą, lecz co najwięcej pewnego rodzaju poezyą na tle religijnem. Może ktoś dojść ścisłem rozumowaniem do pewnych prawd i poglądów; będzie to coś lepszego, aniżeli sentymentalizm, lecz jeszcze nie będzie wiarą, tylko wiedzą filozoficzną. Właściwa wiara religijna spoczywa na słowie Bożem. Świadkiem, pouczającym nas o pewnych prawdach, jest tu sam Bóg, występujący bądź w osobie swych wysłańców, proroków, pisarzy natchnionych, bądź też w osobie jednorodzonego Syna. Za pobudkę, że słowa wysłańca Bożego uważamy za nieomylną prawdę, służy nam wiarogodność Boga, w którym ani ignorancya ani kłam-

stwo miejsca mieć nie może. Takiem jest chrześcijańskie objawienie. Jezus Chrystus ogłosił się wyraźnie za posłańca Bożego, owszem za Syna jednorodzonego Boga, naukę zaś swoją podał, jako obowiązującą wszystkich ludzi. Skoro zatem Chrystus stwierdził swą boską misyę nieskalanem życiem, proroctwami, które się najdokładniej spełniły, cudami niezliczonymi, z których wiele *ad hoc* zdziałał, by okazać niejako swój dyplom wierzytelności, skoro po tem wszystkiem śmiercią przypieczętował swą naukę, a po trzech dniach zmartwychwstał i przez długie z uczniami obcowanie wszelką wątpliwość tego zdarzenia usunął, to żadnemu rozumnemu człowiekowi, do którego doszła i któremu historycznie udowodnioną została wieść o tych wszystkich zdarzeniach i o treści Jezusowej nauki, nie pozostaje nic innego do czynienia, jak uznać boskie posłannictwo Chrystusa, a w następstwie tego uznania przyjąć za niewątpliwe to wszystko, czego On nauczał, chociażby jakiś punkt nauki przechodził ludzkie pojęcie. Prostaczek, nie mając możliwości historycznego zbadania faktu Objawienia, musi z konieczności polegać na zdaniu tych, którym ufa, lecz przed uczonym otwiera się pole do wdzięcznej pracy nad naukowem zbadaniem pobudek wiarogodności chrześcijańskiej nauki, i Kościół, pewny, iż wobec najkrytyczniejszych umysłów zdoła usprawiedliwić się ze swej nauki, pozwala wszystkim na takie badania. Wprawdzie podręcznik, który zapoznawał Tołstoja z teologią chrześcijańską, nie stoi na wysokości tego zadania, jakiego słusznie mógł Tołstoj żądać, bo nawet nie wchodzi wcale w kwestye wiarogodności faktu Objawienia, lecz sądzimy, że dla Tołstoja, gdyby był chciał tego, nie trudną było rzeczą zapoznać się z bardziej naukowemi i poważniejszemi źródłami. Jedynego tylko nie miłego sobie szkopułu nigdzie nie uniknąłby Tołstoj, mianowicie cudów, owych listów wierzytelnych boskiego posłańca, ale i w tej rzeczy, gdyby w istocie zawsze powodował się „uczuciem człowieka poszukującego prawdy“, musiałby odłożyć na bok racyonalistyczne okulary i oddać hołd prawdzie, stwierdzonej tak mnogiemi świadectwami, jak żadna inna. Rozumny człowiek, słysząc opowiadania wiarogodnych świadków o zaszłem zdarze-

niu, a z drugiej strony zarzut niemożliwości faktu, bez wahania stanie po stronie twierdzących, dopóki strona przecząca nie udowodni swej tezy niezbitymi argumentami. Niemożliwości jednak cudu nikt jeszcze dotąd nie udowodnił. Tołstoj wprawdzie twierdzi w jednej z najnowszych swych elukubracyi, że po raz pierwszy poczęły wzywać cudów kłócące się partye chrześcijańskie, z których każda chciała udowodnić cudami, że ma słuszność [1]. Lecz przeciwko temu rodowodowi cudów przeczy historya: cuda sięgają głębszego początku i były stwierdzone, zanim powstały jakiekolwiek partye w łonie chrystyanizmu.

W świetle motywów wiarogodności, nawet tajemnice, przewyższające umysł ludzki, nie są tak niedorzecznemi, jak się Tołstojowi wydaje. Nauka, objawiona przez Jezusa Chrystusa, daje się sprowadzić do trzech kategoryi prawd. Jedne z nich samym rozumem osiągnąć możemy przez wnioskowanie ze skutków do przyczyny, lub z objawów do istoty rzeczy. Takiemi są prawdy o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy i wiele innych. Tutaj Objawienie jest dla nas jednym więcej powodem do przyjęcia tych prawd. Inne są tego rodzaju, że bez pomocy objawienia z góry rozum nie doszedłby do ich istnienia; skoro jednak objawioną mu została ich egzystencya, umysł łatwo rozumie ich wewnętrzne powody. Inne wreszcie prawdy są takie,

[1] Broszura „Odbudowanie piekła“ 1903. Opowiada następującą fabułę: Beelzebub, wódz czartów, z rozpaczy, że Jezus wydarł mu wszystką jego zdobycz od Adama do Judasza *(sic)*, zapadł się na dno piekła; górne piętro piekielnej budy zostało zburzone. Leżał Beelzebub w piwnicy bardzo długo. Wtem wbiegają do niego wszyscy inni dyabli z radością i opowiadają, co na świecie sprawili. Nauka Jezusa była jasna, lecz ludzie za nią nie idą i dalej grzeszą. Dlaczego? Błyszczący czarny dyabeł w pelerynce opowiada, że z początku ludzie żyli dobrze, szli za nauką Jezusa, nie mieli własności etc., lecz skoro zaczęli różnić się co do pewnych obojętnych teoretycznych zdań, on, czarny dyabeł w pelerynce, i jednej i drugiej stronie podpowiedział, aby słuszność swego zdania udowadniała cudami. Potem wymyślił im Kościół, potem nauczył dysputować o Trójcy, a gdy tak się w dysputach zaplątali, że sami siebie zrozumieć nie mogli, wyperswadował im, że najważniejszą jest rzeczą wiedzieć, co pisał Arystoteles etc. Inny dyabeł wymyślił naukę, inny politykę, inny sztukę itd. Wszystko to ludzi zainteresowało tak dalece, że nie mają czasu zastanawiać się nad zagadką życia i nauka Jezusa — poszła w zapomnienie.

że bez pomocy objawienia rozum nietylko że nigdyby się ich nie domyślił, lecz i po objawieniu nie może pojąć ich wewnętrznych powodów. Tu zaliczają się tajemnice Trójcy, Wcielenia, Eucharystyi i wiele innych. W prawdy ostatniej kategoryi nie dlatego chrześcijanie wierzą, *quia absurdum*, jak insynuuje Tołstoj, lecz dlatego, że one są przez Boga nieomylnego poświadczone. Żaden zaś nieuprzedzony umysł nie będzie odrzucał twierdzenia, dlatego, że go nie rozumie i wewnętrznymi dowodami udowodnić nie zdoła, jeśli twierdzenie to nosi na sobie pieczęć wyższej i to absolutnie nieomylnej powagi. Kto nie doszedł do obłędu ubóstwienia własnego rozumu, ten łatwo się zgodzi, iż mogą być rzeczy przechodzące objętość jego głowy. Krytycyzm zaś, chociaż bez wątpienia jest dobrą rzeczą, ale i on ma swoje granice, które gdy przekroczy, wyradza się w hyperkrytykę owego afrykańskiego kacyka, co to nie chciał wierzyć, by w Europie, w pewnej porze roku, woda tak twardniała, iż po niej chodzić można, a nie chciał wierzyć dlatego, że nie rozumiał. I Tołstoj powiada: nie wierzę w Trójcę, bo nie rozumiem; czy jednak ta racya jest mędrszą od wymówki przysłowiowego kacyka, nie widzimy. Do jednej tylko rzeczy ma tu rozum niewątpliwe prawo, mianowicie, aby mu nie narzucano twierdzeń wewnętrznie sprzecznych, coś naprzykład w rodzaju koła kwadratowego. Lecz ani Tołstoj, ani żaden inny racyonalista nie dowiódł jeszcze, aby która z tajemnic wiary chrześcijańskiej nosiła cechy wzajemnie się wykluczające. Co innego więc *supra*, a co innego *contra rationem*. Tołstoj, aby wykazać niedorzeczność dogmatu o Trójcy, zarzuca wierzącym, iż w jednym Bogu widzą trzech Bogów, i dodaje od siebie, że równem prawem możnaby powiedzieć, iż jest ich w jednym siedmnastu i pół[1], lecz w tym razie dostarczył nam tylko jednego więcej dowodu swej niesumienności w cytowaniu chrześcijańskiej nauki, która nigdy i nigdzie nie głosiła, iż w jednym Bogu są trzej Bogowie, lecz zawsze jedność odnosiła do istoty bóstwa, a troistość do osób.

[1] Was sollen wir denn thun. Leipzig. 1902, tom II, str. 91.

Jeżeli nauka chrześcijańska obfituje w dogmaty trudne do zrozumienia, to nie da się zaprzeczyć, że i Tołstoj podaje nam dogmaty nie zbyt łatwe, każąc nam przytem wierzyć, że one zgadzają się z „wewnętrznem uczuciem człowieka poszukującego prawdy“. Na miejsce Trójcy chrześcijańskiej, zapożycza od panteistów jakiegoś boga bezosobowego, noszącego przytem w łonie swojem zarodek wszelkich sprzeczności. Bóg tołstojowski jest to rozum powszechny, mieszkający we wszystkich ludziach. Rozum ów, tam, gdzieby powinien całkowicie objawiać swe rządy i panowanie, najwyraźniej sprzeniewierza się samemu sobie i podburza „osobistość zwierzęcą“ do działania wbrew prawom rozumu. I to ma być Bóg, źródło wszelkiego bytu i doskonałości! O wiele przezorniejsi byli manichejczycy, gdy początek zła moralnego umieścili w jakiemś osobnem, z natury swej przewrotnem, bóstwie. Bóg Tołstoja, istota najlepsza, ojciec czule kochający, a w ciągłej walce sam ze sobą, to potwór, do zmyślenia którego trzeba tak wiele bujnej wyobraźni, ile jej posiada filozof z Jasnej Polany.

(C. d. n.).

*Ks. Jan Urban.*

# ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

(Ciąg dalszy).

Ważnym środkiem prawnym w zwalczaniu pijaństwa jest ograniczenie ilości gorzelni, zwłaszcza zaś zupełne zniesienie małych gorzelni domowych, w jakich dawniej w niektórych krajach za małą opłatą skarbową pędzono wódkę głównie na własną potrzebę. W Szwecyi zniesiono gorzelnie domowe w r. 1855, w Finlandyi w r. 1863, w Szwajcaryi wraz z zaprowadzeniem monopolu wódczanego w r. 1887.

Dalszym środkiem państwowym, mającym na celu zwalczanie pijaństwa, jest wysokie opodatkowanie alkoholu. Jest ono obecnie największe w Wielkiej Brytanii, gdzie wynosi 489 fr. 20 ct. od hektolitra; we Francyi wynosi ono 156 fr. 25 ct., najmniejszem zaś jest w Niemczech, gdzie wynosi 90 mk. czyli 112 fr. 50 ct. od hektolitra. Spirytus jest wysoko opodatkowany także w Ameryce, Rosyi i Austryi. W Austryi szczególnie wysoko opodatkowany jest spirytus w piwie; od alkoholu w piwie zawartego podatek jest 3 razy większy, jak od alkoholu w wódce (P o n i k ł o).

W niektórych stanach Ameryki Północnej zaprowadzono t. zw. *High-Licence System*, polegający na bardzo wysokiem opodatkowaniu szynków; wynosi ono 500—1000 dolarów. W r. 1889 podniesiono znacznie opłatę od szynków w Belgii.

Wielkie znaczenie mają także ustawy przemysłowe, regulujące produkcyę napojów wyskokowych i handel niemi. Tyczą

się one kontyngentu alkoholu, wyrabianego przez gorzelnie prywatne i nadzoru nad oczyszczaniem spirytusu, przyczem w niektórych krajach, jak np. w Szwecyi i Finlandyi, widoczne jest dążenie do skoncentrowania produkcyi spirytusu w rękach wielkiego przemysłu pod kontrolą rządu. Ustawy określają najmniejszą ilość wódki, jaką fabryka ma prawo sprzedać jednemu odbiorcy; ilość ta wynosi w Norwegii 250 l, w projekcie nowej ustawy austryackiej 5 l, i to w naczyniu zamkniętem. Ustawy określają ilość koncesyi wydawanych na prowadzenie drobnego handlu trunkami, przyczem w niektórych krajach koncesye takie w miastach otrzymują tylko specyalnie w tym celu zawiązane stowarzyszenia (Skandynawia), w innych zaś krajach wydaje się koncesye na otwieranie nowych szynków z wielką trudnością, a zarazem przywiązuje się wielką wagę do osobistości szynkarza. W Anglii według prawa z r. 1872, ubiegający się o koncesyę na szynk jest obowiązany przedstawić świadectwo moralności. W Galicyi ma się oddawać szynki do prowadzenia ludziom nieposzlakowanym; według rozporządzenia Namiestnictwa z roku 1876 i reskryptu Ministerstwa spraw wewnętrznych z r. 1878 władza polityczna w Galicyi może ubiegającemu się odmówić kwalifikacyi na szynkarza. Ustawy ograniczają nadto miejsce sprzedaży trunków, zakazując jej w pobliżu kościołów, a także w innych handlach jako sprzedaży ubocznej; ograniczają czas sprzedaży trunków, oznaczając godzinę zamykania szynków w dnie powszednie i święta. W Norwegii szynki są zamknięte od soboty wieczór do poniedziałku rano, w Szwecyi, Anglii, Ameryce w jednych miejscowościach szynki mogą być otwarte w niedzielę tylko w ciągu kilku godzin, w innych są one zamknięte przez cały dzień; w Rosyi w soboty i wigilie dni świątecznych zamyka się sklepy rządowe z wódką w miastach o godz. 6 wieczorem, po wsiach o 5 popołudniu; w niedziele otwiera się sklepy te po nabożeństwie, a zamyka o tym samym czasie, co w sobotę. Według okólnika Głównego Zarządu dochodów niestałych z d. 8 grudnia 1900 r. o czasowem wstrzymaniu sprzedaży wódki w sklepach rządowych w niedzielę, święta, galówki i wigilie tych dni w Królestwie Polskiem, gdzie

pod tym względem obowiązuje zarówno nowy jak i stary styl, sprzedaż wódki jest ograniczona w 240 dniach roku.

Nad szynkami wykonywa się nadzór policyjny; ustawy zabraniają sprzedawać wódki nieletnim w Szwecyi do 18 lat, w Holandyi do 16 lat, w Rosyi do 15 lat; ustawa dla Galicyi i Bukowiny z r. 1877 zabrania również sprzedawania wódki nieletnim, a także wydawania jej na kredyt, na zastaw i za poręczeniem, nadto długi za trunki w szynku nie podlegają zaskarżeniu; ustawy zakazują również sprzedawać wódkę pijanym (Szwecya, Norwegia, Rosya, Galicya, Anglia) i nałogowym pijakom (Skandynawia, Anglia). W niektórych Stanach Ameryki Północnej szynkarz jest odpowiedzialny za wszelkie uszkodzenia i obrażenia cielesne, jakie poniósł pijak w szynku. W Prusach synody protestanckie w ostatnich czasach dążyły do zaprowadzenia pewnej kontroli nad szynkami, jako to zamykania ich podczas nabożeństwa, ograniczenia zabaw po szynkach w niedziele i t. p.; wywołało to gremialny protest 5000 szynkarzy, założony w sejmie pruskim. W krajach posiadających zakłady lecznicze dla pijaków sprzedaż lub dostarczanie trunków leczącym się alkoholikom jest surowo karane; w Anglii kara wynosi 20 f. szt., a względnie trzechmiesięczne więzienie lub ciężkie roboty; w W. Ks. Badeńskiem szynkarz traci za takie przewinienie koncesyę.

Projekt nowej austryackiej ustawy przeciw opilstwu, wzorowany w znacznej części na ustawie o pijaństwie, obowiązującej obecnie w Galicyi i na Bukowinie, uwzględnia: 1) koncesyonowany wyszynk trunków, 2) koncesyonowaną drobną sprzedaż trunków w naczyniach zamkniętych o zawartości $^1/_8$—5 litrów i 3) wolny handel trunkami w naczyniach zamkniętych, zawierających ponad 5 litrów. Z reguły ma się udzielać 1 koncesyę na wyszynk trunków na 500 mieszkańców; atoli władza polityczna może zezwolić na wyjątki po uwzględnieniu opinii gminy i Wydziału krajowego; koncesye mają być wydawane tylko ludziom pewnym, nieskazitelnym; nadto projekt tej ustawy nakazuje zamykanie szynków w niedziele, święta i dni wypłaty, zabrania uprawiania w szynkach jakiegokolwiek in-

nego przemysłu i sprzedawania trunków nieletnim; za sprzedaż lub dostarczanie trunków leczącym się pijakom nałogowym karze więzieniem do 3 miesięcy, służących zaś w zakładach leczniczych dla pijaków za to samo więzieniem do 6 miesięcy.

Jako środek zapobiegawczy przeciw szerzeniu się pijaństwa w wielu krajach zaprowadzono obowiązkowe pouczanie o szkodliwości alkoholu w szkole. W wielu Stanach Ameryki Północnej zaprowadzono w szkołach t. zw. *Scientific Temperance instruction*, jako przedmiot obowiązkowy, który wykładają nauczyciele egzaminowani z tego przedmiotu; w szkołach początkowych wykład taki polega na czytaniu i opowiadaniu o rzeczach tyczących się alkoholu i pijaństwa, oraz na demonstracyach i doświadczeniach chemicznych. W Kanadzie obowiązkowe pouczanie w szkołach o alkoholu istnieje od r. 1885; w Szwecyi wprowadzono je w r. 1892; przy wykładzie używa się tablic ściennych układu prof. Wallisa i Tigerstedta. W Norwegii od r. 1896 wykłada się w szkołach o szkodliwości napojów wyskokowych na lekcyach nauk przyrodniczych i higieny. W Belgii pierwszy reskrypt ministeryalny, który zaprowadza wykład o alkoholu i jego skutkach w szkole ludowej, datuje z r. 1892; w r. 1896 król Leopold wyznaczył nagrodę w kwocie 500 fr. za najlepszy podręcznik w tym przedmiocie dla użytku szkół początkowych; w r. 1898 postanowiono wprowadzić we wszystkich szkołach wykład o alkoholu, odbywający się co najmniej raz na tydzień przez pół godziny; w r. 1899 ministerstwo spraw wewnętrznych wyznaczyło nagrodę w kwocie 1000 fr. za najlepsze tablice ścienne do demonstracyi na tym wykładzie; w końcu roku 1899 wykład odbywał się już w 92% belgijskich szkół elementarnych i w 83·4% szkół wyższych, będących pod nadzorem rządu. W Danii w r. 1894 ministerstwo wyznań i oświaty rozesłało wszystkim nauczycielom szkół początkowych książkę Larsen og Trier'a p. t. *Alkoholen og dens Virkninger Danmarks Afholdsforening*. We Francyi reskryptem z r. 1897 minister oświaty Rambaud wprowadził do szkół początkowych pouczanie o szkodliwości alkoholu, a w r. 1900 minister Leygues przepisy w tym względzie rozszerzył i uzu-

pełnił; w szkołach początkowych departamentu Sekwany wykłady te poruczono dr-om Legrain i Rubinowiczowi. W Rumunii wprowadzono takie wykłady w roku 1897. W Austryi dopiero w ostatnich czasach podjęto pewne próby w tym kierunku; w Austryi Dolnej zaprowadzono wykłady o szkodliwości alkoholu w seminaryach nauczycielskich, a Ministerstwo wyznań i oświaty rozdało dzieciom szkolnym kilka tysięcy egzemplarzy broszur treści antyalkoholistycznej. Minister Leygues wyraził zdanie, że do walki z alkoholizmem powołane są uniwersytety; w Londynie już obecnie odbywają się wykłady uniwersyteckie tego przedmiotu, a w przyszłości ma być w tym celu kreowana specyalna katedra. W uniwersytecie heidelberskim prof. Kraepelin miewał specyalne wykłady o alkoholizmie i jego zwalczaniu.

W niektórych krajach władze wojskowe poczyniły różne zarządzenia, zmierzające do zapobiegania pijaństwu w armii, a przytem zaprowadziły pouczenie żołnierzy o szkodliwości trunków wyskokowych. W czasach dawniejszych we wszystkich niemal armiach żołnierze dostawali codziennie wódkę. Zwyczaj ten zniesiono w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej już w r. 1833, we Francyi przed r. 1860, w Niemczech w r. 1863, w Szwecyi w r. 1870, w Anglii w r. 1875. W Niemczech picie wódki podczas marszów jest wzbronione. W marynarce angielskiej używanie trunków na morzu jest zakazane. W Holandyi ministerstwo wojny usunęło przedsiębiorców utrzymujących kantyny, a ich prowadzenie oddało samym żołnierzom, naczelny zaś nadzór nad niemi powierzyło oficerom; w kantynach sprzedaje się trunki wyskokowe tylko za gotówkę i tylko przez kilka godzin dziennie; używać ich w kantynie wolno tylko w ciągu 2 godzin przed obiadem i 2 godzin przed udaniem się na spoczynek; używanie trunków wyskokowych poza kantyną jest zakazane; w kantynie prócz trunków można dostać mleka, kawy, bułek, masła, sera, tytoniu, papieru, piór, i to tanio, a przytem w dobrym gatunku; komendantom korpusu przysługuje prawo zakazu sprzedaży trunków w kantynie. Za przekroczenie powyższych przepisów żołnierzom i podoficerom

zakazuje się noszenia szabli poza służbą w ciągu co najmniej trzech miesięcy; żołnierze zamiast kepi dostają nadto za karę specyalną czapkę. W amerykańskich szkołach wojskowych lądowych i morskich zaprowadzono pouczanie o szkodliwości alkoholu. We Francyi jenerał Duchesne zabronił armii, biorącej udział w ostatniej wyprawie na Madagaskar, wszelkiego używania trunków wyskokowych; późniejsze cyrkularze ministrów wojny Gallifeta i Andrégo z r. 1900 i 1901 zabraniają sprzedaży trunków w koszarach i uczęszczania do szynków; wprowadzają one przytem pouczanie żołnierzy o szkodliwości alkoholu przez oficerów i lekarzy wojskowych oraz zapomocą odpowiednich książeczek, broszur i afiszów. Podobne przepisy wydano i dla francuskiej armii kolonialnej; w Kochinchinie jenerał Coronat ustanowił jako karę dla pijaków specyalne umundurowanie. W rosyjskich pułkach gwardyi W. książę Włodzimierz zakazał sprzedaży trunków w koszarach i w okolicznych sklepach, do których żołnierze uczęszczają. W armii abisyńskiej wprowadzono także niedawno przepisy zwrócone przeciwko trunkom wyskokowym.

W Ameryce i w Anglii kilkanaście zarządów kolejowych zabroniło służbie kolejowej używania trunków.

We wszystkich krajach cywilizowanych pijaństwo w miejscu publicznem jest karane grzywną, a względnie aresztem; ustawa dla Galicyi i Bukowiny zabrania nadto pijakom, karanym w ciągu roku 3 razy za pijaństwo, wstępu do szynków. Według nowej ustawy angielskiej ludziom uznanym za nałogowych pijaków nie wolno kupować trunków wyskokowych przez 3 lata; ludzie mający dzieci karani są za pijaństwo grzywną, a względnie jednomiesięcznem więzieniem. Projekt nowej ustawy austryackiej piętnuje jako przekroczenie pijaństwo nietylko w miejscu publicznem, ale także i w domu.

Na znaczenie stanu upojenia, w którym dokonano jakiegoś czynu karygodnego, różne ustawodawstwa zapatrują się rozmaicie. W Austryi, gdy zbrodni dokonano po pijanemu, karze się tylko pijaństwo, stanowiące przekroczenie, a odurzenie trunkami wyskokowymi uważa się w praktyce sądowej za okoliczność łago-

dzącą (Loeffler). Według projektu nowej ustawy austryackiej pijaństwo przy czynie karygodnym ma być karane nawet wówczas, gdy czyn nie jest zbrodnią, a tylko przestępstwem lub przekroczeniem; według tego projektu pijaństwo ma być karane także wtedy, gdy spowodowało niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia innej osoby, lub gdy nastąpiło kilkakrotnie w ciągu pół roku w miejscu publicznem. Nowe prawo włoskie uważa pijaństwo okolicznościowe jako zmniejszające poczytalność człowieka, za okoliczność łagodzącą, nałogowe zaś pijaństwo za okoliczność obciążającą; przestępstwo popełnione po pijanemu nie jest karane, a karane jest tylko samo upicie się więzieniem do 1 roku. W rosyjskim kodeksie karnym od niedawna obowiązującym uważa się pijaństwo za okoliczność obostrzającą przy obrazie urzędnika pełniącego służbę, przerwaniu nabożeństwa lub gwałcie dokonanym na osobach duchownych; jeśli przy popełnianiu przestępstwa pijaństwo nie było rozmyślne, w celu ułatwienia sobie spełnienia przestępstwa, samo przestępstwo jest karane według różnych okoliczności przestępstwu towarzyszących; jeśli zaś pijaństwo było rozmyślne, stanowi ono okoliczność obciążającą; według nowego rosyjskiego kodeksu karnego pijaństwo przy obrazie majestatu stanowi okoliczność łagodzącą.

Jak to już wyżej zaznaczono, w niektórych krajach uznano już urzędowo pijaństwo nałogowe w pewnej części przypadków za chorobę; w krajach tych wprowadzono ustawy o przymusowem leczeniu pijaków i to nie tylko takich, którzy już popełnili przestępstwo, ale i tych, którzy dopiero stają się niebezpieczni dla otoczenia czy własnej osoby. W Szwajcaryi kanton St. Gallen ma ustawę z r. 1891, według której pijacy nałogowi mogą być oddawani do zakładów leczniczych na 9—18 miesięcy, a w razie recydywy na jeszcze dłuższy przeciąg czasu, nie tylko na własne żądanie, ale i na wniosek gminy, rady miejskiej, krewnego lub opiekuna, a przytem tylko na mocy orzeczenia lekarskiego. Podobna ustawa ma być wprowadzona w kantonie bazylejskim i w kantonie Turgau; według ustawy projektowanej dla kantonu Turgau, uleczalnych pijaków nałogowych ma się oddawać do zakładów leczniczych na 6—12

miesięcy, nieuleczalnych zaś do przytułków. Projekt nowego szwajcarskiego kodeksu karnego wprowadza zamiast karania alkoholików przestępców więzieniem przymusowe ich leczenie, mogące trwać do 2 lat; zmianę tę przyjął z uznaniem zjazd psychiatrów szwajcarskich w roku 1900. W wielu Stanach Ameryki Północnej pijaków nałogowych można oddawać do zakładów leczniczych na 3—12 miesięcy na mocy orzeczenia 2 lekarzy i zeznania 2 wiarygodnych świadków z pośród mieszkańców miejscowych, że pijak jest niezdolny do prowadzenia swych interesów, że nie może panować nad sobą, lub że stał się niebezpiecznym dla otoczenia. Ci, którzy wstępują dobrowolnie do zakładów leczniczych, tracą na czas 4—12 miesięcy prawo rozporządzania własną osobą. Według praw angielskich, alkoholicy dobrowolnie się leczący zobowiązują się do pozostania w zakładzie leczniczym w ciągu pewnego czasu, którego później już nie wolno im skrócić; nowa angielska ustawa karna z roku 1898 wprowadza przymusowe leczenie niektórych kategoryi pijaków przestępców w zakładach, w których mogą być zatrzymani do 2 lat, nadto według tej ustawy wszyscy ci, którzy popełnili 3 razy przewinienia po pijanemu, podlegają leczeniu przymusowemu. W wielu koloniach wielkobrytańskich nakazuje prawo przymusowe leczenie takich pijaków nałogowych, którzy utracili zdolność do prowadzenia swych interesów, panowania nad sobą, którzy tracą majątek, zagrażają rodzinie i przyczyniają jej troski, szkodzą swemu zdrowiu, skracają sobie życie, robią interesy, przez które narażają na stratę rodzinę lub wierzycieli, i którzy stali się pod jakimkolwiek względem niebezpieczni dla siebie lub innych. W Niemczech pijak, który się doprowadził do takiego stanu, że do utrzymania jego samego lub jego rodziny potrzebną jest interwencya władzy i obca pomoc, jest karany więzieniem, a nadto może być oddany do domu roboczego na 2 lata; w projekcie nowego ustawodawstwa niemieckiego przebija dążenie do przymusowego leczenia pijaków i opieki nad nimi, gdy nie są w stanie załatwiać swych interesów, narażają siebie i rodzinę swą na nędzę i zagrażają bezpieczeństwu innych. Projekt nowej ustawy austryackiej uwzględ-

dnia leczenie przymusowe trzech kategoryi pijaków: 1) karanych więcej jak 3 razy w ciągu roku za pijaństwo, 2) pijaków nałogowych psychopatów, leczonych w zakładach dla obłąkanych, po odzyskaniu jasności umysłu i 3) pijaków nałogowych nie cierpiących na psychozę, ale niebezpiecznych pod względem moralnym lub ekonomicznym dla siebie samych lub dla swej rodziny, lub też zagrażających osobistemu bezpieczeństwu własnemu lub innych osób.

Z przymusowem leczeniem pijaków nałogowych wiąże się czasowe ograniczenie ich praw osobistych, a względnie ustanowienie nad nimi kurateli. W kantonie St. Gallen na czas leczenia pijaka w zakładzie ustanawia się opiekuna, który zresztą może być ustanowiony i wtedy, gdy pijaka do zakładu leczniczego nie oddano. W Ameryce i koloniach angielskich ustanawia się również kuratelę czasową nad pijakiem aż do czasu opuszczenia przezeń zakładu leczniczego. Prawo niemieckie przewiduje także czasowe uniesamowolnienie pijaków, narażających siebie lub innych na szkodę lub niebezpieczeństwo. We Francyi przymusowego leczenia pijaków dotąd nie wprowadzono; prawo z r. 1873 tylko orzeka, że za pijaństwo publiczne mogą być odebrane pijakowi pewne prawa obywatelskie. Wielu autorów słusznie się domaga, by w prawnem ujęciu opieki nad nałogowymi pijakami ograniczyć ich prawa rodzicielskie. Projekt nowej ustawy austryackiej znosi prawa rodzicielskie pijaka na czas jego leczenia się w zakładzie. Przy leczeniu przymusowem nałogowych pijaków powstaje kwestya pokrycia kosztów leczenia; według ustawy kantonu St. Gallen, koszty te pokrywa sam chory, a względnie kasa chorych; w razie ubóstwa chorego ponosi je gmina; nadto kraj może się przyczynić do pokrycia kosztów leczenia, oraz utrzymania rodziny chorego przez czas jego leczenia się w zakładzie.

Ocena rezultatów, jakie osiągnięto przez wprowadzenie w życie powyższych ustaw, nie zawsze jest rzeczą łatwą, a to dlatego, że zwykle jednocześnie z ustawą, zapomocą której zwalcza się pijaństwo, w tym samym kierunku działają i inne czynniki. Pomimo to w wielu razach można wyrobić sobie sąd

o dodatnich i ujemnych stronach ustawy, oraz o jej wyniku praktycznym, zwłaszcza jeśli upłynął już dłuższy przeciąg czasu od jej wprowadzenia.

System maineński stanowi niewątpliwie bardzo radykalny środek przeciwko pijaństwu; może on być środkiem wręcz znakomitym, jeśli jest wyrazem istotnej potrzeby miejscowej i przekonania ogółu; atoli w Stanach amerykańskich, w których system ten wprowadzono, ma on dotychczas nie tylko zwolenników, ale i przeciwników, ponieważ zanadto wkracza do życia prywatnego człowieka, ogranicza jego wolność, narusza tradycye i zwyczaje. System maineński prowadzi do obchodzenia prawa, nadużyć, a zarazem do zastąpienia alkoholu inną używką, która może być nawet bardziej szkodliwą dla zdrowia jak wyskok, np. eterem; przytem, skoro w pewnych okolicznościach alkohol może być pożytecznym, zupełne pozbawienie człowieka możności ewentualnego zeń korzystania nie jest uzasadnione.

W Szwecyi, Norwegii i Finlandyi system zwany *Local option,* zwłaszcza zaś system gotenburski w walce z pijaństwem okazał się wielce skutecznym. W Szwecyi ilość alkoholu absolutnego, przypadająca rocznie na 1 mieszkańca od r. 1855 do r. 1890 spadła z 11 litrów do 3·5 l. W ostatnich latach konsumcya alkoholu w Szwecyi nieco się podniosła. W r. 1899 na 1 mieszkańca przypadało 4·3 litry alkoholu; należy to jednak, zdaniem Heleniusa, położyć na karb nie systemu, a jego wykonywania. W samym Gotenburgu odnośne przepisy mają być ściśle wykonywane, po innych zaś miastach mają się dziać różne nadużycia, jako to pobieranie przez sprzedających trunki pewnej odsetki dochodu osiągniętego ze sprzedaży wódki, pobieranie przez akcyonaryuszów wyższej dywidendy jak 5% od wyłożonego kapitału i t. d. Ponieważ system Gotenburski jest zwrócony jedynie przeciw nadużywaniu wódki, wraz ze zmniejszeniem się jej konsumcyi zwiększyła się konsumcya piwa i wina; pomimo to konsumcya alkoholu ogółem znacznie się zmniejszyła, a zarazem zmniejszyła się w kraju liczba obłąkanych i żebraków. Złą stroną tego systemu jest to, że wiele miast opiera swe dochody głównie na konsumcyi piwa. W Nor-

wegii konsumcya wódki znacznie się obniżyła, tak, że pomimo zwiększenia się konsumcyi piwa i win sztucznych, ilość alkoholu przypadająca na 1 mieszkańca wogóle się zmniejszyła. Wyniki, jakie osiągnięto w Finlandyi, są również bardzo pomyślne. W Holandyi ograniczenie ilości szynków, których liczba od r. 1882 do r. 1899 spadła blizko do połowy (z 43.950 do 24.000), w walce z pijaństwem nie wielki odniosło skutek.

Rezultaty, do jakich doprowadził szwajcarski monopol wódczany, są bardzo małe. Wprawdzie nastąpiło pewne zmniejszenie się konsumcyi wódki, ale natomiast wzrosła znacznie konsumcya piwa i win owocowych; autorzy, którzy znają dobrze stosunki miejscowe, uważają, że jeśli w Szwajcaryi nastąpiła w ostatnich czasach pod względem pijaństwa ludności pewna poprawa, sprowadziły ją nie tyle zarządzenia państwowe, co stowarzyszenia antyalkoholistów, agitacya wśród ludu i t. p. czynniki. Monopol szwajcarski ma przytem pewne ciemne strony ekonomiczne, gdyż ze względów polityki agrarnej, rząd, zakupując od producentów miejscowych $^1/_4$ konsumowanego w kraju spirytusu, płaci zań znacznie drożej, niż się płaci za spirytus zagranicą.

Rosyjski rządowy monopol wódczany nadto świeżą stanowi reformę, by już dzisiaj można było wydawać sąd sprawiedliwy o jego rezultatach; obecnie ma on zarówno zwolenników, jako też i przeciwników. Zwolennicy monopolu opierają się na statystyce urzędowej, według której po zaprowadzeniu monopolu konsumcya wódki w guberniach monopolem objętych się zmniejszyła; w r. 1894, przed wprowadzeniem monopolu, przypadało tam na 1 mieszkańca rocznie 6.52 l wódki 40%, w r. 1895, po wprowadzeniu monopolu, również 6.52 l, w roku 1896 6.27 l, w r. 1897 6.15 l, w r. 1898 6.18 l, w r. 1899 6.15 l. Uważają oni, że zmniejszenie ilości szynków, oraz niemożność dostania wódki w sklepach rządowych na kredyt lub zastaw dodatnio wpłynęły na ludność, która obecnie więcej pieniędzy składa w kasach oszczędności; że wódka rządowa jest lepszą od prostej wódki, jakiej dawniej powszechnie używano i że jej moc jest odpowiednio utrafiona; że pijaństwo po miastach zmniejszyło

się, np. w Petersburgu, gdzie przed wprowadzeniem monopolu aresztowano rocznie 27.326 pijaków, a po wprowadzeniu monopolu w r. 1898 aresztowano ich tylko 22.703; że ilość potajemnych fabryk wódki się zmniejszyła. Przeciwnicy zaś monopolu podają liczby, które wskazują, że po zaprowadzeniu monopolu konsumcya wódki się zwiększyła. Według Borodina w 35 guberniach monopolowych w r. 1898 wypito 31.100.000 wiader wódki 40%, co wynosi 0·508 wiadra na głowę, w r. 1899 zaś wypito 34.000.000 wiader, co wynosi 0·555 wiadra na mieszkańca rocznie. Według Antryferowa, w Rosyi Europejskiej od r. 1892 zwiększa się stale konsumcya wódki; w r. 1897/8 wynosiła ona 25.377.94 wiader alkoholu absolutnego, w r. 1898/9 27.957.623, w r. 1899/900 29.127.386 wiader. Przeciwnicy monopolu wódczanego podnoszą, że od czasu jego wprowadzenia dochód państwa z wódki znacznie się podniósł; w r. 1893 wynosił on 260.700.000 rb., w r. 1899 zaś 347.600.000 rb., co stanowi na głowę podatek roczny w kwocie 2·5 rb. Twierdzą oni, że pijaństwo bynajmniej się nie zmniejszyło, a że tylko przeniosło się z szynku do domu, gdzie zgubnie działa na dzieci pijaka, oraz że się rozwinęło pijaństwo uliczne; że zwiększyła się konsumcya piwa i win rosyjskich; że liczba miejsc sprzedaży trunków bardzo mało się zmniejszyła, jeśli przy obliczeniu uwzględnić miejsca sprzedaży komisowej; że rozwinęła się potajemna sprzedaż trunków wyskokowych: w r. 1899 w guberniach monopolowych było 10.234 sklepów rządowych, a wykryto potajemną sprzedaż trunków 8160 razy i 1043 miejsc potajemnej sprzedaży. W dziennikach rosyjskich powtarzają się często utyskiwania, że kuratorya trzeźwości nie funkcyonują należycie; że ich członkowie niechętnie nadzorują sprzedaż wódki w sklepach rządowych, uważając to za czynność fiskalną, policyjną; że okazują pewne zainteresowanie tylko dla działalności oświecająco wychowawczej kuratoryów, polegającej na urządzaniu odczytów, zabaw ludowych i t. p. W ostatnich czasach podaje prasa rosyjska wiadomość, że dla ożywienia działalności komitetów trzeźwości mają być obecnie powoływani do nich głównie nie urzędnicy, a członkowie ziemstw, a także że ministerstwo

skarbu ma zamiar znieść kuratorya trzeźwości, a zakres ich działalności, przywileje, oraz fundusze przelać na zarządy miejskie i ziemstwa.

Zamknięcie małych gorzelni domowych, których przed r. 1863 było w Finlandyi 20.000 a przed wprowadzeniem monopolu szwajcarskiego w samym kantonie berneńskim do 10.000, miało wszędzie wpływ bardzo korzystny.

Samo wysokie opodatkowanie wyskoku nie wystarcza do skutecznego zwalczania pijaństwa. Zwiększenie podatku konsumcyjnego od alkoholu w Niemczech w r. 1887 z 16 mk. do 70 mk., co łącznie z podatkiem od fabrykacyi wynosi 90 mk. od 1 hektolitra, zmniejszyło wprawdzie cokolwiek konsumcyę alkoholu, natomiast w Anglii i Rosyi podniesienie opłaty skarbowej od wyskoku skutku takiego nie miało; środek ten okazał się także bezskutecznym we Francyi, gdzie pomimo stałego podnoszenia tej opłaty od r. 1830, z 37 fr. 40 ct. od 1 hektolitra, do wysokości obecnej, mianowicie do 156 fr. 25 ct., pijaństwo stale się wzmaga, a tylko po każdem nowem podniesieniu podatku zatrzymuje lub zwalnia wzrastanie konsumcyi trunków na rok lub dwa. Przytem nadto wysokie opodatkowanie alkoholu prowadzi do oszustw, kontrabandy i innych nadużyć.

Pobieranie wysokich opłat od szynków, czyli t. zw. *High Licence System*, samo również nie prowadzi do celu; w Belgii po podniesieniu opłaty od szynków w r. 1889 wprawdzie ilość szynków się zmniejszyła z 185.036 do 151.141, ale za to ilość piwiarni i winiarni z 6.000 wzrosła do 22.229.

Że dobra ustawa przemysłowa może zdziałać dużo dobrego, dowodzi przykład Skandynawii. Część przemysłową projektowanej nowej ustawy austryackiej zwłaszcza w odniesieniu do stosunków panujących w Galicyi, gdzie prawo propinacyjne będzie utrzymane do r. 1910, niedawno omówił wyczerpująco na zjeździe kupców galicyjskich w Krakowie Dr. Leopold Caro; z jego referatu wynika, że ustawa ta na handlu galicyjskim może się niekorzystnie odbić, a pijaństwa w kraju nie tylko że nie zmniejszy, ale raczej może się przyczynić do jego

zwiększenia, mianowicie przez to, że cały niemal drobny handel trunkami, odebrany kupcom, skoncentruje się w szynkach, że dzierżawcy propinacyi będą pobierali od poddzierżawców wyższe czynsze, a ci będą musieli je odbić na ilości skonsumowanych trunków.

Przepisy policyjne, dotyczące sprzedaży i wyszynku trunków mają niewątpliwie w zwalczaniu pijaństwa bardzo duże znaczenie; chodzi tylko o to, by przepisy te w rzeczywistości ściśle były wykonywane, co zresztą niekiedy może być bardzo trudnem, jak np. utrzymywanie w szynkach wielkomiejskich ewidencyi nałogowych pijaków.

Wyniki obowiązkowego pouczania o szkodliwości alkoholu, jakie niedawno w niektórych europejskich państwach wprowadzono, będzie można ocenić oczywiście dopiero w przyszłości.

Przepisy, ograniczające używanie trunków wyskokowych w armii, mają już obecnie dawać pomyślne wyniki w wojsku holenderskiem i francuskiem.

Reforma ustaw karnych, tyczących się czynów karygodnych, popełnionych przez nałogowych pijaków, zwłaszcza zaś zarządzanie ich przymusowego leczenia zamiast dotychczasowego więzienia, oraz rozciąganie nad ich rodziną opieki prawnej, stanowi istotny postęp nowoczesnego ustawodawstwa.

Wobec mnogości przyczyn, popychających ludzi do pijaństwa, same ustawy, mające przeciwdziałać szerzeniu się tego nałogu, jakkolwiek często bardzo skuteczne, nie mogą w zupełności złemu zaradzić. Pozostaje tu jeszcze ogromne pole dla działalności prywatnej, która przez pouczenie, dobry przykład, oraz tworzenie instytucyi, łagodzących nędzę i uprzyjemniających życie uboższej ludności, może ją kształcić, uszlachetniać i odciągać od szynku. Inicyatywa, zapał i praca oddanej sprawie jednostki mogą tu zdziałać niesłychanie wiele; świadczą o tem wyniki działalności Ojca Matthew w pierwszej połowie ubiegłego wieku w Irlandyi.

W społeczeństwach, w których jednostki łatwo się łączą w związki nie tylko zawodowe, ale i takie, które mają cele idealniejsze, walka z alkoholizmem ześrodkowała się głównie

w specyalnie w tym celu zawiązanych stowarzyszeniach. Do dnia dzisiejszego w jednych z tych stowarzyszeń żąda się od członków tylko umiarkowania w używaniu trunków wyskokowych, w innych zaś wymaga się bezwzględnej abstynencyi od alkoholu. W ostatnich czasach ruch wszczęty pod hasłem umiarkowania znacznie osłabł, a natomiast coraz więcej zwolenników zyskuje na Zachodzie antyalkoholizm oparty na zasadzie zupełnej abstynencyi od alkoholu; według Heleniusa, liczba członków stowarzyszeń umiarkowania na całym świecie wynosi obecnie zaledwie 91.000, abstynentów zaś liczy się na miliony. Istnieją także stowarzyszenia antyalkoholistów, których zadaniem jest jedynie propaganda wstrzemięźliwości, które jednak członków swych w używaniu trunków wyskokowych nie ograniczają.

Stowarzyszenia antyalkoholistów postawiły sobie za główne zadanie pouczanie ludności o szkodliwości trunków wyskokowych, wywalczanie ustaw przeciw pijaństwu przez oddziaływanie na opinię publiczną, oraz na ciała prawodawcze, zakładanie lecznic dla nałogowych pijaków, opiekowanie się nimi i dostarczanie im pracy po ukończeniu leczenia, oraz zarządzanie i popieranie wszelkich innych środków, zmierzających do zwalczenia pijaństwa.

Po zawiązaniu pierwszego nowoczesnego stowarzyszenia wstrzemięźliwości w roku 1808 w Moreau, w r. 1813 powstało w Bostonie towarzystwo umiarkowania, które w r. 1827 przekształciło się na stowarzyszenie wstrzemięźliwości, a w latach następnych powstało w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wiele innych takich stowarzyszeń. W r. 1865 powstało Narodowe Amerykańskie Stowarzyszenie wstrzemięźliwości. Obecnie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej liczą około 6.000.000 abstynentów.

Najstarsze europejskie stowarzyszenia wstrzemięźliwości powstały około r. 1828 w Szkocyi i Irlandyi. W Wielkiej Brytanii istnieje dziś cały szereg takich stowarzyszeń, mianowicie *British Temperance League, United Kingdom Alliance for the suppression of the liquor trafic, National Temperance League, Church of England Temperance Society, Scotch Temperance League, Irish Total*

*Abstinence Association*, *Teatotales*, kasa chorych *Sons of Temperance* i wiele innych. Wielka Brytania liczy obecnie około 5.000.000 abstynentów.

W Szwecyi istnieje od r. 1837 wielkie szwedzkie stowarzyszenie wstrzemięźliwości *Svenska Nykterhetssällkapet*. W Norwegii powstał w roku 1850 związek umiarkowania, w r. 1859 „Wielki Norweski Związek wstrzemięźliwości zupełnej". Obecnie jest w Skandynawii około 600.000 abstynentów.

W Szwajcaryi istnieje bardzo wiele stowarzyszeń wstrzemięźliwości, jako to *Ligue patriotique suisse contre l'alcoolisme*, *Alkoholgegnerbund*, *Katholische Abstinenzliga*, *Socialdemokratischer Abstinenzverein*, *Sobrietas* i in.; liczba ogólna abstynentów wynosi około 25.000.

W Holandyi istnieje związek *Nederland'sche Vereenigung fot atschaffing van sterken Drank*, oraz *Volksbound;* związki te liczą około 18.000 członków.

W Belgii istnieje związek *Ligue patriotique contre l'abus des boissons alcooliques*, który tylko propaguje abstynencyę wśród ludu, nie wymaga jednak od swoich członków ani wstrzemięźliwości, ani nawet umiarkowania, *Le Bien-Être Social* i wiele innych ludowych stowarzyszeń katolickich. Dania posiadała w r. 1894 500 związków abstynentów, liczących ogółem około 25.000 członków.

We Francyi w r. 1895 powstało stowarzyszenie *Société française contre l'abus des boissons alcooliques;* nadto istnieje tam stowarzyszenie propagandy abstynencyi *Société française de tempérance*, stowarzyszenie *Union française antialcoolique* i katolickie stowarzyszenia wstrzemięźliwości *Société St. Maurice* i *Ligue de la Croix Blanche*.

W Niemczech istnieje od r. 1883 stowarzyszenie propagandy *Deutscher Verein gegen den Missbrauch geistiger Getränke*, które w r. 1895 liczyło około 12.000 członków, kilka katolickich stowarzyszeń wstrzemięźliwości, jako to *Rheinischer Verband gegen den Alkoholismus*, *Charitas* i in. Najsilniejszy ruch przeciwalkoholowy panuje w Szlezwiku Holsztynie; obecnie liczą Niemcy około 14.500 abstynentów.

W Austryi powstał w r. 1884 *Österreichischer Verein gegen den Missbrauch geistiger Getränke,* a w r. 1899 powstał w Wiedniu związek abstynentów; w ostatnich czasach pod wpływem VIII Zjazdu antyalkoholistów w Wiedniu w r. 1901 zawiązało się w Austryi kilka miejscowych stowarzyszeń umiarkowania i wstrzemięźliwości.

W Rosyi pierwsze prywatne kółka i stowarzyszenia wstrzemięźliwości powstały jeszcze w r. 1858; obecnie istnieje tam kilkanaście miejskich i sto kilkadziesiąt wiejskich parafialnych stowarzyszeń trzeźwości. W Finlandyi jest ich kilkadziesiąt, Estoni i Łotysze mają ich 75. Nadto istnieją w Rosyi różne sekty religijne, których członkowie trunków wyskokowych nie używają.

W naszym kraju zawiązało się w r. 1887 „Ogólne Towarzystwo szerzenia wstrzemięźliwości", które wkrótce po zawiązaniu przestało istnieć; na wiecu obyczajowym, jaki się odbył w Poznaniu w r. 1901, powołano to towarzystwo na nowo do życia (B r e g m a n). W Galicyi pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości, założone na prowincyi przez miejscowego proboszcza, miało rozwiązać starostwo (L a n d s t e i n e r). W ostatnich latach w Krakowie i Lwowie powstały 3 stowarzyszenia wstrzemięźliwości; stowarzyszenie krakowskie „Trzeźwość" przewiduje zakładanie w przyszłości kół w Galicyi i na Bukowinie.

Oprócz przytoczonych krajowych i miejscowych stowarzyszeń antyalkoholistów istnieją wielkie związki międzynarodowe. Najliczniejszym z nich, a zarazem najbardziej rozpowszechnionem na świecie jest stowarzyszenie, czyli t. zw. Zakon Dobrych Templaryuszów, *Independent Order of Good Templars,* założony w roku 1850. Główna wielka loża tego związku znajduje się w Cleveland; ma on 79 wielkich loż i kilka tysięcy loż zwykłych we wszystkich częściach świata. Od członków związku wymaga się wiary w Boga i przysięgi, że przez całe życie będą się powstrzymywać od trunków wyskokowych, oraz że nie będą nigdy nakłaniać nikogo do ich używania. Wyznanie członka jest obojętne; na posiedzeniach, odbywających się co tydzień, nie porusza się spraw politycznych, ani religijnych. Związek ten zwalcza prócz alkoholu także i zwyczaj palenia tytoniu. Dobrzy Templaryusze

działają głównie w Ameryce Północnej, Wielkiej Brytanii, oraz jej koloniach, w Szwecyi, Norwegii, Danii, a także w Niemczech, zwłaszcza w Szlezwiku Holsztynie i w miastach hanseatyckich, we Francyi i Szwajcaryi. Drugim związkiem międzynarodowym jest stowarzyszenie *Vercin zum blauen Kreuz* założone w r. 1877, mające główną siedzibę w Genewie; związek ten ma członków rzeczywistych — abstynentów, członków przypisanych na pewien czas — abstynentów i umiarkowanych, oraz członków wspierających związek pieniężnie; ogólna liczba członków wynosi kilkadziesiąt tysięcy. Związek ten liczy kilkaset sekcyi miejscowych, głównie w Szwajcaryi i w Niemczech, a także w Norwegii i Francyi. Związek Niebieskiego krzyża postawił sobie za jedno z najgłówniejszych zadań zajmowanie się pijakami wypisanymi z zakładów leczniczych; wśród członków związku wyleczeni alkoholicy stanowią znaczną odsetkę. Do związków międzynarodowych należy również stowarzyszenie *Blas Ribbon Army*, oraz założony w r. 1890 związek *Internationaler Verein zur Bekämpfung des Alkoholgenusses*, z główną siedzibą w Zurychu.

W ruchu zwróconym przeciwko alkoholowi w wielu krajach, jako to w Ameryce, Anglii, Szwecyi, Norwegii, Finlandyi, Belgii, Danii, Szwajcaryi, Francyi i Niemczech, kobiety żywy przyjmują udział, a nawet często są gorliwemi propagatorkami wstrzemięźliwości; obecnie istnieją już niemal wszędzie, gdzie prowadzi się walka z alkoholizmem, związki kobiece, które mają na celu głównie propagandę wstrzemięźliwości. Pierwszy taki związek powstał w Ameryce około roku 1870. „Towarzystwo wstrzemięźliwości kobiet brytańskich“ w roku 1890 liczyło już 16 sekcyi. Związek kobiet norweskich liczy 60.000 członków. W Danii istnieje również kobiece stowarzyszenie wstrzemięźliwości. *Union des femmes belges contre l'alcoolisme* ma 10 komitetów miejscowych. W Szwajcaryi *Züricher Frauenverein für Mässigkeit und Volkswohl* działa głównie przez zakładanie kawiarni ludowych, w których trunków wyskokowych się nie sprzedaje. W r. 1899 powstał w Paryżu związek *Union française des femmes pour la Tempérance*, liczący 200 członków, który głównie roztacza opiekę nad rodziną nałogowych pijaków i wspiera ma-

teryalnie alkoholików wypisanych z zakładów leczniczych, a przytem kieruje się zasadą nie dawania nigdy datków w gotówce, a tylko w naturze. Istnieje także międzynarodowy chrześcijański kobiecy związek wstrzemięźliwości *Worlds Womens Christian Temperance Union*, założony przez Frances Willard.

Oprócz związków przeznaczonych dla wszystkich warstw ludności istnieje szereg zamkniętych stowarzyszeń wstrzemięźliwości lub umiarkowania. W armii angielskiej zawiązano stowarzyszenie *British Military Temperance Association*, do którego należy $^1/_3$ część armii indyjskiej, oraz szereg mniejszych stowarzyszeń miejscowych, *Army Temperance Associations;* nadto wśród armii indyjskiej założono sto kilkadziesiąt lóż Dobrych Templaryuszów. W r. 1901 powstało w Tananarywie pierwsze wyłącznie wojskowe stowarzyszenie wstrzemięźliwości w armii kolonialnej francuskiej.

W armii austryackiéj stowarzyszeń trzeźwości jeszcze niema, ale według Taussiga oficerowie i lekarze wojskowi są sympatycznie usposobieni dla ruchu przeciw alkoholowi w armii. W r. 1876 powstało w Londynie stowarzyszenie lekarzy *The British medical Temperance Association*, liczące obecnie około 1000 członków; związek niemiecki, *Verein abstinenter Ärzte deutscher Zunge* liczy około 1500 członków; podobne stowarzyszenia istnieją w Szwecyi i Danii. Związki nauczycieli abstynentów istnieją w Szwajcaryi, Holandyi, Belgii, Danii i Niemczech, stowarzyszenia służby kolejowej w Anglii, stowarzyszenia robotnicze w Niemczech. W Anglii istnieje specyalne stowarzyszenie wstrzemięźliwości dla głuchoniemych.

Pierwsze próby szerzenia idei wstrzemięźliwości wśród młodzieży szkolnej rozpoczęły się w Ameryce i Wielkiej Brytanii już około 1830 roku. W szkołach amerykańskich założono szereg stowarzyszeń wstrzemięźliwości, tworzących *Loyal Temperance Legion*. W szkołach wielkobrytańskich tworzenie związków wstrzemięźliwości *Bands of Hope* tak się rozpowszechniło, że jest ich obecnie 28.540; związki te stanowią niejako sekcye wielkiego stowarzyszenia młodzieży *United Kingdom Band of Hope Union*, liczącego 3.504.544 członków. Są one oparte na

zasadach religii i moralności; 341 z tych związków powstało na tle czysto religijnem; na zebraniach tygodniowych dzieci odmawiają modlitwy, śpiewają i deklamują. Również na tle religijnem zawiązano w Anglii wśród młodzieży szkolnej stowarzyszenie pod nazwą *Juvenil Templars.* Istnieją także specyalne stowarzyszenia trzeźwości dla uczennic różnych żeńskich zakładów naukowych. W Belgii na 4032 szkół w 2720 istnieją stowarzyszenia wstrzemięźliwości. W Szwajcaryi istnieje związek młodzieży *Espoir,* który ma organizacyę podobną do organizacyi związku *United Kingdom Band of Hope Union;* liczy on 6467 członków; w wielu gimnazyach szwajcarskich założono stowarzyszenia trzeźwości. Oddziały związku *Espoir* założono także w niektórych szkołach francuskich; w wielu szkołach początkowych, liceach i kollegiach francuskich utworzono sekcye stowarzyszenia *Association de la jeunesse française tempérante,* liczącego obecnie 50.000 członków; nadto założono katolickie stowarzyszenia *L'avenir* dla chłopców i *L'Espérance* dla dziewcząt. Wśród uczniów szkół wyższych powstały również stowarzyszenia wstrzemięźliwości; stowarzyszenia takie istnieją w uniwersytetach w Glasgow i Edynburgu, w uniwersytetach skandynawskich, w Zurychu, Bazylei, Genewie i Paryżu.

Działalność jednostek, zwalczających pijaństwo, jakoteż i stowarzyszeń antyalkoholistów polega głównie na pouczaniu ludności o szkodliwości alkoholu, oraz na pracy zmierzającej do wytworzenia warunków społecznych i zakładania instytucyi, mających odciągać ludzi od trunków wyskokowych. W Rosyi działalność taka jest zadaniem urzędowych kuratoryów trzeźwości. Pouczanie odbywa się na różnych zebraniach publicznych, zapomocą odczytów i demonstracyi, w różnych lokalach, a letnią porą i na otwartem polu. W krajach, w których ruch przeciwalkoholowy trwa już od dłuższego czasu, wykłady takie są na porządku dziennym. W Rosyi w r. 1898 komitety trzeźwości urządziły 5279 odczytów o alkoholizmie. W ciągu ostatnich lat odbyło się w Wiedniu około 300 zgromadzeń na których pouczano ludność o szkodliwości trunków wyskokowych. W szkołach, w których pouczania obowiązkowego o alkoholu

niema, antyalkoholiści organizują wykłady ilustrowane obrazami świetlnymi, oraz zabawy, koncerty, wycieczki i różne gry sportowe, które dają sposobność do pouczenia dzieci o alkoholu; w ostatnich czasach robiono i w Austryi pewne próby takich wykładów szkolnych. W Belgii odbywają się w niedzielę w klubach robotniczych odczyty o alkoholizmie, po których prowadzi się dyskusya; w Liège antyalkoholiści urządzają nawet specyalne dysputy nad sprawą alkoholizmu wśród młodych robotników, ażeby ich zaprawiać do szerzenia wstrzemięźliwości wśród innych.

Ważnym środkiem pouczania publiczności o szkodliwości alkoholu są publikacye. Wydawnictwa popularne o tej kwestyi są niezmiernie liczne. Na Zachodzie mają one stanowić dobry środek agitacyjny; w ostatnich czasach ukazały się takie wydawnictwa i w Rosyi. Istnieje także cały szereg czasopism, poświęconych walce z pijaństwem, jako to *Internationale Monatsschrift zur Bekämpfung der Trinksitten*, *The Alliance News*, organ stowarzyszenia *The United Kingdom Alliance for the suppression of the liquor trafic*, czasopismo *Wiestnik trezwosti*, wychodzące w Rosyi, i bardzo wiele innych.

Nadto istnieją różne nieurzeczywistnione dotąd propozycye, tyczące się pouczania szerokiego ogółu o alkoholu. Prof. Rauber proponuje, żeby wznosić po miastach „świątynie Bachusa“, w którychby za pewną opłatą demonstrowano na modelach woskowych lub gipsowych złe skutki pijaństwa. Dr. Danielewicz proponuje w tym samym celu rozpowszechnianie wśród ludu fotografii pijaków. Burgerstein proponuje rozdawać broszury pouczające o szkodliwości alkoholu przy zawieraniu małżeństw, zapisywaniu nowonarodzonych dzieci do szkół i innych okazyach. Zdaniem Dra Letulle'a, w walce z alkoholizmem należy wyzyskać obawę, jaką ludzie mają przed gruźlicą i pouczać ich, że alkohol usposabia do tej choroby, a gdy już powstała, czyni ją nieuleczalną, mianowicie przez to, że odbiera łaknienie, a tem samem możność dobrego odżywiania organizmu.

Ażeby walka z pijaństwem należyty odniosła skutek, samo pouczanie o szkodliwości alkoholu nie wystarcza. Na to potrzeba,

by wśród samych tych, których się poucza, powstało głębokie przeświadczenie, że zaprzestanie nadużywania trunków wyskokowych jest istotnie koniecznem dla własnego ich dobra, z któregoby dokładnie zdawali sobie sprawę; obok wiadomości o złych skutkach pijaństwa potrzeba, by w człowieku powstało dążenie do podniesienia siebie i swoich najbliższych, by powstała zdolność do poskramiania silnego zazwyczaj popędu do sprawienia sobie przyjemności, jaką ludzie przyzwyczaili się znajdywać w trunku, a zarazem rozwinął się pociąg do szukania przyjemności gdzieindziej, jednem słowem potrzeba, żeby ogólny poziom kultury człowieka się podniósł. Dlatego też wszystkie czynniki, które do tego prowadzą, jako to wpływy moralne, oświata i podniesienie dobrobytu, zajmują w walce z pijaństwem miejsce naczelne.

Jakkolwiek w ostatnich czasach w Anglii, Szwajcaryi, Belgii, Holandyi, a ostatnio i w Austryi walkę z alkoholizmem prowadzą głównie członkowie i zwolennicy stronnictwa socyalno-demokratycznego, wszyscy poważniejsi działacze na tem polu, jako też wszyscy niemal pisarze, traktujący kwestyę alkoholizmu czy antyalkoholizmu, wierzący i niewierzący, chrześcijanie i żydzi, jednomyślnie przyznają, że w zwalczaniu pijaństwa wpływ duchowieństwa na lud ma niezmiernie wielkie znaczenie. Zasługi, jakie położyło w zwalczaniu alkoholizmu duchowieństwo katolickie, podnosił na wiedeńskim zjezdzie antyalkoholistów prof. Gruber, a prof. Weiss wyrażał się z wielkiem uznaniem dla działalności w tym kierunku kleru w Anglii, w niemieckich dzielnicach austryackich i w Niemczech. Jaquet w monografii swej o alkoholizmie podnosi, że w walce z pijaństwem wpływ religijny działa w zadziwiający sposób i przytacza nadzwyczajne wyniki pracy w tym kierunku Ojca Matthew w Irlandyi, Nieselgrena w Szwecyi, kapelana Selinga i pastora Boettchera w Niemczech. Z pisarzy polskich Bregman, L. Nencki i Nussbaum i inni, wierzą w skuteczność kazalnicy. Znaną jest gorliwość, z jaką zwalczali pijaństwo księża katoliccy w W. Księstwie Poznańskiem, w Prusach zachodnich i w Galicyi. Biskup St. galleński zaleca du-

chowieństwu żywy udział w walce z alkoholizmem. Do rosyjskich komitetów trzeźwości powołuje się między innymi przedstawicieli stanu duchownego.

Ponieważ w zwalczaniu pijaństwa oświata ludności jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi, wiele stowarzyszeń antyalkoholistów nad jej podniesieniem pracuje. Należy jednak zauważyć, że sama oświata bez współdziałania innych czynników umoralniających, do celu jeszcze nie prowadzi; na okoliczność tę zwraca uwagę Helenius, wskazując, że wśród krajów Europy Północnej oświata powszechna stoi najwyżej w Danii, a zarazem pijaństwo w tym właśnie kraju najsilniej grasuje. Rosyjskie komitety trzeźwości założyły w guberniach monopolowych do końca r. 1898 27 szkół wieczornych i niedzielnych.

Wobec tego, że warunki bytu, zwłaszcza zaś warunki codziennego życia, na sferę moralną człowieka niezmiernie wielki wpływ wywierają, w zwalczaniu pijaństwa ważną są pomocą dobre i tanie mieszkania dla robotników; w wielu bowiem krajach do dnia dzisiejszego jedną z największych klęsk ludności roboczej stanowią mieszkania, z których zaduch, wyziewy kuchenne i zupełny brak jakichkolwiek wygód nawet człowieka, mającego najmniejsze wymagania, wypędzają, a wówczas łatwo do szynku prowadzą. Dostarczenie robotnikowi fabrycznemu czy rolnemu odpowiedniego mieszkania przeciwdziała pijaństwu głównie przez to, że utwierdza jego życie domowe i rodzinne, co stanowi dlań wielką dźwignię moralną. „Gdy się dom zreformuje — powiedział rektor Neumann na zjeździe antyalkoholistów w Wiedniu — nie będzie potrzeba reformować knajpy". Różne stowarzyszenia antyalkoholistów rozwijają swoją działalność w tym kierunku.

Drugim ważnym czynnikiem tego rzędu jest poprawa pożywienia uboższych warstw ludności, zwłaszcza w krajach o zimnym klimacie, a względnie w porze zimowej. Działalność związków wstrzemięźliwości pod tym względem jest niezmiernie żywą. W Anglii, Szwajcaryi, Niemczech i innych krajach pozakładano różne tanie jadłodajnie, w których albo zupełnie nie sprzedaje się napojów wyskokowych, albo też wydaje się tylko

wino; są to restauracye i gospody ludowe, kawiarnie i herbaciarnie czysto utrzymane, a niekiedy nawet urządzone z pewnym komfortem, posiadające często bibliotekę, czytelnię, oraz sale bilardowe. Pierwszą taką gospodę na kontynencie założono w roku 1835 w Szwajcaryi, w Huttwyl, w kantonie berneńskim. W ostatnich czasach w różnych krajach powstało bardzo dużo takich zakładów. Ważną przytem jest rzeczą, że przeważna ich część zarówno w Anglii, jako też i w Szwajcaryi, pomimo wielkiej taniości wydawanych potraw i napojów dobrze się rentuje, a przynajmniej opłaca koszty produktów spożywczych i prowadzenia zakładu. Rosyjskie kuratorya trzeźwości założyły do końca r. 1898 w guberniach monopolowych 1715 gospód i herbaciarni ludowych. Do tego samego celu co zakładanie gospód ludowych zmierza tworzenie stowarzyszeń spożywczych wśród robotników, oraz szkół kucharskich dla kobiet z biedniejszych warstw ludności. Ważną także jest rzeczą dostarczanie robotnikom, zwłaszcza takim, którzy pracują przy wysokiej ciepłocie, dobrej wody do picia, a względnie innego taniego a nieszkodliwego napoju.

W walce z alkoholizmem ogromne znaczenie ma podniesienie dobrobytu niższych warstw społecznych, wraz z dobrobytem wytwarzają się bowiem potrzeby, do których zaspokojenia szynk już nie wystarcza. Stowarzyszenia wstrzemięźliwości działają także i w tym kierunku, zakładając kasy oszczędności dla robotników. Antyalkoholiści domagają się, by robotnikom wypłacano zarobek tygodniowy nie w końcu, a w środku tygodnia, oraz by zarobek nieletnich wypłacano nie do ich własnych rąk, a do rąk ich rodziców; zupełnie słusznie żądają także, by zniesiono przymus picia, jaki istnieje w wielu browarach, w których część zarobku wypłaca się robotnikom w piwie. Nowy kodeks karny rosyjski zabrania wszelkim wogóle fabrykantom i przemysłowcom wypłacania robotnikom ich zarobku towarem a nie gotówką; uniemożliwia on przeto taki zwyczaj w obrębie państwa rosyjskiego. Dla robotników, potrzebujących dłuższego wypoczynku na świeżem powietrzu, stowarzyszenia

wstrzemięźliwości założyły w Szwajcaryi parę tanich hotelów i pensyonatów, w których oczywiście trunków wyskokowych niema. Zakładanie ochronek, przytułków i bibliotek dla dzieci ubogich rodziców, zwłaszcza takich, którzy przez cały dzień zajęci są poza domem, stanowi w zwalczaniu alkoholizmu ważny środek zapobiegawczy. Komitet trzeźwości w Krzemieńcu otworzył dla ubogiej ludności bezpłatne biuro porady prawnej.

(Dok. nast.)

*Karol Klecki.*

# NOWE KIERUNKI SPOŁECZNE I IDEAŁY PRZYSZŁOŚCI.

## III.

Rosnąca z dniem każdym potęga socyalizmu i coraz gwałtowniej pośród ludu wzbierająca fala ateizmu wywołały pomiędzy katolikami głęboko i daleko sięgającą reakcyę. Zrozumiano, że wobec wzmagającej się potęgi neopoganizmu trzeba sprawić szeregi katolickie w obronie życia i ideałów chrześcijańskich.

Ale tu odrazu w obozie katolickim okazały się różne kierunki i odcienia. Jedni zadufani w ogromną moc katolicyzmu, której są głównymi przedstawicielami, rozumiejąc że istota jego polega przedewszystkiem na posłuszeństwie i cierpliwości, chcieliby autorytatywnie zażegnać wszystkie burze i zamknąć wszystkie rany społeczne. Inni mniemają, że chcąc być dobrym katolikiem, wystarczy wierzyć i modlić się, zamknąć się w cieniu Kościoła i pełnić uczynki miłosierdzia. Tamci radziby zamknąć religię w przeszłości, kiedy lud był w stanie niemowlęctwa duchowego i nie umiał czy nie mógł radzić o sobie, ci w duszach wiernych i uczynkach miłosierdzia. Jedni narzucają się raz po raz na tłumaczów wiary i występują w roli obrońców interesów katolickich, rozumiejąc najczęściej przez interesy katolickie swoje osobiste interesy, lub sprawy partyjne. A wobec ruchu ludowego i kulturalnego, wobec propagandy antychrześcijańskiej nie mają żadnego programu, ani ideałów, ani żadnych apostołów. Inni znowu chcieliby wyprzeć katolicyzm z życia publicznego i społecznego. Pracować nad tem, aby zasady

i postulaty katolickie zdobyły sobie wpływ i znaczenie coraz większe w życiu publicznem, pracować w tym kierunku, aby katolicyzm przeniknął i uświęcił wszystkie ideały kulturalne w życiu prywatnem i publicznem swoich wyznawców, to znaczy narzucać społeczeństwu panowanie kleru i absolutyzm biskupów i politykę Rzymu. Te i tym podobne przekonania podziela wielu z myślących katolików, ale ogromną większość stanowią katolicy bez myśli i ideałów, katolicy, którzy niepomni na przypowieść ewangeliczną o talentach, oddają się gnuśnej bezczynności lub dewocyjnej zadumie. Biskup Ireland tak nam przedstawia tę masę bezmyślnej inteligencyi katolickiej: „Katolicy — mówi on — dali się dziś ogarnąć jakąś nieśmiałością chorobliwą, jakiemś miękkiem zwątleniem roślin cieplarnianych; cofają się oni w cienie kościołów i klasztorów, rzucając świat żyjący na pastwę zasadzek fałszywych przyjaciół, chytrych doradców, chorób, grzechu i nędzy... Tu zaś głównie świeccy mają osobne powołanie, któremu się, niestety, sprzeniewierzają. Oni powinni pracować, krzątać się, organizować, pisać, myśleć, wszystko dla dobra braci swoich i na pożytek Kościoła czyniąc, a tymczasem oni pogrążają się w gnuśnej bezczynności, spuszczają się wyłącznie na księży, wmawiając w siebie, że byle duchowieństwo pracowało, oni mogą w sennej odpoczywać bierności... Na Boga, nie mówmy do ludu: bądźcie zawsze, bądźcie na wieki cierpliwymi! ale raczej powtarzajmy: Trochę jeszcze, chwilę jeszcze cierpliwości. Nieszczęście nasze, nieszczęście katolików wszechświata tkwi w tem, iż wszędzie i zawsze wyprzedzać się dają nie z braku wiary, lecz z nadmiaru ostrożności“.

Inny kierunek, zgadzający się z duchem i z potrzebami obecnego czasu, przedstawia stronnictwo postępowe i reformatorskie pomiędzy katolikami. Zwolennicy tego kierunku, wychowani w szkole wieku, znając jego potrzeby i niedomagania śmiało idą naprzód z postępowym prądem naszej cywilizacyi zmierzającej do wprowadzenia w życie społeczne wielkich ideałów chrześcijańskiego humanizmu i rozszerzenia życia kulturalnego na jak najszersze masy ludowe. Kierunek ten występujący w różnych krajach pod różnemi nazwami przybrał dopiero po poja-

wieniu się encyklik społecznych Leona XIII *Rerum novarum* i *Graves de communi* kształty konkretne i społeczne i sformułował swoje postulaty i ideały w różnych pismach i programach. Przedewszystkiem we Włoszech ruch ten pod hasłem demokracyi chrześcijańskiej wyżłobił sobie głębokie łożysko w dziedzinie idei pośród katolickiej inteligencyi i kleru włoskiego [1], odkąd prof. Toniolo (1882 r.) założył tam katolicką ligę uczonych dla studyów socyalnych i rozpoczął wydawnictwo naukowego miesięcznika socyalnego *Rivista internazionale di scienze sociali*. Obecnie kierunek ten przeważa i panuje w *Opera dei congressi*, generalnym komitecie wykonawczym wszystkich katolików włoskich, jak to ze słynnej odezwy wystosowanej pod koniec 1902 r. do ludu włoskiego przez tenże komitet i na kongresie odbytym pod koniec ubiegłego roku w Bolonii się okazało. Ogromna powaga tego komitetu, będącego pod bezpośredniem kierownictwem i pod opieką Stolicy św., oraz wielka doniosłość samej odezwy nadają poglądom i przekonaniom tego stronnictwa szczególniejszą wagę i znaczenie. To też chcąc się zapoznać wogóle ze stronnictwem postępowem i reformatorskiem pomiędzy katolikami, trzeba się rozpatrzyć bliżej w pismach i odezwach tego stronnictwa przedewszystkiem we Włoszech.

Naprzód słów kilka o ideałach społecznych i kulturalnych młodej demokracyi we Włoszech pod przewodnictwem ks. Murri'ego.

Czem jest demokracya chrześcijańska w rozumieniu ks. Murri'ego i jego zwolenników? „Demokracya chrześcijańska — czytamy w *Cultura sociale* [2], najpoważniejszym organie tego stronnictwa, przedstawia się w naszym wieku pod względem idei i aspiracyi, jako maksymum desyderatów po ludzku możliwych; nie trzeba wszelako zapominać, że ona również jako ideał porządku społecznego jest czemś względnem, bo zwraca uwagę tylko na organizacyę teraźniejszości, a nie wie i nie może wie-

[1] Patrz: „Okólnik Rampolli i katolicki ruch społeczny we Włoszech". *Przegląd Powszechny* t. LXXIV, str. 234.

[2] *Cultura sociale* z 1 marca 1904.

dzieć jak będzie trzeba pracować w przyszłości. Demokracyę chrześcijańską należy w dziedzinie politycznej i socyalnej uważać za organizacyę teleologiczną, za rozwiązanie problemu, którego cechy są najzupełniej właściwe dzisiejszej epoce... Co zaś jest wieczne i uniwersalne w niej, to ideał sprawiedliwości i miłości głoszonej już od XX wieków w chrześcijaństwie, ale te idee należą już do samej istoty religii i moralności w nauce chrześcijańskiej. Zresztą jesteśmy ludźmi naszego wieku i pielęgnujemy jego ideały i usiłujemy je wprowadzać w życie odpowiednio do warunków naszych czasów, często w sposób właściwy naszemu usposobieniu i wychowaniu umysłowemu obecnej doby".

W wyż przytoczonych słowach mamy wszystkie cechy charakterystyczne młodej demokracyi chrześcijańskiej.

Ideały możliwie doskonałego rozwoju indywidualności i szczęścia społecznego omamiły dziś serca ludzkie. Żyć życiem wyższem, pełniejszem, rozszerzyć to życie kulturalne na szerokie masy ludowe, rozszerzyć swoje prawa obywatelskie i wolności autonomiczne, pracować nad poprawą i urządzeniem takich stosunków społecznych, żeby wszystkim dobrze było a przynajmniej, żeby nie było tego piekła nędzy, ucisku i wyzysku i niesprawiedliwości: oto treść najogólniejsza tych ideałów, które tak potężnie i natarczywie w całym świecie cywilizowanym i wśród młodych demokratów domagają się urzeczywistnienia w dziedzinie prawa i życia społecznego. I to jest może najgłówniejsza cecha młodego ruchu społecznego.

Powtóre demokracya chrześcijańska „zmierza do organizacyi teraźniejszości" i dba o przyszłość tylko o tyle, o ile to jest potrzebne do ogólnej oryentacyi, do pracy celowej na dalszą metę. I dlatego też stronnictwo demokratyczne żadnego niema programu ustalonego i w szczegółach określonego. Program taki układa się z dnia na dzień w miarę, jak nowe okazują się potrzeby i nowe występują zadania społeczne, mówią młodzi demokraci. Postęp społeczny nie rozwija się inaczej, jak drogą ustawicznych prób i doświadczeń.

Po trzecie demokracya młoda pracuje nad rozwiązaniem problemu właściwego wyłącznie tylko naszym czasom. Inne było

zadanie społeczne chrześcijaństwa w pierwszych początkach jego rozwoju historycznego, inne w średnich wiekach, inne w naszych czasach. W pierwszych początkach swego istnienia chrześcijaństwo mocując się z cezaryzmem pogańskim przekształca zwolna ustrój społeczny, oparty na krwawym egoizmie, na niewolnictwie i tyranii i opanowuje cywilizacyę pogańską, która wyrosła z wiekowej pracy geniuszu greckiego i światowładnej polityki Rzymu. W średnich wiekach chrześcijaństwo cywilizuje barbarzyńskie ludy w Europie, mocuje się w światowych walkach z Islamem, tworzy wielkie ogniska cywilizacyjne, miasta wolne, kwitnące bogactwem i sztuką wielką, walczy w obronie wolności politycznej i komunalnej z absolutyzmem imperyalizmu rzymskiego i tworzy po miastach komuny demokratyczne o wyłączności kastowej, których szczątki do naszych dotrwały czasów. A obecnie w rozumieniu młodych demokratów, jakie ma zadanie społeczne katolicyzm? „Kierunek ruchu młodego stronnictwa — pisze ks. Murri bezpośrednio przed kongresem w Bolognii — nie ogranicza się tylko do życia publicznego i społeczego: na każdem polu działalności ludzkiej przeciwko temu, co nie postępuje naprzód, co jest przestarzałe w całej generacyi *di arrivati*, młodzi stanowią czynnik o niezmiernej sile kolektywnej w kierunku nowego społecznego: a cecha charakterystyczna ich programu jest: więcej pozytywizmu w nauce, więcej wolności w działaniu, więcej idealizmu w życiu i braterstwa w pożyciu, więcej kolektywizmu w życiu społecznem".

Ażeby zaś to osiągnąć, tłumaczy inny pisarz z tego samego obozu potrzeba odnowienia w duchu i odmłodnienia chrześcijaństwa, które już się zaczęło. Pod hasłem demokracyi chrześcijańskiej wzbiera ta fala świętego natchnienia i wiary i miłości i sprawiedliwości, pod hasłem odnowienia wszystkiego w Chrystusie *rinnuovare tutto in Cristo* Piusa X toruje sobie ta fala drogę do serc katolickich i przekształca je, zmienia według miary Ducha i łaski z nieba rodem. „Tak tedy demokracya chrześcijańska rozpoczynając swoją czasową misyę historyczną na polu społecznem, gdzie więcej naglącą okazała się potrzeba zastosowania zasad chrześcijańskich, rozszerzyła swoją pracę na

pole umysłowe, aby następnie przejść w dziedzinę polityki, gdzie się spełni dzieło zupełnego uchrześcijanienia. Kto zdoła przewidzieć, kiedy ten cykl historyczny się zamknie, kiedy moc i zasady chrześcijańskie przenikną wszystkie objawy życia obecnego i potrzeby i stosunki obecne“ [1].

A teraz zwróćmy się do programu socyalnego *Opera dei congressi.* Program ten, który według słów jego autorów stał się jasną kartą w historyi rozwoju katolickiego ruchu socyalnego w XX wieku i mieści w sobie sekret przyszłości *racchiude il secreto dell'avvenire,* rozpada się na trzy części. W pierwszej części wytłumaczona jest historya i przyczyny jego powstania, w drugiej części rozwinięte są w ogólnych zarysach postulaty społeczno-ekonomiczne klasy robotniczej, a w ostatniej podano przyczyny, dlaczego Kościół dzisiaj w szczególniejszej mierze zajmuje się ruchem ludowym. Najpierw tedy jak powstał i czem jest ten program ludowy?

„Z pracy społecznej, — czytamy tam — która samorodnie rozwinęła się pomiędzy klerem i świeckimi i w łonie drobnych stowarzyszeń, z pracy, która, zasilając się duchowo w towarzystwie *di studi e di cultura,* rozlała się niebawem w potężną rzekę myśli i czynu w najpotężniejszem stowarzyszeniu włoskiem, *l'Opera dei congressi,* z pracy, która od ćwierci wieku rozwijała się z taką ciągłością historyczną i tradycyą bogatą w owoce powstał program systematyczny i postępowy, i stał się jasną kartą w historyi katolickiego rozwoju socyalnego w XX wieku i zdobył sobie niebawem publiczną pochwałę ludzi innych przekonań, których wyższość umysłu i serca wyzwoliła z jarzma starych przesądów i karygodnego milczenia“

Tak teraz już katolicy włoscy na polu pracy socyalnej walczyć mogą o lepsze z stronnictwami najbardziej postępowemi. Zdobyli się oni na program, który zgadza się z potrzebami i wymaganiami czasu i nosi na sobie fizyognomię naszej wielkiej cywilizacyi i mieści w sobie sekret przyszłości, *racchiude il secreto dell'avvenire.*

---

[1] *Cultura sociale* z 1 marca 1904.

Ale coś więcej jeszcze. Program ten jako żywy wyraz żywotnego prądu pracy religijnej i kulturalnej i ekonomicznej nad ludem niczem innem nie jest, jak to autorzy jego wyznają, jak „zewnętrznym objawem wzbierającej fali wiary i cnót chrześcijańskich, która ulewając się z niewyczerpanego źródła Kościoła, łagodzi jaskrawe przeciwieństwa i przenika społeczeństwo nową energią i warstwy gorsze i szerokie warstwy ludu".

Siła i doniosłość programu w bieżącej chwili polega przedewszystkiem na tem, że „katolicy włoscy — jak to przeciwnicy, owi mężowie obecnej chwili, usiłujący przybliżyć przyszłość, niechętnie przyznają" — odczuwali i odczuwają gwałtowną potrzebę rozwinięcia obok tradycyi starej i pracy normalnej, inny program postępowy i ofenzywny, któryby więcej przypadł do obecnej doby i mieścił w sobie sekret przyszłości. „Już w r. 1894 z okazyi pierwszej agitacyi przez Fasci w Sycylii na zebraniach naukowych i posiedzeniach *dell'Opera dei congressi*, stosując się do encykliki *Rerum novarum*, opracowaliśmy program szczegółowy, który powtarzano i chwalono zagranicą, i uroczyście przyjęto na katolickim kongresie w Rzymie, i który roztacza przed nami zarys zarządzeń bezpośrednich w celu wyzwolenia i podniesienia warstw pracujących przez powołanie do życia społecznego demokracyi chrześcijańskiej. Z tego programu, który obejmuje reformę społeczną robotników i rolników, przemysłową i handlową, który ma polepszyć rozluźnione pomiędzy klasami stosunki więcej dające się we znaki warstwom niższym, nie zaniechaliśmy żadnego postulatu. Przypominamy też chętnie ten postęp cudowny, który dokonał się odtąd i który sprawia, że postulaty, które ongi zdawały się być zbyt śmiałe, jeżeli nie utopijne, pozyskały obecnie poklask nie tylko u katolików, lecz wobec trybunału sumienia publicznego, które nie jest wrażliwe na rozległe i szybkie aplikacye".

Program ten wkońcu w najzupełniejszej znajduje się zgodzie z rozwojem, jaki się dokonał w dziedzinie nauk i z misyą społeczną katolicyzmu. Czyż codzienny postęp w naukach nie przyczynia się w wysokim stopniu do postępu społecznego, czy nauka dzisiejsza, ogarniając z dniem każdym coraz szersze

widnokręgi i roztrząsając głęboko i poważnie najważniejsze zagadnienia życiowe, nie zbliża się coraz bardziej w najwyższych swoich syntezach i najgłębszych poglądach do światopoglądu, który jeden wyłącznie tylko daje zadawalniającą odpowiedź na wszystkie zagadki i problemy życiowe o życiu indywidualnem i życiu społecznem. „Nie rozumie, czytamy w programie, powołania uczonego w zaraniu tego wieku, kto mniema, iż obecnie najwyższe zadanie nauki w całej jej rozciągłości począwszy od nauk przyrodniczych, historycznych i etyczno-społecznych, aż do nauk filozoficznych, polega wyłącznie tylko na krytyce metodycznej pracującej nad jakąś ułamkową prawdą. Nie, żadanie jej jest więcej skomplikowane: idzie tu o to, by połączyć nauki pozytywne i spekulatywne, metodę dedukcyjną i obserwacyę, naukę ścisłą i naukę stosowaną w jeden system encyklopedyczny, a to w tym celu, by i światło nauki rozciskowane szersze rzucało promienie i kierowało życiem ludów. Spełniając to zadanie kostrukcyjne i ekspansywne zarazem, rozwija się dzisiaj nauka w tym kierunku, że wbrew swojej tendencyi i skutkiem codziennej walki racyonalizmu z wiarą, zbliża się coraz więcej do chrześcijańskiej tradycyi, która odznaczała się zawsze największą jednością idealną, zdolną do tłumaczenia i kierowania nauką konkretną i żywotną świata rzeczywistego.

Z drugiej strony program ten rekonstrukcyi społecznej, dziś z większem zajęciem niż kiedykolwiek roztrząsany, nie jest czemś nowem dla nas. Jestto najzupełniej zgodnem z naszą wiarą czynną i z misyą społeczną katolicyzmu, że również na polu ściśle ekonomicznem katolicy włoscy i katolicy z resztą Europy mogą się pochlubić tem, iż już od lat jakich dziesięciu powołali do życia cały szereg różnych instytucyi opartych na zasadzie wzajemnej pomocy, spółki korporacyjne, kasy pożyczkowe, instytucye melioracyi społecznych i agrarnych, i wychowania klas niższych, które znaczą chlubnie etapy na drodze zdobyczy i postępu społecznego“.

W praktycznej i społeczno-ekonomicznej części programu katolików włoskich uderzają przedewszystkiem dwie idee, które są zresztą wspólne wszystkim postępowym programom kato-

lickim. Pierwsza, to idea reformy czy odbudowania od fundamentu społeczeństwa na zasadach chrześcijańskich. „Program polegający na obronie ostatnich resztek chrześcijańskiego ustroju społecznego trzeba zmienić na program coraz więcej pozytywny, zmierzający do odbudowania chrześcijańskich instytucyi społecznych i do szerzenia wszędzie skutecznego odrodzenia". Druga idea to odrodzenie i podniesienie warstw pracujących. Ustęp to najważniejszy z całego programu raz dlatego, że nawskroś owiany jest duchem czasu i wyrasta z potrzeb chwili obecnej i wymagań wieku, a powtóre, że odnosi się do pracy praktycznej na polu reform społecznych. Brzmi on w tłumaczeniu:

„W programie, który więcej bezpośrednio odnosi się do ludu i nosi nazwę demokracyi chrześcijańskiej, katolicy, stosując się wiernie do wymagań obecnych czasów, podają szereg praktycznych postulatów ludowych, które do trzech przedewszystkiem sprowadzić się dadzą punktów: do reformy kontraktu pracy, do organizacyi zawodowej i do społecznego ustawodawstwa robotniczego.

Wiedzą oni dobrze, że co się tyczy trzech tych głównych dzisiejszych postulatów ludowych, i socyaliści i liberali do tych samych dążą celów. Dlaczego? bo chcą na tem polu zdobyć sobie sympatye ludu, a razem z ludem i przyszłe panowanie. Toteż właśnie dlatego należy ściśle określić postulat ten, który w programie katolickim ma cechy oryginalne. W rozumieniu katolików instytucya, z którą dwa inne postulaty mają się połączyć, jest organizacya zawodowa, t. j. ukonstytuowanie się społeczne i jurydyczne robotników w korporacyę autonomiczną wobec innych warstw społecznych.

*a)* Tak tedy organizacya zawodowa — z którą się łączy reforma kontraktu pracy, ubezpieczy wolną wolę kontrahentów pomiędzy przedstawicielem kapitału a robotnikami; dalej kładąc nacisk w samym kontrakcie na interesy kolektywistyczne grupy sprawi, iż sam kontrakt utraci cechę czysto indywidualistyczną; wreszcie organizacya zawodowa sprawi, że godność robotnika, należącego do swego stowarzyszenia, podniesie się, a obok i w równej mierze poważanie właściciela i kapitali-

sty. W ten sposób tylko w ostrej walce ekonomicznej pomiędzy silniejszym a słabym zdobędzie sobie znowu skuteczny wpływ sprawiedliwość społeczna, której zasadą jest: równa miarka dla wszystkich, dobro powszechne i podniesienie moralne ogółu. A organizacya będzie tem ogniwem łączącem klasy, które dziś zbyt często rozdziela walka. Za pomocą stałych komisyi, złożonych z chlebodawców i robotników, które starać się będą o zgodę wzajemną lub wystąpią w roli sądu rozjemczego, stanie się ona zadatkiem porządku prywatnego i publicznego.

*b)* W rozumieniu katolików organizacya zawodowa ma być czynnikiem ustawodawstwa i polityki socyalnej, — ona ma mieć głos doradczy w stanowieniu ustaw socyalnych (a tem samem położyć tamę zapędom panteistycznym państwa); ona ma mieć władzę w ramach ogólnych ustaw, wydawać szczegółowe rozporządzenia odnoszące się do pracy odpowiednio do różnorodności w przemyśle, do rodzaju ludności i miejsca, gdzie się pracuje; — organizacya ma czuwać i starać się o to, aby wprowadzano w życie ustawy i przestrzegano rozporządzeń. Tak wreszcie i ubezpieczenie od wypadków i od choroby, ubezpieczenie robotników na starość, chociaż obowiązkowe, oprą się mocą samego zwyczaju lepiej, niż bezpośrednio o państwo, o federacyę lub syndykaty tych korporacyi.

*c)* Wreszcie w rozumieniu katolików organizacya zawodowa ma być organem legalnej emancypacyi *(rivendicazione)* i edukacyi klasy robotniczej; w niej bowiem znajdą robotnicy i uświadomienie i pomoc, aby się wznieść na wyżyny autonomii na podstawie prawa własnego i poszanowania bliźnich.

To też katolicy zamierzają w łonie tych korporacyi umieścić wszystkie instytucye ludowe dziś rozstrzelone, aby tak służąc w porządku bezpośrednio klasie robotniczej, stały się podporą i źródłem potęgi i żywotności samej klasy, która w rękach trzyma swój los. Tak tedy na przyszłość (taki jest nasz zamiar idąc za przykładem Anglii) robotnicy w łonie odpowiednich organizacyi lub ich federacyi znajdą pomoc i podporę w kasie oszczędności, w banku ludowym, rzemieślniczym i włościańskim,

w instytucyach opartych na zasadzie wzajemnej pomocy, w asekuracyach, w różnych spółkach kooperacyjnych znajdą pomoc i poręczenie w zakładaniu kas robotniczych, w biurach wywiadowczych, biurach pracy, w biurach ludowych, w szkołach przemysłu artystycznego i szkołach rzemieślniczych, w czytelniach i salach wykładowych, w stowarzyszeniach antyalkoholicznych, w stowarzyszeniach mających na celu życie towarzyskie i miłość braterską, w kaplicy przeznaczonej na służbę Bożą i w uczciwej zabawie. W pośrodku tego wszystkiego wznosić się będzie dom ludowy *(Casa del popolo)*, który jakby stolica tego skromnego a poważnego panującego na kształt bogatych ongi rezydencyi naszych cechów rzemieślniczych po miastach chrześcijańskich, otworzy codziennie swoje podwoje i da godny przytułek i będzie ogniskiem skupiającem w swoich salach całą administracyę samorządu ludowego.

Ale nie tylko zakładać takie szańce organizacyi ludowej jest naszym zamiarem, lecz także rozwijać propagandę pomiędzy katolikami, aby myśl tę zechcieli popierać. Oni wytężać będą swoje usiłowania, aby wychować zdolnych do propagandy apostołów, którzyby domy ludowe zakładali. Oni będą w tym celu rozszerzać czasopisma, monografie, praktyczne podręczniki, w szczególności zaś dążyć będą do założenia tygodnika, któryby zbierał i objaśniał postęp robotniczego ruchu katolickiego. Oni starać się będą w różnych dyecezyach o założenie przedziwnej instytucyi kapelanów robotniczych, istniejącej już w Medyolanie *(capellani del lavoro)*.

Przystąpimy też, jak to zagranicą się dzieje, do założenia szkoły w celu wychowania konferencyonalistów i mowców ludowych i pracowników na polu społecznem, którzyby znali się na pracy praktycznej i wiedzieli, czego lud potrzebuje i równocześnie byli dobrze wyćwiczeni w nauce katolickiej i odznaczali się roztropnością chrześcijańską. W przeciwnym bowiem razie żywa propaganda do szerzenia idei i organizacyi mas rozbiłaby i stałaby się niebezpieczną.

„Ważną też jest rzeczą, jak katolicy pojmują cały kompleks zadań pracy nad ludem. Ich celem nie jest tylko rzucić

tamę naprzeciwko zalewającej fali socyalizmu, który psuje i wyzyskuje lud; oni nadto postawili sobie za zadanie zorganizować i podnieść proletaryat (który liberalizm indywidualistyczny tak nieszczęśliwie wytworzył) do godności klasy społecznej. Bo tylko wtedy niebezpieczeństwo społeczne usuniętem zostanie, gdy całe społeczeństwo przyjdzie do równowagi przez ukonstytuowanie autonomiczne wszystkich klas społecznych, opierające się i układające do harmonii na podstawie najliczniejszej klasy robotników".

W trzeciej części programu są wytłumaczone ostateczne cele i pobudki chrześcijańskiej polityki socyalnej. Dlaczego Kościół zajmuje się sprawą społeczną? W czem tkwi niezmierna doniosłość i niebezpieczeństwo dzisiejszej walki społecznej?

W tem, iż obecna walka społeczna jest zarazem walką religijną. Chrześcijaństwo mocuje się w strasznych zapasach z nowożytnem pogaństwem. „Ostatnim zaś i najgłębszym celem tej walki — mówi jeden z najgłośniejszych przedstawicieli tej walki i najzawziętszych wrogów chrześcijaństwa, znany filozof Hartmann — jest odpowiedź na pytanie, czy w świadomości dzisiejszej ludzkości przeważy to co z nieba, czy to co z ziemi rodem, czy to co wieczne, czy to co ziemskie, czy chrześcijaństwo odniesie zwycięstwo, czy interesy dzisiejszej kultury? Idzie tu o to, aby przez walkę na życie i śmierć zmusić idee chrześcijańskie, żeby ustąpiły z areny historyi a jej miejsce zajęła nowoczesna kultura". Tak jakby chrześcijaństwo nie było zgodne z dzisiejszą kulturą, jakby nie było najwnętrzniejszą istotą prawdziwej kultury, ale na razie nie o to nam idzie. Faktem jest, że ta walka zawzięta, nieprzejednana wkoło nas toczy się przedewszystkiem o to, czy chrześcijaństwo, czy antychrześcijaństwo, czy wiara czyli też niewiara ma panować nad światem? Tak w dziedzinie polityki jak pracy społecznej i religii, we wszystkich sferach życia społecznego bez różnicy płci i wieku, moce ciemności pracują bezustannie nad tem, aby zrewolucyonizować serca i umysły, by zaciemnić najprostsze pojęcia moralne i zburzyć wszystkie niezachwiane podstawy naszego życia duchowego. A do czego ta rewolucya psychiczna prowadzi wie każdy, kto zna historyę.

Otóż z tym ruchem antychrześcijańskim walczyć usiłuje stronnictwo katolickie we Włoszech i wszystkie inne bez wyjątku stronnictwa katolickie w mniejszym lub większym stopniu w Europie. „Katolicy — czytamy w programie — nie tają swego zamiaru ostatecznego, który polega na tem, aby wytworzyć chrześcijański ruch ludowy... Obowiązek to wzniosły rozwinąć propagandę katolicką wśród nowej klasy ludowej i natchnąć ją duchem religijnym i potęgą zwyczajów chrześcijańskich... I ten jest sekret prawdziwie pozytywnej psychologii ludu, którego dusza mimo dzisiejszej propagandy ateistycznej i niemoralności jest zawsze czysto chrześcijańską i do której głębin nikt nie dociera, jak tylko za pomocą religii. I to jest przedewszystkiem najprzedniejszy powód, dla czego obecnie Kościół zajmuje się pełnym niebezpieczeństw problematem demokracyi, organizując lud chrześcijański przyszłości.

I tu jest też ta cecha, która na programie katolickim wybija piętno oryginalne i nadaje mu powagę ponad każdą inną społeczną partyę reformatorską. Dobro ogółu, które rośnie i dojrzewa w ciągu długich wieków, jest według nas sumą wszelkich interesów ludzkości, w której górują interesy duchowe, skojarzone z interesami nadprzyrodzonymi, których stróżem i najwyższym szafarzem jest Kościół.

Wreszcie tą drogą tylko akcya etyczno-społeczna i szczerze demokratyczna i szczerze katolicka według naszego przekonania doprowadzi do organizacyi ruchu ludowego na zasadach społeczno-chrześcijańskich. I ten też ideał społeczny jest celem aspiracyi i ofiar i nadziei dusz szlachetnych a przedewszystkiem młodzieży, która pielęgnuje świadomie ideały przyszłości. Nie należy też oddawać się zwątpieniu (pisał niedawno temu pewien biskup amerykański): „skoro kler i katolicy przyjmą jako prawdziwe natchnienie Ducha św. zasady i normy, które Leon XIII nakreślił w celu rozwiązania problemu robotniczego, masy robotników jak fale olbrzymie zwrócą się ku Kościołowi".

To wszelako stanie się udziałem jako nagroda upragniona, tych tylko, którzy mężnie i wiernie trzymają się Stolicy św.;

tacy też chlubić się będą, że dokonali największego dzieła organizacyjnego naszego wieku.

Nie na tem wszelako ograniczać się będzie ich zadanie i ich nagroda. Katolicy włoscy bowiem rozważając głęboko tę misyę dziejową polegającą na pozyskaniu mas i rozwinięciu pracy nad szerokiemi masami ludu *(vocazione conquistative e diffusiva)*, którą Opatrzność wytknęła XX wiekowi, przekonają się, że na przyszłość już nie będzie tu żadnej sprawy szlachetnej, wielkiej, wzniosłej, ani w dziedzinie idei, ani w dziedzinie życia praktycznego, którejbyśmy nie chcieli lub którejby nie należało przeniknąć odradzającym duchem chrystyanizmu pod wodzą Pontyfikatu i poznają niebawem, że dokonali dzieła odrodzenia całego społeczeństwa".

W ciągu wiekowego swego istnienia kilkakrotnie mocowało się chrześcijaństwo na życie i śmierć z wrogiemi sobie potęgami i zawsze z tych strasznych zapasów wychodziło zwycięsko. Helenizm i cezaryzm pogański, islam i cesaryzm chrześcijański, humanizm i absolutyzm państwowy występowały kolejno w pochodzie cywilizacyi do walki z chrześcijaństwem i skruszyły się o jego wiecznie młodą żywotność i niespożytą moc. Żywotność zaś ta i moc ta polega na prawie postępu i potędze miłości. Z najwnętrzniejszej istoty chrześcijaństwa wywija się prawo postępu i sprawia, iż katolicyzm w ciągu wiekowego swego rozwoju wchłonął w siebie, opanował lub przezwyciężył wszystkie wielkie i panujące idee różnych epok.

Ale prawo postępu w rozwoju cywilizacyjnym tylko świat i stosunki zewnętrzne podbija, przeobraża i zmienia na lepsze, a któż serce ludzkie zmienia, któż przeobraża duszę społeczeństwa, któż uświęca wszystkie ideały życiowe? Miłość Chrystusowa, i to jest ta druga potęga twórcza, roznosząca szczęście i pokój, budująca nowy świat i tworząca nowych ludzi. Jej największem dziełem jest społeczeństwo „świętych" w Kościele Bożym i ten świat mistyczny, tajemniczy, cudowny cudownością dzieł i ludzi, który się zapisał w dziejach świata historyą cudów i dobroczynności i cnót heroicznych i tajemniczem działaniem Opatrzności Bożej.

Obecnie mocują się w strasznych zapasach z chrześcijaństwem monizm idealistyczny i socyalizm, pierwszy we wszystkich dziedzinach myśli i nauki, drugi w dziedzinie życia społecznego, mocują się i walczą na życie i śmierć o palmę w dziedzinie ideału i życia. Czy chrześcijaństwo wyjdzie z nowej tej walki również zwycięsko, jak dawniej?

Niewątpliwie, gdy, kształcąc się w szkole wieku, przyswoi sobie wszystkie jego wielkie zdobycze na polu pracy i życia kulturalnego, gdy miłością Chrystusową podbije sobie nie tylko jednostki, ale całe masy i całą duszę społeczeństwa. Ten zaś jest cel i zadanie demokracyi chrześcijańskiej i stronnictw i prądów postępowych pomiędzy katolikami wszystkich ludów kulturalnych.

*Ks. Leonard Lipke.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

### Z zakresu filozofii.

Jeżeli nasza literatura filozoficzna jest bardzo ubogą w dzieła oryginalne, to dział psychologii należy niewątpliwie do najuboższych. Z prawdziwem też uznaniem i wdzięcznością dla autora należy powitać pojawienie się z tego właśnie zakresu dzieła obszernego, gruntownie opracowanego a przejętego duchem prawdziwie naukowym. Ks. prof. Wais [1] przez napisanie swojej trzechtomowej Psychologii zasłużył się rzetelnie polskiej filozofii i zajmie on też niewątpliwie poważne miejsce w rzędzie naszych pisarzy filozoficznych; jego psychologia bowiem, nie licząc paru krótkich szkolnych podręczników, jest pierwszą oryginalnie po polsku napisaną. Psychologia ks. Waisa jest czemś więcej aniżeli podręcznikiem, jest to wykład obszerny, obejmujący wszystkie zagadnienia w zakres psychologii wchodzące, wykład, który nie poprzestaje na zestawianiu wyników cudzych badań. Autor rozwija własne także teorye i poglądy, nie cofa się przed rozstrzyganiem zagadnień spornych, zna też dobrze obecny stan nauki, jej nowszą literaturę, a nieobcemi są mu nawet wyniki badań z doby najświeższej. To wszystko należy podnieść z uznaniem, należy cieszyć się, iż zyskaliśmy w prof. Waisie pracownika na niwie filozofii tak poważnego.

[1] Ks. dr. Kazimierz Wais, profesor filozofii i teologii w seminaryum duchownem w Przemyślu: „Psychologia". Tomów trzy. Warszawa 1902—1903. (Biblioteka dzieł chrześcijańskich),

Stanowisko autora w dziele jego, jest to tak zwany nowoscholastycyzm. Kierunek ten filozoficzny, dzięki wspaniałej inicyatywie Leona XIII świetnie się w ostatnich dziesiątkach lat rozwinął. Oparty głównie o filozofię św. Tomasza nie poprzestaje on jednak na niej, lecz wychodząc ze założeń tomistycznych, szuka zetknięcia także z nowożytną a nawet z najnowszą filozofią i nauką. Nowoscholastycyzm jest już dzisiaj bardzo poważnym i wpływowym kierunkiem filozoficznym i to nie w jednym kraju lecz na całym świecie, liczą się też z nim nawet przeciwnicy, doszło zaś dzisiaj już do tego, że nawet kierunki najbardziej katolicyzmowi wrogie przestały stosować do nowoscholastycyzmu metodę przemilczania, lecz stają do walki z nim, jako z przeciwnikiem, którego wpływ i znaczenie uznają. Liczy kierunek ten i u nas zwolenników i pracowników poważnych; do najświetniejszych należał niewątpliwie ks. Maryan Morawski. Ja osobiście do zwolenników tego kierunku siebie nie zaliczam, tem chętniej też uznaję jego zasługę, iż wydał z pomiędzy siebie autora pierwszej oryginalnej po polsku napisanej Psychologii.

Dodatnie strony i zalety dzieła prof. Waisa są niemałe. Wszędzie znać wielkie oczytanie i znajomość literatury, nawet najnowszej a to nie tylko niemieckiej ale także francuskiej i angielskiej. Dalszą zaletą dzieła jest uwzględnianie i to obszerne warunków tak anatomicznych jak i fizyologicznych stanowiących tło życia duchowego, następnie znajomość historyi przedmiotu. Szczególnie liczne cytaty ze świętego Tomasza wykazują dowodnie, jak dokładną znajomość jego psychologii zdołał autor nasz sobie przyswoić. Wykład jest jasny i przystępny, jakkolwiek język nie wszędzie wzorowy a nadto niepotrzebnie łacińskiemi nazwami przeładowany. Ciągłe opieranie się i odwoływanie do faktów, robi również wrażenie korzystne. Są w dziele ustępy, które z wielkiem czyta się zajęciem, jak np. przedstawienie, że pojęcia nie powstają jedynie przez abstrakcyę cech. Spotykamy się także z dosyć dokładną znajomością patalogicznych objawów psychicznych, które obecnie dla psychologii coraz większe zyskują znaczenie. Wreszcie jako zaletę dzieła ks. Waisa pozwalam sobie przytoczyć i tę okoliczność, iż nie cofa się przed zagadnieniem dotyczącem substancyalności duszy lecz usiłuje załatwić się z niem, przechodząc w ten sposób z gruntu właściwej psychologii już w dziedzinę metafizyki.

Takie są główne dzieła prof. Waisa zalety; gdyby zaś kto chciał wnikać w szczegóły przedstawienia, mógłby naliczyć ich jeszcze więcej.

Jeżeli jednak pomimo tych zalet nie mogę przyznać temu dziełu pierwszorzędnego znaczenia naukowego i postawić je na równi obok wybitniejszych dzieł obcych, to tylko ze względu na bardzo poważne i liczne niedostatki, o których śmiem twierdzić, iż niekoniecznie łączą się one ze stanowiskiem autora i niekoniecznie z niego wynikają. Możnaby pozostać nowoscholastykiem, uwzględniać Tomasza, wielbić także starych scholastyków a jednak co do wielu zagadnień patrzeć jaśniej na rzeczy, możnaby wnikać w pytania o wiele głębiej i krytyczniej. Są także w dziele ks. Waisa różne fatalne nieporozumienia, dowodzące że autor zna wprawdzie doskonale filozofię scholastyczną, ale filozofii nowożytnej nie zna równie dobrze, w ducha jej rozwoju nie wniknął, wielu myśli zasadniczych nie zrozumiał i dlatego wojuje często — jak to mówią — z wiatrakami, t. j. walczy z poglądami, które różnym nowszym filozofom przypisuje, ale które na prawdę nie są ich poglądami.

Już sam układ dzieła jest bardzo mało przejrzysty i niejasny, wynika on zaś z teoryi władz, którą autor nasz sobie przyswoił. Prof. Wais dzieli władze duszy na: 1) władze życia wegetatywnego, 2) władze życia zmysłowego, 3) władze życia umysłowego. Z takiego podziału wynika, że w jego Psychologii jest mowa o narządach trawienia, krążenia krwi, wzrostu i rozmnażania, a niema natomiast osobnego działu dla strony życia psychicznego tak niesłychanie ważnej, jaką jest np. uczucie. Nie wyprzedzajmy jednak w krytyce zagadnień, lecz idźmy w ślad za autorem samym.

Prof. Wais rozpoczyna pierwszy tom psychologii od krótkiego wstępu zawierającego definicyę, przedmiot i podział psychologii; tu za wielką poczytuję mu zasługę, iż stanowczo i z naciskiem broni przynależności psychologii do filozofii, ale cóż z tego, kiedy sam własny punkt widzenia podkopuje i osłabia przyznając także istnienie jakiejś psychologii poza filozofią (I, str. 8). Do niej bowiem mają należeć, jego zdaniem, wszystkie psychologie pisane w duchu czysto empirycznym a zajmujące się wyłącznie tem, co autor nazywa „zjawiskami duchowemi“. Jakaż więc psychologia pozostaje dla filozofii? Oto taka, która przedewszystkiem zajmie się duszą i odpowie na pytania: „czem jest dusza, jaki jej początek i koniec, czem my jesteśmy, skąd przychodzimy i dokąd idziemy“. Daruje mi szanowny autor, że mu tu zarzucę wielką niekonsekwencyę. Jeżeli bowiem jego definicya psychologii jest prawdziwą, jeżeli psychologie zajmujące się „z j a w i s k a m i d u c h o w e m i“ nie należą do filozofii, to w takim razie półtrzecia tomu

jego dzieła także do filozofii nie należy, a prawdziwie filozoficzną psychologią byłaby tylko księga druga, zajmująca mniejszą połowę tomu trzeciego. Tymczasem właśnie ta druga księga nie jest psychologią, lecz metafizyką, zbudowaną na wynikach badań z części poprzednich. To daremna rzecz: tu raz trzeba jasno sprawę postawić i rozstrzygnąć. Albo psychologia zajmująca się badaniem faktów życia duchowego czyli tak zwanemi „zjawiskami duchowemi", jest nauką filozoficzną albo jeżeli taka psychologia do filozofii nie należy, to w tym wypadku innej jakiejś psychologii filozoficznej niema już żadnej. Od czegoż nauka może rozpoczynać? Tylko od faktów, bo przecież nie od tego, czego nie zna, a co dopiero poznać pragnie. Dane są nam bezpośrednio fakty, zjawiska, badając je docieram coraz dalej do ich przyczyn, aż nareszcie dosięgam przyczyn metafizycznych i z tą chwilą przestaję być psychologiem a staję się metafizykiem. Nie należę ja wcale do tych, którzy wzdragają się przed rozważeniem istoty duszy i dowodzą, że zagadnieniem dotyczącem substancyalności duszy nie należy zajmować się, owszem przeciwnie ja to pytanie uważam za niezmiernie ważne i dla poznania przystępne, tylko domagam się w naukach filozoficznych podziału pracy takiego, jaki gdzieindziej istnieje i żądam, aby tem pytaniem zajęła się metafizyka, a to na podstawie wyników badań tak nauk fizycznych jak biologicznych jak i psychologicznych, właściwa zaś psychologia niechaj pozostanie przy faktach i niechaj istnienie duszy przyjmuje za taki sam fakt niezbity, jak fizyka przyjmuje istnienie materyi. Czem zaś jest materya „w s o b i e" czyli w istocie swojej o to fizyka nie pyta lecz to zagadnienie pozostawia metafizyce, tak samo rzecz ma się i z psychologią. Otóż taka właśnie psychologia, która — jak autor mówi — zjawiskami duchowemi zajmuje się, taka, jak ją prof. Wais nazywa, niby czysto empiryczna, należy nie gdzieindziej tylko do filozofii. Gdzież ona bowiem mogłaby należeć? do jakiej grupy nauk ma być zaliczoną? czy może do nauk przyrodniczych? Ależ to niemożliwe. Wszak nauki przyrodnicze mają do czynienia z pewnemi czuciowo-wrażeniowemi koniecznościami, które narzucają się nam, jako świat zewnętrzny. Tymczasem psychologia zajmuje się badaniem stanów, które przedstawiają się nam nie jako świat zewnętrzny, lecz jako jego najoczywistsze przeciwstawienie. Do nauk historyczno-społecznych także trudno psychologię zaliczyć, pozostaje więc tylko ta grupa nauk, która się właśnie światem wewnętrznym zajmuje, która bada rozwój jego od stanów najpierwotniejszych aż do najwyższych i najdoskonalszych stanów poznania całość świata w treści

duchowej ogarniających, a taką grupą jest grupa nauk filozoficznych i do niej należy także psychologia właśnie, jako nauka o zjawiskach duchowych czyli o stanach tak zwanego życia wewnętrznego. Niema zaś żadnych dwu psychologii, jednej empirycznej a drugiej racyonalnej, jest tylko jedna ściśle naukowa psychologia, która od faktów rozpoczyna i do zbadania ich natury i ich przyczyn postępuje. Szkoda wielka, że nasz autor należy także do tych, którzy dali się zbałamucić Wolffowi i przyjęli jego podział na psychologię empiryczną i racyonalną, przyczem popełnia prof. Wais jeszcze ten fatalny błąd, że bierze wyraz „empiryczny“ za oznaczający to samo, co „eksperymentalny“ (I, str. 6). Ależ na miły Bóg! przecież empirya a eksperyment to nie to samo: nie każda empirya jest eksperymentem a Wolffowi przenigdy nie należy się zaszczyt, aby on był twórcą eksperymentu psychologicznego, o którym najlżejszego nawet nie miał wyobrażenia. Prof. Wais widocznie nie wyrobił sobie dokładnego wyobrażenia o tem, czem jest doświadczenie a czem rozumowanie, skoro pisze, że „w psychologii doświadczenie i rozumowanie winny iść ze sobą w parze, chociaż łatwo być może, że raz jeden drugi raz drugi czynnik przeważa“ (I, str. 7). Mnie się wydaje, że w zdaniu powyższem tkwi wielka niejasność, bo przecież doświadczenia naukowego, któreby nie było aktem rozumowania, niema wcale, wyróżnianie więc doświadczenia od rozumowania — i dowodzenie, że psychologia raz posługuje się więcej doświadczeniem a drugi więcej rozumowaniem, niema żadnej podstawy. Psychologia, tak samo jak i każda inna nauka posługuje się tylko rozumowaniem a to rozumowaniem badawczem, które polega na wnikaniu metodycznem w pewne jakieś dane nam fakty i na ich coraz dokładniejszem rozpoznawaniu. Nauka, która nie byłaby badawczem rozpoznawaniem faktów lecz jakiemś rozumowaniem na wiatr, taka nauka nie mogłaby zasługiwać na nazwę nauki. Dajmy więc już nareszcie pokój temu podziałowi nauk na empiryczne i nieempiryczne, kiedy to jest podział, który się nigdzie a nadewszystko w psychologii utrzymać nie da.

Niejasnemi są również poglądy autora na metody psychologiczne i źródła psychologii (I, § 2 i § 3). Nie wyróżnia on dokładnie między tem, co należy uważać za metodę w psychologii a tem, co jest wiedzy psychologicznej źródłem. Najprostsze zastanowienie się pouczy nas z łatwością, że za źródła psychologii należy uważać te wszystkie rodzaje doświadczeń, z których wiedzę o faktach psychologicznych czer-

piemy. Otóż te doświadczenia mogą być tylko trojakiego rodzaju, t. j. doświadczenia wewnętrzne wprost bezpośrednio z świadomości własnej czerpane, dalej doświadczenia zewnętrzne z drugich i na drugich zbierane i doświadczenia pośrednie, t. j. korzystanie z materyału przez inne nauki psychologii dostarczonego. Tymczasem jakże to autor nasz pojmuje źródła psychologii? Oto pierwszorzędnem źródłem psychologii nazywa fakta. (!) Jakto, więc fakta są źródłem? Ależ to chyba jakieś nieporozumienie! Wszak fakta są przedmiotem badania dla psychologa, ale nie jej źródłem. Cóż więc można nazwać źródłem? tylko sposób, z pomocą którego do wiedzy o faktach dochodzimy a więc doświadczenie tak wewnętrzne jak zewnętrzne jest źródłem a fakta są przedmiotem. Czy może woda jest źródłem? Woda jest materyałem w źródle się znajdującem a źródło to miejsce i sposób wydobywania się tego materyału z głębi ziemi na jej powierzchnię. Takie więc pomieszanie sposobu dochodzenia do wiedzy o jakimś przedmiocie z przedmiotem samym powoduje wielką niejasność i nie powinno przytrafiać się autorowi piszącemu dzieła filozoficzne. Tak samo trudno mi pojąć, w jaki sposób mogą źródłem być dla psychologii choćby nawet trzeciorzędnem inne psychologie. Wszak gdy mówię o źródłach psychologii, to nie mam na myśli tej lub owej książki psychologicznej, lecz naukę zbiorowo pojętą t. j. całość badań psychologicznych przez najrozmaitszych badaczy dokonywanych. Otóż jakim sposobem dla tych wszystkich badań w całości wziętych mają one same być znowu źródłem? tego zupełnie nie rozumiem. Pojmuję, że ktoś pisząc dzieło z zakresu psychologii korzysta także z wyników badań innego uczonego, ale to nie stanowi przecież dla psychologii jako nauki uważanej zbiorowo źródła osobnego. Autor pomieszał tu pracę jednostki, jedno szczegółowe dzieło o psychologii traktujące z pojęciem nauki psychologii, jako obejmującem zbiorowo wszystkie w dziedzinę badań psychologicznych wchodzące usiłowania. W paragrafie o metodach, który — mówiąc nawiasem — powinien był przyjść dopiero po źródłach, bo przecież pierw należy mówić o źródłach a potem o metodzie, można także dostrzedz różne niejasności. Niestety niemożliwą to dla nas jest rzeczą wdawać się tutaj w rozbiór szczegółowy poglądów autora na metody; chcąc wszystko sprostować należałoby osobną o tym przedmiocie napisać rozprawę, krótko więc tylko nadmienię, że prof. Wais utożsamia metodę syntetyczną z tem, co nazywa także metodą „racyonalną, idealistyczną, dedukcyjną lub *a priori*“. Wszystko są to określenia niewystarczające a mogące posłużyć tylko do zamącenia poglądów. Wszak

metoda syntetyczna może być tak samo empiryczną jak i metoda analityczna, zaś analityczna tak samo racyonalną, jak i syntetyczna, bo przecież to przyzna mi każdy znawca metodologii, że „empiryzm“ lub „racyonalność“ nie oznacza metody lecz sposób i źródło, z którego wiedzę czerpiemy. Jeżeli np. z pewnych jakichś danych empirycznych konstruuje ogólną teoryę lub hipotezę, to postępuje syntetycznie, jeżeli zaś jakiś filozof uważa te lub owe pojęcia za materyał dany umysłowi *a priori* t. j. niezależnie od wszelkiego doświadczenia i materyał ten podda szczegółowemu rozpatrzeniu, to postępuje analitycznie, a przecież w pierwszym wypadku mam do czynienia z materyałem empirycznym czyli *a posteriori* a w drugim z materyałem tak zwanym racyonalnym czyli *a priori*. I tu więc autor metody i źródła wiedzy tak ze sobą zmieszał, że trudno dojść z tem wszystkiem do ładu. Metodę analityczną wyróżnia autor dwojaką: bezpośrednią czyli podmiotową i przedmiotową. Pierwsza z nich ma się posługiwać świadomością, druga „przypatruje się nie sobie lecz innym“ (I, str. 10). Znowu pomieszanie źródeł z metodą. Źródła mogą być i są podmiotowe i przedmiotowe odpowiednio do doświadczeń, jakie robię, ale nie metody. Czy ja obserwuję siebie lub czy ja obserwuję drugich, to w obu wypadkach posługuję się metodą spostrzegawczą; czy ja eksperymentuję na sobie czy przy pomocy porozumienia się przez mowę na drugich, to w obu wypadkach posługuje się metodą eksperymentalną. Mogę więc, mówiąc o metodach, wymieniać spostrzegawczą i eksperymentalną jako metody odrębne i różniące się od siebie, ale nigdy podmiotową i przedmiotową. Materyał do obserwacyi lub do eksperymentów mogę czerpać ze źródeł podmiotowych albo przedmiotowych, ale źródła to przecie nie metody. Istoty psychologicznego eksperymentu autor wcale nie określa, nadmienia tylko, że metoda przedmiotowa „szeroko dziś rozpowszechniona przedewszystkiem w Niemczech, zwie się eksperymentalną w ścisłem słowa znaczeniu albo fizyologiczną“ (I, str. 10). Co słowo to nieporozumienie! Całkiem bowiem co innego jest metoda eksperymentalna a co innego fizyologiczna. Fechner a szczególnie Lotze świadectwa samowiedzy wcale nie odrzucali, owszem na obserwacyi wewnętrznej oparł Fechner swój psychologiczny eksperyment, który z fizyologią nic nie miał wspólnego. Oczywiście wobec tylu nieporozumień musiała i cała krytyka metod dotychczasowych w psychologii wypaść błędnie; to zaś, co nam autor w miejsce dawnych metod ofiaruje, dopiero na prawdę nie wytrzymuje krytyki a raczej jest komunałem wcale nic nie mówiącym. Poleca więc nasz autor tak sobie samemu jak i drugim

pozostanie „przy metodzie znanej od dawna a zwanej słusznie analityczno-syntetyczną“ (I, str. 13). Dziwię się, że prof. Wais nie dostrzegł, iż w słowach tych wypowiedział coś wprost niemożliwego. Metoda bowiem jego nie tylko nie jest od dawna znaną, ale nie istnieje wcale i nie może istnieć tak samo, jak niemożliwe jest koło okrągłokwadratowe lub woda płynno-stała. W naukach można postępować w sposób rozmaity. Można rozpoczynać od rozbioru szczegółów a więc od analizy a później przechodzić na takiej podstawie do konstrukcyi czyli syntezy, można także od razu rozpoczynać od syntetyzowania faktów i sumowania ich w ogólną teoryę a później dopiero stosować analizę do własnej teoryi. To wszystko możliwe, ale aby ktoś mógł równocześnie postępować analityczno-syntetycznie, indukcyjno-dedukcyjnie, to wprost niemożliwe. Autor sam temu zaprzecza, pisze bowiem tak: „Psychologia rozpoczyna tedy od badania szczegółów i skutków ‚czyli od metody analitycznej‘ tak podmiotowej jak i eksperymentalnej (nb. znowu fatalne pomieszanie eksperymentu z doświadczeniem zewnętrznem a to pomimo, że autor sam poprzednio mówił na str. 10 także o możliwości podmiotowego eksperymentu). Po niej idzie synteza“ i t. d. A więc skoro synteza ma przychodzić dopiero po analizie, to przecież takiego postępowania nie można nazywać metodą analityczno-syntetyczną. Jest to po prostu tylko stosowanie w pewnym po sobie porządku dwu jedynie możliwych sposobów metodycznego myślenia i badania, które wszędzie i we wszystkich naukach przychodzą, ale które różnią się od siebie zasadniczo i których zmieszanie jest wprost niemożliwością. Albo więc nazwa metody analityczno-syntetycznej wyraża niedorzeczność, albo jest nic nie mówiącym komunałem, gdyż nigdy i nigdzie nauka nie może posługiwać się czem innem, jak naprzemian analizą lub syntezą, indukcyą lub dedukcyą. Zasadniczą czynnością metody indukcyjnej tak w psychologii jak w każdej nauce, ma być, według autora, „obserwacya, przypuszczenie i sprawdzenie“ (I, str. 14). Porównajmy to twierdzenie z poprzedniem a zobaczymy, jakie z tego wyjdą dziwolągi.

Wiemy z poprzedniego (zob. I, str. 9), że metoda indukcyjna i analityczna, to u naszego autora to samo; na str. zaś 14 (t. I) pisze, że przypuszczenie, to domysł, czyli hipoteza. Wynika z tego, że tworzenie przypuszczeń czyli hipotez jest czynnością indukcyjną, czyli analityczną. Otóż wbrew takiemu twierdzeniu staje jeden z najoczywistszych pewników metodologicznych, t. j. że hipoteza jest zawsze wynikiem czynności syntetycznej czyli konstrukcyjnej, jej sprawdzanie

zaś nie jest nigdy indukcyą, lecz dedukcyą. Hipotezę sprawdzamy, skoro z niej różne szczegółowe fakty dedukujemy, skoro wykazujemy, że szczegóły stają się na podstawie takiej właśnie konstrukcyi zrozumiałymi. Na cóż więc to wszystko wychodzi, co nasz autor pisze o metodzie indukcyjnej? Oto wychodzi na to, że zasadniczą czynnością indukcyi czyli analizy w psychologii jest dedukcya czyli synteza. Niech to zrozumie, kto może, ja nie potrafię!

W dalszym ciągu poddaje autor (na str. 14) krytyce zarzuty przeciwko metodzie podmiotowej — jak ją ciągle nazywa — skierowane. Krytyka ta, o ile dotyczy doświadczenia zewnętrznego jako środka wiedzy psychologicznej jest słuszną, o ile zaś dotyczy jakiejś mniemanej metody podmiotowej, jest wojną z urojeniem, niema bowiem metod podmiotowych, możliwem jest tylko metodyczne obserwowanie, opisywanie i rozjaśnianie faktów z doświadczenia wewnętrznego, czyli podmiotowego — jak autor wyraża się — czerpanych, ale to przecie nie żadna metoda podmiotowa, to metoda jak wszystkie inne, spostrzegawcza, opisowa, powiedzmy analityczna.

Oto są rozmaite zaraz na wstępie niejasności, które oczywiście muszą korzystanie z dzieła ks. prof. Waisa bardzo utrudniać. Dodam jeszcze, że w ustępie poświęconym metodom autor ani słowem nie wspomniał o metodzie najważniejszej, t. j. o metodzie porównawczej, która obecnie oddaje badaczom psychologicznym olbrzymie usługi; właściwie w psychologii dzisiejszej możliwe są tylko trzy metody, t. j. spostrzegawcza, eksperymentalna i porównawcza, o nich też godziło się pomówić obszerniej, nie zaś rozprawiać o jakichś metodach analityczno-syntetycznych lub indukcyjno-dedukcyjnych, bo przecież na świecie całym niema nauki, któraby się nieposługiwała naprzemian analizą lub syntezą, indukcyą lub dedukcyą.

Przejdźmy teraz do § 4, zawierającego rzut oka na historyę psychologii. Ustęp ten jakkolwiek pobieżny, jest wogóle prawdziwy i zajmujący. Szkoda jednak, że autor pominął niektóre bardzo ważne szczegóły. Np. mówiąc na str. 32 o Augustynie i charakteryzując krótko jego metafizykę duszy, zapomniał dodać, że Augustyn jest właściwym twórcą psychologii naukowej na doświadczeniu wewnętrznem opartej. Analizy różnych przebiegów życia duchowego u Augustyna, ustępy poświęcone w jego wyznaniach np. wykształcaniu się mowy, wpływie muzyki na bieg uczuć, wspaniały opis pamięci, wszak to ustępy, które muszą wywołać podziw u każdego z dzisiejszych psychologów. Jeżeli Sokrates położył podwaliny pod naukę logiki, to

niewątpliwie Augustyn uczynił to samo dla psychologii. Wszystko, co później średniowieczni uczynili dla psychologii, nie może nawet w przybliżeniu mierzyć się z tem, czego dokonał Augustyn. U średniowiecznych spotykamy się tylko z metafizyką duszy, u Augustyna mamy prawdziwą psychologię. Także na przedstawienie rozwoju nowoczesnej psychologii nie we wszystkiem zgodziłbym się z autorem. W przedstawieniu swojem idzie on w ślad za historyą psychologii Mercier'a, popada więc w te same niedokładności i błędy, co i ten ostatni. Ale szczegółowy rozbiór zaprowadziłby mnie za daleko, a tu i tak już narasta moje sprawozdanie do rozmiarów olbrzymich, muszę się więc ograniczać, pomimo iż bardzo wiele jeszcze spornych pytań byłoby do poruszenia; wobec tego dotknę więc już tylko sprawy najważniejszej, to jest rozdziału o władzach duszy.

Powiedzmy zaraz na wstępie, że autor nasz jest zwolennikiem teoryi o istnieniu władz duszy rzeczowo od niej różnych. Liczni są i teraz jeszcze tej teoryi zwolennicy, u żadnego jednak z nich nie spotkałem się z rozwinięciem jej i uzasadnieniem tak do podtrzymania niemożliwem, jak u prof. Waisa. Widocznie autor nie rozważył wniosków, które z jego twierdzeń można wyprowadzać, bo inaczej byłby się w niejednem miejscu przeląkł tego, co napisał. Oto zaraz na wstępie do księgi pierwszej (I, str. 50) czytamy co następuje: „Z drugiej strony używamy wszyscy w mowie następujących zwrotów, widzimy wzrokiem, słyszymy słuchem, myślimy rozumem, chcemy wolą. Owoż zachodzi pytanie, czy wzrok, słuch, rozum i wola, które nazywamy władzami duszy, różnią się co do rzeczy od niej samej". A więc myślimy rozumem, chcemy wolą tak samo, jak słyszymy słuchem. Widocznie więc musi być ten rozum jakimś osobnym organem tak samo, jak słuch, jakimś narządem mającym swoją siedzibę gdzieś nie wiem gdzie. Wiemy doskonale, że słuch jest zmysłem posiadającym swoje narządy i swoją fizyologiczną budowę, a więc w takim wypadku musi tak rozum jak i wola być także czemś fizyologicznem, a to tem prawdopodobniej, że mają się „co do rzeczy" różnić od duszy samej. Z takich oto twierdzeń cóż wynika? Oto najskrajniejszy materyalizm. Skoro bowiem rozum i wola różnią się co do rzeczy od duszy, skoro nie wyrażają jej istoty, to czemżeż jest dusza? Jest chyba niczem, a więc precz z nią, ona całkiem w psychologii zbyteczna, wszak władze wystarczą, co nam po duszy. Nasz autor posługuje się władzami, jak fizyolodzy komórkami mózgowemi, aby życie duchowe wyjaśnić, a wobec tego dusza

staje się zbyteczną, wystarczy w dalszym ciągu ulokować władze w różnych częściach mózgu, czyli dokonać podziału pracy między komórkami, a psychologia materyalistyczna gotowa. Czy więc w takich warunkach warto było silić się na utrzymanie pojęcia duszy w psychologii? Na cóż to ta dusza potrzebna? Chyba na nic? Ale tu, wiem dobrze, wpadnie mi autor zaraz w słowo i zawoła: dusza potrzebna, gdyż ona to właśnie jest tą substancyą, która posiada władze i niemi rozporządza. Obrazowo autor nasz sprawę całą tak przedstawia: Duszę możemy porównać z pniem drzewa, władze jej z gałęziami, a czynności z owocem. Więc pniem byłaby sama dusza ludzka, jedną z gałęzi np. wzrok, drugą rozum i t. d., jednym z owoców widzenie, drugim myślenie i t. d" (I, str. 52). Otwarcie wyznaję, że gdym to porównanie w książce prof. Waisa odczytał, mimowoli odwróciłem kartkę i spojrzałem na tytuł, ażali nie pomyliłem się przypadkiem co do autora? Bo przecież najskrajniejszy materyalista nie mógłby lepszego użyć porównania!... Cóż to jest drzewo? Biologia uczy nas, że to wielka rzesza komórek organicznych, samoistnem do pewnego stopnia żyjących życiem; jeżeli życie nasze duchowne podobne do drzewa, to jest ono chyba także tylko zrzeszeniem wielkiej liczby jakichś stanów — mających siedzibę może także w osobnych komórkach — w jedną zbiorową grupę.

Do jakiego stopnia jest autor nasz w wyrażaniu się nieostrożny, dowodzi najlepiej zdanie następujące: „Rzeczy, które różnią się realnie między sobą, nie mogą być identyczne z tą samą trzecią rzeczą; lecz władze duszy różnią się rzeczowo między sobą, więc nie identyfikują się z duszą, czyli różnią się od niej" (str. 52). Już samo zestawienie „r z e c z y" z władzami duszy i z duszą, to przecież bardzo niebezpieczne. Jakto, więc władze to rzeczy, dusza to rzecz? a dalej, co to znaczy: „władze duszy różnią się między sobą co do rzeczy"? Doprawdy nie dziwiłbym się wcale, gdyby materyaliści skrajni ogłosili z tryumfem prof. Waisa za zwolennika ich doktryny. Przecież oni także ciągle rozprawiają o duszy, Haeckel i jemu podobni mają ciągle na ustach i pod piórem wyraz „*die Seele*", tak samo jak prof. Wais wyraz „d u s z a". Ale cóż z tego, kiedy u nich ów wyraz *Seele* jest tylko nazwą zbiorową, jest marnem słowem i niczem więcej, na oznaczenie przebiegów, jakichś błysków wewnętrznej świadomości, którym nic nie odpowiada substancyalnego. Prof. Wais broni wprawdzie gorąco substancyalności duszy, twierdzenia jednak swoje osłabia niesłychanie i popada w niekonsekwencye, przedstawiając życie duchowe

jako jakiś rzeczowy organizm, jako grupę jakichś odrębnych „co do rzeczy“ bytów. Tu na nic się nie przyda dowodzenie, że władza, to *potentia*, a dusza, to *principium primum*. Albo władza ma podobnie jak gałąź drzewa, byt samoistny, choćby nawet z duszą złączony, a w takim razie jedność życia duchowego, a z nią także i jedność pierwiastku duchowego przepada, albo władza jest tylko abstrakcyjnym wyrazem pewnych stanów i działań duszy, a w takim razie rozprawianie o jakichś różnicach rzeczowych między duszą a władzami nie jest dopuszczalne. A teraz idziemy dalej i zapytamy autora, co znaczy np. takie jego powiedzenie: „Dusza uważana sama w sobie jest od początku swego istnienia zawsze w równym stopniu doskonałą i niezmienną“ (tom I, str. 54). Doświadczenia najzwyklejsze pouczają nas, że życie duchowe jestto ciągły proces wewnętrzny, ciągła czynność, rozwój, doskonalenie się i przechodzenie ze stanu bardzo nierozwiniętego na stopnie coraz wyższe. Skoro to jest faktem, a skoro z drugiej strony autor twierdzi, że dusza jest zawsze w równym stopniu doskonałą i niezmienną, to przecież wynikałoby z tego, że nasze rozwijające się życie duchowe nie jest życiem duszy niezmiennej, a więc to nie ona żyje i rozwija się, to nie ona działa, nie ona doskonali się, na cóż więc, pytam się, ona potrzebna, lepiej przecież w takim wypadku być konsekwentnym, materyalistą, i taki grat niepotrzebny wyrzucić poza nawias.

Dusza ma być przyczyną władz, ale nie jest bezpośrednią przyczyną ich funkcyi (str. 55). Gdyby to było prawdą, to możnaby uznać duszę tylko za jakąś rodzicielkę władz; gdy je wszystkie z siebie wydała, gdy się w nie zmieniła, istnieć przestaje. Autor przyrównywa władzę do piły a duszę do człowieka, który piłą rżnie drzewo, i sporządził ją dla tego, gdyż bez niej nie potrafiłby drzewa porżnąć. Już to trzeba przyznać, że w doborze porównań prof. Wais nie jest szczęśliwym, trudno bowiem o porównanie niezgrabniejsze od powyższego. Człowiek bez piły drzewa nie może porżnąć, dusza bez władzy nie może żyć duchowo, nie może czuć, poznawać i t. d. nato więc, aby mogła żyć duchowo, stała się przyczyną władz, czyli wytworzyła je tak jak człowiek piłę. Ale przecież człowiek zrobił piłę, bo myśli i kombinuje, to owoc pracy jego myślenia, tymczasem dusza bez władzy nie może ani czuć ani myśleć, ani poznawać, jak człowiek nie może rżnąć bez piły, a więc ona przed posiadaniem władz oczywiście nie czuła, nie myślała, duchowo nie żyła, nie działała, czemże więc była?

i z czego władze wytworzyła? Człowiek piłę wytworzył myślą z materyału, a dusza wytworzyła władzę czem i z czego?

Oto wyniki, do których prowadzą porównania autora. Zaiste lepiej byłoby ich unikać, nie każdy bowiem czytelnik da się zbyć byle czem, zawsze znajdą się tacy, którzy zaczną autorowi dreptać po piętach, będą domagali się obrachunku ścisłego, a skoro taki obrachunek wypadnie niekorzystnie, tracą wiarę w wartość książki. Co wystarczało i zaspakajało średniowieczne umysły, to nas już dzisiaj zadowolić nie może, my żądamy rozjaśnienia faktów nie przez porównania, lecz przez pojęcia i zasady ścisłe, a naturę powszechną faktów badanych wyrażające. Czytelnik dzisiejszy nie da się już zbyć np. takiem powiedzeniem, jakie znajduje na str. 57, że władza "i jest i nie jest bytem", to są zwroty, które mogą go łatwo spowodować do odłożenia książki na bok. Autor nasz nie zdaje sobie widocznie sprawy z tego, iż jego teorya władz prowadzi prostą drogą do materyalizmu. Wiem z góry, co on mi na to odpowie, oto powoła się na filozofów średniowiecznych, którzy naukę o władzach głosili, a przecież materyalistami nie byli. Na to odpowiem mu: być może, ale z drugiej strony jest to faktem dziejowym, że właśnie teorya władz w średniowiecznej filozofii utorowała drogę różnym poglądom materyalistycznym i sensualistycznym, które już wśród nominalistów XIV-go i XV-go wieku przyjęły się. Wszak już Occam twierdził, że nieśmiertelności duszy nie można rozumem dowieść. Cóż to znaczy? To znaczy, że rozum i nauka prowadzą nas do przeświadczenia, że jakaś dusza wcale nie istnieje, bo dusza, która nie jest nieśmiertelna, to żadna dusza, ona znikła i roztopiła się we władzach, stała się tylko zbiorową nazwą, tak samo jak „*die Seele*" Haeckla.

Nie tylko też ze stanowiska ściśle naukowego, ale także i ze stanowiska chrześcijańskiego nie ma prof. Wais słuszności, jeżeli występuje przeciwko tym, którzy bronią i obstają przy jednolitości życia duchowego. Ks. Pechnik bardzo mądrze i trafnie wyraża się, że „rozum, uczucie i wola nie występują w duszy jako siły odrębne, ale raczej są to pierwiastki świadomości, które dadzą się wykryć w każdem zjawisku psychicznem" [1]. Tak jest istotnie, tylko na takiem stojąc stanowisku, można utrzymać substancyonalność duszy jednej, jednolitej, niepodzielnej, ciągle czynnej, ciągle rozwijającej się w następstwie stanów, które to stany skoro skutkiem uświadomienia się

[1] „Zarys psychologii", Lwów 1895, str. 3 i str. 80.

staną się nową dla duszy treścią, odsłaniają jej samej te właśnie strony, które wystąpią w nich w sposób najwyrazistszy. Każdy stan duszy jest przedewszystkiem jej aktem, jej czynnością, ma także jakąś treść, jest równocześnie także zmianą wewnętrzną i oddziaływaniem na zewnątrz. Otóż jeżeli w czynnościach duszy uwydatni się jej samej głównie strona treści, lub głównie zmiana wewnętrzna własna, lub głównie oddziałanie na zewnątrz, to odpowiednio do tego zabarwi się w świadomości zjawisko psychiczne. Oto myśl zasadnicza jasna i prosta, kto ją przyjmuje, ten uznaje substancyalność duszy, jej jednolitość, a więc i nieśmiertelność, i nie potrzebuje uciekać się do żadnych porównań sztucznych i naciąganych. Ale już dosyć tego, gdybyśmy chcieli rozprawić się ze wszystkiemi twierdzeniami autora, wypadałoby nam napisać cały tom, i to dosyć gruby. Cośmy powiedzieli, wystarczy dla zaznaczenia różnic zasadniczych, jakie między nami zachodzą. Oczywiście nie mogę także zgodzić się na podział objawów duchowych taki, jaki autor w dziele swojem podaje. Jest to podział także przejęty ze średniowiecznej psychologii, a obecnie najzupełniej przestarzały. Podział ten wynika z teoryi władz; był on zrozumiały u Arystotelesa, u scholastyków, ale żeby dzisiejszy psycholog potrzebował rozprawiać w psychologii o trawieniu lub o obiegu krwi, na to trudno mi się zgodzić. Z punktu widzenia naszego autora to wprawdzie po części zrozumiałe, wszak on na czele każdego działu organów i funkcyi życiowych stawia jakby jakiegoś osobnego gubernatora, t. j. jakąś osobną władzę; one wszystkie razem stanowią jakby jakiś areopag psychiczny w organizmie pod bierną prezydencyą jakiejś niby duszy, a w prowincyach swoich rządzą samodzielnie, wypadało więc przypatrzyć się tym ich rządom. Ja pozwolę sobie jednak wyrazić przekonanie, że to wszystko do psychologii nie należy. Funkcye trawienia i oddychania nie są i nie mogą być przedmiotem psychologii, nauka ta bowiem zajmuje się rozpoznaniem stanów duszy, czyli przebiegów życia tak zwanego wewnętrznego. Jeżeli więc trawienie lub oddychanie oddziała na stan duszy, spowoduje jego zmianę, to ta zmiana może być przedmiotem badania dla psychologa, ale nigdy sam akt trawienia. Skoro psycholog zajmie się trawieniem i jego funkcye przypisze osobnej władzy duszy, to nie dziwmy się w takim razie, że na odwrót fizyolog zajmie się myślą i uzna ją za wydzielinę mózgu; wolno jednemu wchodzić w cudze grzędy, to wolno i drugiemu. Jakie horrenda wychodzą na jaw z powodu podziału władz u naszego autora, dowodzi najlepiej fakt, że wolę uznaje za źródło uczuć i określa wolę

jako władzę uczuć. Podczas gdy sprawa ma się wprost odwrotnie, gdyż właśnie każdy akt woli jest wpływem silnej zmiany wewnętrznej, która zawsze przedstawia się świadomości w postaci uczucia. Autor pisze w tomie III (str. 71): „Rzadko mówimy o uczuciach zwierząt". Czy naprawdę rzadko? Być może, iż tak wydaje się temu, kto objawów psychiki u zwierząt nie badał. Właśnie, że obserwacya życia zwierząt podaje nam jako wynik poznanie wyrazów zewnętrznych życia uczuciowego w całej jego pierwotności i sile.

Oprócz tych paru zarzutów zasadniczych, których wcale nie wyczerpałem, miałbym jeszcze wiele szczegółowych rzeczy do wytknięcia. Nie rozumiem np. dlaczego „fizyologiczne" teorye uczuć miałyby koniecznie być zaraz materyalistycznemi (III, str. 74), nie rozumiem dalej, dlaczego władze poznania i pożądania mają być przedewszystkiem bierne (III, str. 83), dlaczego „przedmioty uszkodzone są tem samem brzydkie (III, str. 97). A Venus z Milo czy brzydka dlatego, że uszkodzona? Czy doprawdy, „nikt nie mówi o pięknym zapachu" (III, 97). O ile mnie wiadomo, to takie powiedzenie jest dopuszczalne; nie mówi się o pięknym smaku, ale bardzo często o pięknym zapachu. Tu i ówdzie są ustępy, które gdy człowiek przeczyta, to aż podskoczy np. co za wniosek dziwny: „Skoro dusza jest substancyą, przeto istota jej nie polega ani na myśli ani na sile myślenia (III, str. 134). Terminologia nieraz także bardzo dziwna np. „ilość uczucia" (III, str. 72) wyrażenie godne zaiste najskrajniejszego materyalisty. „Indytyzm" (II, str. 122) cóż to za dziwoląg! „Nałóg pierwszych zasad" (III, 63). Co to jest? „Nawyk" (III, 67) i t. d. i t. d. Oprócz tego mnóstwo także we wszystkich trzech tomach błędów pisarskich i drukarskich. Np. na str. 161 (t. II) czytam wyraz: „najpojedynczsze" *(sic!)*, na str. 179 (II) 4—5=6+3, str. 51 tomu I-go Wundtowi dostał się w udziale we Lwowie wydany „Zarys psychologii", a ks. Pechnikowi *Grundzüge der physiologischen Psychologie.* Albo np. na str. 250 tomu I takie powiedzenie: „Jeżeli przeciwnie wyobrażenia tak są przeciwne", albo „ruch organizmu lub żądzy, których natężenie" (I, 117). O błędach drukarskich w wyrazach greckich lub innych obcych już nawet nie wspominam. Prawda, że to wszystko drobiazgi, a jednak to ubliża powadze książki. Na tych paru uwagach kończę moją krytykę.

Szanowny autor raczy mi darować, że nieraz wystąpiłem przeciw jego poglądom, uczyniłem to jednak w imię zasad i postępów nauki. Cieszę się bardzo z tej pierwszej psychologii polskiej, ale jednak

radbym był widzieć ją nieco inną, i to nie pod względem stanowiska, owszem, niechby autor bronił swojego stanowiska w psychologii, niechby przy nim stał twardo, pragnąłbym jednak, aby materyał naukowy był lepiej przetrawiony, a dojrzałość i bystrość krytyczna była większą.

*Dr. Maurycy Straszewski.*

**Materyały i prace Komisyi językowej** Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I, zeszyt 2. W Krakowie 1903.— Tom VI, zeszyt 1. W Krakowie 1903.

W r. 1901 wyszedł pierwszy zeszyt odmłodzonego wydawnictwa odmłodzonej Komisyi językowej. Onego czasu zdawaliśmy z niego sprawę na tem miejscu. W dwa lata po zeszycie pierwszym ukazały się dwa następne. Ogólne uwagi o charakterze naukowym całego wydawnictwa, o jego wartości — o ile się przebijała już w zeszycie pierwszym — pozostają i teraz te same; więc nie powtarzając ich, postaramy się z tych dwóch zeszytów wyłowić to, co dla szerszego grona czytelników może przedstawiać większy interes.

Holgera Pedersena „Przyczynki do gramatyki porównawczej języków słowiańskich“ są bardzo ciekawe dla fi'ologa; zwykłego śmiertelnika zainteresuje fakt, że rozprawka ta napisana była przez duńskiego uczonego po polsku.

Do języka białoruskiego odnosi się praca prof. Rozwadowskiego („Uwagi o dyftongach i͡e, u͡o w południowo-zachodniem narzeczu białoruskiem“), jak również zebrane przez p. Edwarda Klicha „Teksty białoruskie z powiatu nowogrodzkiego“ (zajmujące cały zeszyt 2, tomu I i jeszcze nieukończone). Objawem bardzo dodatnim jest fakt, że nauka polska nie zamyka się wyłącznie w granicach etnograficznych. Materyałów etnograficznych z ziem ruskich mieliśmy wprawdzie dotąd niemało (zwłaszcza w wydawanym dawniej przez Akademię Zbiorze wiadomości do etnografii krajowej), ale to były niemal wyłącznie rzeczy, podane przez amatorów-dyletantów. Z obecnymi faktami wchodzimy już na teren ściśle naukowy. Oprócz językoznawcy, dyalektologa, w tekstach, zebranych przez p. Klicha, znajduje się bardzo wdzięczny materyał i dla etnografa, dla badacza poezyi ludowej; spotykamy się tam np. z pieśniami, rozszerzonemi także i na terytoryum etnograficznem polskiem, więc jest materyał dla porównawczego badania historyi pieśni ludowej; spotykamy też pieśni, przejęte widocznie z polskiego i jeszcze niezupełnie zruszczone.

Wszystkie inne rozprawy odnoszą się do języka polskiego.

T. Benni („Z dziedziny akomodacyi międzywyrazowej“ i „O samogłoskach nosowych w wyrazach obcych“) omawia bardzo interesujące zjawiska z dziedziny fonologii (fizyologii mowy). W rozprawce pierwszej zwraca uwagę na ten fakt, że w spojeniach międzywyrazowych końcowa spółgłoska pierwszego wyrazu upodabnia się do pierwszej spółgłoski wyrazu następnego; fakt ten oczywiście wiadomy był i rozpoznany już przedtem, autor jednakże zajmuje się nim szczegółowiej i podaje wielką liczbę bardzo ciekawych przykładów zaobserwowanych. Rozprawka druga omawia sposób, w jaki wymawiamy grupy dźwięków an, on, en, un, yn, in w wyrazach obcych; w pewnych razach tak, jak w języku, z którego wyrazy pochodzą, więc an, on i t. d., w innych jednakże powstaje samogłoska nosowa ą, ǫ, ę, ų i t. p. Tak np. wyraz łaciński *consul, monstrum* wymawiamy kǫsul, mǫstrum, więc podobnie jak Francuzi, a inaczej niż Niemcy, którzy mówią wyraźnie on. Autor zajmuje się wyłącznie wymawianiem warszawskiem — po rozszerzeniu tematu zapewne wyszłyby na jaw pewne różnice w innych stronach kraju, tak np. w Warszawie według autora wymawia się dentysta, w Krakowie jednakże nie mówią ludzie inaczej, jak dęntysta. Jest to zresztą dziedzina, w której będzie można dojść do pewniejszych wyników dopiero po długich obserwacyach, prowadzonych bardzo ściśle, na najrozmaitszych jednostkach i w różnych stronach polskiego obszaru.

Z zakresu dyalektologii mamy „Studya kaszubskie: Gwara luzińska“ K. Nitscha. Luzin — wieś w pobliżu Wejherowa w Prusach zachodnich — należy językowo do gwar północno-kaszubskich. Gwary te opracowywał już Bronisch (w *Archiv für slavische Philologie* t. XVIII), praca p. Nitscha jest tamtej uzupełnieniem.

Wreszcie do historyi języka odnoszą się dwie rzeczy prof. Rozwadowskiego. Jedna to „Język rękopiśmiennej reguły żeńskich klasztorów ordinis Praemonstratensis z r. 1540“. Z lat tak późnych mamy już materyału językowego dosyć, przecież to już dwadzieścia lat, jak ukazały się polskie druki, wielkie rozmiarami. Autor sam zaznacza, że rękopis reguły jest bardzo ubogi pod względem wartości dla historyi języka; o ile formy i wyrazy, podane w słowniku, przynoszą coś nowego, to możliwemby było do pokazania dopiero po szczegółowem zestawieniu z wydanymi już i opracowanymi materyałami. Za to druga praca ma treść daleko wdzięczniejszą. Największy i najciekawszy pomnik poezyi polskiej średniowiecznej *De morte prologus* („Dyalog mistrza Polikarpa ze śmiercią“) wydany został po raz pierwszy przez

prof. Nehringa (w r. 1886, w *Altpolnische Sprachdenkmäler*), ale nie bezpośrednio z rękopisu, tylko z odpisu, udzielonego mu przez d-ra Kętrzyńskiego. Odpis nie był staranny, mnóstwo słów było niewyraźnych, nasuwało się wiele wątpliwości — ale wobec ważności poematu prof. Nehring nie wahał się go wydać. Pododawał tylko swoje uwagi i konjektury, pomnożone później (w *Archiv*) przez prof. Brücknera. Prócz Dyalogu w tym samym rękopisie były także znane „Skargi konającego", tak samo też zostały wydane. Prof. Rozwadowskiemu dostał się w ręce sam rękopis. Po porównaniu oryginału z tekstem wydrukowanym okazało się w tym ostatnim bardzo dużo błędów i niedokładności, i okazała się potrzeba nowego poprawnego wydania. Tego wydania więc dokonał prof. Rozwadowski i dzięki temu mamy obecnie tekst poprawny obu zabytków. Nie potrzeba zaś przypominać, że czy to dla badań literackich, czy (jeszcze więcej) dla badań językowych tekst poprawny, wierny, jest warunkiem koniecznym. Szkoda tylko wielka, że wydawca nie dołączył uwag o rękopisie, w którym się Dyalog znajduje. Jest to rzecz bardzo ważna, z dwóch powodów. Naprzód dla oznaczenia chronologii. W *Altpolnische Sprachdenkmäler* znajdujemy tylko uwagę, że rękopis pochodzi z końca XV wieku. Na podstawie dokładnego zbadania można było i należało określić tę datę ściślej, czy to ze znaków wodnych papieru, czy z jakichkolwiek innych wskazówek (niejednokrotnie w rękopisie wypisana jest data i t. p.). Powtóre zaś ważną jest rzeczą, jaka jest treść, zawartość rękopisu; to znowu rzuca nieraz światło na okoliczności, w jakich poemat powstał, na miejsce, nieraz może doprowadzić do wykrycia autora. Jednem słowem cała filologiczno-historyczna strona utworu rozjaśniłaby się bardzo, i ogromna (dla historyków literatury przedewszystkiem, ale i dla językoznawcy) szkoda, że wydawca tego nie zrobił. Chyba, że może równocześnie kto inny przygotowuje dokładny opis manuskryptu.

*Dr. St. Dobrzycki.*

**Na srebrnym globie.** Rękopis z księżyca. Napisał *Jerzy Żuławski.* Lwów 1903.

Wiele fantastycznych pomysłów Juliusza Vernego nad wszelkie spodziewanie zamieniono w czyn, tylko projekt wyprawy na księżyc, ze wszystkich najoryginalniejszy, nie przyszedł jeszcze do skutku. Może kiedyś go uskutecznią, — tymczasem jednak powieściopisarze nie spoczywają, ale idąc w kierunku raz przez Vernego wskazanym i zachę-

ceni astralnemi powieściami Flammariona, usiłują wprowadzić nowe tło do swych fabuł, dobrać innych kolorów i motywów, bo ziemskie wyczerpują się powoli. Jednemu z nich, p. Jerzemu Żuławskiemu, udało się nawet uzyskać i odczytać rękopis, wysłany z księżyca na ziemię przez uczestnika wyprawy, Jana Koreckiego.

Rękopis ten poprzedził autor wstępem, w którym zdaje sprawę z przygotowań do dwóch wypraw przedsięwziętych na księżyc przez siedmiu śmiałków. Dwaj bracia Remognerzy, członkowie drugiej wyprawy przypłacają śmiercią swą przedwczesną ciekawość, pierwsza jednak wyprawa dobija szczęśliwie celu swej podróży. Z tą chwilą rozpoczyna się pamiętnik.

Trzeba przyznać, że pomysł autora, chociaż nie nowy, jednak w opracowaniu oryginalny. Pan Żuławski odbywał nawet osobne studya selenograficzne i odwiedzał nocami astronomiczne obserwatoryum krakowskie, chcąc się naocznie przekonać, jak też księżyc wygląda w rzeczywistości. Erudycyę przyrodniczo-astronomiczną autora znać na każdym niemal kroku, zwłaszcza w pierwszej części, w której opisuje podróż uczestników wyprawy przez północną tarczę księżyca ku nam zwróconą. Dokładność szczegółów jest wogóle mówiąc zadziwiająca jak na powieściopisarza, (gdzieniegdzie znaleźliśmy błędy w cyfrach, zapewne tylko drukarskie), a autor nie chcąc, aby jego opisy brano może za płód fantazyi, załączył nawet mapkę tej części księżyca, przez którą ekspedycya się odbywała. Ale właśnie dla tego naukowego pokostu i przedmiotowości autora, dla tej ścisłości, z jaką pragnie wszystko przedstawić, co się tyczy topografii księżyca, nie należało może pozwalać sobie na niezgodne z prawdą twierdzenia o rzekomej i do tego dość gęstej atmosferze powietrznej nie tylko na biegunie ale nawet już na *Mare Frigoris* pod 60° równoleżnikiem. Natomiast nie bierzemy autorowi za złe, że na odwrotnej stronie księżyca u nas niewidzialnej, a więc naukowo nie zbadanej, zaprowadza analogiczne warunki klimatu, atmosfery, flory i fauny, jak na ziemi. Nie posiadamy wprawdzie na to dowodów — owszem bardzo prawdopodobnem jest zdanie, że i tamta strona księżyca jest obumarłą — ale powieściopisarz ma tu zupełnie wolne ręce i otwarte pole do snucia różnych pomysłów. Tej to drugiej stronie księżyca dla zwykłych śmiertelników nawet astronomów niewidzialnej poświęcono drugą i trzecią część „rękopisu".

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że „Na srebrnym globie" jest tylko zajmującym opisem księżyca, mającym dydaktyczne wyłącznie cele. Nie — *Das ewig Weibliche* jest i tu kanwą, na której biegnie opo-

wiadanie. A więc między uczestnikami pierwszej wyprawy znalazła się także kobieta, imieniem Marta rodem z Travancoru a kochanka lekarza Anglika Woodbella, która ma być Ewą nowego rodu księżycowego. Powoli członkowie wyprawy wymierają wskutek trudów, niewygód i ran (naprzód starzec O'Tamor, astronom, potem Woodbell); zostają więc tylko Portugalczyk Varadol, Polak Korecki i Marta, mająca wkrótce zostać matką.

O ile jednak część pierwsza jest piękną, zajmującą, prawie sielankową — o tyle druga jest smutną, przykrą, niekiedy wstrętną. Chodzi o to, kto z pozostałych ma pojąć Martę. Ona wprawdzie o żadnym z nich słyszeć nie chce, — ale uwaga, że w takim razie jej synaczek Tom, powity na księżycu będzie musiał samotnie umierać i ginąć, zmusza matkę miłującą nad życie swego syna — do ustępstw. Przykrą jest scena targu o tę kobietę między Varadolem a Koreckim, który ostatecznie chcąc oszczędzić umiłowanej tego nad wyraz bolesnego upokorzenia, odstępuje jej dobrowolnie swemu koledze. Przykre nad wyraz i nieszczęśliwe pożycie obydwojga — ale cel osiągnięty. Ród ludzki na księżycu nie zginie. Wstrętną choć pożałowania godną jest owa zwierzęco-namiętna miłość Varadola ku Marcie. Bolesnem a po części wstrętnem owo zwyrodnienie, zdziczenie i ów kretynizm, w który autor rozkazuje przejść pierwszemu zaraz pokoleniu selenitów; a już wprost przedmiotowo nieprawdopodobny — chociaż konsekwentnie do raz przyjętego stanowiska autora możliwy — jest kult bałwochwalczy, który zaraz od początku zaczyna się szerzyć, a którego przedmiotem — Korecki, jedyny pozostały przy życiu uczestnik wyprawy. Nie myślimy podsuwać p. Żuławskiemu żadnych ubocznych celów doktrynerskich, porzuconych może ewolucyi... — ale, ale zdaje się, że stanowczo przesadził w charakterystyce nowego pokolenia księżycowego.

Natomiast podniosłą, głęboko psychologiczną i szlachetną jest osoba Koreckiego. Jaki on piękny i szlachetny w swym stosunku do Marty a zwłaszcza do jej dzieci, których jest nauczycielem i przybranym ojcem; jak prawdziwy i szczery w swej tęsknocie za ziemią, jak nieszczęśliwy w swem życiu wogóle a przedewszystkiem wśród księżycowej ludności, której jest patryarchą, a w której nie chce, czy nie może widzieć równych sobie bliźnich, którym mimo to świadczy dobrze, chociaż doznaje od nich miasto miłości tylko szacunku, połączonego z zabobonną trwogą i bojaźnią.

Opisy przyrody księżycowej są oryginalne i zajmujące, — obrazowanie niekiedy mistrzowskie, charakterystyka ludzi i ich namiętności

wogóle trafna, — a mimo to wszystko powieść brana jako całość wywiera wrażenie smutne, prawie przygnębiające. Tyle tragizmu, rzec można fatalizmu, autor w niej rozlał bez potrzeby i uzasadnienia. Myślą przewodnią fabuły zdają się być słowa: „Wszędzie źle jest człowiekowi, bo wszędzie nosi sam w sobie zaród nieszczęścia...“ (str. 222), „Czemu się to wszystko stało?... z tej jakiejś fatalnej i nieubłaganej konieczności, co gwiazdy wznieca i gasi, a równo dba o wolę i szczęście człowieka, jak wiatr o ziarnko morskiego piasku, które niesie...“ (str. 300). Straszne to; — na szczęście zgoła nieprawdziwe.

*W. S.*

---

# Z piśmiennictw obcych.

## Z literatury francuskiej.

V-te E. M. de Vogué: „Le Maître de la mer“. — Paul Bourget: „Eau profonde. Les pas dans les pas“. — Henri Bremond: „Ames religieuses“. — Emile Gebhart: „L'Italie mystique“. — Emil Gebhart: „Conteurs florentins du Moyen Age“.

W miarę jak literatura angielska staje się coraz lżejszą stylem i treścią, powieść francuska wyłamuje się coraz częściej z obrębu zwykłego romansu, wkraczając w dziedzinę poważnych zagadnień społecznych lub ekonomicznych. Dzieje się to i z najnowszym utworem p. de Vogué [1], znanym, zanim wyszedł w osobnym tomie, z zeszłorocznych łamów *Revue des deux Mondes*. Mógłby być zatytułowanym *Roman des deux Mondes*, wyobraża bowiem kolizyę dwóch światów — amerykańskiego i europejskiego — na gruncie francuskim. Przedstawicielem pierwszego jest Archibald Robinson, twórca i kierownik potężnego *Union Sea Trust*, władca mórz, wybrzeży i tysiącznych olbrzymich przedsiębiorstw na obu półkulach, obracający milionami jak piaskiem, szafuje bez skrupułu życiem ludzkiem w przekonaniu, iż spełnia wskazane mu przez Opatrzność dzieło podbicia świata pod przewagę rasy anglo-saksońskiej. Podtrzymuje go w tem wierzeniu jednooki prorok Hiram Jarvis, przepowiadający z wyżyny ustawicznych zachwytów tryumf swoich idei i dążeń. Tak więc z Biblią w jednym ręku, a książką czeków w drugiej, Robinson krok za krokiem zdobywa

[1] V-te E. M. de Vogué: *Le Maître de la mer*. Paris. Libr. Plon. Sept. 1903. Str. 443.

świat. Francuzowi pocieszającemu się z utraty na rzecz Anglo-Amerykanów przewagi handlowej myślą, iż bądź co bądź Paryż zachowa na własność swoje bulwary — wskazuje ktoś w odpowiedzi szereg szyldów z angielskiemi nazwami, biorącemi powoli te bulwary w swe posiadanie... Przeciwieństwo do Robinsona stanowi młody Francuz o rycerskiej duszy i rycerskich pojęciach, kapitan Marchand pod nazwą Ludwika de Tournoël. Cały dramat Faszody opisany pod innemi nazwami: bohaterskie czyny młodego zdobywcy, chwilowy zapał tłumów i gorsze od wrogiego, obojętne zachowanie się władz. Kuszony przez Robinsona, aby na jego *conto* prowadził dalej w głębi Afryki dzieło wzgardzone przez Francyę, Tournoël odmawia, nie chcąc zaprzedać szpady w cudzoziemską służbę. Ratuje tem własny honor, ale nie sprawę, którą „władca mórz", innym czynnikom powierza. Wkońcu dopiero wytrąca mu broń z ręki prośba niewieścia. Podobnie i prorok jego Jarvis, porzuca swą dwuświatową misyę, by zostawszy mormonem, pojąć naraz aż dwie piękności z nad Słonego jeziora.

Powieść byłaby w całości ciekawą, gdyby autor nie był się czuł w obowiązku okraszenia jej długą rywalizacyą tych dwóch ludzi w sercu jednej kobiety, przyczem Robinson w swej żywiołowej sile rośnie ponad wolę autora, a Francuz schodzi z wyżyn bohaterstwa do wielce powszedniej roli zakochanego oficerka. Czytelnik żałuje prawie, że piękna dama nie dała pierwszeństwa nieokrzesanemu barbarzyńcy. Jest też epizod w tych romantycznych dziejach równie niezręczny jak niesmaczny, i autor chcący idealną opisać kobietę, byłby go sobie mógł śmiało darować. Wogóle p. de Vogué byłby lepiej zrobił, skracając nieco sentymentalne ustępy, skracając również opisy Kairu, tylekroć już powtarzane w naszych czasach kolei i parowców. Czy główna teza książki, ostrzeżenie przed anglo amerykańską pokojową zdobyczą, może wywrzeć jaki wpływ na wypadki, powstrzymać choćby jeden interes, jedno wynajęcie sklepu kupcowi z za morza? Wśród mnogich zgubnych prądów grasujących po Francyi, zdawałoby się, iż amerykanizm jest jednym z najmniej niebezpiecznych. Autor chciał go wszakże wskazać jako zagrażającego nie tylko kieszeniom, ale i resztkom rycerskości uczuć pozostałej w duszy francuskiej.

W najnowszej swej książce Bourget[1] zawraca poniekąd do dawnego sposobu pisania, przedstawia dramat rodzinny nie wzbudza-

[1] Paul Bourget: *Eau profonde. Les pas dans les pas.* Paris. Libr. Plon. 1902—1903. Str. 367.

jący echa w szerokich kołach, nie dotykający kwestyi społecznych. Pomimo to *Eau profonde* może być zaliczonem do jego najudatniejszych utworów, dzięki ślicznej postaci kobiecej, jakich nie wiele w nowej literaturze francuskiej. Mniej rzadkim jest postawiony przy niej ujemny typ kuzynki jej Joanny. Cicha, pogodna i prosta Walentyna najdoskonalszem spełnianiem obowiązków zyskała od dzieciństwa serca wszystkich. Stawiano ją za wzór Joannie, która też niemal od kolebki zazdrości jej miłości ludzkiej, darów fortuny i domowego szczęścia. Przez samą zawiść usidla jej męża, pragnie ją samą pozbawić czci, upokorzyć, to też z szatańską radością odkrywa, iż Walentyna odbywa tajemne wycieczki w przedmieścia Paryża, śledzi ją, i poznawszy, iż celem wyjść nie są poddasza ubogich, lecz wykwintny pawilon w ogrodzie, uprzedza o swem odkryciu męża jej, hr. de Chaligny. Ten mimo własnej niewierności zapala się zazdrością i pod zmyślonym pozorem wkracza do podejrzanego mieszkania. Tu widzi się wobec sparaliżowanego starca, któremu wzruszenie, sprawione jego wejściem, przyspiesza zgon. Wtedy dopiero odsłania się prawda: matka jego, konając, zwierzyła była sercu synowej sekret nad jej życiem ciężący, zostawiła jej jako legat opiekę nad człowiekiem, którego niegdyś kochała, i który w szale miłości dla niej popełnił czyn nieuczciwy, a potem zapłacił zań społeczeństwu kilkoletniem więzieniem, Niebu zaś — trzydziestoletnią pokutą, „życiem dla Boga i biednych". Walentyna na rozkaz konającej, spisała jej spowiedź i dziś dopiero daje ją czytać mężowi. O jego zdradzie wie od dwóch dni, ale wobec jego bólu gorycz zalewająca jej serce ulatnia się, w najcięższej chwili jego życia staje przy nim jako anioł pociechy, podtrzymuje go, uspokaja i tuli. Joanna przybywająca, by się wynikiem intrygi nacieszyć, staje wobec muru wznowionej miłości małżeńskiej. Walentyna traktuje ją nadal jak siostrę, nie dając jej uczuć, iż jej zamiary przenikła. Ani Joanna więc, ani dalszy świat nie dowiaduje się nigdy o dramacie rozegranym między zmarłymi, o poświęceniu Walentyny i zwycięstwie jej serca nad obrażonemi uczuciami żony i matki. Dziwią się tylko poniekąd, iż Chaligny po dłuższem oddaleniu z Paryża zmienia swe dawne nazwisko na nazwisko żony, ostatniej starego rodu dziedziczki. Fabuła powieści nieco zawikłana, a w streszczeniu łatwo brutalna; snuje się przecież misternie i miękko wśród tysiącznych odcieni myśli i uczuć. Autor zapewnia, że piękny typ Walentyny jest wziętym z natury. Tytuł zaś *Eau profonde* stosuje do zupełnej harmonii jej duszy, w której głębiach pod cichą powłoką kryją się ogromy miłości i siły.

Druga część książki *Les pas dans les pas* zawiera seryę obrazków przypominających nieco tegoż samego autora *Recommencements*. W każdym z nich stosownie do ogólnego tytułu jest człowiek wracający zrządzeniem okoliczności w otoczenie lub jaki stosunek lat młodych: czasem, jak w pierwszym *Le Cob Rouan*, widok starego konia od dyliżansu wzbudza w nim wspomnienie cudnej dziewczyny, przed którą uciekł, by nie zamącić ostatnich miesięcy chorego kuzyna, z którym była zaręczoną. Ów koń był wówczas „na jasnym brzegu" jej ulubionym wierzchowcem, ale odtąd umarł i narzeczony i ona, a biedna szkapa jedyną po nich pamiątką została. Ona jednak najlepiej na wznowieniu dawnych uczuć wychodzi, bo kończy spracowany żywot w bogatej stajni, na bardzo łaskawym chlebie...

Inny obrazek *L'Aveu* przedstawia znów długo zatajoną miłość ubogiego oficera do pięknej kuzynki, wybuchającą nagłem wzruszeniem na widok jej dorosłej córki przebranej dla zabawy w ślubną suknię matki. Najwięcej wartości ma *Dernière poésie*, bo wychodząc ze zwykłej gammy miłosnego uczucia, ukazuje nam męki wielkiego autora, rozgłośnego na cały świat, a widzącego źródło twórczości swej wysychające i pierwsze litośne uśmiechy zazdrosnych „przyjaciół". Inne mniej są znaczne i mniej sympatyczne. Czynią wrażenie rzeczy skreślonych okolicznościowo, rzuconych pobieżnie na papier. Wszystkie są wybitnie francuskie, nawet paryzkie, tak, iż nie podobnaby prawie przenieść je na inne tło. Jestże to zaletą, czy wadą? W każdym razie pozostanie nieodłączną cechą większości utworów Bourgeta.

Książka Brémonda [1] ładna choć tytuł ogromny daje bez porównania mniej, niż obiecuje. Całość składa się z sześciu rozprawek, rzecby można artykułów, z których każdy zyskałby na umieszczeniu osobno w ramach jakiego miesięcznika. Tytuły ich są: *Un saint anglican (John Keble), La vie religieuse d'un bourgeois au XVII siècle, La vocation de l'Abbé de Broglie, Un éducateur Anglais (Edward Thring), Les Acteurs d'Oberammergau, Que ferait le Christ?* Najlepszemi są dwie pierwsze części, zwłaszcza życiorys i charakterystyka Kebla, długoletniego przyjaciela kardynała Newmanna. Równie wstrząśnięty jak Newmann brakami odkrytemi w anglikanizmie, Keble zatrzymał się w pół drogi; natura jego słoneczna i gładka a może nie dość głęboka mniej była

[1] Henri Brémond: *Ames religieuses*. Paris. libr. Didier. Perrin et Co. 1902. Str. 272.

pochwytną na silne działanie łaski a za to potulniejszą wobec wpływu żony ostrzegającej go na łożu śmierci przed zmianą religii. Ciekawym wszakże jest obraz tej walki zakończonej u jednego zwycięstwem prawej wiary, u drugiego zaś cichem uśpieniem sumienia odsuwającego wszelkie wątpliwości jako pokusy szatana. Kardynał i pastor spotkali się raz w starości po długoletniej rozłące — wtedy jednak na kontrowersye już miejsca nie stało, zastąpiły ją wyrazy przyjaźni i wspólne, ogólnikowe wzniesienie duszy do Boga.

Źródłem drugiej rozprawki jest znaleziony dzienniczek kupca z Reims, Jana Maillefer. Zabawna to figura, jakby wykrojona z komedyi, człowiek przytem uczciwy i poczciwy, zachowujący dziwną pogodę ducha przy zupełnej głuchocie oddzielającej go w ostatnich latach życia od reszty świata. W młodości miał namiętną chęć do podróży, do awantur, do odkryć — tylko, że owa dusza godna Kolumba siedziała w wielce mieszczańskiem ciele lubiącem wygódki domowego ogniska. Wyruszywszy raz do Holandyi wraca z drogi, bo mu tęskno do żony, w Rzymie za to zapał religijny bierze górę a przemyślność nastręcza najśmielsze fortele, by bez żadnych kart wstępu wkręcić się na audyencye i najlepsze miejsca w trybunach. Wiara jego jest prosta, pobożność szczera; gdyby atoli był Polakiem nie przyszłoby na myśl umieścić go w poczet takich *Ames religieuses*. Autor chciał tylko ukazaniem go dowieść, iż pobożność była w XVII wieku rzeczą zwykłą w mieszczaństwie francuskiem.

Z reszty obrazków *La vocation de l'Abbé de Broglie* ma na celu jedynie wykazanie, jak wpływ protestantyzmu wyssany z krwią matki i babki bezsilnym był wobec instynktów katolickich zrodzonych wśród karyery marynarskiej młodego Pawła de Broglie, wnuka słynnej pani de Staël. Edward Thring zaś to zapatrzony w Biblię reformator szkół angielskich, duch gorący, gardzący sprawami umysłu wobec spraw duszy, obojętny na laury szkolne swych uczniów, byle widział w nich ludzi obowiązkowych i wierzących chrześcijan, przecinający wszelkie wątpliwości religijne mieczem ślepej wiary, twierdzeniem bez argumentów ni komentarzy. System ten zrazu przyjmowany z entuzyazmem przez uczniów, nie uzbrajał ich dostatecznie na następne zetknięcia z uczoną niewiarą. Mimo więc najlepszej woli Thring niejednokrotną odcierpiał porażkę — to jednak bywa losem wszystkich wychowawców. Przedstawienia w Oberammergau zbyt u nas są znane, by o nich powtarzać zdanie autora; końcowy rozdział też jest pochlebnem sprawozdaniem z amerykańskiej powieści ogólnie u nas poznanej pod tytułem:

„W jego ślady“. Całość pisana lekko — zbyt lekko może, bo żaden z przedmiotów nie dość pogłębiony.

Większość recenzyi pisze się, aby książkę czytelnikom zalecić, lub przynajmniej uwiadomić ich o jej istnieniu, w poszczególnych razach zaś na to, aby ich ostrzedz przed nęcącym a zwodniczym tytułem. W wyrazach *L'Italie mystique*[1] zda się wiać z dala cudowna woń świętej poezyi, woń kwiatów z Assyżu, z Monte Cassino, ze Sienny, zda się tryskać woda z cudownych źródeł a natchnienie z serca wieszczów, malarzy i budowniczych... Zaledwie jednak otworzysz książkę znikają cudne widziadła a natomiast ukazuje się historya ducha religijnego we Włoszech, skreślona nie przez ateusza, co byłoby mniej niebezpiecznem, ale wroga Kościoła. Czy prof. Gebhart jest protestantem? Jeżeli tak, to zrobiłby lepiej nie pisząc o rzeczach, których nie rozumie. Według niego chrystyanizm istniał w swojej czystości „dopóki Kościół nie stanął między ludzkością a Bogiem“, w skutku czego nastały długie wieki ciemnoty i niewoli. Następnie widzi rozbudzenie się ducha swobody z końcem XII wieku i pełny rozkwit odrodzenia religijnego w osobie i dziele św. Franciszka z Assyżu. Biedny św. Franciszek wzniesiony pod niebiosy, nazwany drugim Mesyaszem mógłby z całej piersi zawołać: *De miei amici me guarda Iddio!* Pan Gebhart przyznaje mu wprawdzie, że pozostał w łączności z Kościołem, lecz Zakon jego opisuje jakoby poza obrębem Kościoła stworzony, niby dalekie lenno a nie w służbie wewnętrznej zawsze wierną drużynę. Św. Antoni zrównany jest z Savonarolą, św. Piotr Damian z Arnoldem z Brescyi, „Boska komedya“ Dantego przeobrażona w ognistą broń nie przeciw osobom i nadużyciom, ale przeciw Stolicy św., niedorzeczna teorya o wierze, nadziei i miłości b e z u c z y n k ó w wywodzona szeroko i popierana naciągniętemi lub urywkowemi zdaniami świętych. „Rozkwit swobodnej a gorącej wiary trwał tak długo, aż mu Sobór Trydencki nie położył końca“, więżąc napowrót duszę ludzką pod kamieniem grobowym nie dozwalającym jej wzlotu do Boga!!! Jedynie (z małemi restrykcyami) dobry jest rozdział o Fryderyku II scharakteryzowanym prawdziwie i bardzo plastycznie. Pomimo to *L'Italie mystique* jest książką w uczoności swej niedorzeczną, w swej dyssydenckiej pobożności fałszywą: nie należy jej ani kupować, ni czytać. O żeby to protestanci chcieli pisać o sobie i swoich a nasz Kościół i nasze świętości zostawić w spokoju!

[1] Emile Gebhart, Professeur à la Faculté des lettres de Paris: *L'Italie mystique.* Histoire de la Renaissance religieuse au Moyen Age.

W dziedzinie literackiej prof. Gebhart wydaje się bez porównania bardziej na swojem miejscu i w swoim żywiole, niżli na polu religijnem. Co więcej szkic o nowelistach florenckich[1], choć lżejszy formą, czyni wrażenie utworu wychodzącego z pod bardziej wytrawnego pióra. Tu bowiem autor jest panem swego przedmiotu, nie waha się, nie błąka i nie zbacza na mgliste bezdroża. Co prawda tu i ówdzie nieśmiała aluzya przypomina autora „Mistycznej Italii", nie jest wszakże dość wybitną, by zatrzymać na sobie uwagę nieuprzedzonego czytelnika, ani — prócz jednej — dość drażliwą, aby wywołać zgorszenie. Widzimy powiastkę włoską, wyłaniającą się ze wspólnej kolebki baśni romańskich, z cyklu króla Artura, Karola Wielkiego, św. Graala, Romansu Róży i t. p., potem zasilającą się w Sycylii różnobarwnemi blaskami baśni wschodnich i w tej szacie mieszanej p. n. *Novellino* rozweselającą równie mieszany dwór Fryderyka II. Następnie już we Florencyi staje się pod surowem piórem Barberina powłoką dla rad moralnych, dla przestróg udzielanych szczodrze małżonkom — oczywiście rodzaju męskiego — i zabraniających im wypuszczać żony nawet do kościoła. Anegdotki mają tylko służyć za ilustracye do tezy. Po nim promienieje Boccacio bez żadnej pretensyi do poprawiania ludzkości, lekki, poetyczny, wesoły lub dramatyczny a tylko o tyle niemoralniejszy od innych, że brzydkie rzeczy w piękną przybrane formę silniejszą stanowią przynętę. Nad „Dekameronem" autor zatrzymuje się dość długo, co już wystarcza by powstrzymać rodziców od dania książki w młodociane dłonie. Po Boccaciu zaś Franco Sacchetti, też Florentczyk i nie o wiele młodszy, ale wręcz odmiennego rodzaju, bo w swojej oschłości serca i zaściankowym patryotyzmie uosabiający ówczesny duch kupiecki miast włoskich. Jeżeli nowele notaryusza Barberina miały być przestrogą moralną, to zbiór powiastek Sacchetti'ego jest jedną przeciągłą satyrą nie oszczędzającą nikogo a najmniej duchownych. Zakuty Gwelf, nie znający i nie chcący znać świata poza obrębem rodzinnego grodu, trzyma ściśle z Kościołem, ale na sposób Filipa II chciałby w nim rządzić, spowiadać spowiedników, prawić kazania kaznodziejom... Na nim kończy się trochę niespodziewanie książka prof. Gebharta, czyni ona wrażenie dłuższego urywku z literatury raczej niż całego dzieła. I znów tu jak w *Italie mystique* obiecujący tytuł z dala nęci a z blizka zawodzi.

*T. W.*

---

[1] Emile Gebhart: *Conteurs florentins du Moyen Age.* Paris. Hachette. 1901. Str. 289.

**Die mexikanische Kaisertragödie.** Die letzten sechs Monate meines Aufenthaltes in Mexico von *Dr. Ernst Schmit Ritter von Tavera*, k. k. Gesandter i. R. Wien 1903.

**Geschichte der Regierung des Kaisers Maximilian I** und die französische Intervention in Mexico, von *Dr. Ernst Schmit Ritter von Tavera*, k. k. Gesandter i. R. (2 tomy). Wien 1903.

Dwie powyższe książki czyta się od początku do końca z ciągłem naprężeniem uwagi, jakby powieść z misternie powikłaną a nader tragicznie zakończoną akcyą, z wielce urozmaiconą sceneryą i niezwykłą obfitością charakterów wyraziście narysowanych. A jednak są to dzieła historyczne w ścisłem tego słowa znaczeniu, przedstawiające genezę, przebieg i zakończenie początkowo angielsko-hiszpańsko-francuskiej, a potem tylko francuskiej wyprawy na Meksyk w latach 1861—1867 oraz cały okres rządów Arcyksięcia Maksymiliana jako cesarza meksykańskiego (od 10 kwietnia 1864 do 19 czerwca 1867, jako daty jego rozstrzelania w Queretaro).

Schmit-Tavera był sekretarzem poselstwa austryackiego przy dworze cesarza Maksymiliana, więc naocznym świadkiem jego rządów, a później radcą legacyjnym w Washingtonie, gdzie z tytułu swojego urzędowego stanowiska mógł z tajników archiwalnych zaczerpnąć wiele nowych dokumentów do sprawy mexykańskiej. Przestudyowawszy całą nader obfitą literaturę tej sprawy, niemiecką, francuską, angielską i mexykańską, rozebrawszy krytycznie wszystkie z dawniejszych, legendami zaciemnionych przedstawień wysnuwające się wątpliwości i niedorzeczności, oświetliwszy wreszcie wyniki własnych krytycznych wniosków osobistemi spostrzeżeniami, starannie w swoim czasie zapisywanemi i nowymi dokumentami dyplomatycznymi, stworzył autor dzieło, którem zarówno przysłużył się literaturze historycznej, jak i spełnił akt pietyzmu wobec przedśmiertnych zleceń nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana. Wyraził on bowiem w przededniu swojej śmierci prawdziwie męczeńskiej życzenie, aby zajęto się przedmiotowem opracowaniem historyi jego rządów.

Dla dziennikarza ze skłonnością do fejletonowego opracowywania tematów obie książki Schmita-Tavery zawierają prawdziwą kopalnię wdzięcznego materyału. Pomijamy zupełnie tę stronę książek, gdyż chcemy z tej sprawy, rozegranej wprawdzie na terytoryum amerykańskiem, ale rzucającej silny cień na jeden okres historyi europejskiej, podnieść tylko ważniejsze momenty polityczno-historycznego znaczenia

w oświetleniu nowem, rozpraszającem tak legendy, jak i tendencyjne przedstawienia, które dotąd prawdę zaciemniały.

Że sprawa mexykańska stanowiła tryumf Stanów Zjednoczonych Ameryki, mianowicie jej jako dogmat polityczny sformułowanej doktryny Monroego, odpowiadającej na wszelkie zachcianki interwencyjne Europy w sprawach amerykańskich stanowczem i aż do groźby wojennej posuniętem *hands off*, to było jawnem w chwili, gdy marszałek Bazaine wsiadał ze swoim korpusem okupacyjnym na statki francuskie w Vera Cruz, aby odpłynąć do Europy i pozostawić własnemu tragicznemu losowi cesarza Maksymiliana, którego przedtem różnemi drogami i sposobami, w nielojalności a nawet w krętactwie najdalej posuniętem, lecz zawsze daremnie starano się nakłonić do abdykacyi i powrotu pod osłonę flagi francuskiej. W danej chwili jednak tryumf Ameryki nie był należycie oceniony, bo w Paryżu, gdzie wtedy jeszcze gwiazda napoleońska w całym blasku świeciła, umiano tak rzecz przedwić, że się nie połapano na tem, iż większą od tryumfu, jaki Ameryka odniosła, była klęska, jaka stąd na Francyę napoleońską spadła. Przedstawiono mianowicie w Paryżu rzecz w ten sposób, jakoby fatalny koniec wyprawy mexykańskiej był głównie skutkiem błędów i całego postępowania Bazaine'a. Dla ostentacyjnego stwierdzenia tej interpretacyi politycznej Napoleon jawnie dla całego otoczenia okazał swoją niełaskę Bazainowi, który snać był naprzód zjednany dla odegrania roli chwilowego kozła ofiarnego, gdyż najspokojniej znosił chwilową odstawkę, po której w niedługim czasie wrócił jakby w nagrodę za niesłuszne upokorzenie na wybitne stanowisko komendanta gwardyi cesarskiej.

Schmit-Tavera wykazał w swojem dziele, że Francya po prostu kapitulowała przed Stanami Zjednoczonymi. Gabinet washingtoński już w chwili rozpoczęcia wyprawy na Mexyk przez Francyę w połączeniu z Hiszpanią i Anglią dla wymuszenia zaspokojenia różnych pretensyi pieniężnych, które rościli sobie poddani tych państw do republikańskiego rządu (Juareza) z tytułu pożyczek i doznanych pokrzywdzeń, patrzał krzywo na to wystąpienie Europy, ale stanowczego *veto* założyć jeszcze nie mógł raz dlatego, że wtedy ekspedycya europejska miała tylko charakter egzekucyjny na zaspokojenie roszczonych pretensyi a nie na obalenie republikańskiego rządu w Meksyku obliczony, powtóre z tego powodu, że rząd washingtoński miał wtedy do przebycia ciężką rozterkę a następnie konflikt krwawy ze stanami południowymi. Gdy już rząd washingtoński wyszedł zwycięzko z tej walki,

a w Mexyku zaszły jednocześnie dwie ważne zmiany t. j. najpierw wycofanie się Hiszpanii i Anglii od udziału w ekspedycyi wskutek posuniętego do prostego zdzierstwa zlikwidowania pretensyi francuskich przez pełnomocnika paryskiego a może także i wskutek obawy o postawę Ameryki, powtóre nadanie przez Napoleona pierwotnej wyprawie egzekucyjnej charakteru interwencyi dla dokonania za pomocą monarchii regencyi Mexyku i wogóle rasy łacińskiej w Ameryce, z Washingtonu odezwał się stanowczy protest, który ponawiany kilkakrotnie w Paryżu z wzrastającą siłą przybrał ostatecznie, jak to teraz Schmit-Tavera dokumentami dyplomatycznymi wykazał, wprost formę somacyi z otwartem zagrożeniem wojny. Tak rzeczy stanęły w ostatnim roku rządów cesarza Maxymiliana, który o tem od rządu francuskiego żadnej nie otrzymał wskazówki i wogóle do końca nie dowiedział się o postawieniu sprawy na ostrzu wojennem przez Stany Zjednoczone. Napoleon lękał się konfliktu wojennego ze zwycięskiemi w wojnie domowej Stanami Zjednoczonymi Ameryki a z drugiej strony wstydził się wyznać otwarcie tę obawę, czem byłby może nakłonił cesarza Maxymiliana do abdykacyi, najlepszego wyjścia i dla cesarstwa wobec zachwianego już wtedy do głębi tronu i dla Francyi, która mogłaby była przed światem powiedzieć, że cofa się z Mexyku zwycięzka choć zawiedziona w oczekiwaniach opartych na dzielności cesarza Maxymiliana. Zamiast wystąpić w ten sposób otwarcie i zażegnać katastrofę w Queretaro, Napoleon rozpoczął grę obłudną. Wystąpił bowiem z pretensyą, że cesarstwo mexykańskie nie dopełnia zobowiązań finansowych wobec Francyi przyjętych i z tej pretensyi, chociaż ona była niezupełnie uzasadniona i chociaż ostatecznie nieszczęśliwy cesarz Maxymilian na jej zaspokojenie przeznaczył cały dochód państwa swojego z cła przywozowego, wysnuł pretekst do takiego przyspieszenia ewakuacyi Mexyku, że miała ona znamiona pospiesznego odwrotu. Był to już odwrót podobny do ucieczki, gdyż w końcu rząd washingtoński tak bardzo i groźnie stanął wobec Napoleona, że nie mógł on nawet uzyskać małego ustępstwa co do przewleczenia raz oznaczonych terminów ewakuacyi.

O tem wszystkiem nie wiedział cesarz Maxymilian, którego Bazaine jeszcze w ostatniej chwili, w przededniu wymarszu z Mexyku, niedelikatnie, niemal brutalnie, a w każdym razie nielojalnie, bo także i spiskowaniem z republikanami mexykańskimi, formalnie zmusić chciał do abdykacyi i odpłynięcia z jego korpusem do Europy. Za to doskonale zapewne poinformowani byli o tem wszystkiem ci, którym taki

obrót rzeczy był na rękę. Schmit-Tavera wymienia konsulów pruskich, którzy nie kryli się ze swojemi sympatyami dla Juareza, co im oczywiście nie przeszkadzało ubolewać nad losem cesarza Maxymiliana. W Berlinie a *via* Berlin lub nawet bezpośrednio w Petersburgu miano niewątpliwie doskonałe informacye o tem tak silnem zaćmieniu gwiazdy napoleońskiej na horyzoncie amerykańskim i o tem zagwożdżeniu całej militarnej i dyplomatycznej powagi Francyi na gorącym gruncie mexykańskim. Jak łatwo tłumaczy się w takim razie wyniosły ton odprawy, danej Napoleonowi w r. 1863 przez księcia Gorczakowa w sprawie polskiej, jak spokojnym o Ren musiał być książę Bismarck przygotowując wyprawę na Austryę. Dobrej informacyi o stanie rzeczy nie miał tylko cesarz Maxymilian, gdy nie wierząc do końca, żeby go Napoleon miał opuścić, postanowił wytrwać w Mexyku, aby — skończyć pod kulami Juarezowskiego plutonu egzekucyjnego na Cerro de la Campona pod Queretaro, dobrej informacyi nie mieli i ci, którzy w r. 1863 słysząc z Tuileryów owo fatalne *durez*, ciągłą zachętę do dalszej hekatomby, zapowiadali w Warszawie pewną interwencyę francuską na zgubę nieszczęśliwego społeczeństwa polskiego.

Swoją drogą Napoleon nie był szczęśliwy w wyborze władzcy dla podbitego Mexyku. Pod tym względem Schmit-Tavera nie objaśnił dostatecznie sytuacyi, albo raczej objaśnił ją tylko z jednej strony. Kierowany bowiem za daleko posuniętym — chociaż zresztą bardzo zrozumiałym i chwalebnym — pietyzmem dla pamięci cesarza Maxymiliana wypukle przedstawił tylko jego niepospolite przymioty ducha i serca a resztę pozostawił w cieniu, niedopowiedział, lecz kazał niejako samemu czytelnikowi wyrobić sobie sąd własny z obficie w faktach i dokumentach dostarczonego materyału. W cesarzu Maxymilianie łączyły się z rozległym horyzontem wiedzy, pomysłów i poglądów, podniosłość aspiracyi i dążeń, skrupulatne, w danym razie do ofiarności posunięte pojmowanie obowiązków monarszych, osobista abnegacya, nawet heroiczna gotowość do największego poświęcenia dla wyższych celów, czego dowody złożył kilkakrotnie ponawianą próbą wejścia w komplanacye z zaciekłym przeciwnikiem swoim, Juarezem, dla pacyfikacyi kraju i gotowością do bezwarunkowego poddania się woli narodu przez wybrane *ad hoc* zgromadzenie narodowe wypowiedzianej, wreszcie całem postępowaniem w chwili pokonania, gdy zdradzony w Queretaro przez swojego adjutanta pułkownika Lopeza i wtrącony do więzienia zwrócił się do swoich zwycięzkich wrogów z uroczystą

prośbą, ażeby zadowolili się jego śmiercią a zaniechali dalszego rozlewu krwi w szeregach jego armii i w kraju.

Ale cesarz Maxymilian nie posiadał świadomej celu i jedynie do wytkniętego celu zmierzającej stanowczości w postanowieniach ani tej nieugiętej energii woli w działaniu, która każe drogą najkrótszą zdążać do celu bez oglądania się na skrupuły, pochodzące z marzycielskich lub doktrynerskich motywów. A właśnie na nieszczęście cesarza takie przymioty posiadał w wysokim stopniu, nawet z ujmą dla moralnych czynników rządu i władzy, aż do granic dzikiej bezwzględności, zwycięzki przeciwnik cesarstwa, prezydent Juarez, zwycięzki po kilkuletniej nierównej walce, wśród której wypadło mu nieraz tułać się bez wytchnienia z małym oddziałem wojska z miejsca na miejsce, aby ujść pogoni już na karku mu siedzącej. Sam cesarz Maxymilian kilkakrotnie publicznie wyraził swój podziw dla tej zapamiętałej wytrwałości Juareza, czem pośrednio uznał, że czuje się w działaniu niższym od niego. Tem więcej mógł cesarz Maxymilian podziwiać tę zapamiętałość Juareza, ile że do ostatniej chwili polegając na szczerości całego stosu ekscesów, otrzymanych z Mexyku jeszcze w Miramar a jak się teraz pokazuje podyktowanych przez Bazaine'a pod osłoną bagnetów francuskich, święcie w to wierzył, że ogromna większość ludności mexykańskiej oświadczyła się za instalacyą monarchii i za jego powołaniem na tron cesarski.

Cesarz Maxymilian byłby zabłysnął w historyi na tronie państwa z uregulowanym aparatem konstytucyjnym np. na tronie angielskim. W pół barbarzyńskim Mexyku ówczesnym, zawichrzonym od lat kilkudziesięciu krwawemi rewolucyami, zdezorganizowanym i zdemoralizowanym w całym ustroju społecznym od góry do dołu przewrotami z egoistycznych pobudek pochodzącemi, zdolność rządzenia w stylu indyańskim, jak u Juareza, musiała uzyskać przewagę nad tak świetną nawet inkarnacyą liberalno-konstytucyjnych cnót monarszych, jaką niewątpliwie cesarz Maxymilian przedstawiał.

Już powyższa charakterystyka stosunków i osób tłumaczy fatalne koleje i upadek cesarstwa mexykańskiego. Zaczęło się od kapitalnego błędu w sprawach kościoła katolickiego, błędu, który na samym wstępie taki rzucił cień na serdeczne przyjęcie przybyłego z Europy cesarza, że nawet w jego najbliższem i najżyczliwszem otoczeniu obudziły się najgorsze przeczucia. Cesarz Maxymilian był niewątpliwie dobrym katolikiem a jednak dla nieuchwytnych planów liberalno-politycznych wbrew widocznemu, najżywotniejszemu interesowi monarchii

i dynastyi odrazu zniechęcił do siebie stronnictwo katolickie. Prezydent Juarez dla uchylenia bankructwa republiki nietylko ograbił europejskich wierzycieli, czem w pierwszym rzędzie wywołał interwencyę obcą, lecz nadto pokonfiskował dobra kościelne, pozamykał klasztory, dotknął swojemi dyspozycyami do żywego całe duchowieństwo i t. d. czem tak oburzył i do republiki zniechęcił całe stronnictwo konserwatywne, że ono już od r. 1860 przez swoich reprezentantów w Paryżu i innych stolicach europejskich najpierw zainicyowało i propagować zaczęło ideę obwołania w Mexyku monarchii z członkiem katolickiej dynastyi, przedewszystkiem habsburgskiej, na tronie. Uważało tedy stronnictwo katolicko-konserwatywne wyniesienie arcyksięcia Maxymiliana na tron cesarski za swoje dzieło a zarazem za jedyne zbawienie dla swojej ciężko skołatanej ojczyzny i czekało na przybycie cesarza z gotowością do wszelkich usług, wysiłków i ofiar. Wiedział o tem cesarz Maxymilian w chwili obwołania cesarstwa w Miramar, skoro drogę do Mexyku skierował na Rzym, aby porozumieć się z Piusem IX w sprawach kościoła katolickiego swojej przybranej nowej ojczyzny.

Jakżeż niemiłe rozczarowanie zapanować musiało w kołach katolicko-konserwatywnych Mexyku, gdy cesarz Maxymilian stanąwszy tam zamiast zwrócić się do tych kół całkowicie sobie oddanych i naprawić krzywdy zadane kościołowi katolickiemu przez Jaureza, zaczął kokietować liberałów, ich menerów powołał do gabinetu na najbliższych sobie doradców a w konsekwencyi w sprawie kościoła katolickiego, mianowicie w sprawie zagrabionych majątków kościelnych, próbował półśrodkami sprowadzić połowiczne tylko załatwienie piekącej kwestyi. Na wulkanicznym gruncie mexykańskim wpatrzył się w historyczną postać Józefa II wśród jego eksperymentów liberalnych w Austryi.

Gdy w końcu stanął w Mexyku nuncyusz papieski Meglia dla sformułowania i sfinalizowania umowy ze Stolicą Apostolską, pokazało się, że cesarz Maxymilian wcale nie myśli tak postąpić, jak to po jego rozmowie z Ojcem św. w Rzymie wnosić należało, że mianowicie nie zamierza wprost uchylić dekretów konfiskacyjnych Juareza co do dóbr kościelnych, lecz tylko powoli i od wypadku do wypadku wyrównywać krzywdy stwierdzone. Pozostał wskutek tego otwarty konflikt z nuncyuszem, który na połowiczne propozycye zgodzić się nie mógł i rokowania zerwał. Za tym kofliktem poszedł oczywiście rozbrat ze stronnictwem katolicko-konserwatywnem. Zniechęcił tedy cesarz Maxymilian do siebie to silne i początkowo zupełnie mu oddane stron-

nictwo a za tę cenę nie uzyskał nawet tej korzyści, żeby mógł uważać stronnictwo liberalne za pozyskane dla cesarstwa i szczerze cesarzowi oddane. Przyjmowało ono fawory nowego władzcy z oziębłem zadowoleniem i chłodnem wyrachowaniem, a w duchu zawsze lgnęło, wyjąwszy szlachetniejsze i więcej zaangażowane jednostki, do republiki i Juareza. Przy końcu panowania dopiero, gdy tron zachwiał się do głębi a Bazaine rozpoczął już przygotowania do odwrotu z całym korpusem ekspedycyjnym, cesarz Maxymilian za wpływem ks. Fischera, który po Belgijczyku Eloinie został szefem kancelaryi gabinetowej i posiadł zupełne zaufanie monarchy, zrobił zwrot stanowczy ku stronnictwu katolicko-konserwatywnemu. Znalazł w niem i teraz wszelką gotowość do usług i ofiar bez żalu z powodu doznanego poprzednio zawodu, ale na rezultat spodziewany pora była już spóźniona, gdyż tymczasem oddziały Juareza, ośmielone cofaniem się wojsk francuskich i wzmocnione zbiegami z wojsk cesarskich, wśród których jak wogóle w ówczesnym Mexyku zdrada nietylko w uroczystej formie pronunciamentów, lecz nawet w ohydnej, nagiej postaci, stanowiła zjawisko zwyczajne, opanowały znaczną część kraju a nawet zaczęły okrążać stolicę.

Schmit-Tavera, który kokietowania ze stronnictwem liberalnem, za błąd wyraźnie nie uznaje i jest niechętny ks. Fischerowi, prawie ubolewa nad tym ostatnim zwrotem w rządach cesarza Maxymiliana. Tymczasem pietyzm dla tego prawdziwego męczennika wzbudzać powinien raczej żal, że ks. Fischer lub inny doradca tych samych przekonań nie posiadł całego zaufania cesarskiego od pierwszej chwili jego rządów.

Że marzycielski i doktrynerski nastrój cesarza Maxymiliana, niemało przyczynił się do jego upadku, tego Schmit-Tavera nie powiedział, ale to śmiało powiedzieć można na podstawie szczegółów przezeń przytoczonych. Kiedy dokoła wrzała krwawa, nawet dzika walka, kiedy troska o skarb pusty i wojsko nie zaopatrzone dostatecznie w najniezbędniejsze potrzeby zaprzątało całą uwagę rządu, cesarz Maxymilian nawet w tak ciężkiej chwili nie zaniechał wydawania ustaw i rozporządzeń konstytucyjno-organizacyjnych o sądownictwie, szkołach itp. Formalnie zapracował się w tej mierze, bo nawet noce spędzał nad takimi elaboratami. Złożyłyby się one razem pewnie na taki zbiór, jakim nie mogłoby się pochwalić niejedno państwo europejskie w trzyletnim okresie pokoju z uregulowaną administracyą, z uporządkowanym skarbem i z dobrze zorganizowaną armią. W tej pracy cesarz

Maxymilian odrywał się na zgubę swoją od smutnej rzeczywistości tak dalece, że czasem zdaje się, iż szukał w niej po desperacku zapomnienia, środka znieczulającego na troski do rozpaczy przyprowadzające. Tak tylko np. tłomaczyć można fakt, że cesarz o regulaminie dla dworu spisał cały foliant, który niezawodnie mógłby zaimponować nawet ochmistrzowi dworu madryckiego, ale w Mexyku w danej chwili stanowił jaskrawy anachronizm. W miarę, jak praca nad tym regulaminem postępowała, coraz wyraźniej wypadki mówiły, że nie potrzeba regulaminu, bo wkrótce — już samego dworu nie będzie. A zresztą dla kogo trzeba tu było pisać taki regulamin? Sam cesarz w podróżach swoich po kraju mógł się przekonać, że poza stolicą niejeden dygnitarz miejscowy albo nie wiedział wcale, jak się obchodzić z łyżeczką i widelcem, albo wziąwszy w tej mierze na prędce lekcyę informacyjną, nie umiał z niej w praktyce skorzystać. Przy jednym z takich obiadów pewien gość tego rodzaju z miną uroczystą konsumował porter łyżeczką a potem znowu drugi gość ceremonialnie dobierał się do winogron widelcem!

Czy po tej nieszczęsnej wyprawie mexykańskiej i tradycyjnym epizodzie cesarstwa pozostał przynajmniej w Mexyku jaki widomy ślad cywilizacyjnej misyi i pracy Europy? Z książek Schmita-Tavery i pod tym względem wysnuć trzeba najprzykrzejsze wnioski. Na polu walki zapanowała z biegiem wypadków taka masakra, że Juaryści mogli głośno Francuzów obwiniać o to, iż deptają prawa wojenne świata cywilizowanego. Działo się to oczywiście za plecyma i wbrew intencyom szlachetnego Maxymiliana, ale jego krwawym kosztem. Kiedy bowiem w Queretaro dostał się do niewoli, Juarez mógł już nie troszcząc się o opinię świata cywilizowanego postąpić z nim po barbarzyńsku. Kazał go osądzić albo raczej zasądzić przez niewolniczo posłuszny jego woli trybunał wojenny na podstawie drakońskiej ustawy proskrypcyjnej wydanej w gorącej chwili walki i nie stosującej się do czynów zarzuconych cesarzowi a podlegających trybunałowi stanu. Sami prawnicy mexykańscy oburzali się na to jaskrawe pogwałcenie prawa przez republikę liberalną. A sposób wykonania wyroku śmierci! Ogłoszono go cesarzowi i wiernym towarzyszom jego, generałom Miramon i Mejia 16 czerwca 1867 rano z dodatkiem, że ma być wykonany tegoż dnia o godzinie 3 po południu. Kiedy skazani już się pożegnali i wyszli z cel swoich, aby odsłonić pierś na kule, zakomunikowano im o $3^1/_2$ decyzyę Juareza, że wyrok wykonany będzie dopiero 19 czerwca, aby cesarz mógł wydać swoje dyspozycye przedśmiertne.

Rozbestwienie na polu walki dałoby się jeszcze w danych stosunkach, jeżeli nie usprawiedliwić to przynajmniej wytłómaczyć. Ale plamą na cywilizatorskim programie ekspedycyi europejskiej, która miała Mexyk odrodzić i podnieść, pozostaną brudy finansowe i administracyjne, które Schmit-Tavera odsłonił całkowicie, wiedząc dobrze, że z tego nic przylgnąć nie może do czystej jak kryształ postaci cesarza Maxymiliana. A brudną była przedewszystkiem już sama likwidacya pretensyi francuskich, skoro główna z nich, bankiera Jeckera, później z łatwością zlikwidować się dała na 40% pierwotnej sumy. Podnosząc hasło moralnej i politycznej regeneracyi w społeczeństwie, w którem w pół wiekowej wojnie domowej rozprzęgły się wszelkie węzły, prawa i moralności tak, że zdrada i przeniewierstwo stały się codziennym objawem, powinna była Francya otoczyć cesarza Maxymiliana pomocnikami przeświecającymi uczciwością i obowiązkowością. A tymczasem sam Bazaine dawał powód do zgorszenia tym, którzy na seryo brali hasło regeneracyjne wyprawy europejskiej. Głośno np. mówiono o tem, że Bazaine korzystając ze służącej mu wolności od cła sprowadzał pod swoim adresem towary z Francyi i sprzedawać je kazał na swój rachunek w modnym magazynie „el triumpho". Sam cesarz Maxymilian mówiąc o wymarszu korpusu francuskiego dodał, że Francuzi wynieśli się pozostawiwszy wiele brudu po sobie a ich marszałek (Bazaine) „przed wyjazdem sprzedał meble należące do rządu i powóz od rządu pożyczony". Jeszcze więcej rażącym jest dalszy fakt przez Schmita-Taverę przytoczony. Kiedy cesarz Maxymilian widząc korupcyę w mexykańskim świecie urzędniczym chciał go odświeżyć siłami z Europy sprowadzonemi, zwrócił się o to do Napoleona, pragnąc przedewszystkiem otrzymać dobrego organizatora i dyrektora policyi. Przysłano mu z Paryża korsykanina Galloni d'Istria, który nietylko rozsiewał o cesarzu plotki romantycznego pokroju, lecz prowadził takie skandaliczne życie i dopuszczał się tak krzyczących szalbierstw, że aż sam Bazaine widział się spowodowanym zażądać w Paryżu odwołania tego indywiduum. Przytoczyliśmy tylko najwięcej rażące przykłady. Materyał, jaki w tej mierze książki Schmita-Tavery zawierają, jest zbyt obfity, żebyśmy go tutaj streścić mogli.

Schmit-Tavera mówi, że Sedan i Metz w r. 1870 stanowiły akt odpłaty za Mexyk i cesarza Maxymiliana. Cóż z tego, kiedy ta odpłata bynajmniej nie wyrównała niedoborów moralnych i politycznych, jakie wynikły z wyprawy mexykańskiej. Ci, którzy dokonali wrzekomej odpłaty dziejowej wcale nie zatarli postępowaniem swojem w in-

nych częściach świata plamy, jaką wyprawa mexykańska stanowi w historyi cywilizatorskiej roli Europy. Trzebaż jeszcze przypominać takie świeże plamy w tej historyi, jak dzikie postępowanie kolonizatorów niemieckich w Afryce, jak słynne *Hunnenbriefy* z Chin? A niedobór polityczny Europy wobec Ameryki wzrósł ogromnie właśnie po owej odpłacie historycznej na pobojowiskach francuskich. Napoleon najeżdżając Mexyk sprowokował Amerykę zapowiadając, że zamierza tam odrodzić i podnieść rasę łacińską. Bohaterowie owej odpłaty dziejowej wyprawiając się niedawno z innemi państwami europejskiemi przeciw słabej Venezueli na egzekucyę swoich pretensyi finansowych nietylko nie podnieśli tonu prowokacyjnego, lecz przeciwnie oglądali się ciągle lękliwie na gabinet washingtoński, nawet sumitowali się przed nim, wkrótce potem wysłali za Ocean brata cesarskiego z różnymi komplimentami i prezentami *ad captandam benevolentiam* Stanów Zjednoczonych i wreszcie w tej samej intencyi nawet młodego miliardera Vanderbilta, przybyłego w roli zwykłego turysty do Gdańska, przyjmowali oficyalnie z honorami jakby księcia domu panującego!

*Dr. B. Łoziński.*

**Que faire de la vie?** Aux jeunes. *A. Bitot.* Paris. V. Retaux. 1903. Str. VI + 251.

Literatura francuska posiada liczne już dzieła poświęcone młodzieży, postawionej, po ukończeniu szkół średnich, wobec trudnego nieraz zadania obioru stanu. Bitot dorzuca do nich dziełko nowe; czy nie zbyteczne? Musimy odpowiedzieć, że nie. Kiedy bowiem takie książki, jak d'Huges le Roux'a *Nos Fils*, *de* Vuibert'a *L'annuaire de la jeunesse*, *de* Charton'a *Le dictionnaire des professions*, pouczają młodzież o znaczeniu, obowiązkach i trudnościach różnych powołań, głównie z ich praktycznej, materyalnej strony, to dziełko „*Que faire de la vie*“ obejmuje zakres idealniejszy, o wiele szerszy. Ono chce wskazać, jak wprowądzić w życie tę wielką myśl, którą wyraził Lacordaire w liście do pewnego młodzieńca: „*Ne dites pas: je veux me sauver. Dites: je veux sauver le monde. C' est là le seul horizon digne d'un chretien*“ (słowa przyjęte za motto naszej książki). Zwraca się zaś autor do młodzieży katolickiej, przed którą otwiera się dzisiaj we Francyi pole pracy poważnej i trudnej.

Przyjęta przez autora metoda rozpatrywania różnych powołań z podwójnego stanowiska: o ile one pomagają do zbawienia duszy, i o ile dają sposobność do pracy nad poprawą i zbawieniem innych,

groziła monotonią, szablonem w układzie. Autor jednak szczęśliwie uniknął tego szkopułu, wprowadzając do utworu obok wykładów listy, rozmowy, biografie wybitnych postaci, z ostatnich czasów. Na tle, w ten sposób urozmaiconem, poznajemy powołanie ziemiaństwa, kupiectwa, przemysłowców, inżynierów, urzędników, konsulów i ambasadorów, uczonych, artystów, lekarzy, żołnierzy i majtków, wreszcie duchowieństwa. Ich wszystkich pojmuje autor jako ludzi z przekonaniem i zasadami katolickiemi, które w swoje życie wcielają i z poświęceniem krzewią. To ostatnie, podnoszone zawsze z wielkim naciskiem, odnosi się nie tylko do szerzenia pobożności, przestrzegania praktyk religijnych, ale obejmuje akcyę społeczną tak, jak ją pojął i rozwinął Leon XIII. Dużo nauk, wskazówek, pobudek i ostrzeżeń dotyka praktycznej strony kwestyi socyalnej.

Co się tyczy ogólnego poglądu autora na obiór stanu, to raz w wstępnym rozdziale p. t. „*La profession des parents*“ oświadcza się za pewnego rodzaju dziedzicznością w tym względzie. Syn, który podejmuje zawód swego ojca, korzysta od razu ze znajomości i doświadczenia, o tyle korzystniejszych, że nabywanych od wczesnej młodości. Zresztą, opracowanie przedmiotu cechuje gorąca i głęboka wiara, znajomość życia społecznego i jego potrzeb, i ta żywa miłość ojczyzny, która nie dopuszcza zniechęcenia, lecz każe pracować nad jej podniesieniem z upadku do dawnej świetności.

*M. B.*

**Čtenia v istoričeskom obščestvê** *Nestora Lêtopisca,* rocznik XV, 1901 r., rocznik XVI, 1902. Kijów.

Jak wiadomo, dużo jest w Rosyi historycznych czasopism, ale „odczyty w historycznem towarzystwie imienia kronikarza Nestora“, wychodzące w Kijowie, zasilane przeważnie siłami literackiemi Uniwersytetu ś. Włodzimierza, — należą do bardziej wybitnych i zdobyły sobie od dawna uznanie i poważne stanowisko.

Każdy rocznik składa się z pięciu działów: kroniki towarzystwa, ze sprawozdaniami z odczytów (w streszczeniu), monografij historycznej i literackiej treści, materyałów historycznych, bibliografii, notatek historycznych z różnemi wiadomościami fachowemi.

Podajemy krótkie sprawozdanie z dwóch ostatnich roczników, uwzględniając rzeczy więcej nas interesujące.

Rocznik XV.

Dowiadujemy się tu, że do 15 marca 1901 roku było członków

w tem towarzystwie honorowych w Kijowie 6, rzeczywistych 58; po za obrębem Kijowa honorowych 9, rzeczywistych 51 (pomiędzy nimi— Aleksander Jabłonowski, Zygmunt Luba-Radzimiński); za granicą Rosyi: honorowych 2 (X. Petruszewicz ze Lwowa i profesor Jagicz z Wiednia), a rzeczywistych 6 (w liczbie ich dr. Prochaska i profesor Hruszewski), więc wszystkich razem 132.

Z referatów, mogących nas zająć, zasługują na wymienienie: Oresta Lewickiego o familijno-jurydycznych zwyczajach w Małorosyi w drugiej XVIII w. połowie; Michała Jasińskiego o radzie w W. X. L. jako wyższem sądownictwie; Teodora Titowa o walce pomiędzy kijowskim archiepiskopem i białoruskimi władykami w XVII i XVIII w. z powodu władzy nad zagranicznymi monasterami; Jan Kamanin referował o wycieczce archeologicznej do powiatu taraszczańskiego i czyhryńskiego w lecie w 1901 roku; Włodzimierz Szczerbina — o takiejże wycieczce w tymże czasie w humańskie i wasylkowskie.

Tenżesam Kamanin umieścił w tym roczniku zajmującą monografię o Piotrze Sahajdacznym, hetmanie kozackim (3—33); Mikołaj Daszkiewicz ciekawe studyum o Rycerstwie na Rusi w życiu i w poezyi (129—150), a także o najstarszej redakcyi Enejdy Kotlarewskiego (33—43); Mikołaj Ogłoblin podał przyczynki do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego w 1812 roku (43—49 i 83—89).

Pomiędzy wydrukowanymi tu materyałami ważniejsze są: przyczynki do dziejów własności ziemskiej w Czernihowszczyźnie i Siewierszczyźnie 1603—1645 r., które zawierają — akt nadawczy Zygmunta III osterskim bojarom, Michałowi Hładkiemu i bratu jego, Tytusowi, akt potwierdzający przedaż Pereckowszczyzny przez Hlebowiczów-Perockich Mikołajowi Bakuryńskiemu, akt Władysława IV, potwierdzający posiadłości Daniczów, list bezpieczeństwa wydany przez Władysława IV Borysowi Hraznemu, potwierdzenie praw własności w Szukowszczyźnie Daniczom i Masłowiczom przez Władysława IV, potwierdzenie władania ojczystą ziemią Michałowi, Józefowi i Eliaszowi Rubcom, szlachcie starodubowskiej (3—16); materyały do historyi finansów w Małorosyi w XVII i XVIII w. (20—24) dokumenty do rządów hetmana Sahajdacznego (123—177), przyłączono do tego dwa portrety Sahajdacznego i podobiznę pieczęci wojska zaporoskiego z r. 1622; akta o cechach w Małorosyi 1622—1645; przyczynki do dziejów handlu konopiami Małorosyi z za granicą w XVIII wieku (34—39).

Interesujący jest Mikołaja Pietrowa opis manuskryptów sofijskiej

biblioteki w Kijowie (21—34), a A. Łazarewskiego o kozakach ukraińskich w ostatniej XVII wieku ćwierci (64—678), jakoteż Oresta Fotinskiego o stosunkach familijnych i społecznych w ostatnich latach istnienia Siczy Zaporoskiej (3—15).

Zasługuje na uwagę wiadomość podana przez J. Kamanina o dwóch księgach cerkiewnych (ewangelij zbiorze), drukach moskiewskich, które do Polski przywędrowały. Ewangelia, drukowana w Moskwie 1605—1606 r., była wzięta przez Aleksandra Podhorodeńskiego, będącego z wojskiem polskiem 1611 roku w Moskwie i ofiarowana, razem z innymi aparatami kościelnymi, do cerkwi w majątku Podhorodeńskiego, w Podhorodnej, z tem, aby tam „na wieky" została; syn Aleksandra, Waleryan, potwierdził tę ofiarę ojca i od siebie dał tej cerkwi „krzysz złocisty s kamieńmy"; teraz ta księga znajduje się we Włodzimierzu na Wołyniu w t. z. drewniechramiiszczu bractwa dyzunickiego. Druga księga, także ewangelia, wytłoczona w Moskwie w 1815 roku, była własnością obozowej cerkwi dragonów kazańskich, których zwyciężył pod Puławami pułkownik Łagowski dnia 2 marca 1831 roku; zabrał on tę księgę i następnie była ona złożona w bibliotece puławskiej; na tej ewangelii są podpisy: Wincentego Niemojowskiego, Teofila Morawskiego, Joachima Lelewela, orzekających, że ta księga, zdobyta i przeznaczona do zbioru w Puławach pamiątek; potem, gdy Puławy były zdobyte i zrujnowane, owa ewangelia znowu powróciła do tegoż pułku i teraz jest w Taraszczy (miasto powiatowe w gubernii kijowskiej), gdzie pułk ten konsystuje.

We wiadomościach o naszych książkach są recenzye: Józefa Dunina-Karwickiego — z zamglonej i niedawno minionej przeszłości; Fr. Rawity-Gawrońskiego — Studya i szkice historyczne, serya II; J. K. Kochanowskiego — Dzieje Akademii Zamojskiej; sąd o tych dziełach, wogóle, dość jest przychylny i dodatnie ich strony uwydatnione.

Rocznik XVI.

W przeszłym roku obchodzono w Rosyi 50-letni jubileusz śmierci Hohola, znanego pisarza, rodem z Małorosyi, więc redakcya owych „Odczytów" dwie trzecie części swego czasopisma w tym roczniku poświęciła studyom o Hoholu-Janowskim, wskutek czego rocznik ten niema tej rozmaitości i doniosłości, co poprzedni.

Oprócz mnóstwa prac i artykułów, mających na celu dzieła Hohola i jego literacką czynność (z ilustracyami), niewiele już mamy do zanotowania o tym roczniku.

Ciekawe są jednakże tu streszczenia z odczytów o Boreckich w Nowogrodzie wielkim (studyum Ikonnikowa); o dekabryście S. Wołkońskim przez Wasilenkę; o bractwach cerkiewnych na Rusi zachodniej przez W. Zawitniewicza. Jest tu koniec rozprawy zajmującej Daszkiewicza o „Rycerstwie na Rusi w życiu i w poezyi“ (14—24), a Jasiński opracował o sposobie liczenia godzin w Polsce i Rusi w XVI—XVIII stulecia (24—40).

Podane w tym roczniku uniwersały hetmańskie z r. 1677—1717 w kwestyi miejskiego gospodarstwa w Kijowie (73—83); świadectwa starodawnych ludzi, tyczące się praw własności ziemskiej w Czernihowszczyźnie w dawnych wiekach (84—101) i inne mniejszej już doniosłości.

W dziale bibliograficznym jest opisane rzadkie bardzo dzieło Joanicyusza Halatowskiego (znanego rektora akademii kijowsko-pieczarskiej, a później archimandryty), wydane według wszelkiego prawdopodobieństwa w Czernihowie (bez roku i miejsca druku) p. t. „Rycerz prawosławno-catolickiey cerkwi wschodniey rycerzowi kościoła rzymskiego na iego Refutacią napisaną przeciw Rozmowie Białocerkiewskiey Oyca Joanicyusza Galatowskiego z Xiędzem Hadrianem Piekarskim *De Hierarchia ecclesiae* mianey odpowiadać; z typographiey wyszedł“. Znany biograf Halatowskiego, profesor Sumcow, przyznawał, że tego dzieła nigdzie nie mógł znaleść i uważał je za utracone, a tymczasem dało się ono odszukać. I druga notatka bibliograficzna o drukowanym arkuszu w 1683 roku w Kijowie z drzeworytami męki Pańskiej, co także nie tak często się napotyka.

*Wołyniak.*

**The story of a country gentleman and his family** by *Msr. Oliphant* II vol. Tauchnitz ed.

**The visits of Elisabeth** by *Elinor Glyn.* London. Duckworth & Co. 1901. (Str. 309).

Dzieje „obywatela wiejskiego i jego rodziny“ wprowadziłyby nas w Polsce w stosunki gospodarcze, dowiedzielibyśmy się wiele zasadził ziemniaków, jak mało zebrał pszenicy, wiele zaorał żyta i.. wiele winien kasie podatkowej lub bankowi. W Anglii o tem niema mowy. Co najwyżej autor dotyka mniej lub więcej korzystnego wydzierżawiania poszczególnych parceli i na tem koniec. W książce pani Oliphant pełnej uczucia i myśli, główna treść toczy się około drugiego zamęścia młodej wdowy pozostałej na straży wielkiego nazwiska, wielkiej, za-

chwianej przez męża fortuny i małego, wątłego, ponad wiek, na pewnych punktach rozwiniętego chłopczyka. Chłopiec przywykł od urodzenia być wszystkiem dla matki a tu niespełna w dwa lata po zgonie ojca widzi, że musi ustąpić z pierwszego miejsca dla młodego sąsiada. Biedactwo usuwa się w milczeniu ale w serduszku jego odgrywa się smutna tragedya, mniej wszakże bolesna, niż w sercu matki, która uległszy niezbyt głębokiej miłości, musi każdego dnia przechodzić przez walkę sprzecznych obowiązków, coraz to cięższą, bo wymagania męża wzrastają, potęgowane zazdrością. Powieść kończy się smutno, gdyż mąż znużony przyjętą zrazu z entuzyazmem rolą „księcia Consorta“ zmusza ją do wyboru między nim a synem i w sercu matki zwycięża syn, zwycięża poczucie obowiązków, które w chwili wdowieństwa przyjęła. Czytelnik prawie rad takiemu rozwiązaniu, choć autorka nic nie przesadza, nic nie poetyzuje, tylko myśli i czuje głęboko. W książce uderza też jedno zdanie, gdy po śmierci uczciwego, ale obojętnego w wierze człowieka, żonie staje w myśli pytanie: czy to możliwe by nic pośredniego nie było między tą ostatnią filiżanką bulionu a wiecznem *Gloria in excelsis.*

*The visits of Elisabeth* — to znów powieść wielce modernistyczna w formie starej — a raczej nie powieść wcale tylko serya listów młodej panienki, którą matka, zatrzymana w domu stanem zdrowia, posyła w odwiedziny do przeróżnych krewnych w Anglii i Francyi. Listy pełne naiwności i życia; śliczna Elisabeth umie wybornie obracać się w świecie i samą nieświadomością złego wywinąć się z przykrych sytuacyi, w których byłaby uwięzła mniej niewinna a zarazem mniej sprytna istota. Krewni jej tak w Anglii, jak we Francyi należą do najwyższych sfer towarzyskich; listy zatem datowane są z różnych zamków, każdy o odmiennym typie zwyczajów, mieszkańców i gości. Opisy zabawne ale bardzo złośliwe, ogólny poziom moralny dość nizki, mężczyźni, prócz paru starców, niezbyt dobrze wychowani, kobiety płoche lub śmieszne i nudne — tak, iż gdyby ów świat był w istocie podobnym do opisanego trudnoby pojąć matkę puszczającą weń bez opieki 17-letnią dziewczynę. Pono istnieje drugi tom zawierający listy tej matki w odpowiedzi pisane — bardzo światowe i płytkie, choć mniej od listów córki zabawne. Nad temi można się uśmiać; są one jednym z objawów najnowszej literatury angielskiej silącej się z pełnem powodzeniem na lekkość pióra dotąd samym Francuzom właściwą.

*T. Wodzicka.*

# ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

I. **Cztery portrety rodziny Oswięcimów** w kościele OO. Franciszkanów w Krośnie. II. **Kilka polskich portretów** z końca wieku XVIII. Przez *d-ra Jerzego Mycielskiego*, prof. Uniwersytetu Jagiell Kraków. Nakładem Tow. opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury. 1903.

Świeża publikacya hr. Jerzego Mycielskiego zawiera w pierwszej połowie szkic o kaplicy Oświęcimów w krośnieńskim kościele OO. Franciszkanów, mającej wraz z kościołem uledz całkowitej restauracyi. Wobec tej zawsze niebezpiecznej ewentualności Tow. Ochrony zabytków sztuki zajęło się losem portretów familijnych zawartych w kaplicy. Dwa najpiękniejsze, przedstawiające fundatora, Stanisława Oświęcima i tegoż piękną siostrę Annę, o których tak fantastyczne rozpisano bajki, musiały dla gruntownej naprawy powiezione być do Berlina. Pozostałe cztery, wyobrażają ojca Stanisławowego, Floryana, w wieku sędziwym, tegoż dwie żony: Reginę Slaską, niemłodą, bardzo brzydką, w bogatych sukniach i czepcu zakonnym — i Barbarę Szamotównę, młodą elegantkę, niezbyt sympatycznie odbijającą przy pięknej a poważnej siwiznie męża. Obok niej drugi jej pasierb, brat Stanisława, też niesympatyczny ze swą do zbytku wygoloną głową i rzadką, jakby wyskubaną brodą. Wszyscy ci państwo strojni w jedwabie, aksamity, złote hafty i perły, jak to w XVII wieku chodzono; pod każdym portretem atoli wypisany czterowiersz z *Dies irae*, dodaje ich postaciom wiele patetyczności, świadcząc u fundatora o głębi owego nieśmiertelnego uczucia, które przenosi się z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie i daj Boże trwać będzie u nas do skończenia świata.

Druga część przenosi nas w wesoły formą a smutny treścią wiek XVIII. Tu inny świat, inni ludzie, typy od poprzednich odmienne, jak gdyby ich nie sto, ale pięćset lat dzieliło, co zresztą w znacznej części na karb sposobu malowania złożyć należy.

U wstępu witają nas dwa cudne obrazki ze zbiorów hr. Henryka Steckiego: dwie piękne siostry nieszczęsnej Gertrudy Komorowskiej, Kordula Teodorowa Potocka, wojewodzina bełzka (1790), pendzla Lampiego i Antonina Eleonora Józefowa Glińska (1792). U pierwszej znać usiłowanie powagi, przeciw której protestuje uśmiech figlarny przeciskający się na szczelnie zamknięte usta; u drugiej więcej kokieteryi i pewności siebie, rysy subtelniejsze, uśmiech ironiczno-wykwintny: ta nie dałaby się jak siostra porwać i utopić! Musiała tworzyć dobraną parę z Józefem Augustem Glińskim, którego cienkie rysy Józef Grassi równocześnie z jej portretem malował. Bardzo charakterystyczny typ dworaka XVIII w., znać w twarzy, iż będzie umiał ocenić artystyczne skarby, które mu podaruje cesarz Paweł za pośpiech w przyniesieniu wesołej wieści o śmierci Katarzyny II! Grassi również malował portret jego brata, młodziutkiego inspektora kawaleryi koronnej, Janusza Stanisława, poległego w ostatniej wojnie Rzeczypolitej w r. 1792. I to znów typ, ale całkiem odmienny; wyraz zadumy rzucony jak welon na okrągłą

twarz niemal dziecinną: dobrze mu się stało, że padł na polu chwały zanim swój młody urok utracił. Wśród tych portret hetmanówny Sosnowskiej, ukochanej przez Tadeusza Kościuszkę. Tradycya rodzinna uczy, iż nakłaniana przez ojca do zaślubienia księcia Józefa Lubomirskiego, uciekła do klasztoru. Stąd wywabiono ją fortelem, nasyłając pod jej okna żebraczkę, której jęki i płacz, wołania o pomoc skłoniły panienkę do wyjścia ze swego schronienia. Porwana przez zaczajonych ludzi i odwieziona do ojca zastała czekające nań welon ślubny i — rózgi. Rada nie rada poślubiła księcia Lubomirskiego i piękność swą przelała na syna, słynnego z urody, księcia Henryka. Obraz jej wszakże zachowany w Krysowicach u hr. St. Stadnickiego nie zda się wyobrażać kobiety szczęśliwej. Rysy aż nazbyt cienkie noszą cechę długiego cierpienia; nie można sobie tej twarzy wykwintnej a inteligentnej wystawić ze śmiechem na ustach. Grassi trzymając się tu jak w innych swojej angielskiej maniery umiał z tej postaci piękny obrazek utworzyć. I na tem koniec — chwilowo. Jeżeli za tym zbiorkiem pójdą inne jeszcze podobne, zwolna utworzy się galerya polskich portretów ciekawa, piękna a każdemu dostępna.

*T. W.*

Biblioteka *Prawdy*. Kraków. 1903:

**Pogadanki o księgach gruntowych i o katastrze.** Ułożył *Mieczysław Szybalski*.

**Wiadomości o należytościach skarbowych** ze szczególnem uwzględnieniem spraw wiejskich. Zebrał *Dr. Teodor Kosch*.

Bardzo to pożyteczne książeczki. Mają one na celu rozpowszechnić wiadomości prawne o sprawach najwięcej lud wiejski dotykających, z któremi najwięcej ma do czynienia. Znający stosunki ludu wiejskiego wiedzą, ile to powikłań, sporów, procesów najzawilszych powstaje wskutek nieostrożności, nieznajomości przepisów ustawy. A i zaniedbanie uiszczenia należytości od aktów prawnych, względnie niezgłoszenie zdziałanego aktu do wiadomości władz skarbowych zdarzające się tak często rujnuje a przynajmniej podcina podstawy majątkowe u włościan, pociągając za sobą wysokie kary. Zapoznać lud wiejski z przepisami odnośnymi wzięli sobie za cel autorowie obu omawianych broszurek. Przyznać trzeba, że starali się przedmiot przedstawić przystępnie dla pojęć włościan, trafić w ich tok myśli, dostroić się do ich poziomu umysłowego. Takie popularyzowanie wiadomości prawnych, uprzystępnienie tego, co dla szerokiego ogółu wydaje się dotąd księgą zamkniętą, to posiew zdrowy, działalność społeczna bardzo dodatnia. Oby jak najrychlej wydała owoce.

*A.*

**Wśród ruin Grecyi.** *Stanisław Bełza*. Kraków. 1903.

Zamiłowany podróżnik i autor wielu opisów różnych krain tak Europy, jak i innych części świata, dzieli się obecnie z nami wrażeniami swemi z podróży do Grecyi. Entuzyazm, zachwyt dla starożytnej Hellady i tego, co ona nam choćby w resztkach swej sztuki przekazała, wieje z każdej karty opisu autora. Wrażenia podróżnika na widok pamiątek chwały i potęgi Hellenów nastrajają się na ton wysoki, dają obrazy piękne, w wielu miejscach wprost poetyczne. O nowej Grecyi powstałej po wiekowej niewoli pod

jarzmem tureckiem i odradzającej się, niewiele podaje nam autor; pamiątki starożytności zasłaniają mu wzrok, pogląd na teraźniejszość. A już zapał autora dochodzi do zenitu, tworzy symfonię słów, gdy przychodzi mu opisywać Akropol z jego zabytkami. *E.*

**Sny Maryi Dunin** (Palimpsest). **Pałuba.** *Karol Irzykowski.* Lwów 1903.

Te dwa dzieła autora bliżej dotąd nieznanego w literaturze, to rzeczy w wysokim stopniu oryginalne. Są to powieści a raczej pierwsza z nich nowela a drugie obszerniejsza powieść. Pierwsze wrażenie, jakie czytelnik odnosi po przewertowaniu tych utworów, nie usposabia go zbyt korzystnie dla autora. Od utworu powieściowego i noweli wymagamy pewnej lekkości formy, podającej treść choćby głęboką w sposób łatwy, zajmujący. Tego nie możemy powiedzieć o utworach omawianych.

Ale jeśli nie zniechęceni szatą zewnętrzną, zabierzemy się do zgłębienia treści dzieł tych, jeśli wejdziemy w myśli autora, czy treść ta wynagrodzi nam niedostatki formy? Naprzód „Sny Maryi Dunin". Autor opisuje tu dziwne jakieś stowarzyszenie, otoczone nimbem tajemniczych przyborów i obrzędów B. W. D. (tak wygląda jego urzędowa skrócona nazwa, znacząca: „Bractwo Wielkiego Dzwona"). Co to za ludzie, jaki cel tego bractwa? pyta ciekawy czytelnik. Autor usiłował, o ile widoczna, w utworze samym to wyjaśnić (str. 35–40), ale bez pomocy wyjaśnień zawartych w dopiskach trudnoby dojść do zrozumienia tego symbolu, przytem niełatwo odszukać związek między B. W. D., a historyą właściwą Maryi Dunin. Są to dwie prawie odrębne akcye, niemające wewnętrznych punktów stycznych z sobą. Więc albo jedna lub druga winna odpaść w interesie jednolitości utworu. Mielibyśmy prawo tego żądać zwłaszcza, że utwór ten jest krótki, a więc rozpraszanie go i rozbijanie tem mniej jest wskazane.

W zamian za to „Pałuba" jest utworem jednolitym, zneutralizowanym koło jednej akcyi. Akcya ta, jeśli wyciśniemy ją z obsłon filozoficznych, psychologicznych i t. p. jest bardzo prosta. Strumieński, adoptowany syn możnego pana, w podróży za granicę poznaje i poślubia malarkę Angelikę. Po powrocie do kraju przeżywa z nią rozkoszne chwile, póki ona nie ginie śmiercią samobójczą. Strumieński po jej śmierci rozpacza, otacza wprost bałwochwalczą czcią jej pamięć, a raczej uważając to sobie za obowiązek sili się na wymyślanie i wprowadzanie w czyn objawów czci i pamięci, przeważnie zbyt, powiedzmy łagodnie, oryginalnych. Ale powoli żal znika, pamięć Angeliki żyje w nim o tyle, o ile on ją gwałtem sobie narzuca, aż wreszcie prawie znika. Ale tu właśnie moment tragiczny. Strumieński wtajemniczył w ów kult Angeliki syna swego z drugiej żony, dla którego przeszczepienie weń tego kultu „Pałuby", bo tak zwie on obraz Angeliki, któremu z ojcem cześć bałwochwalczą oddawał, kończy się fatalnie.

Autor stoi na stanowisku przeciwnem Strumieńskiemu, występuje przeciw jego ideom, wykazuje sprzeczności w jego postępowaniu. Analiza psychologiczna postaci bohatera wcale trafna, szydzenie z pozy i pompy teatralnej, jaką Strumieński każdy czyn swój a często i myśli otacza, w gruncie rzeczy udaje się autorowi.

Ale autor w tem wysuwa za wiele na pierwszy plan swe zapatrywania, za dużo mówi od siebie, czem nuży czytelnika, któryby i bez tego może doszedł do tych samych wyników w rozumieniu i intencyi autora. Przytem autor występując przeciw bohaterowi, poszedł za daleko w kreśleniu jego działania, zamiast żywej postaci, czy choćby wcielenia typu stworzył dziwną karykaturę człowieka. Autor jest zdania, o ile to można widzieć z utworu, że Strumieński to natura w istocie zdrowa, która tylko usilnie chce pozować na nadzwyczajność, pragnie przybierać pozory człowieka przeczulonego, egzaltowanego. Ale wątpliwe bardzo, czy człowiek, choćby idący jak najdalej w egzaltowanych pomysłach, działał tak, jak widzimy u bohatera „Pałuby". Te misterye z „Pałubą" to za wiele nawet jak na wyskok chorej czy udającej chorą wyobraźni.

*A. B.*

**O szkodach polnych.** Pogadanka z dziedziny prawa. Napisana przez *M. Szybalskiego.* Biblioteka *Prawdy.* Kraków 1903.

Skromny dotąd w naszem piśmiennictwie zasób książek przeznaczonych dla ludu, wzbogaca się pracą, której tytuł podaliśmy na wstępie. Ma ona na celu zapoznać lud nasz z przepisami dlań może najkonieczniejszymi, których znajomość na każdym kroku jest wskazana, a nieznajomość może pociągnąć za sobą ujemne skutki. Wiadomo, że gospodarz wiejski na każdym kroku spotkać się może, że albo na swojem polu napotka cudze bydło lub przeciwnie przez niedozór lub z innych jakich powodów jego bydło znajdzie się na obcym gruncie. Wiedzieć musi, jakie w pierwszym wypadku ma uprawnienia, umieć ich nie przekroczyć, a z drugiej strony, jaka go w drugim czeka odpowiedzialność. Z przepisami ustawy w tym kierunku zapoznaje autor. Również i tych, co na wsi stoją na czele, wójtów i zwierzchność gminną poucza autor, jaką im daje ustawa w tym kierunku władzę, jak szeroką jurysdykcyę. Praca ta pisana znanym z „Pogadanki o księgach gruntowych" przystępnym sposobem zaleca się do rozpowszechnienia w szerokich kołach ludności wiejskiej obecnie coraz więcej umiejącej i łaknącej czytania.

*Bi.*

**Pamiętniki starego żołnierza** (1806—1814) *Antoni Białkowski* Wydał Wacław Tokarz. Warszawa 1903.

Nie pierwsze to pamiętniki z tej epoki i prawdę powiedziawszy nie najciekawsze. Autor to człowiek, jak to z całości widoczna, przeciętnej miary, bez szerszego zrozumienia poglądu na ówczesne stosunki. To też zdarzenia i wypadki, które opisuje, wychodzą blado, nie budzą, jako przeważnie znane, większego zainteresowania, jakby wyjść mogły przedstawione przez człowieka głębiej na nie patrzącego. Autor opisuje po prostu to, co widział i przebył: w tem jednak myli się też nieraz, przemieniając epizody np. jednej bitwy z drugą, podając za fakt to, co prawdopodobnie krążyło jako plotka obozowa i t. p. Zdarzenia wojenne, bitwy, opisuje z punktu widzenia oficera niższego stopnia, kreśli ruchy i czyny najbliższych mu oddziałów. Przytem zdradza się wielokrotnie z osobistą niechęcią do tych lub owych osobistości i stronniczo zabarwia i przekręca obrazy prawdziwych zdarzeń. Ta strona pamiętników jest

najbardziej interesująca, gdyż maluje najlepiej psychologię umysłów i zapatrywania ludzi z owej epoki pokrewnych zapatrywaniami i sympatyami autorowi. A druga strona interesująca pamiętników, to opis scen drobnych z ówczesnego życia żołnierskiego. Z tych dwóch względów pamiętniki te mogą stanowić zajmującą lekturę.

*el.*

**Wrażenia z podróży.** *Władysław Bełza.* Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1903. (16-ka, kt. nl. 4, str. 200).

Bystra obserwacya oraz prawdziwy talent narratorski, zabarwiony gęsto humorem, jakie tryskają z każdej strony tego tomiku, zmuszają nas do omówienia „Wspomnień z podróży". A ma też p. Bełza co wspominać. Niemal rok rocznie spędzając parę tygodni we Włoszech, gromadzi szereg ciekawych spostrzeżeń, mogących zainteresować szerszy ogół, a prawdziwie pożytecznych dla tego, kto zamierza odbyć podróż włoską. Jako miłośnik zabytków sztuki i literatury, nie omieszkał autor poświęcić przeważnej części „Wspomnień" opisowi kościołów włoskich oraz znamienitszych budowli padewskich, weneckich, werońskich, genueńskich, florenckich oraz medyolańskich. Ogromnym urokiem niekłamanego uczucia odznaczają się szkice p. t. „Jezioro Garda", „W San Marino" i „Grób w Ossiaku". Włoskim pamiątkom naszej przeszłości oraz wspomnieniu pobytu tamże wybitnych naszych osobistości, wypadkom dziejowym wiążącym nas z Włochami poświęcił też p. Bełza wiele miejsca. Książeczkę tę można polecić każdemu jako lekturę prawdziwie przyjemną i ze wszech miar pożyteczną. Talent narratorski, widoczny z niej tak, jak z opisów podróży brata p. Władysława Bełzy, Stanisława, który naszą podróżniczą literaturę obdarzył tylu prześlicznymi książkami.

*R. I.*

**Tajemnice.** *Józef Mirski.* Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904. (8-ka, str. 107 i 3 nl.).

Żeby o płodach poronionych nie mówić długo, przytoczę parę tylko wierszy tego nowego „luminarza" młodej poezyi. Że „młodą" ona jest — to nie ulega dla nikogo najmniejszej wątpliwości, kto tylko przeczyta następującą strofę: „Dusza moja łka cicho, Załamując w łzach ręce, W bolu jest i w męce, Więc łka dusza moja"... Takie są rymotwórcze popisy p. Mirskiego: bez sensu, bez myśli. Któżby się o to troszczył?! Jedno tylko występuje wyraźnie — zmysłowość. Tu już wiemy dobrze, czego pragnie p. Mirski. W dodatku błędy językowe; a chyba więcej nie potrzeba zalecać zbiorku wypocin mózgowych nowego autora. Oby też ten zbiorek był głosem jego łabędzim!

*K. S.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

---

### Sprawy Kościoła.

Z OBOZU PROTESTANCKIEGO.

Przyzwyczailiśmy się, szczególniej w ostatnich czasach, słyszeć tyle o fanatyzmie i nietolerancyi Kościoła, że warto przypatrzyć się, jak wygląda ta odwrotna strona medalu w przeciwnym obozie. W Bodenburgu w księstwie brunszwickiem ochrzcił przed kilku tygodniami ciężko chore dziecko katolickiego ojca ksiądz katolicki bez uprzedniego pozwolenia ze strony książęcego ministeryum; za to wytoczono mu proces i skazano na grzywnę. W Bodenburgu panowały, tak przynajmniej pisze protestancki pastor Peters, aż do niedawna wprost idyliczne stosunki. Dwaj ewangeliccy „księża" chrzcili dzieci katolickich rodziców, odwiedzali katolickich chorych, chowali katolickich zmarłych, aż w ten sielankowy nastrój wniósł niemiły rozdźwięk rzymski ksiądz z Detfurtu. Wpadł *(er ist eingedrungen)* on do Bodenburgu, nie prosząc nikogo o pozwolenie, zaczął odwiedzać katolickich parafian, ochrzcił jedno dziecko, które do niego do Hanoweru przywieziono i wreszcie ochrzcił w Bodenburgu samym dziecko umierające. Była to zbrodnia, bo choć w nagłym wypadku każdy ma prawo udzielić chrztu św., nie ma jednak tego prawa katolicki kapłan, a choć ustawodawstwo brunszwickie zniosło obowiązek chrztu i niewiele dba

o to, czy ktoś da się ochrzcić czy też nie, to jednak na wypadek, że rodzice katoliccy dla dzieci swoich zażądają chrztu, kapłan bez pozwolenia protestanckiego rządu sakramentu udzielić nie może. Czy jednak to pozwolenie otrzyma? Faktem jest, że proboszcz z Hammeln takiego pozwolenia na ochrzczenie dziecka czy też zaopatrzenie chorego nie otrzymał, faktem jest również, że pod grozą kary pieniężnej nie wolno odprawiać w Brunszwiku Mszy św., faktem jest dalej, że w Blankenburgu w górach Harzu, gdzie przebywa stale 1000 katolików, nie wolno mieszkać księdzu katolickiemu, musi on tam dojeżdżać z Saksonii, faktem jest wreszcie, że nie mogło w poniższym wypadku być mowy o rozmyślnem pominięciu pozwolenia rządowego, gdyż od dawien dawna ksiądz z Detfurtu pełnił obowiązki kapłańskie w Bodenburgu. Tak wygląda zachwalana tolerancya protestancka w stosunku do katolickiego Kościoła.

Nie można mimo to zaprzeczyć, że pewien, choć bardzo jeszcze nieznaczny i nieśmiały zwrot ku lepszemu tu i ówdzie spostrzegać się daje; jego wyrazem jest między innemi artykuł pastora Schillera z Norymbergi, wydrukowany w *Kreuzzeitung*, „*Silvestergedanken zum konfessionelen Frieden*“. Autor zaznacza, że ciągła walka między protestantami a katolikami w dzisiejszych warunkach dużo tylko szkody wyrządzić musi, a wyjdzie jedynie na korzyść trzeciego. Zdaniem autora, przyczyn niezgody trzeba szukać w obu obozach. Prawdą jest, że i ze strony katolickiej padnie czasami jakieś przyostre słowo, obrażające protestantów lub niedość uwzględniające pewne delikatne i drażliwe zapatrywania, ale równocześnie jest też prawdą, że podobne fakty należą do wyjątków i że decydujące w tej mierze czynniki katolickie potępiają je natychmiast. Tym jednak sporadycznym wystąpieniom można przeciwstawić ze strony protestanckiej związek ewangelicki i spokrewnione mu stowarzyszenia, których najwyższem, jeżeli nie jedynem zadaniem, jest podtrzymywać i dalej rozszerzać niezgodę i waśń wyznaniową. Zdaje się, że odczuł to dobrze sam autor rozprawy, gdyż zarzuty, jakie katolikom stawia, są bardzo słabe i w wielkiej części nieuzasadnione. Żąda on, by konwertytów protestanckich

na nowo nie chrzcić, a przecież tego z zasady się nie robi, wyjątkową zaś potrzebę warunkowego powtórzenia chrztu św. każdy uznaje. Małżeństw protestanckich katolicy nie poniżają, uważają je za również nierozerwalne, jak i katolickie, stawiają je więc wyżej od samych protestantów; chorującym innowiercom, pielęgnowanym po zakładach katolickich, pociech ich własnej religii na żądanie tychże nie odmawiają; na małżeństwach mieszanych nie katolicy, lecz protestanci zyskują, zresztą katolicy z pewnością do nich się nie zapalają.

Ostre zato zarzuty rzuca pastor Schiller w liście protestantom: „nie powinniśmy wszystkiego, co się nam w przeciwnym obozie nie podoba, uważać za jezuityzm i kosmopolityzm, za noc i błąd, za fałsz i oszustwo. Dążąc do ratowania tego, co jest naszem, nie mamy gardzić przeciwnikami. Jest to czystym nonsensem, uważać wyższych katolickich urzędników za ciągłe niebezpieczeństwo w życiu państwa. Ogólnie uznać trzeba, że w Meklemburgu, Brunszwiku i Saksonii Kościół katolicki jest mocno skrępowanym, a jego działalność ograniczona w sposób niegodny i nieodpowiadający duchowi czasu. Skargi katolickie są głęboko uzasadnione". To są zatrzuty, które protestanci po raz pierwszy z pośród swoich słyszą, i na które nie tak łatwo znaleźć odpowiedź. Słowa powyższe są bardzo na czasie, szkoda tylko, że autor pominął milczeniem jeden nader charakterystyczny fakt, który pokazuje, że dużo jeszcze upłynie dni, nim się wreszcie da znaleźć jakiś znośny sposób wspólnego pożycia. Pewna protestantka zażądała ścisłego określenia pytania, co właściwie należy rozumieć przez Kościół ewangelicki. Na to pytanie odpowiedział Dr. Dreydorff w *Protestantenblatt,* że o Kościele ewangelickim ściśle mówić nie można; jeżeli się jednak o nim mówić chce, „należy przez Kościół ewangelicki rozumieć wszystkie większe i mniejsze zgromadzenia kościelne, które jakkolwiek różnią się między sobą, łączą się jednak w swej walce przeciwko Kościołowi katolickiemu i greckiemu". O tej nocie odróżniającej jeden Kościół od drugiego, a tak jasno przez samych protestantów sformułowanej, żaden jeszcze teolog pewnie nie słyszał, tłumaczy ono jednak wiele.

Niemniej stanowczo, ostrzej owszem wystąpiła w tej samej materyi *Augsburger Abendzeitung*. Zarzuca ona protestantom, że jedynem zadaniem ich pism jest zwalczanie Rzymu, jak gdyby protestanci nie mieli w życiu innego celu prócz zajmowania się Kościołem katolickim. „Zostawmyż katolikom ich pole do uprawiania i ulepszania. Co to wszystko protestantów obchodzi? Nie mamy absolutnie żadnego prawa do mieszania się w nienasze rzeczy, jak długo nas samych w pokoju zostawiają". *Abendzeitung* potępia dalej wszystkie zgromadzenia protestanckie, które polegają wyłącznie na przekręcaniu nauki Kościoła rzymskiego i podjudzaniu przeciwko wszystkiemu, co katolickie. „Wielkie kongresy katolickie dają i w tem naśladowania godny przykład, że przynajmniej w ostatnich czasach nie zajmują się zupełnie Kościołem protestanckim. To powinno w przyszłości z naszej strony nastąpić". Państwa Rzeszy, jak Brunszwik, Meklenburg, Saksonia usłyszały również bardzo gorzką prawdę; autor wręcz zarzuca, że katolicy są tam uciskani, niezrozumieni, ciemiężeni, że rządy niesprawiedliwie się z nimi obchodzą.

Są to wszystko głosy pojedyncze tylko, a jeżeli nie będą głosami wołającego na puszczy, to należy to zawdzięczać chyba rozłamowi, jaki nastąpił między wielką częścią społeczeństwa protestanckiego, a Związkiem ewangelickim. Nie można bowiem zaprzeczyć, że do zaostrzenia poszczególnych stosunków przyczynił się w przeważnej mierze „Związek"; za cel swój uważał on judzenie i wzajemne podburzanie, jego też zasługą jest, że stosunek katolików do protestantów przypominał aż za często stosunek kominiarzy do małych dzieci. W ostatnich szczególniej czasach nienawiść wyznaniowa ze strony „Związku" przekroczyła już wszelkie możliwe granice, tak, że główny organ konserwatywnych protestantów, *Kreuzzeitung*, z „Związkiem" zupełnie zerwał, a zerwał dlatego, ponieważ „Związek" przez zwalczanie katolicyzmu i centrum wszedł w służbę politycznego liberalizmu. „‚Związek ewangelicki' — pisze *Kreuzzeitung* — doprowadził w istocie rzeczy tylko do zaostrzenia różnic wyznaniowych. Owszem, w kołach pozytywnych naruszył on wewnętrzny spokój... Prosimy nasze pozytywne

koła na nowo, aby się względem Związku z wielką ostrożnością zachowywały. Wierzący katolik, który stoi na stanowisku ‚Składu apostolskiego' jest nam bliższy od ewangelika z imienia, którego protestanckie usposobienie pokazuje się jedynie w jego nieprzychylnem usposobieniu dla Rzymu. Kto to zapatrywanie zwalcza, ten przyczynia się do powolnego zanikania pojęcia Kościoła ewangelickiego i do takiego rozwoju rzeczy, który sprawi, że walka przeciwko katolicyzmowi będzie walką przeciwko chrześcijaństwu wogóle". Rozdwojenie poszło tak daleko, że *Kreuzzeitung* zerwała nawet z organem pastorów *Reichsbote; Reichsbote* chce być wprawdzie przedstawicielem pozytywno-wierzącego protestantyzmu, ale chce także używać „Związku" jako organizacyi wojennej przeciwko katolicyzmowi — w tem wszystkiem widziała znów *Kreizzeitung* oczywistą sprzeczność. Tego nowego rozłamu w protestantyzmie nie można wprawdzie przeceniać, ale nie można mu też odmówić pewnego znaczenia.

WALKA O ZASADĘ »CEL UŚWIĘCA ŚRODKI«.

Niemoralną, jezuicką zasadę o celu uświęcającym środki zna dziś nieletnie nawet dziecko, a już jako zupełnie pewną przyjęły ją całe społeczeństwa. Mniej więcej dwadzieścia lat temu zobowiązali się Jezuici w Frankfurcie wypłacić 1000 reńskich nagrody temu, kto istotnie udowodni, że w pismach jezuickich powyższa zasada się znajduje; sędziami w tej sprawie mieli być członkowie fakultetu prawniczego w Heidelbergu i Bonnie. Dotychczas nagrody nikomu jeszcze przyznać nie było można, mimo to jezuicka zasada pokutowała i przerażała świątobliwem oburzeniem umysły. 21 marca ubiegłego roku pchnął sprawę na nowe tory poseł do niemieckiej rady państwa, ks. Dasbach; na zgromadzeniu w Rixdorf obiecał 2000 guldenów każdemu, „kto udowodni, że zasada: cel uświęca środki, znachodzi się w pismach jezuickich". Niestrudzony i niezrażony chybionymi występami eksjezuita hr. Hoensbroech postanowił sięgnąć po te nowe wawrzyny i wraz ze sławą zgarnąć i pieniądze. W wydawanym przez siebie miesięczniku *Deutschland* w numerze lipcowym ogłosił obszerniejszy artykuł p. t. *Der Zweck heiligt die Mittel. Mein Beweismaterial*

*gegen Kaplan Dasbach;* wkrótce potem pojawiła się ta praca w osobnej odbitce pod zmienionym częściowo tytułem. Sąd polubowny miał ocenić, czy istotnie Jezuici powyższego zdania uczyli; w skład tego sądu wchodziło trzech katolickich i trzech protestanckich profesorów uniwersyteckich; gdyby przypadkiem liczba głosów wypadła równo, żądał hr. Hoensbroech, by decydował głos profesora Żyda. Profesorowie protestanccy odmówili udziału w sądzie, na Żyda nie zgodził się ks. Dasbach a dwóch z katolickich sędziów nie chciał przyjąć sam Hoensbroech i uznając rzecz tem samem za wygraną zażądał przez sąd trewirski od ks. Dasbacha wypłaty 3.400 marek wraz z procentem począwszy od dnia skargi.

Pierwsze w tej sprawie nasuwające się pytanie jest, czy właściwie cała ta dyskusya ma jakie znaczenie dla sfer, wśród których jest prowadzona, a więc w pierwszej linii dla protestantów. W sferach protestanckich znajduje ta niemoralna, j e z u i c k a zasada szerokie zastosowanie, choć z niej nikomu nie robią zarzutu. Modni etycy protestanccy, jak Schopenhauer, Hartmann, Paulsen, Lipps uznają np. potrzebę kłamstwa z konieczności, jeżeli w grę wchodzą ważne dobra życiowe. Superintendent Gallwitz idzie w swej książce *Das Problem der Ethik* jeszcze dalej: zdaniem teologów katolickich tylko obojętne, a więc ani złe ani dobre środki, stają się dobrymi, gdy do dobrego celu się odnoszą; zdaniem Gallwitza wszystkie środki dobry cel uświęca (str. 182, wydanie z r. 1891). *Neue freie Presse* uznaje, że w pewnych warunkach krzywoprzysięstwo jest dozwolonem, może być nawet nakazanem (24 czerwiec 1901); *Die Welt am Montag* pisząc o procesie gimnazyastów toruńskich i o polityce antypolskiej dodaje: „użyte środki nie są wprawdzie piękne, ale wielki cel usprawiedliwia je“ (nr. 37 z 1901 r.); *Neue Zeit* twierdzi, że „jednym z najważniejszych obowiązków jest prawdomowność względem towarzyszów, względem nieprzychylnych nam tego obowiązku nigdy nie uznawano“ (3 paźdz. 1903). Gdy ta moralność partyjna nie wszystkim do smaku przypadła i na zebraniu w Hamburgu żądano, by takie zapatrywanie potępić, upadł odnośny wniosek a deputowany Metzger zwalczał go

twierdzeniem, że w wojnie z nieprzyjacielem każdy środek jest dozwolony. I tak począwszy od Lutra a skończywszy na ostatnim dzienniku prowincyonalnym, ta w tym wypadku już na prawdę niemoralna nauka przewija się w praktycznem życiu protestanckiem. Śmieszność i niekonsekwencyę w swych zapatrywaniach odczuwali też niektórzy z protestantów i klasycznemi są na prawdę ich tłumaczenia. Ziegler w książce *Sittliches Sein und sittliches Werden* tak broni powyżej przytoczonego zdania Gallwitza: W nauce Jezuitów zasługuje zasada ta na potępienie, ponieważ służy im ona do wywyższenia Kościoła katolickiego; Beyschlag idzie jeszcze trochę dalej: „w systemie jezuickim stało się powyższe zdanie przez to dopiero karykaturą, że nie ma ono za cel utworzenia wolnych moralnych osobistości, ale rozszerzenie panowania rzymskiego papieskiego Kościoła a tym sposobem ujarzmienie wszystkich umysłów pod prawo tegoż Kościoła". A wniosek z tego? Cel uświęca środki, tylko nie wolno stosować tej zasady do celów Kościoła katolickiego.

Wracając jednak do hr. Hoensbroecha trzeba zauważyć, że chwali się on, iż po raz pierwszy zebrał i zestawił z jezuickich autorów cytaty zupełnie jasne i pewne; profesor Hermann uważa to nawet za jego wielką zasługę. Tymczasem to wszystko znajduje się już w pismach Ellendorfa (1840), Franciszka i Jana Huberów, Eiselego a jeszcze przed nimi w wydanem w XVIII wieku pisemku *Extraits des assertions,* które swego czasu Döllinger bardzo stanowczo napiętnował. Hoensbroech uznaje, że wszystko, co od czasów Pascala do dzisiaj w tej sprawie napisano, nie wytrzymuje krytyki i niczego nie udowadnia, tem więcej spodziewa się też czytelnik po odkryciach i zdobyczach eks-jezuity. Nie dobrze uprzedza jednak do nowego szermierza fakt, że Hoensbroech by udowodnić swe twierdzenie, kaleczy całe zdania, opuszcza konieczne do zrozumienia całości zdania i słowa, dodaje od siebie nowe, i stawia jako pewne, zasady, które w samem swem założeniu są fałszywe. Jezuicki teolog, Sanchez, wyraża się w jednem miejscu w te słowa: „kto tak postępuje, grzeszy wprawdzie, ale nie grzeszy przeciwko ścisłej sprawiedliwości, tylko przeciwko miłości"; Hoensbroech wkłada

w usta Sancheza zdanie: „kto tak postępuje, nie grzeszy wcale". Jeszcze więcej uprzedza do Hoensbroecha fakt, że gdzie Jezuici głosząc jakąś zasadę opierają się na powadze teologów świeckich lub zakonnych nie jezuickich, Hoensbroech pomija milczeniem nazwiska wszystkich tych moralistów, cytuje zaś bardzo sumiennie nazwiska samych Jezuitów, aby tym sposobem wykazać, że chodzi tu jedynie i wyłącznie o jezuicką naukę.

Pytanie, czy jakaś czynność jest w sobie obojętną a więc ani dobrą ani złą, czy nie, jest w poszczególnych wypadkach do rozstrzygnięcia bardzo trudnem i zależy często od osobistego zapatrywania się autora; jeden uzna rzeczoną czynność za obojętną, inny za dobrą a jeszcze inny może za złą. Żąda więc Hoensbroech, aby gdy jakiś autor jezuicki mówi o czynności, której moralną wartość trudno określić, ogół zapatrywał się na tę czynność nie z punktu widzenia odpowiedniego autora, ale by oceniał jej moralność lub niemoralność ze stanowiska ogólnoludzkiego, by, innemi słowy, oceniał objektywne nie subjektywne znaczenie słów i rzeczy i to jeszcze według swego zapatrywania i poglądu. Stosując tę zdrowemu rozumowi urągającą zasadę, można, rozumie się, wszystko udowodnić; nic bowiem łatwiejszego, jak o trudnej do określenia czynności, którą autor jezuicki uważał za obojętną, powiedzieć, zwłaszcza gdy kto znajduje się pod jakimś wpływem: ja tę czynność uważam za złą, więc prawdą jest, że według nauki Jezuitów złej czynności do osiągnięcia dobrego celu używać można. Nie wszyscy niestety pójdą na lep hrabiego.

Ulubionym konikiem, na którym Hoensbroech z szczególniejszem zamiłowaniem harcuje, jest nauka katolickich moralistów o zgorszeniu, czy mianowicie można komuś doradzić mniejszy grzech, by go od większego powstrzymać, czy więc można powiedzieć komuś, kto zdecydował się już na kradzież np. 100 złr.: weź tylko dziesięć. Moraliści różnią się w tej kwestyi; jedni na to pozwalają, inni tego zupełnie zakazują, do tych ostatnich należą także niektórzy pisarze jezuiccy. Obrońcy tego zdania powołują się na to, że nie chodzi tu bynajmniej o doradzanie grzechu, tylko o radę warunkową, którą ktoś chce przeszkodzić

większej zbrodni, niż ta, na jaką bliźni się już zdecydował, czyli inaczej mówiąc, chodzi tu o zmniejszenie zbrodni, co choć nie jest absolutnie, jest jednak zdaniem niektórych (nie wszystkich, jak Hoensbroech sam przyznaje) teologów względnie dobrem. Faktem jest, że wszyscy moraliści katoliccy trzymają się zasady: nie wolno czynić nic złego dla osiągnięcia dobrego, rozchodzą się jedynie w zastosowaniu tej zasady a to dlatego, że co jedni uznają za moralnie złe, inni uznają przeciwnie pod względem moralności za obojętne.

Powyższe zasada znajduje się przecież także w dziełach etycznych protestanckich od Lutra do Paulsena i Wuttke'go. To wystarczy. Nagroda 2.000 florenów prawdopodobnie długie jeszcze lata czekać będzie na szczęśliwego zdobywcę.

ZNIESIENIE § 2 USTAWY JEZUICKIEJ.

Prawdziwą niespodziankę zgotowała tymczasem rada związkowa niemiecka, znosząc 8 marca drugi paragraf ustawy jezuickiej z 4 lipca 1872 r. Paragraf ten opiewał, że członkowie Towarzystwa Jezusowego lub im pokrewnych kongregacyi, mogą, jeżeli są cudzoziemcami, być wydaleni z granic Rzeszy, jeżeli zaś są poddanymi niemieckimi, może im być pobyt w pewnych okręgach i miejscowościach wzbroniony lub też terytoryalnie oznaczony. Starania o zniesienie tej ustawy datują od dawna, i już w 1897 roku przyjął parlament projekt prawa, dążącego do osiągnięcia tego celu; projekt ten powtarzał się, rada związkowa zawsze go jednak ignorowała. I w obecnych warunkach projekt nie tak łatwo przeszedł; przeciwko niemu głosowały królestwo saksońskie i wirtembergskie (po 4 głosy), Meklenburg-Szwerin (2), ośm turyngskich państewek, a mianowicie Sachsen-Weimar, -Meiningen, -Altenburg, -Koburg-Gotha, Schwarzburg-Rudolfstadt, Schwarzburg-Sondershausen, Reuss starsza i młodsza linia, i Lippe-Detmold (po 1); razem głosów 19. Od głosowania wstrzymała się Lubeka (1 głos). Za zniesieniem były Prusy (gł. 18), Bawarya (6) i Badenia (3), razem 27.

Prasa protestancka różne zajęła stanowiska. Gazety prowincyonalne i spokrewnione ze Związkiem ewangelickim

alarmują całe Niemcy; słychać tam lamenta o kapitulacyi wobec centrum, o ciosie zadanym w samo serce protestantyzmu, o nowej Canosie, o zapanowaniu Kościoła katolickiego, a ujarzmienie protestanckiego, o narażeniu pokoju wewnętrznego państwa; niu brak i umysłów proroczych, które niby druga Kassandra, widzą zgniecioną Germanię, a na jej ruinach dumnie powiewający sztandar Rzymu i — Jezuitów; podobno Jezuici całego świata noszą się już z zamiarem zalania Niemiec. Prasa poważna częściowo zgadza się z tym *fait accompli*, i przyjmuje go spokojnie, albo nawet idzie dalej jak samo centrum, i żąda poprostu zniesienia całej ustawy jezuickiej, jako wyjątkowej i niesłusznej; tak czyni np. bardzo energicznie *Berliner Zeitung*.

Głosów prasy ulękły się jednak niektóre małe państewka; turyngskie np. chcą na nowo do życia powołać dawne krajowe ustawy antyjezuickie, księstwo anhaltskie przygotowuje podobno do sejmu nowe prawo na miejsce zniesionego, a najpoważniejsze z wszystkich królestwo saksońskie wzywa niebo i ziemię na świadków, że jak długo choć jeden Saksończyk żyje, stopa Jezuity nie splami saksońskiej ziemi.

Te trochę donkiszotowskie porywy nie zaważą jednak dużo na szali wypadków, i jak słusznie twierdzi *Kölnische Volkszeitung*, nie powołają na nowo do życia paragrafu drugiego. Poszczególne państwa mogą udaremnić stałe osiadanie się zakonników, o co w tym wypadku nie chodzi, nie mogą zato ograniczyć osobistej wolności zakonników dotąd z kraju wykluczonych; jak potrzeba było prawa państwowego, aby lojalnym obywatelom granice kraju zamknąć, tak prawo poszczególnego księstwa nie może obalić uchwalonej przez radę rzeszy przeciwnej ustawy.

Cóż więc w gruncie rzeczy zyskali Jezuici i katolicy przez zniesienie paragrafu drugiego? Władzom państwowym nie wolno Jezuitów krajowców internować lub wydalać; praktyczne znaczenie nowej ustawy jest więc niewielkie. Jak przedtem, tak i teraz nie wolno Jezuitom zakładać domów ani też rozwinąć pracy na większą skalę. Zysk jest więcej moralnej natury. Związek ewangelicki poruszył wszelkie sprężyny, by do znie-

sienia ustawy nie dopuścić; w rozpaczliwych barwach odmalował beznadziejną przyszłość Kościoła protestanckiego, jeżeli Jezuitom uda się znowu jakkolwiek, choćby tylko częściowo, w Niemczech osiąść; jeżeli mimo to ustawa upadła, to jest to nie tylko zasługą, ale i wielkiem moralnem zwycięstwem stronnictwa centrum, zwycięstwem tem większem, im większą była opozycya w przeciwnym obozie. Jeżeli Jezuitami dziś więcej w Niemczech się zajmują, jak im samym to miłem być może, jeżeli są oni dziś „senzacyą dnia“ [1], to temu winni sami protestanci ze Związkiem, który ich tak dobrze zareklamował, na czele, i to jest humorystyczną stroną tej skądinąd wcale poważnej sprawy.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## Przegląd przygotowań do jubileuszu maryańskiego.

II.

Na wieść o projekcie poprzednio wspomnianych obchodów w Rzymie, powstało wśród narodów katolickich szlachetne współzawodnictwo uczczenia Niepokalanej. Coraz nowe wiadomości, z których tylko niektóre szczegóły dla braku miejsca możemy tu przytoczyć, dochodzą nas o tem. W Rzymie ma się wprowadzić w czyn myśl O. Radeli T. J., której pobłogosławił Leon XIII i Pius X, a mianowicie ufundowanie domu, gdzieby mężczyźni: duchowni i świeccy w ciągu roku mogli rekolekcye odprawiać; będzie on pod wezwaniem Niepokalanej Dziewicy. W Sardynii ma się odbyć b. r. Kongres katolicki; w dyecezyi Cagli i Pergola postanowiono rozszerzać Konferencye Towarzystwa św. Wincentego a Paulo; w Turynie zbudować kościół przy zakładzie wychowawczym dla ubogich dziewcząt, założonym na pamiątkę ogłoszenia dogmatu Niepok. Poczęcia; w Sinigalii, miejscu rodzinnem Piusa IX i Gaecie, skąd datowano encyklikę z wezwaniem do episkopatu o oświadczenie się w sprawie ogłoszenia dogmatu odnowione zostaną facyaty

[1] *Köln. Volksz.*, nr. 219.

tamecznych katedr — na szczycie gaetańskiej ustawią statuę Niepokalanej.

W Austryi utworzył się komitet i zadecydował urządzić w Wiedniu: *a)* wielką akademię literacko-muzyczną, *b)* szereg misyi u św. Szczepana, *c)* procesyę uroczystą od św. Szczepana do kolumny Niepokalanej na placu *Auf dem Hofe*. Następnie *d)* kongres prowincyonalny w St. Pölten, *e)* pielgrzymkę austryacką do Lourdes na wiosnę, *f)* wielką pielgrzymkę do Rzymu na jesień, *g)* wysłanie delegatów na kongres światowy.

Belgia urządza wystawę narodową Maryańską.

Z Francyi wyjechała do Rzymu pielgrzymka dnia 29 lutego, a na początek grudnia przybędzie tam drużyna młodzieży francuskiej.

W Barcelonie zbierze się Kongres Sodalicyi Maryańskich z Hiszpanii i Ameryki Południowej; nadto Kongregacya Dzieci Maryi w tem mieście postanowiła udać się w pielgrzymce na Monserrat[1], postarać się o wzniesienie tam pomnika ku czci Niepokalanej i urządzić akademię literacką.

Z Holandyi wyruszy do Rzymu pielgrzymka i wyszle delegatów na Kongres.

Portugalia przyświeca wzorem obchodu narodowego systematycznie obmyślanego na wielką skalę. Trwać on będzie od 9—12 czerwca a miejscem jego będzie Braga. I tak: 9 czerwca król Don Pedro V otworzy wystawę sztuki religijnej; 10-go uroczyste nabożeństwo do Serca Jezusowego (jako w dzień Jego święta) w kościele seminaryjskim a o godz. 10 akademia uroczysta religijna w kolegium sierót św. Kajetana. Po południu o 5 procesya z katedry, wieczorem iluminacya. Dnia 11 celebra pontyfikalna, wieczorem procesya z pochodniami na wzór odbywanej w Lourdes. Dnia 12 o godzinie 4-ej rano Komunia św. generalna po różnych kościołach; o 6 wyjdzie procesya, podczas której będzie niesionym obraz Serca Jezusowego i korona złota mająca służyć do uwieńczenia wizerunku Maryi w Sameiro, co nastąpi po odprawieniu Mszy św. pod gołem niebem. Spodziewają się, że koronacya nastąpi w imieniu Piusa X.

W Madras w Indyach angielskich, tameczny arcybiskup ks. Colgan już dnia 12 listopada zgromadził Komitet dyecezalny, który uchwalił program obchodu, między innemi misye po parafiach.

O uroczystościach na wysepce Fernando Po koło Kamerunu

[1] Słynne miejsce cudowne w Katalonii.

w północnym kierunku od równika, donosi nam dwutygodnik *La Guinea espannola,* redagowany w Besapo przez zgromadzenie misyjne Synów Niepokal. Serca Maryi. Numer tego pisma z 28 listopada zawiera usilne wezwanie do obchodu wielkiego jubileuszu tej, która jest patronką Hiszpanii i Indyi i kolonii. Miasto Santa Isabel, stolica wyspy, po której ulicach corocznie statuę Niepokalanej tryumfalnie obnoszą, nie omieszka być widownią i tegorocznych uroczystości.

W Brazylii postanowiono urządzić 13 konferencyi t. zw. *Conferencias Marianas* pod przewodnictwem nuncyusza i biskupów. Nadto episkopat prowincyi kościelnej Rio de Janeiro wydał przepiękny list pasterski, w którym mówi o przywileju Niepokalanego Poczęcia i powodach, dla jakich Brazylia winna wziąć udział w tegorocznym obchodzie: wszak naród ten w tejto właśnie Tajemnicy czci Królowę Niebios jako swoją Patronkę tak dalece, że największa część kościołów i parafii w całej Rzeczypospolitej poświęcona jest Niep. Poczęciu. Do godnego obchodu nie wystarczą jednak same uroczystości i ceremonie, zaczem poleca się wiernym przystępowanie do Sakramentów św., odmawianie codzień modlitwy Piusa X; samo święto 8 grudnia ma poprzedzić nowenna lub przynajmniej triduum.

W Bogota w Kolumbii arcybiskup tameczny zamierza w r. b. dokończyć budowy kościoła N. M. P. z Lourdes i na dniu 8 grudnia dokonać jego konsekracyi.

Meksyk rozwija wielką gorliwość. Arcybiskup Silva donosi, że w jego stolicy w Morelii będzie w r. b.: *a)* drugi kongres meksykański ku czci Matki Bożej; *b)* konkurs naukowy i literacki ku czci Niepokalanej; *c)* założonem będzie Stowarzyszenie młodzieży katolickiej. Inni biskupi wydali listy pasterskie, z których jeden (z Tamaulipas) proponuje wielką pielgrzymkę do Guadalupy, najsłynniejszego miejsca cudownego w Meksyku; w innej dyecezyi powstała myśl ułożenia wielkiego albumu maryańskiego, zawierającego myśli i zdania odnoszące się do Matki Najśw. a wpisane przez wszystkich duchownych, a także i przez osobistości świeckie; album to będzie złożone w bibliotece międzynarodowej maryologicznej w Rzymie.

Z San Salvador i Uruguay nadchodzą także wiadomości o udziale w uczczeniu Bogarodzicy. Zbyteczna dodawać, że z różnych stron piszą o listach pasterskich w sprawie, o której mowa, wydawanych, a zbliżający się Wielki Post, jedna z głównych okazyi ich wydawania, musiał tę ilość ogromnie jeszcze powiększyć.

A ooż się dzieje u nas? Z radością trzeba wyznać, że myśl tego obchodu zajmowała uwagę niektórych przeszło od roku, a pierwsza narada Moderatorów i Delegatów Kongregacyi Maryańskich odbyła się w Krakowie już w 9 dni po utworzeniu przez Leona XIII Komisyi kardynalskiej; na tej naradzie rzucono ogólne kontury i uroczystości naszych miejscowych i udziału naszego w Rzymie. Niebawem, bo już od lipca z. r. *Sodalis Marianus*, pismo miesięczne wydawane w Krakowie przez Związek Kongregacyi Maryańskich w każdym swoim zeszycie przypomina tę sprawę i uwiadamia o tem, co się dzieje i u nas i zagranicą Nie pozostała dla tej sprawy obojętna i prasa polska a zwłaszcza *Przegląd Katolicki* w Warszawie oraz nowe pismo, które dnia 8 grudnia zaczęło wychodzić w Kielcach p. t. *Maryawita;* jak sama nazwa wskazuje, poświęcone czci Matki Bożej. Ks. Biskup Fischer, sufragan przemyski i ks. Skimborowicz, redaktor *Kroniki rodzinnej* wydali broszury, tłumaczące znaczenie obchodu i zawierające niejedną wytrawną radę w sprawie wzięcia w nim udziału [1]. Pojawiają się następnie odezwy i rozporządzenia władz dyecezyalnych, a wśród nich zwraca uwagę nie tylko dyecezyi lwowskiej, ale daleko poza jej granicami list pasterski JE. Ks. Arcybiskupa Bilczewskiego. Wytłumaczywszy w nim podstawy i powody *cultus hyperduliae,* wspomniawszy o znaczeniu czci Matki Bożej dla narodu naszego i obowiązkach, jakie tu mamy, zwłaszcza po ślubach Jana Kazimierza, zapowiada Kongres we Lwowie ku czci Matki Bożej (28 i 29 września), polecając przygotowanie tego zebrania Sodalicyom Maryańskim, a wiernych wzywając do popierania tego dzieła modlitwą, i wzięcia w nim, ile można, udziału. Zebranie to we Lwowie będzie nie tylko niejako wynagrodzeniem dla tych, co nie będą mogli na Kongres rzymski pojechać, ale będzie ono nadto bardzo pożytecznem do tamtego przygotowaniem, dzięki czemu możemy liczyć na to, że udział nasz w Rzymie przedstawi się poważnie: prace bowiem nadesłane na kongres lwowski, o ile tylko mieć będą doniosłość dla zagranicy i potrafią cudzoziemców zająć, te przetłumaczone na język francuski lub łaciński albo włoski, zostaną wniesione na Kongres światowy. Zapowiedziano już ich dotychczas kilkadziesiąt, mimo, że termin do nadsyłania prac trwa do

---

[1] „Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokal. Poczęcia Najśw. Panny Maryi". Przemyśl 1903. — „Upamiętnienie jubileuszu 50-lecia ogłoszenia dogmatu o Niep. Pocz. N. M. P." Warszawa 1904.

1 maja; na posiedzeniach uroczystych zabiorą głos dzisiejsi u nas „mistrze słowa“ a z naradami połączone będą różne obchody religijne. Kongres dzielić się będzie na sekcye: I) dogmatyczno-ascetyczną, II) historyczno-apologetyczną, III) poświęconą Sodalicyom Maryańskim i ich działalności społecznej, IV) poświęconą kwestyi socyalnej w związku z czcią Matki Bożej. Na trzy tygodnie przed Kongresem, bo na dzień 8 września jest projektowana solenna koronacya obrazu Matki Bożej w kościele OO. Dominikanów w Dzikowie nad Wisłą. Znajduje się ta miejscowość w dyecezyi przemyskiej, której Najczcigodniejszy Pasterz w swym świeżo wydanym liście gorąco zachęca do wzięcia udziału w pielgrzymce, jaka d. 25 kwietnia ma do Rzymu wyruszyć. Warunki jej są bardzo przystępne[1], a łaski przez Piusa X do niej przywiązane i chęć złożenia Mu hołdu powitalnego pociągnie jeszcze bardziej niejednego. Niezależnie od tego godzi się przypuszczać, że pewien zastęp Polaków weźmie osobisty udział w Kongresie światowym, że literatura polska maryologiczna znajdzie się w Bibliotece maryologicznej międzynarodowej, i że na wystawie w pałacu laterańskim nie zabraknie przedmiotów od nas.

Z pośród różnych sposobów uświęcenia i upamiętnienia bieżącego roku wspomnieć należy, że wielu biskupów zaleca pielgrzymki w ciągu roku do miejsc łaskami w innych dyecezyach słynnych, a widoczna jest chęć przywrócenia naszych starodawnych Godzinek o Niepokal. Poczęciu do tego znaczenia we wszystkich warstwach społecznych, jakie dawniej miały. Na nabożeństwa uroczyste w 8-ym dniu każdego miesiąca wierni garną się tłumnie; po wielu bardzo kościołach samo święto Niepokal. Poczęcia poprzedzone będzie nowenną; sądzimy, że odprawianiu tejże odda wielką przysługę dziełko, jakie jeden z naszych znanych maryologów niebawem wyda. W kilku dyecezyach przygotowuje się prace historyczno-statystyczne, poświęcone dokładnemu przedstawieniu czci Matki Najśw. w danej części kraju. Będzie to bardzo pouczający przyczynek do znajomości życia religijnego u nas, a zagraniczni maryologowie powitają go z uznaniem.

*Dimidium operis, qui bene coepit, habet:* zaczęliśmy co prawda dobrze, ale dopiero wówczas, gdy rzecz się doprowadzi pomyślnie do końca, sprawdzą się pochlebne ale i zobowiązujące słowa o nas je-

[1] I kl. 360 K, II kl. 280 K, III kl. 168 K, z utrzymaniem 9-dniowem w Rzymie i 3 noclegami po drodze. Zgłosić się trzeba przed 15 marca do J. Ks. Prof. Jana Mazanka w Przemyślu.

dnego z pism szwajcarskich: „Kiedy się rozchodzi o to, by uczcić Królowę Nieba i świata całego, wówczas Polacy są zawsze na czele narodów katolickich“ [1].

*Maryan Bartynowski.*

## Z ostatniego kongresu „Wielkiego Oryentu“ francuskiego.

We wrześniu ubiegłego roku obradował „Wielki Oryent“ francuski; sprawozdania z jego posiedzeń, wydrukowane niedawno, wypełniły cały tom o przeszło czterystu stronicach. Nie mamy bynajmniej zamiaru zapoznać czytelników naszych z wszystkiemi uchwałami zgromadzenia, chcielibyśmy tylko zwrócić ich uwagę przedewszystkiem na to, co objaśnia i tłumaczy dzisiejszy stan walki kościelnej we Francyi.

Kongres postanowił na pierwszem miejscu przesłać „gorące życzenie i gorącą zachętę Br.·. Combes, prezydentowi rady ministrów, by mógł się przekonać, że wszyscy jak jeden mąż, wspomagać go będziemy aż do końca w walce, którą przedsięwziął, by zniweczyć we Francyi reakcyę klerykalną i kongregacyę“. Br.·. Hubbard sprzeciwił się temu wnioskowi, gdyż prezydent ministrów nie dość jeszcze stanowczo wystąpił w sprawie zerwania konkordatu i zupełnego rozdziału między państwem a Kościołem; bronił Combesa senator Br.·. Delpech, zwracając uwagę zgromadzonych na niesłychane trudności, z jakiemi walczyć musi prezydent, — inny byłby już dawno ustąpił i zrzekł się wszystkiego — nie wypada więc temu „zacnemu człowiekowi“, który się nosi z myślą kompletnej laicyzacyi szkół i rozdziału państwa z Kościołem, odmówić słów uznania i zachęty. Ostatecznie zgodzono się na wszystko, adres przyszedł do skutku, a Br.·. Combes odpowiedział nań bardzo życzliwie: „Otrzymuję z żywem zadowoleniem wiadomość o uchwale zgromadzenia; co mnie w adresie przedewszystkiem wzrusza, to wyrazy zupełnego zaufania; potrzebne mi to zaufanie, bym mógł zatryumfować nad wszystkimi atakami i zwróconemi przeciwko mnie intrygami. Proszę powiedzieć wszystkim wypróbowanym republikanom z przekonania, którzy składają zgromadzenie, że

[1] *Annales du B. P. Canisius*, février 1904, p. 21.

wypełnię aż do końca mój obowiązek, cały mój obowiązek prezydenta rady republikańskiej. Proszę ich, by zaufali mojej lojalności. Objąłem rządy bez obawy, opuszczę je bez zasłużenia na naganę". Kongres „głęboko wzruszony" wysłuchał tych słów.

Na posiedzeniu 22 września uchwalono wnioski o rozdzieleniu państwa od Kościoła, o wypowiedzeniu konkordatu, o zniesieniu ambasady przy Watykanie, o laicyzacyi szpitali, o zniesieniu przysięgi rządowej i usunięciu z gmachów rządowych wszelkich emblematów religijnych. Równocześnie zwrócono też uwagę Braci, zasiadających w parlamencie, że przekraczają konstytucye wolnomularskie, jeżeli głosują za budżetem kultu i że na przyszłość powinni się zastosować do wymagań loży. Z tego względu przyszło nieomal do małej burzy, w której dostały się cięgi Br.·. Delcassé. Ten *enfant terrible* masoneryi sprzeciwia się zawsze rozdziałowi Kościoła od państwa i mówi „wszystkim, którzy chcą tego słuchać, że nie jest wolnomularzem". Wnosi więc Br.·. Grégoire „by dać małą nauczkę Br.·. Delcassé, którego napróżno staraliśmy się od nas napędzić" i przypomnieć mu, że „wolnomularze, członkowie parlamentu, nawet gdy są ministrami, narażają na szwank honor loży, głosując przeciw rozdzieleniu Kościoła od państwa". Prezydentowi kongresu udało się jednak burzę zażegnać.

Zajmowano się dalej i sprawą nauczania; postanowiono na sesyi 26 września dążyć do absolutnej supremacyi państwa w szkole, do „neutralności szkoły", uchwalono nawet projekt prawa, mocą którego ma być zakazane nauczanie każdemu eks-zakonnikowi przez przeciąg pierwszych pięciu lat od wystąpienia z odpowiedniego zakonu.

Od tych spraw ogólnej natury przeszedł kongres do spraw szczegółowych, odnoszących się do pojedynczych członków masoneryi. Już w r. 1902 uznano za wykroczenie przeciwko regulaminowi wolnomularzy, jeżeli który z braci, piastując urząd dyrektora szkoły państwowej, zobowiąże podległych sobie profesorów lub przynajmniej tolerować będzie, że poprowadzą dzieci na jakiekolwiek nabożeństwa; większość była wówczas przeciwna temu zapatrywaniu, obecnie postanowiono dążyć do tego, by cyrkularz Chaumié'go, zakazujący uczniom brania udziału w nabożeństwach, był wprowadzony w życie. Co robić jednak z wolnomularzem, który posyła swe dzieci do szkoły kongregacyjnej? Jedni uważali to za wykroczenie przeciwko masoneryi, drudzy sądzili, że aczkolwiek trzeba sobie życzyć, by każdy wolnomularz wyzwolił się z pod wpływu religijnego, jednak takie postawienie kwestyi stałoby w zupeł-

nej sprzeczności z paragrafem I konstytucyi masońskiej, który nadaje zupełną wolność sumienia. Na to odpowiedział znowu słusznie B.·. Mille, że jeżeli bracia powołują się ciągle na artykuł pierwszy, czemuż zaniedbują artykułu piętnastego, który zabrania wolnomularzom udziału w walkach partyi politycznych. „Ten paragraf stale przekraczamy, nie widzę więc racyi, dla której mamy tak bardzo uwzględniać paragraf pierwszy". Ostatecznie zgodzono się, że w pewnych bliżej określonych warunkach wykroczenie powyższe straci swój zbrodniczy charakter.

Więcej zamieszania wywołała kwestya osobistego wyznania religijnego. Br.·. Thiébaud żądał, by pod karą dymisyi nie wolno było masonowi brać udziału w praktykach religijnych; Br.·. Souchet sądził, że dla tem łatwiejszego werbowania zwolenników ma być pod tym względem braciom zostawiona wolność, o ile rozumie się te praktyki będą wyrazem ich przekonań filozoficznych. Jak te przekonania trzeba rozumieć, tłumaczy Br.·. Mayoux: „Twierdzimy, że wolnomularz może być materyalistą, — dobrze; może być pozytywistą — dobrze; może być deistą lub spirytystą — dobrze; miałby on jednak być katolikiem, protestantem lub żydem, nigdy, nigdy, nigdy (Oklaski). Wiem, że w danych czasach liczyliśmy w naszem gronie proboszczów, wiem również, że jeszcze dzisiaj masonerya wynosi do swych najwyższych godności dygnitarzy kościołów protestanckiego i żydowskiego, ale to, moi bracia, to należy już do przeszłości". Br.·. Mayoux żąda więc, by masonerya zajęła stanowisko wyłącznie wrogie dla wszelkich dogmatów religii objawionych; Br. Emil Chauvin pojmuje masoneryę jako negacyę absurdów zawartych w dogmatach; dwóch dowcipnych braci wystąpiło nawet z propozycyą, żeby ci, którzy byli ochrzczeni, przyjęli pierwszą Komunię świętą i zawarli kościelne związki małżeńskie, nie mogli zostać masonami. Rozstrzygnął sprawę Br.·. Delpech. Jeżeli zgłaszający się kandydat jest praktykującym katolikiem, jest tem samem osądzonym i nie może zostać członkiem loży; jeżeli jest protestantem, żydem, muzułmanem lub budystą, trzeba poznać, czy praktykuje zasady swej religii. Jeżeli tak, ma odpowiedzieć na pytanie, jak rozumie wolność sumienia i czy sądzi, że jest w posiadaniu absolutnej prawdy. Twierdząca odpowiedź na drugie pytanie obala jego kandydaturę, sprzeciwia się bowiem wolności sumienia. Religię dogmatyczną trzeba zwalczać i coraz lepiej poznają dzisiaj narody, „że bogowie, tak Chrystus jak i Buda i Mahomet nie urzeczywistnili przyrzeczeń danych ludzkości przez swych kapłanów". Ostatecznie jednak pewne względy oportuni-

styczne mogą czasami nałożyć na wolnomularza obowiązek uczestniczenia w uroczystościach religijnych.

Przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy powstał protest, zgromadzenie przyjęło jednak 137 głosami przeciwko 35 zapatrywanie Br.·. Delpecha; wolno więc w pewnych warunkach członkom loży praktykować zasady religii.

Z tych kilku słów naszego sprawozdania wynika, że jakkolwiek masonerya francuska nie potrafiła jasno sformułować swych postulatów odnośnie do pojedynczych członków, sformułowała je dokładnie odnośnie do ostatecznego celu, do którego dąży, a którym jest zagłada wszelkiej religii objawionej.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

Druk ukończono 30 marca 1904 r.

# ZE ŚWIATA AGITACYI WŚRÓD NASZYCH KOBIET.

Jeżeli jakaś w następstwach swych poważniejsza idea poczynie rozszerzać się czy w całej ludzkości, czy w pewnem społeczeństwie, to na usługi tejże idei, jako jeden z pierwszorzędnych środków propagandy, stanie piśmiennictwo; nie dziw więc, że wzmagający się z dnia na dzień ruch feministyczny, z którym każdy głębiej myślący dziś wcale poważnie liczyć się musi, zalał w ostatnich latach całą prawie Europę dziełami i czasopismami poświęconemi tej sprawie. U nas pierwsze początki tego ruchu były słabe, nieznaczne, różniące się wiele od programu, jaki go dzisiaj cechują, nie wywarły też większego wrażenia. W ostatniem dopiero dziesięcioleciu skrystalizował się ten ruch u nas, streścił się a od dwóch lat ma nawet swoje osobne pismo, wyłącznie tej kwestyi oddane, dwutygodnik *Nowe Słowo* [1].

Nie chcemy tu roztrząsać pytania, czy pismo takiego pokroju, jakiem jest *Nowe Słowo*, jest dziś u nas istotnie na czasie, w każdym razie charakterystycznym jest fakt, że organ służący wyłącznie kwestyi kobiecej, nie znajduje poparcia w tych sferach, dla których jest pisany. Ciągłe, czasem nawet wprost rozpaczliwe nawoływania redakcyi, walczącej z brakiem abonentów i coraz większym, zagrażającym istnieniu pisma deficytem, o rozszerzanie

[1] *Nowe Słowo.* Dwutygodnik społeczno-literacki. Kraków. Wydawczyni i redaktorka: Marya Turzyma.

dwutygodnika kobiecego i jednanie dla niego nowych, lecz płatnych czytelników, rzuca niekoniecznie dodatnie światło na zainteresowanie się naszych kobiet sprawą, je same przecież w pierwszej linii obchodzącą.

Mamy przed sobą kilkadziesiąt numerów *Nowego Słowa;* wrażenie, jakieśmy po bliższem przeglądnięciu tych zeszytów wynieśli, nie jest bardzo dodatniem, a twierdzenie to podtrzymujemy mimo, że narażamy się na niebezpieczeństwo, iż *Nowe Słowo* rzuci nam w twarz zarzut o „wstecznikach“ i „mamutowych mózgach“ [1], które to frazesy znachodzą się czasami, szczęściem dość rzadko, na jego szpaltach.

Aby uniknąć jednak wszelkiego nieporozumienia, zwracamy uwagę naszych czytelników, że w niniejszem sprawozdaniu nie myślimy bynajmniej zajmować się obszerniej samą sprawą emancypacyi, jej postulatami i jej zakresem, krytyką ujemną i dodatnią kierunku; postulaty te idą tak daleko, że chcąc na wszystkie dać nie już wyczerpującą, ale jako tako przynajmniej informującą odpowiedź i choć pobieżny rozbiór ważniejszych wymagań, nie możnaby się ograniczyć szczupłemi ramami artykułu, ale trzebaby napisać dzieło całe. Obszerniejszy zresztą rozbiór nie na wieleby się przydał, do porozumienia między nami tak a takby nie przyszło a, jeżeli wszystko nas nie myli, wielka część tych pragnień i dążności pozostanie prawdopodobnie na zawsze w sferze marzeń i niedościgłych ideałów.

Dąży więc ruch kobiecy w *Nowem Słowie* pod względem e k o n o m i c z n y m do

*a)* „dopuszczenia kobiet do wszystkich zajęć i zawodów, dających niezależność materyalną, bez żadnych ograniczeń, prócz tych, które chroniłyby życie jej lub jej dziecka w czasie ciąży i połogu;

*b)* zrównania kobiet pracujących z mężczyznami w myśl zasady: „równa praca, równa zapłata“ i zaprowadzenia normalnego dnia roboczego, któryby zostawił dość czasu wolnego na obowiązki rodzinne, społeczne, towarzyskie i umysłowe;

---

[1] *Nowe Słowo*, 1903, n. 12, str. 274.

*c)* kontroli nad miejscem pracy czy produkcyi: biurem, fabryką, warsztatem i t. p. oraz koniecznej dla zdrowia ochrony pracy, przez odpowiednie władze, składające się z mężczyzn i kobiet (inspektorki fabryczne, szkolne i t. d.);

*d)* szkół zawodowych, wspólnych dla mężczyzn i kobiet, któreby przygotowywały ukwalifikowanych pracowników, bez zabijającej duchowo bezpłodnej praktyki, która lata całe trzyma młodzież w swojej, często okrutnej niewoli, niepotrzebnej i bezużytecznej;

*e)* zabezpieczenia ustawowego dzieci, starców, chorych i kalek, niezdolnych do pracy, bez względu na płeć lub pochodzenie, przez państwo, kraj, gminę lub pracodawców“ [1].

Pod względem polityczno-społecznym uważa za konieczne:

*a)* „pomoc kraju i państwa udzielaną na wychowanie dzieci do lat 14 oraz bezpłatną naukę w szkołach elementarnych, średnich i zawodowych dla chłopców i dziewcząt, przy jednoczesnej reformie szkolnej w duchu potrzeb współczesnej kultury oraz dopuszczanie kobiet do rad szkolnych;

*b)* powszechne, równe prawo wyborcze oraz zniesienie ustaw prasowych, koalicyjnych i t. p., krępujących wolność obywatelską wogóle — nie wyłączając przepisów ograniczających prawa polityczne i obywatelskie kobiet;

*c)* przyznanie równych praw do wolności wszystkim ludziom bez różnicy płci, rasy, narodowości czy klasy społecznej;

*d)* uświadomienie narodowe, klasowe i zawodowe dla ułatwienia jednostce zrozumienia swoich obowiązków i praw“ [2].

Pod względem wreszcie o b y c z a j o w y m domaga się program ruchu:

*a)* „reformy rodziny w kierunku oczyszczenia jej z fałszu i obłudy, poza którym kryje się aż nazbyt często rozpusta, dla zbliżenia go do ideału czystego, monogamicznego małżeństwa, przy jednoczesnem zupełnem równouprawnieniu kobiety co do

---

[1] L. c. r. 1904, n. 3, str. 50.

[2] L. c. r. 1904, n. 4, str. 74.

rozporządzania swoją osobą, dziećmi oraz osobistym zarówno jak i wspólną pracą nabytym zarobkiem;

*b)* wychowania uświadamiającego młodzież z grożącą jej moralną i fizyczną zgubą wynikającą z prostytucyi, oraz podniesienia godności sponiewieranego przez rozpustę instynktu miłosnego, tej cudownej tajemnicy odradzania się ludzkości — zamienionej w trujące bagno;

*c)* zwalczania prostytucyi i dążenia do zniesienia handlu kobietami dla celów rozpusty, oraz piętnowania sprzedajnej miłości we wszystkich jej formach zarówno zakazanych, jak i dozwolonych przez ustawę;

*d)* zrównania praw dzieci ‚naturalnych' z dziećmi pochodzącemi ze związków ‚legalnych'[1]. (Ostatni cudzysłów jest nader charakterystyczny).

Program ten jest więc bardzo obszerny, zadziwia tylko, że ani o religii ani o jej wpływie na rozwiązanie niejednej z powyższych kwestyi, nic nie wspomina. *Nowe Słowo* zdawało sobie dobrze sprawę z trudności na jakie napotka urzeczywistnienie tych wymagań, aby więc przeciwdziałać zwątpieniu, które mogłoby ogarnąć szersze klasy, stojące wobec olbrzymich trudności, zapałem podsyca energię i zwraca uwagę na już osiągnięte rezultaty. „W tem dążeniu do prawdy i sprawiedliwości, w tej walce z duchem złego i ciemnoty już dzisiaj widzimy pewne drobne zwycięstwa. Są one bezwątpienia otuchą wielką, a zarazem bezpośredniem umocnieniem walczących dotychczas całkowicie bezbronnych kobiet przez dostarczenie do rąk bodaj słabego oręża. Gdyby nawet jednakże spotykały nas same klęski i niepowodzenia — w walce kobiety nie ustaną, bo je prowadzi zapał dla sprawy, świadomość, że się walczy z przemocą, w obronie krzywdy i ukochania idei sprawiedliwości. A najważniejszym bodźcem jest w walce tej wiara, że najsztuczniejsze budowle na niesprawiedliwości ugruntowane z czasem runąć muszą"[2]. Dla tej samej przyczyny zbiera skrzętnie to wszystko, co dotąd na

[1] L. c. r. 1904, n. 5, str. 98.
[2] L. c. 1903, n. 1, str. 4.

polu emancypacyi zrobiono; zapisuje więc każdy, drobniejszy nawet przywilej, jaki kobiety w jakimbądź świata kraju sobie zdobyły, notuje każdy ważniejszy krok na tej drodze, czy to u kobiet w Austryi, Szwajcaryi, Francyi lub Anglii, czy też w Ameryce lub nawet Australii, donosi o nowych już zawiązanych lub dopiero zawiązujących się związkach kobiecych, zaznajamia z ważniejszemi kwestyę feministyczną uwzględniającemi dziełami jakie z pod pióra żeńskiego czy też męskiego się pojawiły, rysuje sylwetki wybitnych kobiet, które na tem polu swą działalność obfitszą w skutki czynnością zaznaczyły. Z artykułów tych, poświęconych, powiedziałbym, więcej teoretycznej stronie sprawy, dużo ciekawych rzeczy dowiedzieć się można i gdyby nie mglistość niektórych rozpraw, jak np. „Odrodzenie z Ducha“ lub „Kobieta co ‚ogniska-ołtarza strzeże‘“, w których myśl tak jest utajona w fali słów, że niepodobna jej prawie zrozumieć, możnaby je ku zupełnemu swemu zadowoleniu przeglądać.

Więcej interesuje dział w przeciwstawieniu do dopieroco omówionego, raczej praktyczny, wskazujący na bliżej dzisiejszych kobiet leżące zadania. Porusza on kwestye pierwszorzędnej ważności dla całych społeczeństw, a powołanemi do walki w pierwszym nawet rzędzie mogą tu być kobiety. Z tą formą emancypacyi każdy może się zgodzić; kobiety stoją tu przed zadaniami trudnemi, ale szczytnemi i w pewnej przynajmniej części nie przedstawiającemi nieprzezwyciężonych trudności. Szczegółowo zajmuje się *Nowe Słowo* piekącą a tak zarazem naszą cywilizacyę hańbiącą kwestyą prostytucyi i handlu żywym towarem. Te dwie plamy ludzkości z dnia na dzień więcej gangrenują społeczeństwa, to też piękny cel stawia dwutygodnik kobietom w ich walce z tem złem. Do tego celu ma posłużyć: „odpowiednie wychowanie społeczeństwa i wyrabianie opinii publicznej — wywołanie odpowiedniej reformy ustawodawstwa (zniesienie legalizowanej prostytucyi, regestrowanie prostytutek, jednostronnej rewizyi sanitarnej, godziny policyjnej i t. d.), zakładanie biur informacyjnych i organizowanie opieki dla dziewcząt samotnych, otaczanie opieką kobiet wykolejonych celem

umożliwienia im powrotu do normalnego życia“ [1]. I znowu niemile nas zadziwia, że *Nowe Słowo* gdziekolwiek się tą sprawą zajmuje, podaje wszystkie możliwe sposoby walki, pomija zaś zupełnie milczeniem zbawienną w tej mierze działalność religii. Nie chcemy twierdzić, że dziewczyna religijna na tę ślizką drogę nigdy nie wejdzie, pominąć jednak wpływ religii wydaje nam się rzeczą co najmniej lekkomyślną i nieuzasadnionem zapoznaniem jednego z najsilniejszych środków walki. Statystyka dziwne nam mówi rzeczy o tych dwóch plagach grasujących szczególniej tam, gdzie z życia ludu wyrwano wiarę a autorki rozpraw z pewnością same nie zgodzą się na twierdzenie, że jedyną przyczyną zła, o którem mowa, jest nędza i zwyrodnienie fizyczne, nędzą spowodowane; chęć życia ponad stan, lekkomyślność a przedewszystkiem namiętność tu także swoją odgrywają rolę i tu w pierwszej linii powołana jest religia do powstrzymania i zwalczania błędu i grzechu; tego zapoznawać nie wolno, przynajmniej tym, którzy na rzecz seryo się zapatrują.

Drugie, pierwszemu analogiczne, bliższe zadanie kobiet widzi *Nowe Słowo* w zwalczaniu podwójnej moralności, a więc tej, która inną miarą sądzi życie moralne mężczyzny, a inną surowszą życie kobiety. Do tej kwestyi odnoszące się rozprawy trzymane są w tonie dość namiętnym i trochę rozdrażnionym. Mężczyźni słyszą tu *verba veritatis*, padające ze strony kobiet, jakich się z pewnością nie spodziewali. Pisze więc p. Iza Moszczeńska, że „w kwestyach erotycznych nie obowiązuje go (mężczyzny) ona (moralność) niemal zupełnie, natomiast krępuje go prawie wyłącznie w stosunkach materyalnych. Porządnym i uczciwym mężczyzną można być bez względu na ilość zawiązywanych i zrywanych stosunków miłosnych i bez względu na ich następstwa. Trzeba tylko spełnić jeden kardynalny warunek: żyć z własnych pieniędzy i nienaruszać cudzych. Jeżeli dodamy do tego jeszcze trochę bezinteresowności i pracę produkcyjną, będziemy mieli gotową miarę na ocenienie wartości przeciętnie porządnych mężczyzn. W stosunku do kobiety mianowicie męż-

[1] L. c. 1904, n. 1, str. 13.

czyzna nie ma nieomal żadnych innych obowiązków prócz tych, które się na brzęczącą monetę obliczyć dadzą. Jest dobrym mężem, jeżeli odpowiednio do swych środków żonie dostateczne utrzymanie zapewnia, a jeżeli np. kochankę swą wyposaży i wyda za mąż za innego, mówi się o nim, że bardzo uczciwie i szlachetnie postąpił. Wogóle mężczyzna na uczciwość i szlachetność potrzebuje dużo, bardzo dużo pieniędzy: jest to dla niego warunek posiadania *maximum* swobody i używania przy maksymalnie dobrej opinii, dla tego też na zdobywanie pieniędzy wytęża się męzką energię całkowicie, o ile jej się nie trwoni w używaniu życia“ [1]. Wobec takiego stanu rzeczy „nie będzie to uznane za paradoks, gdy powiem, że jednym z najważniejszych i najpilniejszych punktów programu ruchu kobiecego powinno być fizyczne i moralne odrodzenie mężczyzny“ [2]. A kobieta? „Porządna, uczciwa kobieta jest to taka, która przed ślubem nie kochała nikogo, a po ślubie kocha swego męża tyle, ile on żąda i ile mu to jest dogodnem lub potrzebnem. Poza tem może być leniwą lub pracowitą, łagodną lub złośliwą, rozrzutną lub skąpą, póki niema kochanków, zawsze w równej mierze na miano uczciwej kobiety zasługuje. O ile jednak wykroczy przeciw temu najświętszemu przykazaniu, z jakichkolwiek powodów i w jakichkolwiek okolicznościach, okryta zostaje hańbą i ogólną pogardą, choćby poza tem była aniołem dobroci... Imię kobiety plami nie tylko sama wina, lecz pozór winy, jej cień, jej przypuszczenie, nie tylko nielegalna miłość, lecz wszelki, choćby najskromniejszy objaw miłości przed jej zlegalizowaniem, ujmę jej czyni każda inicyatywa w miłosnym stosunku, miłość niewzajemna a nawet brak odporności wobec kochającego i kochanego człowieka. Kobieta, choć jej cały los od wybranego mężczyzny zależy, nie może go ani szukać ani wybierać ani pragnąć, ani tem mniej zdobywać, jeżeli chce w stanie nieskalanej świeżości opinię swą utrzymać. Ona powinna być upragnioną, poszukiwaną, zdobywaną i ulegać po długim targu i po

[1] L. c. 1903, n. 5, str. 98.
[2] L. c. 1903, n. 5, str. 100.

podpisaniu jak najkorzystniejszych warunków kapitulacyi“ [1]. Wprawdzie „można przyznać słuszność tym, co w kobietach (nie w kobiecie) upatrują złowrogą kosmiczną potęgę, która mężczyznę niszczy i do zguby wiedzie“ [2], ale mimo to „łatwo wyobrazić sobie możemy, jak całkiem innym torem, o ile szybszem tempem posuwaćby się mógł nasz rozwój cywilizacyjny, gdyby kierowały nim jednostki silne, dzielne, pełne młodej energii i żywotności (t. z. kobiety)“ [3]. Otóż nie można zaprzeczyć, że w tych zarzutach znajduje się dużo prawdy. Stoimy tu istotnie wobec anomalii, domagającej się reformy, z drugiej jednak strony zarzuty te są za ogólne i w swej ogólności nie całkiem prawdziwe. Rozumny człowiek, a na sądzie takiego powinno nam jedynie zależeć, ani nie powie, że ta kobieta jest uczciwą, która dochowuje wierności małżeńskiej, poza tem jednak nie posiada żadnego dodatniego przymiotu i jest bezduszną lalką, objawiającą swe życie duchowe chyba przymierzaniem najnowszych toalet i zatruwaniem życia rodzinie i domownikom, ani że ten mężczyzna jest uczciwym, który rąk swych nie splamił cudzą własnością, za to hołduje rozpasanym namiętnościom i zwierzęcym instynktom. Gdyby autorki z *Nowego Słowa* chciały się w tej mierze zapytać religii i Kościoła, otrzymałyby z pewnością niespodziewaną dla nich odpowiedź, że moralność jest jedna tak dla mężczyzny jak i dla kobiety, następstwa jej jedynie mogą być różnej doniosłości. Jeżeli więc zdrowsze przekonania moralne, oparte na wierze i nieuprzedzonym rozumie, pojawią się w społeczeństwie, anomalia powyższa upadnie sama. Przez to nie myślimy jednak wcale twierdzić, że walka z podwójną moralnością jest niepotrzebną; twierdzimy przeciwnie, że jest ona tem odpowiedniejszem zadaniem kobiety, że na prawdę — powiedzmy to szczerze — kobieta w tym względzie wiele zawiniła i na nią w pewnej mierze spada również odpowiedzialność za taki stan rzeczy. W stosunkach towarzyskich jeszcze dzisiaj prym wodzi kobieta; gdyby podwoje jej domu

[1] L. c. 1903, n. 5, str. 97 sq.
[2] L. c. 1903, n. 5, str. 98.
[3] L. c. 1903, n. 5, str. 100.

zamknięte były stale dla tego uczciwego mężczyzny, który nie splamił się kradzieżą, ale za to plami się nieustannie rozpustą, niejedną gorzką łzę wyciska haniebnie przez niego uwiedzionej nieszczęśliwej istocie i ma może nawet niejedno życie ludzkie na sumieniu, gdyby pod tym względem solidarnie postępowały wszystkie kobiety inteligentne i na prawdę uczciwe, podwójna moralność w swych fałszywych podstawach zniknęłaby niezawodnie w niedługim czasie.

Piękne pole działania roztacza się przed kobietami w walce z alkoholizmem, któremu przypisać trzeba nie tylko nędzę objawiającą się w stosunkach materyalnych, ale przedewszystkiem nieszczęsne położenie moralne; słusznie też pisze *Nowe Słowo*, że „ścisły związek zachodzi między alkoholizmem i nierządem... połowa nierządnic jest zalkoholizowaną“ [1], niemniej słusznie twierdzi, że „jest to rzeczą pierwszorzędnej doniosłości, aby kobiety nasze ujęły w ręce swoje przeciwdziałanie alkoholizmowi i walkę z obyczajem i nałogiem. Stanowi to ich obowiązek jako obywatelek kraju, gospodyń, żon i matek... Dlatego też kobiety łączyć się powinny w stowarzyszenia i zaczynając od samych siebie przykładem i słowem zachęcać do całkowitego wyrzeczenia się trunków“ [2]. *Nowe Słowo* podaje różne sposoby zwalczania tego nałogu i jak zwykle pomija jeden z najważniejszych; wpływu religii i tu pominąć nie wolno a uzasadnienie tego twierdzenia może znaleźć pani Ludmiła Grabska w wyczerpującej pracy prof. Kleckiego p. t. „Alkoholizm i antyalkoholizm“.

Wielkie wreszcie zadanie stawia *Nowe Słowo* przed oczy matek, ucząc i zachęcając je do starannego, ile możności, osobistego wychowania drobnych dzieci. Listy poświęcone tej sprawie zainteresowały ogół, zawiązała się koło nich pewna nawet korespondencya, nastąpiła wymiana zdań. Nie wszystkie postulaty pewnie się przyjmą, bo nie wszystkie kobiety dorosły dzisiaj do wysokości wymaganych tam obowiązków i nałożonych

---

[1] L. c. 1903, n. 2, str. 33.
[2] L. c. 1903, n. 1, str. 8.

ciężarów; cel byłby osiągnięty, przynajmniej częściowo, gdyby pewien większy odłam matek wziął sobie te słowa do serca.

Jak dotąd sąd nasz, o ile go nie zawiesiliśmy, wypadł dla pisma feministycznego w większej części dodatnio; tem nieprzyjemniej dla nas, że tego przychylnego tonu w następnych wierszach utrzymać nie możemy. Wpierw jednak chcielibyśmy uwagę czytelników naszych zwrócić na fakt, że większość artykułów, wywołujących nasze przeciwne stanowisko, z jedynym prawie wyjątkiem rozpraw pani K. Bujwidowej, jest szczęściem podpisana przez nazwiska brzmiące dziwnie z cudzoziemska: Ada Propperowa, dr. Felicya Nossig, R. Centnerszwerowa, dr. Salomea Perlmutter, Irena Mayzel, Natalia Landau, Kaethe Schirmacher, Klementyna Gottlieb i t. d.; fakt ten tłumaczy genezę niejednego twierdzenia, na które zgodzić się nie możemy.

Zapatrywania, szerzone w *Nowem Słowie*, odbierają ruchowi kobiecemu u nas wszelką cechę chrześcijańską. Pomijam już wyżej podniesioną okoliczność, że dwutygodnik unika skrupulatnie wszelkiej wzmianki o religii i jej wpływie na sprawę kobiet w jej najszerszem znaczeniu, muszę jednak stwierdzić, że pismo to stoi na stanowisku religii wrogiem. Postaram się ten zarzut uzasadnić.

*Nowe Słowo* rozszerza fałszywe poglądy na moralność. Kiedy w Paryżu założono stowarzyszenie *La mère*, dające przytułek matkom nieślubnych dzieci i z tej okazyi powstała polemika *pro i contra*, *Nowe Słowo* pisało: „Więc przez to, że każe się pewnej ilości kobiet rodzić w nędzy, umierać zgłodu, wykorzeni się „r o z p u s t ę“, jak autorka nazywa wydawanie na świat nieślubnych dzieci? Czy fakt wygłoszenia przed duchownym lub merem kilku zdań, już otacza każdą kobietę aureolą *Mutter des Menschen?* Niechaj próbuje kobieta, która porodziła „nieprawe“ dziecię, wyjść na ulicę i powiedzieć „moralnemu“ tłumowi: uszanujcie mnie, bom jest matką!... Dopóki panuje u nas i w nas niemoralna moralność i zacofany pogląd na macierzyństwo i t. d.“[1]. To dość jasne. Słyszymy ze szpalt *Nowego Słowa*, że dawniej

[1] L. c. 1903, n. 11, str. 253

kobiety były zerem, a później dopiero „pani Pompadour, pani Maintenon, to już są czyny, dzieła“ [1]; bezwzględna prawie pochwała popędu płciowego [2], tylko nowe zamieszanie do pojęć wprowadza. Dowiadujemy się dalej, że do wyzwolenia kobiety z pod jarzma mężczyzny przyczyniły się między innemi polyandria, polygynia i heteryzm, że skutkiem polyandryi „horyzont jej ducha się rozszerza, wpływ i godność rosną“, że polygynia „staje się dla kobiety również przyczyną podźwignięcia się z upadku“, że „ustala (ona) ideał piękności kobiecej“, że „heteryzm, jakkolwiek niemoralnym wydaje się dzisiaj, przyczynił się w znacznej mierze do wyzwolenia się kobiety“, że „pozwolił kobiecie rozwinąć swą indywidualność“, że „praktyka jego (heteryzmu) wymaga pewnych zdolności, inicyatywy, stojących bądź co bądź o całe niebo wyżej od biernego posłuszeństwa dotychczasowego“, że „wychowanie wyższe, a przedewszystkiem zdobycie tak potężnej siły, jaką jest bogactwo — oto bilans heteryzmu“ [3], że w Japonii „heteryzm będący tam instytucyą narodową, stał się czynnikiem wyzwolenia dla kobiet, oddają mu się też dziewczęta od lat 15 do 20, gromadzą sobie posag, poczem wracają do domu rodzicielskiego bez jakiejkolwiek dla siebie hańby“, że jednem słowem „przez polyandryę zyskała ona (kobieta)pewną wartość u mężczyzn, polygynia wyrobiła i utrwaliła jej piękność... heteryzm (nadał jej) wyższą kulturę“ [4]. *Nowe Słowo* nie poprzestaje jednak na tem; twierdzi ono, że „od dzieciństwa chłopcu jako dogmat obyczajności stawia się formułkę: mężczyzna jest naturą polygamiczną(!), kobieta monogamiczną, a nikt się nad tem nie zastanawia, że w tak szerokiem stosowaniu formułki tej w praktyce, jak to ma dotychczas miejsce, dla wielożeństwa mężczyzn, koniecznem jest wielomęztwo kobiet, które dotąd za grzech przeciw naturze nie zostało uznanem ani w praktyce, ani w teoryi“ [5], że polygynia ma swe

[1] L. c. 1904, n. 2, str. 35.
[2] L. c. 1903, n. 21, str. 484.
[3] L. c. 1904, n. 4, str. 80 sq.
[4] L. c. 1904, n. 5, str. 111, 107.
[5] L. c. 1903, n. 20, str. 458.

źródło w głębi natury ludzkiej, choć jest zakazaną nie tylko przez ustawodawstwo i religię, ale nawet i przez moralność [1].

Z kwestyą zapatrywań na moralność, łączą się ściśle zapatrywania na małżeństwo. Podnosi więc *Nowe Słowo* fakt, że Francusko-Peruwianka, Flora Tristan, nie przyjęła za życia pierwszego męża propozycyi małżeńskiej „pewnego bardzo wysoko w hierarchii społecznej postawionego męża, przytem sprytnego, odważnego i ku któremu czuła sympatyę — a to dla tego tylko, że obawiała się, że stanie się despotką, jak wszyscy tyrani w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości“ [2]; nie ma słowa nagany dla rewolucyonistki Pauliny Rolland, która była „matką trojga dzieci, nie będąc zamężną, była bowiem zasadniczą przeciwniczką małżeństwa, ponieważ ono wymaga posłusznej uległości kobiety przed autorytetem męża, uświęca zatem nierówność“ [3]; przedstawia tak czarno i poziomo małżeństwo, że aż zerwanie tych pęt naturalnem się wydaje: „Zostawiam ciebie bez żalu mężu, głazie ty śpiący. Zostawiam ciebie bez żalu, ciebie coś pomiatał mną. Zostawiam ciebie bez żalu, coś duszę mi moją zabrał na chwil wiele. Zostawiam ciebie bez żalu mimo baśni wszelkich. Zostawiam ciebie bez żalu i nie skarż się, że ci krzywdę wyrządzam, bo ileś ty krzywd ciężkich zlewał na mnie. Zostawiam ciebie na to, by własną iść moją drogą, którąś ty był zamknął przedemną i sam nie stąpałeś na niej.. pustką stała“ [4]; stwierdza fakt, „że feministyczny ruch dąży do przetworzenia dzisiejszego ‚prawnego‘ małżeństwa na związek wolny, nie prawem lecz uczuciem jedynie krępowany“ [5], że takiemu na uczuciu opartemu małżeństwu nie potrzeba już „sztucznego upoważnienia ze strony Kościoła lub państwa“, że monogamiczne małżeństwo w wielu wypadkach zatwierdza związki, „które na niczem się nie opierają prócz na przymusie zewnętrznym

[1] L. c. 1904, n. 6, str. 123.
[2] L. c. 1903, n. 3, str. 61.
[3] L. c. 1903, n. 5, str. 109.
[4] L. c. 1903, n. 3, str. 72.
[5] L. c. 1903, n. 3, str. 67

i formułce kościelnej i państwowej“ [1], które to formułki mają jedną i tę samą wartość. Małżeństwo to przyszłości tak sobie przedstawia: „jeżeli gdziekolwiek jakiś związek zbliża się do doskonałości, to musimy mieć za podstawę zupełną swobodę; a jeżeli naturalną i wiarygodną jest rzeczą, że kochający z nadmiaru uczucia daje przyrzeczenie i chce się związać, to przecie jest rzeczą nie do pojęcia, jakim sposobem choć trochę dumny i delikatny człowiek, człowiek wogóle zdolny do uczuć głębszych, mógłby od kochającego przyrzeczeń żądać. A że niewątpliwie we wszystkich sprawach płciowych istnieje pewna naturalna rezerwa i pewne ukrywanie, więc byłoby może najlepiej, gdyby w prawdziwem małżeństwie nic nie mówić, żadnych przyrzeczeń ani na rok, ani też na całe życie nie dawać“ [2]; wtenczas nie zajdzie wypadek, że prawo „pobłogosławiwszy raz parze małżeńskiej, zamyka się w sobie i choćby związek jak najbardziej był chybiony i niedorzeczność jego leżała jak na dłoni, tępe to stare tworzywo patrzy z ukosa niby sowa na własne dzieło i powiada, że nie ma mocy rozwiązania szkodliwego, raz zadzierzgniętego węzła“ [3], taki wypadek nie zajdzie, bo „rozwód zależeć będzie wyłącznie od wzajemnego przyzwolenia“ [4].

Wobec takich zapatrywań nie zadziwią nas poglądy *Nowego Słowa* na religię i Kościół. „Kościół, tradycya, moralność przekręcane w najbardziej zasadniczych dogmatach, dopasowywane z jednej strony przewrotnie do potrzeb i wygód męskich, a z drugiej do małych serc i ciasnych mozgów ich pomocnic“ [5], przyczyniają się do poniżenia kobiety, co jest tem bardziej nagany godnem, że kler „opiera się na tradycyi kościelnej niezmiennej, pomimo, że warunki życia się zmieniają“ [6].

*Nowe Słowo* poucza nas dalej, że „do niedawnych jeszcze czasów, jako najstarsze objawienie religijne ludzkości uważano

---

[1] L. c. 1903, n. 14, str. 317.
[2] L. c. 1903, n. 15, str. 340.
[3] L. c. 1903, n. 15, str. 341. [4] Ibid.
[5] L. c. 1903, n. 1, str. 3.
[6] L. c. 1903, n. 1, str. 4.

przekazaną ludowi izraelskiemu przez Mojżesza „Księgę Rodzaju“: Genesis i inne księgi Starego Testamentu. Dopiero w ostatniem stuleciu udało się duszy ludzkiej szukającej niezmordowanie źródła swego w przeszłości napotkać pierwotną duszę, idącą od zarania ludzkich dziejów w przyszłość i w gorącem pragnieniu nieśmiertelności powierzającą zdobycze swego myślenia mogiłom i pomnikom“ [1]; z tych mogił i pomników poznać można, jak „przewijają się przed nami dzieje duchowne ludzkości w przybliżeniu od pięćdziesięciu tysięcy lat“ [2], chociaż kobieta „bezbronna znosiła niewolę milcząco (tylko) przez dwadzieścia tysięcy lat“ [3]. Tak już łatwiej zrozumiemy, że „Chrystus, jak wszyscy inni marzyciele, był jednostronnym“ [4], że św. Antoni był to „mnich krępy, otyły“, że „wszystkie przymioty świątobliwości... obce są taumaturgowi z Padwy“, że „nie znał pokory, chyba wobec Boga“ [5].

W dalszej konsekwencyi nie podobają się *Nowemu Słowu* szkoły wyznaniowe. Tylko wstecznicy oświadczają się za szkołą wyznaniową [6], gdyż „szkoła wyznaniowa wpaja w dziecko faryzeuszowską zasadę: Panie, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni, szkoła nowoczesna stara się wychować dzieci jak braci, dawać im ogólno-ludzki fundament, czuć się członkami ludzkości bez względu na religię, którą wyznają i na to, czy wogóle wyznają jakąkolwiek“ [7]. Taka szkoła nie sprzeciwia się bynajmniej Kościołowi, bo dyrektorem szkoły w Esterelles jest ksiądz katolicki, a w tej szkole żyją „i katolicy i protestanci i prawosławni i bezwyznaniowi“, „mają zupełną swobodę co do praktykowania każdej religii“, „żyją w braterstwie, urabiają uczucia wedle słów: Ojcze nasz, który jesteś w niebie, a nie, ‚Ojcze mój‘ i mnie podobnych“ [8]. (Szkoda tylko, że autorka nie zaznaczyła czysto

---

[1] L. c. 1904, n. 7, str. 155. [2] Ibid.
[3] L. c. 1904, n. 3, str. 58.
[4] L, c. 1903, n. 12, str. 280.
[5] L. c. 1903, n. 21, str. 499, 498.
[6] L. c. 1903, n. 2, str. 27.
[7] L. c. 1903, n. 3, str. 55, 56.
[8] L. c. 1903, n. 3, str. 56.

lokalnych stosunków, jakie taką szkołę spowodowały; stosunki takie nie są jednak ideałem). Taka dopiero szkoła stawia „wolność sumienia, jako główną zasadę poszanowania poszczególnych wierzeń religijnych“ [1], a jeżeli ma być zupełnie doskonałą, powinna być m i e s z a n ą czyli opartą na zasadzie koedukacyi, gdyż „wspólna nauka, a później wspólna zabawa i praca, a zatem i ideały wspólne i drogi jednakie na początku życia, dałyby i w dalszym jego przebiegu więcej harmonii“ [2]. Ideałem nieomal takiej szkoły jest wspólna dla dziewcząt i chłopców angielska szkoła Lowerisona w Hunstanton. Nie ma tam przymusowej religii. „Kto chce i kiedy chce modli się i tak, jak chce. Jak mówi w sprawozdaniu Mr. Lowerison, uczniowie jednej niedzieli słyszą podczas przechadzki nad brzegiem morza życiorys Buddy, następnej Chrystusa, innej znów opowiadają im o Apollonie, aby wdrożyć szacunek dla wszelkiego wyznania, dla wszelkiej wiary, dla idealizmu, a przedewszystkiem dla świętości i boskości natury człowieka. Świętość i boskość natury człowieczej! Oto co chce wszczepić w młode umysły Ellen Key“ [3]. Aby poznać choć w przybliżeniu zasady, jakie w sprawie szkolnej szerzy szwedzka feministka Ellen Key, a które tak się podobają pani Natalii Landau, i jak się zapatruje na „świętość i boskość natury człowieczej“, wystarczy tu wspomnieć, że Ellen Key jest między innemi autorką dzieła p. t. *Stulecie dziecka*, niedawno przez p. Izę Moszczeńską na język polski przełożonego, w którem pragnie przywrócić kult zmysłowej miłości, zapewnić jej wolność, przeciwdziałać opinii, uznającej tylko aktem ślubnym uprawnione macierzyństwo i pozwolić być matką każdej dojrzałej kobiecie, pod tym tylko warunkiem, aby ojciec przyszłego dziecka był zdrów fizycznie. Takiej tedy szkoły ostatecznym celem będzie wyrobienie w dziecku poczucia „wolności i siły“ [4].

Stosunek *Nowego Słowa* do kwestyi socyalnej nie jest zbyt jasno sformułowany, zdaje się ono zbliżać do socyalizmu, trudno

[1] L. c. 1903, n. 22, str. 512.
[2] L. c. 1903, n. 3, str. 58.
[3] L. c. 1903, n. 11, str. 244.
[4] L. c. 1903, n. 13, str. 290.

bowiem sobie inaczej wytłumaczyć takie np. zdanie: „prawo własności, jest to prawo bogatych do posiadania ziemi“ [1]. Dla tego też gniewa się na poznańską „Czytelnię dla kobiet“, że z jej grona wykluczono „kobietę zacną i rozumną, najlepszą żonę i matkę, bardzo pożyteczną obywatelkę“, „za to, że otwarcie się przyznała do swoich przekonań socyalno-społecznych“. Jest to „zatrważający objaw w łonie naszego społeczeństwa“, ale cóż, kiedy umysły i serca zgromadzonych kobiet były sfanatyzowane i steroryzowane „przez władze świeckie i duchowne“; jest to „czyn potwornie niechrześcijański“ [2], nie jest jednak niechrześcijańskim czynem pisać o „chorych organizmach, które z powodu braku światła cierpią na nieustającą anemię“, ani też katolicki organ poznański zwać „nieprzyjacielem wszelkiej oświaty, w pierwszym rzędzie oświaty kobiet, a zwolennikiem wszelkiego wstecznictwa“ [3]. Dla tej samej przyczyny w polemice z panią J. Rostworowską pisze p. Bujwidowa, że „autorce idzie o wpływ kobiety, by z jego pomocą pokierować ruchem społecznym, chodzi jej o to, by ruch ten ujęły sfery konserwatywne, bo ręce radykałów czyhają tylko na to, by kobietom z ludu organizacyę i opiekę narzucić... Publiczność poparcia nie skąpi i maluczko a ujrzymy początki tej obłudnej roboty prowadzonej pod hasłem pseudo-postępu, a obronę najwstecznieiszych haseł mającej w gruncie rzeczy na celu... Owo ubolewanie nad brakami podstawowej warstwy narodu, owo wzywanie do podniesienia moralnego i ekonomicznego tej warstwy jest dyktowane... jedynie obawą, by pracy tej nie pochwyciły ‚nieuczciwe‘ i niepowołane ręce ludzi szczerze postępowych“ [4]. Z początkiem bieżącego roku odchyliło już *Nowe Słowo* zupełnie przyłbicę we wydawanym przez siebie dwutygodniowym dodatku dla kobiet pracujących p. t. *Robotnica*, która jest pismem wprost socyalistycznem.

Filozoficzne wreszcie zapatrywania *Nowego Słowa* można

---

[1] L. c. 1904, n. 3, str. 56.
[2] L. c. 1903, n. 6, str. 133 sq.
[3] L. c. 1903, n. 24, str. 569.
[4] L. c. 1903, n. 19, str. 438.

poznać z jego poglądów na moralność np. lub na małżeństwo; po zatem sądy filozoficzne rzadko się znajdują w dwutygodniku. Warto jednak na zakończenie zwrócić jeszcze uwagę na tłumaczenie darwinistyczne niektórych faktów: „przyroda nie czyni nic bez dokładnie i jasno wytkniętego celu i z chwilą, gdy czyn lub zdolność jakaś staje się bezużyteczną, znosi ją i naodwrót przywraca lub tworzy z chwilą, gdy okażą się potrzebnemi. Ta wielka praca ewolucyjna natury odbywa się za pomocą dwóch czynników: doboru naturalnego i dziedziczności. Ewolucya przekształca liczne odmiany roślin i zwierząt: ona to sprawia, że jedne pływają, drugie latają w powietrzu, trzecie pełzają po ziemi, ona to okrywa pierzem, sierścią, opatruje w narządy chodzenia i t. p. Tak samo i właściwości moralne, jak odwaga i tchórzostwo, chytrość, miłość macierzyńska, są produktami dziedziczności. Są to fakty niezaprzeczalne(!)... Wielkie zdobycze ewolucyi pozwalają nam śledzić młodość rodu ludzkiego. Człowiek, jak każde żyjące stworzenie pochodzi od jednego jedynego przodka, zwykłej komórki, a skutkiem tego przeróżne jego własności nabywane tylko stopniowo i bardzo powoli. Nierówność płci mogła powstać dopiero wtedy, gdy się stała niezbędną z powodu warunków otaczających człowieka... Mamy równość zupełną płci u kręgowców, ryb, ptaków, gryzoniów, mięsożernych, z wyjątkiem gatunków, w których samiec nabierać musiał środków do walki i obrony, jak rogów, szponów i t. p“.[1]

Stoimy przy końcu naszego sprawozdania. Staraliśmy się, ile możności, bezstronnie, bez żadnych prawie uwag własnych, jedynie słowami samego dwutygodnika kobiecego, przedstawić jego opinie i poglądy; nie naszą winą, jeżeli obraz nie wypadł korzystnie. Wykazaliśmy kilka dodatnich objawów polskiego ruchu kobiecego, a zwróciliśmy na nie uwagę z tem większym naciskiem, im większą wagę przywiązujemy do moralnego i społecznego podniesienia kobiety. Kobieta szlachetna, kobieta

[1] L. c. 1904, str. 35 sq.

obywatelka to pierwszorzędna potęga w społeczeństwie. Społeczeństwo będzie takiem, jaką jest rodzina, a aniołem stróżem, duchem ożywczym rodziny jest kobieta-matka. Nigdy jednak nie można zapominać, że właściwe stanowisko przywróciło kobiecie dopiero chrześcijaństwo i że w niem spoczywa właściwa siła ku odrodzeniu kobiety.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

# „POPIOŁY“ STEFANA ŻEROMSKIEGO.

## I.

Niegdyś Wiktor Hugo w ocenie „Quentina Durwarda“ pisał: „po malowniczym, lecz prozaicznym romansie Walter-Scotta pozostaje do stworzenia inny jeszcze rodzaj romansu, który, mojem zdaniem, będzie piękniejszy i doskonalszy. Jest to romans który łączy w jedno dramat i epopeję, malowniczy wprawdzie, lecz zarazem poetyczny, rzeczywisty, lecz zarazem idealny, prawdziwy, lecz zarazem wielki, kojarzący Walter-Scotta z Homerem“. Takim romansem są „Popioły“. Zupełnie nie na miejscu byłoby tu wszczynanie zwietrzałego sporu o to, czy dobrze uczynił Żeromski — dotąd aż do szpiku indywidualista — że się pokusił o historyczne malowidło. Nie o to chodzi; raczej o to, czy atmosfera duchowa dziejowego momentu nie napoiła się niedokwasem schyłku XIX stulecia i czy się skutkiem tego radykalnie nie przeistoczyła? Ale też naodwrót chodzi i o to, czy ludzie dzięki wysiłkom artysty nad zachowaniem historycznej prawdy nie stali się kościanymi dziadkami, utraciwszy soczystość i świeżą krasę ciał, w których krew pod skórą tętni; czy życie nie pozbyło się namiętnego rozpędu i nie stało się podobnem do dziecinnego pobojowiska, na którem zgrabne figurki z papendeklu wykonują koziołkowe skoki? Artysta, który lękliwie namyśla się, czy mu wolno cokolwiek odmiennie przedstawić w danym historycznym materyale, artysta, który usiłuje całkowicie w oceanie prawdy dziejowej utopić własną indywidualność

albo też który nie zdoła z suchych kart pamiętnikowych wyczuć duszy odległego wieku — taki nie stworzy wielkiego dzieła na gruncie przeszłości.

Akcya „Popiołów“ rozgrywa się w latach od 1797 do 1812 w pamiętnej epoce, gdy ów mąż, bóg wojny,

> Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
> Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych
> Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,
> Ciskając grom po gromie — w Piramidy, w Tabor,
> W Marengo, w Ulm, w Austerlitz...

Z posiewu rewolucyi francuskiej i wojen jej końcowych wyrosło niezwykłe plemię ludzi. Tytaniczna niemal krzepkość i jędrność, lekceważenie niebezpieczeństw i samej śmierci, szalona odwaga, nadludzka wytrzymałość trudów — dawały im pozór bohaterów. „Nie mieliśmy spoczynku i do tego przyzwyczailiśmy się — wyznaje Szpotański w Pamiętnikach — żołnierz jadł, nie jadł, pił, nie pił, dla tego dobrze się bił. Dusza i ciało zahartowało się, uciekać było hańbą, gonić i bić uciechą — i konie nasze były żelazne, wszystkie trudy wytrzymywały“. Możnaby do nich zastosować słowa, niegdyś w „Satyrze“ o dawnych rycerzach przez Kochanowskiego wypowiedziane:

> Nic to nie było — siedm lat walczyć nie przestając,
> Mróz i gorąco cierpiąc, głodu przymierając,
> A to wszystko bogactwo, kto się sławy dobił;
> Lepiej się tem, niż złotym łańcuchem ozdobił.

Ale prócz tych czynników tkwiły w duszach ówczesnych inne: indywidualna wartość jednostki wzrosła i ludzie różnych sfer zbliżyli się ku sobie; mnóstwo przesądów, lecz i wiar zarazem pierzchło przed oświetleniem wieku, który rościł sobie pretensye do wszechwiedzy; dusza ludzka opuściła skrzydła, zaczęły ją trapić smutki i gorycze, zaczęła szukać zapomnień i leków na swe rany w poniżających uciechach, w cynicznej brawurze i krzykliwem pomiataniu tem, co niedawno czciła jako świętość. Bunt, pyszałkowata pogarda uświęconej powagi, tłumiona ale nie dająca się ukoić gorycz i niesmak ze siebie, z rzadka prześwietlanie się w wizyach ideału dawały się przedziwnie pogodzić z owem życiem, pełnem rozgwaru, zamętu, walki, pocho-

dów, krwi, uniesień, trudu i męki. Były więc w duszach ludzi z końca XVIII i początku XIX wieku szczeliny i pęknięcia niepojęte, tajemnicze a głębokie. Jeżeli tak w Europie, cóż dopiero u nas? Kultura nasza związała się od półtora wieku z francuską i wybór naszej intelligencyi czuł i myślał na ład francuski; ale w nas także uderzały gromy, choć nie te, co biły „w Marengo, w Ulm, w Austerlitz“, myśmy też przeżyli wiele, czuli gorączkowo, pragnęli silnie, spodziewali się gorąco; uczucia miłości i nadziei głęboko tkwiły w sercach naszych obok tych wszystkich składowych czynników, jakie tworzyły duszę Zachodu. Nie miał zapewne racyi Brodziński, kwalifikując naszą uczuciowość jako łagodną, jednakże byłbym skłonny dać wiarę temu, żeśmy w najgorszych momentach rozwydrzenia mniej pochopni okazywali się do cynizmu, do naigrawania się ze świętości, do wszelkich wyuzdań i zwyrodnień, niż ludzie Zachodu. Tkwiła w naszych duszach z rasą odziedziczona lękliwość pewna, jakaś zaduma i onieśmielenie wrodzone, jakieś melancholijne ukrycie się w sobie wobec widoku gwałtów, dokonywanych na przedmiotach, którym cześć należy.

W kreacyach największych naszych poetów bez trudności znajdziemy potwierdzenie wywodu, postaci wyżej scharakteryzowanych było dość i w naszej literaturze i w naszem życiu. Tadeusz mickiewiczowski

przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne,

ale razem niemałą chętkę do swawoli, a jako Soplica z rodu był krzepki, otyły i silny, do żołnierki jedyny, w naukach mniej pilny. Lecz to nie samotny przestawiciel pokolenia. Inny jest Szczęsny Kossakowski: szlachetny, głęboko odczuwający wszelki fałsz i wszelką nikczemność. „Ten młodzieniec jest wielkim ale niedokończonym tworem Opatrzności“, jak mówi ks. Prokop. Chwilami, kiedy słucha opowiadań Horsztyńskiego o bohaterskich czynach, rodzi się w nim jakaś szalona duma, której jednak ku dobremu celowi nie może skierować, bo na to potrzeba mieć charakter, a on go nie ma (I, 2). Z pośród ludzi, którzy żyli jakże podobnym do Tadeusza wydaje mi się młody Aleksander Fredro, do Szczęsnego

znów młody Zygmunt Krasiński, gdy sam nie bez przesady ujemnej zapewne, ale też i nie bez bodaj cząstkowej prawdy tak siebie charakteryzuje w liście z 2 października 1831 roku: „Jakżem żył zresztą samotny po większej części, egzaltując się przy dwóch świecach, wywołując światy i kształty poza prawami stworzenia, goniąc za silnemi wrażeniami, stwarzając sztuczne, oburzony na towarzystwo i kobiety, na każdego, kogo nie znałem, lubiąc z usposobienia fizyczne wytężenie, pisząc, przywołując poezyę krzykiem, gdyż ta duszy mej była rozpustą, mózg zamęczając, ręce na piersi krzyżując z nudów... I przechodziłem kolejno od dzieciństwa przez wszystkie szaleństwa: szaleństwo cygar, polowania, zazdrości, pożądliwości, zemsty, miłości, natchnienia, pogardy dla drugich, gdyż wszystko we mnie jest chwili szaleństwem“... Byli zatem prości, zdrowi i dzielni, jak Tadeusz czy Fredro, byli śród rzeczywistych podobni wielce do Rafała, że wymienię choćby Franciszka Ksawerego Dąbrowskiego, wodza multańskiego legionu, albo Denyskę, albo Amilkara Kosińskiego, ale byli i tacy, których dusza kryła się w ośrodku gordyjskiego kłębka, nie łatwo dającego się rozgmatwać. Na chlubę zaś tych natur wypada nadmienić, że nie było w nich takiej pochopności do bezeceństw, jak np. u Francuzów. Dowodzi tego sławne opowiadanie legionisty kaprala o nocy spędzonej w hiszpańskiej mieścinie Lamego, o owem „bredzeniu na świętych“, o bluźnierstwach francuskich na Najświętszą Pannę, o tem, jak polski kapral w myśl sodalisowskiego patentu bronił imienia Maryi, perswadując: stulcie pysk do bisa, i jak w rezultacie nazajutrz francuskie głowy były „ślicznie odcięte nożem, jak makówki“, a polska głowa została na karku, w czapce zaś znalazła się kartka z łacińskim napisem: *Vivat Polonus unus defensor Mariae*“. (Dziady III, 1).

W „Popiołach“ dwie postacie wysuwają się z mnogiego tłumu na czoło i pociągają uwagę czytelnika: Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro. Niewątpliwie najgłębiej i najdzielniej pomyślaną jest postać Rafała Olbromskiego. Żartki i gwałtowny, prędki w czynie, uparty w wykonaniu, popędliwy w uczuciu, i namiętności, niezmiernie krewki, czasem niesforny, ma on pozór

instynktowca, nie lubiącego rozmysłu i rwącego bez opamiętania naprzód. Natura fizycznie tęga i zdrowa, pięściami toruje sobie drogę. Tę bujność, siłę, wytrwałość, tę duchową twardość, wyglądającą czasem jakby brutalne niepohamowanie, wziął Rafał w dziedzictwie od rasy, nie przeżartej truciznami wysokiej kultury. Idąc przez życie miał jednakże nieraz sposobność giąć i łamać własną wybujałość. Kiedy w Sandomierzu praktykował poetykę, a na Wiśle utworzył się zator lodowy, potajemnie popłynął ku niemu łodzią, narażając na śmierć siebie i przyjaciela Cedrę. Byliby zginęli w odmętach, bo ławy lodu porwały im łódkę, strąciły obu w spienione nurty; jakimś cudem sam się wydobył i Cedrę wyratował, kiedy zaś potem obmokłe ubranie marzło na nich w lodową skorupę, a ciało ginęło w dreszczach zamarzania, ostatnim wysiłkiem świadomości tknięty, poszarpał na sobie i na przyjacielu suknie i wśród nocnej ciemy pędem zziajany i nagi dopadł miasta i mieszkania. Cedro zaległ na ciężką gorączkę, Rafała chciano ukarać obiciem, ten atoli poranił nożem jednego z oprawców, potłukł drugiego i uciekł do rodzicielskich Tarnin. Stąd czyni zimą konno wyprawę do ukochanej; w powrocie opadły go wilki. Szalenie umykał, ale spadł z konia i stoczył okropną walkę z włochatym potworem, którego zabił kluczem, sam śmiertelnie poraniony; znowu istnym cudem ocalał dzięki saniom jakiegoś chłopa. Po raz trzeci kiedy otrzymał cios szpicrutą przez policzek od księżniczki Elżbiety, po raz czwarty kiedy w towarzystwie bandy hulackiej z pod Blachy zwarł się w zapasach z pruską policyą nocną, po raz piąty kiedy tak straszliwego pogromu doznał w Tatrach od rozbójników, po raz szósty kiedy umykał przez Wisłę do legionów — i potem wielokrotnie mógł Rafał sięgnąć kontrolującym rozumem w głębokie sztolnie swej natury i nałamywać ją do granic uobyczajenia. Nie sili się na to, nie krępuje więzami konwenansu swej wybuchowości. Jeśli spokój nadejdzie z wiekiem — nie będzie w tem jego zasługi. Nie należy do ludzi, którzy „gubią listek po listku, aż w późnej jesieni jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni“. W jego piersi warem kipią popędy i namiętności, w jego wyobraźni tłoczą się widziadła z łudzącą siłą jawy, jego

rogata dusza rozpiera się szydem i chychotem w chwilach, kiedyby można było oczekiwać rozczulenia lub opamiętania. W pewnych momentach czuje w sobie „ów śmiech cudzego, nieprzełamanego, wrogiego w swych piersiach“ (I, 252).. Kiedy np. czasem oczy księżniczki spoczęły na nim, wtedy „czuł gałgańską uciechę, rozkosz kradzieży, tryumf zdobywcy“ (I, 259). Kiedy brat jego Piotr, młody mędrzec o szlachetnej duszy, nagle skonał, skutkiem wybuchu krwi, Rafał czuł wprawdzie ból niezgłębiony, ale „zaczął rozglądać się w rzeczach i uczuł także łakomą żądzę posiadania rozmaitych sprzętów brata“. „Żądza zagarnięcia klucza i otworzenia szuflady, ciekawość, co tam być może, paliła go i podrywała z miejsca“ (I, 220). W jakiś czas potem otrzymawszy za niewczesne zaloty smagnięcie w twarz szpicrutą od księżniczki Elżbiety, wzburzony do głębi, popędził konno do wsi Piotra i był świadkiem katowania wiernego sługi brata — żołnierza Michcika za to, że nie chciał iść na pańszczyznę, gdyż niedawno go książę Gintułt wyzwolił. Nie stanął w obronie Michcika, choć był świadkiem wyzwolin, lecz zawrócił i pomknął w ciemności nocne, bijąc konia do upadłego. „Ów dawny chichot, wyłamujący się z płonących bebechów wściekłości, zatrząsł nim całym“ — wyjaśnia autor stan jego duszy. (I, 268). Zwyczajowość położyła na niej pokost przyzwoitości, ale z dna dźwigał się od czasu do czasu potworny łeb nieuległego żadnym przepisom, krnąbrego, okrutnego i zmysłowego dzikusa. Popędy jego nagłe, nie krępowane refleksyą, skutkiem tego bywa nieobliczalny, pozornie może się nawet wydać niekonsekwentny w swych czynach, choć zazwyczaj potężny mięśniami i energią nerwów. Znowu parę przykładów. W Warszawie jako brat wolnomularz ujrzał nagle kobietę, której raz jeden wyznał był miłość, gdy była jeszcze dziewczęciem. W powrocie od niej walczył z wilkiem. I oto teraz usłyszał głos jej. Palce jego prawej ręki wpiły się jak szpony w dłoń lewą. Rozpacz i szczęście płynęły przezeń, jak wiatr przez gałęzie drzewa. Mgła łez zasłoniła oczy. Trząsł się i dygotał z zimna. Włosy jeżyły mu się na głowie, a wiatr śmiertelny owionął czoło. Kły i pazury wilcze werżnęły się w jego gardło, młotem biły go w dekę piersiową, włamały się

pod żebra... Tak stawała przed nim wizya włochatego potworu (II, 84). Ale czas płynął, Rafał szalał z Heleną, utracił ją, przebolał i zapomniał. Jedzie do legionów i przypadkiem nocuje z Krzysztofem Cedrą w domu Elżbiety Ołowskiej, która go niegdyś smagnęła szpicrutą. Jakże strasznym zmysły jego zapłonęły na nowo ogniem. Przez dwa dni takich marzeń „twarz Rafała osunęła się, a oczy pełgały niezdrowym połyskiem. Z godziny na godzinę zwiększała się jego namiętna, rozszalała miłość, żądza przesycona poczuciem utraty“... Bez skrupułu myśli o zamordowaniu Cedry, którego ma za rywala. „Wyjdą w nocy, puszczą się w manowce nadrzeczne. Tam krótki strzał w ucho głupca, trupa w wodę i pod lód. Wtedy — wrócić, wrócić“ (II, 312). To też z pewnością święcie wierzy sam sobie, klnąc się niedługo potem Elżbiecie: Ciebie jedną kochałem w życiu! (II, 334). Jakżeby się zgorszył i zdziwił, gdyby mu jaki przekorny głos przypomniał szały górskie z Heleną podobnie, jak ów głos w Nieboskiej przypominał: dramat układasz... Nie jest to zatem psychologiczna niekonsekwencya, lecz nieobliczalność instynktowa osobnika — ów moment w życiu Rafała, kiedy on, oficer przyboczny Sokolnickiego, przywykły, jakby się zdawało, do wojskowej subordynacyi, łamie ją nagle i brutalnie podczas sandomierskiej walki na wołanie ks. Gintułta: „Do mnie, dzieci wdowy“! Młody Rafał zatem jest to krewka, niesforna, wybuchowa natura polska, temperament tego pokroju, co Miecznik w „Maryi“, sędzia Soplica lub Cześnik w „Zemście“, o ile czas na barki dołoży jeszcze podwójne brzemię lat i głowę szronem siwizny okryje. Ale też nie cała to ówczesna dusza polska. Uzupełnia ją Krzysztof Cedro. Uczył się z Rafałem, choć więcej i lelepiej. Ojciec, zamożny galicyjski obywatel, epikurejczyk i wykwintny samolub posłał syna do Wiednia i kazał mu się starać o tytuł hrabiowski dla siebie, a klucz szambelański dla niego. Krzysztof marniał powoli, na szczęście jednak żywił w sercu kwiat przyjaźni dla mędrca i dziwaka Nekandy Trepki — więc myśl nie gasła doszczętu. Raz do ustronnego dworu Cedry przyszedł „dziad, żebrzący chleba“, wyznał, że był legionistą i opowiedział dzieje dotychczasowe legionów, budząc stłumiony zapał

i nadzieje w młodych duszach Rafała i Krzysztofa. Poszli do legionów, przekradli się przez kordony i wstąpili do służby. Cedro nie przyjął żadnych ulg, pełnił twardą służbę żołnierską, a kiedy stanął po bitwie pod Frydlandem pokój, wojna tak już weń wrosła, że wraz z Gajkosiem wstąpił do lansyerów i poszedł do Hiszpanii.

Nie Rafała przeznaczył powieściopisarz z pośród zmyślonych postaci na boje do Hiszpanii, lecz Cedrę, a uczynił to z głębokiem, intuicyjnem przeniknieniem w duszę słowiańską. Cedry natura subtelniejsza, niż Rafała — piękniej, jaśniej świeci się wobec okropności wojny. Różnicę zaznacza Żeromski już wówczas, kiedy przedzierali się za Wisłę. Zginął wtedy od kuli przewoźnik; Cedro swe dukaty pozostawił wdowie i dzieciom, a Rafał sarkał: „za co kupisz konia, mundur? Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz?“ (II, 347). Zawsze i wszędzie pobudki wzniosłe, porywy idealne, uczucia miłości bliźniego kierują czynami Cedry, nie ujmując mu hartu i mocy ducha. Wojskową jego konduitę wybornie określa kapral Gajkoś. „Na koniu siedzi, jakby go kto mutrami przykręcił, sam towarzysza obrządzi, rozsiodła i okulbaczy, jak rataj, i jeszcze dotychczas nawet nie sierżant, jako że jest niedbający. Są w naszych szeregach takie niedbające chłopy. Nie małom ich widział. Bije się na śmierć, kuźden trud śmiertelny zniesie, zginie bez jednego słowa. Choroba wie, co to za ludzie takie!“ (III, 20). Stwierdza ten sąd zuchwałą odwagą w czasie oblężenia i zdobywania Saragossy, a wnet potem szalonym atakiem na czele swego plutonu we dwa dni po Tudeli, został bowiem porucznikiem. Dotychczas żył śród starych wilków, hyen i dzików — pojedynków, teraz wszedł w grono oficerów, gdzie „sława świeciła na ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz“ (II, 135). Doświadczeniem wojskowem, męstwem górował i tutaj, ale ów „zakon dusz“ napełnił całą istność młodego rycerza, kierował każdem pomyśleniem, stał się alfą i omegą bytu Cedry. Już konał wieziony do Alcala, kiedy gasnącem od bielma śmierci okiem ujrzał cesarza. Zagadniony, kto jest, mówił: „Poszedłem z domu ojca mego. Wierzyłem, że moją ziemię... A te-

raz... na obcej... Wyrzecz, że nienadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!“ A Napoleon patrzał długo, wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł: *Soit.* Ale nie tak doskonałem pogotowiem wojennem i sprawnością, ani nawet sztuką we władaniu lancą jak gdyby po hussarzach odziedziczoną, usprawiedliwił Cedro przymioty swego plemienia, jak swojem zachowaniem w Saragossie. Wszelkich skrupułów pozbawione, wyuzdane w swych bezeceństwach żołdactwo francuskie obrzydliwie roztarasowało się w świątyni Bożej. Francuski grenadyer w komży i stule głosił z ambony kazanie o najsprośniejszych objawach życia, skubiąc równocześnie koguta, piejąc i udając gdakanie spłoszonych kokoszek; grono innych francuskich żołdaków w ornatach, komżach i albach z butlami i gąsiorami wina parodyowało ofiarę Pańską. W całym kościele rozlegał się wrzask radości, wino lało się strugami, na rożnach pieczono mięso... Cedro był straszliwie głodny i spragniony. „Pić mu się chciało tak okropnie, że zda sią lat kilka oddałby za jeden z pękatych i omszałych gąsiorów wina“. A jednak nie poniżył się do profanacyi, bluźnierstw i upodlenia. Kiedy tłum koleją klękał na stopniach i chłeptał malagę, otrzymując złoty kielich z rąk żołnierza w kapie, Krzysztof już zbliżył się do ołtarza, bo „odchodził od przytomności z głodu i pragnienia“, ale nagle „pogarda buchnęła z niego, poszedł precz wprost na swe miejsce, klnąc głośno i bardzo brzydko“, słowem oparł się jakąś niepojętą mocą ostatecznemu zbydlęceniu. Podobnie w czasie potwornej sceny hańbienia niewiast w klasztorze Franciszkanów, on swoją ofiarę puścił wolno i doświadczał stąd błogiego olśnienia, dotykalnego szczęścia. Toż i potem widok bezeceństw żołdaków francuskich, nawet i polskich budzi w nim odrazę, wstręt, gniew. „Gdyby to odemnie zależało... kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bóg... przecież to... wieszać, jak kundlów!“ (III, 104). Stąd widać, o ile subtelniejszy, o ile w swych instynktowych porywach wstrzemięźliwszy jest od Rafała Cedro. Wyobraża on — sądziłbym — tę lepszą cząstkę rodzinnej duszy, pełną bogobojnego lęku i onieśmielenia wobec czynu, który mógłby ohydą przejąć i honoru uszczuplić i czystość splamić.

Pierwiastek rycerski tkwi w Krzysztofie i przezeń Cedro uzupełnia Rafała.

Ale jeśli o duszę człowieka z owej doby chodzi, to należy uwzględnić i księcia Gintułta, i Michcika, i Gajkosia, i Trepkę, i Jarzymskiego, i Helenę, i księżniczkę Elżbietę. Każda z postaci wnosi jakiś odmienny rys, cząstkę innej sfery. Dopiero całość daje wyborny obraz zbiorowej duszy tych chwil znamiennych w naszem życiu porozbiorowem [1].

---

[1] Pośród recenzyi, jakie pojawiły się o „Popiołach“, jedna, zatytułowana: „Epoka napoleońska w Popiołach“ (*Przegląd Wszechp.* luty 1904), napisana przez W. T. czyni Żeromskiemu zarzuty, że nie daje duszy ludzi tej epoki, że myli perspektywę historyczną, że tej lub owej chwili dziejowej nie widzi, inną ignoruje, że Sułkowskiego i Sokolnickiego przedstawia źle, że ani Cedro ani Olbromski nie dadzą się pomieścić śród ludzi tej epoki. Zarzuty byłyby ciężkie, gdyby były słuszne. Ale takimi stanowczo — nie są. Pan T., zachęcony impulsem, danym w szkicu prof. Askenazego p. t. „Na marginesie Kordyana“, bada wszystko okiem analizy historycznej i ogranicza twórczość do szczupłych granic, zakreślonych przez historyę, ale równocześnie samochcąc, nawet dowolnie zacieśnia historyczny widnokrąg, tak że w jego mniemaniu ludzie nie są składowemi mnóstwa różnych sił i czynników, lecz są po prostu wyrazem jakiejś jednej górującej siły — i koniec. „Odrodzenie charakteru narodowego objawiło się w ludziach, którzy po rozbiorach umieli tylko szaleć pod Blachą, a którzy bez okresu napoleońskiego byliby pewnie znani tylko jako bohaterowie z pod Blachy, gotowi służyć bez zastrzeżeń w wojskach zaborców“. Dzięki zaś temu okresowi stali się oni ludźmi „prostolinjnego patryotyzmu wojskowego“... Jakże to? Zatém niczego nie nauczyły ani reformy Konarskiego, ani Komisya edukacyjna, ani Towarzystwo dla ksiąg elementarnych, ani Towarzystwo Przyjaciół Nauk, ani „Głos wolny“, ani „O skutecznym rad sposobie“, ani „Uwagi nad życiem Zamojskiego“, ani „Listy do Małachowskiego“, ani Kuźnia Kołłątajowska, ani „Serweta“, ani olbrzymia literatura lat 1788—92, ani konfederacye w kraju, ani rewolucya francuska i jej literatura — nic, nic, tylko okres napoleoński? Jeżeli mamy to uznać za prawdę, to uznamy i ów „prostolinijny patryotyzm wojskowy“. Ale tak nie było. Dusza tych ludzi składała się z mnóstwa pierwiastków sprzecznych a z „prostolinijnością“ nic nie mających do czynienia. Ja wiem, że niektóre pamiętniki, np. Ochockiego, malują ówczesne społeczeństwo polskie źle, ale jednostkowego poglądu nie trzeba generalizować. Nie da się „prostolinijnym patryotyzmem wojskowym“ zbyć ani głębokiego umysłu Staszyc, ani zapracowany w księgach i bibliotekach paryskich późniejszy generał Stanisław Fiszer, ani nawet H. Dąbrowski, który swoim legionistom w Rzymie każe się uczyć w godzinach wolnych od służby, „zwłaszcza w zakresie języka polskiego, historyi i matematyki, gdyż we wszyst-

## II

Na tytule napisano: „Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku“. Jakże wiele mówi ów tytuł, jak wiele przypomina! Ale nie potrzeba w smutku się pogrążać. Bywają różne popioły. Myśl przeszłości zwija lot, zanurza się w ziemię.

> Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą
> I kości, co nie wiedzieć, do kogo należą.
> Tam znajdzie pełne ziarno w r o d z a j n y m p o p i e l e...

Bywa tedy popiół rodzajny, jak ów, który Feniksa wydał. Należałoby jeno w popiołach odszukać tych składowych pierwiastków, które życie kryją w sobie. Czy takie były w czasie

---

kich okolicznościach — wedle słów rozkazu — powinni Polacy zwracać na siebie uwagę Europy nie tyle liczbą, ile cnotami, wyższemi od tych, jakich się wymaga od zwykłego wojownika“ (Pepłowski: „Hist. leg. 101). Mam więc to przekonanie, że gdyby Żeromski malował ludzi „prostolinijnego wojskowego patryotyzmu“, uczyniłby tak, jak naturalistyczny pejzażysta, który odtworzył kilka drzew malowniczo karłowatych i zatytułował: las. W „Popiołach“ zaś są złe, są i dobre strony społeczeństwa. Niesłusznie wydaje się panu T., jakoby rozmowy Dąbrowskiego z Gintułtem, Trepki z Cedrą były nie powiązane organicznie z powieścią. One są ważne i potrzebne i organicznie powiązane, nie jako rozmowy oczywiście, bo tych z różnych względów nie mógł a może i nie chciał powieściopisarz rozdłużać, ale przez swój wpływ na Cedrę, bo to jest właśnie artyzm — rzecz malować nie przez rozmowy, lecz przez ludzi, oraz ich przemiany. Kto umie czytać dzieło artysty, ten bez mozołu wyśledzi, jak się Cedro przeistoczył od początku do końca akcyi powieściowej i pod jakimi to przeistoczenie dokonało się wpływami, i o ile zaważyły tu rozmowy z Trepką; tak też sprawa ma się z Rafałem i z Gintułtem... Godzi się ubolewać, że p. T. zmian tych nie dostrzegł, byłby bowiem nie posądził Żeromskiego, jakoby mylił perspektywę historyczną, odmawiając swojej sympatyi legionom i naszą ku nim zmniejszając. Jakimże sposobem? Oto schyłek roku 1806 po Jenie był najpiękniejszą chwilą naszą w XIX wieku, a w „Popiołach“ Cedro i Olbromski dowiadują się o Jenie, jakby przypadkowo. Na to trzeba odpowiedzieć, że entuzyazm po bitwie pod Jeną był nagły i wielki w Poznańskiem, jak to już zresztą Bartek Prusak w „Panu Tadeuszu“ zadokumentował, o odezwie zaś Wybickiego z 3 listopada 1806 roku sam on pisze nie bez tajonej goryczy: „Każdy z ciekawością ją czytał, nie każdy przecie równe zaufanie w niej składał“... W powieści zaś nie o to idzie, jak i przez kogo dowiadują się Cedro i Olbromski, lecz jakie wieść wrażenie wywiera; a wrażenie jest tak potężne, że w czynach i skutkach na cały dozgonny tok życia obu ich oddziaływa. Czyż to jest myleniem historycznej perspek-

owym? Czy ich nie uronił powieściopisarz? Czy tak jak ludzi malował, tak i ducha czasu odtworzył? Jak daleko posunąć się może historyczny powieściopisarz w przekształceniu historyi? Za to ostatnie odpowiada zawsze poczucie i takt artysty, krytyka zaś nie powinna go obarczać postulatami. Wielki Szekspir zachowywał fakty, zmieniał charaktery, nawet dziejowych ludzi, dowolnie stłaczał czas w krótkie terminy, rozporządzał się przestrzenią i miejscem, ale na ogół przedziwnie umiał ducha czasu nawet odległej przeszłości odgadywać. Żeromski nadzwyczaj zręcznie wprowadził obok ludzi historycznych — ludzi zmyślonych; ostatnich obdarzył rolą niezmiernie ważną, jak widzieliśmy powyżej, sprzęgał ich z historycznemi postaciami, kiedy było trzeba, rozdzielał, kojarzył i łączył po parze zmyślonych —

---

tywy? A dalej p. W. T. insynuuje Żeromskiemu, jakoby kazał legionistom iść do Hiszpanii z „nawyknienia do życia kondotyerów“ — bez dalszych i rzewniejszych aspiracyi i nadziei. Czy to słuszne posądzenie, możemy ocenić, bośmy śledzili niektóre momenty pobytu Cedry w Hiszpanii, zwłaszcza rozmowę jego z cesarzem. A dalej p. W. T. zarzuca, że Nardzewski nic nie wie o ostatniej chwili Rzeczypospolitej, że Cedro i Olbromski nic nie wiedzą o Austerlitz. Tak nie jest. Z toku dysputy Nardzewskiego wysnuć można odmienny sąd; Cedro zaś i Olbromski wyraźnie nawet datę Austerlitz wymieniają: „Toż w grudniu zeszłego jeszcze roku ta batalia była“ (II, 234). Muszę też wyznać, że nie przemawiają do mego przekonania zarzuty p. W. T. czynione Żeromskiemu, że w usta Sułkowskiego kładzie marzenia o słyszeniu fal morskich, rozbijanych przez flotę, a Sokolnickiemu każe odczuwać, jak w uszach jego odbija się przykry szum trzcin i modlić się o śmierć Żółkiewskiego, t. j. śmierć na polu chwały. Recenzent może jako historyk wolałby oschłe historyczne traktowanie postaci i rzeczy i z oddalenia wiekowej perspektywy przypuszcza, że ani Sułkowski ani Sokolnicki poza „prostolinijnym wojskowym patryotyzmem“ nie posiadali ani wyobraźni, ani uczuć, dających im niekiedy chwile rozmarzenia. Przypuszczenie wielce nieprawdopodobne. Wolę ja ludzi Żeromskiego. Wniknięcie głębokie, rozległe rozczytanie się w pamiętnikach dało mu możność intuicyjnego a świetnego odtworzenia ludzi na pograniczu między wiekiem oświecenia a świtaniem romantycznych entuzyazmów i szałów, na pograniczu pomiędzy depresyą świeżej katastrofy a nadziejami... Ludzie to dla nas nad pojęcie zajmujący, tacy o głowę wyżsi, którym zazdrościmy tego, że umieją czuć lecz i działać razem, gdy tymczasem my roztkliwiamy się i ręce łamiemy nad nędzami własnej niedoli i... własnej niemocy. Tem to zatem wyżsi są, tem nam imponują, tem są dla nas niezmiernie sympatyczni — i Żeromski w swej powieści nic a nic nie pomniejszył tej naszej ku nim sympatyi, choć ich zgoła nie idealizował...

i zdaniem mojem — bardzo trudno orzec, którzy ludzie są pełniejsi życia tych chwil dziejowych: historyczni czy zmyśleni? A duch czasu? Spróbujmy dociec, co w nim tkwiło, jak uczy historya, a co maluje w powieści Żeromski. Może z tego dochodzenia wyłoni się odpowiedź na pytanie: dlaczego tytuł: „Popioły“ i o ile rodzajne? Zostawiły te czasy sporą wiązkę pamiętników i wspomnień: Załuski, Wyleżyński, Niegolewski, Łubieński, Chłapowski, Dąbrowski, Chłopicki, Płaczkowski, Zwierkowski, Szpotański, Majnert, Wybicki spisywali i ogłosili własne pamiętniki; Wójcicki, Sulima, Puzyrewski, Pepłowski, Rembowski, Czermak i inni opracowywali częściowo lub w całości chwilę dziejową. Od generała do szeregowca — wszystkie stopnie wojska, przedstawiciele wszystkich legii zabierali głos i opisywali według najlepszej wiedzy i woli wydarzenia na potężnym obszarze ziemi od Warszawy do Haiti. Miał tedy dość świadków naocznych powieściopisarz, by poznać złe i dobre strony wydarzeń, by je ocenić z miłością lecz według prawdy, niezaćmionej namiętnością chwili. Dowiadywał się przeto — „w imię jakich też obywatelskich uczuć i poświęceń szafowali owi rycerze krwią swoją, kiedy w Księstwie Warszawskiem mieszkańcy mogli tylko porównywać różnicę między niewolą pruską, austryacką i francuską, a ta ostatnia — jakkolwiek była dobrowolną — ale tem szkodliwiej na ducha narodowego oddziałała?“ [1]. Na to szorstkie pytanie znajdzie się niejedna odpowiedź u spółczesnych, że wzniosłe nadzieje ożywiały pierś rycerstwa, że wielkie idee przyświecały mu w bojach, że wiara w geniusz Napoleona prowadziła to rycerstwo, niby gwiazda w pomroce. *Ce n'est pas l'école française, c'est l'amour de la patrie qui a fait un héros* [2]. Nic dziwnego, że gdy rządy pruskie i austryackie wzięły sobie za zasadę *d'anéantir le genie national Polonais*, kiedy polskiego rekruta wleczono w kajdanach nad Ren lub Dunaj, żołnierze brali w woreczek, na szyi zawieszony, garść ziemi polskiej, aby nią zasypać im oczy, gdy zginą na obczyźnie. Dlatego zawody ani

[1] Korzon: „Kościuszko“, str. 524.

[2] Niegolewski: *Les Polonais à Somo-Sierra en 1808, en Espagne*, str. 92.

krzywdy nie zdołały zmrozić zapału ani złamać męstwa. Obdarci, bosi i głodni pędzili z pobojowiska na pobojowisko, zdobywali murzyńskie twierdze w S. Domingo, nie okazywali zwątpienia, choć im się serce krwawiło na widok tak długiej i srogiej pokuty. Jedynem źródłem siły ich było przeświadczenie, że oni reprezentują kraj [1]. Ale rozumie się, że wśród długiej męki najtęższa siła na chwilę może się rozhartować. Historya świadczy, że i legioniści szemrali niekiedy: — My nie po to śpieszyli setki mil pod sztandary legionów, aby wysługiwać się królom Etruryi. Nami nie wolno rozporządzać, gdyby najemnikami [2].

A kiedy na S. Domingo w S. Marc generał Quentin kazał Polakom bezbronnych murzynów wykłuć co do nogi, Wierzbicki oparł się tej egzekucyi. W „Popiołach“ nie zaniedbał Żeromski wiernie dochować tego charakteru legionów. Cedro zaklina Napoleona o dotrzymanie słowa. Jednakże pomiędzy uległością legionów, pomiędzy musem, z jakim pełnili twardą często służbę — a ich wolą istniała przegroda. Dąbrowski wybornie to określa: „Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko i w mękach wyczynić wielkiego ducha“ (I, 308). I wątpliwości w ludziach powieści są, jak były w życiu, i marni są, jak ich nie brakło w dziejach, i uczą się, i wyrabiają, i kształcą. Trepka, filozof chlebożerny, wyrzekł się bohaterstwa, pracy się poślubił, żeby odkupić pradziady i prawnuki. A Krzysztof w przedśmiertelnej agonii gorzko marzy, że dzieje jeszcze gorsze nam rzeczy sądziły: uciekać jak psom zarżniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle dell Cosso. „Nie mogę wytrzymać tej służby — kwili kapitan Wyganowski w Hiszpanii. — Nie mogę. Zarżnęło mię to, zadusiło. Ja nie po to do wojska poszedł, żeby hiszpańskich chłopów żywcem palić, wsie całe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierzać ogniem i mieczem. Szczerze ci mówię, że duszą jestem po ich stronie. Sto razy szedłem oślep na zginienie, żeby raz nie być już podłym ludzkim pachołkiem. To mię omija. Teraz już

[1] Al. Rembowski: „Źródła do historyi pułku polskiego lekkokonnego“. Warszawa 1899, str. XLVI.

[2] Pepłowski, l. c, 159.

dłużej nie mogę“... (III, 372). Ale to chwile ludzkiej słabości. Dusze rosły, nabierały mocy w tej męce. I dla prawdy dziejowej i dla czasu dzisiejszego Żeromski nie szczędzi zaprawy cierpkiej, nie kryje tego, że solidarniejsi Hiszpani, silniejsi Francuzi, świadomsi siebie Austryacy, że u nas nieład, szacowanie zawsze tylko cząstki, brak względu na ogół. Ale oto Rafał — jakże się przeistoczył ku kresowi walk swoich! Jakże w nim kipi gniew i oburzenie, kiedy Trepka ośmielił się o Sandomierzu podać cytat z „Monachomachii“: „bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki“... W Rafale już wyrobiło się ogromne poczucie plemienności, ogromne umiłowanie swego, choćby na to swoje złożyły się ułomki... A filozof Trepka doskonale wiedział, że dla wyrobienia plemiennego honoru potrzeba koniecznie, aby Cedro szedł na mękę w świat, więc choć mu się z bólu wnętrzności rwały — namawiał... (III, 307—8). Zgodne to wszystko z historyą i dla nas drogocenne. Inny rys także jednaki w dziejach i powieści Żeromskiego. Oto jak Załuski[1]: „Pułk lekkokonny miał połączyć cnoty odziedziczone z wykształceniem, jakiego położyły zaród Komisya edukacyjna i Sejm czteroletni. Dlatego w pułku naszym nie znano innej różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje odznaczenie, zasługa, zdatność, nauka; lubo w sztabie pułku nie było księdza kapelana, nie brakło na uczuciach religijnych, jakie kto przyniósł z rodzinnego domu. Śpiew ulubiony pułku zawierał tę zasadę: Wszyscy bracia, bo Polacy, kochajmy się wszyscy razem“.

Zbratanie się chłopa i szlachcica znamionuje te czasy i znalazło też piękny wyraz w przyjaźni, łączącej ks. Gintułta z Olbromskim Piotrem i Rafałem, Piotra z Michcikiem, Cedrę z Gajkosiem... Ratują sobie życie nawzajem, miłują się wiernem i gorącem sercem. Inny znów rys — to owa wspomniana już religijność Polaków, uczucia łagodniejsze, mniej skłonne do okrucieństw. We Włoszech ludność miejscowa odróżniała legionistów od niekarnych wojsk francuskich, ściągających nienawiść

[1] „Wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona 1“.

nieposzanowaniem religii oraz łupieztwem. Natomiast — jak świadczy w swych wspomnieniach Drzewiecki — kardynał Saluzzo zdawna wielbił gościnność polską, podziwiał bogobojność. Pomiędzy nim a legionistami, którzy wynieśli z domu ducha wiary, nawiązał się stosunek życzliwości[1]. I w tym zasadniczym rysie nie zmienia Żeromski prawdy, o czem zresztą nadmieniałem wyżej. Tak jak w głównych znamionach czasu, tak też nawet w niezliczonej ilości drobnych szczegółów idzie za historyą. Mówi np. Thiers[2], że w Hiszpanii chmury powstańców, zajmując wąwozy, wpadały do wsi przy głównej drodze i mordowały bez litości podróżnych, chorych lub rannych — z wyrachowanem niesłychanie okrucieństwem. „Ukrzyżowali na drzewach kilkunastu żołnierzy. Innych powiesili, zapaliwszy ogień pod ich nogami. Wielu na pół żywych zakopali w ziemi lub przepiłowali między deskami“. Żeromski prawie żywcem obraz okrucieństwa tego przeniósł do swej powieści (III, 45). Wiele innych drobnych rysów przejął z tegoż źródła. Albo też relacye o bitwie pod Hohenlinden przekazały czyn szeregowca Jana Pawlikowskiego, który sam zabrał do niewoli pięćdziesięciu siedmiu piechurów austryackich, a kiedy Moreau chciał go na miejscu zamianować oficerem, ułan wymówił się, gdyż nie umie ani czytać ani pisać[3]. *Ne se lir, ne se krir, ne pe ofisie* — jak naiwnie opowiada Gajkos (III, 17). Zajmujące ustępy o władaniu, ćwiczeniu i walce lancą oparte na rozprawie Krasińskiego[4]. Da się w taki sposób wykazać szczegół za szczegółem wierność historyczną, poszanowanie ducha dziejów i niepospolitą erudycyę powieściopisarza. To głównie dla przeszłości. A dla chwili obecnej? Popioły wszystko: rojenia wiośniane, pierwsza dzie-

---

[1] Pepłowski, l. c. 102.

[2] „Historya konsulatu i cesarstwa“ ks. XXXI, str. 48—49. Dezydery Chłapowski: „Szlakiem legionów“. Warszawa 1903, str. 48.

[3] Pepłowski l. c. 155.

[4] *Essai sur le maniement de la lance.* Paris 1811. Ob. też Foy: *Histoire de la guerre de la Péninsule sous Napoléon I.* Dowodzi w t. III, 292, że właśnie ułańskie pułki polskie, odbywając krwawą służbę w Hiszpanii, wyrobiły dla lancy respekt u wrogów. Otóż i Żeromski w tym epizodzie powieści tak się lancą zajmuje.

wicza miłość, późniejsze szały, piękne lice i głębokie rozumowanie, i gorące wiary, i wszystkie nadzieje, i zaciekłe walki — i uniesienia potężne całych tłumów, i cała przeszłość wielka, malownicza, droga, ukochana, i stare świątynie, jak owa św. Jakóba, i zamki Odrzykońskie dziwaków Machnickich — wszystko popioły. Tych gwałtownie broni książę Gintułt, istny hr. Henryk z Okopów św. Trójcy, broni ich za nim szlachcic Olbromski.

— Święte popioły rujnujesz i depcesz — woła do Sokolnickiego. — Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule?

— Widzę nie gorzej od waści — odpowiada nieubłagany jenerał. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszałeś?

Trzebaż zawsze i wszędzie dla ocalenia żywego miasta burzyć święte popioły? Nie. Przeszłość ma w sobie tę siłę fatalną, która zjadaczy chleba przerabia w aniołów. Bronił się jej Rafał, bronił Cedro — obu przerobiła, obu przeciągnęła; poszli nawet później w 1811 roku. I choć to już wszystko popioły, a jednak z kart powieści Żeromskiego tchnie od nich żar mocny i niewysłowiony.

## III.

Jankiel grał na cymbałach o tworzeniu się legionów:

Rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu-tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.

Tak spadki wiersza, układ wierszowych stóp wybornie uwydatniają pochód powolny, a długi — długi bez końca. Takie też wrażenie pozostawia lektura powieści Żeromskiego; niemasz w niej obrazu społeczeństwa, zajętego spokojnym trudem na roli, niemasz widoków szczęścia rodzinnego, gniazd ludzkich, uwitych pod szlacheckiemi strzechami; jeżeli się odsłoni na moment widok takiej strzechy w Tarninach, to i tam ludzie młodsi

tęsknią i marzą, wylatując myślą poza ojczyste progi. Niemasz zwłaszcza rzeszy sukmaną okrytej, a jeśli autor ją na chwilę ukaże, to albo śród jęków, gdy smaga szlachecki nahaj, albo we wzburzeniu niemem, uległem przemocy niemieckiej. Natomiast nieskończonem pasmem snują się pochody legionów we Włoszech, Niemczech, Francyi i Hiszpanii; nieskończonem pasmem idą opisy starć, walk, potyczek i bitew. Skutkiem tego wydaje się na pozór architektonika całości popsutą, akcya biegnie wciąż po linii kapryśnie łamanej, zmieniając kierunki; forma to jednak bardzo ściśle zwarta jednolitą ideą przewodnią, konsekwentnie w całość spojonym nastrojem okresu dziejowego, głęboką psychologią jednostek i tłumu. Żeromski nie opisuje tak wydarzeń wojennych, jak to się praktykuje u miernych talentów; przenika on skrytości serc, do dusz zagląda, przeczucia śledzi i odsłania, mroczne głębiny niepokojów oświetla i na jawę dobywa, a wówczas przed bitwą serce czytelnika nasyca się lękami tych, co mają czynić, drży o ich przyszłość i życie, bije trwogą i nadzieją, pragnie co rychlej dowiedzieć się, co nastąpi [1].

Skutkiem tego rozpostarcia akcyi pod niebem i skutkiem nieustannych zmian miejsca akcyi, powieść urozmaiciła się tysiącem barw przedziwnych, a zwłaszcza długim szeregiem niezrównanych opisów przyrody. Jest w tych opisach coś, czego niema u żadnego innego polskiego autora: przyroda pojęta jako otchłanna kosmiczna siła, pełna niezgłębionych tajemnic, a z bytem ludzkim związana pokrewną duszą. Poza tem pojmowaniem przyrody w opisy jej włożył Żeromski najwięcej barw, mocy i wniknienia. Niektóre krajobrazy są tak plastyczne, tak słowami malujące nastroje i kolory i ruchy, że czynią wrażenie muzyki albo płaskorzeźby. Szczerze mówię: zachwycam się nieraz ruchliwym obrazem stepu w „Maryi“, uroczymi widokami kraju w „Panu Tadeuszu“ i Słowackiego peizażami w „Beniowskim“, i Sienkiewicza, i Sieroszewskiego, i Reymonta, ale takich przedziwnych wyczuwań czarów natury, jak w „Popiołach“ — nie znam. Oto naprzykład ciepła noc w południowej Francyi, kiedy

[1] Ob. np. III, 283—288.

legiony szły ku Hiszpanii. „Pochody były nocne. Oddziały znużone spały twardo na siodle. Spali ludzie, od chłodu nocy wiosennej zawinięci w płaszcze i spały wędrujące konie. Noga za nogą szedł senny pułk topolowemi alejami słodkiej Francyi. Szaro-błękitne obszary pól zwolna, zwolna ginęły w łagodnem, kwietniowem zaśnieniu dnia, w uroczym zmierzchu. Odległe domostwa z szarego muru, wieże kościelne, fermy i miasteczka, stare zamki i lasy chłonęła w siebie cicha, spływająca noc. Ziemia stawała się zwolna jakby rzecz niebyła, jakby lata przeżyte, jak sen odegnany przez rzeczywistość. Jedynie przestwór, napełniony powietrzem przeźroczystem, tchnący jeszcze ledwo umilkłym śpiewem skowrończym i jasnością dopieroco zgasłą młodych ról — świadczył o tem, co było“... (II, 24). Ale oto rozsłania się przed wędrowcami ocean. Ramy jego stanowią skały trupio-szare, złupione przez czas i plutę, wyssane przez wody. „W ich szczelinach dogorywała zdechła, gęsta i gnijąca woda, karmicielka mchów żółtych i szarych pnączów. Wypłynął z głębi gór biały wietek księżyca i brzask swój pylny, sypki a nikły z mroku począł wywijać i siać na topiele oceanu. Poszła tą drogą za oczyma uniesiona myśl człowiecza, sama jak błędny mistyczny pył blasku księżyca. Poszła w śródmorze, w samotne zjednoczenia wód. Stanęła przerażona między otchłanią nieba a przepaścią chłonącą oceanu — otoczy świata. Głębia pod nią wody, noc ciężka nad nią“... (III, 33—4). A wtem z bezdni dźwiga się bałwan. „Grzbiet mu się w pałąk wygiął i porasta skłębionymi kłakami, jakby królewskiemu zwierzęciu, kiedy się w sobie do skoku zbiera. Leciał straszliwy i piękny, a wiekuiście młody od nadmiaru sił. Skoczył i ścigłym podrzutem wtargnął aż na wysoki i cały ląd. Bryły wodne runęły w skalne czeluście, ćpając w nich i mlaszcząc. Zamieć wdzięcznych śnieżnobiałych pian srebrnymi batami i nićmi wycięła w najwyższy kres, a za chwilę wydała przeciągły syk, musując się na obeschłych stolnicach pochyłości, w wyssanych dziurach wapienia“ (III, 36).

Dość przykładów. Trzeba być bardzo upartym albo nie umieć uświadamiać przedziwności języka i obrazowania w za-

stosowaniu do nastroju, aby przeczyć temu, że to są arcydzieła opisów natury. Niema tu abstrakcyi: wszystko jest ruchem, barwą, kształtem, dźwiękiem, wszystko zestrojone w melodyę zmyślną i posiadającą określony wyraz. Do tych opisów ma Żeromski inne słownictwo, bogatszy język, dobiera wyrazów, układa szyk, liczy się nawet ze zgłoskami i głoskami, byle tylko jak najdoskonalej wydać rzecz. Ale nietylko w tej mierze mistrzem jest stylu. Autor „Popiołów“ nie od dziś znany literaturze naszej, jako malarz złych, ujemnych stron życia, jako malarz nędzy, skażenia i wogóle niedoli ludzkiej. Może nawet w dawnych dziełach swoich używał barw zbyt jaskrawych, może nawet w obrazowaniu nie zawsze dostrzegał tej granicy, jaka dzieli siłę i wzniosłość a karykaturę i śmieszność. Mówiąc niegdyś o tem, bałem się dla Żeromskiego tej maniery stylistycznego obrazowania, w jaką dziś już popadli niepowrotnie, jak się zdaje, wcale utalentowani styliści tacy, jak np. Niedźwiecki lub Nowaczyński. Ale obawy okazały się płonne. Beznadziejna mizantropia w „Popiołach“ nie ujawniła się. Styl i obrazowanie nacechowało się jędrnością i soczystością nie straciwszy nic na sile, wyrazie i oryginalności. I owszem. Wprawa, nabyta dawniej, w malowaniu stanów duszy smutnych przydała się w obszernem dziele. Niema chyba drugiego pisarza w piśmiennictwie polskiem, któryby z taką potęgą potrafił sobie wyobrazić i słowami odtworzyć cierpienia. Są to symfonie nieszczęścia, bijące w serce ludzkie tysiącznymi głosami o groźnem brzmieniu i rozległej skali. Strach, groza, przerażenie, boleść po utraconem szczęściu, żądze nienasyconej rozkoszy, męka wyczekiwania, paląca namiętność, smutne wizye chorobowe — wszystko to w obrazach oddane z niesłychaną mocą i kolorytem. Rafał tonie w Wiśle — opis przejmuje g r o z ą; Rafał walczy z wilkiem — opis p r z e r a ż a; Rafał po stracie Heleny odzyskuje przytomność w jaśkini zbójów — jakże czujemy bezdenną jego b o l e ś ć; Cedro przed trupem woltyżera w Hiszpanii — a opis trupa do szpiku wstrząsa g r o z ą; Cedro podąża w mrokach nocy, sam oczekując co moment takiegoż losu, a włosy mu na głowie podnosi s t r a c h i t. d. A któż drugi u nas tak

świetnie odmalował okrucieństwo ludzi-zwierząt, potworne okropności rozpasanego bydlęcia-człowieka, czyto kiedy hańbi kobietę (zbóje i Helena), czy kiedy pastwi się nad bezbronnym (Hiszpani i woltyżer), czy też kiedy łamie, kruszy, pali i niszczy arcydzieła sztuki, starożytne symbole wieczności w świątyniach, a z kazalnic z czkawką i obmierzłymi gestami wygłasza, śród radosnego wycia gawiedzi, sprosne kazania. Mistrzem jest Żeromski w analizie psychologicznej, zdaje sobie jasno sprawę z tego, jak w danym momencie, przy danem usposobieniu i u danego osobnika w duszy odbijają się wrażenia; jakie wywołują w tej duszy i w tym momencie zmiany i jakim szeregiem słów stan ten psychiczny najlepiej objaśnić. Rafał jedzie na wiosnę z sercem przepełnionem miłością ku bratu Piotrowi i parną nocą wypoczywając wśród lasów słyszy koncerty słowicze. Śpiew słowików pięknie określony słowy, ale nastroje, obudzone tym śpiewem w duszy Rafała, nieporównanie ujęte i przedstawione (I, 179—80). Tak samo dwukrotnie odwzorował Żeromski marzenia duszy, gdy ciało śmiertelnie chore: bezład, dziwaczność, pomieszanie obrazów, ich senna mglistość, zlewność i starcie się ostrych zarysów jawy, ale spółcześnie ich podkład naturalny i związek z dawniejszem życiem czy Rafała czy Cedry — wszystko uwzględnione tak, iż marzenia przybierają postać nie zmyślenia lecz rzeczywistości.

Przytem zasoby formalne — słów i obrazów nader obfite posiłkują niewyczerpaną wyobraźnię autora. Przytem oryginalność jego zwrotów językowych i porównań nie ma równej sobie. Parę przykładów. Rafał hulał ohydnie dzień i noc, następnie spał i obudził się. „W każdem miejscu ciemności — mówi autor — bielało straszliwie śmiejące się podle, ociekłe cynizmem, nagie cielsko dnia wczorajszego“. Albo też: „Głuche zagmatwane przeczucia grały w każdym z nich, niby ułudny głos muszli, na który darmo ucha nastawiać“ (II, 359). Albo kiedy się obudził w jaskini po utracie Heleny i przypomniał, że jej niema — „boleść zaczęła przemieniać się i doskonalić. Nie zechciała być dłużej nędznym głazem, który rozgniata ślepym i głuchym ciężarem. Stała się jakby chytrym a podłym człowiekiem. Wyrosły

z jej kamiennego cielska dwa organy: wspomnienie i marzenie. Temi dwiema rękami ujęła głowę zbudzonego z niewiedzy i poczęła ją równo, łagodnie kołysać. Raz ją obracała oczyma ku ubiegłemu szczęściu, drugi raz ku przyszłości, tonącej we mgle marzeń. Między jednym a drugim ruchem jak mechaniczne wahadło wydawała z żelaznych trzewiów swych szczęk suchy, przeraźliwy w zimnej łagodności, miękki, dokonany głos: niema“... (II, 123).

Czemże są „Popioły“ Żeromskiego? Jest to cząstka rodzimej duszy, wyjęta z przeszłości — i okazana w ramach obrazowych najnowszego kształtu. Dusza ta cierpi, płacze, pragnie, rwie się i walczy, dąży, łamie ręce w rozpaczy, ale nie ginie, bo nie traci celu z oka. Tłum rycerskich postaci przebiega na nowo przed nami „powitany uśmiechem, pożegnany łzami“, bo te postaci żyją, męczą się, spodziewają — a stworzone są tak, jak najwięksi nasi tworzyli. „Popioły“ — to pieśń, która „jęczy żalem, ryczy burzą, a wieki jej głucho wtórzą“, jest to zarazem dramat i epopeja, godna znaleźć miejsce w szeregu naszych arcydzieł. Jestem pewny, że gdyby żyło pokolenie mickiewiczowskie, pokolenie, o którem rzec można, że było „nadzieją brzemienne“, toby ze łzami rozczulenia i smutku czytało te księgi, podobnie jak owa „wiara“, co się koło Jankiela skupiła i wspominała

długie swej wędrówki lata
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie.

Wzruszenie i nadzieja — towarzyszą czytelnikowi nieodłącznie przez cały czas trwania lektury aż do ostatniej karty.

*Antoni Mazanowski.*

# Afazya, agrafia, aleksya, amnezya i abulia
## jako objawy fizyologiczno-psychiczne.

Minęły już te czasy, kiedy można było pisać dzieła obszerne z dziedziny psychologii nie oglądając się zgoła na wyniki badań fizyologicznych i histologicznych. Możemy pominąć tę okoliczność, że psychologie ultraspirytualistyczne ze szkoły Kartezyusza lub idealistów niemieckich z wieku ubiegłego nie wyjaśniały zgoła jedności natury ludzkiej, ale raczej ją rozbijały uważając człowieka bądź za zlepek dwóch substancyi różnorodnych, bądź też poczytując ciało za uzewnętrznienie duszy lub za jej wy- obrażenie, ale nie możemy nie podnieść przeciwko nim tego zarzutu, że przygotowały i popierały materyalizm w psychologii. Wszak znany to z dziejów filozofii fakt, że pierwsi materyaliści niemieccy z połowy wieku ubiegłego wyszli ze szkoły Hegla, a epigonowie Kartezyusza przed materyalizmem ratowali się okkazyonalizmem, czyli ową teoryą niemądrą, która odmawia stworzeniom możności działania, a wszystkie ich skutki przypisuje najpierwszej Przyczynie sprawczej, czyli Bogu. W obydwóch powyżej wymienionych teoryach psychologicznych wprost staje się niezrozumiałym fakt, że wskutek uszkodzenia pewnych części mózgu, może znikać z życia psychicznego jaki objaw lub nawet całe ich grupy. Fakta zaś takie, to woda na młyn materyalizmu, bo jeżeli przez usunięcie lub uszkodzenie patologiczne tej lub owej części mózgu znika jeden za drugim objaw, uważany za psychiczny, wówczas sam z siebie nasuwa się wniosek że dusza cała nie jest niczem innem, tylko sumą aktów świado-

mości, które to akty wszystkie można zlokalizować w mózgu. To też ani dziwić się nie można, że w rękach wielu psychologów najnowszych przedzierzga się psychologia we fizyologię. Lecz chociaż nieocenione są usługi, jakie oddaje fizyologia psychologii, to jednak są słupy graniczne, poza które nie może posunąć się fizyologia, jeżeli nie chce utracić gruntu pod nogami, a zejść na manowce niedających się sprawdzić hypotez lub całkiem dowolnych przypuszczeń. O ile pożądane jest przymierze tych dwóch nauk, o tyle znów całkowite ich zlanie się, musiałoby wyjść na szkodę tak jednej, jak drugiej. Zamiarem moim jest, wykazać na tle przytoczonych w nagłówku objawów, gdzie jest dziedzina jednej i drugiej nauki, i jak to usługi przyjacielskie fizyologii przyczynić się mogą do lepszego zrozumienia objawów psychicznych.

## I.

Fizyologia posiada dwie drogi do zbadania czynności mózgu, a to doświadczenia, robione ze zwierzętami, których mózgi są bardzo zbliżone swą budową do mózgu ludzkiego, i obserwacye kliniczne u chorych ludzi. Można zaś przy mózgach zwierzęcych postępować albo w ten sposób, iż się drażni dane okolice iskrą elektryczną i następnie się bada, jaki jest skutek owych drażnień; albo też wprost usuwa się wyszczególnione części mózgu i porównywa się czynności zwierzęcia po operacyi dokonanej z czynnościami jego normalnemi. Przyjrzyjmy się rezultatom, jakie osiągnęła fizyologia w pierwszym i drugim wypadku[1].

Metodą drażnienia kory mózgowej zaczęli się posługiwać około r. 1870 dwaj fizyologowie niemieccy: Hitzig i Fritsch, a ich śladem poszli fizyologowie francuscy, włoscy i angielscy. Hitzig i Fritsch zauważyli, że jeżeli się puści prąd elektryczny o słabem napięciu na niektóre okolice kory mózgowej, wówczas

---

[1] Por. H. Beaunis: *Nouveaux éléments de physiologie humaine*, t. II, str. 754 następ. Paris 1888. — W. Wundt: *Grundzüge der physiologischen Psychologie*, IV Aufl. Leipzig 1893. I Bd. str. 140 nast. — Dr. L. Hermann: *Kurzes Lehrbuch der Physiologie*. Berlin 1882, str. 302. — G. von Bunge: *Lehrbuch der Physiologie des Menschen*. Leipzig 1901, t. I, str. 207. —Prof. dr. N. Cybulski: „Fizyologia człowieka". Warszawa 1896, cz. IV, str. 813 nastp.

stosownie do okolicy podrażnionej, zjawiają się odruchy, mniej lub więcej gwałtowne w kończynach, np. ruch ogona, skurcz żwacza, strzyżenie palcami u małpy i t. p., i to po stronie przeciwnej do części mózgu, poddanej drażnieniu. Liczne próby w powyższym kierunku doprowadziły do przekonania, że owe odruchy w kończynach pochodzą od podrażnienia ośrodków nerwowych w substancyi szarej mózgu; co więcej, starano się oznaczyć dokładniej siedzibę (*locus*, skąd: lokalizacya) owych ośrodków, których nerwy uczestniczą już to w czynności ruchu, już też w dojściu do skutku czucia. Mianowicie cała przednia część mózgu, położona między zwojem węchowym, a bróżdą Sylwiusza, mieści w sobie grupy ośrodków dla nerwów ruchowych. Doświadczenia, przedsięwzięte ze zwierzętami, począwszy od gryzoniów, nieposiadających zbyt wielu fałdów na powierzchni mózgu, a skończywszy na najwyżej rozwiniętych, stale wykazywały, że ośrodki nerwów ruchowych znajdują się tylko w przedniej części mózgu, mianowicie przed bróżdą Sylwiusza, i że u zwierząt, które mają zwój węchowy bardzo rozwinięty, stanowi bróżda węchowa granicę przednią, poza którą nie posuwają się ośrodki nerwów ruchowych. Zwłaszcza doświadczenia, robione z mózgami małp, i to przez różnych badaczy, dawały ten rezultat stały, że prąd, puszczany na ośrodki w obydwóch zwojach środkowych i na górną część tylnego i środkowego zwoju czołowego wywoływał odruchy w kończynach; jeżeli zaś drażniono okolicę, położoną przed miejscem mózgu co dopiero oznaczonem, następowały wprawdzie skurcze mięśni, lecz można je było uważać za reakcyę czucia, gdyż nawet po wycięciu owej okolicy ruchy pozostawały.

Ten szczegół ostatni łącznie z kilku innymi sprawił, że fizyologowie poczęli się rozchodzić w swych opiniach co do przyczyny odruchów przy podrażnieniach bezpośrednich kory mózgowej. Jedni doszli pod wpływem doświadczeń wspomnianych do przekonania, że powyżej oznaczona okolica kory mózgowej jest siedzibą ośrodków nerwów ruchowych, i że nie tylko pod wpływem drażnień zewnętrznych, ale i w stanie normalnym z ośrodków owych wychodzi reakcya na otrzymane wrażenie

w postaci odruchów dowolnych; odpowiednio też do tej roli fizyologicznej nazwali oni całą ową okolicę mózgu: pasem ośrodków psychomotrycznych *(zone psychomotrice)*. Natomiast inni fizyologowie są zdania, że odruchy w kończynach pochodzą nie od drażnień bezpośrednio samych ośrodków nerwowych, tylko od podrażnień, które z ośrodków przedostają się do włókien nerwowych, rozgałęzionych w substancyi białej mózgu; według opinii tych fizyologów szara substancya czyli kora mózgowa jest wprost nieczułą na drażnienia elektryczne i mechaniczne. Dla rozwiązania tego sporu, jako też w celu wyszukania ośrodków dla nerwów czucia, uchwycono się metody drugiej badania, usuwania ściśle oznaczonych okolic mózgu.

Kilku fizyologów o głośnem nazwisku, żeby wymienić Goltza, O. Vogta, Sachsa, von Monakowa, przystąpiło z całą uwagą do tych doświadczeń [1]. W celu skontrolowania doświadczeń wycinano jużto części należycie oznaczone jednej lub drugiej półkuli mózgowej, już też całe półkule usuwano. Na kongresie fizyologów, jaki się odbył w r. 1889 w Bazylei, przedstawił zebranym Goltz psa, który od 15 miesięcy był pozbawiony całej półkuli lewej, ale półkulę prawą miał całkiem zdrową. Gdy psa wabiono sposobem przyjacielskim, zbliżał się chętnie z oznakami uradowania, i pozwalał się głaskać; gdy biegać poczynano, wówczas i pies biegał, a nawet susy dawał; psy zbliżające się odpędzał szczekaniem głośnem; kości przytrzymywał obiema łapami; najczęściej jednak posługiwał się lewą łapą, ale gdy mu ją przytrzymywano, korzystał z usług prawej, chociaż w sposób mniej zgrabny. Za to czucie jego doznało zmian znaczniejszych, a głównie po prawej stronie było ono upośledzone. Kiedy wywierano nacisk silniejszy na skórę, usiłował pies wymknąć się z pod działania bodźca, a kiedy to nie pomagało, poczynał szczekać, a w końcu i kąsał. O tem, że czucie było upośledzone głównie po stronie prawej ciała, przekonać

[1] Por. O. Vogt: *Zeitschrift für Hypnotismus*. 1897. Bd. 1, str. 347 nast. – Goltz: *Pflüger's Archiv*. 1899. Bd. 76, str. 411 nast. — Flechsig: *Gehirn und Seele*. Leipzig (Veit et Comp.) 1896, str. 89 nast. — G. von Bunge dz. w. prz. str. 208 nast. — Cybulski dz. w. prz. str. 817 nast.

się było można stąd, że kiedy prąd powietrza skierowano między włosy lewej strony ciała, pies zdradzał natychmiast, że odczuwa podnietę, bo się oglądał za przyczyną wrażenia swego i próbował usunąć się z pod jej działania; kiedy zaś taki sam prąd kierowano na stronę prawą, pies zgoła nie reagował. Kiedy przypadkowo prawą łapę postawił w wodzie zimnej, nie odczuwał wrażenia zimna, lecz gdy się to przydarzyło łapie lewej, czemprędzej ją wydobywał i otrzepywał z wody. Zaburzenia co do wzroku objawiały się we formie hemiambłyopii i osłabienia w spostrzeganiu. Tak np. pies zwolna tylko się uczył rozpoznawać kawałki mięsa, położone w polu widzenia, przypadającem na stronę lewą; gdy przysuwano przedmioty ku oku, ale tak, aby nie dotknąć oka lub powiek, nie ukazywał się żaden odruch powiek, również głowa była nieporuszona nawet wtenczas, kiedy obraz przedmiotu zbliżonego odbił się na siatkówce oka prawego. Dopiero kiedy dotykano się oka lub powiek, pies szybko przymykał oczy i całą głowę w tył usuwał; niemniej zauważono, że źrenica jego oka była widocznie rozwarta, i tylko przy bardzo silnem świetle pies odwracał głowę w stronę przeciwną. Co do słuchu zauważono, że pies zdawał się tylko wtenczas słyszeć szczekanie, kiedy szczekanie stawało się ujadaniem, lub kiedy było bardzo głośne, gdyż wtenczas pies wytrzeszczał oczy i przestawał machać ogonem, nie próbował jednak uciec, co prawie z reguły psy czynią, gdy im się niespodzianie szczeknie nad uchem. Natomiast nie zauważył Goltz zmian wyraźniejszych przy zmysłach powąchania i smaku. Wreszcie co do stanu ogólnego zrobiono spostrzeżenie, iż pies był o wiele mniej żwawy, aniżeli przed operacyą, nie okazywał też pociągu najmniejszego do igrania z innymi psami, lecz owszem warczeniem je od siebie odstraszał.

Z powyższych doświadczeń zdaje się wynikać, że obie połowy ciała doznają innerwacyi ruchowej z odpowiednich sobie półkul, że jednak innerwacya po stronie skrzyżowanej musi doznawać mniej przeszkód, a tem samem staje się łatwiejszą, i pies też, gdy tylko mógł, chętniej posługiwał się tą właśnie połową ciała. Po usunięciu więc jednej półkuli rolę innerwacyi odpo-

wiedniej sobie połowy ciała obejmuje półkula pozostała; skrzyżowanie więc włókien nerwowych na drogach czucia i ruchu jest tylko częściowe, a ten szczegół, przynajmniej co do nerwu wzrokowego, stwierdzono anatomicznie.

Kiedy znów psu wycinano przednią albo tylną część jednej półkuli, zauważono u zwierzęcia operowanego osłabienie czucia nieznaczne i niewielkie zmiany w ruchach kończyn po stronie przeciwnej do półkuli operowanej; za to wzrok doznawał upośledzenia *(hemianopsya)*. Wycięcie części przednich w obu półkulach powodowało zmiany bardzo znaczne, zwłaszcza w ruchach. I tak, jeżeli wycięcie sięgało poza *gyrus sygmoideus*, stawały się chód i bieganie albo całkiem niemożliwe, albo też ruchy były niezgrabne, a zwierzę nie umiało trzymać dobrze kości, powłóczyło nogami, nie stawało na łapach tylnych, czucie staje się podniecone i odruchy wybitniejsze, wzrok znacznie osłabiony, a nadto zwierzę ulega często gęsto napadom epileptycznym. Wycięcie części tylnych w obu półkulach sprawiało zmiany nieznaczne, bo pies mógł utrzymać kość, chodzić po drabinie, jednak nie poznawał osób, nie oceniał niebezpieczeństwa przy skakaniu z miejsca podwyższonego, natomiast lękał się przedmiotów nieszkodliwych, jak skrawka papieru; słuch był upośledzony, bo nawet strzelanie z pistoletu tuż nad uchem nie wywoływało reakcyi, charakter jednak psa nie ulegał zmianom widoczniejszym.

Gdy wreszcie psu, który miał część tylną jednej półkuli zniszczoną przez zapalenie, wycięto części przednie obu półkul mózgowych, pies nie umiał ani jeść, ani pić, i nie można go było nauczyć tych czynności, pozwalał jednak, aby go karmiono, sam nie mógł chodzić, gdyż wzrok miał silnie uszkodzony.

## II.

Aby zrozumieć wyniki doświadczeń powyższych, trzeba sobie przypomnieć, co mówi fizyologia i histologia o nerwach i budowie mózgu [1].

[1] Por. dr. J. Rosenthal: *Lehrbuch der allgemeinen Physiologie.* Leipzig 1901, str. 505 nast. — W. Wundt: *Grundzüge der physiologischen Psychologie.*

Fakt to każdemu dobrze znany, że nie tylko odbieramy wrażenia, ale i na nie oddziaływujemy. Jeżeli tedy łącznikiem między nami a światem zewnętrznym są nerwy, to mają one zadanie podwójne do spełnienia, muszą bowiem przyjmować podniety zewnętrzne i na swój sposób donosić o nich świadomości naszej, z drugiej zaś strony pośredniczyć muszą w daniu przez nas, iż tak się wyrażę, odpowiedzi dowolnej lub mimowolnej na otrzymaną podnietę. Stosownie do tej roli podwójnej nerwów dzielimy je na takie, które odbierają podniety i przenoszą je do odpowiedniego ośrodka nerwowego; są to nerwy czucia; i na takie, które pośredniczą przy wywoływaniu ruchu dowolnego lub mimowolnego jako reakcyi na wrażenia; są to nerwy ruchu. Różnice w nazwie pochodzą nie tyle od budowy nerwu danego, bo dotychczas nie udało się histologii wykazać różnicy w budowie nerwów czucia a ruchu, tylko od czynności, jaką nerw spełnia. Tyle na razie co do czynności fizyologicznej nerwów.

Badania co do budowy nerwów weszły na tory szczęśliwsze z chwilą, kiedy uczony włoski Golgi odkrył (r. 1880) w azotanie srebra środek wyborny do zabarwienia tkanki nerwowej i uwydatnienia najdrobniejszych jej rozgałęzień. Histolog madrycki Ramon y Cajal udoskonalił w niejednym szczególe metodę Golgiego, a za nim poszli Waldeyer, Kölliker, Lenhossek, Nabias, Binet i t. d., i ich dociekaniom zawdzięcza histologia dzisiejsza znajomość budowy naszych nerwów. Zasługą Cajala jest, iż wykrył jednostkę elementarną w budowie nerwu; jednostkę tę nazwał Waldeyer: *neuronem*. Nerwy więc w myśl teoryi Cajala są niejako łańcuchem, złożonym z neuronów, które wszakże nie zachodzą w siebie, jak ogniwa łańcucha rzeczywi-

---

Leipzig 1893, str. 32 nast. — A. Van Gehuchten: *Anatomie du système nerveux de l'homme.* II éd. Louvain 1897, str. 194 nast. — G. von Bunge dz. w. prz. t. II, str. 3 nast. — „Podręcznik histologii ciała ludzkiego". Rzecz zbiorowo napisana pod redakcyą prof. Hoyera sen. Warszawa 1901, str. 122 nast. — Cybulski: „Fizyologia człowieka" t. I, str. 151 nast. — *Année psychologique.* 1895, str. 257 zawiera streszczenie książki S. R. Cajala: *Les nouvelles idées sur la structure du système nerveux chez l'homme et chez les vertebrés.* Traduit d'espagnol. Paris 1894.

stego, tylko umożliwiają przenoszenie się po nich podniety przez to, że się stykają możliwie najdoskonalej. Wprawdzie podnoszą się w czasach ostatnich zarzuty przeciwko teoryi Cajala, jakoby neurony tylko się stykały, a przeciwnicy tej teoryi są zdania, że neurony łączą się organicznie ze sobą za pomocą swych wypustek; lecz jak dotąd, przeciwnicy teoryi Cajala nie dali dowodów, spór rozstrzygających. Każdy neuron ma składniki główne, zasadnicze i nieistotne; do pierwszych należy komórka nerwowa i włókno nerwowe; do drugich należą osłonki (otoczki).

Komórki nerwowe są to ciałka formy bryłowatej, niekiedy dokładnie koliste, to znów wrzecionowate, gruszkowate, albo wieloboczne; ciałka te mają 0·022—0·09 milm. wielkości. W komórce wyróżnić można protoplazmę ziarnistą, jądro pęcherzykowate, i jąderka. Ziarenka protoplazmy, zwane ziarenkami Nissla, znajdują się nie tylko w ciele komórki, ale i w jej wypustkach protoplazmicznych, za to brak ich we włóknie nerwowem. Oprócz wspomnianych ziarenek chromatofilnych Nissla odkryto w niektórych komórkach, zwłaszcza u osobników starszych, gromadki ziarenek żółto-brunatnego barwika. Uwagi godną jest rzeczą, że same komórki nerwowe nie posiadają osłonek komórkowych, a tylko komórki na obwodzie ciała się znajdujące, mają drugorzędne osłonki łączno-tkankowe. Odpowiednio do ilości wypustek, jakie komórka posiada, wyróżnia histologia komórki jedno-wypustkowe (jednobiegunowe), dwu-wypustkowe i wielo-wypustkowe. Komórka posiadać musi bodaj jedną wypustkę, ale takie komórki zdarzają się w ciele ludzkiem bardzo rzadko, i to tylko w błonie węchowej oraz w zwojach międzykręgowych. Jedna taka wypustka dzieli się w pewnem oddaleniu od komórki na dwa włókna, rozchodzące się we formie liter *Y* lub *T*.

Przy komórkach znów, które posiadają więcej wypustek, wyróżnia histologia takie, które zaraz po wyjściu z komórki dzielą się na coraz drobniejsze gałązki i ostatecznie tworzą siateczkę, oraz takie, które dopiero w pewnem oddaleniu od komórki się rozdzielają. Pierwsze nazwano wypustkami protoplazmicznemi albo dendrytami (od δένδρον = drzewo), gdyż się

rozgałęziają na kształt gałązek drzewa, a stąd histologowie rozgałęzienie całe zwią arboryzacyą (od *arbor* = drzewo) komórki; drugiego rodzaju wypustki zwią się wypustkami Deitersa albo wypustkami osiowemi *(Neuraxe)*, także neurytami dlatego, że przechodzą we włókna osiowe nerwu. Wypustka nerwowa rozwija się wcześniej, aniżeli dendryty, i podlega zazwyczaj tylko nielicznym podziałom na włókna współrzędne. Niektórzy autorowie mniemają, że tylko neuryty przewodzą podniety, a dendryty służą za narządy odżywiania dla komórki nerwowej; przeważa jednak zdanie, że oba rodzaje włókien przewodzą podniety; co się zaś tyczy odżywiania, to komórki wraz z włóknami są utrzymywane za pomocą tkanki łącznej, przez którą przebiegają naczynia krwionośne i limfatyczne.

Drugą główną częścią składową neuronu jest neuryt czyli włókno osiowe. Biegnie ono bez przerwy od wyjścia z komórki nerwowej aż do zakończenia nerwu. Gdy zabarwimy odpowiednio neuron, będzie można dostrzedz, że włókno osiowe jest złożone z większej ilości włókienek pierwotnych *(Neurofibrille)*, połączonych ze sobą nieznaczną ilością neuroplazmy. Do części drugorzędnych w budowie włókien osiowych należą osłonki, których trzy gatunki wyróżnia histologia, a to: osłonkę rdzenną *(myelinową)*, osłonkę Schwanna i osłonkę Henlego. Osłonka rdzenna jest zbudowana z myeliny, która jest substancyą zbliżoną do tłuszczów, jest półpłynną, przeźroczystą i silnie załamuje światło. Osłonka ta ma w swym przebiegu wcięcia, zwane wcięciami Schmidt-Lantermanna oraz przewężeniami Ranviera. Pierwsze sięgają aż do włókna osiowego i dzielą myelinę na odcinki cylindryczno-stożkowate; przewężenia zaś Ranviera stanowią znaczniejsze przerwy okrężne tak, że przestrzeń między jednem a drugiem przewężeniem uchodzi za jedną komórkę. Osłonka Schwanna przedstawia się jako cieniutka a przeźroczysta błonka, która tu i ówdzie posiada jądra, dokoła których jest nagromadzona protoplazma ziarnista. Wkońcu osłonka Henlego jest położona na zewnątrz osłonki Schwanna. Bezrdzenne komórki, zwane włóknami bezrdzennemi Remaka, napotkać można tylko u zwierząt dorosłych w układzie nerwu sympatycznego

a wszystkie trzy osłonki znajdujemy w pniach nerwów mózgowo-rdzeniowych. Włókna nerwowe, jak już wspomnieliśmy, są powiązane ze sobą za pomocą tkanki łącznej, przez którą przebiegają naczynia krwionośne; spotykamy zaś włókna nerwowe albo w postaci sznurków, tworzących masy mniej lub więcej zgrubione, jak np. w substancyi białej rdzenia, albo w postaci siatek, w których włókna nerwowe tworzą sploty z komórkami nerwowemi. (Por. Cybulski na m. w. prz. str. 152).

Każdy nerw posiada swój koniec odśrodkowy i przyśrodkowy. Nerwy dośrodkowe czyli nerwy czucia posiadają zakończenia szczegółowo urządzone w końcu odśrodkowym, a mianowicie nerw wzroku ma swe zakończenia rozsiane we formie nader delikatnych czopków i pręcików na siatkówce oka; nerw słuchowy rozchodzi się po labiryncie, a następnie kończy się tak zwanemi włóknami Cortiego; nerw węchowy rozgałęzia się po błonie węchowej, nerw smaku po błonie językowej, po tylnem podniebieniu i dziąsłach; wreszcie nerwy dotyku mają swe zakończenia po rozmaitych okolicach skóry (ciałka Vater-Paciniego, ciałka Herbsta, ciałka Meissnera i Grandryego). Koniec znów przyśrodkowy znajduje się w substancyi szarej układu nerwowego mózgowo-rdzeniowego. Mianowicie z mózgu właściwego wychodzi 12 par nerwów, które służą już to czuciu, już też ruchowi (nerwy węchowe, wzrokowe, okoruchowe wspólne, bloczkowe, trójdzielny, okoruchowe zewnętrzne czyli rozoczne, twarzowe, słuchowe, języko-gardzielowe, płucno-żołądkowe, przydawkowe i podjęzykowe); prócz tego z rdzenia wychodzi 31 par, a to 8 par nerwów szyjowych wraz z nerwem podpotylicowym *(nerv. infraoccipitalis)*, 12 par grzbietowych, 5 lędźwiowych i 6 krzyżowych. Wszystkie nerwy rdzeniowe powstają w rdzeniu dwoma szeregami korzeni; szeregi tylne pochodzą z części bocznej i tylnej rdzenia, przednie znów pochodzą z części bocznej i przedniej. Korzenie leżą jedne nad drugiemi i dzielą się na tyle gromad, ile jest par nerwów rdzeniowych [1].

---

[1] Por. Dr. L. Hirschfeld: „Anatomia opisową ciała ludzkiego". Warszawa 1860, t. IV, str. 274.

Musimy się jeszcze zapoznać z budową części środkowej układu nerwowego, a następnie z drogami, po których idą podniety.

Ośrodki nerwowe znajdują się w mózgu, móżdżku i w obu rdzeniach (przedłużonym i pacierzowym). Cały ten układ nosi nazwę układu mózgowo-rdzeniowego *(Cerebrospinalsystem);* oprócz niego istnieje układ nerwu współczulnego (sympatycznego, *sympathicus*), który gra ważną rolę w czynności odżywiania się i odnawiania organizmu, ale przy objawach, w nagłówku wymienionych, nie potrzebujemy go uwzględniać.

Przy przekroju pionowym mózg przedstawia się jako masa szara, posiadająca na powierzchni liczne zwoje, sploty i rowki, a podzielona brózdą głęboką na dwie części, zwane o tyle niewłaściwie półkulami *(hemisferami),* że są podobne raczej do ćwiartek kuli, aniżeli do jej połówek. Obie półkule łączy pas szpiku *(corpus callosum),* ukryty w głębi wielkiej brózdy środkowej; pas ten jest złożony z mnóstwa włókien, spajających ze sobą części symetrycznie sobie odpowiadające obydwóch półkul, przez co obie półkule zdają się być powtórzeniem jedna drugiej; stąd też pochodzi ich działanie symetryczne i zależność wzajemna. Powierzchnia zewnętrzna każdej półkuli jest podzielona na 4 płaty czyli zrazy, a to: zraz czołowy *(frontalis),* skroniowy *(temporalis),* potyliczny *(occipitalis),* i wreszcie z boku ku górze zraz ścienny lub ciemieniowy *(parietalis).* Każdy płat ma swoje zwoje *(gyri, meandri);* czołowy ma ich cztery, mianowicie: czołowy górny, środkowy, dolny i centralny przedni; zraz ścienny ma trzy zwoje: centralny tylny albo ścienny wstępny *(ascendens),* zwój ścienny górny i ścienny dolny; zraz skroniowy mieści w sobie trzy zwoje, przedzielone za pomocą dwóch równoległych rowków; w końcu zraz lub płat potyliczny ma trzy zwoje: *gyrus occipitalis superior, medius, inferior* [1].

Rdzeń kręgowy albo przedłużony stanowi część powierzchni

[1] Por. Ludwik Hirschfeld: „Anatomia opisowa ciała ludzkiego". Warszawa 1860, t. IV, str. 3—442. — Dr. L. Hermann: *Kurzes Lehrbuch der Physiologie.* Leipzig 1883, str. 250 nast. — C. Gegenbaur: *Lehrbuch der Anatomie des Menschen.* Leipzig 1883, str. 760 nast.

dolnej i tylnej mózgowia, leżącą między rdzeniem pacierzowym, mózgiem i móżdżkiem. Wreszcie rdzeń pacierzowy ma kształt łodygi walcowatej, lekko spłaszczonej od przodu ku tyłowi i zajmuje okolicę szyjową i grzbietową układu mózgowo-rdzeniowego.

Co do budowy histologicznej[1] rdzenia pacierzowego zauważyć można przy przekroju poprzecznym rdzenia, iż na jego obwodzie znajduje się substancya biała, złożona z włókien nerwowych, przebiegających przeważnie wzdłuż rdzenia; na wewnątrz zaś jest umieszczona substancya szara, okalająca kanał środkowy w formie litery *H*. Przednie i tylne połówki skrzydeł bocznych noszą nazwę rogów (brzusznych i grzbietowych, także górnych i dolnych), pasemko zaś, łączące obydwa skrzydła, zwie się spoidłem szarem. Najgłówniejszą część składową substancyi szarej stanowią komórki nerwowe. Są one wielobiegunowe, czyli prócz neurytu mają liczne dendryty. Komórki te można podzielić na 4 grupy: 1) komórki ruchowe są umieszczone w rożkach przednich rdzenia i wysyłają swe wypustki nerwowe przez korzonki przednie na zewnątrz rdzenia. 2) Komórki spoidłowe znajdują się u podstawy rożków przednich, a ich wypustki nerwowe przechodzą przez spoidło białe z jednej strony rdzenia na drugą. 3) Komórki powrózkowe są rozrzucone po całej substancyi szarej rdzenia, i to w najrozmaitszych kierunkach. 4) Wreszcie komórki Golgiego znajdują się w obrębie rożków tylnych i posiadają bardzo krótką wypustkę nerwową, rozgałęziającą się w substancyi szarej w blizkości samych komórek. Oprócz komórek znajdują się w substancyi szarej liczne włókna nerwowe, przebiegające w rozmaitych kierunkach i tworzące nieraz gęste sploty; mają one za zadanie przenosić podnietę z jednego ośrodka nerwowego na inne ośrodki.

Cechą charakterystyczną budowy w substancyi białej są włókna nerwowe, złożone z cylindra osiowego i osłonki rdzennej, a za to brak w niej komórek. Większość włókien w substancyi

[1] Por. prof. Cybulski: „Fizyologia człowieka". Kraków 1895, t. I, str. 212 nast. „Podręcznik histologii ciała ludzkiego". Warszawa 1901, str. 366 nast. — A. van Gehuchten: *Anatomie du système nerveux de l'homme.* II éd. Louvain 1897, str. 169 nast.

białej przebiega w kierunku podłużnym, a znacznie mniejsza ilość poprzecznie przez spoidło białe, wreszcie niektóre włókna na granicy pomiędzy substancyą białą a szarą przebiegają ukośnie. Możemy tedy powiedzieć w ogólności, że w rdzeniu znajdujemy dwa gatunki komórek nerwowych, a to komórki, których włókna osiowe wychodzą z substancyi szarej, i komórki, nie wysyłające swych wypustek poza substancyę szarą. Do pierwszej grupy należą komórki ruchowe (nerwów ruchu) w rożkach przednich, oraz komórki sznurów rdzennych, porozrzucane po całej substancyi szarej. Jedne ich włókna osiowe idą do sznurów przednich, inne do bocznych na tej samej stronie lub na przeciwnej; inne wreszcie zmierzają do sznurów tylnych. Do drugiej grupy należą komórki, mające swe wypustki po tej samej stronie substancyi szarej, po której same leżą, i te komórki znajdują się według Golgiego w rogach tylnych. Wreszcie komórki, mające włókna osiowe złożone, dają wypustki, przechodzące na stronę przeciwległą substancyi szarej. Nadmienić musimy, że z rdzenia przedłużonego, którego budowa histologiczna jest zawiła, wychodzą nerwy, bardzo ważne ze względu na zdolność wymawiania, a to nerw podjęzykowy *(nerv. hypoglossus)* i nerw językogardzielowy *(glosso-pharyngeus)*.

Móżdżek jest podług zdania przeważającej liczby fizyologów narządem kojarzącym ruchy rozmaite przy odbieraniu wrażeń wzrokowych i słuchowych. Pod względem histologicznym różni się móżdżek od rdzenia przez to, że okazuje w charakterystyczny sposób warstwami ułożoną naprzemian substancyę szarą i białą, które przez ten układ przedstawiają piękny na przekroju móżdżku rysunek drzewiasty, zwany *arbor vitae*. W substancyi szarej wyróżnia histologia trzy warstwy: zewnętrzną czyli drobinową *(stratum moleculare)*, wewnętrzną czyli ziarnistą *(stratum granulosum)*, a między niemi leżą, w jednym szeregu ułożone, komórki Purkinijego (odkryte w r. 1839), jedne z największych w układzie nerwowym. Warstwa wewnętrzna [1] posiada

[1] Por. „Podręcznik histologii" str. 398 nast. — Por. także dr. C. Wernicke: *Grundriss der Psychiatrie*. Leipzig 1900, str. 1—10, niemniej streszcze-

dwojakie komórki; małe i wielkie; małe dają wypustki (4—5), przechodzące w warstwę zewnętrzną, w której się rozgałęziają, i kończą się na powierzchni warstwy zewnętrznej. Natomiast komórki wielkie posiadają bardzo liczne rozkrzewienia. Warstwa zewnętrzna (drobinowa) posiada komórki, zajmujące $^2/_3$ wewnętrzne warstwy, oraz włókienka, zajmujące $^1/_3$ tej warstwy.

Wreszcie w mózgu substancya szara (korowa) stanowi część zewnętrzną, a substancya biała część wewnętrzną budowy. Szara substancya (dochodzi niekiedy do 3 milm. grubości) jest złożona z 3 warstw. Warstwa zewnętrzna (drobinowa), grubości $^1/_4$ milm., posiada i komórki i włókna nerwowe. Komórki tej warstwy są trojakie: 1) trójkątne, i ich włókna nie wychodzą poza granicę warstwy; 2) komórki wrzecionowate, dające 2—3 wypustek, przebiegających poziomo w granicach warstwy zewnętrznej; 3) komórki wielokątne są najmniej liczne, posiadają liczne wypustki komórkowe i jedną wypustkę nerwową, bardzo rozgałęzioną. Komórki tej warstwy nie wysyłają swych wypustek poza samą warstwę; ich tedy rozgałęzienia służą widocznie przeprowadzeniu podniet między komórkami w obrębie samej warstwy położonemi.

Warstwa środkowa (1—$1^1/_4$ milm.) zawiera komórki, zwane piramidalnemi. Każda taka komórka składa się z ciała komórkowego, z jednego wyrostka nerwowego i licznych wypustek komórkowych. Ciałko komórki ma kształt piramidy, zwróconej wierzchołkiem ku korze mózgowej, a podstawą ku warstwie wewnętrznej kory. Wyrostek nerwowy wychodzi ze środka podstawy tych maleńkich piramid, posuwa się w głąb warstwy wewnętrznej, i otrzymawszy tutaj osłonkę rdzenną, staje się włóknem nerwowem, i przechodzi w skład substancyi białej. Komórki piramidalne leżą szeregami w takim porządku, że najbliżej warstwy zewnętrznej znajdują się komórki najmniejsze, większe zaś są w środku warstwy. W końcu warstwa wewnętrzna ($^3/_4$ milm. grub.) posiada komórki wielokształtne i z powodu nich otrzymała nazwę wielokształtnej *(stratum polymorphicum);*

---

nie tej książki, dokonane przez prof. d-ra Leona Wachholza str. 1—18 Kraków 1901.

jej komórki mają ciałka różnokształtne, jeden wyrostek nerwowy i liczne wypustki komórkowe. Wyrostek nerwowy wchodzi w istotę białą i staje się włóknem nerwowem, wypustki zaś dendrytowe dążą ku obwodowi i dosięgają warstwy piramidalnej.

Substancya biała posiada włókna nerwowe, z których włókna spoidłowe *(fibrae commissurales)* łączą symetrycznie sobie odpowiadające okolice półkul mózgowych; włókna kojarzące *(fibrae associationis)* łączą różne okolice tej samej półkuli; wreszcie włókna rzutowe *(fibrae proiectionis)* łączą różne okolice kory mózgowej z ośrodkami, niżej położonymi. W tych to właśnie włóknach rzutowych należy wyróżnić włókna dośrodkowe i odśrodkowe; pierwsze doprowadzają bodźce nerwowe do kory i są przedłużeniami oraz zakończeniami dróg czucia; drugie doprowadzają bodźce nerwowe od kory mózgowej do danego mięśnia. Podniety nerwowe przebiegają tedy raz krótsze drogi, raz znów dłuższe. Jeżeli mianowicie podnieta przechodzi tylko do ośrodków, położonych w różkach tylnych substancyi szarej w rdzeniu pacierzowym, a stamtąd dostaje się do ośrodków nerwów ruchu w przednich rożkach substancyi szarej rdzenia, poczem zostaje wywołany skurcz w danym mięśniu, wówczas podnieta tylko krótszą drogę przebiega. Ponieważ w czasie swego przebiegu wykonywa podnieta rodzaj łuku, stąd też cały przebieg nazwano łukiem zwrotnym *(Reflexbewegung)* albo odruchem. Głównie rozgałęzienia nerwu sympatycznego, jako służące czynności wegetacyi organizmu, a stąd niepodległe bezpośrednio rozkazom woli, spełniają odruchy proste czyli mimowolne. Jeżeli zaś podnieta nerwu czucia przedostać się musi z substancyi szarej rdzenia aż do ośrodków w substancyi szarej mózgu, i napowrót odesłana zostaje do ośrodków nerwu ruchowego w rdzeniu póki nie wywoła skurczu w danym mięśniu, wtedy podnieta przebiega drogę dłuższą; ponieważ zaś taka reakcya na podnietę zawisła w wielkiej mierze od woli naszej, stąd tego rodzaju reakcye otrzymały nazwę odruchów dowolnych.

Z mięśni, które uczestniczą przy wydawaniu głosu, wymienić należy mięśnie krtani, z których obrączko-tarczowe *(crico-thyreoidei)* ścieśniają głośnię, rozszerzają zaś: obrączko-nalewkowe *(crico-arytaenoidei)* tylne i nalewkowe skośne i poprzeczny; przy

ścieśnianiu głośni głosowej, a równoczesnem rozszerzaniu głośni oddechowej są czynne mięśnie: obrączko-nalewkowe boczne i tarczo-nalewkowe *(thyreo-arytaenoidei)*; gardziel ścieśniają: ścieśniający *(constrictor pharyngis)* dolny, średni i górny; podnoszą gardziel: języko-gardzielowy *(glosso staphylinus)* i podniebienno-gardzielowy, albo zwieracz paszczy tylny *(pharyngo-staphylinus)*; do mięśni, unoszących podniebienie, a rozszerzających paszczę, należą: dźwigacz podniebienia *(musculus levator palati)*, natężający podniebienie *(tensor palati mollis)*, i nieparzysty języczka *(azygos uvulae sen palato-staphylinus)*; zniżają natomiast podniebienie, a ścieśniają paszczę mięśnie: zwieracz paszczy przedni *(glosso-staphylinus anterior)*, i zwieracz paszczy tylny *(pharyngo-staphylinus seu constrictor isthmi phaucium posterior)*. Do ruchów języka służą mięśnie: rylco-językowy *(stylo glossus)* unosi brzeg do góry i wzraca go w swoją stronę: gnyko językowy *(hyoglossus)* przybliża brzeg języka do kości gnykowej i nawzajem, stosownie do tego, czy punkt oparcia będzie u góry, czy u dołu, a jeżeli język wychodzi poza obręb ust, wtedy mięsień cofa go w tył; bródko-językowy *(genioglossus)* wysuwa język naprzód i wyprowadza go z ust, zaś włóknami swemi przedniemi pociąga go w tył, wprowadza do ust; mięsień językowy dolny *(mus. linguae longitudinalis inferior)* kurczy język i zagina jego koniec ku dołowi; językowy górny zagina koniec ku górze. Prócz wymienionych już mięśni nadto są czynne mięśnie: ust (okrężny ust, nosowargowy), warg, nosa i twarzy; a jeżeli i sztukę pisania weźmiemy w rachubę, przybędą jeszcze mięśnie ręki i palców [1].

## III.

Po tem przedstawieniu budowy i czynności układu naszego nerwowego, a które to przedstawienie byłoby zyskało na przejrzystości, gdyby było można zamieścić figury i rysunki odpowiednie, przejdźmy do wyników, jakie co do czynności mózgu zebrano na podstawie obserwacyi klinicznych. Spotkać się można

[1] Por. dr. Georg Her. von Meyer: *Unsere Sprachwerkzeuge und ihre Verwendung zur Bildung der Sprachlaute.* Leipzig 1880, str. 55 nast.

w podręcznikach fizyologii ze zdaniem, jakoby pierwszy dr. Broca wskazał okolicę mózgu, której uszkodzenie pociąga za sobą zboczenia w mówieniu; prawda jednak każe tę zasługę przypisać twórcy frenologii: Gallowi. Opowiada on w swem dziele [1], co było powodem, że się zastanawiać począł nad związkiem mózgu ze zdolnością mówienia. W 9 roku życia wysłali go rodzice do wuja, który był proboszczem w Schwarzwaldzie. Wuj zajął się wykształceniem chłopca, ale często robić mu musiał wobec innych uczniów wymówki, iż się nie przykłada do nauki tak, jakby powinien, a zwłaszcza, że się nie chce uczyć na pamięć. Kiedy Gall przeniósł się do Baden około Rastatt, znów spotykały go wyrzuty, iż jest leniwy do nauki, a zwłaszcza, iż nigdy się nie uczy na pamięć. Wówczas Gall począł się zastanawiać nad powodem swego braku pamięci, porównywał siebie z innymi uczniami, i zrobił spostrzeżenie, że jego koledzy, posiadający pamięć wyborną, wszyscy mają duże, naprzód wysunięte oczy *(de très grands yeux à fleur de tête)*. Dalsze swe obserwacye w powyższym kierunku czynił Gall w Strassburgu. Powiedział sobie tedy Gall, że skoro zdolność spamiętania większej lub mniejszej ilości wyrazów jest zdolnością wyodrębnioną, i do tego zdradza się stale przez duże i naprzód wysunięte oczy, to przyczyny tego wysunięcia oczu ku przodowi szukać należy w tem, iż część mózgu, przytykająca do okolicy ocznej, musi być silnie rozwinięta. Doszedł tedy do wniosku, już lekarzem będąc, że najniższy zwój czołowy pozostaje w najściślejszym związku z mową. W celu udowodnienia tego przypuszczenia poddawał obserwacyi dokładnej ludzi, którzy niegdyś dobrze wymawiali wyrazy, a wskutek uszkodzenia mózgu, w okolicy powyżej oznaczonej, utracili zdolność mówienia; nie zadawalniając się rezultami klinicznymi, robił studya nad mózgami zwierząt, które potrafią wydawać głosy do ludzkich podobne, i przekonał się, że i u nich wspomniany zwój czołowy silnie się uwydatnia, chociaż w mniejszej mierze, aniżeli u człowieka. O in-

[1] Gall: *Anatomie et physiologie du système nerveux.* Paris 1819, vol. IV, str. 68 nast.

tenzywności badań Galla niech świadczy ta okoliczność, że posiadał 354 mózgi i czaszki jużto oryginalne, już też wiernie skopiowane z czaszek znanych mu osób; prócz tego miał 128 mózgów i czaszek zwierząt ssących, a 137 mózgów i czaszek ptasich [1]. Nie było też tajnem Gallowi, że nietylko pod wpływem wrodzonego uzdolnienia ku spamiętaniu wyrazów oczy bywają naprzód wysunięte, lecz także i dla przyczyn patologicznych; ale wynikający z tego faktu zarzut przeciwko umiejscowieniu mowy w najniższym zwoju czołowym odpiera uwagą, że lekarz powinien umieć ocenić, czy w danym wypadku ma się do czynienia z indywiduum zdrowem, czy też nienormalną budowę mózgu posiadającem. Gall opisuje dokładnie różne zboczenia w zdolności mówienia i dochodzi do wniosku, że zboczenia mowy zdarzyć się mogą bez uszczerbku dla innych czynności psychicznych. Trzeba zaliczyć między bajki, zresztą często powtarzane, jakoby Gall poprzestawał jedynie na kranioskopii (badanie czaszek) i z guzów, na czaszce odkrywanych, wysnuwał wnioski co do uzdolnień psychicznych osób badanych; jak się bowiem z jego dzieł okazuje, był on anatomem niepoślednim. Znał on doskonale budowę mózgu, odkrył, że substancya biała mózgu jest złożona z włókien nerwowych, których rozgałęzienia śledził aż do kory mózgowej, w której wskazywał źródła rozmaitych nerwów. Doktor Holländer zestawia w przytoczonej już broszurce wyniki prof. Wernickego i Munka co do lokalizacyi ośrodków nerwowych przy kilku czynnościach fizyologiczno-psychicznych z wynikami, do jakich był doszedł Gall, i wskazuje w wielu razach zdumiewającą zgodność tychże wyników [2]. Jeżeli się zna stan ówczesnych wiadomości z fizyologii człowieka, stan badań psychologicznych, dalej tę okoliczność, że jak dla mowy, tak aż dla 27 zdolności człowieka wskazał Gall 27 różnych okolic mózgu jako siedlisko tych zdolności, zrozumiałem się

---

[1] Por. dr. Bernhard Holländer: *Die Localisation der psychischen Thätigkeiten im Gehirn.* Berlin 1900, str. 27.

[2] Por. P. J. Möbius: *Über Franz Ioseph Gall* w *Schmidt's Jahrbücher der gesammten Medicin.* Bd. 262. 1899, str. 260 nast. — G. von Bunge: *Lehrbuch der Physiologie des Menschen.* Leipzig 1901, str. 222 nast.

stanie, iż frenologia Galla spotkać się musiała z zarzutem materyalizmu, i na tej postawie zakazano Gallowi pismem odręcznem cesarza Franciszka I, z dnia 24 grudnia 1801 miewania wykładów w Wiedniu; kiedy zaś Gall przeniósł się do Paryża, napotkał tam przeciwnika zaciętego w fizyologu Flourens'ie, który zwalczał teoryę Galla nie tyle dla jej materyalizmu, ile raczej z tego powodu, że był zdania, jakoby różne części mózgu jednakowe czynności spełniały. Napoleon I w swych wspomnieniach z wyspy św. Heleny napomyka, że się niemało przyczynił do tego, aby Gall utracił wszelkie znaczenie.

Atoli już uczeń Galla, Jan Chrzciciel Bouillaud (1796—1881), wsparty na 5-ciu przez siebie dokonanych autopsyach potwierdził spostrzeżenia swego mistrza; w jednym z tych wypadków zauważył Bouillaud, że właśnie przez Galla wskazane miejsce w zwoju czołowym było uszkodzone [1]. Kiedy spostrzeżenia Bouillauda spotkały się tu i ówdzie z zaprzeczeniami, wówczas wystąpił on w 1848 r. przed Akademię paryską z bogatym materyałem doświadczalnym, bo posiadał 700 relacyi z sekcyi osób, które przed śmiercią zdradzały większe lub mniejsze zboczenia w mowie, i wtenczas też naznaczył 500 franków dla tego, kto mu wykaże, że mimo uszkodzenia trzeciego zwoju czołowego nie nastąpiło żadne zboczenie zdolności mówienia. Na posiedzeniu Akademii dnia 11-kwietnia 1865 [2], stwierdził Bouillaud z zadowoleniem, iż się nikt nie pokusił o zyskanie nagrody. Prawie w tym samym czasie, kiedy Bouillaud pracował gorączkowo nad udowodnieniem spostrzeżeń swoich i mistrza swego, przedłożył dr. Marek Dax z Sommiers, kongresowi lekarzy w Montpellier swój memoryał, w którym po raz pierwszy spotkać się było można z uwagą, iż głównie uszkodzenie półkuli lewej po-

[1] Por. J. Bouillaud: *Recherches cliniques propres à demontrer que la perte de la parole corresponde à la lésion des lobules antérieurs du cerveau, et à confirmer l'opinion de M. Gall sur le siège de l'organe du langage articulé. Archives génér. médec.* T. VIII, 1825, str. 25: „le lobe antérieur, à la partie qui corresponde à la voûte orbitaire, était réduit en une matière purulente, putrilagineuse".

[2] *Bulletin de l'Acad. de médec.* 11 avril 1865, t. XXX, str. 523. — Por. von Bunge dz. w. prz. str. 223.

woduje zanik mowy; niemniej syn jego, dr. Gustaw Dax, w memoryale, przedłożonym Akademii paryskiej, zebrał liczny materyał co do objawów patologicznych mowy [1]. W tymże samym roku 1863 ogłosił słynny chirurg i patolog Paweł Broca († 1880) swe spostrzeżenia co do zaniku mowy [2]. Miał on pacyenta, którego powszechnie zwano: Tanem, gdyż na wszystkie pytania dawał odpowiedź stereotypową: tan, a gestami lub pismem wyjaśniał, jakie znaczenie ma owo: tan w danym wypadku. Rozumiał on bowiem to, co do niego mówiono, umiał czytać i pisać, i nie zdradzał zboczenia umysłowego. Jego organ głosowy wcale nie był uszkodzony, mięśnie języka i gardzieli spełniały swe czynności prawidłowo, a mimo to nie można było wydobyć od niego innego wyrazu, tylko wspomniane brzmienie głosowe: tan. Po śmierci jego dokonał Broca sekcyi mózgu i przekonał się, że w miejscu zwoju trzeciego czołowego półkuli lewej mózgu było wklęśnięcie, zawierające płyn brudno-szary.

W czasach następnych starano się głównie o to, aby sprawdzić ostatecznie spostrzeżenia wyżej wymienionych badaczy, przyczem nie obeszło się bez kontrowersyi, gdyż niektórym lekarzom się zdało, iż zauważyli zboczenia mowy pomimo braku uszkodzeń zwoju trzeciego czołowego. Inni znów, jak Dally (1882), Féré (1885), Wood (1889) nastawali na to, iż nie można lokalizować przyczyny zboczeń w mowie tylko w lewej półkuli, skoro i uszkodzenia dotyczącego zwoju w półkuli prawej podobne skutki powodują. Broca wystąpił wówczas z wyjaśnieniem, które, chociaż nie miało dostatecznych jeszcze spostrzeżeń anatomicznych za podstawę, okazało się jednak z biegiem czasu jako uzasadnione. Broca zwrócił mianowicie uwagę na ten szczegół, iż największa część ludzi ćwiczy narządy po prawej stronie ciała położone, podczas gdy mańkuci *(les gauchers)* rzadziej się zdarzają. Jeżeli się tedy przyjmie, że drogi czucia i ruchu dla obu połów ciała są skrzyżowane w mózgu, wówczas zrozumia-

[1] Memoryał ten ogłoszono w czasopiśmie: *Montpellier médical.* t. 38, 1877, str. 230 nast.

[2] Por. *Bulletins de la société anatomique de Paris.* Année 38, Série 2. t. VIII, Iuillet, 1863, str. 379 nast.

łem się stanie, że częściej ulega uszkodzeniom patologicznym półkula lewa, aniżeli prawa, a w ślad zatem przy zboczeniach w mowie częściej się napotka zanik ośrodków dotyczących w półkuli lewej, aniżeli w prawej.

Dalsze obserwacye kliniczne doprowadziły do tego wyniku, że spostrzeżenia Broca, choć uzasadnione, nie są jednak zupełne, gdyż zauważono chorych, którzy nie rozumieli znaczenia wyrazów, znanych sobie przedtem, i to zarówno, czy te wyrazy były wymawiane, czy też napisane. Wtedy to Wernicke[1] oddzielił niemotę (afazyę od ἀ-φημι, φασις) czuciową od niemoty ruchowej *(aphasia motorica)*; Kussmaul[2] znów podzielił niemotę czuciową *(aphasia sensorica)* na dwa gatunki: na tak zwaną ślepotę słów *(Wortblindheit)* polegającą na tem, iż chory nie zrozumiał znaczenia wyrazów pisanych, i na głuchotę słów *(Worttaubheit)*, przy której chory zapomina brzmienia wyrazów. W końcu Exner[3] utrzymuje, że istnieją dwa ośrodki ruchowe dla mowy, z których jeden przewodniczyć ma ruchom fonetycznym, drugi zaś, wyróżniony od tamtego anatomicznie i fizyologicznie, przyjmuje i zachowuje obrazy ruchowe liter i wyrazów pisanych; zanik lub uszkodzenie tego ośrodka pociąga za sobą niezdolność pisania (agrafię od ἀ-γραφή). Exner umieścił ten ośrodek, nazwijmy go graficznym, u podstawy drugiego zwoju czołowego po drugiej stronie. Co do tego punktu jednak brak jeszcze zgody; Mirallié[4] np. odrzuca ośrodek graficzny Exnera, gdyż Exner nie przytoczył ani jednego wypadku, w którymby tylko drugi zwój czołowy był uszkodzony.

Aby zrozumieć, dlaczego niemotę podzielono na czuciową i ruchową, trzeba zdać sobie sprawę z tego, czem jest wyraz jakkikolwiek. Na pozór bowiem nic łatwiejszego, jak wymówić jakiś wyraz. Tymczasem jednak mamy tu do czynienia z procesem fizyologiczno-psychicznym nader skomplikowanym. Wyraz

---

[1] Por. dr. C. Wernicke: *Grundriss der Psychiatrie.* Leipzig 1900, str. 3 następ.

[2] Por. dr. A. Kussmaul: *Die Störungen der Sprache.* 3 Aufl. Leipzig 1893.

[3] Por. J. J. Van Biervliet: *La mémoire.* Paris 1902, str. 25 nast.

[4] Por. Mirallié: *L'aphasie sensorielle.* Paris 1896, str. 66 nast.

każdy, choćby pozornie nie był złożony, jak np. dąb, koń i t. p., posiada w rzeczywistości składniki prostsze, a to zgłoski, które znów powstają ze złączenia jednej lub więcej spółgłosek z samogłoską. Nie potrzeba też długo dowodzić, że każdą spółgłoskę i samogłoskę inaczej się wymawia; ten np., co chce wymówić spółgłoskę p, inaczej ułożyć musi wargi, język i zęby, aniżeli przy wymówieniu b lub w, albo którejkolwiek innej litery. Każdej tedy literze odpowiada odmienny obraz pamięciowy ruchów, jakie muszą wykonać narządy mowy w celu wygłoszenia danej litery. Tu jednak nie koniec; obraz pamięciowy ulegać musi zmianie stosownie do tego, czy litera ma być tylko wygłoszona, czy też przechować mamy pamięć jej kształtów jako znaku graficznego pisanego lub drukowanego, przyczem, rozumie się samo przez się, głównie wzrok jest czynny; jeżeli znów literę mamy napisać, musimy nie tylko pamiętać jej kształt (litery małe, wielkie, pisane, drukowane, w takim lub owakim alfabecie), ale nadto wiedzieć, jakie ruchy wykonać ma ręka, względnie palce, aby odtworzyć obraz pamięciowy litery danej. Tak więc każda głoska przedstawia się, stosownie do swego charakteru, jużto jako brzmienie pewne dla ucha, dla oka jako kształt ściśle oznaczony, dla narządów głosowych jako ruch skombinowany warg, zębów, języka, podniebienia miękkiego, gardziela; wreszcie dla ręki, która chce głoskę napisać, potrzebny będzie obraz ruchów określonych.

Atoli, jeżeli wyraz, rozważany tylko jako czynnik materyalny mowy, przedstawia się już jako proces fizyologiczno-psychiczny bardzo zawiły, to zawiłość procesu wzmoże się, gdy wyraz rozpatrywać zechcemy z jego strony formalnej. Wyraz mianowicie jakikolwiek, jeżeli uchodzić ma za składnik mowy, posiadać musi ściśle określone znaczenie, o którem wiedzieć musi zarówno ten, co wyraz wygłasza, jak i ten, co wyraz słyszy, gdyż bez znajomości znaczenia wyrazów nie mogłyby służyć wyrazy za środek porozumiewania się między ludźmi Wyraz tedy każdy ma swą stronę materyalną i formalną. Podobnie jak postępujemy z cyframi, które podstawiamy miasto przedmiotów zliczanych, tak i wyrazy podstawiamy w miejsce rzeczy

lub też naszych aktów poznania. W pierwszym rzędzie jest wyraz znakiem dowolnym naszych wyobrażeń lub pojęć, a w rzędzie dalszym służy na oznaczenie przedmiotów, rzeczy, o których z kimś rozmawiamy. Powiedzieliśmy, że wyraz jest znakiem dowolnym. I słusznie; pomijając bowiem wyrazy, które powstały drogą onomatopei, czyli z naśladownictwa głosów natury, a których to wyrazów każdy prawie język posiada po kilka lub kilkanaście (np. kukułka, uhu = sowa), nie wykazują inne wyrazy związku koniecznego z przedmiotem lub wyobrażeniem, na których oznaczenie zostały użyte. Każdy więc wyraz, jeżeli nie ma być pustem tylko brzmieniem głosowem, musi pozostawać w związku pewnem z rzeczą daną, a więc przywodzić nam musi do pamięci obraz tych wszystkich cech i przypadłości, których synteza tworzy jakiś przedmiot przez nas spostrzeżony. Istnienie w nas takich obrazów nie ulega wątpliwości najmniejszej, bo chociaż przy mówieniu, zwłaszcza szybszem, baczymy raczej na związek wyrazów, aniżeli na związek wyrazów z obrazami rzeczy, o których mówimy, to jednak wystarczy odrobina refleksyi, abyśmy sobie ten związek odrazu uświadomili. A zatem wyraz każdy, nietylko o ile jest ze strony swej materyalnej rozpatrywany, jest czemś złożonem, ale i jego ekwiwalent wewnętrzny, słowo w duszy istniejące, jest złożone z rozmaitych obrazów, bo obejmuje ono w sobie i obraz brzmienia słyszanego, a więc obraz słuchowy albo fonetyczny wyrazu, dalej obraz ruchów warg, języka, podniebienia, gardzieli, które mają być wykonane przy wymawianiu wyrazu, krótko: obraz ruchowy; prócz tego wymienić należy obraz wzrokowy kształtów liter; w końcu obraz ruchów, które ma wykonać ręka przy pisaniu, czyli obraz graficzny.

Rozumie się samo przez się, że zespalanie tych wszystkich obrazów i ruchów wymaga wprawy i ćwiczenia. To też w wieku dojrzalszym nie zastanawiamy się nad tem, jak się ma pisać daną literę lub wyraz, chyba, że idzie o alfabet obcego języka, lub też o błędy ortograficzne. Dość jednak przyjrzeć się dziecięciu, które pierwsze kleci poczyna wyrazy, aby naocznie się przekonać, że sztuka mówienia i pisania wymaga niemało pracy.

Dobrze przedstawił Mgr. D. Mercier[1] ten proces rozwoju powolnego u dziecięcia. Weźmy, powiada on, na uwagę dziecię, któremu już dłuższy czas dawano mleko z flaszeczki. Wskutek tego, że wzrok dziecięcia często padał na flaszeczkę, wyryje się jej obraz w pamięci niemowlęcia tak, iż skoro ją spostrzeże, będzie ono umiało odróżnić ją od innych przedmiotów. Flaszeczka będzie dla niego tem, co zawiera płyn biały, smaczny, bo słodkawy, płyn, który mu podawano czy to, aby głód jego zaspokoić, czy też, aby ugasić pragnienie jego; cały ten szereg obrazów nasuwa się dziecięciu, kiedy spostrzegłszy flaszeczkę, w rozmaity sposób będzie się starało dostać do jej zawartości. Nie umie ono jednak nazwać tej rzeczy, nie umie podstawić znaku głosowego w miejsce szeregu całego obrazów flaszeczki i cieczy wraz z jej przymiotami. Przychodzi mu tedy z pomocą matka lub piastunka, które powtarzają i każą powtarzać wyraz: mleko. Do poprzednich zatem obrazów przyłączył się w pamięci dziecięcia nowy obraz słuchowy, obraz brzmień, jakie trzeba wydać, gdy się chce znaną flaszeczkę z zawartym w niej płynem krótko nazwać wyrazem: mleko. To też teraz miasto wskazywać paluszkiem na flaszeczkę i miasto wykonywać ruchy rozmaite, aby ją dostać w swe rączki, będzie dziecię w razie głodu lub pragnienia powtarzać wyraz: mleko. Ale oto nadchodzi czas pójścia do szkoły; malec kreśli zygzaki zrazu niezgrabne i niekształtne, ale z czasem owe kreski poczynają przybierać kształt wyrazistszy liter, zgłosek, wyrazów całych. Nauczono więc dziecko posługiwać się nowym znakiem w miejsce znaku fonetycznego, bo znakiem pisanym. Tem samem atoli nowy szereg obrazów dołącza się do poprzednio uzyskanych. Nowy znów znak pozna dziecko z chwilą, gdy w miejsce liter pisanych, zapozna je nauczyciel ze znakami drukowanymi. Całość tedy procesu tego zawierać będzie: obraz flaszeczki, cieczy w niej zawartej; ta ciecz jest biała, gasi pragnienie i zaspakaja głód; obraz tej substancyi można zastąpić znakiem fonetycznym, czyli brzmieniem głosowem, na którego wytworzenie składają się ruchy skombinowane narządów mowy; w miejsce

[1] Por. Mgr. Mercier: *La parole.* Bruxelles 1888, str. 18 nast.

znaku fonetycznego można podstawić znak graficzny, pisany lub drukowany, który ze swej strony wymaga ruchów skombinowanych oka i ręki. A nie potrzeba dowodzić, że taki sam proces odbywa się co do każdego wyrazu tak, że cały mechanizm mówienia i pisania, przedstawia komplikacyę zdumiewającą czynności nerwów czucia i mięśni oraz działalności duszy, która wibracye nerwów zamienia na obrazy psychiczne rzeczy lub znaki dowolne swych wyobrażeń, pojęć, uczuć i pragnień. Ale też tylko ten, co nie rozumie doniosłości czynnika psychicznego przy kształtowaniu się mowy mógłby z zamieszań w zdolności mówienia wyprowadzić wniosek, że dusza jest syntezą, czy też wypadkową czynności ośrodków nerwowych w korze mózgowej. Na szczęście żaden z szanujących siebie i naukę patologów i fizyologów nie wystąpił z podobnem twierdzeniem; uczynili to niektórzy materyaliści, którym szło bądź o rozgłos, bądź też o zadośćuczynienie zasadom kiepskiej metafizyki materyalistycznej.

Otóż stosownie do tego, czy przy wyrazie chodzi o jego wymówienie, przy czem nerwy ruchu będą czynne, czy też o zrozumienie, o odcyfrowanie znaku graficznego lub akustycznego, w czem znów nerwy czucia głównie uczestniczą, podzielić można niemotę na ruchową i czuciową. Nadmienić musimy, że dość rzadko występują objawy niemoty podług powyższej klasyfikacyi, ale najczęściej spotyka się te objawy zmieszane; częściej zdarzają się jednak niemoty ruchowe czyste, aniżeli czuciowe. Nie zapuszczając się zbytnio w szczegóły, poprzestaniemy na przytoczeniu niektórych przykładów afazyi, aleksyi i agrafii [1].

(Dok. nast.)

*Ks. dr. Fr. Gabryl.*

---

[1] Por. Mgr. Mercier: *La parole* j. w. passim. — Dr. Ferrand: *Le langage, la parole et les aphasies.* Paris 1894. — K. Cramer: *Beitrag zum Studium der Aphasie* w *Archiv für Psychiatrie und Nervenkrankheiten.* Bd XXI. Berlin 1889, Bd XXII, 1890. — Mac Bridge: artykuł o afazyi w czasopiśmie: *The American Journal of neurology and psychiatry*, t. II, 1883. — K. Rüdinger: *Ein Beitrag zur Anatomie des Sprachcentrums.* Stuttgart 1882. — Sollier: *Aphasie motrice par lésion de l'insula* w *Bullet. de la soc. anatom.* 1888. — Tenże: *Les troubles de la mémoire.* Paris 1892 (Mar. Rueff). — J. J. Van

Biervliet: *La mémoire.* Paris 1902, str. 13—45. — Dr. Octave Sirot: *Ame et cerveau.* Beaune 1901. — *Nothnagel's Specielle Pathologie und Therapie.* Bd 9. I Th. *Gehirnpathologie.* Wien 1897, str. 492 nast. — Her. Munk: *Über die Ausdehnung der Sinnessphären in der Grosshirnrinde.* Sonderabdruck 1901. — H. Sachs: *Vorträge über Bau und Thätigkeit des Grosshirns und die Lehre von der Aphasia und Seelenblindheit.* Breslau 1893. — H. Gutzmann: *Vorlesungen über die Störungen der Sprache.* Berlin 1893. — Déjerine J.: *Des aphasies sensorielles* w *Bullet. méd.* 1895, n. 23. — Wyldie J.: *The Disorders of Speech.* Edimbourg 1895. — T. Ribot: „Choroby pamięci", z francuskiego przełożył Julian Steinhaus. Warszawa 1886, str. 120—156. — E. M. Hartwell: *Bericht über die Sprachstörungen in den öffentlichen Schulen Bostons* w *Monatschrift für die gesammte Sprachheilkunde.* 1895, str. 1 nast. — P. Londe: *L'ataxie cérebelleuse* w *Journal de médec. de Paris.* 1895, str. 653—657. — Zresztą literaturę bogatą o afazyach podaje czasopismo: *Année psychologique*, a to w r. 1894, str. 589—590; r. 1895 str. 972—973; r. 1896 str. 777—783; r. 1897 str. 796—803; r. 1898 str. 860—862 oraz Kussmaul: *Störungen der Sprache.* III Aufl. 1893 i t. d.

# NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

## VIII.

Dwie poprzednie prace uzupełnia pod innym względem ciekawa książka Wacława Sobieskiego: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III“ (Warsz. 1902). Jest to monografia ekscesów na tle wyznaniowem, pamiętnik wzajemnej nietolerancyi; kto ciekaw, jak w Prusiech znęcano się nad katolikami, a w Koronie nad protestantami, znajdzie tu szczegółowe opisy, jak burzono zbory, bezczeszczono cmentarze i nawzajem napadano na procesye katolickie, a nawet świętokradztw rozmyślnie się dopuszczano; obszerniej jednak i dokładniej opisane są krzywdy protestantów, co książce nadaje niepotrzebnie pozór, jakby pisaną była przeciw katolickiej tylko nietolerancyi owego wieku. Autor stara się pisać „barwnie“, jakby mu chodziło tylko o zajmujące opowiadania; a więc podnosi charakterystyczne szczegóły i szczególiki, zatrzymuje się dłużej przy zewnętrznej stronie przedmiotu, rozwodzi się nieraz nad przygodnemi rzeczami, żeby tylko nadać swej pracy cechę interesującej lektury. Rzecz sama cierpi na tem nadzwyczaj; jest to przykład książki, która traci ogromnie przez nadanie jej niestosownej formy. Po pierwszem przeczytaniu odnosi się wrażenie, jakby powstawał na nowo niepotrzebny piśmiennictwu do niczego rodzaj gawędziarstwa dziejopisarskiego; tak silnem jest wrażenie formy dzieła. Dopiero przy powtórnej lekturze spostrzegamy, że w tej

książce jest jednak pierwszorzędny dorobek naukowy, że wśród balastu „opowieści“ dotknięto niejednokrotnie pierwszorzędnych kwestyi naukowych i to po większej części szczęśliwą ręką. Ale miejsca te trzeba formalnie wyławiać, tak są rozrzucone i — pochowane po kątach! Autor widocznie nie umie pisać popularnie, bo chcąc być poczytnym, zatracił od razu kardynalny warunek wszelkiej konstrukcyi: proporcyonalność części i perspektywę układu. I oto dowiadujemy się zasadniczych rzeczy gdzieś z wtrąconego jakby przygodnie ustępu, albo nawet z przypisku, podczas gdy w tekście głównym rozpiera się szeroko to, co śmiało możnaby zrzucić w dół do przypisków! Na pierwszym planie jest... lalka wypchana ze słomy, którą w dzień Wniebowstąpienia zrzucano z wieży kościelnej, jako symbol szatana, a sprawa o to, jak pojmowano w Polsce *ius reformandi,* jest w przypisku. Ten sposób wkupywania się w poczytność chybia zupełnie celu, gdyż nie jest bynajmniej pouczającym i nie zaostrza w czytelniku zmysłu krytycznego. Nie trzeba pozyskiwać sobie czytelników tem, żeby od nich nie wymagać myślenia, bo gdybyśmy tak postępowali, pióra nasze stałyby się w społeczeństwie narzędziem zastoju, zamiast być środkiem postępu. Pisać popularnie, to znaczy: pisać wyraźnie, do czego nie trzeba przedstawiać rzeczy w odmiennym szyku; środek — to obosieczny, bo publiczności czytającej rzecz sama odmienną się przez to może wydać.

Naukowym dorobkiem jest stwierdzenie następujących faktów: Nikt nie podniecał tłumu do wybryków, ani z królewskiego dworu, ani z pośród wyższego duchowieństwa; przeciwnie, są dowody niezbite, że dostojnicy świeccy i duchowni brali energicznie w obronę protestantów; pomimo to tumulty wybuchały z żywiołową siłą i nikt nie zdołał tego prądu powstrzymać. Sprawę reformacyi rozstrzygnął w Polsce lud prosty, stając twardo przy dawnym Kościele, przejęty przytem straszną nienawiścią do protestantyzmu. Rząd trzymał się jeszcze zasad polityki polskiej XV wieku, świętej zaprawdę zasady Pawła Brudzewskiego, że „wiara niema być z przymusu“. Jan Zamojski, sam z nawróconego kalwina gorący katolik, powiada do inno-

wierców: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy byli papieżnikami, dałbym za to połowicę zdrowia mojego, żebym drugą połowicą żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności; ale jeżeli kto wam gwałt będzie czynił, dam wszystko zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył". Byli tacy, którzy rozpoczęliby chętnie prześladowania religijne, ale ci nie mieli jeszcze władzy; nie od rządu też one wyszły, lecz z dołu, od ludu i zostały z biegiem lat rządowi niejako narzucone. Konfederacya warszawska z r. 1573 stwierdziła ustawowo swobodę wyznania. Podnoszono wątpliwości, czy nie należy jej rozumieć w podobny sposób, jak niemieckie *ius reformandi*, t. j. że każdy zwierzchnik pewnego terytoryum, a więc w Polsce każdy szlachcic w swych dobrach, miał prawo zaprowadzić dowolne wyznanie i narzucać je całej ludności w swych posiadłościach, tak, że rzekoma ta swoboda tyczyła się tylko samych panów terytoryalnych, a wolność religijna była wolnością prześladowania drugich wyznań. Wielu uczonych naszych nie chciało ani przypuścić, żeby u nas w XVI wieku mógło być inaczej, lepiej, niż w innych narodach. W pracy p. Sobieskiego znajdujemy atoli ciekawy nowy dowód, że jednak mieli słuszność ci, którzy konfederacyę warszawską interpretowali, jako tolerancyę religijną w nowożytnem rozumieniu, a obejmującą także poddanych. Oto w r. 1600 pojawił się w wydanej w Poznaniu broszurze zarzut przeciw Glicznerowi, że za jego sprawą prześladowano katolików w Grodzisku, dręcząc więzieniem i okładając grzywnami, kiedy który z nich postarał się potajemnie o katolicki chrzest i ślub. Powiedziano tam z tego powodu: „Tyś sam Glicznerze konfederacyi utrącił", z czego wynika jasno, że pan Grodziska postępowaniem swem działał wbrew konfederacyi, że przeto dziedzic nie miał prawa gwałcić sumienia swych poddanych. Ten sam fakt z Glicznerem stanowi jednak dowód, że ustawę z r. 1573 obchodzono. Nie trzeba jednak na karb złej woli kłaść takich objawów, jak np. zmuszanie do słuchania kazań innego wyznania. Czyniły to obie strony. Jezuici np. wymagali od swych uczniów różnowierców (a powierzano im ich chętnie), żeby uczęszczali na kazania, bo uważano to za proste nawracanie słowem, a więc rzecz dozwo-

loną i o to nikt się wówczas nie gorszył. Nie brakło atoli przykładów niewątpliwego prześladowania religijnego i to tylko dodać trzeba, że trudno powiedzieć, która ze stron więcej miała na sumieniu wypadków łamania „konfederacyi". Protestanckie skargi były głośniejsze i dziś bardziej uderzają historyka; ale zewnętrzny to tylko objaw, tem się tłumaczący, że katolicyzm był już naówczas bezwzględnie silniejszym, a więc coraz mniej się skarżył, mając coraz skuteczniejsze sposoby obrony od nadużyć.

Chcąc utrzymać swobodę wyznań, należało obmyśleć przymus prawny na zachowanie konfederacyi warszawskiej. Nowa-to była rzecz dla sądownictwa, nasuwająca rozmaite formalne wątpliwości i dużo upłynęło wody, nim się uporano z t. zw. „obwarowaniem konfederacyi". Sprawa ta ciągnie się od końca panowania Batorego aż do roku 1631, bo spierano się, co rozumieć przez tumult i tumultuantów, czy wydać specyalną ustawę na tle wyznaniowo-prawnem, czy też ogólną przeciw tumultom, której podpadałyby już także napady na zbory i t. p., jaki sąd uczynić kompetentnym, czy utworzyć osobne do tego sądowe władze, o ile mieliby w nich zasiadać świeccy a duchowni i jak sobie poradzić, ażeby módz ukarać kapłana, któryby był winien rozruchów, nie łamiąc wolności stanowej duchowieństwa, nie dopuszczającej pociągania księdza przed świeckie sądy? Każda z tych wątpliwości dostarczała aż nazbyt sposobności do sporów i podejrzeń wzajemnych. W r. 1631 stanęła konstytucya przeciw wszczynającym tumulty pod pozorem religi, a egzekucyę przekazano trybunałowi; zatwierdzono ją w r. 1635 i jeszcze raz w r. 1650, za rządów bezstronnego zupełnie Władysława IV. Całe panowanie Zygmunta III. zeszło tedy na zagadnieniu, jakim sposobem zapobiedz naruszeniu swobody wyznaniowej. Płynęło to z różnicy w sposobie pojmowania tej sprawy. Kiedy Zamojski radził raz przyjąć od socynianina przysięgę według jego wyznania, nie mogło się to pomieścić w głowach współczesnych, a wiadomo, że nuncyusz uważał Zamojskiego za niepewnego katolika! Mamy przykład drastyczniejszy: jeden z biskupów naszych powiedział, że wolałby na króla Gustawa Adolfa, bo to jawny przynajmniej

heretyk, niż... Władysława IV, którego uważał za... skrytego ateusza, o to, że nie chciał prześladować różnowierców!! Takie były czasy i taka miara być musi dla tych pokoleń. Każdy zaś wie już dzisiaj, że protestanci tam tylko byli za wolnością religijną, gdzie byli słabszymi.

Dalszy świetny dorobek naukowy książki p. Sobieskiego wypływa z powiązania w konstrukcyi historycznej sprawy protestanckiej z prawosławną. Pierwszy dał tego przykład ks. biskup Likowski w swem dziele o Unii Brzeskiej i otrzymał dzięki temu szereg niespodzianych rezultatów, istnych odkryć do dziejów kultury wschodniej Europy. Obecnie p. Sobieski zwrócił uwagę na udział prawosławnych w walkach wewnętrznych i na polityczne ich związki z protestantami. W rok po zawarciu Unii Brzeskiej sami regaliści „dwuznacznie z nią się obchodzą, ustępując dyzunitom, byle tylko nie innowiercom“ (t. j. protestantom); podobnież postępowali regaliści podczas rokoszu Zebrzydowskiego. Doskonałą jest uwaga autora, że przez związek z prawosławiem wszedł nasz protestantyzm na zupełnie fałszywe polityczne tory. Sporo też jest w tej książce ciekawych luźnych spostrzeżeń, np. o pierwszem powołaniu się na zasadę jednomyślności i *liberum veto,* a mianowicie ze strony posłów mazowieckich w r. 1587, gdy protestowali przeciw przyrzeczeniu danemu przez króla, że na następnym sejmie poprze sprawę „obwarowania konfederacyi“. Godnem bliższej uwagi jest spostrzeżenie, że katolicyzm szerzył się w Moskwie aż do... Unii Brzeskiej, że szerzył się bardzo w Prusiech królewskich i przyczyniał się znakomicie do kolonizacyi tego kraju.

Co za szkoda, że te wszystkie pierwszorzędne pod naukowym względem zagadnienia pogrzebane są pod balastem drugo- i trzeciorzędnych spraw i przygodnych wypadków. Czasem odnosi się wrażenie, jakby sam autor nie zdawał sobie sprawy, z jak cennemi miał do czynienia materyałami, skoro wysunął na pierwszy plan anegdotyczną stronę przedmiotu. Co gorsza, opowieści swe pookraszał własnemi indywidualnemi zapatrywaniami zbyt obficie, a nadto przyjął za dobrą monetę szereg banalnych ogólników, takich, nad któremi świat naukowy wzruszył

już ramionami. Tak np. upatrywanie genezy piśmiennictwa polskiego w ruchu protestanckim uchodzi już tylko na wykładach w pensyonatach! Jak można dopatrywać się związku przyczynowego pomiędzy „reakcyjnem“ stanowiskiem Hozyusza, a niechęcią jego do pisania listów po polsku?! Z własnych ogólników autora przytoczę jeden, doprawdy karkołomny: „Partykularne narodowe ruchy przedewszystkiem musiały się zwrócić przeciw powszechnemu Kościołowi, zagłuszającemu wszystkie wybuchy narodowych dążeń, musiały się objawić jako walka z Kościołem, musiały wystąpić na teren spraw religijnych“. Z licznych, niestety, rozmaitych enuncyacyi, znać, że autor nie zadał sobie trudu studyować katolicyzm i kontentuje się powtarzaniem komunałów, ulubionych w pewnych kołach wcale nienaukowych. Autor nie posiada własnego zdania, wyrobionego samodzielnie, o religii i Kościele katolickim i stąd pewne sprzeczności, gdy dotyka tej materyi; istoty katolicyzmu autor całkiem nie rozumie i zdaje się trwać na przestarzałem już stanowisku, że studya w tym kierunku byłyby zajęciem nienaukowem; jakżeż sobie inaczej wytłumaczyć brak ich u — historyka? Nadto zwrócić wypada uwagę, że autor nazbyt skory do generalizowania i łączenia zjawisk dziejowych, ilekroć przydatnem to się staje do uproszczenia konstrukcyi. Tak np. widzi za Zygmunta III tylko dwa stronnictwa, z których jedno było pod wodzą Zamojskiego, a że wielu z nieprzyjaciół Habsburgów oświadczało się zarazem przeciw lidze tureckiej, zrobił autor od razu i samego Zamojskiego przeciwnikiem walki z Turcyą. Wiadomo skądinąd, że wielki hetman i kanclerz przygotowywał właśnie Rzeczpospolitą systematycznie do tureckiej rozprawy. Wszak popierał dążenia do złączenia Siedmiogrodu z Wołoszą w jedno państwo lenne pod polskiem zwierzchnictwem, ażeby w ten sposób ułatwić przyszłą wojnę z półksiężycem i kto wie, czy to nawet nie jego własny pomysł? Stanowisko Zamojskiego wobec sprawy bałkańskiej może się da dokładniej wyświetlić po wydaniu jego korespondencyi, nad czem właśnie sam p. Sobieski pracuje, przygotowując dla polskiego świata naukowego nowy skarbiec pierwszorzędnych źródeł.

Szczególnie zajmującą będzie „nowina“ z zakresu polskiej historyografii, że gdy się już miało ku końcowi panowania Zygmunta III, powstał w Polsce, jakkolwiek w szczupłem tylko gronie dyssydenckiego możnowładztwa, projekt, ażeby po śmierci króla ofiarować tron Gustawowi Adolfowi. Były o tem posłuchy i głuche wieści, ale czegoś bliższego dowiadujemy się dopiero z rozprawy Adama Szelągowskiego p. t. „Układy królewicza Władysława i dyssydentów z Gustawem Adolfem w r. 1632“. Inicyatywa tego pomysłu wyszła, zdaniem autora, od wojewody Rafała Leszczyńskiego, który porozumiewał się z Krzysztofem Radziwiłłem na Litwie. Gustaw Adolf korzystał oczywiście z opozycyi przeciwko Zygmuntowi III i próbował, czyby za pośrednictwem zorganizowanego w tym celu w Polsce stronnictwa nie udało się zmienić polityki polskiej wobec wojny 30-letniej na antyhabsburską. Już z końcem 1630 r. wyprawił do Polski swego agenta, ażeby traktował z kasztelanem krakowskim i innymi senatorami o sojusz z Rzpltą, który miał obowiązywać także przeciw zamachom na elekcyę, przeciw „zamachom hiszpańskim oraz jezuickim“. Obiecywał Gustaw Adolf złote góry, przyrzekał, że zwróci Estonię, Inflanty i Prusy królewskie, że zawrze sojusz przeciw Moskwie. Litwa upadająca pod ciężarem wojny moskiewskiej nie była od tego, a wojewoda wileński Lew Sapieha odgrażał się już, że Litwa będzie sobie musiała poszukać lepszego opiekuna i obrońcę, aniżeli go znajduje w Zygmuncie III. Sam królewicz Władysław pragnął gorąco ukończenia dynastycznych sporów pomiędzy dwiema gałęziami Wazów i gotów był zrzec się następnie tytułu króla szwedzkiego, ale w ten sposób, żeby siły szwedzkie dopomogły mu zato do odzyskania korony moskiewskiej. A wszak Gustaw Adolf miał tylko jedną dziedziczkę w osobie nieletniej Krystyny! Jeszcze z końcem r. 1631 rozpoczął więc rokowania o sojusz sam królewicz Władysław, jakkolwiek z zachowaniem wszelkich ostrożności i nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem elektora brandeburskiego. Równocześnie jednak, bo w marcu i kwietniu 1632 roku prowadził Władysław układy z cesarzem w sprawie objęcia dowództwa nad 30 tysiączną armią na Śląsku; zabez-

pieczał się więc królewicz na obie strony na wszelki wypadek. Wtem 30 kwietnia 1632 r. umiera Zygmunt III, a Leszczyński próbuje, czyby nie udało się wysunąć kandydatury Gustawa Adolfa. Król szwedzki nie myślał nigdy poważnie o koronie polskiej, a jeżeli czynił jakiekolwiek nadzieje stronnictwu polskich dyssydentów, robił to tylko w celu siania niezgody wewnętrznej i osłabiania Polski; wszak miał pełne ręce roboty gdzieindziej! Kronikarz ówczesny, biskup przemyski Piasecki, utrzymuje jednak, że gdyby król szwedzki wkroczył był zbrojno podczas bezkrólewia do Polski, znalazłby więcej przyjaciół, aniżeli niechętnych. Rzeczywiście przemawiało znów do przekonania niejednemu spodziewane połączenie Szwecyi z Polską i Litwą, zakończenie uciążliwej wojny i te same względy, które niegdyś przemawiały za elekcyą Zygmunta III. mogły obecnie przemawiać za Gustawem Adolfem. Agent jednakże szwedzki, Roussel, zabrał się do rzeczy zbyt zuchwale, a przez to niezdarnie. Oto jeszcze za życia Zygmunta III. na początku 1632 r. rozesłał na sejmiki listy podburzające i proponujące w imieniu króla szwedzkiego związek i konfederacyę, obiecując pokój z Moskwą, uwolnienie od najazdów tatarskich i kozackich, przyprzyjaźń sułtana, połączenie z Czechami i Węgrami i uwolnienie Polski od jakiejś ligi (już jakoby przeciwko niej zawartej) w razie, jeżeli po spodziewanej śmierci królewskiej wybiorą Gustawa Adolfa. Jest tam w tych listach mowa o wszystkich współczesnych interesach politycznych, ekonomicznych i społecznych i o osłabieniu, którego doznała Rzeczpospolita przez panowanie „hiszpańskie, machiawelskie i Jezuickie“. Podobne listy porozsyłał Roussel do senatorów i posłów zebranych na sejmie w marcu 1532 r. Bezczelność ta wywołała skutek wręcz przeciwny, a kanclerz szwedzki Oxenstierna musiał się potem wszystkiego wypierać. Rzeczywiście zwolennicy Gustawa Adolfa wogóle przycichnęli, a wśród ogółu i tak sympatyi żadnych nie posiadali.

Gdy zawiodły rachuby co do Gustawa Adolfa, rzucili się dyssydenci w ramiona elektora brandeburskiego, wzywając go, ażeby uzbroił znaczne wojsko, aby na elekcyę zjechał przynaj-

mniej w 1000 koni i przeprowadził zmiany w państwie korzystne dla protestantów. W Polsce zanosiło się rzeczywiście na wojnę domową, bo obydwa stronnictwa zbroiły się. Elektor gotów był w danym razie połączyć się z silniejszym, a gdyby Gustaw Adolf wkroczył do Polski, czy to jako kandydat do tronu, czy wprost jako wróg zewnętrzny, elektor połączyłby się z nim wcześniej czy później niezawodnie; ażeby jednak elektor sam miał akcyę jakąś rozpoczynać, do tego był zbyt roztropny i przezorny. Począł się też zwolna wycofywać ze wszystkiego, i tak pozostał kandydatem tylko królewicz Władysław. Rozpoczęły się zabiegi stronnictw, ażeby go pozyskać dla siebie. W obozie katolików miał opinię t. zw. „polityka“ i zdaje się był też rzeczywiście indyferentnym w sprawach religijnych. Było bądźcobądź wiele wskazówek, że Władysław pójdzie innymi torami, aniżeli ojciec. Już sam Krzysztof Radziwiłł decydował się na niego, a różnowiercom chodziło już tylko o to, ażeby się wydawało, że to oni dopomogli królewiczowi do zyskania tronu wbrew niechęci katolików przeciw jego osobie.

Tymczasem zaś prowadził królewicz ciągle rokowania z elektorem i królem szwedzkim i tak równocześnie zbiegły się w ręku elektora przewodnie nici polityki polskiej. Dnia 6 sierpnia odbył się zjazd Radziwiłła z elektorem w Johannisburgu, według wszelkiego prawdopodobieństwa niezależnie zupełnie od rokowań, które elektor prowadził jako pośrednik pomiędzy królewiczem a Gustawem Adolfem. Jest bowiem wątpliwem, czy Władysław i jego przyszli protestanccy poddani pisaliby się wzajemnie na swe plany. Radziwił proponował wielką konfederacyę wszystkich żywiołów protestanckich i prawosławnych z Kozakami i ks. kurlandzkim, przyczem przewodnie stánowisko przypadałoby oczywiście nie królowi, lecz elektorowi, który był księciem pruskim. W konfederacyi tej wykluczano jakąkolwiek neutralność, a to celem zmiany tak wewnętrznego ustroju Rzeczypospolitej, jako też i zagranicznej jej polityki. Elektor jednakże stanowczo odradzał próbować drogi orężnej. Królewiczowi Władysławowi chodziło o uspokojenie Rzeczypospolitej od Szwecyi, lecz zarazem o zachowanie nieuszczu-

plone dynastycznej potęgi Wazów, którzy mieliby dyktować prawa większej połowie Europy, od Niemiec po Moskwę. Pragnął bowiem tego królewicz Władysław, ażeby Gustaw Adolf odegrał jak najwybitniejszą rolę w Niemczech i żeby stał się rozjemcą w stosunkach Rzeszy. Nie uzyskał królewicz przez pośrednictwo elektora niczego, a rezultaty zabiegów obydwóch stron były bardzo błahe. Dodaje jednak autor uwagę, że niewiadomo, czy Władysław nie szukał jeszcze innych dróg zbliżenia się do Gustawa Adolfa. Ciekawem jest, że jakkolwiek rozwiały się plany konfederacyi różnowierców i zbrojnego poparcia jej interesów, jednakże echa tych rokowań i pogróżek doszły do Niemiec tak, że Wallenstein uważał za stosowne wysłać kilka pułków na śląską granicę. Bitwa pod Lützen była jednocześnie klęską i dla politycznych planów polskich protestantów, i dla daleko sięgających dynastycznych zamysłów Władysława IV. Z układów podczas bezkrólewia ta jednak była korzyść, że różnowiercy przechylili się na drogę pokojowego traktowania sporów religijnych, a katolicy okazali się skłonniejszymi do ustępstw; wiadomo zaś, że elekcya Władysława odbyła się niemal jednomyślnie.

Do czasów Władysława IV posiadamy cenny przyczynek prof. W. Czermaka, wyjaśniający zagadkową dotychczas postać ojca Waleryana Magni'ego, który niewątpliwie wiele na dworze królewskim znaczył i na politykę wpływ wywierał, i to nie zawsze zgodnie z zamiarami stolicy apostolskiej. Kapucyn ten zajmował się szczególniej układami pomiędzy unitami a dyzunitami, i był za projektem ugody ułożonej podczas sejmu koronacyjnego, zatwierdzonej następnie w r. 1635 wbrew ogółowi duchowieństwa polskiego i samego papieża. Władysław IV radby przystroić Magni'ego purpurą kardynalską, i poróżnił się nawet o to z Urbanem VIII. Król używał Magni'ego do poruczeń, wymagających wiele zdolności i taktu, jak np. do układów o rękę Cecylii Renaty. W Warszawie wydrukowano kilka rozpraw Magni'ego z dziedziny teologii, filozofii i fizyki; on jeden z pierwszych zajmował się doświadczeniami z wytwarzaniem próżni zapomocą rtęci i wody; odkrycie znane w nauce pod

firmą Torricellego, uważał za swoje własne. Magni czynny był nie tylko na polskim dworze; toteż w literaturze zagranicznej postać jego nieraz już była opracowaną, u nas jednakowoż nikt dotychczas bliżej się nim jeszcze nie zajął. Pochodził z szlacheckiej rodziny medyolańskiej, używającej hrabiowskiego tytułu. Do Kapucynów wstąpił za wczesnej młodości, po r. 1610 był już wędrownym misyonarzem, wojującym skutecznie z protestantyzmem w krajach dziedzicznych Habsburgów; następnie zajmował się dyplomacyą, w służbie jużto samego cesarza, jużto innych książąt niemieckich. W r. 1626 został prefektem i wikarym misyi w Polsce, Czechach, Węgrzech i Niemczech. O ile wiadomo, raz tylko był w tym okresie swego życia w Polsce, w r. 1617, a po raz drugi dopiero w r. 1632; ale też odtąd przebywał niemal stale do r. 1636, i powtórnie znów od 1645 do 1648. Dwa razy proponowany przez Władysława IV na kardynała, a za każdym razem bez skutku. Kapucyn ten był bardzo nieprzyjaźnie usposobiony względem Jezuitów, a w sprawie wschodniego Kościoła zdawał się przechylać raczej na stronę prawosławia, niż unitów; widocznie miał te same zapatrywania, jak niegdyś Maciej biskup wileński za Kazimierza Jagiellończyka i wszyscy zresztą Polacy w okresie soboru florenckiego; mniemał, że lepiej byłoby dać spokój unii i szerzyć od razu obrządek łaciński. Po śmierci Władysława IV przeniósł się na Morawy i aż do roku 1661 przebywał w Bernie morawskiem, w ustawicznych zatargach z Jezuitami, wojując z nimi słowem i pismem. Walka poszła na ostre; pomiędzy rokiem 1653 a 1661 wzajemnie pomawiali się o herezyę. Znanem jest, że Jezuici już wtenczas nacisk kładli na wykazanie prymatu papieskiego wywodami bezpośrednio z Pisma św. Skończyło się to na zakazie drukowania dzieł Magni'ego, a wreszcie na uwięzieniu go. Umarł w roku 1661 w Salzburgu; jedno z jego dzieł znalazło się na indeksie kościelnym. Ciekawy ten przyczynek do stosunków dworu polskiego tłumaczy niechęć Władysława IV względem zakonu Jezuitów, czem król ten tak odróżniał się od swego ojca i braci.

Około opracowywania dawnych polskich spisów ludności

wielce się zasłużył ś. p. prof. Kleczyński, który nie tylko wydał sporo materyałów, ale też sam zajmował się pracami konstrukcyjnemi. Przed 4 niespełna laty wydał pracę „Spisy pogłównego generalnego w XVII wieku", ostatni owoc pracowitego swego żywota. Do spisu ludności dawnej Polski posiadaliśmy wykazy podatkowe z XVI w., tudzież spisy, które pochodzą jednak już z okresu sejmu 4-letniego i lat późniejszych. Przeprowadziwszy badania w warszawskich archiwach, przekonał się autor, że niema tam prawie żadnego materyału z czasu sejmu czteroletniego, jakkolwiek w dawnych aktach skarbowych jest go sporo do podatku pogłównego. Znalazły się natomiast źródła i to bardzo dobre do wieku XVII, a mianowicie wykazy pogłównego z Korony; z Litwy niema natomiast ani jednego.

Okazuje się, że w województwie ruskiem rzadko kiedy i niewiele zbierano pogłównego. Spisy do pogłównego były albo ogólne ludności świeckiej, i te się dochowały, albo też duchowieństwa, z których znalazły się spisy duchowieństwa unickiego i dyzunickiego. Trafiały się także regestra wojskowe. Przy nazwach wsi nie zawsze podawano liczbę głów, ale jeden wykaz da się uzupełnić przez drugi. Wykazy robione były przez duchowieństwo na podstawie zeznań ludności i zaprzysięgane przez dwóch świadków. Zdarzało się pomimo to opuszczanie folwarków, a nawet opuszczenia części ludności. W r. 1662 wynosił podatek pogłowny 2,731.000 złp., w 1673 r. 2,169.000, a w 1676 r. 1,373.000 złp., a zatem... coraz mniej.

Po raz pierwszy obliczono ludność świata w dziele Riccellego wydanem w Wenecyi w roku 1672, gdzie obliczono ilość mieszkańców królestwa polskiego na 6.000.000, samo zaś miasto Gdańsk na 80.000 mieszkańców. W sprawy tego miasta wprowadza nas prof. Wiktor Czermak w artykule „Handel zbożowy gdański w XVII wieku". Gdańsk był przez cały jeszcze wiek XVII najważniejszym punktem handlu zbożowego obok Amsterdamu, chociaż okręty gdańskie w tym wieku nie zapuszczały się już tak daleko, jak niegdyś; używano bowiem pośrednictwa holenderskich statków. Flota holenderska panowała wszechwładnie na Północy, a Gdańsk nie posiadał już własnej marynarki

handlowej. Ocalała świetność Gdańska dzięki przywilejom królów polskich, nadających Gdańszczanom monopole pośrednictwa pomiędzy polskimi producentami, a cudzoziemskimi kupcami. Największe zapasy zboża przybywały do Gdańska z Podola i Ukrainy, a więc z krain nie należących do dorzecza Wisły, co tem bardziej okazuje się w latach wojennych albo klęsk elementarnych w prowincyach południowych ruskich, gdyż natenczas wysokość importu nagle opadała. Największy import był około roku 1648, a więc w sam raz wtenczas, kiedy gospodarstwo folwarczne w tamtych stronach rozwinęło się jak najświetniej, a zaraz po wybuchu kozackich wojen spadł dowóz do połowy, a później jeszcze niżej. W latach pokoju znów dowóz się podwyższył, a co ciekawe, że szedł w górę na Podolu i Ukrainie, kiedy te ziemie były pod panowaniem polskiem; zmniejszał się zaś, gdy części kraju przechodziły pod panowanie tureckie lub rosyjskie.

Tegoż autora „Przyczynki do dziejów skarbowości polskiej w XVII wieku“ zajmują się pytaniem, jak wielką była siła podatkowa ludności polskiej XVII w.? Z dawnych prób w tym kierunku, z badań Korzona, które streścił w swem dziele o Sobieskim, z niektórych wydawnictw drukiem ogłoszonych i wreszcie na podstawie własnych rękopiśmiennych badań twierdzi autor, że, o ile dotąd wiadomo, najwięcej podatków wpłynęło do skarbu Rzeczypospolitej w roku 1662, a mianowicie przeszło 19.217.000 złotych polskich. Wtenczas były też największe podatki nałożone pod naciskiem wojsk skonfederowanych. Pomiędzy latami 1650 a 1675 wypada średnio na rok od 5 do 7 milionów złp. Jednakże jako „średnia“ niema ta cyfra właściwie żadnej wartości wobec olbrzymich wahań; jakoż widzimy, że do skarbu wpłynęło raz zaledwie 9.000 złotych polskich, podczas gdy innym razem mamy sumę 19,000.000! Dochodzenia prof. Czermaka mają w tem jednak wartość, że porównuje on siłę podatkową Polski z innemi państwami; zwraca uwagę, że np. w roku 1661 skarb francuski ściągnął 85 milionów liwrów podatków, a za Colberta między rokiem 1673 a 1683 dochodziły do 200 milionów liwrów średnio rocznie, wtedy, kiedy jeden liwr francuski

miał w sam raz tę samą wartość, co jeden złoty polski. Dochody francuskie bywały kilkanaście a nawet czasu swego kilkadziesiąt razy większe od polskich. Nie trzeba z tego jednak snuć przedwczesnych wniosków; inna tam była zupełnie gęstość ludności, inne zupełnie warunki i inny ustrój państwowy, a co najważniejsze, inne zupełnie rachunki, bo we Francyi wliczało się do dochodów skarbowych państwa wszystkie dochody z królewszczyzn i królewskich monopolów, t. zw. regaliów. Urzędnicy francuscy pobierali też pensye pieniężne, rzadko tylko kiedy dożywocia z nadania dóbr ziemskich, w Polsce zaś urzędników opłacało się z reguły ziemią, a mianowicie nadawaniem starostw, a skarb t. zw. królewski oddzielony był od t. zw. skarbu Rzeczpospolitej (nadworny a koronny); oprócz tego były zaś osobne skarby wojewódzkie, niezawisłe zupełnie od ogólnego skarbu Rzeczypospolitej. Porównanie z Francyą wtenczas tedy dopiero będzie zupełne, gdy się nam uda zebrać dokładne obliczenie tych innych skarbów.

(D. c. n.).

*Dr. Feliks Koneczny.*

# ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

(Dokończenie).

Wobec tego że dla każdego człowieka pracującego użycie od czasu do czasu jakiejś rozrywki jest niemal koniecznem, stowarzyszenia wstrzemięźliwości organizują takie rozrywki, które mają ludzi od szynku odciągać, a zarazem działać na nich uszlachetniająco; zakładają więc kluby, muzea, biblioteki i czytelnie dla robotników, urządzają odczyty popularne, koncerty i teatry ludowe, w których często daje się sztuki tendencyjne, organizują orkiestry i chóry robotnicze, zbiorowe ćwiczenia gimnastyczne, urządzają bale i zabawy ludowe na świeżem powietrzu. Rosyjskie komitety trzeźwości do końca r. 1898 zorganizowały w guberniach monopolowych 293 towarzystw śpiewackich i 80 teatrów ludowych; w r. 1898 rozdały 21.264 książek i urządziły 525 balów i koncertów, 538 przedstawień teatralnych i 503 wielkich zabaw ludowych, na które obok posiłku w taniej restauracyi składają się muzyka, tańce, wyścigi, produkcye atletów, monologistów, kuglarzy, iluminacya, fajerwerki i t. p. Dochód z takich zabaw, urządzanych w ciągu ostatnich lat kilku także i w Warszawie, ma zazwyczaj pokrywać ich koszty.

Zakładanie kąpieli ludowych, organizowanie wycieczek dzieci szkolnych i letnich kolonii dla dzieci ubogich rodziców wchodzi również w zakres działania stowarzyszeń wstrzemięźliwości.

Abstynenci domagają się zupełnego usunięcia alkoholu z użycia, a więc zarzucenia zwyczaju podawania napojów wy-

skokowych w okazyach uroczystych, wznoszenia toastów, zamknięcia korporacyi uniwersyteckich w Niemczech i t. d. O ile takie bezwzględne żądanie jest uzasadnionem, łatwo ocenić na podstawie powyżej przytoczonych danych. Słusznem zupełnie jest żądanie, by w wielu krajach stowarzyszenia uczniów szkół wyższych, w myśl odezwy, jaką profesorowie niemieccy wystosowali niedawno do młodzieży akademickiej, przeprowadziły zasadniczą reformę swych zwyczajów i zaniechały zbiorowego upijania się. Również słusznem jest żądanie, by w krajach, gdzie ten zwyczaj panuje, zaniechano dawania wina dzieciom w różne święta szkolne, jakoteż żądanie zniesienia istniejącego w niektórych państwach zwyczaju rozdawania niekulturnym masom ludowym trunków wyskokowych podczas wielkich uroczystości.

Jednym z najważniejszych środków zapobiegających pijaństwu jest niewątpliwie dostarczenie ludności nieszkodliwego, smacznego, a przytem taniego napoju. Wielu zwolenników umiarkowania, wychodząc z tego założenia, że człowiek bez środków podniecających czy odurzających obejść się nie może, uważa, że pijaństwu mogłoby bardzo skutecznie przeciwdziałać rozpowszechnienie takich napojów jak kawa, herbata, kakao, a także słabego piwa, lekkiego wina lub win owocowych, do czego przyczyniłoby się małe ich opodatkowanie. Prof. Rauber z Dorpatu proponuje w tym celu rozpowszechnienie pasteryzowanego moszczu winnego, Nicoladoni zaś moszczu owocowego, który zawiera mało alkoholu. Prof. Kobert przed kilku laty proponował rozpowszechnienie w Niemczech rosyjskiego kwasu, napoju orzeźwiającego, niezmiernie taniego, dającego się przygotować w najbiedniejszej chacie włościańskiej, a przytem zawierającego alkohol zazwyczaj w niezmiernie małej ilości.

Oczywiście napoje te nie mogą zastąpić alkoholu tym, którzy pożądają trunku silnie działającego; dowodzi tego picie eteru octowego w krajach, w których używanie mocnych spirytualiów jest utrudnione, oraz we Francyi picie wody kolońskiej, a w Anglii koniaku i innych wódek, ukrytych w cukierkach, przez kobiety, które z różnych względów powstrzymują się od jawnego picia wódki. Nie ulega jednak kwestyi, że roz-

powszechnienie jednego z przytoczonych napojów jako napoju ludowego mogłoby być w wielu krajach wielce pożytecznem, zwłaszcza tam, gdzie ludność do zaspokojenia pragnienia używa mocnego piwa lub wina. Atoli jest rzeczą wątpliwą, czy w praktyce reforma taka dałaby się przeprowadzić w ciągu niezbyt długiego szeregu lat; czy przyjąłby się jako napój ludowy napój nowy, mało znany i w kraju nieużywany, nie zespolony ze zwyczajami i tradycyami ludności, a przytem dla ludzi doń nieprzyzwyczajonych zapewne często i niesmaczny, tem bardziej, że do dnia dzisiejszego w wielu krajach ludność szczyci się miejscowym napojem, własnem winem lub piwem, cydrem a nawet kwasem; można więc sobie wyobrazić, jak trudno byłoby wyrugować taki napój miejscowy, a zastąpić go innym. Przeprowadzenie takiej reformy utrudniałyby przytem względy na produkcyę miejscową i inne czynniki ekonomiczne. Wprowadzenie zaś lekkiego wina lub piwa jako napoju ludowego, ze względu na zawarty w nich wyskok, byłoby nadto połączone z pewnem niebezpieczeństwem.

W ostatnich czasach pod wpływem ruchu zwróconego przeciw alkoholowi zaczęto wyrabiać wina i piwa bezalkoholowe. Trudno jest przesądzać, jaki los spotka te trunki w przyszłości, pomysł ich fabrykacyi nie wydaje się jednak szczęśliwym. Ci, którzy do ugaszenia pragnienia używają napojów bezwyskokowych, będą zapewne przekładać napoje naturalne lub sztuczne o składzie i sposobie przyrządzania wiadomym nad fabrykaty, mające być imitacyą piwa czy wina; tym zaś, którzy pożądają alkoholu, sama nazwa piwa lub wina zapewne nie będzie wystarczała.

Jeśli ma się zastąpić niezdrowy napój, jaki stanowi piwo lub wino, którego ludność przytem często nadużywa, innym napojem, to najodpowiedniejszą do tego jest niewątpliwie czysta, dobra woda, naturalny, najtańszy i najzdrowszy dla człowieka napój; potrzeba tylko, by woda była istotnie nie tylko nieszkodliwą dla zdrowia, ale zarazem i smaczną. Od czasu, kiedy wodę do picia zaczęto badać bakteryologicznie i przekonano się, że zawiera ona zawsze pewną ilość drobnoustrojów,

wśród których mogą się znaleźć i bakterye chorobotwórcze, w bardzo szerokich kołach ludności, zwłaszcza inteligencyi miejskiej, powstało zresztą usprawiedliwione w pewnych warunkach przekonanie, że woda jest napojem niezdrowym, mogącym nawet przyprawić człowieka o ciężką chorobę; stąd wynikło zwiększenie się konsumcyi piwa i wina, oraz stołowych wód mineralnych, naturalnych i sztucznych. Wprawdzie znaleziono sposoby powszechnie dzisiaj stosowane w wodociągach, gdzie tego zachodzi potrzeba, które usuwają niebezpieczeństwo zakażenia się przez picie wody; urządzenia te nie obaliły jednak w zupełności braku zaufania, jaki publiczność ma do wody pod względem higienicznym. Przytem nie każda woda, uznana za zdatną do picia ze względu na ilość zawartych w niej szkodliwych dla zdrowia związków chemicznych oraz bakteryi, jest napojem smacznym; tyczy się to głównie wód rzecznych i zaskórnych, które mają stanowić higieniczny napój ludności wielu miast.

W zwalczaniu zwyczaju używania trunków wyskokowych jako zwykłego napoju, dobry smak dostarczanej ludności wody do picia stanowi niewątpliwie ważny czynnik. Oczywiście nie można się łudzić, by dobra a przytem najsmaczniejsza nawet woda mogła znieść w zupełności używanie, a co za tem idzie, i nadużywanie trunków wyskokowych; ale woda taka może przynajmniej w pewnej mierze przyczynić się do zmniejszenia alkoholizowania się ludności przez to, że da jej możność zaspakajania pragnienia napojem dla zdrowia nieszkodliwym, a przytem nie budzącym niesmaku.

Z powyższego zestawienia widać, że do walki z pijaństwem oprócz środków państwowych posiadamy cały arsenał środków społecznych, powstających z inicyatywy osób prywatnych i opartych na ich działalności. Jakkolwiek wiele z tych środków stosuje się w różnych krajach już od dłuższego czasu, zdania o ich skuteczności są jeszcze podzielone. Jedni uważają, że walka społeczna z alkoholizmem prowadzi do zwycięstwa i na dowód wskazują na zmniejszenie się ilości zbrodni, pauperyzmu i śmiertelności wraz z obniżeniem się konsumcyi alkoholu w krajach, w których panuje żywy ruch przeciwko wyskokowi zwró-

cony, jak np. w Szwecyi, Norwegii, Finlandyi, Kanadzie. Inni zaś twierdzą, że wyniki tej walki wogóle są niewielkie, i że jeżeli w niektórych krajach jest pewna zmiana na lepsze, to jest ona skutkiem zarządzeń państwowych, nie zaś ruchu społecznego; wskazują oni na takie kraje jak Szwajcarya, gdzie pomimo silnej walki społecznej, pijaństwo prawie że się nie zmniejszyło i na Wielką Brytanię, gdzie w takich samych warunkach, pijaństwo nawet stale się zwiększa.

Co się tyczy tych krajów, w których pijaństwo się zmniejszyło, to trudno istotnie ocenić, jaki udział ma dzisiaj w tym względzie państwo, a jaki działalność społeczeństwa, to jednak da się stwierdzić z wszelką pewnością, że w krajach tych społeczeństwo samo domagało się akcyi państwowej; że odnośne ustawy są wyrazem potrzeby, jaką odczuwał ogół, a przynajmniej lepsza jego część, że przeto działalność społeczeństwa akcyę państwową nie tylko poprzedziła, ale i zrodziła. Co się zaś tyczy tych krajów, w których pomimo działalności antyalkoholistów pijaństwo się nie zmniejsza, lub też nawet potęguje się, to niewiadomo, jakby pod tym względem rzeczy stały, gdyby tam antyalkoholizmu nie propagowano; być może, że bez tej propagandy pijaństwo w tych krajach byłoby jeszcze większe jak obecnie.

Jak to już wyżej zauważono, walkę społeczną z alkoholizmem prowadzą obecnie głównie stowarzyszenia wstrzemięźliwości. Sądzę, że w bezstronnej i sprawiedliwej ocenie ich działalności uznać trzeba, że w walce tej położyły one zasługi, i to niemałe. Niezaprzeczoną ich zasługą jest przedewszystkiem to, że przez wydawnictwa, zwoływanie kongresów, oddziaływanie na prasę i przez inne środki agitacyjne poruszyły umysły, zniewoliły do bliższego zbadania wielu spraw ściśle z alkoholizmem się łączących, do zastanowienia się nad stanem obecnym społeczeństwa w tym względzie i obmyślenia środków zaradczych na przyszłość; że przez swój wpływ na ciała prawodawcze w wysokiej mierze przyczyniły się do wydania w niektórych krajach ustaw, które pijaństwo ograniczyły (Ameryka, Skandynawia). Za zasługę musi być również poczytaną tym stowarzyszeniom opieka, jaką roztoczyły nad wyleczonymi pijakami (Szwajcarya);

wielu z nich tylko tej opiece zawdzięcza ochronę od recydywy, a także i swój byt materyalny.

Zarzucić można działalności stowarzyszeń abstynentów zbyt to jedno tylko, że przez fanatyczne prowadzenie agitacyi antyalkoholowej w oczach wielu ludzi sam antyalkoholizm poniekąd ośmieszyły, co walkę z pijaństwem nawet do pewnego stopnia mogło utrudnić. Jest to jednak zarzut błahy w porównaniu z dodatnimi skutkami działalności stowarzyszeń wstrzemięźliwości na Zachodzie, których nie uznać niepodobna.

W walce z pijaństwem skuteczność środków, jakiemi samo społeczeństwo rozporządza, z natury rzeczy jest bardzo względną, zależy ona bowiem nie tylko od jakości tych środków, ale i od należytego zrozumienia ich celu przez ogół i moralnego ich poparcia, a zatem od samego społeczeństwa, w którem i dla którego mają być stosowane; instytucya społeczna czy zarządzenie o charakterze prywatnym, w zasadzie swej dobroczynne i umoralniające, nie przynosi żadnego pożytku, a nawet ostać się nie może, jeżeli sama zasada, na której się opiera, nie trafia do przekonania czy uczucia tych, dla których jest przeznaczona. Dlatego też w zwalczaniu pijaństwa w danem społeczeństwie należy wielką przywiązywać wagę do wyboru właściwych sposobów. Prócz dobrej woli konieczną jest tu rzeczą dokładna znajomość społeczeństwa, odczuwanie jego potrzeb materyalnych i moralnych, oraz umiejętność trafienia do jego rozumu czy uczucia.

Zanim rozejrzymy się w tych środkach, które, zdaniem mojem, mogłyby i powinny u nas być stosowane, należy zdać sobie sprawę z tego, w jakim stopniu nałóg pijaństwa u nas się szerzy i jakie miejsce pod tym względem zajmujemy wśród innych narodów.

W badaniach statystycznych Heleniusa znajdujemy następujące ciekawe zestawienie:

W r. 1839 Karol Rösch w dziele o nadużywaniu napojów wyskokowych podał następujący porządek narodów europejskich pod względem konsumcyi spirytualiów: Lapończycy,

Rosyanie, Szwedzi, Duńczycy, Polacy, Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Grecy, Hiszpanie.

Od tego czasu stosunki wśród tych narodów zmieniły się zupełnie zasadniczo; porządek podany przez Röscha niemal się odwrócił. Według statystyki szwedzkiego autora Sundbärga, wydanej w r. 1900, w okresie od 1891 r. do 1895 r. konsumcya napojów wyskokowych (wódki, piwa i wina), obliczonych jako alkohol absolutny, wynosiła rocznie na 1 mieszkańca:

| | | | |
|---|---|---|---|
| we Francyi | 16.41 litrów | w Wielkiej Brytanii | 8.17 litrów |
| w Belgii | 12.58 „ | w Austro-Węgrzech | 7.49 „ |
| w Hiszpanii | 12.05 „ | w Holandyi | 6.00 „ |
| w Szwajcaryi | 11.21 „ | w Rosyi | 5.21 „ |
| w Danii | 10.87 „ | w Szwecyi | 4.50 „ |
| we Włoszech | 10.30 „ | w Norwegii | 2.69 „ |
| w Portugalii | 10.10 „ | w Finlandyi | 1.84 „ |
| w Niemczech | 9.35 „ | | |

Wódki zaś, obliczonej jako alkohol 50%, wypada w tym okresie rocznie na 1 mieszkańca:

| | | | |
|---|---|---|---|
| w Danii | 14.40 litrów | w Szwajcaryi | 6.12 litrów |
| w Belgii | 9.70 „ | w Wielkiej Brytanii | 5.20 „ |
| w Rosyi | 9.40 „ | w Norwegii | 3.84 „ |
| w Austro-Węgrzech | 9.00 „ | w Finlandyi | 2.86 „ |
| w Holandyi | 8.83 „ | we Włoszech | 1.25 „ |
| w Niemczech | 8.80 „ | w Hiszpanii | 1.00 „ |
| we Francyi | 8.54 „ | w Portugalii | 1.00 „ |
| w Szwecyi | 6.67 „ | | |

Dane statystyczne tyczące się konsumcyi trunków wyskokowych mają wogóle bardzo względną wartość, nie są one bowiem uzyskane z bezpośrednich wykazów konsumcyi, jakich niema, a wogóle są obliczone głównie na podstawie wykazów produkcyi krajowej, opłaty skarbowej, oraz cyfry ludności, przyczem nie zawsze uwzględnia się dokładnie przywóz i wywóz, zwłaszcza rzadziej używanych napojów. Uzyskane w ten sposób liczby z natury rzeczy dają więc tylko przybliżony obraz rzeczywistego stanu rzeczy pod względem konsumcyi trunków, pod względem zaś pijaństwa, panującego w kraju, liczby te pouczają jeszcze

mniej, gdyż wskazują one tylko ilość alkoholu, jaka przypada na głowę wśród całej ludności, składającej się z mężczyzn, kobiet i dzieci. W tych krajach, gdzie alkoholizm jest rozpowszechniony wśród kobiet, na ludność dorosłą męzką, która wszędzie stanowi głównych konsumentów alkoholu, przypada przeto odpowiednio mniejsza ilość wyskoku w stosunku do tych krajów, w których kobiety mało trunków wyskokowych używają, jakby to z liczb wyrażających konsumcyę alkoholu w krajach tych wypadało. Tyczy się to głównie Rosyi, Belgii, a także Francyi i Anglii, gdzie w ostatnich czasach pijaństwo wśród kobiet znacznie się wzmogło; w Anglii np. w r. 1878 ilość kobiet sądzonych więcej jak 10 razy za pijaństwo wynosiła 5000, a w r. 1892 9408. W państwach o różnolitym składzie etnograficznym ludności, jak np. w Rosyi, gdzie część ludności, jako to mahometanie, a także członkowie różnych sekt religijnych, zupełnie nie pije na ludność rdzenną przypada odpowiednio większa ilość skonsumowanego alkoholu, jak to liczby uzyskane dla całego państwa wskazują.

Jeżeli dane statystyczne tyczące się konsumcyi alkoholu w państwie z powyższych względów nie są zupełnie wiernym wyrazem konsumcyi trunków, a jeszcze mniej wiernem odbiciem panującego w kraju pijaństwa, to dokładność liczb uzyskanych dla poszczególnych prowincyi jeszcze więcej pozostawia do życzenia; liczby te oparte są bowiem głównie na wykazach urzędowych produkcyi krajowej, a przeważnie nie obejmują one przywozu napojów wyskokowych z innych prowincyi państwa i wywozu do nich produktów miejscowych.

Pomimo to nie można uważać, by statystyka konsumcyi alkoholu w różnych krajach była pozbawiona wszelkiej wartości, gdyż niemal wszędzie główną część skonsumowanych trunków stanowią produkty krajowe, o tyle więc dane statystyczne mogą być w tym względzie miarodajne. Nie mogąc sam przeprowadzać specyalnych studyów nad konsumcyą alkoholu, przytaczam z powyższemi zastrzeżeniami dane statystyczne, jakie w dostępnych mi źródłach znalazłem lub z nich obliczyć mogłem.

Komsumcya trunków wyskokowych w całej Europie w osta-

tnich czasach wogóle się wzmaga. W okresie od 1882 r. do 1892 r. podniosła się ona o $^1/_5$, tymczasem gdy ludność Europy wzrosła w tym okresie tylko o $^1/_{80}$. W poszczególnych krajach konsumcya alkoholu zmieniła się w rozmaity sposób. We Francyi wzrasta ona stosunkowo szybko i to przeważnie jako konsumcya szczególnie szkodliwego absyntu; w czasie od 1887 r. do 1894 r. ilość wypitego we Francyi absyntu zwiększyła się o 85.000 hl, a od 1894 r. do 1898 r. o dalsze 85.000 hl. W Belgii w ostatnich latach ilość czystego alkoholu, jaka przypada rocznie na głowę, doszła do 13.7 l. W Anglii przypada obecnie aż 13.5 l 50% wódki rocznie na 1 mieszkańca. W Niemczech w wyższych warstwach społeczeństwa pijaństwo nieco się zmniejszyło, natomiast spotęgowało się w warstwach niższych; na głowę przypada tam w ostatnich latach rocznie 6.4 l wina, 107.8 l piwa i 13.5 l wódki 33% (Rosenfeld), co razem wzięte stanowi 9.34 l absolutnego alkoholu rocznie, a 25.6 $cm^3$ dziennie; w r. 1898 konsumcya piwa w Niemczech podniosła się do 123 l na głowę; alkoholicy stanowią w niemieckich zakładach dla obłąkanych 28—49%. W Szwajcaryi przed wprowadzeniem monopolu wódczanego przypadało na głowę rocznie 9 l wódki 50%, obecnie zaś tylko około 6 l, ale za to znacznie zwiększyła się konsumcya piwa i win owocowych. W Szwecyi w ciągu ubiegłego stulecia konsumcya wódki stale się obniżała; od r. 1830 do r. 1895 spadła z 46 l na głowę rocznie do 6.67 l. W Norwegii od r. 1835 do r. 1895 ilość wódki spadła z 16 l do 3.54 l na 1 mieszkańca rocznie. W kraju obecnie najtrzeźwiejszym, w Finlandyi, ilość alkoholu absolutnego, przypadająca na 1 mieszkańca spadła do 1.84 l rocznie. Według danych Biura statystycznego przy ministerstwie handlu, przedstawionych na VIII kongresie antyalkoholistów w Wiedniu przez d-ra Dauna, konsumcya alkoholu w Austryi w okresie od r. 1890 do r. 1900 wynosiła rocznie 10.5 l wódki 40%, a zatem rocznie 4.19 l alkoholu absolutnego na głowę; na Śląsku, Morawach i w Karyntyi przypada 7—8 l alkoholu absolutnego rocznie na 1 mieszkańca, w Galicyi i Bukowinie 4—4.5 l., w Austryi Dolnej, Czechach, Styryi, Krainie 3 l, w Tyrolu 2.5 l; przytem zachodzą w poszczególnych kra-

jach znaczne różnice w konsumcyi piwa; w Czechach np., które w r. 1897 posiadały 788 browarów, w r. 1898 na głowę przypadało rocznie 145 l piwa (Presl), w Galicyi zaś tylko kilkanaście litrów. W Rosyi, według referatu hr. Skarzyńskiego na VIII zjeździe antyalkoholistów w Wiedniu, konsumcya alkoholu po wprowadzeniu monopolu wódczanego miała się cokolwiek zmniejszyć. Atoli wobec powyżej przytoczonych zarzutów, jakie monopol ten spotykają, trudno jest stopień tego zmniejszenia się konsumcyi wódki w Rosyi trafnie ocenić. W czasie poprzedzającym wprowadzenie monopolu wódczanego pijaństwo po większych miastach rosyjskich zwiększało się; według Kołpakowa w Petersburgu w czasie od r. 1886 do r. 1896 ilość pijaków wzrosła w czwórnasób, przyrost zaś ludności wynosił w tym czasie tylko $^1/_{10}$. W r. 1885 w szpitalach petersburskich leczono 763 alkoholików, a w r. 1894 2553. W r. 1885 na ulicach Petersburga policya podniosła osób pijanych do utraty przytomności *(w bezczuwstwiennom widie)* 31.567, a wśród nich kobiet ze sfer uprzywilejowanych 112, a w r. 1894 osób 48.200, a wśród nich kobiet ze sfer uprzywilejowanych 240 (Daniłło).

O stopniu rozpowszechnienia się pijaństwa wśród ludności świadczy poniekąd ilość szynków w różnych krajach. W Finlandyi, Norwegii i Szwecyi jest ich najmniej; w Szwecyi 1 szynk przypada na 13.450 mieszkańców; w Rosyi europejskiej przed wprowadzeniem monopolu przypadał 1 szynk na 774 mieszkańców (w Petersburgu na 10.675 domów było szynków 2.382), w Austryi 1 szynk przypada na 287 mieszkańców (w Salcburgu 1 na 138, w Czechach 1 na 262, na Śląsku 1 na 283, w Galicyi 1 na 368, w Dalmacyi 1 na 455 mieszkańców), w Anglii 1 na 190, w Holandyi 1 na 175, w Prusiech 1 na 100, we Francyi 1 na 75 mieszkańców; najwięcej szynków jest w Belgii, gdzie 1 szynk przypada na 36 mieszkańców, a w niektórych gminach jako to w Roulers, Bruges, Vaucelles, przypada nawet 1 szynk na 24 mieszkańców, co po odliczeniu kobiet, dzieci i starców wynosi 1 szynk na 5—6 mieszkańców, po odliczeniu zaś szynkarza wypada, że 4—5 głów rodziny utrzymuje w tych gminach 1 szynk.

U nas konsumcya napojów wyskokowych przedstawia się w następujący sposób:

Według danych Biura statystycznego przy ministerstwie handlu konsumcya wódki w Galicyi wynosiła w ostatnich latach 4—4.5 alkoholu absolutnego na 1 mieszkańca rocznie. W okresie od r. 1896 do r. 1899 przypada w Galicyi 305.088 hl. rocznie alkoholu absolutnego na 7.295.538 mieszkańców, co na 1 mieszkańca wynosi rocznie 4.18 l alkoholu absolutnego. Konsumcya piwa w ostatnich czasach stale wzrasta; w r. 1899 wynosiła na 1 mieszkańca 16.22 l (Daszyńska-Golińska). Jeżeli przyjąć, że piwo zawiera średnio 4% alkoholu, to na 1 mieszkańca Galicyi przypada rocznie alkoholu absolutnego, skonsumowanego w wódce i piwie, 4.83 l. O konsumcyi wina w Galicyi bliższych danych nie posiadamy, atoli przy stosunkowo małem jego użyciu alkohol skonsumowany w winie może tylko o bardzo niewiele powiększyć ilość alkoholu spożytego w wódce i piwie.

W powyżej przytoczonym wykazie konsumcyi trunków w różnych krajach Galicyi przypada przeto z 16 miejsc 13-ste, pomiędzy Rosyą a Szwecyą. W Krakowie konsumcya piwa jest niepomiernie wielka; w r. 1902 mieszkańcy Krakowa wypili piwa z browarów miejscowych 2.526.889 l i piwa sprowadzonego 4.306.383 l, co razem czyni 6.833.272 l, a na głowę wynosi 80 litrów.

Ze wszystkich prowincyi państwa niemieckiego konsumcya wódki największą jest w W. Ks. Poznańskiem i na Śląsku; w dziesięcioleciu od 1885 r. do 1895 r. wynosiła ona na głowę rocznie 13 l (Lawes, Pelman), tymczasem gdy w Królestwie Saskiem konsumcya wódki wynosiła w czasie tym 6.4 l, w Bawaryi 2.7 l, a w Wirtenbergu tylko 1.8 l. Natomiast konsumcya piwa jest w Księstwie najmniejszą; w tym samym okresie czasu wynosiła tu rocznie tylko 24 l na głowę, gdy tymczasem w Królestwie Saskiem przypada rocznie 120 l, w Bawaryi 209 l, (w Monachium 545 l), a nadto 9 l wina, w Wirtenbergu 144 l piwa i 23 l wina na głowę. Jeżeli przyjąć, że wódka zawiera 50% alkoholu, piwo 4%, a wino 10%, to w krajach tych przy-

pada na 1 mieszkańca rocznie alkoholu absolutnego: w W. Księstwie Poznańskiem 7.46 l, w Królestwie Saskiem 8 l, w Wirtenbergu 8.96 l, w Bawaryi 10.6 l; w Szlezwiku Holsztynie, najtrzeźwiejszej prowincyi niemieckiej, gdzie ruch przeciwalkoholowy powstał najdawniej i gdzie działalność stowarzyszeń antyalkoholistów najlepszy odniosła skutek, w dziesięcioleciu od 1885 r. do 1895 r. przypada rocznie na głowę 5.1 l wódki i 59 l piwa, co wynosi 4.91 l alkoholu absolutnego; w całem zaś państwie niemieckiem konsumcya trunków wyskokowych w tym okresie wynosi przeciętnie: wódki 8.8 l, piwa 106.9 l., wina 5.7 l., co czyni 9.25 alkoholu absolutnego rocznie na 1 mieszkańca. Z powyższego zestawienia wynika, że alkoholizowanie się ludności w Księstwie, często wystawiane przesadnie przez autorów niemieckich, w rzeczywistości jest mniejsze o 19.45% od tego, jakie statystyka wskazuje dla ogółu krajów, składających państwo niemieckie. Pod względem konsumcyi alkoholu przypada W. Księstwu Poznańskiemu z 16 miejsc 11-ste, pomiędzy Austro-Węgrami a Holandyą. W konsumcyi alkoholu w Księstwie w porównaniu z wielu prowincyami o ludności niemieckiej ta tylko zachodzi różnica, że w Księstwie alkohol jest spożywany głównie w wódce, gdy tam głównie w piwie; ale i w wielu prowincyach o ludności przeważnie niemieckiej, konsumcya wódki nie jest mała; w okresie od r. 1885 do r. 1895 przypadało rocznie na 1 mieszkańca w Brandenburgu 12.8 l wódki, w Hanowerze, Brunświku, Oldenburgu 7.8 l, w prowincyach saskich, Turyngii 7.4, w Westfalii 7.2 l. Byłoby więc przesadą twierdzić, że pijaństwo grasuje w Księstwie w przerażający sposób; ale bądź co bądź konsumcya trunków wyskokowych jest tam stosunkowo znaczna. Należy jednak zwrócić uwagę na tę okoliczność, że w całem państwie niemieckiem przypada przeciętnie na głowę rocznie 9.25 l alkoholu absolutnego, a W. Księstwie Poznańskiem tylko 7.46 l, a zatem jest rzeczą wielce prawdopodobną, że do tak znacznej konsumcyi alkoholu w Księstwie wielce się przyczynia zamieszkała tam ludność niemiecka, która według danych urzędowych w r. 1900 stanowiła tam 40.2% ogółu ludności.

Konsumcya trunków wyskokowych w Królestwie Polskiem jest mniejsza jak w Galicyi i W. Księstwie Poznańskiem. Już w r. 1882 Dr. Rothe w pracy swej o alkoholizmie podnosił, że w szpitalach warszawskich ilość obłąkanych wskutek pijaństwa stanowi zaledwie 11.2% ogólnej ilości obłąkanych, gdy tymczasem gdzieindziej odsetka ta jest znacznie większą, i stąd wnosił, że nałóg pijaństwa nie jest w Królestwie bardzo rozpowszechniony. Nadto według Rothego konsumcya wódki w Królestwie Polskiem w ciągu dziesięciolecia 1872—1882 zmniejszyła się o $^1/_3$. Według statystyki podanej przez Dra Grigoriewa z Komisyi przeciwalkoholowej w Petersburgu, przytoczonej w pracy Bregmana „O leczeniu pijaków i walce z alkoholizmem", w okresie od r. 1883 do r. 1895 na jednego mieszkańca Królestwa Polskiego przypada rocznie 6.52 l wódki 40%; największa konsumcya wódki była w gubernii warszawskiej (12.68 l.), najmniejsza w gubernii płockiej (3.2 l). W czasie tym konsumcya wódki stopniowo, choć nierównomiernie się zmniejszała; w okresie od r. 1891 do r. 1895 wynosiła ona rocznie średnio 5.85 l, co odpowiada 2.34 l alkoholu absolutnego na głowę. Według danych opartych na statystyce urzędowej, jakie podaje Boczkowski w VIII tomie Encyklopedyi rolniczej w r. 1899, w Królestwie Polskiem, liczącem w r. 1893 232 czynnych browarów, które wyprodukowały 869.161 hl piwa, na 1 mieszkańca przypada 9.2 l. Jeżeli przyjąć liczbę tę za normę aproksymatywną dla okresu 1891—1895, to w czasie tym ilość alkoholu absolutnego, spożytego w wódce i piwie, jaka przypada rocznie na 1 mieszkańca Królestwa Polskiego, wynosi w przybliżeniu 2.71 l. Danych o konsumsyi wina w Królestwie nie posiadamy; podobnie jak w Galicyi i tutaj alkohol spożyty w winie nie może wybitnie powiększać konsumcyi alkoholu w kraju. W okresie od 1891 r. do 1895 r. przypada przeto Królestwu Polskiemu pod względem konsumcyi trunków wyskokowych miejsce *14-ste*, pomiędzy Szwecyą a Norwegią, czyli *trzecie z końca*, po Królestwie idą bowiem już tylko dwa najtrzeźwiejsze dziś kraje, Norwegia i Finlandya, przytem konsumcya alkoholu jest w Królestwie o bardzo niewiele większą jak

w Norwegii, gdzie wynosi ona 2.69 l, a znacznie mniejszą jak w Szwecyi, gdzie wynosi 4.50 l. W ostatnich latach konsumcya wódki w Królestwie Polskiem jeszcze bardziej się obniżyła; według sprawozdania zarządu akcyzy w r. 1900 na 1 mieszkańca Królestwa przypada 0.42 wiadra, czyli 5.46 l wódki 40%, co odpowiada 2.18 l alkoholu absolutnego, a w r. 1901 0.38 wiadra, czyli 4.94 l wódki 40%, co odpowiada 1.98 l alkoholu absolutnego. Z powodu stałego zmniejszania się konsumcyi wódki w Królestwie Polskiem z 26 założonych w Królestwie przez rząd monopolowych składów wódki zwinięto niedawno jeden skład w Mławie, a dzienniki zapowiadają zwinięcie w krótkim czasie jeszcze dwu innych składów.

Konsumcya piwa w Warszawie wynosiła według Boczkowskiego w r. 1893 19.1 l na 1 mieszkańca; w ostatnich zaś latach znacznie się zmniejszyła; od r. 1897 do r. 1901 ludność Warszawy wzrosła o 24%, a konsumcya piwa zmniejszyła się o 21.7%.

Chociaż pod względem konsumcyi trunków wyskokowych zajmujemy wśród narodów europejskich na szczęście bardzo skromne miejsce i fatalne skutki alkoholizmu nie grożą nam w tej mierze, co Francuzom, Belgijczykom lub Niemcom, to jednak i u nas trzeźwość ludności pozostawia jeszcze wiele do życzenia i znaczna poprawa w tym względzie jest jeszcze możliwą. Poprawa ta jest niezmiernie pożądaną nie tylko ze względu na ofiary, jakie społeczeństwo obecnie wskutek alkoholizmu ponosi, ale i ze względu na przyszłość. Wraz ze zrozumieniem doniosłości klęski, jaką stanowi pijaństwo, wszędzie, u wszystkich niemal narodów kulturnych, ujawnia się dążność do jej zmniejszenia; i my nie powinniśmy przeto zalegać tego pola, by nie ponieść stąd w przyszłości wielkich szkód moralnych i materyalnych. W walce nowoczesnej narodów cywilizowanych, prowadzonej głównie na polu ekonomicznem, wydajność pracy narodu i jej wartość są czynnikiem najważniejszym, zaś wydajność i wartość pracy zależą bezpośrednio od trzeźwości pracujących; stąd płynie wniosek, że w przyszłości narody trzeźwe będą musiały wziąć górę nad tymi, które nie przestaną się al-

koholizować. Bezstronni pisarze niemieccy, a niekiedy nawet i hakatyści przyznają, że niepomyślne dla Niemców wyniki akcyi eksterminacyjnej w Księstwie w znacznej części należy przypisać tej okoliczności, że miejscowa ludność polska trzeźwiejszą jest od kolonistów niemieckich. W walce ekonomicznej, jaka się u nas rozgrywa, zwłaszcza po wsiach, pomiędzy ludnością polską a żydowską, smutna w swych skutkach przewaga żyda nad polskim chłopem z pewnością z trzeźwością semitów w ścisłym stoi związku. Jednem słowem i u nas, skoro nauka zgubne następstwa alkoholizmu stwierdziła i w znacznej mierze wyjaśniła, obowiązkiem jest społeczeństwa rozważyć środki zmierzające do własnej poprawy pod tym względem, a zatem do zabezpieczenia sobie bytu w przyszłości.

Jak wiadomo, w Radzie Państwa opracowywa się obecnie ustawa przeciw opilstwu dla Monarchii Austryackiej. Już wyżej zaznaczono, że część przemysłowa projektu tej ustawy jest dla Galicyi niekorzystną; jej część karna jest wzorowana na ustawie, obowiązującej od r. 1877 w Galicyi i Bukowinie, która pod tym względem, zdaniem znawców stosunków miejscowych jest zupełnie wystarczającą; mały zaś pożytek, jaki dotychczas ustawa ta przynosiła, ma polegać na tem, że rzadko ją w praktyce stosowano, zwłaszcza w przewinieniach szynkarzy, na których osobiste kwalifikacye przy nadawaniu koncesyi małą dotychczas zwracano uwagę. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, społeczeństwo powinno się domagać, by ustawa przeciw opilstwu była ściśle stosowana w całej swej rozciągłości, nie tylko jej część przemysłowa, ale i ta część, która w Austryi ma głównie przeciwdziałać pijaństwu, t. j. jej część karna.

Wobec tego że jedną z bardzo powszechnych przyczyn pijaństwa stanowi ciemnota i nędza niższych warstw ludności, i u nas przeciwdziałają skutecznie temu nałogowi wszelkie instytucye i zarządzenia społeczne, mające na celu podniesienie oświaty i polepszenie bytu materyalnego najbiedniejszych. Można śmiało twierdzić, że ofiarność społeczeństwa naszego na cele publiczne wogóle jest wielka, w stosunku do środków materyalnych, jakimi rozporządzamy, może nawet bardzo wielka;

w tak biednym kraju jak Galicya, pozbawionym prawie zupełnie wielkiego przemysłu i handlu, coraz powstają towarzystwa i instytucye o charakterze filantropijnym, które do powyższego celu zmierzają. Nie wyliczając wielu takich instytucyi, jakie w kraju posiadamy, nie mogę nie wspomnieć o Towarzystwie tanich mieszkań dla robotników, powstałem w Krakowie z inicyatywy Dra Jordana, i podobnem Towarzystwie akcyjnem, jakie w ostatnich czasach powstało w Warszawie, oraz o jeszcze ważniejszej instytucyi tego rzędu, jaką Kraków poszczycić się może, to jest powstałym z inicyatywy i ofiarności tegoż dra Jordana parku, w którym młodzież szkolna i rzemieślnicza przez ćwiczenia cielesne i zabawy na wolnem powietrzu nie tylko tężeje fizycznie, ale i moralnie się podnosi, nabiera ochoty do rozrywek szlachetniejszych, a przez to zagłusza w sobie pociąg do rzeczy zdrożnych, a wśród nich i do kieliszka; od kilku lat ćwiczenia i zabawy młodzieży, wzorowane na urządzeniach krakowskiego parku Dra Jordana odbywają się w kilku prowincyonalnych miastach galicyjskich, a także w Warszawie w ogrodach imienia Raua. W ostatnich czasach założono herbaciarnię ludową w Krakowie, gospodę rzemieślniczą w Poznaniu; w Galicyi zawiązują się stowarzyszenia i czytelnie rzemieślnicze, które z pewnością odciągają ludzi od szynku. Niedawno Dr. Cichocki przedłożył marszałkowi krajowemu memoryał w sprawie założenia szkoły kucharskiej i wzorowej kuchni dla ludności wiejskiej. Życzyć przeto tylko należy, by jak najlepiej rozwijała się u nas ta ze wszech miar pożyteczna działalność szlachetnych jednostek i całego społeczeństwa, która między innymi błogimi skutkami pośrednio wpływa także korzystnie na zmniejszenie się pijaństwa kraju.

W roku zeszłym zawiązano u nas na wzór zagranicy trzy stowarzyszenia antyalkoholistów, oparte na zasadzie zupełnej wstrzemięźliwości od trunków wyskokowych. Działalność tych stowarzyszeń jest jeszcze za krótką, by można było dokładnie i sprawiedliwie skutki jej ocenić. Z dotychczasowych ich dziejów to jedno tylko widać, że nie wzbudziły one w szerszych kołach publiczności szczerego zainteresowania się alkoholizmem

i jego zwalczaniem, że nie wzrastają liczebnie tak jak stowarzyszenia zagraniczne, które coraz szersze koła ludności organizacyą swą obejmują, że słowem nie znalazły w społeczeństwie silniejszego oddźwięku. Nie sądzę, by główna przyczyna tego zjawiska leżała w samych stowarzyszeniach, w ich wewnętrznej organizacyi, a myślę, że szukać jej raczej należy poza stowarzyszeniami, w naturze i usposobieniu samego społeczeństwa. Wszelkie wogóle stowarzyszenia, szczególnie zaś stowarzyszenia o tle moralnem, których członkowie dążą do wewnętrznego doskonalenia się, zawiązują się u różnych narodów z rozmaitą łatwością; dość liczne w Wielkiej Brytanii, stowarzyszenia takie znajdują grunt już znacznie mniej podatny u narodów romańskich. Dobrowolne krępowanie się ustawą stowarzyszenia świeckiego o celach idealnych, mającego na swych członków wywierać wpływ umoralniający, nie przypada do usposobienia narodu o tak wybujałym indywidualiźmie jak nasz; nadto, szerokie masy ludności, zwłaszcza włościańskiej, z natury rzeczy zachowawcze, niechętnie przyjmują wszelkie inowacye, których potrzeba nie jest oczywistą. Dlatego też mniemam, że stowarzyszenia prywatne, których członkowie dla celów idealnych rozmyślnie muszą ograniczać swą wolę w rzeczach codziennego życia, nie są u nas środkiem właściwym do zwalczania alkoholizmu, a przeto, że z ich działalności, o ile ubocznym a szkodliwym celom nie służy, w zasadzie dobrej i gdzieindziej pożytecznej, u nas niewiele można sobie obiecywać.

Do zwalczania pijaństwa w naszem społeczeństwie obok dobrych ustaw, oraz różnych instytucyi filantropijnych, bezpośrednio czy pośrednio odciągających ludzi od kieliszka, najpotrzebniejszą wydaje mi się działalność, zmierzająca do pouczenia ogółu o szkodliwości i smutnych następstwach trunków wyskokowych, albowiem do dnia dzisiejszego ogół nasz nie zdaje sobie z tego sprawy i panują wśród niego niczem nie uzasadnione poglądy i wręcz przesądy w tej materyi.

Ludność inteligentna, zwłaszcza po miastach, ma możność poinformowania się o alkoholizmie czy to z publikacyi, czy z odczytów publicznych; zarówno jedne jak i drugie są u nas

pożądane, ale żeby na tę właśnie część ludności korzystny wpływ wywrzeć mogły, konieczną jest rzeczą, by publikacye i odczyty te w przedstawieniu rzeczy zarówno tyczących się alkoholizmu, jako też i spraw z nim związanych, były ściśle rzeczowe; wszelka bowiem stronniczość, a tem bardziej fanatyzm w tych kwestyach cały pożytek pouczenia o alkoholizmie łatwo zniweczy.

Znacznie trudniejszem jest pouczanie warstw nieinteligentnych, ludności roboczej po miastach, zwłaszcza zaś po wsiach, a pouczanie tych właśnie warstw ludności jest najpotrzebniejszem, gdyż alkoholizm najbardziej wśród nich jest rozpowszechniony. Pouczenie dorywcze, czy to przez przeczytanie książeczki o pijaństwie, czy też przez odczyt popularny, wobec ciemnoty, przesądów i własnego źle tłumaczonego doświadczenia, pożądanego skutku odnieść tu nie może. Sądzę, że zanim podniesie się kultura tych warstw, a z nią przyjdzie i prawdziwe zrozumienie szkodliwości trunków wyskokowych, pewne szanse skuteczności może mieć tylko pouczenie oparte na wierze, oraz pouczenie proste a dowodne, działające przez siłę przekonania pouczającego, które przytem płynie z różnych stron, a w wywodzie swym jest jednobrzmiące.

W walce z alkoholizmem działalność duchowieństwa wszędzie okazała się wielce skuteczną. Jest to okoliczność niezmiernie ważna ze względu na stosunki panujące u nas, gdzie kapłan dla swej działalności znajduje grunt bardziej podatny jak w wielu innych krajach. Nie brak nam i własnego doświadczenia w tym względzie, które wskazuje, że tam gdzie kapłan pijaństwo wśród ludu gorliwie zwalczał, najczęściej poprawa i to znaczna nastąpiła. Duchowieństwo jest przeto u nas powołane w pierwszym rzędzie do zwalczania pijaństwa; a zatem trzeba, by było do tej walki należycie uzbrojone. Należy, by obok nawoływania do trzeźwości z kazalnicy, kapłani mogli w osobistem zetknięciu się z ludem tłumaczyć mu wszystkie zgubne skutki nałogu; trzeba więc przedewszystkiem, by sami kapłani byli w tym przedmiocie podczas studyów swych dokładnie poinformowani. A zatem wprowadzenie w seminaryach duchow-

nych wykładów o działaniu alkoholu na organizm ludzki i społeczny, wykładów, któreby zapoznawały alumnów z istotnym stanem nauki w tym przedmiocie, wydaje się w naszych stosunkach postulatem najważniejszym.

Drugim czynnikiem, jaki w walce z pijaństwem nieocenione może oddać usługi, jest niewątpliwie szkoła; wychodząc z tego założenia, w wielu krajach pozakładano stowarzyszenia wstrzemięźliwości wśród młodzieży szkolnej, oraz takie same związki wśród nauczycieli. Zrozumiałą jest przeto rzeczą, jak ważnem byłoby pouczenie galicyjskich nauczycieli ludowych o alkoholu i jego działaniu; nauczyciel bowiem w przedmiocie tym dobrze zoryentowany i o szkodliwości trunków wyskokowych silnie przekonany nie tylko-by słowem swojem wpajał w dzieci przekonanie o konieczności trzeźwości, ale, co ważniejsza, zapewne często i własnym świeciłby im przykładem; przez dzieci zaś szkoła może trafić i do rodziców uczącej się młodzieży i wywrzeć na nich również wpływ zbawienny. Dlatego dokładne pouczenie o alkoholu uczniów seminaryów nauczycielskich lub kandydatów na nauczycieli ludowych wydaje się drugim ważnym postulatem w sprawie zwalczania alkoholizmu w Galicyi.

Wiadomą jest rzeczą, że służba wojskowa, zwłaszcza dla ludzi prostych, stanowi ważną epokę w życiu; wszelkie nauki i wydarzenia z tej właśnie epoki wywierają pewien wpływ na całe ich życie, niekiedy nawet wybitny. W niektórych armiach zagranicznych, jako środek mający zapobiegać pijaństwu, wprowadzono między innymi pouczanie żołnierzy o szkodliwości trunków wyskokowych, a sądząc z dotychczasowych relacyi, wyniki mają być dobre; dla ludności galicyjskiej byłoby przeto rzeczą nader pożądaną, ażeby i w armii austryackiej takie pouczanie żołnierzy zarządzono.

Gdyby powyższe postulaty miały kiedykolwiek w przyszłości się urzeczywistnić, włościanin czy robotnik polski w Galicyi miałby wszelką możność pouczenia się o szkodliwości trunków wyskokowych i częstą sposobność do zastanowienia się nad ich nadużywaniem; nauka udzielona w różnych życia okresach i z różnych źródeł pochodząca, uzupełniałaby się w nim,

utrwalała i niewątpliwie zbawiennie oddziaływałaby na niego samego i jego rodzinę.

Nie ulega kwestyi, że tak samo jak gdzieindziej, i u nas dobry przykład wyższych warstw społeczeństwa dla niższych byłby wielką dźwignią moralną i w zwalczaniu alkoholizmu ważną pomocą.

Wobec złego stanu ekonomicznego Galicyi, wypływającego stąd lichego odżywiania się, słabości fizycznej i niezdrowia jej ludności, ukrócenie pijaństwa w tym kraju jest bardziej potrzebnem jak gdzieindziej, zwłaszcza że pijaństwo w Galicyi jest stosunkowo dość rozpowszechnione; nałóg ten rozwinął się w Galicyi znacznie silniej jak w Królestwie Polskiem.

Bliższe omawianie sposobów zwalczania pijaństwa w naszym kraju nie wchodzi w zakres niniejszej pracy, sprawa ta wymaga bowiem osobnego studyum. Zaznaczając w głównych zarysach kierunek i te sposoby, jakie w mojem przekonaniu w naszych warunkach byłyby najwłaściwsze, to jedno tylko podnieść muszę, że w akcyi tej wydaje mi się rzeczą niebezpieczną, a nawet dla sprawy wręcz szkodliwą wszelka bezwzględność w żądaniach, jakie się innym stawia, zwłaszcza zaś przesada w przedstawianiu rzeczy, utrudnia ona bowiem niepomiernie powstanie u ludzi przeświadczenia, odpowiadającego istotnemu stanowi rzeczy. W każdej sprawie największą siłę przekonywającą mają argumenty ściśle rzeczowe. W walce z alkoholizmem argumentów takich nam nie brak; posługując się zaś tylko takimi argumentami, używamy broni, która wszędzie i zawsze ostatecznie zwycięża, broni, jaką stanowi prawda.

*Karol Klecki.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

### W sprawie Psychologii ks. d-ra Waisa.

**Odpowiedź na krytykę mojej Psychologii, napisaną przez p. prof. d-ra M. Straszewskiego [1].**

Niema chyba na świecie książki, któraby potrafiła zadowolić wszystkich: co jedni w niej chwalą, to drudzy ganią. Podobny los spotkał także moją Psychologię. P. Massonius twierdzi, że „II-gi tom tego dzieła uwydatnia jeszcze silniej, niż I-szy, zupełną nienaukowość stanowiska", a zdaniem p. A. Mahrburga, cała praca nawet „nie nadaje się do krytyki naukowej ze względu na swoje stanowisko kościelno-teologiczne". Natomiast ks. Pechnik widzi w Psychologii „niepoślednie zalety"; p. Straszewski wita ją „z prawdziwem uznaniem" jako „dzieło gruntownie opracowane, a przejęte duchem prawdziwie naukowym"; p. Drygas nazywa ją — zapewne zbyt pochlebnie — „znakomitą". Podobne sprzeczności spotykam u moich krytyków w szczegółach. Massonius np. mniema, że zaliczając psychologię do filozofii, „wypowiadam opinię, sprzeczną z dzisiejszym stanem nauki" — gdy Straszewski „za wielką poczytuje mi zasługę, iż stanowczo i z naciskiem bronię przynależności psychologii do filozofii". Drygas uważa podział książki za „logiczny aż do szczegółów" — według Straszewskiego „układ dzieła jest bardzo mało przejrzysty i niejasny". Drygas uznaje

[1] *Przegl. Powsz.*, kwiecień 1904.

razem ze mną pytanie, czy władze różnią się rzeczowo od duszy, za zasadnicze — Pechnikowi — zagadnienie to „przypomina poniekąd owe osławione rozprawy, w których lubowała się scholastyka późniejsza". Pechnik darzy mnie pochwałą za to, „że nie poprzestałem na samem opisywaniu i klasyfikacyi zjawisk duchowych, ale wysnuwam także z tych zjawisk wnioski racyonalne, dotyczące samej istoty duszy ludzkiej, i dowodzę, że ona musi być substancyą, której śmierć ciała nie zdoła zniweczyć" — Straszewski twierdzi, że pytanie o substancyalności duszy należy nie do psychologii, lecz do metafizyki. Jestem pewien, że gdyby krytyków przybyło więcej, liczba podobnych sprzeczności wzrosłaby znacznie; z czasem doszłaby może do tego, że każda moja teza miałaby pośród nich obrońców i przeciwników. I nie dziwić się temu. Wszak każdy krytyk ocenia rzecz podług zasad systemu, który uważa za prawdziwy, i stosuje do niej miarę swego własnego rozumu. W ten sposób sprawdza się co chwila przysłowie: *Quot capita, tot sensus.*

A przecież prawda jest tylko jedna! Co do mnie, nie utrzymuję, żeby w dziedzinie filozofii stanowiła ona wyłączny przywilej scholastyki; tem bardziej daleki jestem od zarozumiałego mniemania, jakoby w mej Psychologii nie było błędów. *Errare humanum est.* Mam atoli najgłębsze przekonanie, że z wszystkich systemów filozoficznych scholastyka zbliża się najwięcej do ideału prawdy, tudzież że większość zarzutów, podniesionych przez niektórych krytyków przeciw mej książce, jest nieuzasadniona i niesłuszna.

Ze zjadliwą i niegodną uczciwego literata oceną I-go i II-go tomiku mej Psychologii, napisaną przez p. Massoniusa, rozprawiłem się w dodatku, umieszczonym na samym końcu IV-go tomiku tegoż dzieła. Tutaj pragnę odpowiedzieć na najważniejsze zarzuty p. d-ra Straszewskiego, uczynione mi w ostatnim (kwietniowym) zeszycie *Przeglądu Powszechnego.* Znany filozof i zasłużony profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, lubo — jak sam powiada — nie należy do zwolenników kierunku nowoscholastycznego, przyznaje mej Psychologii (której zna tylko 3 tomiki), „zalety niemałe". Nie stawia jej jednak „na równi obok wybitniejszych dzieł obcych ze względu na bardzo poważne i liczne niedostatki".

Wstępny zarzut streszcza Krytyk w słowach, że nie zrozumiawszy wielu myśli zasadniczych dzisiejszej filozofii, „wojuję często z wiatrakami, t. j. walczę z poglądami, które różnym nowszym filozofom przypisuję, ale które na prawdę nie są ich poglądami". — Że w ducha

filozofii nowożytnej, t. j. rozmaitych jej kierunków, nie wniknąłem „równie dobrze“, jak wniknąłem w ducha scholastycznej, rzecz to całkiem naturalna. Niema pod słońcem myśliciela, któryby się rozumiał „doskonale“ na wszystkich systemach. P. Straszewski np. zna scholastykę, a jednak już na podstawie tego, co napisał na kilku kartkach *Przeglądu*, mogę łatwo wykazać, że nie zna jej doskonale, że nie zna jej równie dobrze, jak zna np. filozofię indyjską lub własny system. Sądzę wszakże, że wogóle walczę z poglądami, które rozumiem przynajmniej o tyle, o ile „na prawdę“ sprzeciwiają się moim przekonaniom. Nie chcę przez to powiedzieć, żebym nigdy pod tym względem nie zbłądził. Choć dokładałem sumiennych starań, aby myśl przeciwników należycie odgadnąć, choć radziłem się w tym celu poważnych autorów, mogło się zdarzyć, że kogoś zaliczyłem do szkoły lub że komuś podsunąłem myśl, do którejby się może sam nie przyznał. Przy tylu poruszanych kwestyach, przy tak rozmaitych zapatrywaniach, które się prawie w każdej z nich spotyka, wierne w każdym wypadku przedstawienie cudzych poglądów jest prawie czystem niepodobieństwem, tem bardziej, że sami autorowie wyrażają się nieraz niejasno. Ale to jeszcze nie znaczy, że „wojuję często z wiatrakami“. Zresztą mógłbym zbyć milczeniem cały ten zarzut już dlatego, że Krytyk nie przytoczył na poparcie swego twierdzenia ani jednego przykładu.

Powtóre przygania mi p. Straszewski, że przyznaję poza filozofią istnienie psychologii czysto empirycznej, a zajmującej się wyłącznie zjawiskami duchowemi, tudzież że według mnie pozostaje dla filozofii ta psychologia, „która przedewszystkiem zajmie się duszą i odpowie na pytania: czem jest dusza, jaki jej początek i koniec, czem my jesteśmy, skąd przychodzimy i dokąd idziemy?“ „W takim razie — powiada Krytyk — półtrzecia tomu mego dzieła także do filozofii nie należy, a prawdziwie filozoficzną psychologią byłaby księga druga, zajmująca mniejszą połowę tomu trzeciego. Tymczasem właśnie ta druga księga nie jest psychologią, lecz metafizyką“.

Rozpocznę odpowiedź od określenia filozofii. Otóż przez filozofię rozumiem umiejętność wszechrzeczy, badającą gruntownie ich pierwsze, względnie ostateczne przyczyny. Stąd nawet szczegółowe umiejętności przybierają charakter filozoficznych, gdy w badaniach swoich dociekają przyczyn coraz głębszych i dochodzą do prawd coraz ogólniejszych; tak np. istnieje filozofia fizyki, filozofia matematyki, fizyologii, prawa, historyi. I przeciwnie, można długo i szeroko rozprawiać o zagadnieniach, któremi się zajmuje także filozofia, a przecież nie być filozofem;

niekażda np. książka, ucząca o Bogu, o moralności lub pięknie, jest filozofią, choć teodycee, etykę i estetyką zaliczamy do nauk filozoficznych. Dlaczegożby tedy poza filozofią nie mogła istnieć psychologia? Istnieje nawet — powtarzam — rzeczywiście, ile razy przedstawia wyłącznie „zjawiska duchowe“, t. j. opisuje je tylko i klasyfikuje, a nie wnika w ich głębsze i dalsze przyczyny, które często uważa za niepoznawalne, tudzież wyklucza poznanie natury duszy i człowieka. Kiedyż więc psychologia jest filozoficzną umiejętnością? Wtedy, gdy badając połączoną z ciałem duszę, szuka przyczyn coraz wyższych i ogólniejszych, a w końcu wskazuje pierwsze, gdy nie poprzestaje na objawach życia ludzkiego, ale dociera do ich bezpośrednich pierwiastków, t. j. władz, gdy śledzi ich istotę, ich wzajemną zależność oraz ich stosunek do duszy i ciała, gdy z czynności i władz przechodzi do wniosków, dotyczących istoty samej duszy, gdy rozbiera stosunek duszy do ciała, odsłania naturę człowieka, jego początek i pierwowzór, cel i przyszłość. Takie jest podług mnie zadanie psychologa jako filozofa. Zaznaczyłem to najpierw ogólnie na 3 str. I-go tomu, a potem przypominałem częściowo w odpowiednich miejscach (np. t. I, str. 13, 58 i 59; t. III, str. 124 i 125; t. IV, str. 15). Czy ten plan przeprowadziłem konsekwentnie? Sądzę, że najzupełniej. Nie tylko część tomu III-go i nieznany Krytykowi tom IV-ty, lecz także reszta dzieła jest filozofią. Półtrzecia tomu nie poprzestaje na przedstawieniu „zjawisk duchowych“, ale wskazuje także ich przyczyny matefizyczne i pozostaje ciągle w ścisłej łączności z ostatecznemi zagadnieniemi metafizyki psychologicznej.

Tak jest, psychologię można tylko wówczas uważać za umiejętność filozoficzną, gdy bada swój przedmiot filozoficznie, t. j. *per ultimas causas*, jak mówili starzy. Więc nie jest ona jeszcze filozofią przez to samo, że się różni od nauk przyrodniczych i historyczno-społecznych, że należy do „grupy nauk, która się światem wewnętrznym zajmuje“, albo że — jak gdzie indziej pisze p. Straszewski („O filozofii i filozoficznych naukach“, Kraków 1900, str. 34) — „bez niej wszelkie badania, odnoszące się do faktu wiedzy, byłyby niemożliwe“.

Czy tedy pytanie o naturze duszy, któremu poświęciłem drugą księgę dzieła czyli raczej pierwszą jej część, trzeba wykreślić z psychologii, a przenieść do osobnej nauki filozoficznej, do metafizyki? Możnaby ostatecznie i tak uczynić, ale nie widzę powodu, dla któregoby koniecznie tak uczynić należało. Powoływanie się Krytyka na fizykę, która przyjmując istnienie materyi, nie pyta, czem ona jest sama

w sobie, lecz pozostawia to zagadnienie metafizyce, przemawia nawet przeciw owej konieczności, gdyż fizyka jako taka nie jest filozofią. Nadto i nazwa i systematyczna całość psychologii domagają się, aby sama psychologia, a nie dopiero odrębna metafizyka, badała istotę duszy. Toż słusznie przeważna większość filozofów, uznających substancyalność duszy, uważa psychologię za część metafizyki szczegółowej, ogólne zaś kwestye metafizyczne odsyła do ontologii, t. j. metafizyki ogólnej.

Już z powyższych uwag wynika, że wcale nie „dałem się — jak mi następnie zarzuca Krytyk — zbałamucić Wolffowi“ i że „nie przyjąłem jego podziału na psychologię empiryczną i racyonalną“. Świadczy także o tem cała 7 stronica (t. I), a w szczególności następujące słowa: „Nie chcąc tedy oddzielać doświadczenia od rozumowania, pozostajemy przy d a w n y m sposobie traktowania przedmiotu“. Podobnie niesprawiedliwie spotyka mnie zarzut, że mówiąc o podziale, wprowadzonym do psychologii przez Wolffa, mieszam błędnie psychologię empiryczną z eksperymentalną. Wiemci ja dobrze (t. I, str. 47; zob. także str. 10), że od czasu Lotzego, Webera, Fechnera i Wundta zowią zwykle, zwłaszcza w Niemczech, psychologią eksperymentalną czyli doświadczalną tę, która się posługuje sztucznie przez badacza robionem doświadczeniem, sądzę atoli, że i psychologii empirycznej wogóle można słusznie nadać tę nazwę. Właściwe bowiem znaczenie wyrazów: ἐμπειρία, *experientia, experimentum* — jest, jak poucza słownik, to samo. Stąd nie tylko ja, lecz także inni filozofowie, zaznaczając przeciwieństwo, zachodzące między psychologią empiryczną i racyonalną, nadają pierwszej miano eksperymentalnej. Wymieniam dla przykładu T. Pescha, Blanca, Boiraca [1], Fonsegrivea [2], Rabiera [3] i Rayota [4]. Nie koniec na tem; mniemam, że się myli p. Straszewski, mówiąc, że Wolff „najlżejszego nawet nie miał wyobrażenia“ o psychologicznym eksperymencie (sztucznym). Wprawdzie mniemania tego nie mogę poprzeć cytatami, wziętemi wprost z książki Wolffa, należącej dziś do rzadkości, ale więcej tutaj wierzę tak wielkiemu znawcy historyi filozofii, jakim jest Fr. Ueberweg, aniżeli Krytykowi. Otóż autor ten przedstawia zapatrywanie filozofa z Halli na psychologię w tych słowach: „Psychologia jest albo empiryczna albo racyonalna... Pierwsza

[1] „Zasady filozofii“ (tł. Dygasińskiego), Warszawa 1891, str. 12.
[2] *Éléments de philosophie. I. Psychologie*, 3 wyd., Paryż 1890, str. 20.
[3] *Psychologie.* Paryż 1898, str. 10.
[4] *Leçons de psychologie.* Paryż, bez r. wyd., str. 3 i n.

ma odpowiadać fizyce eksperymentalnej, a więc stosować eksperymentalne metody nauk przyrodniczych do badań nad duszą“ [1]. Jeśli te słowa Ueberwega są prawdziwe, to p. Straszewski jest w błędzie.

„Prof. Wais — ciągnie dalej Krytyk — widocznie nie wyrobił sobie dokładnego... (str. 9) wyobrażenia o tem, czem jest doświadczenie, a czem rozumowanie, skoro pisze, że w psychologii doświadczenie i rozumowanie winny iść ze sobą w parze, chociaż łatwo być może, że raz jeden, drugi raz drugi czynnik przeważa... Przecież doświadczenia naukowego, któreby nie było aktem rozumowania, niema wcale... Nauka, któraby nie była badawczem rozpoznawaniem faktów, lecz jakiemś rozumowaniem na wiatr, nie mogłaby zasługiwać na nazwę nauki“.

Nie twierdzę nigdzie, żeby doświadczenie naukowe mogło się obejść bez jakiegokolwiek rozumowania, lub żeby rozumowanie mogło istnieć niezależnie od wszelkiego doświadczenia. Stąd też, jak sam Krytyk przyznaje, zaznaczam, że i „w psychologii — a o niej tylko w miejscu wskazanem mówię — doświadczenie i rozumowanie (spekulacya) winny iść z sobą w parze“. Jest jednak dla mnie rzeczą oczywistą, że nie każda nauka posługuje się w równym stopniu doświadczeniem i rozumowaniem. Fizykowi np. nie wolno ani na chwilę tracić z oczu faktów, czyli zjawisk fizycznych, gdy matematyk, doszedłszy przy pomocy doświadczenia do pewnych prawd zasadniczych (por. t. II, str. 177 i n.), może potem, niezależnie od faktów i doświadczenia, wysnuwać drogą czysto racyonalnej dedukcyi coraz to nowe wnioski, może rozwiązywać zagadnienia, którym w naturze nie odpowiadają żadne fakta, o których nic nie mówi żadne doświadczenie. Czy przy dowodach matematycznych i geometrycznych używamy cyfr lub głosek i figur jako faktów? Czy matematyk, rozprawiający o przestrzeni czterowymiarowej, pięciowymiarowej i t. d., o przestrzeni, której sobie nawet wyobrazić nie potrafimy, rozumuje na wiatr lub jest nieukiem?

Zarzutowi, dotyczącemu źródeł psychologii, przyznaję słuszność o tyle, że pierwszorzędnem źródłem nie są „fakta, zgromadzone przez obserwacyę wewnętrzną i zewnętrzną“, ale odwrotnie wewnętrzna i zewnętrzna obserwacya, o ile dostarczają faktów. Sam też zaznaczam w książce, że „źródła podają materyę“; również wszystko, co w odnośnem miejscu (str. 17 i n.) piszę, dotyczy w rzeczywistości obserwacyi,

---

[1] *Grundriss der Geschichte der Philosophie der Neuzeit*, t. 1, wyd. 8, Berlin 1896, str. 196.

a nie faktów. Bez wszelkich zaś zastrzeżeń odwołuję twierdzenie, jakoby poświęcone psychologii dzieła stanowiły jej źródło.

Inna rzecz z metodami. „Prof. Wais — powiada tu najpierw Krytyk — utożsamia metodę syntetyczną z tem, co nazywa także metodą racyonalną, idealistyczną, dedukcyjną lub *a priori*. Wszystko są to określenia niewystarczające, a mogące posłużyć tylko do zamącenia poglądów". — Nie piszę metodologii i dlatego nie jestem obowiązany tłómaczyć szeroko, dlaczego i o ile metoda syntetyczna nosi nazwę (nie nadaną jej zresztą po raz pierwszy przezemnie) racyonalnej, idealistycznej, dedukcyjnej lub *a priori*. Określenia te zrozumie łatwo każdy, gdy w tem samem i w następnem zdaniu wyczyta, że „wyłącznie tej metody trzymają się ci, którzy, lekceważąc empiryę, posługują się samym rozumem" i wysnuwają psychologię „z pewnych ogólnych zasad". Kładąc zaś obok siebie powyższe określenia, nie mówię jeszcze tem samem, żeby w poszczególnych wypadkach nie było między metodą syntetyczną a racyonalną — podobnie między analityczną a empiryczną — żadnej różnicy; lecz o tę różnicę tutaj nie chodzi. Powiem nawet więccj, niż powiedział p. Profesor. Oto z różnych punktów widzenia, można ten sam sposób postępowania nazwać analitycznym lub syntetycznym i dlatego tam, gdzie jedni widzą analizę, drudzy upatrują syntezę.

I znowu jest w błędzie p. Straszewski, gdy w dalszym ciągu twierdzi: „przyzna mi każdy znawca metodologii, że empiryzm lub racyonalność nie oznacza metody, lecz źródła". — H. Struve („Wstęp krytyczny do filozofii", Warszawa 1896, str. 550), należący bezsprzecznie do znawców metodologii, nazywa racyonalizm i empiryzm „zasadniczymi kierunkami m e t o d o l o g i c z n y m i" i uważa Bakona „za ojca m e t o d y e m p i r y c z n e j". Co więcej, sam Krytyk wypowiada w przytoczonej już wyżej rozprawie „O filozofii" (str. 20) — zdanie, że dla idealistów XVII wieku „była rozumowa spekulacya (więc „racyonalność"), której najpiękniejszy wzór upatrywali w matematyce, jedyną prawdziwie umiejętną m e t o d ą". Rozgraniczenie zatem między źródłem a metodą nie posuwa się tak daleko, jak się w tej chwili wydaje Krytykowi. Racyonalizm czy empiryzm oznacza pod różnym względem źródło lub metodę: oznacza źródło, o ile dostarcza materyału racyonalnego czy empirycznego — oznacza metodę, o ile jest drogą i sposobem postępowania przy nabywaniu i rozpatrywaniu tegoż materyału. Ta styczność źródła i metody sprawia również, że niektórzy psychologowie zaliczają obserwacyę wewnętrzną i zewnętrzną

wprost do metod. Tak np. Rayot (dz. przyt., str. 18) nazywa refleksyę, czyli introspekcyę „właściwą metodą“ psychologii. Według Jodla *(Lehrbuch der Psychologie,* Stuttgart 1896, str. IX i 9) *Selbstwahrnehmung* stanowi zasadniczą metodę psychologiczną. *Ebbinghaus (Grundzüge der Psychologie,* Lipsk 1897, str. 57) zowie *Selbstbeobachtung* i *Beobachtung anderer* metodami — *Forschungsmethoden.* Podobnie czyni Rabier i Sully. „Istnieją — pisze ostatni („Umysłowość ludzka“, tł. Potockiego, Warszawa 1897, tom I, str. 17) — dwa ź r ó d ł a wiedzy psychologicznej, albo dwie d r o g i, jakiemi możemy zbliżyć się do psychologicznych faktów. Najprzód możemy obserwować je tak, jak się przedstawiają nam w naszym własnym duchu... Jest to p o d m i o t o w e b a d a n i e ducha. Albo też możemy śledzić duchowe sprawy innych, o ile objawiają się nam na zewnątrz... Ten s p o s ó b badania... jest p r z e d m i o t o w y“. Jak tedy nie ma Krytyk słuszności, gdy odrzuca metodę racyonalną i empiryczną, tak też bezpodstawnie twierdzi, że nie można „nigdy wymieniać metody podmiotowej i przedmiotowej“, z których pierwsza „posługuje się świadomością czyli raczej introspekcyą“, a druga obserwacyą zewnętrzną. Obok Sullego (zob. także str. 28) nazywają tę metodę po imieniu Rayot (dz. przyt., str. 21), Jodl (dz. przyt., str. 9, 11, 13, 14) i Külpe *(Grundriss der Psychologie,* Lipsk 1893, str. 8). I nigdzie nie czytałem, żeby jakiś poważniejszy Krytyk czynił im z tego powodu zarzut.

Również niesłusznie przygania mi p. Straszewski, że metodę eksperymentalną w ścisłem znaczeniu zowię fizyologiczną. Znowu nie ja sam nadaję jej tę nazwę; nadali ją przedemną bardzo poważni uczeni, jak np. Pesch *(Institutiones psychologicae,* Fryburg 1896, t. I, str. 28) i Sully (dz. przyt., str. 35, 36 i 37). I nie bez podstawy. Skoro bowiem — jak świadczy Wundt *(Grundriss der Psychologie,* Lipsk 1897, str. 28) — „zastosowaniu metody eksperymentalnej w psychologii dały pierwotnie początek sposoby postępowania, używane w fizyologii, a mianowicie w fizyologii narządów zmysłowych“, przeto można metodę eksperymentalną nazwać fizyologiczną, tak jak psychologia eksperymentalna nosi również miano fizyologicznej.

Obstaję też nadal przy twierdzeniu następującem: „Niektórzy empiryści, korzystając z metody eksperymentalnej (za Fechnerem, Weberem, Lotzem i innymi) wyłącznie, tak ślepo w nią wierzą że odrzucają świadectwo czystej samowiedzy *(reine Selbstbeobachtung)...* W tym kierunku idzie w zasadzie szkoła Wundta“. „Fechner — powiada na to p. Straszewski — a szczególnie Lotze świadectwa samowiedzy wcale

nie odrzucali". Ależ nie obwiniam o to wcale ani Fechnera, ani Lotzego. Twierdzę tylko, jak każdy widzi, że niektórzy empiryści, posługując się za Fechnerem i Lotzem metodą eksperymentalną, odrzucają świadectwo czystej (dlaczego Krytyk opuścił to słowo?) samowiedzy, że tego kierunku trzyma się w zasadzie szkoła Wundta. A czy w tem rozmijam się z prawdą? Czyż Wundt (*Essays*, Lipsk 1885, str. 136; *Grundzüge der physiologischen Psychologie*, wyd. 4, Lipsk 1893, t. I, str. 4) nie uważa czystej samowiedzy, t. j. samowiedzy bez eksperymentu, za rzecz niemożliwą? Dowiaduję się potem z krytyki, że metoda analityczno-syntetyczna „nie tylko nie jest od dawna znaną, ale nie istnieje wcale i nie może istnieć tak samo, jak niemożliwe jest koło okrągło-kwadratowe lub woda płynno-stała". — Niezawodnie, koło kwadratowe mieści w sobie coś wprost niemożliwego; podobnie za niedorzeczność uważa cały świat „mniejszą połowę", o której pisze na str. 102 mój Krytyk. Jeżeli atoli ktoś posługuje się analizą i syntezą nie „równocześnie" (to słowo podsuwa mi p. Straszewski), ale tak, że rozpoczyna od analizy, a kończy na syntezie, to w postępowaniu tem niema nawet cienia sprzeczności. I dlaczegóż — pytam — rozumianej w ten sposób metody nie można nazwać analityczno-syntetyczną? Czy nie istnieją inne nazwy analogiczne? Czy filozofowie nie mówią np. o kierunku empiryczno-idealnym, w którym jak uważa ks. Morawski („Filozofia i jej zadanie", wyd. 2, str. 44), „empirya będzie punktem wyjścia, podwaliną, rozumowanie zaś gmachem". Owszem, gdyby p. Straszewski znał lepiej scholastykę, musiałby mi przyznać, że nazwa metody analityczno-syntetycznej nie jest nową, że jej używało i używa wielu filozofów. Czyżby to było możliwe, jeśliby mieściła w sobie rzeczywistą sprzeczność?

Jeszcze jeden ważniejszy zarzut, dotyczący metody: „zasadniczą czynnością metody indukcyjnej — powiada Krytyk — ma być według autora obserwacya, przypuszczenie i sprawdzenie... Wiemy z poprzedniego, że metoda indukcyjna i analityczna, to u naszego autora to samo; na str. zaś 14-stej pisze, że przypuszczenie, to domysł, czyli hipoteza. Wynika z tego, że tworzenie hipotez jest czynnością indukcyjną, czyli analityczną. Otóż wbrew takiemu twierdzeniu staje jeden z najoczywistszych pewników metodologicznych, t. j. że hipoteza jest zawsze wynikiem czynności syntetycznej, jej sprawdzenie zaś nie jest nigdy indukcyą". — Na to tak odpowiadam: Najpierw zaczynam podejrzywać Krytyka o złą wiarę. Nie twierdzę bowiem wcale, że obserwacya, przypuszczenie i sprawdzenie są zasadniczemi czynnościami

tylko metody indukcyjnej“ (str. 13 i 14). Powtóre nie jest prawdą, jakoby „hipoteza była zawsze wynikiem czynności syntetycznej“. Przeciwnie, skoro podług mnie (str. 9) analiza „rozpoczyna od skutku lub szczegółu, a kończy na ogóle i przyczynie“ to niema wątpliwości, że hipoteza stanowi wynik analizy czyli indukcyi. Po trzecie nie jest prawdą, jakoby sprawdzanie hipotezy „nie było n i g d y indukcyą“. Sprawdzanie bowiem tego rodzaju może się odbywać dwojako: jużto przy pomocy nowych obserwacyi i doświadczeń, a więc indukcyjnie, jużto przez wykazanie zgodności, zachodzącej między znanemi skądinąd prawdami a wnioskami, dającemi się wysnuć z hipotezy.

Wobec tego, co się rzekło, nie potrzebuję zbijać osobno paru powtarzających się zarzutów na str. 107. Dodam tylko, że metody porównawczej nia uważam wcale za „najważniejszą“, jak to czyni mój Krytyk. Milczy też o niej wielu „dzisiejszych“ psychologów; zresztą mówiąc o źródłach, a mianowicie przedstawiając szerokie pole obserwacyi zewnętrznej, kończę dotyczący ustęp zdaniem: „Jednem słowem, psychologia jest obecnie więcej, niż kiedy indziej, porównawczą“ (str. 18). Pomijam też zarzut, że przedstawiając za Mercierem rozwój nowoczesnej psychologii, wpadam razem z nim „w te same niedokładności i błędy“. Ponieważ słowa te nie są niczem poparte, przeto zbywam je tylko przypomnieniem zasady: *Quod gratis asseritur, gratis negatur.* Przeczę również krótko następującemu twierdzeniu p. Straszewskiego: „Wszystko, co później (po św. Augustynie) średniowieczni uczynili dla psychologii, nie może nawet w przybliżeniu (?!) mierzyć się z tem, czego dokonał Augustyn“. Wielbię geniusz św. Augustyna, ale żadną miarą nie mogę się zgodzić na te słowa Krytyka.

Przechodzę do „sprawy najważniejszej“, do oceny „teoryi o istnieniu władz duszy rzeczowo od niej różnych“. Jest to największy kamień obrażenia dla pp. Straszewskiego i Massoniusa. Tymczasem właśnie ten punkt krytyki opracowali obaj najsłabiej.

Jeżeli już Krytyk chciał zbijać powyższą teoryę, powinien był rozstrząsnąć po kolei wszystkie cztery podane przeze mnie w jej obronie dowody, i wykazać, że żaden z nich nic nie wart. Powiadam: „żaden“, bo jak długo choćby jeden oprze się krytyce, tak długo uważam się za niepokonanego. Gdyby się przeprowadzenie tego planu p. Straszewskiemu udało, nie pogrzebałby wprawdzie tem samem teoryi władz, gdyż są jeszcze inne — przyznaje to sam — dowody, o których można przypuścić, że coś są warte, ale wykazałby przynajmniej nicość moich uzasadnień. Lecz cóż robi Krytyk? Strzela do mnie najczęściej

z za płotu, a zawsze tak niezręcznie, że nie mogę się temu dość nadziwić. Pominąwszy zupełnie pierwszy i trzeci dowód, zaczepił drugi i czwarty, ale jak? Przypatrzmy się bliżej!

„Do jakiego stopnia — powiada p. Straszewski przy mojem drugiem uzasadnieniu — jest autor nasz nieostrożny, dowodzi najlepiej zdanie następujące: Rzeczy, które różnią się realnie między sobą, nie mogą być identyczne z tą samą trzecią rzeczą; lecz władze duszy różnią się rzeczowo między sobą, więc nie identyfikują się z duszą, czyli różnią się od niej. Już samo zestawienie rzeczy z władzami duszy i z duszą, to przecie bardzo niebezpieczne. Jakto, więc władze duszy to rzeczy, dusza to rzecz? a dalej co to znaczy: władze duszy różnią się między sobą co do rzeczy? Doprawdy nie dziwiłbym się wcale, gdyby materyaliści skrajni ogłosili z tryumfem prof. Waisa za zwolennika ich doktryny". — Czy to ma być zbicie mego uzasadnienia? Sam Krytyk w to nie wierzy, skoro mnie wini tylko o „nieostrożność" i o narażanie się na niebezpieczeństwo. Atoli ani do tej winy się nie poczuwam. Gdyby p. Straszewski wziął do ręki pierwszy lepszy podręcznik filozofii scholastycznej, przy której pozwala mi „stać twardo", przekonałby się, że wszelki byt utożsamia się realnie z rzeczą. Innemi słowy, byt *(ens)* znaczy to samo, co rzecz *(res)*; w ten sposób nawet najwyższy byt, t. j. Boga, mogę nazwać rzeczą. A jeśli Boga, to tem bardziej duszę lub jej władzę. Czy Krytyk ogłosi dlatego wszystkich scholastyków za zwolenników materyalizmu? Ale p. Profesor nie może jeszcze pojąć, co to znaczy: „władze duszy różnią się między sobą co do rzeczy". Ja sądzę, że słowa te zrozumie każdy przeciętnie wykształcony człowiek. Mówią one, że władze nie są tą samą rzeczą, że jedna władza jest jedną rzeczą czyli jednym bytem, a druga drugą rzeczą, drugim bytem, że wzrok np. nie jest rozumem. Dlaczego zresztą Krytyk użył przedtem (str. 108, w. 5 z dołu) podobnego zwrotu, jeśli nie rozumiał, co to znaczy różnić się co do rzeczy? Szukam w krytyce innych zarzutów przeciw temu dowodowi, przeciw większej i mniejszej przesłance, lecz napróżno. Bo przecież nie mogę uważać za zarzut powiedzenia, że i Haeckel i wszyscy jemu podobni rozprawiają o duszy. Cały tedy mój drugi dowód stoi nietknięty.

Przy czwartym odrzuca p. Straszewski pierwszą część mniejszej przesłanki: dusza, uważana sama w sobie, jest od początku swego istnienia zawsze w równym stopniu doskonałą i niezmienną. „Doświadczenia najzwyklejsze" — zauważa przeciw temu Krytyk — pouczają nas, że życie duchowe jest to ciągły proces wewnętrzny, ciągła czynność,

rozwój, doskonalenie się i przechodzenie ze stanu bardzo nierozwiniętego na stopnie coraz wyższe". Dusza, odpowiadam na to, u w a ż a n a s a m a w s o b i e, jak wyraźnie piszę, czyli w swej substancyalnej istocie jest rzeczywiście niezmienna i zawsze w równym stopniu doskonała. Gdyby się jej istota jako taka zmieniła, dusza przestałaby być tem, czem była, t. j. istota jej stałaby się inną istotą. Że zaś niema w duszy takich zmian substancyalnych, że moje „ja" dawniejsze nie przedzierzgnęło się w inne „ja" dzisiejsze, istotnie różne, mówi mi o tem świadomość: jestem obecnie co do istoty tym samym człowiekiem, którym byłem przez dziesięciu laty (zob. t. III, str. 128—134). Ale co innego niezmienność co do substancyalnej istoty, a co innego niezmienność co do przypadłości, a mianowicie co do działania. Choć istota duszy jako taka nie ulega żadnym zmianom, czynności jej zmieniają się bez przerwy. Pod tym tedy względem życie duszy jest rzeczywiście ciągłym procesem, doskonaleniem się i rozwojem. Ale Krytyk tak powie w tem miejscu: gdyby dusza była zawsze niezmienną, „wynikałoby z tego, że nasze rozwijające się życie duchowe nie jest życiem duszy niezmiennej, a więc to nie ona żyje i rozwija się, to nie ona działa..." — Owszem, jakkolwiek dusza ani nie działa sama przez się, ani sama w sobie się nie rozwija, jednak i życie, o ile jest czynnością i działanie władz ostatecznie do niej należą, z niej wypływają, bo substancya duszy jest pierwszym i głównym podmiotem oraz pierwiastkiem wszelkiej czynności. Stąd odwieczna zasada: *actiones sunt suppositorum*. Bez duszy ani władze, ani czynności nie mają racyi bytu. Gdyby wobec tego, co tu powtórzyłem, pytał mnie jeszcze p. Straszewski: „na cóż dusza potrzebna?" miałbym prawo do postawienia mu równie mądrego pytania: po co krytyk do pisania krytyki, skoro pióro pisze?

Wie dobrze p. Profesor, że tak pojmuję i uzasadniam tę „potrzebę" duszy. Wszak mówi na poprzedzającej stronicy: „Tu autor wpadnie mi zaraz w słowo i zawoła: dusza potrzebna, gdyż ona to właśnie jest tą substancyą, która posiada władze i niemi rozporządza". I cóż mi na to odpowiada p. Straszewski? Nic, zgoła nic. Zamiast zbijać twierdzenie, które sam w mojem imieniu postawił, zabiera się do użytego przezemnie porównania: „Obrazowo — powiada — autor nasz sprawę całą tak przedstawia: Duszę możemy porównać z pniem drzewa, władzę jej z gałęziami, a czynności z owocem. Więc pniem byłaby sama dusza ludzka, jedną z gałęzi np. wzrok, drugą rozum i t. d., jednym z owoców widzenie, drugim myślenie i t. d. Otwarcie wyznaję — są słowa

Krytyka — że gdym to porównanie w książce prof. Waisa odczytał, mimowoli odwróciłem kartkę i spojrzałem na tytuł, ażali nie pomyliłem się przypadkiem co do autora. Boć przecie najskrajniejszy materyalista nie mógłby lepszego użyć porównania!" I ja, przeczytawszy ostatnie zdanie p. Straszewskiego, odwróciłem trzy kartki *Przeglądu*, aby się przypatrzyć dobrze podpisowi recenzenta, gdyż nie chciałem wierzyć, żeby p. Straszewski, który to moje przedstawienie uznaje sam za obrazowe, mógł mnie z tego powodu pomawiać o materyalizm. Bo jeśli prawdą jest, że najskrajniejszy materyalista nie mógłby użyć lepszego porównania, to także prawdą być musi, że wszystkie porównania, wzięte z rzeczy materyalnych a zastosowane do duchowych lub oderwanych, świadczą o najskrajniejszym materyalizmie. Snadź zapomniał Krytyk o znanem przysłowiu, które powiada, że każde porównanie kuleje. Odpowiedź ta wykazuje także bezpodstawność zarzutu, dotyczącego porównania, którego użyłem na str. 55 (zarzut 2). Szkoda czasu rozwodzić się nad tem dłużej.

Tem ciekawsze są zarzuty przeciw innym moim twierdzeniom lub teoryi władz wogóle. Objaśniając znaczenie zagadnienia: czy w duszy są władze rzeczowo od niej różne? piszę tak: „używamy następujących zwrotów: widzimy zwrokiem, słyszymy słuchem, myślimy rozumem, chcemy wolą i t. p. Owóż zachodzi pytanie, czy wzrok, słuch, rozum i wola, które nazywamy władzami duszy, różnią się co do rzeczy od niej samej". Z tych słów wysnuwa Krytyk taki wniosek: „W i ę c musi być ten rozum jakimś osobnym organem, tak samo jak słuch... W i ę c w takim wypadku m u s i tak rozum, jak i wola być także czemś fizyologicznem... Z takich oto twierdzeń cóż wynika? Oto najskrajniejszy materyalizm". Aż podskoczyłem ze zdziwienia. Te dwa „w i ę c" p. Straszewskiego mogą, mojem zdaniem, posłużyć dla profesora logiki za świetny okaz rozumowania, w którem między przesłankami a wynikiem niema najmniejszego związku. Czyż bowiem z wyliczania, lub z zestawiania obok siebie rozmaitych rzeczy, m u s i wynikać że one nie różnią się między sobą istotnie lub że należą do tej samej kategoryi? Jakżeż, że człowiek myśli, koń czuje, dąb rośnie można przejść do wniosku: a więc człowiek jest koniem, bo myśli tak samo, jak koń czuje? A przecież powyższe rozumowanie Krytyka jest pod względem logicznym kubek w kubek podobne do tego. Czy — pytam ja — „rozważył" p. Profesor, co napisał?

Inny zarzut: „Prof. Wais... przedstawia życie duchowe jako jakiś rzeczowy organizm, jako grupę jakichś odrębnych co do rzeczy bytów.

Tu na nic się nie przyda dowodzenie, że władza to *potentia*, a dusza, to *principium primum*. Albo władza ma, podobnie jak gałąź drzewa, byt samoistny, choćby nawet z duszą złączony, a w takim razie jedność życia duchowego, a z nią także jedność pierwiastka duchowego przepada, albo władza jest tylko abstrakcyjnym wyrazem pewnych stanów i działań duszy". — Każde zdanie Krytyka wzięło rozbrat z prawdą. Nie upadłem jeszcze na głowę, żebym życie duchowe przedstawiał jako rzeczowy organizm, jeśli „rzeczowy" ma znaczyć to samo, co rzeczywisty. Nie przedstawiam go jako grupę bytów i nie rozumiem nawet, jakby ktoś mógł uważać życie za jakąkolwiek grupę; tem mniej uważam je za grupę bytów „odrębnych". Nie „udowadniam" też wcale, że władza to *potentia*, a dusza to *principium primum*, lecz „tłómaczę" (str. 51) jedynie te wyrazy. Zatem Krytyk wojuje w tem miejscu, jak i w wielu innych, nie ze mną, ale z wiatrakami, z własnem urojeniem. Co do dylemmatu, wyrażonego w ostatniem zdaniu, twierdzę, że on urąga najprostszym prawidłom logiki, bo władza ani nie jest abstrakcyjnym wyrazem stanów i działań duszy, ani nie posiada bytu samoistnego (przeciw czemu zastrzegłem się na str. 56 najwyraźniej), jak go nie posiada gałąź drzewa. Czy więc teorya władz niszczy „jedność pierwiastku duchowego" czyli duszy? Bynajmniej. Choć władze różnią się rzeczowo od duszy, nie posiadają one wcale odrębnego i samoistnego istnienia, jak w bujnej wyobraźni przedstawiają sobie nasi przeciwnicy. Bo niekażdy byt istnieje odrębnie, samoistnie. Odrębność i samoistność przysługuje tylko substancyom, a nie przypadłościom. Jeśli tedy dusza jest substancyą, a władze przypadłościami, to jasną jest rzeczą, że tylko dusza samoistnie i odrębnie istnieje.

Czytając dalej, spotykam się z następującym zarzutem: „Dusza ma być przyczyną władz, ale nie jest bezpośrednią przyczyną ich funkcyi. Gdyby to było prawdą, to możnaby uznać duszę tylko za jakąś rodzicielkę władz; gdy je wszystkie z siebie wydała, gdy się w nie zmieniła, istnieć przestaje". — Kto się zabiera — mogłem to powiedzieć kilka razy już wyżej — do zbijania jakiej doktryny, winien ją najpierw dobrze zrozumieć. Tymczasem powyższy wywód Krytyka jest tylko nowem świadectwem, że nie wniknął on należycie w teoryę władz, że przedstawił ją sobie w sposób zmysłowy, gruby. Trzyma się też przytem jakiejś specyalnej logiki. Bo przypuściwszy nawet, że dusza jest rodzicielką władz, nie rozumiem, dlaczego wydawszy z siebie wszystkie władze, ma się w nie zmieniać, a sama istnieć przestaje.

Czy matki, porodziwszy wszystkie swe dzieci, przemieniają się we własne potomstwo? Gdzie prof. Straszewski widział taką cudowną metamorfozę?

Pisze potem Krytyk, iż czytelnik, spotkawszy w mej Psychologii powiedzenie, że władza „i jest i nie jest bytem", może odłożyć książkę. Pewnie, ale tak samo mógłby zrobić z każdą książką p. Straszewskiego, gdybym z niej wyrwał słowa, które same przez się nie mają sensu, jak Krytyk wyrwał z mojej. Bo w rzeczywistości powiedziałem tak: władza.. „jest jakością, która, uważana pod różnym względem (oto wypuszczone słowa) i jest i nie jest bytem *in actu*". Czy pod różnym względem nie można tego samego twierdzić i przeczyć o pewnym podmiocie? Jak zaś należy rozumieć przytoczone zdanie, tłómaczę to w Psychologii na tem samem miejscu. — Nie pojmuję także, jak p. Straszewski mógł napisać: „Teorya władz prowadzi prostą drogą do materyalizmu.. Jest to faktem dziejowym, że właśnie teorya władz w średniowiecznej filozofii utorowała drogę różnym poglądom materyalistycznym i sensualistycznym które już wśród nominalistów XIV-go i XV-go wieku przyjęły się. Wszak już Occam twierdził, że nieśmiertelności duszy nie można rozumem dowieść". Ależ, Szanowny Profesorze, gdyby teorya władz prowadziła prosto do materyalizmu, to jej zwolennicy byliby chyba pierwszymi sensualistami i materyalistami. Tymczasem (niektóre) poglądy sensualistyczne i materyalistyczne szerzyły się właśnie między tymi, którzy je zwalczali. Occam, razem z innymi nominalistami, nie uznawał rzeczowej różnicy między władzami a duszą.

Krytyk, chcąc wykazać, że „także ze stanowiska chrześcijańskiego nie mam słuszności", powołuje się na zdanie ks. d-ra Pechnika, uważającego („Zarys psychologii", Lwów 1895, str. 3) „rozum, uczucie i wolę, nie za siły odrębne, ale raczej za pierwiastki świadomości, dające się wykryć w każdem zjawisku psychicznem". Niezawodnie, można być dobrym chrześcijaninem, a nawet wzorowym i uczonym kapłanem katolickim, a jednak nie odróżniać rzeczowo władz od duszy. Mniemam wszakże, że powaga jednego, a nawet wielu inaczej pod tym względem myślących filozofów chrześcijańskich (w rzeczywistości jest ich bardzo mało), nie stanowi jeszcze dowodu, jakobym ze stanowiska chrześcijańskiego nie miał słuszności. W kwestyi, o której mowa, nie rozstrzyga o prawdzie powaga, lecz rzeczowe dowody. Zresztą ks. Pechnik, którego zaliczyłem w Psychologii do przeciwnego obozu, oświadczył w ocenie mej książki (*Gazeta kościelna*, 1903, str. 178), że „nie należy w zasadzie do przeciwników nauki o władzach duszy", że „duszę pojmuje tak samo, jak św. Tomasz i inni myśliciele chrze-

ścijańscy, t. j. jako istotę... posiadającą władze, zwane rozumem, pamięcią i t. d.“ Tembardziej odrzucam błędne twierdzenie p. Straszewskiego, że „tylko na tem stanowisku, na którem on stoi, można utrzymać substancyalność duszy jednej, jednolitej, niepodzielnej“. Że tak nie jest, wykazałem wyżej: władze nie są zgrają samoistnych bytów.

Ale dosyć o tem. Gdybym chciał odpowiadać szczegółowo na każde zdanie p. Straszewskiego, napisałbym książkę. Sądzę wszakże, że to, co rzekłem, wystarczy aż nadto do obrony. Wykazałem Krytykowi, że tezy mojej o różnicy rzeczowej między duszą w niczem nie obalił, że żadnego mego dowodu nie zachwiał. Owszem, w tej „najważniejszej sprawie“ nie cofnąłem ani jednego słowa. Nie dam się zbyć byle czem, jak np. frazesem o „średniowiecznych umysłach“. Toż wyznaję otwarcie, że jeśli dotąd byłem silnie przekonany o prawdziwości teoryi władz, to po tej krytyce jeszcze silniej. Z tego też powodu mogę p. Straszewskiemu wyrazić tylko głęboką wdzięczność.

A jeśli są władze, jeśli te władze, jak wykazuję, dadzą się najlogiczniej podzielić na wegetatywne, zmysłowe i umysłowe, dlaczego do tego podziału nie można dostosować częściowego układu książki? Czy ten układ ma być do niczego dlatego (chyba w tem znaczeniu używa Krytyk wyrazu „przestarzały“), że pochodzi „ze średniowiecznej psychologii“? Czy to, co jest średniowieczne, zasługuje temsamem na odrzucenie? Czy coś należy uważać za prawdziwe dlatego, że jest nowożytne, a fałszywe dlatego, że stare? Ja sądzę, że u myślicieli średniowiecznych niema ani tysiącznej części podobnych niedorzeczności, jakie się spotyka u wielu, bardzo wielu dzisiejszych. A dalej, skoro władze wegetatywne przysługują duszy ludzkiej, dlaczego psychologowi nie wolno mówić o ich funkcyach? Nie przeczę, że może tę kwestyę pozostawić filozofii natury, ale nie musi. Jeśli tedy p. Straszewski pozwala sobie wyrazić przekonanie, że „to wszystko do psychologii nie należy“, niechże i mnie pozwoli pozostać przy mojem zapatrywaniu, tembardziej, że je usprawiedliwiam (t. I, str. 5, 6 i 68). I znowu, jeśli „fakt, że wolę uznaję za źródło uczuć“, uważa Krytyk za *horrendum*, wynikające z podziału władz, to należało wykazać, że odpowiednie moje dowody są bez wartości. Czy p. Straszewski sądzi, iż dlatego samego, że on jest innego zdania, ja odwołam swoje?

Całą 113 stronicę daruję Krytykowi, choć mógłbym łatwo wykazać, że i tutaj słuszność jest najczęściej po mojej stronie.

Wybaczy mi Szanowny Profesor, że tak stanowczo odpieram jego zarzuty; czynię to tylko z miłości dla prawdy. Z krytyki odnio-

słem wrażenie, że się nie pogodzimy tak łatwo, bo w wielu punktach dzielą nas różnice zasadnicze. Ale odniosłem też wrażenie, że krytyka byłaby w niejednem miejscu inaczej wypadła, gdyby Krytyk dłużej nad odnośnemi prawdami się zastanowił.

*Ks. Kazimierz Wais.*

**Stara gwardya,** elegia rycerska. *Kazimierz Julian Jasiński.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1904.

Przed kilku miesiącami pojawiła się książka, która wywołała żywe i gorące rozprawy krytyków warszawskich. Jedni zarzucali jej brak szczerej oryginalności, naśladownictwo tonu i stylu dawnych poetów. Inni bronili poematu, podnosząc jego zamaszyste zacięcie i serdeczną swojską nutę. „Stara Gwardya", bo taki jest tytuł — nie przeszła bądź co bądź niepostrzeżenie, stała się w Warszawie wypadkiem literackim i już przez to samo zasługuje, aby z nią zapoznać czytelników *Przeglądu.* Jej autor K. J. Jasiński po raz chyba pierwszy wstępuje w szranki literackie, nigdzie bowiem dotychczas nie spotkałem się z innymi jego utworami. To też „Starą Gwardyę" brałem do rąk nie bez pewnego niedowierzania, lecz już po kilku przeczytanych kartkach nieufność pierzchła, a wrażenie ciepłe i rzewne rosło i potęgowało się nieprzerwanie aż do końca poematu.

Prawda, nie nowoczesny tam nastrój i ton cały nie dzisiejszy. *Si licet parva componere magnis,* trzynasto zgłoskowa rytmika przypomina żywo wiersz „Pana Tadeusza"; gdyby zaś nie nader kunsztowne rymy od czasu do czasu słuch czytelnika uderzające, rzekłbyś, że to nieznany jakiś dotychczas poemacik Pola lub Syrokomli. W całem pojęciu i ujęciu przedmiotu, a nawet w przedmiocie samym tkwi podobieństwo do owych „gawęd szlacheckich" jakie pojawiały się przed pół wiekiem u schyłku naszej romantycznej poezyi. Jak zwykle w gawędach tak i tu, w „Elegii rycerskiej" działanie, akcya mało miejsca zajmuje, a tok wypadków jest dość ubogi, wszystko bowiem obraca się koło jednej postaci, którą autor na pierwszy plan wysuwa i ze wszech stron oświetla, dorzucając do jej charakterystyki coraz to nowe psychologiczne rysy, tak iż właściwą treść poematu stanowią duchowe, wewnętrzne przejścia tej głównej figury. Tak jest we wszystkich „gawędach" i pod tym względem „Stara Gwardya" nie odbiega wcale od gawędowego typu. Główną w niej postacią, a raczej nawet jedyną jest dziadek, stary napoleończyk. Ukazują się wprawdzie obok niego inne figury na dalszych planach, jak proboszcz, niegdyś kapelan puł-

kowy szwoleżerów, albo Grzela Biały, swego czasu wachmistrz, a teraz ulubiony sługus i powiernik pana pułkownika — przesuwają się jednak obie te sylwetki tylko gdzieś w głębi, a służą jedynie na to, aby utworzyć otoczenie, środowisko właściwe dla dziadka. Z nimi on się rozumie, do nich ze wszystkiem się zwraca, z marzeń swoich i pragnień serdecznych przed nimi się wywnętrza. Cały wątek poematu wypełnia on sam wyłącznie i niepodzielnie, jako portret psychologiczny wykończony starannie do najdrobniejszych szczegółów. Wszystko inne to tylko tło i ramy.

Pięknie i malowniczo uchwycone jest staroświeckie gniazdo wiejskie, w którem pan pułkownik dni swoich dożywa: dworek modrzewiowy „oblany malw purpurą, słoneczników złotem, a u szczytu z Prarodzica rodowym klejnotem". Dziadunio „na wzór Cincinnata" gospodaruje wybornie, a nie darmo wiek życia strawił pod bronią, więc „w wiosce ład wojskowy zaprowadził wszędzie, wszystko podług zegara szło i po komendzie". Ten wojska pozór ma tam wszystko, widoczny on jest w każdym szczególe gospodarstwa, zwłaszcza zaś „gdy w bronach na pole szły dziadka fornalki, maściami czwórki kare, bułane i gniade, rzekłbyś, pułk artyleryi ciągnie na paradę". Wnętrze domu również doskonale maluje charakter, zamiłowania i całą rycerską przeszłość napoleońskiego weterana. W kancelaryi narożnej stół dębowy suknem zielonem zasłany, a na nim, wśród rachunków i rejestrów gospodarczych „z wielkiego kałamarza w świat rzucał wzrok dumny, Napoleon żywcem zdjęty z Wendowskiej kolumny". Dziadek we Francyę i we Francuzów święcie wierzy dotąd i uważa ich za naród najpierwszy na świecie, więc na stole w porządku „ostatnie francuskie dzienniki". Nad łóżkiem łeb dzika ze skrzyżowanemi strzelbami i kordami, a poniżej na blasze ryngrafu świeci Matka Boska Częstochowska. Nie mniej charakterystyczna jest biblioteczka starego pułkownika, w której naczelne miejsce zajmuje „Biblia" Wujka i „Żywoty" Skargi, a z lżejszej literatury świeckiej znajdą się takie dzieła, jak „Koloander wierny Leonidzie", „Katechizm Rycerski", „Pamiętniki" Paska, „Bajki" Niemcewicza i nowość: „Kłopoty starego Komendanta". Obrazy na ścianach przedstawiają oczywiście Napoleona i jego zwycięstwa: bitwa pod Marengo, przejście Tagliamenti i t. p., dalej zaś, obok Naczelnika, obok Króla Jana wisiał w paradnym fraku... Napoleon trzeci i „Eugenia srodze wydekoltowana". Cichy dworek pana pułkownika napełniał się czasem gwarem młodych głosów: to ze szkół przyjeżdżają na wakacye wnuki. Wówczas dziadek „uczył prowadzić po zawrotnej wodzie,

gimnastyczne przyrządy ustawiał w ogrodzie, urządzał wyścig boso po wieczornej rosie, w lesie uczył zwierzynę poznawać po głosie, często też na podjazdkach ustawiał nas w rzędy“ i pędząc na czele „gromko słowa francuskiej wyrzucał komendy: *Marche! Marche par pelotons! Rompez l'escadron*“.

Tymczasem na szerokim świecie toczyły się wypadki dziejowe, których echo odbijało się żywo w sercu weterana. Z proboszczem razem „przerabiali do gruntu Europy kartę“ gdy zanosiło się na wojnę włoską i „dochodzi do tego w moc wzajemnych porad, że Austryi zostawiali samo Arcyksięstwo, a Prusom Brandenburski ledwie Elektorat“. Zwycięstwo pod Magentą i Solferino święcili obaj staruszkowie toastami węgrzyna na cześć Mac-Mahona, Garibaldiego i króla Wiktora Emanuela.

Po tym Francyi nad Mincio tryumfów bankiecie
Jako się z trosk i szczęścia życia łańcuch plecie
Tak dla dziada nastały ciężkie smutku chwile
I wiele snów się jego układło w mogile
. . . . . .

Umarł także i stary przyjaciel, proboszcz a pan pułkownik, choć głęboko jego zgon odczuł, przecież przetrwał ten cios mężnie. Zamknął się tylko w kancelaryi na parę godzin po pogrzebie, a nazajutrz dosiadł konia i pojechał w pole do roboty, smutny ale już spokojny. Wojna austryacko-pruska podnieciła na nowo fantazyę staruszka, tylko już nie było z kim dzielić się wrażeniami i wieściami z pola walki. Pułkownik oczywiście nienawidzi Prusaków, cieszy go więc ta wojna:

Oszukaństwem i pychą, arogancyą swoją
Doigrały się pludry, że im kurtę skroją!

Nowy proboszcz, który w Niemczech kończył szkoły i wielkie ma mniemanie o potędze Prus, nie podziela tych marzeń dziadunia, który go nie lubi za to, że ksiądz „nie znajdował smaku“ w węgrzyna butelce, pijał chętnie piwo, grywał w *halbe-zwölwe* zamiast w maryasza, a raz o wojsku pruskiem wyrzekł „armia nasza“, bo z Ks. Poznańskiego był rodem. To też po bitwie pod Sadową od słowa do słowa przyszło do sprzeczki, a w końcu do zerwania stosunków. Pułkownik stracił rezon, sposępniał, pochylił się i postarzał; nie mógł strawić tego, że „pludry“ zwyciężyły. Myśl o śmierci coraz częściej przechodzi starcowi przez głowę. Raz nawet jedzie z wnukiem na cmentarz, gdzie leży babka, stary przyjaciel, proboszcz, a dwa inne groby czekają

na pułkownika i na Białego. Jest to jedna z najrzewniejszych kart poematu, gdy pułkownik z wiernym Białym stoją na cmentarzu.

I obaj zdjąwszy czapki przypadli do ziemi...
Rozwichszył się włos biały ich dumnego czoła
Jak pióra orlich czubów, jak dębów jemioła
I jednym majestatem promieniały lica
Wiernych tymsamym hasłom, chłopa i szlachcica...

Nadszedł rok 1870. Odżył na nowo pan pułkownik, oczy rozgorzały mu młodzieńczym zapałem: „Ot, co? Francuzy Niemców zjedzą na śniadanie!“ powiada Biały, a jego pan, pochylony nad mapą, palcem wytyka przyszłym zwycięzcom szlak tryumfalny: „Ren, za nim Holendry, forteca jedyna, a stąd gdzie?... no gdzie?... Prosto do Ber... do Berlina!“ Odtąd już codzień umyślny pędzi dwa razy dziennie na pocztę po ostatnie dzienniki. W upojeniu radosnem pułkownik siada do fortepianu:

Kiedyśmy byli razem pod Jeną, pod Wargram,
Marsza wtedy pułkowe grały nam kapele,
Pamiętasz tego marsza? To ja ci go zagram!

I gra. Grzegorzowi łzy ciurkiem płyną i dziadunia płacz chwyta za gardło, więc żeby się wzruszeniu obronić, huknął ostro na wachmistrza: Czego beczysz, babo! Wspomnienia pełne chwały rozpierają piersi obu starców w długich pogawędach. Ale dziaduniowi czasem nie podobają się obroty wojsk francuskich — niepokoi się; to znowu pociesza nadzieją. Aż tu jednego dnia wyczytał w gazetach z 2 września: Sedan kapitulował, cesarz oddał szpadę. I ten cios go zabił: znaleziono go we fotelu przed biurkiem z gazetą w ręku.

Oto wszystko. „Elegia rycerska“ nie sili się na epikę — ona jest tylko psychologiczną monografią jednej duszy. Gdyby kto chciał szukać pary do „Starej Gwardyi“, to w naszej dawniejszej poezyi znalazłby dzieło pokrewne jej duchem i uczuciem: „Dworzec mojego dziadka“. Porównanie to samo się nasuwa i dużo daje do myślenia. Fr. Morawski, człowiek z epoki napoleońskiej, jenerał b. w. p. z wspomnień swej młodości odmalował staroszlacheckie życie i atmosferę dworu wiejskiego z XVIII w., a na tem tle postawił jedną tylko postać kontuszowego starca, jako uosobienie dawnych tradycyi. W „Starej Gwardyi“ założenie takie samo, tylko wszystko posunięte nawet o całe stulecie: dawne czasy i tradycye uosabia napoleończyk, który mógłby być wnukiem tamtego z „Dworca“. Posunęła się skazówka na zegarze świata — uczucia, myśli, dążenia zostały te same.

Jedna jest tylko różnica: w stanowisku, jakie zajmują autorowie wobec swoich bohaterów. Morawski nietylko podziwia swego dziadka i czytelnikowi podziwiać go każe, ale także podziela w zupełności jego poglądy, dążenia, przekonania. Inaczej Jasiński. Przy całem uwielbieniu dla tęgości duszy i moralnego zdrowia swego napoleończyka, zdaje on sobie dobrze sprawę, że jego szlachetne marzenia są złudzeniami; radby je podzielał sam, żal iż podzielać ich nic nie może, zazdrości mu tylko tych pięknych, niezniszczonych snów i pragnień, a przy tem potrosze starego marzyciela ironizuje. Ironia ta bez cienia goryczy, a tem mniej lekceważenia, ironia rzewna, serdeczna i smutku pełna stanowi nowożytną cechę poematu i sprawia, że nie jest on prostem naśladowaniem dawnej ogranej szaty. Na największą pochwałę poematu Jasińskiego powiedzieć można, że jego „Stara Gwardya" wytrzymuje zupełnie porównanie z „Dworcem mojego dziadka", a to już chyba wystarczyłoby, aby zapewnić „Elegii rycerskiej" nie pierwszorzędne może, ale poczestne i trwałe miejsce w polskiej poezyi.

*Lucyan Rydel.*

**Zabawy sierskich pasterzy przed dwudziestu laty.** *Ludwik Młynek.* Lwów. Nakładem autora. 1902. (W 8-ce, str. 32).

Co najpierw i najbardziej czytelnika uderza, to brak wszelkiego wyjaśnienia skąd to owi „sierscy pasterze" pochodzą, w całej bowiem części pierwszej pracy p. Młynka nie spotykamy nawet nazwy tej miejscowości. Dopiero w części drugiej, wśród przypisków („Uwag") spotykamy wyrażenie „Sierczanie", „na Sierczy" (str. 15), również w tytule: „napisał Ludwik Młynek kmieć ze Sierczy" (dodamy nawiasem, że p. Młynek jest prof. gimnazyalnym), — a więc czytelnik wie już, że to są pasterze ze Sierczy nie z Sierską (por. sierski). Ale zawsze nie ma on dokładnego pojęcia co to za Siercza, kiedy autor wyraża się zwykle nie „w Sierczy", lecz na „Sierczy". Żeby ostateczne wątpliwości rozwiać potrzeba iść czytelnikowi za wskazówką autora (odsyłacz) i szukać odpowiedniego wyjaśnienia w IV roczniku *Ludu* z roku 1898! Tam też dopiero znaleźliśmy wyjaśnienie i to również w „Uwagach", że Siercza to „wieś w powiecie wielickim..."

Praca p. Młynka składa się właściwie z dwu części: z opisu kilkunastu zabaw pasterzy sierskich (str. 1—14) i z „Uwag", t. j. przypisów w liczbie dość pokaźnej (72 numery, str. 14—32).

Trudno jest bardzo określić charakter pracy p. Młynka. Sądząc z okoliczności, że praca jego jest osobnem odbiciem z organu towa-

rzystwa ludoznawczego we Lwowie p. t. *Lud,* zatem czasopisma poważnego, naukowego, i że przypisy z odsyłaczami do prac uczonych stanowią prawie dwie trzecie całej książeczki — możemy przypuszczać, że jest pracą naukową... Zmienić jednak musimy ów sąd już zaraz po przeczytaniu pierwszego opisu jednej z zabaw pasterzy sierskich.

Autor traktuje opisy te „nowelistycznie". Oto np.: „Jest godzina 10 rano. Dzień jesienny — jasny, ale niewyraźny. Już dawno „po zbiórkag". Pajęczyna wlecze się po ścierniach i przelatuje powietrzem w długich taśmach..." (str. 1). Następną zaś zabawę rozpoczyna temi słowy: „Po południu tego samego dnia pognał Kmiecik krowy do Łolsyny... Zrazu panowała cisza. Krowy rzuciły się na trawę i skubały ochoczo. Kmiecik wylazł na wysoką olszynkę — „huśtał się" na gałęziach i wygwizdywał różne melodye" (str. 4) i t. d. i t. d. Co za ścisłość chronologiczna i niechronologiczna! I to są opisy „zabaw pasterzy sierskich przed 20 laty"!...

Opis każdej gry rozpoczyna się podobnym wstępem. Potem następuje powtarzające się tyle razy, ile zabaw opisuje autor, stereotypowe: „Bowwa sie teraz w ....." (nazwa zabawy)! Zakończenie również pod względem „poetyczności" (!) nie ustępuje początkowi opisu. Słowem autor w wymienionej książeczce daje czytelnikowi nie materyały, mające być przedmiotem naukowego badania, lecz „nowele", w których się sili na „obrazowe" opisy. Szczególnie w opisie powszechnie znanej, nie posiadającej jakichś charakterystycznych dla sierskich pasterzy cech — zabawie „w pytkę" spotykamy „co wyraz to figurę, co myśl to frazesa" („Amfitryon" Fr. Zabłockiego).

Opisując zabawy autor gęsto przeplata opis wyrażeniami ludowemi. Możnaby na pierwszy rzut oka mniemać, że może zyskuje co na tem dyalektologia polska. Lecz i pod tym względem prędko się rozczarowujemy. Oto np. pisze autor *bowwa sie* (bawmy się), to znów *bawiwa się; zajoncki, zajonc* obok *zającki, zając; sie* obok *się;* kos*z*ulem *sz*ywoł, *sz*eść, *ż*yd, po ziemnia*cz*yskach obok po*cu*ł, *z*ebyś, po*s*ukojcie; ka*sz*ke obok ka*ś*ke; *Szczy*goń obok spu*sc*ać, Sy*msc*oki i t. d.

Wobec wspomnianej wyżej ścisłości (!) chronologicznej („godzina 10 rano...") i niechronologicznej w opisach towarzyszących zabawom okoliczności („pajęczyna przelatująca powietrzem...", „dzień jasny, ale niewyraźny..." albo np. „Hanusia i Marysia były to zgrabne dziewczęta i bardzo wesołe", str. 6), dalej niekonsekwencyi w transkrypcyi fonetycznej wyrazów gwarowych lub takich ustępów jak np.: „Wszyscy pasterze źlecieli się... gotowi na rozkazy. Część pasterzy pilnowała

tymczasem bydła“ (str. 1; więc „wszyscy“ czy „część“?... gdzie tu ścisłość w opisach zabaw?) — wobec tych okoliczności, zmuszających czytelnika do ciągłego zadawania sobie pytania, gdzie się kończy fantazya autora, a gdzie zaczyna — chyba śmiało rzec można, iż, jeśliby owych materyałów p. Młynek nie ogłosił, etnografia nasza i dyalektologia niceby na tem nie straciły, a stanowczo żałować należy, że praca ta drukowaną była w *Ludzie*.

Jedynie „Uwagi“ do opisów owych zabaw przedstawiają pewną wartość, albowiem w nich autor przytacza tu i owdzie odpowiedni materyał, zebrany w innych miejscowościach przez niego samego lub przez innych zbieraczów. Jakichś ogólniejszych objaśnień lub wniosków w tych „Uwagach“ — brak. Korekta wadliwa.

*Henr. Ułaszyn.*

## Z piśmiennictw obcych.

**Babylon und Christentum.** Von *Fr. X. Kugler S. I.* Freiburg im Br. Herder. 1903. (Str. IV, 67).

Nie było to zadaniem łatwem czemś nowem i samodzielnem wzbogacić ogromną literaturę, która wyrosła w ciągu półtora roku około sławnych odczytów Fr. Delitzscha. Jednakże krótka rozprawa ks. Kuglera przyniosła tyle nowego materyału, że nawet po pracach takich assyryologów jak Hommel, Barth, Jensen, Oppert, Jeremias, Keil (*recte:* dr. Cöln, bo Keil jest pseudonimem) i mnóstwa innych, czyta się ją z przyjemnością i pożytkiem. Rzecz jest poświęcona zbiciu zarzutów Delitzscha przeciwko staremu testamentowi. Przedmiotem następującej pracy mają być mniemane wpływy babilonizmu na religijne pojęcia nowego zakonu.

Autor zostawia na uboczu kwestye dostatecznie już wyjaśnione przez innych krytyków, np. wpływ mytów babilońskich na biblijne opowiadania o stworzeniu świata, o grzechu pierworodnym, o potopie, o dzieciństwie Mojżesza i t. d., a natomiast rozbiera szczegółowo trzy pytania ogólniejszej natury. 1) Czy istotnie zachodzi uderzające podobieństwo między pojęciami i instytucyami religijnemi Babilończyków i Izraela. 2) Czy da się wykazać wyższość Babilonu nad narodem żydowskim pod względem prawodawstwa i obyczajów. 3) Czy księgi święte starego testamentu zawierają rzeczy Boga niegodne. W odpowiedzi na

pierwsze pytanie roztrząsa ks. Kugler kwestyę babilońskiego pochodzenia szabatu, rzekomą wspólność symboliki religijnej Babilonu i Biblii, świetnie przeciwstawia przepełnioną zabobonem religię Babilończyków, ich nizki i brudny politeizm, ich ciemne i fałszywe pojęcia o zagrobowem życiu, czystej i zdrowej religii wybranego ludu. Część druga zestawia prawo babilońskie króla Hammurabbiego z prawem żydowskiem i obyczajowy poziom obu ludów. Część trzecia, najkrótsza, rozbiera kilka przykładów, rzekomo niezgodnego z Bożą doskonałością postępowania Boga Izraela.

Cała rzecz jest pisana spokojnie, tonem ściśle naukowym; z każdego słowa przebija gruntowny, samodzielny badacz, który, lubo obeznany z całą literaturą współczesną dotyczącą assyryologii, opiera się głównie na własnych studyach. Najlepiej wypadły ustępy o zabobonach religii Babilonu (str. 26 i nast.) o nizkim poziomie obyczajowym mieszkańców dolin Eufratu i Tygru (str. 54 i nast.). Sądzimy, że czytelnik niefachowy, a niepozbawiony interesu dla assyryologii, w tej pracy jakoteż w rozprawie Keila, znajdzie wszystko, co potrzeba do należytego osądzenia Delitzschowskich fantasmagoryi.

Z ujemnych stron, wpadły nam w oczy następujące braki. Na str. 19 wolelibyśmy widzieć inny argument przeciw tezie Delitzscha o zapożyczonym z Babilonii symbolu obłoku i ognia prowadzącego naród wybrany przez puszczę. W zbijaniu zupełnie samowolnych przypuszczeń lepiej zaniechać trudnych do udowodnienia hipotez. Podnosić wyrozumiałość praw żydowskich w przeciwstawieniu do kodeksu Hammurabbiego (str. 48 i nast.) jest niezawsze bezpiecznem i pewnem. Naszem zdaniem lepiejby było z Lagrangem, Grimmem i innymi, przez wpływ starosemickiego prawa zwyczajowego na ukształtowanie kodeksu Izraela tłumaczyć niezaprzeczoną w wielu przypadkach niższość i grubość praw żydowskich, a nie koniecznie objawieniu przypisywać wszystkie drobne przepisy prawne w pięcioksiągu zawarte. Na str. 50 nie całkiem dokładnie powiedziano, że zemstę krwawą zawsze wyprzedzało u Żydów dochodzenie sądowe. Ks. Kugler cytuje Num. 35, 12 i Deut. 19, 12. Lecz z tem zestawić należało Num. 35. 19. 21. 27. Delitzsch malując w różowych barwach obyczajność Babilończyków zwrócił był uwagę, że dotychczasowe odkrycia nie wydobyły na jaw ani śladu niemoralnych dzieł sztuki. Ks. Kugler na podstawie dokumentów wykazuje wprawdzie, że zepsucie w Babilonii panowało ogromne, ale na racyę Delitzscha daje odpowiedź niedostateczną. Nie wystarczy powiedzieć, że bezwstydne dzieła sztuki pojawiają się głównie w takich społeczeństwach, gdzie

władza państwowa powściąga moralne nadużycia, podczas gdy w Babilonii władze państwowe żadnej nie kładły tamy rozpuście. Również nie brak przesady w zdaniu, że Bar. 6, „dokładnie opisuje bezecne orgie towarzyszące obchodom na cześć Isztary".

Lecz to są usterki bardzo nieznaczne. Oprócz wyżej wspomnianych przymiotów, podnieść należy piękny, miejscami podniosły styl i zaznaczenie katolickiego stanowiska w taki sposób, że daje tło całej pracy, a nie przenika do wnętrza argumentów ściśle objektywnych i gruntownie naukowych.

*J. R.*

**Dreissig Vorbilder und Symbole der allerseligsten Jungfrau Maria** in zweiunddreissig Vorträgen erklärt. Von *Peter Bacher,* Priester der Gesellschaft Jesu. Wien 1903. (S. XVIII + 362).

Rzadko mamy sposobność dawać sprawozdanie z obcokrajowych książek kaznodziejskich, z tem większą chęcią dziś to właśnie czynimy, że rzecz, którą mamy omówić może niejednemu kapłanowi oddać pożądaną przysługę. Tak ze względu na treść jak sposób jej opracowania nauki ks. Bachera o figurach i symbolach biblijnych Matki Boskiej zasługują na uwagę.

Najpierw co do treści samej figury i symbole Matki Boskiej należą w literaturze maryańskiej do przedmiotów najmniej jeszcze wyzyskanych w praktyce kaznodziejskiej. Sama myśl posługiwania się figurami i symbolami bynajmniej nową nie jest; od najstarszych mowców chrześcijaństwa aż po nasze czasy, nie było prawie kaznodziei, któryby każąc o Matce Boskiej nie używał ich bądź jako ilustracyi, bądź nawet jako pewnego dowodu. W naszej np. starej literaturze mamy całą jedną prześliczną postyllę Wujka na Narodzenie Matki Boskiej, w której objaśnia majestat Maryi z tronu Dawidowego, jako Jej obrazu; że pominę innych nowszych autorów, z właściwą sobie zawsze elegancyą, symbole i figury podobne wyłożył ks. Krechowiecki w dwóch gruntownych naukach w dziele „Niepokalana Dziewica". Ale tu znajdujemy cały cykl nauk o Matce Boskiej osnutych na Jej figurach i symbolach biblijnych. Mijamy je dzień za dniem, niby w galeryi sztuk pięknych klasyczne dzieła pendzla i dłuta, wpatrując się w najśliczniejsze dzieła, jakiemi Mądrość Boża chciała w dziejach świętych uidealizować Oblubienicę Ducha św., Matkę Bożą. Są prawdy, dusze, ideały, których ni pojąć jasno ni wysłowić nie możemy, bo przechodzą poziom zwykłego doświadczenia naszego, staramy się je wtedy

zbliżyć sobie przy pomocy pojęć najbliższych w naszem pojęciu wielkością, godnością, wspaniałością. Do takich dusz należy przedewszystkiem Ta jedna z ludzi Niepokalana, bezgrzeszna, pełna łaski, dziewica-matka, Matka Boża. Któż cię wysłowić, kto opowiedzieć zdoła, wołali przez usta miodopłynnego Bernarda najświatlejsi, najwymowniejsi kaznodzieje Kościoła i słusznie. To jest też naturalna, ale jasna i rozumna droga do poznania całej Jej świętości, wytknięta niejako palcem Bożym. A te właśnie najcudniejsze obrazy przesuwają się przed nami w 31 naukach majowych. Oczywiście, że ks. Bacher nie wyczerpnął w nich jeszcze całego skarbca Pisma św. Tych figur i symbolów jest wiele, wiele więcej; Ojcowie święci we wszystkiem, co jest piękne, wzniosłe, szlachetne w Piśmie Bożem widzieli obrazy, rysy świętości Maryi, a gdybyśmy z ich pism chcieli zebrać te rysy wszystkie, mielibyśmy dzieło wielkich rozmiarów. Cykl ks. Bachera kończy nauka 32-a „Marya, matka nasza". Jest pełną radosnej dla nas otuchy; ta wielka niewiasta, to twoja matka, a więc jak wielkim i ty jesteś kiedy jesteś synem takiej matki, jak żyć święcie winieneś, by Jej godnym być synem, a możesz nim być, kiedyś synem Matki tak potężnej: trzy miejsca szczególnych łask Maryi cię o tem jeszcze przekonają: Maria Sorg, Maria Schutz, Maria Hilf.

Sposób ujęcia atoli jest bardzo pojedynczy. Pod nową niby szatą kryją się stare dobrze nam już znane w kazaniach maryańskich tematy. Zdawałoby się, że homiletyczny wykład symbolu byłby najbardziej nadawał się autorowi, a wtenczas odpowiednie tło egzegetyczno-historyczne łatwoby dlań znalazł. Nie pomija on wprawdzie wykładu swego symbolu, ale go jakby nieraz lekceważył, używając jako wstępu kazania lub ilustracyi kaznodziejskiej. Być może, że obawiał się zetknięcia ze zbyt wysokim, niedościgłym zwykłemu słuchaczowi przedmiotem. Tam atoli gdzie wypełnił nim całe kazanie, gdzie rozbiera i tłumaczy, czyni to z wielką erudycyą i ścisłością godną podziwienia. Nie podnoszę już nawet w tym wypadku tak dobrze wyzyskanego stosunku kaznodziei z Pismem św. i dziełami Ojców Kościoła, ani tyle nadających się przedmiotowi prześlicznych parallelizmów biblijnych, jakiemi styl swój ozdobił — bo to zupełnie naturalnie musiało się połączyć. Co naszą uwagę zwraca, to iście benedyktyńska pracowitość w wynalezieniu właśnie tekstów Ojców Kościoła, porównanie ich z najkrytyczniejszemi obecnie wydaniami i dokładne ich oznaczenie, jakoteż powoływanie się na dzieła naukowe. Widzimy w tem dążność autora, by kazanie jego było rzeczywiście co do przedmiotu uczenie przeprowadzone.

Jedno jeszcze co nadaje dużo świeżości myśli kazaniom ks. Bachera t. j. spożytkowanie do względów kaznodziejskich archeologii maryańskiej i pomników sztuki i myśli, tak ogólnie chrześcijańskiej jak narodowej niemieckiej. Zabytki katakumbowe i starożytne świątynie, sztuka i obrazy łaskami słynące, pieśni i podania narodowe dały mu szerokie do tego pole. Oczywiście ktoś, coby chciał na naszej ambonie posługiwać się podręcznikiem ks. Bachera, musiałby zastąpić rzeczy niemieckie polskiemi, a znalazłby ich poddostatkiem na ziemi Ojców naszych, czcicielów Maryi. Tym kaznodziejom bardzoby wielką przysługę mogły oddać obok zbiorów polskich pieśni religijnych, takie dziełka jak: ks. Mrowińskiego, „O czci Matki Boskiej w Polsce“, ks. Wacława, „Obrazy Matki Boskiej w Polsce“, „Legendy“ Gawalewicza, dzieła Helleniusza i t. p., a także spisy zbiorów numizmatyczno-archeologicznych. Nie radzi się jednak i zbyt nuży deklamowanie na ambonie całych lub zbyt długich ustępów pieśni i poezyi, a ten błąd spostrzegamy u ks. Bachera.

Przykłady z hagiografii i życia potocznego wybrał i zastosował dobre; niema w nich wprawdzie nowego materyału, ale też niema żadnej nadzwyczajności lub śmieszności. Stylem przedstawił rzecz swoją ks. Bacher pięknym, nie można powiedzieć, żeby styl jego był natchnionym, lub szczególniej namaszczonym głębokiem uczuciem, ale poważny, rzeczowy nieraz śmiałym, pełnym poezyi obrazem lub opowiadaniem urozmaicony. Znajdujemy tak np. śliczny poetyczny obraz pustyni w porównaniu z światem przedchrystusowym. Śmiało domyślić się możemy, że gdyby autor mógł był znać naszego „Ojca zadżumionych“, Słowacki nasz poddałby mu był tu jeszcze niejeden piękny rys, jak gdzieindziej dał mu go Dante w swoim „Raju“.

Bardzo skrupulatny teoretyk kaznodziejstwa wytknąłby jeszcze ks. Bacherowi wadliwe użycie tekstu naczelnego, który częściej czerpie z innych źródeł jak Pisma św.

Wogóle dzieło to z przyjemnością i pożytkiem się czyta, a kończy się z tem przekonaniem, że ma się owoc umysłu wykształconego, talentu poważnego, pracy sumiennej.

*Ks. Jarosław Rejowicz.*

**Das Rosenkranzgebet im XV und im Anfang des XVI Jahrhunderts.** Von *Wilhelm Schmitz S. I.* Freiburg im Breisgau. Herder 1903.

Książka, jak już z tytułu widać, treści historycznej, ma nam wykazać początki i potężny rozwój nabożeństwa różańcowego (część I),

a zarazem zaznajomić nas z praktyką, jakiej się trzymano w odmawianiu Różańca (część II).

Początek właściwemu Różańcowi dali dwaj Dominikanie: Alanus a Rupe we Francyi, a w Kolonii O. Sprenger, przeor tamtejszego konwentu. Do bractwa założonego tutaj w r. 1474 garnęli się papieże, cesarze rzymscy, króle i książęta i to z gorączkowym pośpiechem, cechującym pobożność średnich wieków.

Z Kolonii rozszerza się to nabożeństwo coraz dalej, a dopomagają do tego literatura, sztuki piękne i kaznodziejstwo.

Aby nam przedstawić jak zapatrywali się współcześni na to nabożeństwo, posłużył się autor utworem poetycznym p. t. *Praesten i Odense. Herr Michaels tre danske Riimverker fra A. 1496. Om Jonfru Marie Rosenkrands. Om Skabelsen-og Om det menneskelige Levnet* (wydał Chr. Molbech r. 1836).

Z rozbioru tego poematu dowiadujemy się, z jaką gorliwością starano się o rozszerzanie Różańca, jakimi odpustami był obdarzony, jakich miał nieprzyjaciół wśród protestantów i katolików. Już wtenczas istniał zwyczaj noszenia Różańca na szyi; odmawiano go zaś przynajmniej raz w tygodniu, podczas Mszy św., rozmyślając przytem o tajemnicach życia Pana Jezusa lub o prawdach wiary naszej. Tajemnice te obierano dowolnie tak co do treści jak i co do liczby i tylko pomału dopiero skrystalizowały się do liczby naszych trzech tajemnic: radosnej, bolesnej i chwalebnej.

Nadto wspomina autor nieco szerzej o dwóch jeszcze innych zabytkach z tych czasów: pierwszym jest „Modlitewnik Maryny Jespersdatter“ znaleziony w Bibliotece uniwersyteckiej w Kopenhadze, drugim *Liber monasterii b. m. v. in lacu...* własność Biblioteki OO. Jezuitów w kolegium niegdyś „M. Boskiej ad Lacum“ (obecnie we Falkenbergu).

Z obu tych rękopisów dowiadujemy się że oprócz rozmyślania tajemnic, dodawano do Różańca wiele modlitw, na początku i na końcu każdej tajemnicy, podobnie jak dzisiaj.

Wogóle znajduje się w tej książce wiele cennych szczegółów, a bardzo pożądanych dla badacza historyi Różańca w XV i XVI w. Ważną też usługę oddał autor przez swą skrzętną pracę, z jaką zestawił bibliografię Różańca z tej epoki. Przedewszystkiem jednak z uznaniem podnieść należy tę okoliczność, że niniejsza książka zaznajamia nas ze źródłami, pisanemi w języku duńskim, dla ogółu mniej więcej nieprzystępnym

Jedna tylko rzecz może razić. Czy przypadkiem tytuł nie zapowiada zbyt wiele? *Das Rosenkranzgebet im XV und im Anfange des XVI Jahrhunderts!* W tych wiekach kwitnęło to nabożeństwo nie tylko w Niemczech i Danii, ale wszędzie, po całej Europie, każdy czy wieśniak, czy mieszczanin, szlachcic prosty czy magnat, wszyscy ubiegali się o „zaszczytną pelerynkę czerwoną bracta różańcowego". Nawet poza Europę przeciskało się to nabożeństwo, początkowo lądem, przez Polskę i Persyę do Indyi i Chin, a później morzem, śladami Kolumba i Vasco de Gamy.

O tem wszystkiem w niniejszej książce ani wzmianki, a przecież sądząc z tytułu, należałoby się o tem choć krótko wspomnieć.

Dalej, gdy mowa o sztuce „różańcowej", wylicza autor dzieła jednego tylko Dürera. A czyż Włochy lub Hiszpania nie miały swoich „Dürerów"? A jeśli wspomnimy na wielki ołtarz w kościele Najśw. M. Panny w Krakowie, to mimowoli przychodzi nam na myśl, że i nasz Wit Stwosz zasłużył na coś więcej, niż na samo tylko wymienienie nazwiska. Krótko mówiąc, cała ta książka robi wrażenie, — jak do tego przyznaje się sam autor w przedmowie, że pierwotnie miał zamiar zaznajomić nas z nieznanemi zabytkami literackiemi, jakie się odnoszą do nabożeństwa różańcowego w krajach duńskich. Tutaj nadarzyła się aż zby dobra sposobność, aby wspomnieć o *Liber monasterii b. m. v. in lacu,* którego posiadaniem szczyci się zakonna biblioteka. Ogólne myśli wstępne, a przedewszystkiem artykuły ks. Thursten T. J. w angielskim czasopiśmie *The Month* dokonały reszty, ale nie w ten sposób, aby można było położyć tak ogólny tytuł.

Szkoda też, że autor nie wspomina o tem, skąd pochodzi zwyczaj odmawiania 150 pacierzy, ani o tem, jakim był właściwie Różaniec św. Dominika.

Mimo te usterki, czyta się książkę z przyjemnością, bo jest napisana przystępnie, a odsłania niejedną stronę z życia religijnego średnich wieków.

*K. K.*

**Dubrownicka Trylogia.** Allons enfants. — Suton. — Na taraci. (Zmrok. — Na terasie). *Ivo Vojnović.* Wydała Matica Hrvatska. Zagrzeb 1902. Druk C. Albrechta. (Jos. Wittasek).

Dubrownik, jak się nam przedstawia ze złotawymi, potężnymi murami, wyrastającymi z szumiącego błękitnego morza, ze strażą dwóch klasztorów, czuwających od wiek wieków przy dwóch bramach przeciw-

ległych; *Fratri crni,* Franciszkanie, przy Pile, bramie zachodniej, *Fratri bieli,* Dominikanie, przy Ploče, bramie wschodniej, opieczętowany na wszystkich murach i basztach, jakby starą sławną pieczęcią — rzeźbioną postacią św. Vlaha (Błażeja), ukochanego patrona, z wieżami kościołów, których kopuły przypominają daleki Wschód, z pięknym a martwym dziś pałacem kneziów, z życiem sączącem się po cichych ulicach, jest dziś sam sobie wielkim, pięknym pomnikiem. Wzywa myślicieli i marzycieli, by wskrzesili go takim, jakim był, z jego egzotycznym kolorytem, z czarem, który bądź co bądź tu żył. A jeśli przybysz to odczuwa i staje zapatrzony, cóż dopiero syn Dubrownika, mający w sobie tę samą krew, która płynęła w twórcach tego miasta i tej przeszłości. Żal i dziwno, że do bardzo niedawna, nie znalazł się nikt, coby się starał podnieść przed czytelnikiem tej zasłony, pod którą usnął piękny, dawny Dubrownik.

Dwa lata temu ukazała się książka, mówiąca o Dubrowniku, a napisana przez wlastelę[1] Dubrownickiego, Iva Vojnovića — książka piękna, na której warto uwagę zatrzymać.

Trylogia Vojnovića odgrywa się cała w smutnej już dla Rzeczpospolitej epoce: to chwila utraty wolności i chwile po utracie onej. Składa się z trzech części, nie stanowiących ściśle związanej całości. Łączy je wspólność przedmiotu: nieszczęście Dubrownika i wspólność nastroju: zapatrzenie w świetną przeszłość. Łączy je też luźnie nić wspomnień: postacie będące w jednej części bohaterami, wracają w drugiej jako bohaterskie wspomnienie. Autor starał się zachować pełny nastrój dawnego Dubrownika w pejzażu prześlicznym, jedynym w swoim rodzaju, a którego żal prawie na dramat, bo dramat z natury rzeczy górować musi nad pejzażem i w charakterystyce plastycznej postaci, którym zachował nawet ich Dubrowacki dyalekt pełen italianizmów. — W niektórych postaciach odnajdujemy rysy z blizka nam znane, niektóre z nich zaś możnaby podciągnąć pod kategoryę maeterlinkowskich, gdyby się nie czuło jak bardzo są u siebie w tem otoczeniu. Wszystko to razem organicznie zrośnięte wyrasta z przeszłości — z wszystkiego bije koloryt lokalny, a mający dla nas tyle uroku w połączeniu egzotyczności z elementem naszym rodzimym, słowiańskim. Trudność techniczą stanowi to, że każda z tych sztuk jest jednoaktową, więc sceny odrębne przesuwają się przed widzem kolejno na tej samej wi-

[1] wlastela = szlachta, obywatelstwo.

downi. Autor potrafił tę trudność zręcznie obejść, ale widzowi ona jednak przeszkadza.

Pierwsza z trzech części *Allons enfants* rzuca światło na chwilę krytyczną w dziejach Dubrownika. Lauriston na czele wojska francuskiego stanął pod bramami miasta i żąda otworzenia ich pod pretekstem, że to tylko o przeprowadzenie wojska chodzi. Naturalnie, że Francuzi raz wszedłszy, już w Dubrowniku zostali — że za tem poszło zniesienie republiki, jej samorządu, jej życia.

Autor otwiera przed nami wnętrze staro-arystokratycznego własteiskiego domu. Niejedno pokolenie tu żyło, niejedno przyczyniło się do splendoru domu rodzinnego, niejedno przeszło, zostawiając za sobą chłód i dostojność rzeczy minionych. O te stare mury, o starożytną ciszę, gdzie mieszka jeszcze, zda się jęk płaczu po odeszłym niedawno umarłym, ociera się życie codzienne, wpadają w nie głosy uliczne i inne jeszcze głosy, głosy ludzkie wzburzone, niespokojne, głosy jakiejś walki, która się za drzwiami toczy.

We wstępie tym, autor odrazu na scenę aktorów nie wprowadza, potrafił jednak wywołać inscenizacyą i pozascenicznymi efektami nastrój zasadniczy, nie tylko dla części pierwszej ale i dla całej trylogii. Przeszłość świetna, umarła, patrzy obojętnie na zalewającą ją równie obojętnie teraźniejszość. Dramat cały to kolizya tych dwóch epok w epigonach.. Jedni z nich kochają tylko świetną przeszłość bez teraźniejszości, bo im się ta za małą wydaje; niektórzy z nich kochają nawet przeszłość bez przyszłości. Drudzy kochają egoistycznie teraźniejszość, a nie oglądają się na przeszłość ani na przyszłość, o ile się ona osobiście ich nie tyczy. Pierwsi zahypnotyzowani przeszłością, bronią się teraźniejszości, bądź rozpaczliwą walką, jak bohater pierwszej części, bądź biernym oporem, jak bohaterowie dwóch drugich. Teraźniejszość, niezmiennie i koniecznie zwycięzka, walczących łamie, opornych pomija, a tem ich również unicestwia.

Walka pogrzmiewająca z daleka, staje przed naszemi oczami razem z bohaterem Orsatem, wpadającym na scenę jak zwierz ranny, gnany wykrzykami nienawistnymi, które za otwarciem drzwi, „jak z przekipiającego kotła za podniesieniem pokrywy“ buchają.

O co właściwie idzie? Francuzi pod bramami miasta żądają kluczy, by przez miasto „przejść“. Rosyanie posiadając już Cattaro, namawiają ich do oporu i obiecują swą pomoc i opiekę! Orsat bohater sztuki jest raczej za przyjęciem pomocy Rosyan, widzi w tem zbawienie Rzeczypospolitej, a wie, że Francuzi śmierć niosą; jego przeciwnicy

zaś: większość, jeśli są za wpuszczeniem Francuzów, to dla tego prawdopodobnie że... pierwsi przyszli. Stąd walka, jeśli nadludzkie wysiłki jednostki chcącej podważyć bryłę bezwładną, nazwać walką można. Skałę rozsadzić można, ale co robić z kupą ciężkiego miałkiego piasku? Przeciwnicy Orsatowi, to właśnie taki piasek, którego niepodobna ująć: sypie się przez palce.

I tak: Dżiwo oportunista bezczelnie wygodny, oburzający się: „Znowu zaczynacie! Zdaje mi się, że dosyć było mordęgi! przez trzy dni dyskusye w senacie, a potem jeszcze tu cały dzień!“ Lepiej już „gdy przejdą (Francuzi) pogadamy o tem, coś dziś proponował“; i Niksza z za chłodnej obojętności, którą się okrył, rzucający sarkazmy na prawo i na lewo, a gdy dyskusyą nadto znudzony, zatapiający się w dziełko Lukana, które nosi zawsze z sobą, a polemizujący z Michą, bo ten znów woli Owidyusza; i Sabo znajdujący czas i sposobność w tej chwili przypomnieć jak to na propozycyą zajęcia przy Napoleonie zaszczytnego stanowiska, odpowiedział mu: „przebacz Sire! Kto się rodził wlastelą nie może towarzyszyć takiemu, który mu nie jest parem“; i Wlad' niepokojący się, że go „Magduś czeka“ i Luko informujący się czy Lauristonowi trzeba mówić „Eccelenza“, wszyscy mają jedno pragnienie: skończyć co prędzej narady. Słusznemi się wydają słowa Orsata: „umarli zmartwychwstają, ale jeśli żywi umrzeć chcą?“.

A jednak to ludzie z rodów odznaczających się w dziejach, noszący na sobie coś z dostojeństwa zdobytego przez długi szereg przodków kulturalnych, piękna skamieniałość, w której duch zapomniał już swych dróg, choć je sam przez wieki w szlachetne linie wyrzeźbił. Jedna cecha została im po ojcach: duma rodowa, jedna troska: utrzymać się na uprzywilejowanem stanowisku. Orsat chce się na ludzie oprzeć, chce lud do senatu wprowadzić.

„Chcesz rewolucyi?“ — pytają go.

„A ktoby mi zabronił?“

„My, większość! My, którzy i ciebie złamiemy, jeśli się opierać będziesz postanowieniu senatu!“

„A czemuż więc my dziś przyjmujemy obcych sanskulotów i jakobinów?“

Republika ginie! Co tam! większość zdecydowała, senat postanowił i ta instytucya, jak każde ciało, z którego życie uszło, im potężniejsze i wyżej wzniesione było, padając tem więcej spustoszenia swym upadkiem zdziała.

Wejście Knezia powoduje ogólne zdziwienie.

„Kto mu pozwolił opuścić pałac?“ (ma przecie siedzieć w pałacu i być kneziem, na wszystko inne potrzebuje pozwolenia).

Kneź zdaje się być zaprzątnięty jedną bawiącą go widocznie myślą:

„Otóż list Antuna Sorga z Paryża. Warto przeczytać! Wiecie jak zaczyna? *Eccellentissime Principe*, drogi mój Maro — a więc was jeszcze dyabli nie wzięli, jeszcze republika żywa? *eccetera, eccetera*“. — Śmiech, hałas, Kneź się także śmieje. — „Aa! byłbym zapomniał... Karlo, Tomo... tak, zdaje mi się przyszedłem wam przypomnieć, co macie czynić...“

Posłaniec od Pile przybiegł z zapytaniem, czy ostatecznie Signoria zgadza się na wpuszczenie Francuzów?

Orsat: „Jakto? tak zaraz?“

Kneź: „Ale co za myśl! Będę go razem z wami *in gran pompa* w kneziowskim dworze oczekiwał, a Tomo i Karlo pójdą na Pile powiedzieć, że protestujemy, żeśmy neutralni, a wreszcie — niech przejdą... Potem wywiesimy banderę św. Vlaha, około niej ustawią się żołnierze... Niech wie Lauriston z kim ma do czynienia!“ Bolesne echo wywołują w nas te słowa.

Kneziowi idącemu z obecnymi, by zamiar w czyn wprowadzić, zastępuje drogę Orsat w Rejtanowem uniesieniu:

„To mój dom, to moje drzwi, tu panem ja“.

„Orsacie, jam twym księciem!“

„I dlatego żeś mym księciem, otom na kolanach przed tobą — oto całuję kraj twego płaszcza i mówię: Panie! nie słuchaj nas i naszej złości... Pomyśl w tej sądnej godzinie, żeśmy twoi niewolnicy... Pomyśl, że nam dusza wygasła, że nie wiemy, kim byli nasze ojce, którzy z tego gniazda ołtarz uczynili i rzeknij w głębi duszy, żeśmy resztki wybranego pokolenia bez krwi, bez woli, bez mózgu — a gdy to wszystko przemyślisz, powiedz jedno tylko słowo... jedno tylko — powiedz: Panem ja!... I każ niech most przygwożdżą, ogłoś, że władzteli niema, że tu jest lud i ty!... w więzieniu nas zamknij wszystkich...“ Nagle, jakby uświadomiony do kogo właściwie mówi, że przed nim manekin w purpurze a nie kneź z krwi i kości: „Czemu on w purpurze, kiedy nie ma pięknej krwi, która zmywa grzechy — kiedy nie ma łez, kiedy nie ma męki, kiedy to wszystko zguba w hańbie“!..

Widzi, co idzie, co przyjść musi.

„Oto brama rozwarta, most spada... wchodzą. Ilu ich... wszyscy

żądni sławy, wszyscy śmieją się, plują na czarne mury, wszyscy krzyczą: Gdzie twa korona? twoja swoboda? Otoś jest, jako i my! Oh!"

„Jeszcześmy potęga!... ja, ty, my... My króle! jeszcze nasze morze i nasze twierdze... A jeśli ta tysiącletnia ziemia swobody, musi już przepaść — my! chodźmy bracia! oto łodzie nasze czekają nas w porcie. Wejdźmy na nie, podnieśmy chorągiew św. Vlaha i w żagle! — O szczęśliwa jazdo! — Chodźmy! chodźmy! Mewy i obłoki pytać nas będą: kto wy? kogo szukacie? a żagle odpowiedzą: „Dubrownik płynie! Dubrownik szuka pustej skały, by ukryć na niej swobodę!" Pokażcie nam ją obłoki! pokażcie nam ją mewy!"

Nareszcie!... w obecnych widać wzruszenie, niektórych oczy łzami błyszczą.

„O błogosławione te łzy! prędko! prędko idźmy, zatrzymajmy klucz! Oh! zbawieni! zbawieni!..."

W tej chwili najwyższego uniesienia słychać daleki wystrzał działowy.

Dżiwo: „To znak!"

„Znak? Znak?"

Znak umówiony: pierwszy wystrzał, Lauriston przyjmuje posłańców, a drugi, Francuzi wchodzą.

Orsat zrozumiał: Knezia niema, wielu z otaczających także niema, poszli wpuścić Lauristona.

„Nie masz się co trapić, pozwoliliśmy ci mówić, wszystko coś chciał", mówi Dżiwo.

Orsat zawładnął sobą i z kamiennym spokojem: „Żal mi tylko, żem was tak długo zatrzymywał".

Został sam, ostatkiem sił dowlókł się do krzesła, rzucił się w nie, przegiął całem ciałem na stół i jak dziecko oparł twarz na łokciu. W milczeniu domu martwego rozlega się jego męzkie łkanie.

Autor daje nam jeszcze scenę między bohaterem, a ukochaną jego Deszą:

„Pięknaś jako śmierć i dumna..." „tyś jedyna, która może być ze mną i wzywać mię". — Słońce przed niemi zachodzi, „słońce swobody". — „Patrz, patrz, jeszcze trochę, jeszcze ślad". — „Już, już..." niema go — Słychać marsyliankę, pieśń zbuntowanej wolności, która teraz ich wolność zabić przyszła! „Słyszałem ją w Paryżu, gdy głowa króla spadała, jak dzisiaj nasza!" — Czy mogą być teraz szczęśliwi?... jeśli zapomną... czem oni teraz? „niewolniki!" czem dzieci ich będą?... „niewolniki"! — „Tedy wybieraj: — uścisk, którym Orsat Deszę

obejmuje kończy się krótkiem, męzkiem „Nie!“ Został sam, znowu na scenie pusto — do złamanego Orsata poczynają dopływać głosy ulicznego życia; jak zwykle po wstrząsających scenach robi codzienność wrażenie maszyny głuchej, bezlitośnej, głupiej.

Tak kończy Vojnović pierwszy dramat — scena z Deszą choć sama w sobie ładna, zdaje mi się obniża naprężenie nastroju: jakby umarły, na którego śmierć dopiero co patrzyliśmy, drugi raz umierał, zostaje wrażenie, że sztuka ma dwa zakończenia, zamiast jednego.

Dwie osoby wchodzą jeszcze w skład tego dramatu, w epizodycznej scenie zręcznie wtrąconej; to wlastelka zdziecinniała prawie, nosząca nieświadomie pewien nastrój poezyi oranżeryjnej, sentymentalnej, nikłej, coś jakby nuta szpinetowa — sztucznej, jak poezya Dubrowacka z drugiej ręki, ale mająca wdzięk swój, i Križe, młoda, pełna sił i radości życiowej dziewczyna. Gospodję Anę męczy zapach róży, którą Križe u sukni nosi, męczy jej żywość; Križe męczy nieruchomość i sentymentalne sztuczne wiersze Metastazya, po raz setny czytane, przerywa je co chwila pytaniami o żywych Francuzów, którzy ją mocno, a bardzo subjektywnie obchodzą: „Kiedyż Francuzi przychodzą?“. — Gospodja Ana z naciskiem: „Francuzi przechodzą“! „I nie zostaną?“ jaka szkoda!. — „Križe! Metastazyo!“. — Czytają dyalogując, wiersz zaczęty przez jedną, kończy druga. — Gospodje Anę powoli ogarnia zmęczenie, drzemka, półsennie kończy [1]: „*Vado, ma dove o Dio!*“ — Križe: „*Resto ma poi... che fo?...* kończy, gdy g. Ana już zasnęła: „*Dunque, morir dovro*“ usta dziewczęce bezmyślnie wymawiają wyrazy, które dojmująco są tu na miejscu. Scena ta ma dużo wdzięku, choć jest melodramacikiem wplecionym w dramat; tem większa zasługa autora, że mimo to jest artystyczną.

Druga część trylogii zatytułowana *Suton* (Zmrok). Jak w pierwszej części widzimy i tu koniec wspaniałego dnia, ale nie już całego narodu, lecz koniec jednej rodziny, cała więc sztuka mniej wielka w swojej tragiczności, ale niemniej tragiczna.

Rozgrywa się w domu jednej z wlastelskich rodzin dubrownickich, teraz pogrążonej w absolutnem ubóstwie z ciężkim balastem dumy rodowej. Matka wdowa, przed córkami kryjąca przygnębienie, na odgłos ich kroków ocierająca czemprędzej oczy: „Powiedziałyby, broń Boże, że płaczę!“ Kryjąca ubóstwo, naturalnie bezskutecznie, przed starą

[1] „Idę, lecz gdzie? o Boże!“ — „Zostaję lecz potem... co zrobię?...“ „A więc umrzeć będę musiała“.

sługą, opiekuńczym duchem rodziny. Niema pieniędzy na jutrzejszy obiad.

„Gdy wrócą dziewczęta dadzą ci je, wiesz przecież, że panna Made ma klucze...“

„Wiem, wiem, ale tymczasem...“

„Co?“

„Powiedziały mi: ‚matka ci je da!‘“

„A! jeśli powiedziały, to tak i będzie“. (Niema ani centa!)

Córki, Made i Ore, przeszły epokę młodości, najmłodsza Paola czuje w sobie ostatnią, może najsilniejszą jej falę. Tamte dwie zapatrzone do śmieszności w przeszłość świetną rodu swego. Los i przyszłość groźną wobec niedostatku, przyjmują obojętnie, jakby jej nie widząc. Wygasła w nich młodość, wygasły w nich nadzieje osobiste jeśli były... może były, bo został pewien zakwas, pewna zazdrość wobec najmłodszej Paoli. Ta jest właściwą bohaterką dramatu. Nosząca w sobie uczucia skryte, a skazane na śmierć, oczekuje co wiosny, „jakby miało jeszcze coś przyjść!“ A przytem ona jedna z sióstr czuje nędzę: „Powoli, powoli wwlekła się przepaść w nieszczęsny nasz dom...“ Na to matka: „Odkądże to wlastela niema się chlubić nawet i swoją nędzą? Gdy Dubrownik w poddaństwie bądźmy i my w trosce... władaliśmy lat tysiąc, czas umrzeć“. Ileż łez musiało spłynąć, by się pod niemi zrodziła taka kamienna rezygnacya, w niej się już wszystko przepaliło.

Autor lubi wywoływać nastroje to cytatami wkładanemi w usta swoich bohaterów, to asocyacyą zdarzeń i tu mamy podobną scenę:

Made i Ore zwijając bawełnę opowiadają sobie z uniesieniem o czasach chwały rodu swego, kiedyto Don Vladislav di Benessa (Benesza — Dubrowczanie często italianizowali swoje nazwiska) posłował do Karola V. Na bawełnie robi się węzeł, Pawla przychodzi siostrom na pomoc z nożyczkami — uwaga matki: „Trzy ich było, jak i tu“ — w zamyśleniu patrząc na Pawlę: „Kloto przędła, Lakezis zwijała...“ — Pawla do siostr: „Darmo, trzeba przeciąć“. — Matka dalej: „A trzecia... ale jakżeż się ona nazywała?“ — Pawla: Atropos, matko“. — To samo imię powróci jej na usta w najtragiczniejszej chwili.

Te cytaty, to odnoszenie się do wspomnień klasycznych robiłoby wrażenie sztuczne, gdyby cała atmosfera, w której przebywamy, taką nie była. Sztucznym wogóle być musiał świat, odcięty losem od działalności, która go w czasie wieków na wyżyny wyniosła, a raz ustawszy zabrała całą racyę bytu, zostawiła go w bezczynności z jego kulturą, która w zastoju musiała się stać wymuszoną. Znający bliżej sto-

sunki zarzucają dramatowi przesadę w porównaniu z rzeczywistością. Trudno jednak autorowi zaprzeczyć prawa podniesienia wszystkiego na jaką chce skalę, byleby żaden szczegół nie wyrywał się z całości.

Pawlę niecierpliwi egzaltacya sióstr. Nie dosyć jej patrzeć na zachód słońca: jej słońce jeszcze nie zaszło, może mieć przed sobą długi jasny dzień, jeśli tylko zechce, — gdyby tylko jej wolno było chcieć. Na scenę wchodzi stara sługa: „Kapitan Lujo kazał oznajmić, że chciałby pozdrowić panie".

Kapitan Lujo kochający Pawlę i kochany przez nią od dzieciństwa, nie jest wlastelą i to ich nieszczęście. Po ośmiu latach włóczęgi po morzach, wysłany, by o niej zapomniał, wraca znowu. Ona wie, że to ostatni raz, „błysk słońca, a potem jeden długi ból... jedna noc". Ból jej tem większy, że niema wiary w to, dlaczego poświęca szczęście swego życia, musi to zrobić i będzie zawsze niewolnicą godności rodowej, jak on wchodząc pod dach wlastelski stawać się zawsze będzie kmieciem. Tem większy ból, że widzi całą nędzę swego świata, który opuścić uważa za przeniewierstwo — „nie będzie wyrywać kamieni z popękanych murów" — „nie opuszcza się tonącego okrętu". Darmo Lujo woła: „Ludźmi bądźmy, złammy okowy".

Podnosi jeszcze przygnębiające wrażenie kontrast między pełnym życia i siły Lujem, a półtrupami, zidyociałymi starcami, Vlastelą, którą na scenę wprowadza autor, a do których matka i siostry uśmiechają się i garną. Jeden z nich otoczony nimbem ostatniego żyjącego z kneziów. Rozmowa toczy się długo, szczegółowo o tem, czy padał deszcz na święto sv. Vlaha w 1796 kiedy kneź Beneša przyjmował poselstwo obce (rzecz dzieje się w 1832), i o reumatyzmach knezia.

Lujo do Pawli: „I z nimi możesz żyć?"

Pawla z bladym uśmiechem: „I umrzeć!"

Na szali zaważyło jeszcze słowo rzucone jej przez siostrę: „Pamiętaj na Maryę Orsolę". Marya Orsola to postać z szeregu przodków, która kochając także nieszlachcica, wolała pójść do klasztoru, niż się sprzeniewierzyć „wielkiej myśli".

Wielka myśl! czytelnik mimowoli się zżyma, tak to bohaterskie poświęcenie dla dumy rodowej szczęścia całego życia postawione jako obowiązek ideowy, wydaje się bezpodstawnem — i taką niesprawiedliwością, duma rodowa depcząca dumę człowieczeństwa.

Ale matka Pawli, gospodja Mare, uważa to za rzecz zupełnie naturalną. Córce, która w uniesieniu woła: „Szczęście zabite, młodość zduszona, duma pusta ocalona!..." — odpowiada:

„Marya Orsola nie wymówiła słowa, zgięła głowę i poszła".

„Umrzeć a milczeć! to nam nasi starzy kazali... chcesz czynu... niech będzie jak chcesz!"

Padają warkocze pod własną ręką Pawli — a matka przejęta heroizmem córki z bólem i dumą bierze ją w ramiona.

Pozostaje jeszcze do przejrzenia część trzecia, do której powrócimy w przyszłym numerze.

*Saryusz-Nagoda.*

**L'enfant et la vie.** *Henri Bremond.* Paris. Victor Retaux. 1902. (Str. XLIV + 278, w 8-ce).

Sam autor we wstępie *(Avant-Propos)* zaznacza, że tytuł grzeszy trochę nieskromnością i niejasnością, wnet jednak pociesza czytelnika, że to tylko ułuda. Trzeba przyznać, że na efekt obliczony tytuł, w ciągu czytania nigdzie nie jest ubrany w ażurową sukienkę, owszem, w miarę jak się czyta książkę, nabiera się i szacunku dla wielkiej skromności autora i podziwu dla oryginalności dzieła. W książce nie znajdzie się ani litery mniej skromnej, a oryginalność dzieła, w układzie i przedstawieniu, nazwałbym amerykańską. I rzeczywiście, treść tego dzieła o wychowaniu dziecka, po tysiąc razy omawiana przez najznakomitszych mężów, dzięki tej oryginalności, staje się nadzwyczaj zajmującą, a spora liczba kart książki, choć z początku nastrasza, przy czytaniu nie nuży.

Więc napróżno będzie szukał czytelnik rozdziałów, paragrafów i t. p. kawałkowań omawianego przedmiotu — jest za to wstęp, przedmowa, wprowadzenie, część pierwsza i druga, dokończenie i dodatek. Przedmowa, niezwykle długa, bo aż na 44 stronicach, przedstawia się bardzo oryginalnie. Jest to rodzaj literackiej mozaiki, ułożonej z najpyszniejszych myśli o wychowaniu, wyjętych z pism znakomitszych wychowawców i mężów uczonych francuskich i angielskich. We „Wprowadzeniu" *(Introduction)* czytelnik zapoznając się z portretami dzieci źle i dobrze malowanemi na wystawie paryskiej w *Petit Palais,* uczy się przytem rozpoznawać życie psychologiczne dziecka. W dwóch częściach książki autor podaje rozmaite zasady wychowania i środki i wzory. Dla lepszego poznania książki zbieramy naukę autora w pewne ogólne, zasadnicze pojęcia.

Najpierw zapytajmy, jaki jest cel książki? Autor chciał zwrócić uwagę wychowawcom, utrzymującym zwłaszcza pensyonaty i konwikty, na zasadniczy punkt wyjścia we wychowaniu powierzonych im dzieci.

Tym zasadniczym punktem jest charakter dziecka, który według własnej każdemu natury, winni rozwinąć i wykształcić, aby dziecko przysposobić do życia (str. 147, słowa Newmana). Przypominając w całem dziele wprost i ubocznie ten tak wzniosły a zdrowy cel wychowania, powiada słusznie, że tłem wychowania winna być religia, a dziecko powinno się wychowywać w otoczeniu piękna i niczego nie trzeba się tak strzedz, jak tego, aby sobie dziecko nie obrzydziło cnoty, a nie pokochało występku.

To też logicznie domaga się, aby w dziecku rozwijać przedewszystkiem wolę, nie krępując jej musem, ale w granicach dobra pozwalając jej, by się hartowała własnemi postanowieniami. We wykształceniu religijnem chce, aby dziecko nie tak uczyło się katechizmu, jak się uczy np. geometryi, ale tak, aby według tej nauki żyło (str. 166). Złota uwaga, dziś niestety! prawie nieuwzględniona. Omawiając wykształcenie naukowe (część I-sza) prześliczną znowu i drogocenną daje wskazówkę, mianowicie, aby wychowanka nie pozostawiać na nizkim poziomie zadowolenia naukowego, ale przez to zadowolenie prowadzić go ku wyższym ideałom (str. 146).

Środki zaś, jakimi mają się posługiwać wychowawcy są głównie: w nauczaniu opowiadanie, w życiu przykład. Ogromny nacisk kładzie autor na opowiadanie i większą część książki temu przedmiotowi poświęca; pragnie zaś, aby ono było jak najrealniejsze. Dzieci rozumieją tylko *une parole réelle.*

Z krótkich tych uwag, wyciągniętych z dzieła widzimy, że ono nie jest małej wagi i że może się bardzo przysłużyć w tak trudnem zajęciu i pełnem odpowiedzialności przed Bogiem i narodem, jakiem jest wychowanie młodzieży.

Nie trudno też będzie przeczytać to dzieło do końca i prędko, bo, jak wspomniałem, nie tylko układ, ale i sposób przedstawienia przedmiotu jest bardzo oryginalny i zaciekawiający. Zdaje mi się, że autor jakby chciał odrazu udzielić i lekcyi wychowawcom, jak się ma uczyć opowiadaniem. Cała książka to opowiadanie, którego treścią, to ta, to owa zasada wychowania. Na pierwszy rzut oka nazwaćby można to dzieło oceną literacką to portretów dziecięcych w *Petit Palais;* to pracy literackiej Mme J. Lavergne, która według myśli autora wychowała swe dzieci i napisała prześliczne dla nich opowiadania; to wychowania wychowawców angielskich, jak Arnolda de Rugby, R. H. Quicka, Edw. Thringa; a wszystko obok wielkiej erudycyi, z wła-

ściwą Francuzom lekkością, zgrabnie, zajmująco i pouczająco przedstawione.

Jedno tylko zarzucam autorowi, do czego on się sam zresztą przyznaje, że wychowawcom katolickim, przeważnie księżom, o których najczęściej mówi, wskazuje wzory zaczerpnięte nie z literatury katolickiej, ale z literatury Kościoła anglikańskiego; np. szeroko omawia sposób nauczania realnego Arnolda de Rugby, pastora angielskiego Kościoła. Wymówka samego autora i usprawiedliwienie, jakoby to czynił tylko ze względów literackich i technicznych (p. 209) nic nie znaczy, bo sam (l. c.) przyznaje, że katolicy nad nimi górują.

Kruszyć zaś kopii w obronie pensyonatów, czy konwiktów nie myślę, bo zgadzam się z autorem zupełnie, że najlepszą wychowawczynią, to święta matka, a najlepszym pensyonatem, to dom rodzinny. Ale kiedy dziś niema takich matek, słusznie autor mówi, że słowo kapłana-wychowawcy zastępuje słowo matki. *La parole du prêtre est comme la parole de la mère, une même grâce les inspire* (str. 153).

*Ks. H. H.*

# ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

**Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk.** Przez *A. Kraushara.* Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1820—1824. Kraków — Warszawa, 1904. (W 8-ce, str. 476).

Mamy więc przed sobą znowu ciąg dalszy tego znakomitego dzieła, gromadzącego szczegółowo materyały do historyi warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Księga III obejmuję epokę od roku 1820 do r. 1824, kiedy się już zbierały i gromadziły początki tej burzy strasznej, która w sześć lat potem miała nad krajem zawisnąć i autonomię jego wywrócić, ruinę i zniszczenie przynosząc...

Autor w tym tomie, jak i w poprzednich, trzyma się tej samej metody: sam rzadko się odzywa, natomiast każe mówić i świadczyć protokołom Towarzystwa i rocznym jego sprawozdaniom; tym sposobem mamy, jakby bezpośrednie zetknięcie się z ludźmi ówczesnymi, ich wyobrażeniami, ideałami i sądami. Właściwie powiedziawszy, szanowny autor nie napisał tu historyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale podał, przygotował niezmiernie cenne, bogate do tego materyały.

Tom ten podzielony na cztery części; potem następują odsyłacze i anneksy, w liczbie dwudziestu, a są pomiędzy nimi bardzo ważne i nieznane dotąd wcale.

Część I. 7—126, jest tak różnorodnej treści, że tego nawet w krótkości oddać nie można; są tu szczegóły o Lelewelu, o Surowieckim,

profesorze Łuczyńskim, o rękopisach po Kopczyńskim, o nowych członkach Towarzystwa, nowych wydawnictwach, instrukcyach, chmurach na widnokręgu i. t. d. Cz. II 127—242, obejmuje działalność Towarzystwa w 1821 roku; zastój w dziennikarstwie warszawskiem z uwzględnieniem niektórych wybitniejszych wydawnictw; zwiastuny romantyzmu i ocenienie tego kierunku; odczyty różne w Towarzystwie o nowych wynalazkach, o wydaniu kroniki Galla i dzieł Naruszewicza; nie zapomniano nawet o statystyce Podola przez X. Marczyńskiego, ani o sposobie plombowania zębów mieszaniną metaliczną przez d-ra Malcza.

Część III, 243—332, poświęcona czynnościom Towarzystwa w 1822 roku; mamy tu: wieści z Wilna, pierwsza prelekcya Lelewela, wiersz Mickiewicza (napisany z powodu objęcia katedry w Wilnie historyi powszechnej), nowe kandydatury (Jana Kantego Krzyżanowskiego, Bessera, Alojzego Biernackiego, Jana Mille, Antoniego Brodowskiego), o rozprawie botanicznej Andrzejowskiego, o Biblii szaroszpatackiej, innych nowościach naukowych i literackich owoczesnych; z czego uważać można, że działalność umysłowa we wszystkich zaborach Polski szczerze Towarzystwo zajmowała; wszędzie chciano i umiano wyszukać ludzi, pracujących na niwie naukowej i zachęcić ich do dalszych studyów. Skarbek rozprawiał o statystyce, Celiński o wodzie mineralnej w Sapieżyskach, Kitajewski o sposobach bielenia chlorkiem wapna, Bandtke o przekładzie Kownackiego Kroniki Dzierżny, Skrodzki o dziele kapitana Scoresby (opisanie fizyczne okolic koła biegunowego). W tym czasie Niemcewicz zalecał na członka Towarzystwa oryentalistę Józefa Sękowskiego (następnie literata rosyjskiego i wizytatora szkół białoruskich w 1825 roku), a do godności korespondenta przedstawiono Jana Gwalberta Styczyńskiego, profesora z Winnicy (przez omyłkę podano, że z gimnazyum wołyńskiego, p. 329, gdzie on nigdy nie był, dodajemy od siebie).

Część IV. 333—414, zawiera w sobie sprawozdanie z prac Towarzystwa 1823 roku, a przytem notowane są ważniejsze wypadki z naszej przeszłości w tym czasie, naturalnie w styczności będące z umysłowym rozwojem naszym: reakcya w życiu publicznem, jałowość dziennikarstwa miejscowego, dzieła na indeksie, sekatury Szaniawskiego, fundacya Hrubieszowska, różne nowe znowu dzieła owoczesne, zgon Adama Czartoryskiego i sprowadzenie zwłok jego do Warszawy, mowy Staszica, stosunki cenzuralne, nawoływanie o ochronę zabytków krajowych, inauguracya nowego gmachu Towarzystwa i opisanie jego, rozpowszechnienie prac Towarzystwa za granicą i t. d., oto jest mniej więcej treść tej ostatniej części.

Tom ten ozdobiony 70 rycinami, po większej części bardzo udatnemi; wydanie bardzo staranne, papier piękny, korekta dobra.

*G.*

**W sprawie walki z pojedynkiem.** *Dr. Zygmunt Gargas.* Lwów. Księgarnia Polska. 1903. (8-ka mała, str. 24).

Wobec zakorzenionej u nas bardzo silnie wady pojedynku, pojętego jako środek ochrony czci, była broszurka d-ra Gargasa bardzo na czasie. Autor rozpatruje szczegółowo kwestyę pojedynku z najrozmaitszych punktów widzenia, z których najważniejszym moment etyczny. On

to bowiem, jakkolwiek najsprawiedliwszy, stoi w żywej sprzeczności z obyczajem społecznym, przechodzącym tradycyjnie z pokolenia na pokolenie, a zatem silniejszym od wskazówek etycznych. W myśl nauki Kościoła zajęło prawo stanowisko bezwzględne wobec pojedynków. Ale — jak słusznie podkreśla autor — w społeczeństwie samem niema dotąd skrystalizowanego pojęcia czci, powtóre, środki karne, obecnie ustawą przewidziane, są niedostateczne, jeśli się je stosuje tak, jak teraz, t. j. jeśli we wszystkich prawie wypadkach nakłada się tylko karę pieniężną. W dalszym ciągu rozpatruje autor rozmaite inne środki prawne przeciw pojedynkom, jakie podnosili różni zagraniczni prawodawcy oraz sprawę sądownictwa pojedynkowego w ogólności. Ani sądy państwowe, ani sądy przysięgłych nie mogą odegrać wybitniejszej roli w sprawach o naruszenie czci. Za jedynie prowadzące do celu uważa autor, po gruntownym krytycznym rozbiorze, sądy honorowe, projektowane przez ligę antypojedynkową. Broszurkę kończy obszerne omówienie zasad, na jakich oparto świeżo założoną u nas „Ligę dla ochrony czci".

*K. S.*

**Słowianie o poematach Lumira.** Wydał jeden z przyjaciół jego. Kraków. Nakład i druk W. L. Anczyca i Sp. 1903.

Zapewne mało który z łaskawych czytelników wie co o Lumirze. Najlepiej jednak, jeśli nie wie nic a nic o nim. Lumirem jest niejaki p. Franciszek Eysymont, który z okazyi pięciowiekowego jubileuszu Uniwersytetu jagiellońskiego pozwolił sobie, będąc zamożnym obywatelem ziemskim, na wydanie kilku poematów, iście kalwaryjsko-częstochowskim rymem napisanych, o wspaniałych tytułach np. „Walka idei", „Perły", „Gwiazda Wschodu", „Poema-prolog". Krytyka przeszła naturalnie nad takiemi elukubracyami do porządku dziennego. To też jakiś nienazwany (na swoje szczęście) przyjaciel Lumira zebrał głosy obce, wyrażone w piśmie rosyjskim *Wołyniu*, w czeskim *Věstniku*, w łużyckiej *Łužicy* i chorwackim *Věnacu*, wykazując na ich podstawie, że myśmy nie poznali się na wartości utworów Lumira, które są genialne. Pominąwszy tę okoliczność, że owe obce recenzye pisane były przez dziennikarzy, a nie przez zawodową krytykę, pominąwszy dalej i tę, że wogóle nie warto, rozpatrywać tę omawianą broszurkę, muszę napiętnować publicznie jej autora. Nie chodzi tu wcale o to, ażeby rehabilitować polską krytykę, bo sąd jej o utworach Lumira jest uzasadniony i utrzyma się na zawsze. Chodzi tu natomiast o kalumnie, jakich parę rzucił anonimowy autor naszemu społeczeństwu, które jakiemkolwiek jest, nie zasługiwało na takie inwektywy. Za to, że krytyka polska najsprawiedliwiej w świecie wydała jednomyślnie sąd niekorzystny o elukubracyach wierszowanych Lumira, za to rzucił anonim społeczeństwu w oczy zarzut nędzy moralnej, dodając do tego, że dziś wstyd jest być Polakiem. Jeśli anonimowi wstyd być Polakiem, niechaj zostanie Hiszpanem lub Niemcem, przynajmniej na kilka miesięcy, na próbę. Możeby wtedy się przekonał, że los Lumirów wszędy ten sam.

*B. U.*

**Bądź błogosławiony.** *Stanisława Dąbrowska.* Lublin. Księgarnia F. Raszkowskiego, 1903. (16-ka, str. 189).

Zbiorek ten krótkich nowelek, ochrzczony nazwą pierwszej z nich, jest, o ile mi wiadomo, pierwszym występem p. Dąbrowskiej na polu literackiem. A że niektóre nowelki pisane są z widocznymi przebłyskami talentu, więc i miara, jaka będzie do nich przyłożona, musi być łagodniejsza, jako do pierwocin pisarskich. Autorka, będąc, jak to widać jasno z omawianej książeczki, wielką miłośniczką ludu siermiężnego, postanowiła w szeregu obrazków przeciwstawić szarą dolę wieśniaczego życia beztroskliwemu życiu klasy zamożnej. Nicby w tem złego ani nagannego nie było, gdyby autorka potrafiła była rzecz przeprowadzić konsekwentnie i zawsze dostosowała swoje pomysły do pewnej znośnej formy. Na nieszczęście, już w pierwszej nowelce p. t. „Bądź błogosławiony" bardzo niejasno i bez wyraźnego logicznego związku przedstawiony został rozdźwięk pomiędzy dworem a chatą. Pomijam już rzecz inną, tę mianowicie, że sam pomysł z zamkiem i kolejami, jakie przechodził, zbyt żywo przypomina Goszczyńskiego „Króla zamczyska". Inne dwie nowelki p. t. „Jaśko i Janeczek" oraz „Helenka" grzeszą brakiem jakiejkolwiek staranej formy, bo autorka zadowoliła się najzupełniej prostem przeciwstawieniem tego, co się dzieje w chacie, współczesnym wypadkom życia pańskiego. Gdyby nie ta niemożliwa forma obu nowelek i gdyby nie rażąca tendencya zwalenia całej winy za niedolę chłopa wyłącznie na „panów" (co nie jest ani sprawiedliwe ani uzasadnione), pomysł w nich użyty możnaby było lepiej zużytkować. Do najlepszych, prawie bez zarzutu, nowelek zaliczam dwa obrazki również z życia chłopskiego p. t. „Wawrzek" i „Doktór". Nowela o „Bogomirze", choć niezaprzeczenie ładna, nie przynosi niczego nowego, inne zaś drobiazgi są zbyt błahe.

*M. N.*

**Akwarelle.** *Marya Kazecka.* Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904. (8-ka, str. 134).

Tomik ten ma wszelkie zalety co do strony technicznej wydania: papier piękny, druk staranny, portret autorki, szkoda tylko, że pochwał takich nie można stosować do tego, co powinno stanowić jądro książeczki, do treści. Pisał już kto inny niedawno w *Przeglądzie* o pierwocinach pisarskich p. Kazeckiej. Ale to, co napisał, było ogromnie jeszcze chwalebne, wobec tego, co należy sumiennie powiedzieć o tak rychło po pierwszym spłodzonym tomiku. Naturalnie, że na 130 z górą stronach musi być wiele treści, ale — niestety — treść ta jest tak niemożliwie błaha, tak banalna, jak to sobie tylko wyobrazić można. Poza pewną niezaprzeczoną zdolnością do jakiego takiego wierszowania, nic tu nie znajdzie. Znajdzie chyba tylko echa wyraźne współczesnego rymotwórstwa, pozującego na górny ton i „królewski" nastrój, oraz oddźwięki utworów wybitniejszych naszych poetów. Wiersz np. taki: „łany pochylą kłosy przed nami w pokłonie i jakiś ogród zakwitnie tęczany... i słońce będzie wieniec swój świetlany kładło na nasze przemęczone skronie" lub też taki jak: „I spadać będą róże i jaśminy na nasze głowy"... przypomina się od razu jako niezgrabna kopia prześlicznego sonetu K. Tetmajera p. t. „A kiedy będziesz moją żoną"...

Te same w nim zwroty, te same słowa! A dziwolągów językowych także co niemiara, w rodzaju takich, jak np. „rozhowarzają“ (rutenizm), „zadumne“, zadumane (fałsz językowy!) i t. d. Wobec wzmagającej się ciągle manii rymotwórstwa — niszczyć tego gatunku chwasty — jest obowiązkiem krytyki. Kto nie ma nic do powiedzenia, niechaj pamięta, że milczenie jest złotem. Zamiast wspierać w ten sposób rozwój przemysłu drukarskiego, lepiej było przeznaczyć pewną kwotę na cel dobroczynny, a pożytku byłoby więcej i literaturyby się nie zachwaściło. Trzeba raz przecież zrozumieć, że znośne wiersze albumowe (niemal każdy wierszyk jest poświęcony komuś) nie są jeszcze prawdziwą poezyą.

*L. S.*

**Życie nie jest życiem, albo wielki błąd XIX wieku.** Przez *ks. biskupa Gaume*, protonotaryusza apost. Przekład *ks. W. M.* Warszawa. Nakładem księgarni K. Treptego.

Wiek ubiegły przekazał ten swój wielki błąd bieżącemu — zatopienie się w doczesności. Cierpi on na tę dziedziczną chorobę i bądź co bądź szuka na nią lekarstwa. Nie od rzeczy też będzie przypomnieć w 22 listach zamknięte, a z iście francuskim wdziękiem napisane dziełko, wykazujące, jak to, za czem gonimy tu na ziemi, jako za celem, jest tylko środkiem do osiągnięcia celu, już poza wrotami śmierci leżącego. Piękne są zwłaszcza, a poważnemi imionami Ojców i Doktorów Kościoła wsparte ostatnie listy, o końcu wszechrzeczy.

Przekład polski, przez jednego z naszych poważnych kapłanów, czysty, swobodny i przez łatwość stylu miły do czytania, doczekał się świeżego wydania, co najlepiej świadczy o nieprzestarzałości książki i jej obecnej potrzebie.

*A. R.*

**Z wrażeń życiowych.** *Julia Zawadzka.* Lwów 1903. Nakładem autorki, Z drukarni Zakładu Nar. Im. Ossolińskich. (W 8-ce m. str. 108).

W wierszu wstępnym „Do moich myśli“ stawia autorka za program swej poezyi opiewanie życia codziennej pracy, obowiązku, — „próżną czasu mitręgą“ jest gonić za jakimiś ideałami ludzkości, zastanawiać się nad rozwiązaniem filozoficznych problemów, wylewać uczucia wzburzonego serca. Nie należy jednak brać tego dosłownie; sama autorka dotyka wspomnianych tematów, a sposób, w jaki to czyni, pozwala zrozumieć właściwą jej myśl. Ale ta myśl jest błędną. Błędem bowiem jest twierdzić, że rozum ludzki niezdolny odpowiedzieć na pytania o początku i celu stworzenia, a w szczególności człowieka; a w przesadę popada, kto sądzi, że szczęścia na ziemi zaznać nie można, że spełnianie obowiązku daje spokój, ale zimny, martwy, oszukujący pragnienia i porywy serca.

Sądząc z poezyi, najczęstszym pokarmem autorki wśród życia były wrażenia zawodu i płynących z niego smutku i boleści. Nuta smętnej rezygnacyi, ukojonej pociechami wiary, rozbrzmiewa po całym zbiorku poezyi; wesołość jawi się tylko parę razy. Zresztą, dotyka autorka celu życia ziemskiego, przeznaczenia człowieka, znaczenia pracy i pełnienia obowiązków; napada na jednostronność filantropów, na panowanie protekcyi w świecie, a nawet na militaryzm (wiersz dość udatny); pomieszcza opisy przyrody (Zima, Jesień, Burza, Jaśmin i inne), choć zalegoryzowane, a kończy wierszami p. t.

„Przeczucie śmierci“ i „Modlitwa do Boga“.

Całość przedstawia się dość słabo. Technika wiersza prosta, w porównanie iść nie może z tem, co dzisiaj pod tym względem osiągnięto. Myśl nie odznacza się głębokością i oryginalnością, uczucie nie wstrząsa ani czaruje urokiem wdzięku, wyobraźnia nie maluje obrazów świeżych i barwnych ani poddaje świetniejszych pomysłów. Wszystko trzymane w obrębie monotonii i szarości życia codziennego.

*M. B.*

**Wiadomości początkowe z fizyki.** *Stanisław Kramsztyk.* Książeczka pierwsza. Wyd. trzecie. Warszawa 1903.

Są to bardzo popularnie skreślone elementarne wiadomości z fizyki. Książeczka przeznaczona dla warstw niżej stojących inteligencyą: do tego stosuje się układ i sposób przedstawienia. Że odpowiada potrzebie społeczeństwa i znajduje chętny pokup, świadczy choćby ta okoliczność, że ukazała się już w trzeciem wydaniu. Książeczka pierwsza obecnie wydana obejmuje dynamikę, hydrostatykę i aeorostatykę.

*J.*

**Die Gesundheit der Jugend** im schulpflichtigen Alter. Von *Oberarzt Dr. E. Lobedank.* Strassburg. 1900.

Dzieło to ma za cel, jak mówi autor w przedmowie, podać w krótkości rodzicom i nauczycielom te wiadomości z zakresu hygieny, które im są potrzebne przy wychowaniu młodzieży. Na początku wylicza i opisuje choroby właściwe szczególnie wiekowi dziecięcemu i młodzieńczemu i przedstawia przy każdej odpowiednie środki profilaktyczne, a również sposoby izolowania chorób i uchronienia innych od infekcyi. W częściach dalszych omawia hygienę pracy, porusza naturalnie kwestyę przeciążenia, poucza o sposobie odżywiania młodzieży, uprawie ćwiczeń fizycznych, kończy hygieną mieszkań i sal szkolnych.

Dziełko pisane przystępnie zawiera wiele pouczających uwag nie tylko dla wychowawców, rodziców, wogóle dla osób, które mają powierzone wychowanie młodzieży, ale stanowić może dobry podręcznik hygieny dla każdego, którego odnośne kwestye interesują, a chciałby w sposób łatwy z niemi się zapoznać.

*A.*

**Les marins en Chine.** Souvenirs de la colonne Seymour. Par *Jean de Ruffi de Pontevès.* Paris 1903.

Wspomnienia z ekspedycyi chińskiej spisane przez takiego *qui magna pars fuit.* Rzecz istotnie bardzo interesująca. Z tem przekonaniem bierzemy książkę do ręki i po jej przeczytaniu przekonywamy się, żeśmy się nie zawiedli w naszych oczekiwaniach. Autor brał czynny udział w całej kampanii i opisuje to, co widział, w sposób prosty, jasny, objektywny. Przedstawia czyny dywizyi francuskiej ze skromnością, właściwą wobec tego, że sam do nich rękę przykładał. O stronie przeciwnej wyraża się, jak przystało na żołnierza, bez uprzedzenia, bez szowinizmu. Szczegółów podaje bardzo wiele, przytacza nieraz całe rozmowy i listy. Pamiętniki te zdobi i objaśnia wiele rycin i planów sytuacyjnych, zdejmowanych na miejscu.

*B.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

PIUS X O FRANCYI.

Wielkie, niemiłe z jednej, uczuciem wdzięczności przepełnione wrażenie z drugiej strony, wywołały słowa Ojca św. o Francyi, wypowiedziane ośmnastego marca do grona kardynałów. Fakt, że dzięki pismom przemowa ta dostała się do znajomości naszego ogółu, uwalnia nas od przytoczenia jej w całości, wystarczy ją streścić. Francya daje codziennie dowody szczerego przywiązania do Stolicy św.; przeciwne, wrogie stanowisko zajmują jednak sfery decydujące. Nie wystarczyła dotychczasowa walka; mimo starań Ojca św. przygotowuje się projekt prawa niesprawiedliwego i mściwego, na mocy którego rząd dąży do zniesienia szkół, otwartych nie tylko przez kongregacye uznane, ale i przez te kongregacye, które właśnie w celu nauczania były powtórnie przypuszczone. Tym sposobem niszczy się podstawę społeczeństwa, naukę chrześcijańską; tysiące dzieci otrzymują wbrew woli rodziców wychowanie bez religii i moralności, tysiące zakonników i zakonnic muszą opuścić kraj i za granicą szukać przytułku. A przecież ich winą jest tylko to, że charakter religijny cechuje ich zgromadzenia. Takie postępowanie sprzeciwia się dobrze pojętej wolności, zasadniczym prawom kraju i Kościoła katolickiego

a nawet zasadom cywilizacyi; ta ostatnia zakazuje karać obywateli spokojnie swe obowiązki pełniących.

Nie mniej stanowczo wystąpił Papież przeciwko nietaktownemu i bezwzględnemu zachowaniu się rządu w sprawie biskupów wnoszących do prezydenta republiki protest przeciwko ustawom antykongregacyjnym. Książąt Kościoła, między nimi trzech kardynałów, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, jak gdyby korzystając z swego prawa, prawa nadużyli. „Chociaż obecne położenie głęboko nasze serca zasmuca, nie odbiera nam jednak odwagi; żyje w nas nadzieja, że Pan, wysłuchując modłów naszych i tylu pobożnych dusz, przyspieszy godzinę miłosierdzia i otworzy nawet serca tych, którzy dziś są głusi na głos Kościoła". Kończy gorącem i serdecznem wezwaniem do gnębionych i prześladowanych, by wzorem Chrystusa wrogom przebaczyli, a oddając się życiu wiary i pracy ku niebu wzrok swój kierowali.

Pius X zdawał sobie dobrze sprawę z wrażenia, jakie jego słowa w przeciwnym obozie wywrą, ale Rzym doszedł do przekonania, że dziś już nic więcej stracić nie można, i że większa stanowczość jest wskazana, choćby tylko w interesie samych katolików; stanowisko Papieża jest dla katolików francuskich wskazówką i można się cieszyć nadzieją, że łatwiej dojdzie między nimi teraz do pewnej jedności i porozumienia się.

Zmiana taktyki w Rzymie nie uwidoczniła się nagle, przygotowywała się ona już za Leona XIII. Kiedy dopiero zamyślano postawić projekt praw kongregacyjnych, zapewniał Waldeck-Rousseau Papieża, że chodzi tu jedynie o prawne stanowisko stowarzyszeń zakonnych i tylko Asumpcyoniści mieli paść ofiarą, szkole kongregacyjnej zapewniono zupełną wolność. Może Waldeck-Rousseau nosił się nawet na seryo z tym zamiarem; skoro jednak przeprowadzenie prawa poruczono znanemu ze swego wrogiego usposobienia dla Kościoła Combesowi, dochowanie przyrzeczenia stało się niemożliwem. Odtąd szła klęska za klęską. Im więcej Leon XIII chciał ustępstwem, łagodnością i pokojowem usposobieniem dojść do porozumienia, tem zagorzalszym przeciwnikiem okazywał się rząd. Każde ustępstwo Papieża,

uważał on za nowe zwycięstwo, nic więc dziwnego, że nastąpiła reakcya, i że rząd ku swemu zdumieniu poznać musiał, że jednak w Rzymie coś się zmieniło.

Najsilniejszą nawet w opinii przeciwników broń wytrącił im prawdopodobnie Papież z rąk. Francya, ile razy chciała jakiś projekt antykościelny przeprowadzić, groziła zawsze potajemnie lub otwarcie zerwaniem konkordatu. Tymczasem w ostatnich dniach marca miał się wyrazić Pius X na prywatnej audyencyi francuskiej, że jeżeli konkordat zamiast być przyczyną porozumienia, będzie jedynie jabłkiem niezgody i waśni, to lepiej go znieść. Ta pogłoska musiała być jednak uzasadniona, inaczej trudno sobie wytłumaczyć zagadkowe stanowisko rządu. Pisano wprawdzie początkowo o energicznym pisemnym proteście przeciwko mieszaniu się Papieża w nieswoje rzeczy i odwołaniu ambasadora francuskiego, pokazało się atoli, że to wszystko istniało tylko we wyobraźni tych, którzyby pragnęli, aby tak się stało. Do otwartego rozłamu, zdaje się, nawet Francya jeszcze nie jest dostatecznie przygotowaną. Rząd sam odczuwał swoje niewyraźne położenie w tej sprawie, dla tego twierdził, że czynności, które Papież w swej przemowie napiętnował nie sprzeciwiają się bynajmniej konkordatowi, choć sami przeciwnicy przyznać nie raz już jeden musieli, że kongregacye należą do tych instytucyi kościelnych, których dalszy byt konkordatem został poręczony, a tak zwane organiczne artykuły, na których opiera się proces wytoczony biskupom, zaprowadził rząd samowolnie wbrew konkordatowi, Kościół też ich nigdy nie uznał. (*Przegl. Powsz.* t. 81, str. 481 sq.).

DALSZE FAZY RELIGIJNEJ WALKI FRANCUSKIEJ.

Te wszystkie względy nie krępują jednak prezydenta ministrów, który z dziwną wytrwałością kroczy po raz obranej drodze prześladowań zakonnych. Nie wystarczyło zamknięcie tylu szkół, wydalenie tylu zakonnic z szpitali, ochronek i domów ubogich, cała nauka zakonna ma być skasowana, a szkoła kongregacyjna raz na zawsze zniesiona. Aby pominąć prawa rodziców w kwestyi wychowania dzieci, powołuje się Combes na prawo dziecka; temu prawu na przeszkodzie

stoi jedynie szkoła kongregacyjna, nie zaś bezwyznaniowa świecka, kongregacyjną więc stłumić trzeba. Żyje jednak i w tym człowieku pewne jeszcze poczucie, jeżeli nie słuszności, to przynajmniej wstydu, które każe mu uniewinniać niesprawiedliwość postępowania. „Nie wszyscy zakonnicy, mówił prezydent do pewnego współpracownika Figara, zasługują na współczucie. Większość w tym celu do zakonu wstąpiła, by wieść wygodniejszy żywot. Inni są zdeklarowanymi wrogami dzisiejszego społeczeństwa, ci są zmiażdżeni. Jeszcze inni mają prawdziwe powołanie. Tych żałuję, smuci mnie ich boleść, ale obowiązek zakazuje mi słuchać głosu uczucia... Obok małej liczby zakonników, którzy płaczą, stoi wielka liczba tych, którzy mi dziękują, że ich wróciłem zwykłemu życiu".

Ostatnie wypadki wskazują, że i przeciwnikom Kościoła nie na rękę fanatyczna nienawiść Combesa. Niemiłe wrażenie u rządu wywołał fakt, że projekt deputowanego Caillaux, dawnego ministra za Waldeck-Rousseau, który postawił wniosek o przedłużenie czasu zupełnego zniesienia kongregacyi z pięciu na dziesięć lat, przeszedł mimo energicznego sprzeciwiania się rządu; klęską już prawdziwą dla partyi rządowej było przeprowadzenie wniosku deputowanego Leygues, również byłego ministra gabinetu Waldeck Rousseau. Combes dążył bowiem do postawienia prawa następującej treści: „od ogłoszenia tego prawo (skierowanego przeciw kongregacyom), nie mogą zakony zajmujące się nauczaniem przyjmować nowych członków, a ich nowicyaty będą na drodze prawnej rozwiązane". Izba przyjęła wniosek trzystu głosami przeciwko dwieście trzydzieści pięć, a wtenczas Leygues postawił poprawkę: „z wyjątkiem tych (nowicyatów), które są przeznaczone do kształcenia sił nauczycielskich dla zagranicy, kolonii i krajów zostających pod patronatem francuskim". Leygues opierał się na tem, że artykuł pierwszy ustawy brzmi: „nauczanie jakiegokolwiek rodzaju i jakiegokolwiek stopnia jest zakonom we Francyi zakazane", że więc konsekwentnie izba uznała starą zasadę Gambetty: antyklerykalizm nie jest towarem wywozowym, a tak siły nauczycielskie powinny rekrutować się z Francyi. Takie zapatry-

wanie nie podobało się rządowi, wbrew jednak jego woli przeszedł wniosek większością jedenastu głosów, a przy tej okazyi była izba zmuszoną wysłuchać apologii prac zakonów francuskich na obczyźnie.

I prasa odzywa się od czasu do czasu ujemnie o rządach Combesa, a to już dobry znak. Protestancki *Temps* nie tylko wysoko stawia zakonników — misyonarzy i zwalcza nowe prawo, ale z gorzką ironią, porównując Belgię z Francyą, tak się wyraża: „Belgia jest krajem katolickim i znajduje się od dwudziestu lat w rękach rządu klerykalnego, co jednak nie przeszkodziło jej nadzwyczajnemu przemysłowi i ziemskiemu dobrobytowi, nie stawiło granic jej przedsiębiorczemu duchowi i wolności myśli... Powtarzamy raz jeszcze: Belgia znajduje się w rękach rządu klerykalnego, Francya antyklerykalnego. Któryż jednak rząd wydala z swych granic i szykanuje. Który rząd zaprowadza na nowo inkwizycye i staje się sekciarskim? Odpowiedź leży jak na dłoni. Co to za upokorzenie! Kraj przez klerykałów rządzony musi nas pouczać o wolności. Bylibyśmy dumni, gdybyśmy we Francyi mieli wolność, jaką Belgia się cieszy“.

Walka wreszcie, jaką Combes w ostatnich dniach wydał krzyżom, sympatyi jego u ludu nie powiększa. W prawdziwie sekciarskim fanatyzmie wybrano dzień Wielkiego Piątku na usunięcie wizerunków Ukrzyżowanego z dwudziestu dziewięciu sal sądowych. I do tego przyjść musiało. Oddawna wyrzucono już ze szkół państwowych krzyże i święte obrazy, kilka lat temu zniesiono oficyalną Mszę św. odprawianą corocznie przy rozpoczęciu kadencyi sądowych; byłoby więc sprzecznością nadal sądzić i zasądzać w imię wolności i postępu tylu księży, zakonników i zakonnic w salach, w których znajdował się obraz Chrystusa przebaczającego, symbol chrześcijańskiej sprawiedliwości i miłosierdzia. Fakt jednak, że nie tylko ludzie prywatni, ale i sfery rządowe sprzeciwiały się przeprowadzeniu nowego przepisu, pokazuje, że postępowanie Combesa nie wszędzie znajduje uznanie.

Nic możemy zakończyć lepiej tego smutnego sprawozdania, jak słowami francuskiego *Correspondant*, który nawiązując do zniesienia § 2 ustawy jezuickiej w Niemczech, tak się odzywa:

„Francya wypędza zakony i Jezuitów, Niemcy otwierają im swe bramy. Starsza córka Kościoła wypowiada katolicyzmowi wojnę bez zawieszenia broni i bez śladu wdzięczności, protestanckie Niemcy bronią i podtrzymują interesa katolickie, szanują stolicę apostolską, wzmacniają potęgę kleru i zwalczają stronnictwa dążące do laicyzacyi. Francya wypędza kongregacye, Niemcy je przyzywają i znoszą dawne banicyjne dekrety, uważając je dzisiaj za niegodne państwa, które szanuje wolność indywidualną i troszczy się o interesa kraju. Tu uciskają katolików, tam oni tryumfują, gdyż rząd ich potrzebuje i nie potrafiłby ich usunąć na bok. I podczas gdy katolickie centrum wygrywa walkę po walce, podczas gdy dzięki jego przewodnikom i jego niezmordowanemu poświęceniu się, Jezuici mogą wrócić w granice cesarstwa, Francya, jej rząd i jej naród wylewa wszystką krew w swej walce przeciw Kościołowi". (*Correspondant* z 10 kwietnia 1904, str. 38). Ciężkie to jednak muszą być stosunki, które mimo wszelkich antypatyi takie gorzkie słowa francuskim katolikom wypowiadać każą.

Z POWODU JUBILEUSZU GRZEGORZA WIELKIEGO.

Dwunastego marca b. r. upłynęło tysiąc trzysta lat od śmierci wielkiego Papieża Świętego Grzegorza. Była to jedna z najpotężniejszych postaci w historyi Kościoła, to też nie dziw, że cały świat katolicki gotował się do uroczystego obchodu tak rzadkiego jubileuszu. Jako zakonnik był Grzegorz Wielki wzorem cnoty i chrześcijańskiego zaparcia; jako Papież przywrócił Stolicy Apostolskiej prawo prymatu w całej jego rozciągłości, wywalczył niezależność od cesarstwa wschodniego, przyjął do jedności kościoła licznych odszczepieńców od wiary w Afryce, Istryi, Dalmacyi i krajach słowiańskich, bronił Rzymu przed najazdami dzikich Longobardów, zawiązał stosunki z Hiszpanią, Gallią i Anglią, która jemu zawdzięcza swe nawrócenie, zreformował stosunki ekonomiczne w posiadłościach kościelnych, rozrzuconych po całym prawie świecie i tym sposobem w czasach klęsk głodowych i wojen bronił Italii od zagłady, jednem słowem, nie posiadając żadnych po temu materyalnych środków, żadnej władzy, niezłomną tylko

wolą, siłą nieugiętą ducha, zapałem dla dobrej sprawy, żywą wreszcie wiarą, wspomaganą światłem łaski, dokonał rzeczy nadzwyczajnych, a dokonał ich gnębiony ciężką, bolesną chorobą, która przez przeciąg ostatnich pięciu lat trzymała go prawie ciągle przykutego do łoża.

Szerszemu ogółowi znany jest Grzegorz Wielki, nie tak jako wybitny Papież, lecz raczej jako reformator muzyki kościelnej i twórca śpiewu gregoryańskiego. Zasługi jego w tym względzie były tak wielkie, iż w wiekach średnich sądzono ogólnie, że jego melodye były mu wprost z nieba inspirowane. Skarb muzyczny św. Grzegorza przechowywał Kościół zawsze jako drogocenną pamiątkę; nauka dąży obecnie do przywrócenia śpiewowi gregoryańskiemu, ile możności, jego pierwotnego charakteru, a Pius X żywo się temi usiłowaniami zajmuje i wspomaga je. Znaczenie też Grzegorza Wielkiego dla śpiewu i muzyki kościelnej wysunięto w obecnych uroczystościach na pierwszy plan i znamiennym jest fakt, że właśnie w tej chwili Pius X roztacza w swem *Motu proprio* te same poglądy na muzykę i śpiew, które niegdyś cechowały działalność Grzegorza Wielkiego; początek i koniec długiej, bo tysiąc pięćset lat trwającej przestrzeni czasu, łączą się i stykają w tej samej dążności i w tym samym celu. Między niemi ciągnie się łańcuch najrozmaitszych przemian. Jak we wszystkich innych sztukach, i w muzyce kościelnej zmieniały się peryody postępu i rozwoju z peryodami stagnacyi i nieurodzaju, czasy wysokiego rozkwitu i tem głębszego upadku, lata ścisłego zachowania przepisów kościelnych i bezwzględnego wyzwolenia się z pod ich wpływu. Słusznie więc obecne uroczystości zwracają na siebie uwagę nie tylko katolików, jako takich, ale i badaczy i artystów.

ZE ZJAZDU RADYKAŁÓW W SZWAJCARYI.

Świetny i imponujący kongres katolików szwajcarskich, który się odbył od 27—29 września zeszłego roku w Lucernie, zaniepokoił stronnictwo radykalne, które chcąc przeciwdziałać katolikom, zwołało na dzień 30 i 31 stycznia wielkie zgromadzenie do Berna; o tym zjeździe wspominamy o tyle, o ile dotykał on spraw odnoszących się do katoli-

ków. Prasa radykalna żądała pewnej zmiany w dawnym programie, domagała się mianowicie większego zbliżenia się do socyalistów, a silniejszego jeszcze odgrodzenia się od katolików. W tym celu zawiązało się nawet stowarzyszenie *Schweizerische Männerhelvetia*, którego stanowisko względem katolików charakteryzuje następujący ustęp z mowy wygłoszonej przy zakładaniu związku: „Ludzie postępowi muszą stwierdzić, że z barbarzyństwa średnich wieków przechował się do dziś dziwnym sposobem twór, który zasadniczo, zdając sobie z tego sprawę, sprzeciwia się uświadomieniu, zakazuje je i stara się je stłumić, który nie zadawalnia się tem, że swych dobrowolnych sojuszników utrzymuje w duchownej ciemnocie, lecz całą swoją istotą i systemem do tego dąży, by ją i innym narzucił. Wiecie, że rozumiem przez ten twór Kościół rzymski „matkę niewoli“ „starego pająka“, który i w naszym kraju przędzie nieustannie nici swej sieci. Chciałby on zmuszać, chciałby wymusić wyznanie, gdzie nie ma miejsca dla jego wiary, wymusić milczenie, gdzie obowiązkiem sumienia jest mówić. Tak postępuje ich mistrz, Papież w Rzymie, a do jego przykładu i rozkazu stosują się zwolennicy“.

Na zgromadzenie zjechało się około pięciuset delegatów, a hasłem zjazdu było: stanowisko bojowe względem prawicy, więcej styczności z lewicą. Z wniosków ogólniejszej natury uchwalono wnioski o wolności myśli, o wolnem naukowem badaniu, o swobodzie wyrażania opinii i poglądów, a wreszcie o wolności wiary i sumienia. Ten ogólny program (szczegółowy nie różni się prawie niczem od programów innych stronnictw), nie przypadł bardzo do smaku; prasa katolicka pochwaliła wnioski tyczące się wolności myśli, sumienia, żądała tylko żeby tę wolność uznać także i względem katolików i wolności wiary katolickich obywateli nie krępować. Najciekawszem w całej tej sprawie jest fakt, że obrady doprowadziły do skutków wręcz przeciwnych głoszonemu hasłu. Nie tylko nie zerwano dawnego kompromisu z katolikami, ale zagwarantowano nawet byt istniejących już starych klasztorów; ze socyalistami znowu nie zawiązano stosunków, gdyż zjazd odrzucił np. wniosek radykałów genewskich o prawo asylu dla włoskich anarchistów, rosyjskich

nihilistów i t. d. Nie uczyniono tego wprawdzie dla jakiejś wyższej idei, ale poprostu dla zachowania konsekwencyi; uchwalono przecież stanowcze przeprowadzenie prawa wydalającego francuskie kongregacye, które na wolnej, szwajcarskiej ziemi osiedlić się pragnęły, trzeba więc było logicznie odrzucić wniosek genewski. Wogóle względy oportunistyczne wielką odgrywały tu rolę. Żaden z ważniejszych postulatów nowego programu nie da się przeprowadzić, jeżeli stronnictwa katolickie zwartym szeregiem przeciwko niemu wystąpią, nie można więc z katolikami zbyt otwarcie zrywać; socyaliści znów szwajcarscy nie pragną w interesie spokojnego, socyalnego rozwoju państwa żadnej walki kulturnej, a to nie podoba się w gorącej wodzie kąpanym radykałom, nie czują się więc zbytnio zobowiązanymi iść z nimi w jednym szeregu.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## Z dziedziny społeczno-ekonomicznej.

Wojna rosyjsko-japońska. — Stosunki prawne oficyalistów. — Spis zwierząt domowych. — Bank parcelacyjny. — Towarzystwo wzajemnej pomocy obywatelskiej. — Komisya kolonizacyjna. — Ustawa pruska o osadnictwie. — Bank włościański w gubernii kowieńskiej.

Oddziaływanie wojny rosyjsko-japońskiej na stosunki gospodarcze Galicyi, jest ciekawym przykładem coraz to większej wzajemnej międzynarodowej zależności zjawisk ekonomicznych. Rząd rosyjski wstrzymał wychodźtwo czasowe robotników rolnych w wieku popisowym z Królestwa do Prus; ponieważ młodzież zobowiązana do służby wojskowej bierze żywy udział w tym ruchu, przeto *de facto* wychodźtwo na roboty rolne do Prus zostało bardzo ograniczone. Gazety rolnicze niemieckie rozpisują konkursy na artykuły, któreby podawały najlepsze środki zaradcze, a Izby rolnicze wysyłają delegatów do Galicyi, ażeby kadry robotników, uszczuplone zarządzeniami rosyjskiemi, uzupełnić materyałem tutejszym. Oczywistem następstwem będzie podrożenie i brak robotnika rolnego u nas w kraju, później większy przypływ gotówki z Prus, która będzie szukała lokacyi w zakupnie parcelowanych obszarów dworskich. Dalszym skutkiem wojny jest znaczne

zmniejszenie się wywozu masła syberyjskiego z powodu trudności przewozowych na kolei syberyjskiej i z powodu oderwania części ludności od zwykłych zajęć, wobec tego zagranica przysyła coraz więcej zapytań o dostawę masła do Galicyi.

* * *

Rząd przedłożył Radzie państwa projekt ustawy dotyczący uregulowania stosunków służbowych osób, zatrudnionych w przedsiębiorstwach rolniczych i leśnych; projektowana ustawa nie dotyczy urzędników dworu, państwa, gminy lub powiatu, czeladzi folwarcznej, służby i robotników rolnych, ugodzonych na dniówkę, obowiązuje zatem tylko w wypadkach, w których chodzi o uregulowanie stosunku rolnika-pracodawcy do t. zw. oficyalistów prywatnych.

Punktem wyjścia projektu jest pogląd, że przepisy kodeksu cywilnego o najmie usług, dotychczas w tej mierze obowiązujące, okazały się niewystarczającymi, ich zbyt ogólnikowa treść pozostawia decyzyę we wszystkich ważniejszych kwestyach swobodnej umowie stron układ zawierających. Okazało się, że pracodawca, jako silniejszy gospodarczo, kształtował umowę w sposób dla drugiej strony niekorzystny. Dążeniem projektu jest ścieśnić swobodę kontrahentów, szereg spraw usunąć z zakresu ich swobodnej decyzyi, którą mają zastąpić przepisy nowej ustawy; stosunek służbowy dotychczas ściśle prywatno-prawny ma nabrać cechy poniekąd prawno-publicznej; w ten sposób ustawodawca chce wziąć w obronę urzędników prywatnych i polepszyć ich byt — mamy tu zatem do czynienia z nowym objawem prawodawczym tak dziś rozpowszechnionych tendencyi socyalno-politycznych.

Projekt stanowi, że umowa powinna być pisemną i koszta (stemple i t. d.) nakłada na pracodawcę. Ważne są postanowienia o następstwach choroby lub nieszczęśliwego wypadku, czyniącego urzędnika niezdolnym do pełnienia obowiązków służbowych: w razie, jeżeli stosunek służbowy nie trwał dłużej, jak rok, pracodawca ma obowiązek wypłacania poborów przez cztery tygodnie; jeżeli urzędnik jest dłużej jak rok w jego służbie, pracodawca musi mu wypłacać pobory conajmniej przez dwa miesiące od chwili niezdolności do pełnienia obowiązków służbowych. O ile pobory roczne urzędnika (bez mieszkania) nie przekraczają 3000 K, pracodawca musi przyczyniać się do kosztów leczenia.

Jeżeli wysokość poborów określona jest miesięcznie lub wedle dłuższych czasokresów, wypowiedzenie ma być kwartalne, w innych

wypadkach miesięczne, umowa może ustanowić dłuższe termina wypowiedzenia, jak w ustawie przewidziane, ale ustanowienie krótszych jest nieważne, w każdym razie termin wypowiedzenia musi być dla obu stron równy.

Urzędnik gospodarczy ma obowiązek opuszczenia służby i opróżnienia mieszkania każdej chwili, jeśli pracodawca wypłaci mu całe wynagrodzenie, a zatem także równowartość mieszkania i innych poborów *in natura* wymówionych za czas w terminie wypowiedzenia określony, nadto przyznaje ustawa urzędnikowi prawo żądania wynagrodzenia za szkodę poniesioną z powodu rozwiązania umowy w ten sposób.

Zdarza się, że pracodawca wypowiada urzędnikowi w celu pozbawienia go przewidzianego w umowie zabezpieczenia na starość lub w razie nieudolności do pracy; projekt przyznaje w tych wypadkach urzędnikowi prawo do odszkodowania; przepis nader niejasny, ponieważ w praktyce niepododobna stwierdzić, czy rzeczywiście pracodawca kierował się złą wolą, zapobieżenie nadużyciom tego rodzaju należałoby połączyć z uregulowaniem ubezpieczenia oficyalistów prywatnych.

Obecnie sprzedaż lub wydzierżawienie gospodarstwa rozwiązuje stosunki służbowe, na przyszłość w zasadzie nowy właściciel lub dzierżawca wchodzi w stosunki służbowe łączące swego poprzednika z urzędnikami gospodarstwa, może im jednak wypowiedzieć w tydzień po objęciu majątku z zachowaniem terminów ustawowych, dawniejszy pracodawca odpowiada jednak za szkodę poniesioną z tego tytułu przez urzędnika, w szczególności także i za utratę ubezpieczenia, wymówionego w umowie z dawniejszym pracodawcą.

Obu stronom przysługuje prawo rozwiązania umowy bez wypowiedzenia z ważnych powodów, wyliczonych p r z y k ł a d o w o w projekcie. Ważnym powodem wypowiedzenia dla urzędnika może być niepłacenie poborów, niedotrzymanie istotnych postanowień przez pracodawcę, zniewagi czynne z jego strony i t. d. Pracodawca może natychmiast rozwiązać umowę w razie sprzeniewierzenia, dokonanego przez urzędnika na jego szkodę, w razie nieposłuszeństwa zarządzeniom, wynikającym ze stosunku służbowego lub niepoddawania się kontroli i t. d. Ogólnikowość tych przepisów i pozostawienie zupełnie wolnej ręki sędziemu w ocenie pytania, czy zaszedł ważny powód rozwiązania natychmiastowego umowy są wymownem świadectwem niezwykłych trudności ujęcia w przepisy ustawy choćby tylko najważ-

niejszych i najistotniejszych kwestyi, wchodzących w zakres stosunku służbowego między pracodawcą a oficyalistą prywatnym.

Śmierć pracodawcy nie rozwiązuje umowy, po śmierci urzędnika mieszkanie ma być opróżnione w ciągu czterech tygodni, jeżeli prowadził własne gospodarstwo domowe, w przeciwnym razie w ciągu dwóch tygodni. Pracodawca ma obowiązek wystawienia świadectwa.

Prawno-publiczny charakter ustawy przejawia się silnie w przepisie, który wbrew zasadzie *lex retro non agit* stanowi, że ustawa ma mieć zastosowanie także i do umów już zawartych.

* * *

Wyniki spisu zwierząt domowych, dokonanego w Austryi 31 grudnia 1900 roku, a ogłoszone w dwa lata później, dotychczas nie są dostatecznie znane wśród naszego społeczeństwa, nie wpadła mi w rękę ani praca naukowa, ani poważniejszy artykuł dziennikarski, poświęcony zapoznaniu czytelników z temi doniosłemi cyframi, które dają doniosłe wskazówki dla oceny dobrobytu ludności rolniczej w Galicyi; to też krótkie zestawienie najważniejszych wyników spisu zwierząt domowych prawdopodobnie nie będzie bez znaczenia.

Liczba koni wzrosła w ostatnim dziesięcioleciu z 765.570 na 864.427, a zatem o 12.93% wzrost ten jest wyższym jak przeciętny dla całej monarchii obliczony na 10.55% — jest również wyższym jak wzrost ludności w Galicyi; w r. 1890 wypadało na 100 głów 11·59, a podczas ostatniego spisu 11.82 koni, wzrost stanie się jeszcze widoczniejszym, gdy za podstawę porównania weźmiemy kilometr kwadratowy gruntów, używanych do celów uprawy rolnej, w r. 1890 naliczono na kilometr 13·81, a w roku 1900 koni 15·82. Poprzednie dziesięciolecie (1880—1890) wykazuje pod tym względem zupełnie odmienny stan rzeczy, wzrost liczby koni wynosił tylko 4.12%, a zatem był niższy od przeciętnego dla całej Monarchii obliczonego na 5.80%. Wzrost liczby koni w Galicyi jest tem bardziej zastanowienia godny, że już na początku peryodu, którym obecnie się zajmujemy, Galicya miała daleko więcej koni, jak inne kraje koronne, należało tedy przypuszczać, że wzrost w Galicyi osłabnie; stało się jednak inaczej; wedle ostatniego spisu przypada na Galicyę blizko połowa ogólnej liczby koni, znajdującej się w Austryi, to też w Galicyi przypada na 1000 mieszkańców 118, a w Austryi 65 koni, kraj nasz ilością koni w stosunku do liczby ludności przewyższa wszystkie kraje zachodnie

Europy z wyjątkiem Danii, znanej z wyjątkowo wielkiej ilości zwierząt domowych.

Cyfry te zmieniłyby się jednak znacznie i to na niekorzyść Galicyi, gdybyśmy za podstawę porównania wzięli ludność rolniczą u nas w kraju wyjątkowo liczną. Wyciąganie stanowczych wniosków utrudnia wielce nieznajomość wartości sztuk, o których mowa.

W Niemczech nie tylko liczą zwierzęta domowe, ale ogłaszają także ich szacunek.

Wiadomo jednak powszechnie, że jakość naszych koni, zwłaszcza we wschodniej części kraju jest nader nie zadawalniająca, a ostatnie dziesięciolecie wykazało prawdopodobnie tylko nieznaczny postęp w tym kierunku. Jak robotnik źle płatny, a zatem i źle odżywiany nie jest najtańszą siłą roboczą mimo długiego czasu pracy, tak samo i wielka liczba koni niekoniecznie jest najtańszym sposobem zapewnienia siły pociągowej, potrzebnej w gospodarstwie, niekoniecznie umożliwia pogłębienie orki, tak potrzebne naszemu rolnictwu. Straty z tego tytułu częściowo tylko równoważy większa ilość nawozu w ten sposób uzyskiwana i mały wydatek na odżywienie poszczególnych sztuk.

Największe znaczenie dla gospodarstwa w naszych warunkach ma ilość bydła rogatego; i tutaj mamy do czynienia ze wzrostem, ale znacznie mniejszym, jak w pierwszym wypadku; spis w r. 1890 wykazuje 2,448.006 sztuk bydła, która to cyfra w następnych dziesięciu latach wzrosła do 2,714.622 t. j. o 10.89%, podczas gdy przecięcie dla całej monarchii obliczono na 9.98%. Wzrost w dziesięcioleciu poprzednim był dla bydła rogatego w Galicyi mniej pomyślnym w porównaniu z ostatniem dziesięcioleciem zeszłego wieku, natomiast w zestawieniu ze wzrostem w innych krajach koronnych uderzająco wysokim, wynosił bowiem za lata 1880—1890 9.15%, ale zważyć trzeba, że przecięcie dla całej monarchii dosięgło tylko 0.70%; gdyby nie wzrost bydła w Galicyi, byłaby Austrya wówczas wykazała ubytek. Na 100 mieszkańców wypadało w Galicyi w r. 1890 37·05, a w r. 1900 39·83 sztuk bydła, na kilometr kwadratowy przestrzeni uprawnej wzrost w tym czasokresie wyraża się w cyfrach: 44·16 i 49·05. W tym samym czasie władze publiczne, rządowe i krajowe za pośrednictwem towarzystw rolniczych rozwinęły ożywioną działalność, skierowaną do poprawy hodowli bydła. Uwzględniwszy tę okoliczność ogólny postęp kultury i rolnictwa w kraju, stosunkowo dobre ceny na mięso i na nabiał, musimy dojść do przekonania, że przeciętna waga bydła, jego

mleczność, słowem jakość uległa zmianie na lepsze, której jednak nie umiemy ująć cyfrowo.

W dziesięcioleciu 1880—1890 Galicya przyrostem bydła przewyższyła wszystkie inne kraje koronne, a w ostatniem dziesięcioleciu chów trzody chlewnej zwiększał się w Galicyi znacznie szybciej, jak w innych krajach koronnych, wzrost wynosił 59·89%, podczas gdy przecięcie dla całej monarchii tylko 31·94, w r. 1890 Galicya miała 784.500 sztuk trzody chlewnej, w r. 1900 1,254·414 mimo pomoru i mimo ciągłego zamykania granicy niemieckiej dla wywozu świń. Na 100 mieszkańców przypadało w roku 1890 sztuk trzody chlewnej 11·87, a dziesięć lat później 17·15, na kilometr kwadratowy 14·15 względnie 22·67.

Niepomyślnie przedstawiają się zmiany w ilości kóz, owiec i uli, ponieważ w tych działach Galicya wykazuje ubytki znacznie większe jak w innych krajach koronnych. Owiec w r. 1900 było w Austryi 2,621.026, a w Galicyi 437.697, zmniejszenie wynosi w porównaniu z r. 1890 dla Austryi 17·75%, dla naszego kraju 30·63%. Z 1,015.732 kóz znajdujących się w Austryi w r. 1900 przypadało na Galicyę zaledwie 17·952 zmiejszenie wynosiło dla Austryi 1·94%, dla Galicyi 14·95%. Najgorzej rzecz się ma z liczbą uli; w r. 1900 było ich w Austryi 995.281, w Galicyi 211.157, wzrost w porównaniu w r. 1890 wynosił w Austryi 8·11%, w Galicyi nastąpił ubytek o 19·11%.

Wobec ścisłego związku zachodzącego między produkcyą roślinną, a zwierzęcą zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wzrost liczby zwierząt w ostatniem dziesięcioleciu zeszłego wieku oddziałał korzystnie na produkcyę roślinną, cyfry statystyczne nie potwierdzają tego wniosku, przeciętny zbiór z hektara w Galicyi jest ciągle jeszcze bardzo nizki i nie okazuje dążności do choćby powolnego, ale stałego powiększania się. Okoliczność ta wskazuje na niedokładności w statystyce zbiorów, która zresztą polega na szacunku, a nie na liczeniu jak spis zwierząt domowych, jest zatem oczywiście mniej pewna; przeciwko jej dokładności przemawia zresztą szereg innych faktów dowodzących, że zbiory zwłaszcza w Galicyi zachodniej są przeważnie de facto wyższe jak w statystyce.

Wzrost ilości i jakości zwierząt domowych nasuwa myśl ubezpieczenia, które staje się zwłaszcza dla bydła rogatego problemem coraz bardziej piekącym, w kilku krajach zagranicznych szczęśliwie rozwiązanym, u nas jeszcze nie badanym.

* * *

Rok 1903 zaznaczył się w dziejach banku parcelacyjnego wielkim rozrostem czynności.

W ciągu czterech lat istnienia banku, właściciele 344 majętności zgłosili się z zamiarem parcelowania swych dóbr, bank podjął się pośrednictwa parcelacyjnego w 40 wypadkach, dotyczących 15.036 morg., 1144 sążni kwadratowych: parcelacyi przeszło trzeciej części tego obszaru, t. j. 5136 morgów podjął się bank w roku sprawozdawczym. Pod koniec roku 1903 rozsprzedano 11.360 m. za 5,027.743.49 K., a więc po przeciętnej cenie blizko 450 koron za morgę. Z dwudziestu ukończonych parcelacyi przeprowadzono w 15-tu parcelacyę częściową pozostawiając resztę obszaru dworskiemu właścicielowi, sprzedawano przeważnie chłopom miejscowym, tylko w trzech wypadkach tworzył bank nowe osady, z tych nowopowstałych gospodarstw w Konopnicy 70% ma rozległości od 8—14 m., a w Wołosowie 72% osad ma obszaru od 6—12 m. Pod względem finansowym bank stoi świetnie, udziały wypłacone wynoszą 42.164 koron 22 h., a czysty zysk przeznaczony do podziału 46.521.99 K., jest zatem wyższy od kapitału zakładowego; z czystego zysku przeznaczono 17.551.35 K. na dyety, tantyemy i remuneracye dla funkcyonaryuszów banku, aczkolwiek płace wykazane w rachunku strat i zysków za rok 1903 przedstawiają poważny wydatek 43.718 K., łączna kwota czystego zysku i kosztów administracyjnych przekracza 98 tysięcy koron; jeżeli kwotę tę wydaną w roku 1903 zestawimy z ilością 5136 morgów w tym samym czasie rozparcelowanych, przekonamy się, że na morgę wypadnie przeciętnie wzwyż 19 koron kosztów t. j. 4% przeciętnej ceny kupna.

* * *

„Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Obywatelskiej w Krakowie“ rozparcelowało w pierwszym roku swego istnienia 1204 morgów, w czem uwzględniłem 492 morgów zadatkowanych; były to parcelacye częściowe 12-tu majątków w zachodniej Galicyi na rzecz 254 nabywców, rekrutujących się z sąsiadów parcelowanych obszarów dworskich. Przeciętne ceny morgi obliczone z osobna dla każdego majątku wahały się między 300 a 975 koronami. Udziały wynosiły 30.996 koron, z czego 20.000 K dał Bank krajowy, czysty zysk wykazuje zamknięcie w kwocie przeszło 10 tysięcy koron, a koszta administracyjne 16 tysięcy, przeciętnie na morgę wypada przeszło 21·6 obciążenia z tego tytułu.

O wzrastającej sile ruchu parcelacyjnego świadczy założenie „Polskiego Banku Parcelacyjnego“ w Złoczowie z początkiem b. r.

* * *

W czasie od r. 1886 do końca r. 1903 komisya kolonizacyjna zakupiła 228.553 ha za 175.353 milionów marek, z czego na posiadłości włościańskie przypada tylko 8605 ha; 42% całego obszaru zakupiono z rąk polskich za 40.5% ogólnej ceny zakupna. W r. 1903 komisya nabyła znacznie więcej ziemi, jak w którymkolwiek poprzednim, a mianowicie 42 tysiące hektarów, płacąc przeciętnie za hektar gruntów dworskich 996, a włościańskich 1150 marek; przeciętnie cena w roku 1902 wynosiła 867 m., a w ciągu całej działalności komisyi 767 m. Porównywując ceny płacone w r. 1903 z czystym dochodem katastralnym okaże się, że należało pomnożyć sumę dochodu katastralnego przez 99·6, ażeby otrzymać cenę zakupna. Nabytki roku 1903 pochodzą przeważnie z rąk niemieckich, tylko 7.3% kupiła komisya od Polaków.

Z zakupionego obszaru rozdzielono między osadników około 152 tysięcy hektarów, a zatem 66·8%, liczba osiedlonych rodzin wynosi 7539, ilość osób przynależnych do rodzin osadników 48—50 tysięcy. Przeciętny obszar osady zmniejsza się z roku na rok; w 1903 wynosi 13.2 ha, dawniej osady o rozległości 15—20 ha były najczęstsze, obecnie obszar 10—15 ha jest przeważającym. W majątkach komisyi, jeszcze nie rozparcelowanych pracuje 662 rodzin i 118 robotników stanu wolnego, przybyłych z innych prowincyi niemieckich, z pośród kolonistów 29% było żywiołem miejscowym, przeszło 53 tysięcy ha znajduje się w rękach komisyi, jako teren przyszłych prac kolonizacyjnych.

* * *

Zakupna dokonane w ostatnich latach znacznie uszczupliły fundusze komisyi kolonizacyjnej, zachodzi zatem potrzeba szukania nowych środków ratowania „zagrożonej niemczyzny na wschodnich kresach“. Okazało się niewystarczającem osiedlać niemieckich chłopów w dobrach, zakupionych za pieniądze, uzyskane z podatków, nakładanych także i na Polaków; rząd pruski poszedł dalej, wymyślił sposób niepomiernego utrudnienia w nabywaniu ziemi przez polskich chłopów.

Wypełnienie tych zamiarów nasuwało pewne trudności w państwie konstytucyjnem. Wykluczenie od nabywania ziemi pewnej części

obywateli jest sprzeczne z duchem nowoczesnego ustawodawstwa, z zasadą równości wobec prawa, to też rząd pruski przemycił nowe przepisy, zwrócone przeciw żywiołowi polskiemu w ustawie czysto administracyjnej o pozwoleniu na zakładanie osad, której terytoryalny zakres działania obejmuje cały szereg pruskich prowincyi.

Wedle dotychczasowego ustawodawstwa każdy, kto chciał stawiać dom mieszkalny poza obrębem miejcowości, zabudowanej grupami domostw *(auserhalb einer im Zusammenhange gebauten Ortschaft)*, musiał uzyskać pozwolenie miejscowej władzy politycznej, która jest obowiązaną pozwolenia udzielić, jeżeli nie zachodzą przeszkody ustawą przewidziane. O ile zatem uczyniono zadosyć przepisom ustawy budowlanej, o ile zapewniono dostęp do nowego budynku mieszkalnego i o ile uprawnione interesa sąsiadów nie są na szwank narażone przez budowę projektowanego domu, nie ma przeszkody osiedlenia się.

Inaczej się rzecz przedstawia w wypadkach, w których powstaje nowa kolonia, wówczas potrzeba zezwolenia rady powiatowej *(Kreisausschuss)*, która może odmówić swego zezwolenia, jeżeli stosunki gminne, parafialne i szkolne nowej kolonii nie są należycie zabezpieczone.

Zdaniem rządu pruskiego wadą dotychczasowego stanu rzeczy jest brak w ustawie należytego rozróżnienia między pierwszym a drugim z tych wypadków; obecnie, kto parceluje obszary dworskie, omija trudniejszy wymóg zezwolenia rady powiatowej na założenie kolonii przez to, że każdy z nowych osadników z osobna domaga się zezwolenia na budowę domu mieszkalnego od miejscowej władzy politycznej, a niepodobna temu zapobiedz na podstawie ustawodawstwa, jak to zresztą wyraźnie stwierdziły orzeczenia trybunału administracyjnego. Nieuregulowanie stosunków i ciężarów gminnych, parafialnych, szkolnych było niejednokrotnie następstwem tej luki w ustawie.

Celem zapobieżenia złemu, rząd pruski postanowił zreformować ustawodawstwo o osadnictwie, znosząc nieuchwytną różnicę między obu tymi wypadkami i zarządzając, ażeby nietylko w razie zakładania kolonii, ale także wtedy, gdy się buduje dom mieszkalny w gminach wiejskich, nowa osada nie powstawała bez zezwolenia rady powiatowej, która ma czuwać nad uregulowaniem stosunków gminnych, parafialnych i szkolnych w każdym wypadku rozstrzygania podań o zezwolenie na tworzenie osady.

Projekt zawiera przepis wyjątkowy, stanowiący dalsze obostrzestrzenie i utrudnienie osadnictwa dla Prus Zachodnich i Księstwa;

tam podanie do rady powiatowej należy uzupełnić jeszcze jednym załącznikiem, a mianowicie poświadczeniem komisyi kolonizacyjnej, że założenie nowej osady nie stoi w sprzeczności z jej działalnością.

Poza najściślejszym gronem hakatystów projekt nie wywołał entuzyazmu, mnożą się objawy niezadowolenia w sferach rolniczych, na których rząd się opiera, które stanowią większość w izbie. Ustawa, gdy wejdzie w życie, stanie się jednem więcej z coraz to liczniejszych ograniczeń wolności gospodarczej, przybędzie ogniwo w łańcuchu przepisów utrudniających, zwalniających wolny obrót własnością ziemską, zmniejszy się popyt za ziemią, ponieważ wykluczy się od możności jej nabycia tych, którzy kupując w drobnych parcelach zazwyczaj płacili najwyższe ceny. Ale także i w innych prowincyach obostrzenia w ustawie zawarte wpłyną ujemnie na możność i łatwość tworzenia nowych osad. Zniżka wartości ziemi pod wpływem nowej ustawy była może jednym z tajnych powodów wniesienia projektu, komisya kolonizacyjna, płacąca obecnie nadmierne ceny, spodziewa się dojść tym sposobem do tańszego zakupna. Prawdopodobna zniżka cen ziemi będzie jednak powszechna, to też rolnicy niemieccy nie są zadowoleni.

Rząd przewidując trudności, przedłożył projekt wbrew zwyczajowi najpierw powolniejszej izbie panów, podobno komisya wybrana z jej łona projekt zatwierdziła nie bez pewnej opozycyi.

Najprawdopodobniej przejdzie także i w izbie posłów z małymi zmianami, uratuje go przepis wyjątkowy dla Księstwa i Prus Zachodnich.

Nie wypada zdradzać niechęci do materyalnych ofiar tam, gdzie chodzi o obronę zagrożonej ojczyzny, a trudno wyłączyć ze względów techniki ustawodawczej i ze względu na potrzebę ratowania pozorów, przepis wyjątkowy od reszty postanowionej reformy.

Dla polskości projekt najnowszy rządu pruskiego jest o wiele groźniejszym, jak poprzednie, odbiera naszym chłopom możność rozszerzenia ojcowizny, lokowania swej pracy i zaoszczędzonego grosza w zawodzie, ukochanym przez nich, w zawodzie, w którym są biegli, być może, że pewien wzrost wychodźtwa polskiego żywiołu stanie się chwilowo nieuknionym. Z drugiej strony krępowanie polskości na wsi wzmocni jej siły w mieście, przybędzie kapitału i pracowników, zwracających się do handlu i rzemiosła. Widząc niebezpieczeństwo — da Bóg, podniesie się duch, wzmocni się odporność wobec wzrastającego niebezpieczeństwa na posterunkach zajętych: a przecie zwycięża jakość, a nie ilość.

* * *

Rosyjski bank włościański nabył w powiecie telszewskim, gubernii Kowieńskiej majątek ziemski od jenerała Strandmana o obszarze 1100 dziesięcin i po rozparcelowaniu odsprzedał 26-ciu prawosławnym rodzinom włościańskim, sprowadzonym z gub. czernichowskiej.

Dla tego samego celu traktuje bank obecnie o nabycie dwóch majątków ziemskich: Józefowa (1500 dzies.) od hr. Kayserlinga i Krejszt od jenerała Ławrowa. W innych okolicach bank rozwijał dotychczas akcyę kolonizacyjną, wyłącznie ekonomiczną.

W ostatniej chwili nadchodzi wiadomość, że rząd z powodu ciężarów finansowych wojny z Japonią nakazał ograniczyć działalność banku szlacheckiego i włościańskiego. Zarządzenie to prawdopodobnie nie wywrze stanowczego wpływu w kierunku ograniczenia ruchu parcelacyjnego w Królestwie, gdzie potrzeba instytucyi parcelacyjnych mimo intenzywnej działalności banku włościańskiego jest tak silną, że Towarzystwo rolnicze piotrkowskie, złożone z wielkich właścicieli ziemskich daje inicyatywę do założenia instytucyi finansowej, uwzględniającej w swym programie działania także i interesa parcelacyjne.

*Dr. Adam Krzyżanowski.*

## Korespondencya Redakcyi.

Na list z pod Kamieńca z nieczytelnym podpisem, pytający się o sąd o tygodniku *Ogniwo*, odpowiadamy, po rozglądnięciu się w tegorocznych zeszytach tego pisma, że bynajmniej polecać go nie można. Zdarzy się jeszcze sposobność do pomówienia o tem obszerniej w *Przeglądzie*.

Druk ukończono 30 kwietnia 1904 r.

# UMIEJĘTNOŚĆ POLITYKI EKONOMICZNEJ [1].

Nauki ekonomiczne zajmują się gospodarczem życiem społeczeństwa.

Gospodarcze życie obejmuje ogół zabiegów ludzkich podjętych celem zyskania i użycia środków materyalnych dla zaspokojenia potrzeb. Powodem działalności gospodarczej są tkwiące w istocie natury ludzkiej potrzeby; można je dzielić na potrzeby natury i kultury, ich zaspokojenie tworzy dopiero warunki ludzkiego życia, ich niezaspokojenie, mianowicie trwałe niezaspokajania, niszczy egzystencyę ludzką. Z potrzebami przychodzi człowiek na świat i odczuwa je do grobu, szereg potrzeb miały ludy i najpierwotniejsze, mają je ludy wszystkich epok i stopni kultury czy organizacyi społecznej, mieć je zawsze będą. Stąd też jak jest, tak też zawsze była i będzie konieczną gospodarcza działalność, t. j. świadoma czynność mająca zaspokojenie potrzeb na celu.

Środków materyalnych dla zaspokojenia potrzeb dostarcza nam przyroda, ale ona nieliczne tylko dostarcza dary gotowe, które przez proste zawłaszczenie stają się już zdolne do pokrycia potrzeb, a poza tem dostarcza tylko surowców, które należy dobyć i przerobić, aby służyły naszym celom gospodar-

[1] Rozprawa niniejsza jest wyjątkiem z obszerniejszego dzieła, p. t.: „Polityka ekonomiczna", nad którem obecnie pracują społem dr. J. Milewski i dr. W. Czerkawski.

*Przypisek Redakcyi.*

czym, i sił, które należy opanować. Dostarcza ona i sił ujemnych, co niszczą rezultaty pracy ludzkiej, i stąd podstawową treścią pracy gospodarczej jest opanowanie przyrody, walka z jej oporem.

Walka ta z przyrodą występuje najwybitniej w dziedzinie wytwarzania dóbr, ale i wśród dalszych czynności gospodarczych, gromadzenia, przechowania dóbr, dostarczenia na miejsce potrzeby i użycia, napotykamy ją.

Sposób dokonywania pracy gospodarczej zmieniał się historycznie, przedewszystkiem pod wpływem zmiany techniki produkcyjnej; niegdyś stawał człowiek do pracy gospodarczej z gołemi rękoma, stopniowo wyrabia sobie narzędzia, coraz liczniejsze, coraz skuteczniejsze, wreszcie maszyny, i obok swej siły wprzęga siły przyrody coraz potężniejsze w gospodarczą służbę (zwierzęta, wiatr, woda, para, elektryczność).

Zmieniał się i bezpośredni cel gospodarczej pracy; pierwotna praca skierowaną była do bezpośredniego zaspokojenia potrzeb rezultatami własnego gospodarstwa; stopniowo wytwarza się obrót pomiędzy gospodarstwami, przychodzi do społecznego podziału pracy, powstają zawody gospodarczej i niegospodarczej pracy, każdy ogranicza zakres swej produkcyi, specyalizuje ją, wytwarza w swej specyalnej gałęzi nie tylko dla siebie, ale przeważnie lub wyłącznie z widokiem i celem zbytu na targu, i tak przechodzi społeczeństwo stopniowo z fazy gospodarstwa izolowanego w fazę gospodarstwa obrotowego. Staje się ono czynnikiem postępu produkcyi, ilościowego i jakościowego, ogniwem łączącem poszczególne gospodarstwa, wytwarzającem wzajemną ich zależność, z nich wszystkich jednę całość, staje się czynnikiem uspołecznienia, początkiem gospodarstwa społecznego.

Gospodarstwo obrotowe znów przechodzi fazy różne pod względem sposobu dokonywania wymiany i rozróżniamy tu wymianę surową, obrót pieniężny, obrót kredytowy. A wśród tych ram zewnętrznych pracują gospodarstwa różnej wielkości i różnej organizacyi, wielkie i małe, jednostkowe i asocyacyjne, spółkowe, prywatne i publiczne. Obok zawodów gospodarczych istnieją i istnieć muszą zawody niegospodarcze, bo społeczeństwo ma liczne niegospodarcze potrzeby i zadania (wojsko, sąd,

Kościół, nauka, sztuka); spełnienie tych zadań — bez względu na to czy je podejmą przymusowe związki polityczne (państwo, gmina), czy też prywatna inicyatywa (stowarzyszenia, fundacye) — domaga się pracy ludzi i pewnych dóbr materyalnych, a i ludziom oddanym tej pracy trzeba byt materyalny zapewnić, dostarczyć środków zaspokojenia potrzeb, i stąd gospodarcza praca społeczeństwa winna dostarczyć dóbr dostatecznych na utrzymanie zarówno gospodarczych, jak niegospodarczych zawodów. Zaspokojenie potrzeb jest dziś wynikiem społecznej, nawet międzynarodowej kooperacyi; nikt bezpośrednio produktem własnej pracy nie zaspokaja wszystkich swych potrzeb; pracujemy dla drugich i żyjemy owocami ich pracy.

Należyty rozwój gospodarczej dziedziny jest więc warunkiem i czynnikiem bytu i ogólnego rozwoju społeczeństwa. A ta doniosłość praktyczna gospodarczej dziedziny ujawniła też od dawna dążenia skutecznej jej organizacyi, odpowiedniego na nią wpływu. Pierwsze ślady myśli ekonomicznej, pierwsze ślady nauk ekonomicznych odnajdujemy też w czynach, ustawach, zarządzeniach, pismach, mających rozwiązanie pewnych praktycznych zagadnień ekonomicznych na oku. Już starożytność i wieki średnie miały swe kwestye ekonomiczne, troszczyły się o ich rozwiązanie praktyczne, już wtedy pojawiały się rozprawy, względnie będące wyrazem pewnych praktycznych przekonań przepisy, co uczynić należy, jak daną kwestyę rozstrzygnąć. Nowe zjawiska procentu, ceny, pieniądza, ceł, podatków, zwracają uwagę i stają się powodem pierwszych rozmyślań i rozpraw ekonomicznych. Ale praktyczne rady domagają się uzasadnienia, stwierdzenia ich możności, skuteczności, uprawnienia, potrącają przeto tak o stronę etyczną, jak teoretyczną; usiłowania zapewnienia „słusznej ceny“, „słusznej płacy“, opierają się z jednej strony na etycznej chęci uszanowania granic „co moje, co twoje“ w gospodarczym obrocie, dalej na zbadaniu czynników ceny, a to już prowadziło do teoretycznych roztrząsań.

W miarę ogólnego postępu kultury, nauk, oraz wzrostu komplikacyi życia gospodarczego, dawała się uczuwać potrzeba coraz gruntowniejszego naukowego uzasadnienia dawanych rad,

zbadania istoty zjawisk, które zreformować chciano, zbadania warunków ich powstawania, rozwoju, związków przyczynowych, zbadania skutków zaleconego środka. Chęć dawania przepisów dla życia doprowadziła do konieczności dawania opisów, analizy zjawisk gospodarczych, zrozumienia i wykazywania ich związku przyczynowego. I tak powstają w XVIII wieku pierwsze naukowe ekonomiczne systemy fizyokratów i Ad. Smitha, stawiające teoryę zjawisk gospodarczych. Ale ich teorya ma jeszcze wybitną cechę rozdziału wstępnego, mającego uzasadnić część praktyczną ich dzieł, ich politykę ekonomiczną.

W ciągu XIX wieku powstała olbrzymia literatura ekonomiczna a równocześnie z jej rozwojem powstał trwający do dziś spór o zadanie, granice, metodę nauk czy nauki ekonomicznej. Jedni uznawali za zadanie przedstawienie istoty i przyczynowego związku zjawisk ściśle gospodarczych lub gospodarczo-społecznych, przy wykluczeniu wszelkich kwestyi praktycznych, wszelkich rad i wskazówek celowych; drudzy chcieli objaśnić i zrozumieć realne stosunki życia i na nie oddziałać, inni uznając zjawiska gospodarcze za wypływ woli ludzkiej, działającej pod wpływem przeróżnych motywów (egoizm, altruizm, kollektywizm narodowy, rasowy, klasowy), uznawali za niemożebne wytłumaczenie zjawisk realnych bezpośrednio, ale stawiali jako wyłączne zadanie nauki rozpatrzenie zjawisk występujących w hipotetycznem społeczeństwie, gdzieby wszyscy wyłącznie działali pod wpływem ściśle gospodarczego wpływu, chęci zysku pieniężnego, egoizmu, a różne te pojęcia o zakresie, zadaniu, metodzie zamierzonej nauki doprowadziły i do rozmaitości nazwy tak dla całej nauki, jak poszczególnych jej części (ekonomia polityczna, ekonomika, nauka gospodarstwa społecznego, narodowego, w Niemczech *Politische Ökonomie, Nationalökonomie* lub *Ökonomik, Socialökonomik, Volkswirtschaftslehre, Staatswirtschaftslehre* i t. d), przyczem występowało naiwne przecenianie kwestyi nazwy nauki, chęć ograniczenia jej treści przez apriorystyczną definicyę, co też wywołało słuszny zarzut popadania w scholastyczne formułki.

Wyczerpująca polemika z obrońcami przeciwnego stano-

wiska ani wyczerpujące uzasadnienie własnego stanowiska nie może pomieścić się w szczupłych ramach niniejszego rozdziału zdążającego do przedstawienia jednej z nauk ekonomicznych. Ograniczyć tu się przeto należy do stwierdzenia, że powyższe różnice stanowiska grzeszą przedewszystkiem jednostronnością, uznając tylko jeden kierunek badań za uprawniony. Umysł ludzki zdąża do naukowego zrozumienia wszystkich zjawisk, i stąd w myśl koniecznego podziału pracy powstają osobne grupy nauk dla wielkich dziedzin życia; jedną z takich grup są nauki społeczne, zajmujące się człowiekiem żyjącym w społeczeństwie; życie społeczne przedstawia się realnie jako całość nierozerwalna, dla badań naukowych możemy jednak wydzielać pewne grupy zjawisk i uczynić z nich podstawę i przedmiot osobnej nauki, jako to prawo, politykę, ekonomię; wobec odmiennej cechy zjawisk gospodarczych, wywołanych przez celową działalność w kierunku zaspokojenia potrzeb, słusznem jest i pożądanem istnienie osobnej nauki, któraby uznała całą tę dziedzinę gospodarczego życia za swój przedmiot. Wobec ogromu przedmiotu, wobec faktu istnienia gospodarstw prywatnych i gospodarstw publicznych, wobec istnienia tak zagadnień teoretycznych, jak zagadnień politycznych, może, względnie musi ta nauka dzielić się na kilka nauk, ale żadna z nich sama nie może arogować sobie stanowiska wyłącznie uprawnionej nauki ekonomicznej, bo nauka ma objąć całość, a nie pewną część tylko zjawisk i zagadnień ekonomicznych.

I tak wyłoniła się nowa kwestya odpowiedniego podziału nauk ekonomicznych. Z szeregu podjętych w tym kierunku prób zasługują przedewszystkiem na podniesienie K. Mengera podział na ekonomiczne nauki historyczne, teoretyczne i praktyczne, oraz w ślad K. Raua nazwanie całości nauki ekonomią polityczną, rozpadającą się na trzy działy: teoryę ekonomii, politykę ekonomiczną i naukę skarbowości. Trzymając się podziału Mengera należy do grupy nauk historycznych zaliczyć przedstawienie indywidualne realnych zjawisk, historyę stosunków i instytucyi gospodarczych oraz statystykę; do grupy nauk teoretycznych trzeba zaliczyć naukę gospodarstwa społecznego oraz

historyę doktryn ekonomicznych, wreszcie do nauk praktycznych naukę skarbowości i politykę ekonomiczną. Przyjmując natomiast podział ekonomii politycznej na trzy działy: teoryę ekonomii, naukę gospodarstwa skarbowego i politykę ekonomiczną, nie pomija się jednak bynajmniej historyi i statystyki, ale uważa się je za pomocnicze w każdym dziale; historya i statystyka same nie zastąpią nauki ekonomii, bo ta zadowolić się nie może jedynie przedstawieniem realnego stanu i rozwoju, lecz zdążać winna do przyczynowego wytłumaczenia zjawisk. Zadaniem nauki o gospodarczem życiu społeczeństwa — ekonomii politycznej — jest ująć w swe badania całość tego życia, a więc z jednej strony zbadać i przedstawić istotę zjawisk gospodarczych, ich związki przyczynowe, wzajemną zależność zjawisk, ujawniające się tendencye rozwoju, ujawniające się prawa współistnienia, następstwa, z drugiej zaś strony winna rozważyć, jakie są gospodarcze zadania społeczeństwa, jakim cel gospodarczego rozwoju, a w oświetleniu tego celu krytycznie ocenić istniejące realne stosunki, widoczne tendencye rozwoju i wskazać drogi i środki, zdolne istniejące czy wytwarzające się zło usunąć, postęp, t. j. zmianę na lepsze, przyspieszyć i zapewnić. A dalej pozostaje do rozważenia ważna kwestya wpływu gospodarstw publicznych, ich sposobu czynienia wydatków i zbierania dochodów na gospodarcze stosunki kraju. Pierwsze z tych zadań są więc natury teoretycznej, drugie natury politycznej, trzecie tworzą zagadnienia skarbowe, tak że podział ekonomii politycznej na trzy działy: pierwszy ogólny, dający teoryę, dwa dalsze szczegółowe, przedstawiające politykę ekonomiczną i skarbowość, odpowiada celowi, obejmuje całość nauki i systematycznie ją dzieli.

Część teoretyczna, nauka gospodarstwa społecznego, winna zbadać istotę, warunki, przyczynowe związki zjawisk gospodarczych, starać się o odnalezienie praw ekonomicznych, t. j. stwierdzenie przyczynowego następstwa. Godząc się zasadniczo co do tego celu, powstał jednak wielki spór co do sposobu jego przeprowadzenia, a mianowicie zwrócono się przeciw t. zw. abstrakcyjnej teoryi i jej prawom, a odrzuciwszy ją doszło się

niemal do negacyi teoryi, do prostego opisywania realnych zjawisk gospodarczych bez ich przyczynowego wytłumaczenia.

Tak zwana abstrakcyjna teorya ekonomii datująca się od fizyokratów, najwybitniej występująca u D. Ricardo, mająca do dziś wybitnych przedstawicieli (Menger, Böhm-Bawerk, Dietzel) staje na stanowisku badania zjawisk gospodarczych w drodze abstrakcyjnej izolacyi; opiera się ona na przewodniej hipotezie, że ludzie działają wyłącznie pod wpływem gospodarczego motywu — chęci korzyści, egoizmu — i mają świadomość użycia odpowiednich po temu środków, działają w myśl zasady gospodarności (największy rezultat najmniejszym środkiem), opiera się dalej i na społecznej hipotezie, że żadne ani prawne, ani moralne więzy nie stoją na przeszkodzie gospodarczej swobodzie jednostek, że więc panuje bezwzględny system wolności gospodarczej. Skonstruowawszy tak czynniki o wiadomej sile i kierunku działania dochodzi ona do teoretycznie ścisłych wyników, które nazwano prawami (np. prawo podaży i popytu). Szkoła ta położyła naukowo wielkie zasługi w ustalaniu i wytłumaczeniu pojęć i zjawisk gospodarczych (wartość, kapitał) i społeczno-gospodarczych (cena, kredyt, renta, procent, płaca), ma swe wielkie znaczenie i dziś, tak naukowo jak politycznie, ale sama ta abstrakcyjna szkoła jest niedostateczną i niebezpieczną. Niedostateczną jest, bo tłumaczy tylko hipotetyczne zjawiska, a nauka winna zdążać do wytłumaczenia zjawisk realnych, stąd wyniki jej potrzebują uzupełnienia i sprawdzenia przez uwzględnienie realnych stosunków zarówno pod względem motywów i sposobów działania, jak społecznego środowiska; nieprawdą bowiem jest, aby dla ludzi dyrektywą działania był jedynie największy zysk — np. sprzeda się ziemię taniej rodakowi, niż obcemu — i nieprawdą jest bezwzględna wolność gospodarcza, owszem obyczaj, etyka, prawo stawiają pewne zapory. Nauka mająca wytłumaczyć życie gospodarcze, realne a nie hipotetyczne, nie może zadawalać się wyłącznie hipotetycznemi wynikami; one są tylko pierwszym krokiem do poznania prawdy, ale nie mogą być uznane za krok ostateczny i dostateczny; po uwzględnieniu realnego życia tracą wyniki teoryi na formalnej ścisłości, niemniej zyskują na real-

nej prawdzie. Np. mówi teorya, że granicą zniżki ceny są najwyższe konieczne koszta produkcyi, t. j. koszta tych przedsiębiorstw, których produkcya jest jeszcze potrzebną do pokrycia popytu, a twierdzenie to opiera na drugiem, że nierentujące się przedsiębiorstwa zaraz wycofają swój kapitał i pracę, przestaną produkować; na tem tle może się stąd zniżka ceny przedstawiać jako fakt obojętny, a tymczasem w życiu rolnik sieje dalej zboże, pomimo że się nie opłaca, i fabrykant nie zaprzestaje produkcyi — zwłaszcza towarzystwa udziałowe — zniżka ceny wywoływa walkę o utrzymanie się na targu, może wielkie wstrząśnienia gospodarcze wywołać. I dlatego też sama abstrakcyjna teorya staje się i niebezpieczną, bo hipotetyczne wyniki ogłasza jako prawdy i prawa bezwzględne — a one są tylko hipotetycznie, nie życiowo ścisłe — co i pod względem naukowym i politycznym jest i może być złem; stąd też słusznie żąda Dietzel, aby te abstrakcyjne wyniki nazywać nie „prawami“ lecz „twierdzeniami“. Bałamuctwo życiowe wynikające z „praw“ abstrakcyjnej ekonomii doszło tak daleko, że np. wobec „praw“ płacy negowano istnienie kwestyi robotniczej (Prince Smith: *s. g (!) Arbeiterfrage*). Dalej wystąpiły pod wpływem abstrakcyjnej teoryi nie tylko niebezpieczeństwa, lecz wprost ujemne następstwa etyczne; hipoteza jej działania ludzi pod wyłącznym wpływem chęci zysku została pojętą mylnie jako aksyomat; egoizm, chęć już nie tylko zysku, lecz wyzysku, zostały uznane jako jedynie uprawniony w gospodarczem życiu motyw działania. Stąd potrzeba uzupełnienia badań, sprawdzenia i sprostowania wyników abstrakcyjnej teoryi, ale mylnem byłoby zupełne jej odrzucenie, jak to uczynić chciała t. zw. historyczna szkoła niemiecka. Kto chce zrozumieć jakiekolwiek skomplikowane zjawiska, ten winien rozpocząć od badania zjawisk prostych. Życie gospodarcze jest wielce skomplikowane, krzyżują się najróżniejsze motywy działania, różne siły moralne, intelektualne, materyalne; zrozumienie ułatwiamy, gdy rozpatrzymy abstrakcyjnie, jakie byłyby skutki, gdyby występowały równe siły i tylko jednym pchane motywem. Wynik ten jest zawsze pewną zdobyczą naukową, objaśnia nam przynajmniej część zjawisk, a są dziedziny i sfery,

gdzie te hipotetyczne premisy i wyniki są niemal identyczne z życiowymi, np. transakcye giełdowe, a i poza tą sferą są gospodarcze motywy i powodem i trybem postępowania, mianowicie w czynnościach zarobkowych, w mniejszym stopniu przy wydatkach, i stąd często te hipotetyczne wyniki są bliższe prawdy, niżby to się *a priori* zdawało sądząc po różności motywów, zależności zjawisk gospodarczych od wolnej woli ludzkiej, bo ta wolna wola nie jest — pomijając wyjątki — swawolą, ale logicznem skierowaniem czynu do pewnych rezultatów; ludzie pracują, aby osiągnąć pewien cel, kupują, aby mieć pożytek z nabytego dobra, hipoteza przeto o działaniu gospodarczego motywu jest nie ściśle abstrakcyjną, ona jest mylną tylko w przypuszczeniu wyłączności, i stąd też daje nam rezultaty zbliżone do prawdy, podczas gdy próby jedynie opisu zjawisk gospodarczych, kazuistyczna analiza różnych cen i różnych możebnych motywów kupna, nie daje żadnego zrozumienia tych zjawisk gospodarczych. I nauki przyrodnicze dźwigały się przez hipotetyczne teorye, bynajmniej nie tylko w drodze indukcyi, bo kto nie wie czego szuka ten chyba przypadkiem coś znajdzie, indukcya służyła dla sprawdzenia hipotez, one były drogowskazem badań. Podobnie i w ekonomii nie wystarcza sama abstrakcyjna hipoteza, ale bez niej nie można się obyć. Zwłaszcza i dla polityki ekonomicznej te wyniki hipotetyczne są często wprost doniosłe, one pouczają, coby się działo przy nieograniczonej konkurencyi wewnętrznej i zewnętrznej i stąd mogą doprowadzić do stwierdzenia konieczności prewencyjnego zapobieżenia skutkom np. w drodze ceł opiekuńczych czy ustaw przeciw lichwie.

Teorya ekonomii ma przyczynowo wytłumaczyć zjawiska; na to potrzeba i abstrakcyjnego, izolacyjnego badania, i uwzględnienia zmian, jakie w tych wynikach realne życie wywoływa, ale odrzucanie teoryi dlatego, że jeszcze nie zdoła wszystkiego wytłumaczyć, byłoby błędem, szkodą dla postępu nauki. Hipotetyczny wynik potrzebuje sprawdzenia, uzupełnienia, niemniej już sam w sobie jest pewną naukową zdobyczą, ma zasługę nawet gdy się mylnym okaże, bo uchyla na przyszłość błąd

i ogranicza liczbę błędnych tłumaczeń, przez co zbliża do prawdy, i stąd słusznie nazwano hipotezy etapami nauki.

Polityka ekonomiczna jako umiejętność ma zająć się zbadaniem czynników i warunków gospodarczego rozwoju.

Nauka skarbowa jest nauką o prowadzeniu gospodarstw związków politycznych (państwo, kraj, gmina); jako taka ma swą część teoretyczną, analizującą jakie są i mogą być wydatki i dochody skarbu, oraz część polityczną, wykazującą, jakie one być powinny, zdążającą do urzeczywistnienia należytego funkcyonowania i wprowadzenia koniecznych reform w gospodarstwo skarbowe.

Obszerność, różnorodność i trudność zagadnień ekonomicznych, obejmujących badania teoretyczne, polityczne, skarbowe, rozwój gospodarczy całego społeczeństwa i wszystkich jego warstw, doprowadziły do tego, że coraz rzadziej występują autorowie z systemami ekonomii politycznej, obejmującymi całość nauki, natomiast częściej powstają bądźto wielkie wydawnictwa zbiorowe, gdzie różni autorzy różne partye opracowują, bądź też monografie wyczerpującemu zbadaniu pewnych kwestyi poświęcone. Doniosłość monografii jest bardzo wielka, zarówno ze względu na zebrany materyał, jak na szczegółowe rozpatrzenie samej kwestyi, jej przyczyn, związków, znaczenia, ale obok tej pracy monograficznej, od której przedewszystkiem dokładne poznanie konkretnych zjawisk, postęp nauki zależy, koniecznem jest opracowywanie systematyczne całości nauki, czy głównych jej części, zarówno dla ujęcia w całość dotychczasowych wyników rozrzuconych po pracach specyalnych, co ma przedewszystkiem dydaktyczne znaczenie, jak dla stwierdzenia, co jeszcze nie jest dostatecznie wyjaśnionem, a to znów ma programowe na przyszłość naukowe znaczenie.

Polityka ekonomiczna jako nauka ma zadanie, jak to już zaznaczono, zbadania i przedstawienia czynników i warunków gospodarczego rozwoju. Możnaby ją stąd nazwać krótko nauką o dobrobycie społeczeństwa, zwłaszcza o środkach zapewnienia i krzewienia dobrobytu.

Zadanie tej nauki obejmuje więc przedewszyskiem uznanie

pewnego stanu gospodarczego za pożądany, postawienie ideału dla rozwoju, swierdzenie, co być powinno; łączy się z tem krytyka istniejących stosunków oraz ujawniających się w gospodarczem życiu tendencyi rozwoju, poczem nastąpić winno wskazanie środków, aby istniejący stan polepszyć, zbliżyć do ideału, powstrzymać rozwój i wpływ tendencyi ujemnych, rozwinąć i zasilić wpływ tendencyi dodatnich.

Zagadnienia te istnieją w życiu; interesem i potrzebą społeczeństwa jest rozwój ku lepszemu, i stąd Aristoteles żądał, aby mąż stanu był znawcą tego, co jest, twórcą tego, co być powinno. Co jest dobrem, tego zmieniać nie trzeba, lecz to zmienić trzeba, co jest złem, a mając zmieniać, trzeba wiedzieć i w jakim kierunku i jakimi środkami ma być zmiana podjętą. Stąd owo polityczne zadanie zmiany na lepsze zawiera w sobie trzy zagadnienia: i krytykę realnych stosunków i postawienie ideału i dobór środków odpowiednich. A skoro zagadnienia te istnieją w życiu, winna istnieć osobna nauka, poświęcona ich zbadaniu. Nauką tą powinna być polityka ekonomiczna.

Ale jak co do teoryi ekonomii tak niema zgody co do powyższego zakresu i przedmiotu polityki ekonomicznej, a opozycyę przeciw powyższemu jej pojęciu można podzielić na dwie grupy, zasadniczą i szczegółową.

Zasadnicza opozycya występuje rzekomo w imię czystej nauki, uznając za wyłączne zadanie nauki opisywanie i przyczynowe zrozumienie zjawisk, a nie dawanie rad praktycznych i stawianie ideału, poza czem twierdzą, że ściśle naukowa krytyka i ściśle naukowy ideał są niemożebne, będą zawsze zabarwione subjektywizmem autora, będą wyrazem pewnych osobistych, partyjnych czy klasowych przekonań i interesów. W opozycyi tej błędem jest przedewszystkiem pojęcie nauki, prowadzące do fałszywego wyniku, jak gdyby wzrastał naukowy charakter umiejętności w miarę jej niepraktyczności, niezastósowalności w życiu. Chemia rolnicza, czy chirurgia mają ściśle praktyczną doniosłość, a nie mniej są naukami na równi z chemią ogólną i anatomią; tak i polityce ekonomicznej z tego tytułu, że wkracza w realne życie, nie można odmawiać charakteru nauki.

Istnieją w życiu gospodarcze zadania: co robić? oddawanie ich rozwiązania w ręce t. zw. praktyków w przeciwstawieniu do nauki, prowadziłoby do powierzania rozwoju życia czynnikom nieświadomym, dyletantom. Mając coś zrobić, trzeba wiedzieć, co robić, iść na ślepo naprzód nie może być ideałem; świadomość tego, dokąd iść, co czynić, może wynikać tylko z dokładnego poznania i dziedziny i zagadnienia. Jak hodowla bydła czy budowa mostów kolejowych opierają się na nauce, tak i działanie społeczne powinno mieć tę naukową podstawę, świadomość celów i środków. I nie jest prawdą, że stawianie celu dla gospodarczego rozwoju będzie zawsze pod wpływem subjektywizmu autora; zdarza to się niejednokrotnie, partyjne czy klasowe interesa posługują się nieraz pozorami nauki dla uzasadnienia swych żądań, wychodzą nieraz broszury czy dzieła np. za lub przeciw pewnym cłom opiekuńczym, którym to dziełom nie chodzi o prawdę objektywną, o interes ogółu, lecz o interes pewnych warstw czy kół, i dla agitacyi za tym interesem jedynie pojawiają się, ale tak nie jest zawsze i tak być nie potrzebuje. To wkraczanie momentu interesu w roztrząsania ekonomiczne jest trudnością dla nauk ekonomicznych, nieznaną ani naukom przyrodniczym, ani filologii i t. d., każe krytycznie oceniać postawione twierdzenia i żądania, ale nie uchyla bynajmniej ani zadania, aby nauka powiedziała, co i jak robić dla dźwigania dobrobytu, ani możności objektywnego, dobro społeczeństwa, a nie pewnej tylko klasy, mającego na celu stanowiska nauki. Społeczna organizacya powstała, jak mówi Aristoteles dla bytu, istnieje dla dobrobytu, i tak już cel uprawniony dla polityki ekonomicznej jest objektywnie postawiony. Na cel ten nie godzą się ludzie przejęci hyperindywidualizmem, dbający tylko o siebie, którzy jedynie własny dobrobyt, a nie dobrobyt społeczeństwa za cel uznają, nie godzą się ci, co w nienawiści klasowej do pewnych kół ich szkodę za pożądaną uważają, niemal więcej nieraz za pożądaną, niż korzyść własnej warstwy, czy też warstwy, której byt chcieliby polepszyć; nie dostrzega tego społecznego celu nieraz klasowe krótkowidztwo samolubnie troską o własny tylko dobrobyt przejęte, ale ten

stan rzeczy nie wyklucza nauki, lecz owszem czyni ją konieczną, bo właśnie bez niej same tylko jednostkowe czy klasowe interesy przychodziłyby do głosu. A cel ten gospodarczego rozwoju, ten ideał, nie może być abstrakcyą, mrzonką, lecz winien być realnym programem, wprowadzającym stopniowe ulepszenie gospodarczych stosunków, musi przeto liczyć się z rozwojem i stanem dotychczasowym, i stąd konkretne sformułowanie celu, zmienia się w czasie i przestrzeni, bo realna polityka musi indywidualizować, a nauka polityki musi przyuczyć do indywidualizowania. A jak od stosunków, tak i od panujących w danej epoce wśrod społeczeństwa ogólnych idei etycznych jest zależną polityka ekonomiczna, stąd miała też ona w nauce i w życiu różne fazy — merkantylizm, liberalizm i indywidualizm, epoka socyalna — i nie bez słuszności nazwano też politykę ekonomiczną zastósowaną etyką.

Trudniejszą, a i sporniejszą jeszcze jest kwestya wskazywania już nie celu, ale środków szczegółowego programu działania. I tu znów poruszono i metodologiczne stanowisko, że nauka ma tylko opisywać, tłumaczyć zjawiska, a rad nie dawać, być „umiejętnością, a nie zbiorem recept“, oraz stanowisko polityczne, że wkraczając w zakres środków wkracza nauka na teren niebezpieczny interesów i walk klasowych. W zastósowaniu pierwszej z tych myśli uznano przedewszystkiem stwierdzenie faktycznego stanu, historyę i statystykę za główną treść polityki ekonomicznej, i w tym duchu podjęto szereg wydawnictw historycznych i opisujących położenie obecne. Prace to doniosłe i konieczne, ale to dopiero materyał dla polityki ekonomicznej, nie nauka tej polityki. I w dziwną sprzeczność popadają tu, w błąd anachronizmu, właśnie historycy, taki zakres badań zalecający; z faktu, że coś udało się, lub nie udało w przeszłości, nie można często żadnej konsekwencyi dla obecnych stosunków wysnuwać, nie można myśleć o bezpośredniem naśladowaniu. Historya daje nam przedewszystkiem tylko zrozumienie przeszłości — jak statystyka teraźniejszości — programu przyszłości one nie dają, program ten wysnuć — po części z ich wyników — może dopiero inna nauka, a tą właśnie jest polityka ekonomiczna, która je-

dnak prócz na historyi i statystyce jeszcze na psychologii, etyce, znajomości stanu techniki, danego klimatu, położenia, komunikacyi i t. d. przedewszystkiem na teoryi ekonomii oprzeć się musi. Organizacyi kredytu melioracyjnego, ani ubezpieczeń robotniczych nie zdoła nauczyć historya ni statystyka, stąd też ograniczenie zadań nauki polityki ekonomicznej do historycznego przedstawienia dziejów gospodarczych i opisu stanu gospodarczego jest niewystarczającem. Życie ma potrzeby rozwoju, nie pomieści się i nie wzmoże wyłącznie w utartych ramach, stąd potrzeba nauki, któraby badała, co i jak celem gospodarczego rozwoju uczynić należy, i tą nauką ma być polityka ekonomiczna. Fakt, że zalecane przez nią środki nie mają uniwersalnego charakteru, nie odbiera jej bynajmniej charakteru nauki, bo tę cechę koniecznego liczenia się z danem położeniem mają wszystkie nauki zastósowane, żadna z nich nie daje wiecznego szablonu, uniwersalnej recepty.

A i zarzut partyjności, jakim zaprzeczyć chciano możliwości naukowego wskazywania środków gospodarczego rozwoju, nie jest uzasadniony. Są bowiem cele i środki stojące niewątpliwie ponad partyjnością, jak ulepszenie ziemi, komunikacye, pewne grupy kredytu czy ubezpieczeń, które zwalczać może jedynie ciasny pasożytniczy interes, panoszący się wśród dezorganizacyi, tracący pole zysku wśród organizacyi; są dalej inne, gdzie zachodzi kolizya różnych interesów np. cła opiekuńcze, które są sprzeczne z bezpośrednim interesem konsumentów danego towaru, a służą bezpośrednio jego producentom — ale tu jest właśnie rzeczą nauki wnieść objektywne kryterya w ten wir walki interesów, zapewnić zwycięstwo nie silniejszemu czy zręczniej bronionemu, lecz słuszniejszemu interesowi, nie dozwolić aby kosztem przyszłości żyła teraźniejszość. Fakt kolizyi gospodarczych interesów czyni tem więcej koniecznem, aby nauka istniała poświęcona badaniu tych spraw; fakt ten nie uchyla nauki, tylko czyni ją trudniejszą, nakłada na tych, co chcą służyć nauce, społeczeństwu, a nie pewnej ciasnej tylko grupie interesów, lub partyjnej doktrynie, trudny obowiązek rozważenia i odważenia przy każdej konkretnej sprawie ogólnego interesu

Chyba stanowisko ultrafatalizmu, absolutnego determinizmu mogłoby negować uprawnienie i potrzebę naukowej polityki, wierząc w rozwój przymusowy; nauka uznając, że zjawiska gospodarcze są wypływem woli ludzkiej, że działanie ludzi ma wpływ na stosunki gospodarcze, musi uznać za swe zadanie, pokierować tem działaniem tak, aby ono społecznie dobre przyniosło skutki.

Uznając polityczne zadania dla nauk ekonomicznych wystąpiła jednak opozycya szczegółowa, tak co do sposobu ich rozwiązania, jak co do zakresu tej nauki. Szereg pisarzy nie chce osobnej nauki, ale chce zagadnienia polityczne łączyć w jednej nauce z zagadnieniami teoretycznemi. Jest to możebnem, np. można wpierw zbadać istotę, rodzaje kredytu, jego znaczenie, warunki skuteczności, doświadczenia i rozwój, a potem postawić program organizacyi na przyszłość; przyznać nawet trzeba, że taki program na wynikach wszechstronnego badania kredytu oprzeć należy, ale nie mniej równie naukowo uprawnionem, jak takie łączne przedstawianie teoretycznych i politycznych zagadnień, jest ich podział na dwie nauki, będące częściami wyższej całości t. j. ekonomii politycznej, którą zresztą i przeciwnicy osobnej polityki ekonomicznej często dzielą i tak na dwie grupy, mianowicie część ogólną, przeważnie teoretyczną, i część specyalną, przeważnie polityczną. Dydaktyczne względy przemawiają jednak, prócz przy monografiach o pewnych instytucyach, za rozdzieleniem tych zadań na dwie osobne nauki, bo łączenie wyszłoby przeważnie na traktowanie jednej z nich tylko jako przyczepki. I nie przy wszystkich kwestyach można łączyć teoryę i politykę; np. nauka o wartości jest rzeczą teoryi, parcelacya czy ubezpieczenia robotników rzeczą polityki ekonomicznej, stąd lepiej jest wydzielić polityczne zagadnienia, ująć je w system osobnej nauki.

Co do zakresu polityki ekonomicznej definiowano ją z dawna częstokroć jako naukę o zadaniach państwa, czy o działalności publicznej w dziedzinie gospodarczej. Stanowczo za ciasne to granice, jakkolwiek wpływ państwa na gospodarstwo społeczne, zarówno przez ustawy, jak administracyę, jak instytucye pewne (pieniądz!) jest niezmiernie wielkim, jakkolwiek cała

swobodna działalność indywidualna, stowarzyszeń, korporacyi, fundacyi odbywa się w ramach ustaw państwowych, w granicach pozostawionej dla nich przez państwo swobody i postawionych warunków (system koncesyi). Ale jednak obok państwa i innych, mniejszych związków politycznych, widzimy w dziedzinie gospodarczej działanie, a stąd i wpływ na ogół gospodarczych stosunków, na dobrobyt społeczeństwa, tak jednostek, jak i dobrowolnych połączeń w stowarzyszenia, jak wreszcie fundacyi i ewentualnych, przymusowych, zawodowych korporacyi. Jednostki stojące na czele większych gospodarstw wpływają na kierunek i wielkość produkcyi, one przez umowę roboczą, troskę o odpowiednie wynagrodzenie podług pracy, troskę o dobre warunki pracy i bytu, mogą wpływać dodatnio na cały ustrój stosunków robotniczych jako wzór i przykład wypróbowany, tak jak znów wyzysk i krzywda owładające tymi stosunkami mogą całą kwestyę zaostrzyć, utrudnić, wywołać konieczność interwencyi publicznej. Łączenie się znów jednostek w stowarzyszenia stworzyło doniosłą sieć instytucyi wzajemnych ubezpieczeń, kredytu, produkcyjnych i konsumpcyjnych, a zawodowe związki robotnicze z jednej, umowy przedsiębiorców z drugiej strony (kartele, trusty) mogą zupełną rorganizacyę umowy roboczej i produkcyi przemysłowo-fabrycznej wywołać, a wobec ich akcyi państwa dotąd okazały się bezsilne, nie mają kierowniczej roli. Uwzględnienie przeto tylko działalności państwa byłoby niezgodne z prawdą, byłoby pomijaniem szeregu czynników, mających doniosły gospodarczy wpływ; ogranicza się do tego nauka administracyi, nie może się ograniczyć polityka ekonomiczna. W ograniczeniu tem tkwi i błąd zasadniczy, bo łatwo wywoływa wrażenie, że wszelka reforma stosunków gospodarczych zależy tylko od państwa, że wszelkiej poprawy spodziewać się można tylko po państwie, a tak nie jest w życiu; oglądanie się zaś nieustanne na państwo łatwo może i przytępić zmysł samopomocy u jednostek i warstw całych, i rozognić walki polityczne, co jedno i drugie byłoby szkodą dla pracy nad dobrobytem. To też bez żadnego ograniczenia polityka ekonomiczna winna całe zagadnienie dobrobytu uznać

za swój przedmiot właściwy, uwzględnić działanie wszystkich czynników. I błędnem jest stanowisko, aby polityką ekonomiczną zajmowali się ci tylko, co ją czynnie prowadzą, że tu nie potrzeba nauki. I w skarbowości nie nauka nakłada podatki i t. d., a jednak uznano potrzebę osobnej nauki; równą jest potrzeba i dla polityki ekonomicznej. Dopiero taka postępująca nauka polityki ekonomicznej, badająca objektywnie warunki i czynniki rozwoju, stwierdzająca istniejące niedomagania i wskazująca możliwe do osiągnięcia, a pożądane cele, oraz słuszne środki dla ich realizacyi, tworzy słuszną podstawę czynnej polityki ekonomicznej, poręcza jej skuteczność. Zarówno więc naukowo dla poznania całości zagadnień ekonomicznych, jak życiowo, aby rozum nie wskazać i cel i środki działania jest potrzebną osobna nauka polityki ekonomicznej.

*Dr. Józef Milewski.*

# „Quo vadis" Sienkiewicza i Minucyusza Feliksa „Octavius".

## I.

Zarzucano Sienkiewiczowi, że w powieściach historycznych jest jednostronnym, nie mniej wytykano mu, że w „Quo vadis" zacieśnił widnokrąg dziejowy epoki Nerona i nie wskazał czynników, podtrzymujących potęgę rzymską. Niektóre osobistości, jak Senekę, Lukana zaledwie zaznaczył, a pominął sprężyny polityki i administracyi państwowej [1]. To prawda. Ale któż w nowszych czasach dał żywszy obraz duszy tego starożytnego organizmu, gdzie przemówiła ona wymowniej i wszechstronniej? Na czarodziejskie zaklęcie Sienkiewicza ludzie ówczesni odsłonili przed nami bieg swoich idei, walkę uczuć i zamęt namiętności, ukazując plastycznie wszystkie drgnienia wewnętrzne i rozmaitość charakterów [2]. Takie oświetlenie i psychologiczne przeniknięcie budzi wogóle najwyższy interes, a w tym wypadku na tej właśnie stronie przedstawienia najwięcej zależało. Wodzowie Nerona, nie on sam, prowadzili pomyślne wojny, lecz nie żelazem miała być stoczona walka o byt polityczny, nie wzorowym zarządem, nie bystrością prawa lub rozmiarami wiedzy należało wstrzymywać upadek imperyum. Istnienie Rzymu za-

[1] Piotr Chmielowski: „Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem". Lwów 1901, str. 194 n.

[2] P. Giovanni Semeria: *Die künstlerische und christlich-apologetische Bedeutung des Romans „Quo vadis" von H. Sienkiewicz.* Einsiedeln 1901, str. 18.

leżało już tylko od jego sił moralnych i religijnych, dlatego też począwszy od Augusta o ich ratowanie i umocnienie starają się najusilniej patryotyczne umysły zarówno polityków, jak filozofów. Na pierwszy plan wysuwała się kwestya jednostki ludzkiej. Lat sto, lat dwieście wstecz (mówi Szujski) jednostka najdoskonalsza pogańskiego świata, jednostka rzymska, stała, żyła i rozwijała się zasobem prawd religijnych i tradycyjnych, jakie wyniosła z kolebki swojej, tem tajemniczem coś, co ducha ludzkiego wypełnia, wiąże i podnosi, a co Rzymianie zwali *religio*. Za dni cezarów, gdy nastała *pax Romana*, próżno granic i podstawy tej jednostki szukał prawodawca i mąż stanu, próżno mędrzec i mag, próżno artysta i zbrodniarz Nero i filozof cnoty Marek Aureliusz. Kwestyę tę rozwiązało chrześcijaństwo, łącząc napowrót człowieka z prawami Bożemi.

A więc owa rzekoma jednostronność nie była spowodowaną wyłącznie celem artystycznym, uwydatnieniem przeciwieństwa między rozkładem pogańskim a spoistością chrześcijańską. Wiadomo, że w czasach cesarstwa coraz mniej zajmowały się szerokie warstwy sprawami publicznemi, odwracając oczy od teraźniejszości ku minionej chwale republiki, a znamienna pod tym względem jest metoda historyczna, która przyjąwszy formę biografii rzuca niemal zasłonę na roboty polityki, na teatr wojny, niedba o wykrycie pragmatycznego związku wypadków, natomiast rozsnuwa z lubością pasmo wiadomości osobistych, prywatnych, gromadzi rysy drobne, szczegóły obyczajowe, słowem podaje w formie surowego materyału mnóstwo barw i tonów, z których talent syntetyczny może złożyć zajmujący całokształt. Tak dla Swetoniusza i późniejszych *Scriptores Historiae Augustae* punkt ciężkości przeniósł się z państwa na sferę domu i jednostki. Jeśli się nie mylę, Sienkiewicz z całą świadomością tych stosunków wyposażył obraz pogaństwa w najistotniejsze składniki i słusznie poprzestał na momentach najżywotniejszych [1].

O wiele dotkliwiej brzmi zdanie włoskiego krytyka G. Ne-

[1] Rzymskie powieści Jeske-Choińskiego idą w przeciwnym kierunku. Ale ten balast zewnętrznych wypadków robi z nich parafrazy kompendyów historycznych.

gri[1], bo według niego miał Sienkiewicz przedstawić chrześcijaństwo w sposób przesadny, niezgodny z prawdą, w rzeczy zaś samej wyznawców Chrystusa za Nerona było niewielu, mała tylko garstka, a kary całkiem nie tak okrutne. Przeczy temu poważne świadectwo Tacyta (ann. XV, 44), który pisząc o prześladowaniu roku 64 podnosi niezwykłość tortur i określa liczbę nieszczęśliwych jako *multitudo ingens*. Nie jest to jednak ogromna, bardzo wielka ilość kilku tysięcy. Wyrażenie samo nie powinno nas łudzić z tego względu, że odnosi się do ofiar skazanych: *multitudo*, w odniesieniu do przestępców będzie miało oczywiście inną wartość liczebną, niż w zastosowaniu do zgromadzenia lub wogóle innego zbiorowiska osób[2]. Uwzględniając dykcyę autora[3], z większem prawdopodobieństwem liczyć ich możemy mniej więcej kilka setek, w żaden zaś sposób nie wolno myśleć o małej gromadce. W każdym razie, jak na ten rok, zastęp wcale pokaźny. Widowisko żywych pochodni, wstrząsające do głębi bezmierną grozą, wywarło i na tłumie pogańskim silne wrażenie. Lecz któż wtedy zdawał sobie sprawę z doniosłości strasznej sceny? W rzeczywistości była to pierwsza potyczka

[1] U Semerii, l. c. str. 28.

[2] A. Harnack: *Die Mission und Ausbreitung des Christentums*. Lipsk 1902, str. 495.

[3] Por. W. Śmiałek: „Świadectwo Tacyta o pierwszych chrześcijanach“ (*Eos* VIII, 1902, str. 32—34). Wróg Kościoła, P. Hochart, nie mógł znieść świadectwa historyka rzymskiego, stwierdzającego rozrost chrześcijaństwa w Rzymie już za Nerona. Uporał się też z niem po swojemu, twierdząc, że pisma historyczne, przypisywane Tacytowi, są produktem średniowiecza (por. M. Armellini: *Lezioni di archeologia cristiana*. Roma 1898, str, 6). G. Semeria, l. c. 28—29, bierze *multitudo ingens* w znaczeniu „kilka tysięcy“, a to z powodu uwagi Tacyta o litości, jaka owładnęła ludem na widok dręczonych chrześcijan: trzeba więc przyjąć ogromne mnóstwo skazanych, by zrozumieć wzruszenie zatwardziałych serc tego tłumu cyrkowego, przyzwyczajonego do strumieni krwi i hekatomb. Przeoczył Semeria, że Tacyt tłumaczy współczucie nie mnóstwem karanych, tylko niebywałem urągowiskiem, wyszukanemi torturami, z czego pospólstwo odnosiło wrażenie, że ci biedni ludzie, jakkolwiek byli w ich oczach winnymi, giną nie tyle dla odpokutowania za zbrodnię, ile raczej dla dogodzenia zachciankom okrutnego cezara. Por. także M. Conrat (Cohn): *Die Christenverfolgungen im römischen Reiche vom Standpunkte des Juristen*. Lipsk 1897, str. 1—3 i str. —6227.

w szeregu trzechwiekowych zapasów, pierwsze spojrzenie oko w oko dwu odrębnych światów. Pożar Rzymu i płomienie żywcem palonych oświetlały chrześcijanom wejście na widownię dziejową. Nie dosyć jednak stwierdzić, że w tym procesie nie grała roli ani religia, ani polityka [1], że przeciwnie li tylko pożar miasta był przyczyną tego niesłychanego gwałtu, którym Nero chciał siebie samego uniewinnić. Bo jeżeli przez cały pierwszy wiek, a nawet jeszcze w początkach drugiego, utożsamiano żydów z chrześcijanami, jeżeli członków arystokracyi rzymskiej, bez wątpienia chrześcijan, potępił Domicyan za wykolejenie się w sferę zwyczajów żydowskich, to jakże przypuścić, że sam Nero, albo wogóle koła pogańskie o własnej mocy zdołały tak wyraźnie wyodrębnić całą grupę chrześcijan, że tylko ich pociągnięto do odpowiedzialności? Z piśmiennictwa apologetycznego widać, do jakiego absurdum doszła opinia pogańska w zapoznawaniu i przekręcaniu nauki i obrzędów chrześcijańskich. Roi się od kalumnij i posądzań, a szczytem potwarzy są uporczywie powtarzane w drugim wieku pogłoski o ucztach Tyestesowych i kazirodczych stosunkach. To zaś miało się dziać w czasie tych wzniosłych agap, których mistyczną cechę wszyscy znamy, a niepospolite znaczenie w kierunku zrównania socyalnego ocenić możemy z bystrych spostrzeżeń ks. M. Morawskiego [2]. Życie kontemplacyjne i praktyki ascetyczne tłumaczono sobie jako objaw nienawiści do ludzi. Trudno oswoić się z myślą że te wszystkie podejrzenia wylęgły się w głowach rzymskich samorodnie. Już Tertulian napiętnował synagogi jako *fontes persecutionum*, stamtąd też, z tego źródła instynktowo wzbierającej niechęci do Kościoła, wypełzały owe gadziny i zatrute podszepty, o tym elemencie można powiedzieć, że chował w sercu prawdziwe *odium generis humani*. Zło wyszło na dobre, bo na podżeganie odpowiadano z przeciwnej strony jednoczeniem i coraz szybszem oddzielaniem się od judaizmu. Gminy chrześcijan, które w przeciwstawieniu

[1] Por. ks. Arcyb. J. Bilczewski: „Archeologia chrześcijańska“ ,str. 10.
[2] Por. „Świętych Obcowanie“. Kraków 1903, str. 38—41.

do grecko-rzymskiego kultu i do sług Iehowy nosiły nazwę trzeciego rodzaju, przychodzą do świadomości, że stanowią właściwie *novum genus*, że są podwalinami nowego państwa Bożego. Krótko mówiąc: bardzo prawdopodobnem jest przypuszczenie, że również żydzi ukuli tę piekielną broń, podsunąwszy Neronowi jako sprawców pożaru swoich wrogów. Poszło zatem, że w tej chwili po raz pierwszy wystąpili chrześcijanie na zewnątrz, jako osobna, odmienna od żydów społeczność, jakkolwiek oczywiście odróżnianie jednej wspólnoty od drugiej nie utrwaliło się odrazu w świadomości pogan. To też zgodnie z utartem na zachodzie zapatrywaniem pyta się Winicyusz Chilona, dlaczego chrześcijanie, jako sekta żydowska, gromadzą się w Ostrianum, a nie na Zatybrzu w świątyniach, w których żydzi ofiarują, nie potrzebując się ukrywać? Tak samo Petroniuszowi wyjaśnia żyd Aliturus, że chrześcijanie są „nową sektą“, żydzi zaś mieli „odwieczną religię“.

Inaczej ma się rzecz z opinią, jaką różne osoby powieści wypowiadają o chrześcijanach. Petroniusz bierze w obronę Pomponię, Chilo (jeśli go można przyzwać na świadka) mówi nie bez zdziwienia o spokojnym i niewinnym charakterze chrześcijan, a Eunice tuż przed prześladowaniem zwraca się do Petroniusza: „Za co będą ich karali, panie? To ludzie dobrzy i cisi“. Wogóle da się zauważyć, że autor z lubością powtarza podobne poglądy, widząc w nich w pierwszym rzędzie dobry środek do wyrażenia kontrastu — lecz dodajmy zaraz, czyni to niezgodnie z duchem przedstawianej epoki. Wtedy jeszcze gromady chrześcijan były rozproszone i musiały się chronić i stronić od reszty otoczenia tak, że wzajemna styczność i sposobność poznania, jeśli się nadarzały, były bardzo małe. Przeciwnie: w klasach wyższych miano dla nowej wiary milczenie pogardy, w kołach literackich obojętność lub szyderstwo, a na dole, w pospólstwie, coraz szersze kręgi zataczała nienawiść i zaciętość dokuczania, dochodząca do denuncyacyi. Zapatrywania, jakim Sienkiewicz daje silny wyraz, byłyby łatwiej zrozumiałe mniej więcej w czasie o 100—150 lat późniejszym. Kilkakroć czytamy o czcicielach

oślej głowy[1], choć zdaje nam się, że ten bluźnierczy epitet dzięki usłużności żydów przyczepiono do imienia chrześcijan dopiero w drugim wieku, w każdym razie nie za Nerona. Trudno dalej uwierzyć, żeby Akte czytała listy św. Pawła. Dobra, tkliwa, a smutna w odosobnieniu odczułaby i wchłaniała taki balsam pociechy; ale poganie brali do ręki prędzej jesze Stary Testament, Nowym interesowali się (o ile wiemy) tylko literaci dla celów polemicznych (np. Celsus, Julian), a z innych pobudek podobno lekarz Galen.

Nie zbytecznem wreszcie wydaje nam się pytanie, czy psychologia, ogólny nastrój chrześcijan, jaki się nam przedstawia w powieści, ma być właściwym gminie rzymskiej — może nawet innym ogniskom Italii — w dosłownem lokalnem ograniczeniu, czy też należy cechy tu zestawione odnieść do wszystkich zbiorowisk współczesnych? Wszak w pierwszej dobie chrystyanizmu mimo hegemonii Rzymu wybijały się na wierzch w poszczególnych krajach pewne odrębne rysy, zależne od miejscowych tradycyj, wpływów kultury i usposobienia narodowego. Wychodzimy z założenia, które powinnoby się z natury rzeczy samo narzucać, że Sienkiewicz miał na myśli Rzym, względnie Italię. Że Glaukos, lekarz w Neapolu, udzielił Chilonowi wiadomości o powtórnem przyjściu „Chrestosa" na świat i oddaniu chrześcijanom panowania nad ziemią, to nas mniej dziwi, ponieważ błędna nauka chiliasmu, głoszona nawet przez ludzi zresztą zasłużonych, była prawie wszędzie znana, nie wyłączając Italii, chociaż tutaj za czasów Nerona jeszcze o niej nie wie nic historya. Co innego Crispus, stary, surowy prezbiter, z podkładem fanatyzmu i pełen uniesień. Najpierw gromi Lygię za jej uczucie ziemskie. On ją umocnił w wierze, otoczył opieką tę „białą lilię" i aniołem chciał zrobić, chciał wynieść ponad poziome skłonności. Miarkuje go Piotr Apostoł: „Kryspie, żaliś nie słyszał, że Mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłości między niewiastą i mężem?" Potem w czasie

[1] Por. ks. Arcyb. J. Bilczewski, l. c. str. 26 n. i M. Armellini, l. c. str. 52 n.

pożaru miasta, porwany wizyą zbliżającego się na sąd Chrystusa, rzuca na dusze braci trwogę Bożą. Przerażonych uspokaja znowu głos księcia Apostołów: „Pokój z wami“. Widoczne przeciwieństwo dwu natur dostraja się do techniki artystycznej utworu, działającego na czytelnika tylu silnymi kontrastami! Nazwano też Kryspusa artystycznie najwybitniejszą z pomiędzy chrześcijan postacią[1], potrzebną i dlatego, by przez usta nieubłagane rzucić tyranowi groźne *memento:* „Biada ci morderco żony i brata... przebrana jest twoja miara“. Różnica zasad między Piotrem a Kryspusem ma być także zapowiedzią sprzecznych objawów, występujących nieraz w późniejszych dziejach Kościoła: żarliwości wyłącznej, twardej i przesadnej, a wiary i pobożności prawdziwie takiej, jak Bóg przykazał[2]. Dobrze. Tylko mała kwestya: Czy duch panujący specyalnie w gminie rzymskiej usprawiedliwia wyprowadzenie na scenę takiego charakteru, jakim jest Crispus? Wyjątki zdarzać się mogą wszędzie, nam chodzi o wyśledzenie i wskazanie częstszego symptomu, jakiegoś prądu trwalszego. Otóż piśmiennictwo najstarsze wskazuje, że Kościół w Rzymie organizował się od samego początku na modłę „dyscypliny obozowej“, nie znoszącej wykroczeń przeciw ładowi i karności, a pomimo, iż nie zamykał serca „na wrzeciądze, do których się nikt nie dobierze“, z góry wykluczał wszelkie marzycielstwa, samowolne odruchy i niebezpieczne entuzyazmy. Trzeźwość i owa *virtus,* właściwa Romie lepszych czasów, wnika w chrześcijaństwo stolicy Piotrowej i nierozerwalnemi przęsłami skupia budowę wspartą na opoce. Rygoryzm afrykańskich neofitów, utopie i rozkładowe dociekania grecko-semickich kameleonów nie miały postoju nad Tybrem. Do pewnego tylko stopnia analogiczną kreacyą jest Symeon w „Irydionie“ Krasińskiego. Jego zabarwienie jest jednak jaskrawsze, a aspiracye na prawdę wywrotowe. Obaj są spotęgowanymi Katonami, ale kiedy Symeon posuwa się do herezyi, Crispus nie napina struny aż do pęknięcia. Wyznaczył też poeta

[1] Chmielowski, l. c. str. 180.

[2] Por. St. Tarnowski: „Trzeci okres w zawodzie Sienkiewicza“. (*Przegl. Polski* 1897 z maja), str. 250.

Symeonowi Korynt, jako ojczyznę, w słusznem mniemaniu, że w tych krajach, a nie w obrębie Italii, było siedlisko porywów, zrywających z regułą.

Lygia, umocniona w wierze przez Kryspusa, otoczona ludźmi, oddanymi upojeniom religijnym, ofiarom i miłosierdziu, wyrosła na tym bujnym gruncie duchowym na dziewicę-bohaterkę, przed którą chylimy czoła. Przed nią ugiął się hardy patrycyusz rzymski, dla niej skruszył swe wilcze serce i przez nią złożył je u Krzyża ten żołnierz od stóp do głowy. Winicyusz jest pod wielu względami przeciwieństwem Petroniusza. Dla tego estety, egoisty i sceptyka jedynem bóstwem była Venus Genitrix; innym bogom można ofiarować, wypada nawet wysłać w słabości kilka tuzinów paszkotów do Epidaurus, ale wierzyć? Bogowie dadzą się co najwyżej miłować jako figury retoryczne, można ich podziwiać, jak robili Fidiasz, Miron lub Skopas. „Lubię książki (odzywa się Petroniusz do Winicyusza), których ty nie lubisz, lubię poezyę, która cię nudzi, lubię naczynia, gemmy i mnóstwo rzeczy, na które ty nie patrzysz... Mnie dobrze w domu wśród arcydzieł, z ciebie zaś nigdy nie zrobię estety". Cóż przynoszą chrześcijanie? Przynoszą smutek, rozprzęgający siły — i przez to wolałby już stoików, bo ci przynajmniej hartują. On chce na prawdę znać tylko sceptyka Pyrrona i rozkosznego Anakreonta. Chrystus kazałby mu kochać brzydkich, karłowatych, braci o krzywych łopatkach i za wielkich głowach. Jemu milsza będzie woń fiołków, niż towarzystwo bliźniego z Subury, milsza złotowłosa Eunice. Zdrowszą oganizacyą, podatniejszą pod zasiew nowej idei była dusza Winicyusza. Spotkanie się jego z Lygią, dalsze koleje powolnej przemiany i udoskonalania, mistrzowskie rozwijanie psychicznej metamorfozy stanowią chlubę i tryumf powieści. W noweli „Pójdźmy za Nim" ma wielki urok intuicya, z jaką Sienkiewicz kreśli tęsknotę, jakieś oczekiwanie zmieszane z niepokojem, ten bezradny krzyk duszy spętanej, a przeczuwającej światło za murami więzienia. Jak mało kto, umie on rozjaśnić wpływ wzajemny biegunowo przeciwnych poglądów na świat, a zwłaszcza śledzić bogatą skalę wrażeń, jakie wywierała nowa religia na myślącem pogań-

stwie. W odniesieniu do chrześcijan przyznaje Petroniusz, że „coś nieznanego idzie ku nam z przyszłości, coś się załamuje pod nami, coś mrze obok nas“. Ale podług niego człowiek żyje dla samego życia, nie dla śmierci. Olimp chrześcijański przestraszał go. „Wejdź, a zobaczysz takie widoki, jakich nie widziałeś dotychczas“. Iluż odrzekło z Petroniuszem: „Przyjacielu, nóg nie mam!“

Pierwotnie miała kobieta w chrześcijaństwie większe znaczenie tak wewnątrz gminy, jak i poza nią w rozszerzaniu wiary. Z działalnością św. Pawła wiąże się pamięć kilku niewiast, które były mu wielką pomocą, a ponad wszystkie jaśnieje gorliwa misyonarka Prisca, żona Akwili. Odznaczały się nie tylko heroizmem wiary i sprężystością. Jeszcze apologeci przytaczają na ich pochwałę, że w sprawach Bożych więcej dają wyjaśnienia, niż filozofowie. Ale już w czasach apostolskich zakazywano kobietom działania na zewnątrz, by powstrzymać niepomierne gonienie za rozgłosem, a jeszcze bardziej dla zboczeń, których ofiarą padały. Wiemy z Apokalipsy, że w Thyatira wykolejona prorokini Jezabel uwodziła gminę chrześcijańską; jedna z nich głosiła w Kartaginie, że chrzest jest niepotrzebny, a niejaka Paula podburzała przeciw Cypryanowi. Najwięcej było ich w obozach heretyków: Montanistów, Marcyonitów i Karpokratianów. Jakoż nie bez racyi żądał już Apostoł, by niewiasta porzuciła nauczanie, a starała się o zbawienie przez wiarę, ukochanie Boga i świątobliwość (1 Do Tymot. 2, 12. 15)[1]. Z tej to krynicy cnót czerpie siłę i Lygia, posłannictwo jednak, jakie miała spełnić wobec Winicyusza, dokonywa się przez miłość wzajemną, uczucie, które w Lygii miało świętość ciszy i czystość świętości, Winicyusza zaś jakby po drabinie Jakóba prowadziło od najgrubszych chuci coraz wyżej aż ku wierze, ku zupełnemu przeobrażeniu duszy. I Kornelia w „Irydionie“ i Lygia, kiedy uczuły, że w sercu budzą się pragnienia ziemskie, ulękły się i popadły w rozterkę, uważając zrazu za grzech ko-

[1] Por. wogóle o stanowisku kobiety w chrześcijaństwie A. Harnack: *Die Mission u. Ausbr. d. Christ.*, str. 395—403.

chać prócz Boga Jego stworzenie. Była chwila, kiedy Winicyusz okazywał zmianę tylko dla Lygii, a poza przywiązaniem do niej trwał jeszcze w samolubstwie i surowości. Podobnie dzieje się z Irydionem [1]: „Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę, znikomą jak fala, co nie wróci nigdy. Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci". Tyle podobieństwa. Zresztą Kornelia [2], czy ma służyć za przykład gorliwości religijnej, wyzyskanej przez politykę, czy też wyraża co innego, w każdym razie ukazuje się w innem świetle, niż Lygia.

Mopsus wróżył we śnie Winicyuszowi, że miłość wywoła wielką przemianę w jego życiu. Z początku, kiedy go pociągnęły wdzięki Lygii, nienawidzi nauki Chrystusa dlatego, bo ona w jego przekonaniu odsuwała od niego przedmiot pożądania. Lecz wiadomość, że chrześcijanie nie dopuszczają się żadnych przestępstw, sprawiła mu pewną ulgę, i teraz był ciekawy, jakie są te nowe zasady. Atoli proste słowa Piotra w Ostrianum zawiodły jego oczekiwanie; myślał, że usłyszy retora. Tu zobaczywszy Lygię przy św. Piotrze, w rozmodleniu jakby oderwaną od ziemi, podobną do „kwiatu i duszy", dał się unieść tęsknocie, czci i żądzy zarazem. Dziewica, wychowana w takiej atmosferze, nie może być mu powolną. Gdy się zamiar porwania nie udał, Winicyusz skaleczony przez Ursusa zostaje w domu wdowy Myriam pod opieką Lygii, która wśród tego otoczenia wydawała się mu Sybillą czy kapłanką. Miał dla niej wdzięczność, że go zatrzymała tutaj, lecz nie mógł stłumić w sobie zdziwienia i lekceważenia na widok tych pokornych „owiec". Zwolna zmienia się zapatrywanie. Kiedy przebaczono Chilonowi, radość zabłysła na twarzach wyznawców — i to go uderzyło. „Apostoł zbliżył się do Glauka i rzekł: Chrystus w tobie zwyciężył". A skoro usłyszał niebawem od Lygii, że ta jako chrześcijanka nie może się na niego gniewać, mówi: „Kim-

[1] Por. „Pisma Z. Krasińskiego" (wyd. T. Pini, Lwów 1904), tom I, str. 137.

[2] O Kornelii ze stanowiska lekarskiego pisze dr. O. Hewelke: *Krytyka lekarska*, rok siódmy, nr. 3, str. 49—55.

kolwiek jest twój Bóg, uczczę go stuwołem, dlatego tylko, że jest twoim“. W prześlicznym śnie marzy się mu, że Piotr ratuje go z toni morskiej, poczem prowadzony przez Lygię idzie ku światłości nadbrzeżnej. I kiedy, obudziwszy się, ujrzał Lygię, jak czuwała przy nim, miał wrażenie, że to piękność niewidziana dotąd, czysta i ożywiona duszą. Odtąd wzgląd wyłącznie na swoją osobę ustępuje miejsca trosce o Lygię i już nie pożądać, ale kochać ją zaczyna. On miłość swą przeniesie i na Boga chrześcijan, jeżeli przez Niego pozyska wybraną; a gdy płomień uczucia tak go wreszcie zapala, że oświadcza gotowość składać Lygii ofiary i do niej się modlić, zatrważa ją tem wyznaniem, niepewną, czy uczucie, któremu sama już ulega, godzi się z miłością Chrystusa. Czy Winicyusz zostanie chrześcijaninem, czy się z nim zobaczy poza grobem? Jeżeli doskonała Pomponia nie miała tego szczęścia, by Aulusa widzieć w swoim obozie, jakże ona może się tego spodziewać po Winicyuszu? Taka myśl ją trapiła, a równocześnie lgnęła coraz więcej do upodobanego dla czci i poszanowania, jakie okazywał w milczeniu Chrystusowi „dlatego tylko, że był to Bóg Lygii“. Winicyusz uświadamia sobie dobrze, że prócz czci dla Chrystusa trzeba jeszcze żyć i postępować według przepisów Jego nauki. „Nie wiem (pisze do Petroniusza), jak chrześcijanie radzą sobie, by żyć, wiem natomiast, że gdzie się zaczyna ich nauka, tam się kończy Rzym, kończy się życie, różnica między zwyciężonym i zwycięzcą, możnym i biednym, panem i niewolnikiem, kończy się Cezar, prawo, cały porządek świata, a zamiast tego przychodzi Chrystus i jakieś miłosierdzie, którego dotąd nie bywało i jakaś dobrotliwość, przeciwna ludzkim i naszym rzymskim instynktom“. Przecież mimo to nie może ukryć pewnego niepokoju. Znowu utracił Lygię — i jeszcze więcej przez rozłąkę odczuwa, że jednak coś się w nim zmieniło: to dusza stała się inną. Niewolnikom za wyprawienie uczty w jego nieobecności nie wymierza żadnej kary, a czyni to, jakby miał za świadka Lygię! Wspaniałomyślność okazuje się skuteczną, widoczna więc, że silniej spaja miłość, niż groza. I tak stopniowo osiada na jego duszy smutek i tęsknota, wciskają się w nią

wszystkie drżenia i te drobne lęki, które poprzedzają przełomy i rozbrzaski wewnętrzne. Wreszcie ta okropna orgia [1] na stawie Agryppy! Winicyusz ucieka stamtąd ze wstrętem i tak może powiedzieć Apostołom, że się na prawdę zmienił, bo poczuł w sobie przedtem litość, a co dopiero wzgardził rozkoszą. Uwielbienie jego dla Lygii przenosi się i na jej wiarę, przez którą właśnie jest tak białą, jak śnieg w górach. On wierzy, że Chrystus zmartwychwstał, bo to stwierdzono naocznie, wierzy, bo sam się przekonał, że chrześcijanie uprawiają cnotę, sprawiedliwość i miłosierdzie. Więc chce tej nauki. Hellada jest kolebką mądrości i sztuki, Rzym stworzył potęgę — a wy? „Przynosim miłość", rzekł Piotr — i ulitowawszy się tej duszy udręczonej położył na Winicyuszu ręce i błogosławił jego miłość w imię Zbawiciela. Tak przeistoczona dusza doskonali się jeszcze i uświęca w ogniu nieszczęść, wystawiona na nadludzkie próby, których nie chcę już dotykać chropowatem piórem. Duchowe zwycięstwo Lygii jest bez wątpienia symbolicznym wyrazem życiodajnej i przetwarzającej siły chrystyanizmu. Artyzm, porywająca wyobraźnię plastyka i głębia psychologiczna nie stanowią jednak całej tajemnicy podbijającego uroku tej powieści. Bez wyraźnej tendencyi, bez koturnów apologety gorące serce i nastrój Sienkiewicza rzuciły na dzieło mistyczną powłokę, wskazały źródło wyższe, z którego ludzie biorą posiłek i natchnienia, gdzie złożono miarę i wagę dla obrotu stosunków ziemskich. Walka Ursusa z turem jest jakby monumentalnem uzmysłowieniem nadprzyrodzonej mocy. Jest to [2] „cud odbywający się we wszystkich pozorach naturalnego porządku rzeczy". Krytyka postawiła słuszne pytanie, czy karty powieści są właściwem miejscem dla osób i rzeczy świętych? Przyznano, że Sienkiewicz zachował w tym kierunku dziwną miarę i takt artystyczny, oraz rzadką szlachetność uczucia religijnego [3]. Postać

[1] St. Tarnowski: „Nie wiemy... czy szczegóły tej orgii są zaczerpnięte z jakich rzymskich podań". (*Przegląd Polski* 1897 z maja, str. 251). Mówi o tem Tacyt: *Annal.* xv, 37.

[2] Por. St. Tarnowski, *Przegląd Polski* 1897 (czerwiec), str. 456.

[3] St. Tarnowski, l. c. 458 i l. c. (kwiecień) str. 80.

św. Piotra występuje z całą mocą prostoty i dobroci. Żywiołowy wpływ tych czynników najlepiej uwydatnia się wrażeniem i uczuciem, wywołanem w słuchaczach — i na tę stronę położył Sienkiewicz nacisk. Dobrze się stało, że usunięto tutaj na bok całą retorykę i technikę literackiego kunsztu. Najwięcej wprawia w zdumienie nawrócenie wykrętnego sofisty i łotra Chilona. Gdy go Ursus miał w żelaznem ręku, wołał: „*Pax vobiscum*, jestem chrześcijaninem, a jeśli mi nie wierzycie, ochrzcijcie mnie jeszcze raz, jeszcze dwa, jeszcze dziesięć razy“. W najlepszym razie robi więc wrażenie materyału na okazowego odszczepieńca. Przepsutym i upodlonym jest do szpiku kości — a ponieważ autor nie ukazał w nim przedtem lepszego popędu, zmiana ostateczna wydaje się niezrozumiałą[1]. A jednak, cóż mogło skłonić Sienkiewicza do tego kroku? Zwrócono uwagę na wspaniały pomysł spotkania Chilona z Pawłem z Tarsu, który z doświadczenia osobistego najsnadniej zdołał odczuć skruchę nieszczęśliwego[2]. Ale, co ważniejsza: Scena w ogrodach Watykańskich jest przeciwstawieniem, gloryfikacyą piękności chrześcijańskiej wobec pogańskiej. Zgon Petroniusza i Euniki — to zanik poezyi i piękności starożytnej. Oszpecona twarz fizycznie wstrętnego Chilona w chwili śmierci „zajaśniała uśmiechem“, oblała się jasnością, płynącą z zapatrzenia się w górę... I oto jakby narodziny nowej piękności, która odtąd będzie duszą świata[3].

## II.

Jakie były bezpośrednie pobudki przyjęcia wiary, wśród jakich widocznych lub łatwo dostrzegalnych okoliczności otwierała się dusza ku światłu, o tem po największej części mało wiemy. Jedni, jak św. Justyn, Quadratus, Melito lub Pantaenus przebijali się ku szczytowi przez literaturę i szkoły filozoficzne, na innych działała władza chrześcijan nad demonami, a przedewszystkiem „natchniona cierpliwość“ męczenników,

[1] St. Tarnowski, l. c. (1897, czerwiec) str. 453. P. Chmielowski, l. c. str. 192 n.

[2] W. Bogusławski, *Bibl. Warsz.* (1897) tom I, str. 129.

[3] W. Bogusławski, tamże.

których widok wstrząsnął zapewne i gwałtowną naturą Tertuliana. Nie potrzebuję wyszczególniać, co ciągnęło masy biednych i uciśnionych. W sferach wyższych podziwiano cnotę chrześcijan, a pięknem świadectwem tego wrażenia jest powabny List do Diogneta, pisany przez bezimiennego autora, najprawdopodobniej w drugim wieku. Nieznany bliżej Diognet, nazwany κράτιστος, pragnął się dowiedzieć[1], jakim jest Bóg chrześcijan, którego czczą tak, że gardzą światem, nie lękając się śmierci, a siebie wzajemnie tak bardzo kochają? Dlaczego ich religia przyszła dopiero teraz na świat? A prócz tego zważmy: Chrześcijaństwo w przeciwstawieniu do synkretyzmu i chaosu pojęć mitologicznych przedstawiało jednolity, jasno określony pogląd na świat, świeciło naczelną prawdą, ściśle sformułowaną i opanowywując człowieka, zmieniało go i przeorywało do gruntu[2]. Taka ześrodkowana siła moralna musiała działać i otwierać oczy temu, kto nie znosił „bogów i ludzi szalejących". Lecz mało słyszymy o bardzo skutecznym czynniku misyonarskim, o sympatyi. W Quo vadis gra wielką rolę uczucie miłości, w Lygii od początku czyste, w Winicyuszu powoli przechodzące od brutalnego samolubstwa ku wyżynom wzniosłego poświęcenia. W życiu codziennem chrześcijan był to objaw niewątpliwie nie rzadki, jakkolwiek piśmiennictwo o nim, jako o rzeczy naturalnej, nie wspomina. Natomiast możemy wskazać pisemko starochrześcijańskie, perłę literatury kościelnej, w którem przyjaźń spełnia to samo zadanie, co u Sienkiewicza miłość. Mam na myśli dyalog Minucyusza Felixa „Octavius". Oto krótka treść:

Nadeszła pora winobrania, a z nią rozpoczęły się miłe ferye sądowe. Korzystając z pogodnego poranku, dwaj chrześcijanie-adwokaci M. Minucius Felix i Octavius Januarius udają się z Rzymu do Ostyi. Towarzyszy im Caecilius Natalis, dotąd poganin. Przechodząc koło posągu Serapisa, Caecilius przyjętym

---

[1] Por. *Epist. ad Diogn.*, rozdz. 1 (*Patres apostol.* I, p. 390 ed. F. X. Funk, Tubingae 1901).

[2] Zob. G. Hertling: *Augustin* (Mainz 1902), str. 7.

zwyczajem na znak czci przyłożył rękę do ust i wycisnął na niej pocałunek. Zdziwiony tem Octavius zwraca się do Marka z pełnem wyrzutu zapytaniem, jak może pozwolić, by przyjaciel jego dla ślepego zabobonu utykał za dnia o kamienie. Dotknięty tą uwagą, szedł dalej Caecilius zachmurzony i milczący tak, że nie mógł się rozweselić ani widokiem chłopców bawiących się na brzegu, ani opowiadaniem Oktawiusza o podróży morskiej, przybył bowiem niedawno do stolicy, pozostawiwszy w domu żonę i szczebiot dziatwy. Zapytany wreszcie przez Marka, oświadcza gotowość i ochotę do zasadniczego rozprawienia się z Oktawiuszem co do wartości pogaństwa. Przyjaciele siadają na grobli blizko morza, Minucyusz w środku między nimi, jako rozjemca. Caecilius wychodzi z zapatrywania, że w życiu ludzkiem wszystko jest wątpliwe, niepewne i chwiejne i wszystko raczej prawdopodobne, niż prawdziwe. Tem bardziej dziwić się trzeba, jeżeli niektórzy z niechęci do gruntownego badania porzucają prawdę i idą na lep byle jakiej mrzonki. Ale co gniewa i oburza, to to, że ludzie niewykształceni i nieokrzesani ważą się głosić coś pewnego o rządach świata, co do których przeważna ilość szkół filozoficznych od tylu wieków po dzień dzisiejszy jest w niepewności. Bo człowiek nie może poznać bóstwa, nie dociecze, co się znajduje w przestworach nieba lub w wnętrzu ziemi; dlatego niech nam to starczy za nabytek szczęścia i mądrości, jeśli siebie samych trochę dokładniej poznamy. Nie masz w świecie ładu i porządku. Gdyby rządziła nim Boska Opatrzność, nigdyby sobie Phalaris ani Dionysius nie przywłaszczyli tronu, ani Camillus nie byłby wygnany, ani Sokrates nie zażyłby trucizny. Rzym zawdzięcza potęgę bogom, a chociaż o ich istocie i początku obiegają sprzeczne zdania, jednak nikt nie wątpi o ich istnieniu. Z tego powodu nie mogę znieść zuchwałych i bezbożnych zamachów na tę naszą starą, pożyteczną i zbawienną religię. A biorą się do tego ludzie bez ogłady, bez czci, na których ciąży tyle zbrodni i ohydy. Żyją w ukryciu, jak spiskowcy, poznają się po tajemnych znakach i kochają się prawie prędzej, nim się poznali. Dlaczego nie mają ołtarzy, świątyń, obrazów? Jaki początek lub mieszkanie tego jedynego i pustel-

niczego boga? Mizerni żydzi mają również tylko jednego boga, ale czczą go publicznie ofiarami i obrzędami, stawiają mu ołtarze i świątynie. Naturalnie, to bóstwo żydów tak jest słabe, że razem ze swoim ludem popadło w niewolę rzymskich bogów Chrześcijanie utrzymują, że pożar obróci cały świat w perzynę, a wierząc, że po śmierci powstaną z prochu do nowego życia, potępiają palenie zmarłych; co więcej — sobie tylko jako dobrym obiecują po zgonie szczęśliwy i wieczny żywot, wszystkim zaś innym, jako niesprawiedliwym, nieustającą karę. Któż w nieprzejrzanej kolei wieków powrócił z podziemi, choćby na parę godzin, jak Protesilaus? Owe wytwory chorobliwej wyobraźni i niedorzeczne pociechy zwodniczych poetów wyście napowrót podjęli i ożywili, zbytecznie ufając waszemu Bogu. Błogość na tamtym świecie? Czy nie czeka was taka sama dola, w jakiej tu żyjecie? Większa część — przyznajecie sami — i to ludzie lepsi, chodzi o głodzie i chłodzie, a Bóg to znosi! Czemuż was posyła na męczarnie i krzyże i ognie? Jaki on bezsilny! Rzymianie bez niego panują dookoła i nad wami dzierżą władzę. A wy tymczasem, zdjęci troską i tęsknem oczekiwaniem, zatruwacie sobie godziny doczesne, unikacie widowisk, pochodów uroczystych i uczt publicznych, nie ubieracie głów kwiatami, ani grobów wieńcami, wy błędne cienie godne litości... naszych bogów. Jeżeli więc macie krztę rozumu lub skromności, przestańcie badać niebiosa i dociekać zakrytych losów świata, kiedy nawet nie rozumiecie się na sprawach politycznych. W ostateczności, jeżeli kto z was ma pociąg do filozofii, niech się trzyma zasady Sokratesa: Co po nad nami, nie dla nas. Odpowiadając na to, oświadcza najpierw Octavius, że każdemu przysługuje prawo badania, więc i chrześcijanom. Nie może być przywilejem pewnej klasy ludzi, co jest wrodzoną potrzebą ducha. Człowiek powinien się znać, ale bez poznania swego otoczenia i stosunku do wszechświata nie zda sobie sprawy, czem jest, skąd się bierze i na co żyje? Wywody Oktawiusza są zrazu polemiczne, krytykują więc mitologię pogańską, potem przybierają ton apologetyczny, wykazując bezpodstawność zarzutów i podejrzeń, rzucanych na chrześcijan. Gdyby przeciwnicy wie-

rzyli tym oszczerstwom, męczarnią wymuszaliby na obwinionych przyznanie się do rzekomych zbrodni, a przecież chodzi im tylko o to, byśmy się zaparli wiary. Pod koniec mowa obrońcy nabiera coraz większego polotu, bo może z czystem sumieniem złożyć hołd etycznej wielkości i czystości chrześcijaństwa, oraz przeciwstawić pozornemu ubóstwu wewnętrzne bogactwo. Nie pomińmy wreszcie poczucia osobistej godności, z jaką podkreślono tu wprawdzie poszanowanie należne władcom świeckim, odepchnięto jednak wszelkie bałwochwalstwo polityczne [1].

W najstarszych dyalogach literatury chrześcijańskiej toczy się rozprawa między chrześcijaninem a żydem, jak dowodzi Aristona Ἀντιλογία Ἰάσονος καὶ Παπίσκου z pierwszej połowy drugiego wieku, św. Justyna „Dyalog z żydem Tryfonem“ lub Tertuliana *Adversus Iudaeos*. Stary Testament stanowi ten wspólny grunt, na którym obie strony mogą się najprędzej porozumieć, tem więcej, że przedmiotem dysputy są zazwyczaj proroctwa, odnoszące się do przyjścia Chrystusa [2]. Miejsce żydów zajmują później pogańscy interlokutorzy, a w tym szeregu pierwszym co do czasu jest nasz „Octavius“. Zamiast grupy wiadomości biblijnych występuje w nim jako wspólny łącznik nić serdecznej zażyłości, wiążąca wszystkie trzy osoby ze sobą. Cześć dla przyjaźni, silnie u starożytnych zakorzeniona, zniewalała ich serca jeszcze wtedy, kiedy głos wielu innych uczuć zamierał. Napisy cmentarzy chrześcijańskich mówią z prostotą rozrzewnienia o usługach przyjaciół, a szczególna, że uroczyste *favete linguis* znalazło posłuch nawet u Lukiana, który w dyalogu Τόξαρις ἢ φιλία z szczerem przejęciem podaje przykłady niezwykłego poświęcenia Scytów. Ci „barbarzyńcy“ mieli prawdziwy kult dla Orestesa i Pyladesa, stawiali im świątynie i składali ofiary. Dlaczego? Bo — rzecze Toksarys — szanujemy dzielnych ludzi bez względu na ich pochodzenie, najbardziej zaś zapalamy się

---

[1] Rozdz. 37, 1: „Quam pulchrum spectaculum Deo, cum Christianus cum dolore congreditur — cum libertatem suam adversus reges et principes erigit et soli Deo cuius est cedit“.

[2] Por. ciekawe uwagi I. Haussleitera: *Der Aufbau der altchristlichen Literatur*. Berlin 1898. str. 13 n.

do owych najlepszych przyjaciół i odznaczając ich, chcemy ziomków zachęcić do naśladowania. Minucyusz Feliks wspomina z uniesieniem o Oktawiuszu, podnosi jego charakter i pobożność, nie może się długo ukoić po stracie[1] tej duszy, która tchnęła tą samą myślą, dzieliła jego ideały i zboczenia. Długo żyli obaj w pogaństwie. Kiedy prawie równocześnie wydobyli się ku światłu prawdy, ogarniał ich żal, że Caecilius błądzi jeszcze w ciemności. „Przyjaźń zawiązuje się między równymi, albo tworzy równych“. Ta zasada, powtórzona przez Minucyusza za Arystotelesem, miała przyoblec się w kształty rzeczywistości i daje nam zaraz na wstępie poznać konstrukcyę duchowego pomostu, po którym przejdzie Caecilius do drugiego obozu. Solidarność uczucia tak dalece łączy się u nich z potrzebą wspólnego kultu, że, kiedy Caecilius oddał pokłon Serapisowi, Octavius nie waha się czynić za to odpowiedzialnym także Minucyusza, który przecież obcował w Rzymie z przyjacielem. Na tym podkładzie afektu rozwija się dyalog bez namiętności, z widocznem poddawaniem się pod wpływ. Gdy Octavius skończył, Caecilius zgadza się na wywód o Opatrzności i Bogu, przyznaje chrześcijanom czystość obyczajów — i zalicza się już do nich. Argumentów nie wyczerpano. Czuje to Caecilius, że do zupełnego pouczenia brak mu jeszcze odpowiedzi na kilka kwestyi, które go niepokoją, ale osiągnąwszy porozumienie co do głównych punktów, może spokojnie resztę odłożyć do następnej rozprawy. Nie dosyć na tem. Minucyusz wie, że świadectwo człowieka, i to jednego, byłoby słabe, gdyby nie przychodziło poparcie z innej strony. Wyznaje też otwarcie: „Oktawiusz posiada nieoceniony dar Boga, pod którego tchnieniem mówił i przy Jego pomocy zwyciężył“ (40, 3). To jest właściwy akcent mistyczny, jaki musimy położyć na wyrazie nawrócenie[2]. Spotkaliśmy się z nim także w „Quo vadis“. Nie obojętną też będzie

[1] Kiedy Minucyusz pisał dyalog, oparty na rzeczywiście odbytej rozmowie, Octavius już nie żył.

[2] Por. Ignatius: *Epist. ad Rom.* 3: οὐ πεισμονῆς τὸ ἔργον, ἀλλὰ μεγέθους ἐστὶν ὁ Χριστιανισμός („magnitudine virtutis Dei fides christiana continetur“, objaśnia F. X. Funk: *Patr. apost.* I, 257).

w takim procesie psychicznym wrażliwość i pewna porywczość natury Caeciliusa. Mówił z impetem, jak wezbrany potok, a Minucyuszowi, który odezwał się krótko i pojednawczo, zarzucał krzyczącą niesprawiedliwość. Najprawdopodobniej pochodził z Afryki, co tłumaczyłoby najlepiej gorącość jego temperamentu. Przeciwnie Octavius. Nazywa on Natalisa „drogim, kochanym“ *(meus)* i nie widzi w nim złej woli, ocenia go raczej jak najkorzystniej. Wogóle trudno oprzeć się dziwnemu urokowi tej osobistości, czyli raczej samego autora, który się z nią identyfikuje, trudno przemilczeć łagodność tonu, wyrozumiałość i oględność, które wyciskają na dziełku znamię produktu na wskróś humanitarnego, poczętego w pełnem świetle kultury. Na schyłku drugiego wieku, bo wtedy zapewne pisał Minucyusz [1], jest cały dyalog w literaturze chrześcijańsko-łacińskiej zjawiskiem wyjątkowem, i godzi się stanowisko, zajęte przez autora, uwydatnić na tle pokrewnego piśmiennictwa.

List do Rzymian, jaki za Trajana pisał Ignatius, biskup Antyochii, jest świadectwem nieopisanego żaru męczeńskiego i wzlotu duszy. Bojąc się, że chrześcijanie stolicy przez swe zabiegi mogą oddalić od niego śmierć, której tak gorąco pragnie, zrzeka się tego miłosierdzia nie na czasie [2]. Ziarnem Bożem jestem i chcę się okazać czystym chlebem, zmiażdżony kłami zwierząt. Głaskajcie raczej bestye, by mi się stały grobem i nie uroniły niczego z mego ciała. Żyw piszę do was, porwany pragnieniem śmierci. Miłość ponęt tego padołu zamarła we mnie, a ogień wewnątrz gorejący to głos upomnienia: „Chodź do Ojca Twego“. Blaski takiego szczęścia przenosi nad ułudy ziemskiej potęgi i trony świeckie: Zaszczytniej mi umrzeć dla imienia Chrystusa, niż rozciągać władzę aż po kresy ziemi. Z przesłu-

---

[1] Minucyusza uwzględniał Tertulian w „Apologetyku“, pisanym w r. 197. Ta hipoteza wydaje mi się najprawdopodobniejszą. Za wiekiem trzecim, w którym chciano umieścić „Oktawiusza“, nie przemawia żadna poważniejsza racya, jednak i w tym czasie nie przestałby być ten dyalog niezwykłym produktem literackim.

[2] Ignatius, tamże, rozdz. 1: φοβοῦμαι γὰρ τὴν ὑμῶν ἀγάπην, μὴ αὐτή με ἀδικήσῃ.

chania męczenników scylitańskich wyszczególniamy dwie charakterystyczne odpowiedzi, mężczyzny i kobiety. Wezwany przez prokonsula do przysięgi na ducha opiekuńczego monarchy, odpowiada Speratus: „Nie znam żadnego królestwa tego świata; służę raczej temu Bogu, którego oczyma ziemskiemi nie można widzieć". Donata zaś odrzekła: „Cześć cesarzowi, jako cesarzowi, ale lęk tylko przed Bogiem". Inne rozmiary przyjmuje wyłączna szorstkość niektórych apologetów. W poglądach Tacyana z Assyryi zaślepiająca namiętność rasy posuwa się do głębokiej wzgardy i pomiatania oświatą heleńską. Rozpiera go radość, że mądrość chrześcijańska zrodziła się na wschodzie barbarzyńskim, darząc tem, co dobre, także Greków. Jego „Mowa przeciw Hellenom" zionie cała tą nienawiścią tak, że gorycz i sarkazm polemiki mało przysłużyły się bronionej sprawie. Bóg nasz ma u niego gromy mściciela-sędziego, a ze wszystkiego, co leży poza chrześcijaństwem, wyzierają pazury i rogi szatana. Wobec interesów socyalnych i politycznych zachowuje się z rzadką odpornością, przypominającą najwięcej Tertuliana. Pisarz afrykański, ile razy zwraca się do pogan, nie potępia udziału chrześcijan w pracach i zawodach praktycznych, a nawet stanowczo dokumentuje odpowiednią uległość i poszanowanie państwa. W swoim niejako domu, kiedy pisze li tylko dla chrześcijan, uderza zawsze w strunę ostrzejszą: tutaj jako rygorystyczny ideolog, tam ze względów politycznych, czy też dla braku równowagi w poglądach. Surowość w kwestyach obyczajów i różnych praktyk okazuje tak wielką, że dla upozorowania śmiałych wymagań robi koziołki logiczne, stawia paradoksy i nadużywa sztuki egzegetycznej. Miał uznanie dla filozofii, posługiwał się przecież jej nabytkami i dyalektyką w polemikach, zwalcza ją jednak dlatego przedewszystkiem, że niebezpieczne wywody gnostyków opierały się, czyli raczej dążyły do pomieszania nauki chrześcijańskiej z filozofią pogańską. W zapale reformatorskim głosi zasady, których po zimnej rozwadze z pewnością byłby żałował. I tak: na sztukę patrzy oczyma Herostrata, jakkolwiek w pismach okazuje nawet znajomość techniki artystów, a literaturę i kulturę wyklina, chociaż ją zna, bada

i rozumie. Zupełnem przeciwieństwem Tertuliana był wcześniejszy od niego filozof ateński, Athenagoras, który w piśmie Πρεσβεία περὶ χριστιανῶν bronił chrześcijan z umiarkowaniem i rozmysłem filozoficznym, umiał wobec Marka Aureliusza uszanować jego skłonności stoickie i zachować stanowisko lojalne, nie ubliżając ani dynastycznym interesom, ani własnej godności. Dodajmy jeszcze wspomniany powyżej list do Diogneta, pociągający niemniej spokojnym wykładem, a wskażemy przez to kierunek i atmosferę, pod której znakiem stoi Minucyusz. Jest to czar nie tylko humanizmu, ale także helleńskiego poczucia piękna, któremu pośród chrześcijan poddawały się szersze umysły, by skuteczniej oddziaływać piękną formą literacką.

Najlepszy znawca stylu starożytnego poświęca tej materyi kilka subtelnych uwag, mówiąc, że nas porywa wzniosła prostota ewangelii, nas ciągnie ku sobie głęboka myśl św. Pawła i ekstaza męczeńska Ignacyusza. Dla nas nie miałyby uroku wszystkie te pisma, przystrojone w szatę pompatycznego i reflektującego stylu [1]. Gdyby apologeci drugiego wieku byli pisali apologie tylko krwią serca, ani cesarze, ani senat, ani grecka lub rzymska publiczność nie mieliby ich za co innego, tylko za oryentalny zabobon ludzi nieokrzesanych. Na społeczeństwo starożytne trzeba było wpływać estetyczną formą, język musiał przemawiać nie tyle do uczucia, ile raczej do umysłu i zmysłu. Na miejsce stylistycznego ἄτεχνον trzeba było postawić stylistyczne τεχνικόν. To też apologeci greccy drugiego wieku kształcą się w retoryce współczesnej greckiej sofistyki, a za ich przykładem wprowadza i Minucyusz Felix drogą sztuczną okrasę i figury modernistycznego stylu sofistycznego. Formalny paralelizm części zdania, który trzeba odróżnić od paralelizmu logicznego w poezyi hebrajskiej, wprowadzony raz przez Gorgiasa jako istotna właściwość kunsztownej prozy, występuje tutaj w różnolitych postaciach, a więc jako antyteza, anafora, asyndeton, polysyndeton, pytanie retoryczne. Bardzo często jeden lub kilka końcowych wyrazów tworzy rytmiczną całość, t. zw.

[1] Edward Norden: *Die antike Kunstprosa* (Lipsk 1898), II, str. 513 n

klauzulę, lub też następuje wyrównanie dźwiękowe, czyli formacya rymów[1]. Jako epigon wielkich stylistów miesza Minucyusz różne wzory, kombinując okresy cycerońskie ze zwięzłością sentencyonalną Seneki i krótkością frazesów innych pisarzów cesarstwa. Ale wielki respekt dla formy obok smaku sprawia to, że te różnorodne składniki zlewają się u niego w harmonijną całość, urozmaiconą nadto pewnym kolorytem i impresyą barw, bo Minucyusz nie patrzy jak Chińczyk w koniec nosa, ale chwyta w duszę wszystkie dźwięki, otwiera oko na całą przyrodę. Sam prolog ze sceneryą nadmorską (jak w dyalogu Florusa) nęci wdziękiem, dając przedsmak całości. Najpierw gorące wspomnienie zmarłego przyjaciela, potem rozkosz przechadzki i ten obrazek zabawy chłopięcej, polegającej na rzucaniu okrągłych skorupek po powierzchni fal, obrazek tak miły, jak gra w piłkę w domu Aulusów. Pierwsze też to dziełko chrześcijańsko-łacińskie, pojawiające się w takiej krasie nastroju i stylu. Do tego forum pogańskiego, z którem się liczy autor, zastosowano także treść i cały sposób prezentowania nowych ludzi. Minucyusz skupia w charakterystyce właśnie najwydatniejsze rysy, które składały się na chlubę chrześcijan w drugim wieku i odpowiadały najgłębszym tęsknotom ludzkości. Klękają oni do modlitwy bezinteresownych czynów, czyniąc sprawiedliwość miarą religijności[2]. Ewangelia miłości i pomocy rozbrzmiała po świecie, jak modlitwa najpotężniejszego hymnu. Była to nowa, niesłychana dotąd mowa. Bogi starożytne wzbudzały trwogę, nie niosąc pociechy; oddawano im cześć, gdy dawały pomoc, w przeciwnym razie karano, niszcząc ich świątynie lub wywracając posągi. Ponieważ w Rzymianina wpajano od dziecka obawę przed bogami[3], przeto nie trudno mu było przy sposobności

[1] Por. E. Norden: *De Minucii Felicis aetate et genere dicendi* (Gryfia 1897), str. 15 n.

[2] Por. 1 *Clem. ad Cor.* 30, 3: ἔργοις δικαιούμενοι καὶ μὴ λόγοις. M. Min. Fel. *Octavius* 32, 4: „sic apud nos religiosior est ille, qui iustior".

[3] M. Min. Felix *Octavius* 6, 1: „quos (deos) a parentibus ante inbutus es timere quam nosse familiarius". Tertull. ad Scap. 2: „Longum est si retexamus quibus aliis modis et derideantur et contemnantur omnes dii ab ipsis cultoribus suis".

przejść od lęku do szyderstwa lub pogardy. Winicyusz zauważył w Ostrianum, że chrześcijanie kochają Boga, a gdy chory wyznaje wobec Kryspusa, że ich uczynki świadczą o uczciwości i dobroci, dotknął najważniejszej strony ich życia. Sienkiewicz i Minucyusz Felix, charakteryzując chrześcijan, zgadzają się w głównych punktach. Chrześcijanie ich mają nadto mimo powagi twarz pogodną, rozjaśnioną uśmiechem spokojnego sumienia. W dyalogu nie zapomniał Minucyusz o radości, jaką im sprawia powab róż, lilii i innych kwiatów, a nie bez powodu robiła Lygia na Petroniuszu wrażenie wiosny (widzianej w Helwecyi), młodej, świeżej, jasno-zielonej. Gdy przyszło im ginąć, schodzą z ziemi śmiercią „bez fizyognomii [1], stwierdzającą wspólnością mąk i jednym dreszczem konania nową w ludzkości potęgę — solidarność“. I ta spójnia wewnętrzna [2], odmienna od pogańskiej solidarności zewnętrznej, jest znowu pięknością innego rodzaju.

Zresztą przedmiot roztrząsań stanowią kwestye o Bogu, Opatrzności, Zmartwychwstaniu i nagrodzie na tamtym świecie, z pominięciem misteryów chrześcijańskich. Z tego ograniczenia wyciągnięto wniosek, że Minucyusz widział w chrystyanizmie tylko moralno-filozoficzny monoteizm [3]. Ale najpierw Octavius musiał się ściśle trzymać polemiki przeciwnika, któremu odpowiada tylko na jego zarzuty, a powtóre łatwo metodą lokalizowania, to jest sztucznego dobierania poszczególnych zdań, wydobyć z całości takie zwroty i myśli, które mogły wyjść z ust każdego stoika. Każdy jednak przyzna, że trudno przypisać stoikom takie twierdzenia, jak rzecz o mękach w piekle lub o cierpieniach, jako próbach zsyłanych przez Boga. Odpowiada to zresztą naturze powszechnej religii chrześcijańskiej, jeżeli znajdujemy w niej niektóre zasady stoicyzmu, tylko w doskonalszej formie.

---

[1] W. Bogusławski, l. c. str. 112.

[2] Ks. M. Morawski: „Świętych Obcowanie“, str. 27 n.

[3] Por. A. Ehrhard: *Die altchr. Literatur u. ihre Erforschung seit 1880* (Freiburg im Br. 1894), str. 116. — Tenże: *Die altchr. Liter.* (Freiburg im Br. 1900), str. 292.

Dyalog nie był przeznaczony specyalnie dla urzędników i polityków pogańskich, bo brak wyjaśnień i zaczepek jurydycznych. Właściwymi adresatami są literaci, ludzie wykształceni, stanowiący wyborową część społeczeństwa rzymskiego. Dla nich ten udatny prolog i elegancye stylistyczne. Była to publiczność sceptyczna w teoryi, w praktyce konserwatywna. Oddalała mianowicie wszelkie nowości dogmatyczne i niewzruszone, bo musiałaby sobie przez to zamącać względny spokój — głównie zaś dlatego, żeby utrzymać porządek socyalny i religię, uświęconą przez długą tradycyę. Nie ma w tem postępowaniu kontradykcyi. Przytoczono [1] jako analogię stosunki Anglii i Francyi, gdzie ludzie słabej wiary lub przeczący kategorycznie nadprzyrodzonym rzeczom byli jednak zdecydowanymi obrońcami religii, utrwalonej wiekami. Najpierw żyć, mówi przysłowie, potem filozofować. Ten kompromis zaznacza się już pod koniec republiki rzymskiej, a czytelnicy drugiego wieku znaleźli odbicie swych poglądów w teoryi Caeciliusa, jasno określonej w dyalogu (6, 1): Ponieważ badania co do opatrzności i początku wszechrzeczy pozostawiają nas w wątpliwości, dlatego lepiej i godziwiej iść za nauką przodków jako miernikiem prawdy, trzymać się przekazanych kultów, zanosić modły do bogów, nie wydawać sądu o bóstwach, lecz wierzyć starszym generacyom. Adresaci Minucyusza, obyci z popularną filozofią, znajdują w dyalogu styczne punkty między zapatrywaniami filozoficznemi a chrześcijańskiemi, a tak dojść mogą do wniosku, że chrystyanizm nie jest w zasadzie nieprzyjacielem cywilizacyi tej epoki, nie sprzeciwia się ani literaturze ani kulturze intelektualnej. Ten wielki problem jest i dzisiaj bardzo aktualny, kiedy po tylu wiekach nie schodzi z oczu narodów widmo starego sceptycyzmu, a echa pogańskie czepiają się z uporem skał, Krzyżem naznaczonych.

Sienkiewicz, choćby nawet znał Minucyusza, nie potrzebowałby go mieć przed oczyma, kiedy podejmował temat tak ważny. Pomijając zaznaczone analogie, uważam za zbyteczne

[1] P. Monceaux: *Hist. littéraire de l'Afrique chrétienne* (Paris 1901), I, str. 494.

wykazywać znaczne różnice. Dlaczegóż więc mówimy razem o jednym obok drugiego?

W rzymskiej Villa Albani umieszczono Antinousa i Sokratesa, dwa antypody: fizyczną piękność bez duszy obok brzydkiego człowieka z piękną duszą. Niech tedy nikogo nie dziwi, żeśmy (bodaj na chwilę) zbliżyli ku sobie dwa utwory, które łączą, choć w odmiennym stopniu, ponętną formę z niezwykłą treścią, porywającą duszę społeczeństw w krainę uzdrawiających ideałów.

*Dr. Adam Miodoński.*

# REFORMA OPIEKI NAD ZABYTKAMI [1].

Jeżeli kiedy, to mówiąc o sprawie opieki nad zabytkami u nas, słusznie i trafnie można użyć okrzyku agitatorów i mowców ludowych: Nie, tak dłużej być nie może! W całem państwie czuć się daje i z dniem każdym wzrasta niezadowolenie z obecnego stanu tej sprawy. Wskutek nieuregulowania stosunków pod tym względem, w zatrważający sposób kurczy się inwentarz zabytków przeszłości, zacierają się ślady starej i wysokiej kultury. Zabytki ruchome bywają bezkarnie wywożone, nieruchome narażone są na szkodę, raz przez brak opieki, drugi raz przez zbytek opieki, przez zbyt daleko idące restauracye. I jednemu i drugiemu rodzajowi złego bardzo trudno jest skuteczną stawiać tamę. Wobec psucia zabytków architektury prywatnych władze są niemal całkiem bezbronne. Konserwatorowie narzekają na swoją bezsilność, na brak odpowiednich ustaw i brak egzekutywy. Wszelako w następstwie podnoszącego się poziomu wykształcenia, społeczeństwo znów coraz więcej zajmuje się zabytkami, staje się coraz drażliwszem na ich niszczenie, rade oskarża konserwatorów o obojętność i niedołęstwo. Ale czyni to tylko jako ogół i czyni w teoryi — równocześnie

[1] Referat ten, wygłoszony na zjeździe konserwatorów w Przemyślu, 22 maja b. r., podajemy ze względów informacyjnych, jako zaczątek nowej akcyi u nas, w tym kierunku. Sąd o tej sprawie zastrzegamy sobie do chwili, w której tenor projektu ustawowego dojdzie do znajomości publicznej. *Przyp. Redakcyi.*

bowiem pojedynczy właściciele zabytków odczuwają ingerencyę konserwatorów jako dotkliwe ukrócenie swobodnego używania własności, jako szykanę osobistą, przeciw której w praktyce wolno, owszem należy protestować słowem i czynem. Są tacy, którzy jeszcze do dziś dnia uważają sobie za chlubę i za korzyść, jeżeli uda im się omylić czujność konserwatora, lub jawnie sprzeciwić się jego zarządzeniom.

Istne błędne koło! Nie dziw, że w tych warunkach jedni konserwatorowie zniechęceni, opuszczają ręce i bezczynnie patrzą na złe, zbyt wielu mające sprzymierzeńców — drudzy gorliwsi i energiczni, na swój sposób chcą wyzyskać niejasność położenia i ostremi a ustawą niepopartemi wystąpieniami swemi budzą ducha opozycyi nawet tam, gdzieby go spodziewać się najmniej należało, w kołach ludzi wykształconych. W jednym i drugim wypadku szkodę ponoszą zabytki.

Stan ten smutny w całej Przedlitawii, jeszcze przykrzejszym jest w naszym kraju. Pokutuje u nas zawsze jeszcze dawny duch anarchii, wrodzona niechęć do wszelkiej władzy. Konserwatorowie wprawdzie mają władzę bardzo wątpliwą, prawie iluzoryczną — ale są tak źle widziani, jak gdyby mieli władzę prawdziwą i bardzo rozległą. Owszem im mniejszą jest ich siła, tem śmielej i otwarciej ludność otacza ich niechęcią. I ten, który jest gorliwym stróżem pamiątek i skarbów narodowych staje się w oczach wielu rodzajem c. k. urzędnika policyjnego, tylko nie mającego prawa aresztować, ani skazywać na karę pieniężną.

Zadziwiać musi, że Austrya, będąca przecie państwem kulturalnem, pod względem urządzenia sprawy opieki nad zabytkami, a więc sprawy na wskroś kulturalnej, tak bardzo jest zacofaną.

Ścisłe ustawy konserwatorskie istnieją od dawna na zachodzie: we Włoszech, we Francyi. W Anglii ustawa bardzo ścisła obejmuje przynajmniej pewną określoną liczbę zabytków najcenniejszych. W Niemczech, wprawdzie tylko w jednem z małych państewek (W. Księstwie Heskiem), wprowadzono niedawno ustawę formalną i całkowicie wyczerpującą przedmiot. Reszta państwa niemieckiego ma jedynie rozporządzenia, jakby próbę

ustaw; ale posiada od dość dawna dobrze zorganizowane urzędy konserwatorskie z atrybucyami władzy politycznej, posiada dokładną, urzędownie przeprowadzoną, dziś niemal ukończoną inwentaryzacyę zabytków; od niedawna zakładają się t. zw. archiwa konserwatorskie, czyli zbiory planów, fotografii i dokumentów odnoszących się do zabytków; prócz tego pojedyncze gminy miejskie wprowadziły u siebie surowe przepisy co do ochrony zabytków, a nawet instytucyę zbliżoną do prawa wywłaszczenia. Nadto niektóre kraje niemieckie posiadają bardzo czynne stowarzyszenia opieki nad zabytkami, nawet opieki nad pięknościami przyrody. Sprawy te prowadzone są bardzo porządnie, konsekwentnie, z niemiecką systematycznością, a organizacya administracyjna i współudział w tej sprawie samego społeczeństwa, zastępują niemal zupełnie ustawę.

Dalej ustawy konserwatorskie istnieją na wschodzie, w krajach cywilizacyjnie niżej od nas stojących: w Turcyi, Grecyi, Egipcie; bliżej nas także w Węgrzech. Brak ich jedynie w Przedlitawii, a także organizacya urzędów konserwatorskich i oczywiście ich atrybucye pozostawiają tutaj bardzo wiele do życzenia.

Nie można jednak powiedzieć, aby u nas dotąd nic jeszcze pod tym względem nie robiono. Owszem od r. 1818 ponawiają się co jakiś czas próby urządzenia ochrony zabytków, i to próby stopniowo ulepszane. Dzisiaj obowiązujący statut urzędów konserwatorskich polega nawet na zdrowej i postępowej zasadzie: wychodzi, nie jak przepisy dawniejsze w wielu państwach, z zapatrywania państwowo lub narodowo egoistycznego, ale z ogólno ludzkiego i kulturalnego: uznaje nietylko materyalną, artystyczną lub naukową wartość zabytków przeszłości dla narodu lub dla państwa, lecz uważa je przedewszystkiem za cenne dobro, do którego każdy obywatel, każdy cywilizowany człowiek przywiązuje pewne uczucie, każdy na nich się kształci, każdy ma prawo poczytywać się za moralnego ich właściciela. Zasada więc dobra— przeprowadzenie niedostateczne. Urzędy konserwatorskie są honorowe, więc przeważnie dorywczo wykonywane, bo każdy konserwator ma jakieś inne obowiązkowe zajęcie, a konserwator-

stwo musi uważać za rzecz uboczną. Prócz tego konserwatorstwo jest urzędem, ale nie jest władzą. Również i sam naczelny urząd, Komisya centralna w Wiedniu, choć ma urzędników płatnych, władzy nie ma żadnej. Jest właściwie ciałem naukowem wydającem opinię, mogącem co najwięcej korespondować z władzami rzeczywistemi. Działalność konserwatorskich urzędów nie wynika z ustawy, tylko opiera się na rozporządzeniach administracyjnych, nie ma mocy prawnej, nie posiada egzekutywy. Urzędom politycznym wprawdzie różne reskrypty i okólniki nakazują popierać konserwatorów — ale nigdzie nie określono, jakiego rodzaju ma być to poparcie, jak daleko iść winno, jakie skutki pociąga niestosowanie się do wymagań konserwatora tak ze strony urzędu politycznego, jak i ze strony publiczności.

Tak więc dotychczas ochrona zabytków, polega głównie na dobrej woli właścicieli i na pewnym moralnym nacisku wywieranym przez urzędy konserwatorskie. To podstawa nadzwyczaj słaba.

Praktyka dotychczasowa wykazała, że dobrze urządzona i skuteczna opieka nad zabytkami, musi koniecznie mieć cechę przymusowości, musi wymagać od jednostki przymusowej ofiary na rzecz dobra ogółu, a nawet dawać państwu w rękę prawo wywłaszczania. Przez to niewątpliwie zbliża się do pojęć i do instytucyi socyalistycznych. Może to powód zwłoki i pewnej niechęci do tej sprawy, tak wśród społeczeństwą jak u rządu.

Ale bez tego wszelkie usiłowania będą daremnemi, wszelkie próby ułudnemi, trzebaby wyrzec się nadziei ratowania zabytków od zagłady. Takiemu zaś wyrzeczeniu sprzeciwia się zarówno patryotyzm, jak i uczucie ogólno-ludzkie wszelkiego społeczeństwa cywilizowanego. Zabytki sztuki i przeszłości są nie tylko cennymi dokumentami dla nauki, nie tylko chlubą dla zupełnie uzasadnionego egoizmu narodowego, ale są w moralnem znaczeniu własnością narodu i ludzkości a posiadacz ich chwilowy wywożąc je za granicę działa na szkodę swego narodu, niszcząc zaś lub uszkadzając, a nawet usuwając tylko z właściwego tła i otoczenia, działa na szkodę ogółu ludzi cy-

wilizowanych. Każdy obywatel ma prawo uważać się za skrzywdzonego przez to.

Społeczeństwa mało cywilizowane nie odczuwają tego tak żywo i dlatego wśród nich niemożliwem bywa wprowadzenie surowych ustaw konserwatorskich, bo nie znalazłyby one odgłosu u większości obywateli. Atoli większość narodów składających Przedlitawię jest już na tym stopniu kultury, że zagładę zabytków uważa publiczność za stratę i krzywdę swoją. Gdy dojdzie do niej wiadomość o umyślnem niszczeniu starożytnego kościoła, zamku, obrazu lub rzeźby, a choćby tylko o ich poniewierce wynikłej z zaniedbania — dzienniki i głos publiczny domagają się wkroczenia tutaj rządu, bo państwo jedno ma prawo reprezentować ogół wobec jednostek poszczególnych korporacyi lub instytucyi.

Więc chwila obecna wydaje się stosowną do wprowadzenia u nas ustawowej opieki nad zabytkami; zarazem chwila to ostatnia, gdyż zniszczenie nieruchomości postępuje szybko, handlarze zaś wykupują gorliwie i wywożą zabytki ruchome, na które na zachodzie pokup jest wielki: wkrótce może być zapóźno, niewiele zostanie do ratowania.

Sprawa uregulowania opieki nad zabytkami ma dwie całkiem odrębne strony. Jedną jest strona prawna: potrzeba ustawy odnoszącej się do prawa materyalnego, normującej stosunek właścicieli i stosunek państwa do zabytków, t. j. określającej prawa i obowiązki tak jednych jak drugich i wskazującej w jakich wypadkach właściciel może być zmuszony do pewnej ofiary względem zabytku będącego jego własnością, w jakich wypadkach ustaje jego prawo dowolnego rozrządzania tym przedmiotem — a w jakich państwo ma prawo wskazać mu te obowiązki, skazywać za ich niedopełnienie na karę; dalej w jakich państwo ma obowiązek przychodzić z materyalną pomocą na rzecz zachowania zabytków; wreszcie kiedy państwo ma prawo przymusowego wywłaszczenia i obowiązek ponoszenia kosztów nabycia i zachowania zabytku.

Drugą stroną sprawy jest wykonawcze i administracyjne

urządzenie egzekutywy zapewniającej przepisom ustawy wykonanie, zatem ustanowienie władz, mających czuwać nad zabytkami, wydawać polecenia w myśl przepisów ustawy, wreszcie orzekać kary za ich przekroczenie; także oznaczenie kompetencyi i zakresu działania władz tych i unormowanie toku instancyi.

Wszystkie powyższe przepisy i instytucye chybiłyby celu, gdyby im brakowało podstawowego warunku: spisu przedmiotów stanowiących inwentarz zabytków kraju. Pojęcie zabytku nie jest tak ścisłem, aby teoretycznie dała się dokładnie oznaczyć granica jego. A ponieważ w kwestyi ochrony zabytków wchodzą w grę względy nieraz bardzo delikatne i drażliwe prawa materyalnego, przeto przy teoretycznem tylko określeniu pojęcia zabytku mogłyby a nawet musiały często w praktyce zachodzić przykre nieporozumienia i zatargi. Z jednej strony właściciele przedmiotów nieraz narażeniby byli wskutek niejasności oznaczenia co jest zabytkiem, a co nie, na dotkliwe i niesprawiedliwe straty, i jeszcze częściej, niż dziś, odczuwaliby wkroczenie władz jako prostą dokuczliwość i szykanę — z drugiej znów istotne i cenne zabytki nie zawsze zapewnionąby miały należytą opiekę. Właściwie bardzo wiele zależałoby tu od taktu i trafnego instynktu urzędnika, zbyt wiele zostawałoby pola do interpretacyi ustawy w zasadniczym jej punkcie, bo co do samego pojęcia zabytku. Stąd powód do rekryminacyi, oporu, do obchodzenia ustawy w jedną lub drugą stronę. Pożytek ustawy mógłby się stać ułudnym a skutek jej wprost przeciwnym zamierzonemu celowi ochrony zabytków i wzbudzania dla nich poszanowania.

Wszystkie te trudności będą usunięte gdy powstaną spisy zabytków, i zarówno władze jak właściciele będą z góry wiedzieli do jakich przedmiotów ustawa się odnosi i w jaki to czyni sposób. Spisy te powinny — jak doświadczenie innych krajów, w pierwszym rzędzie Francyi uczy — być dwojakie, t. j. dwóch rodzajów, dwóch kategoryi. Jedne t. zw. Inwentarze powinny obejmować wszystkie zabytki przeszłości, których zniszczenie lub alienacya byłyby ze szkodą ogółu połączone, a zatem nad których ochroną władza ma prawo i obowiązek czu-

wać; drugie zawierać zabytki wyższej kategoryi, t. j. takie, których szczególna wartość artystyczna, albo wartość dla nauki, dla historyi kultury lub dla chwały narodu wymaga szczególnej czujności i uprawnia do głębiej sięgających wkroczeń władzy opiekuńczej. Są wypadki, gdzie państwo w interesie zachowania takich zabytków musi mieć prawo wywłaszczania, — idzie zatem oczywiście obowiązek łożenia z funduszów państwa na ochronę takich zabytków. Takie spisane zabytki wyjątkowego znaczenia nazywają się we Francyi klasyfikowanymi.

Sporządzenie spisów obu powyższych kategoryi jest czynnością przeważnie naukową. Tak czynność ta jak i niektóre inne z obowiązkami władz mających czuwać nad zabytkami połączone, wymagają powołania do składu tych sił naukowych. Czynności ściśle manipulacyjne i konceptowe wymagają personalu urzędniczego, wykształconego pod względem prawniczym. — Czynności urzędowe wreszcie praktyczne, jak ocenianie i zatwierdzanie projektów restauracyi lub kosztorysów, projektowanie restauracyi i uzupełnień powodują potrzebę powoływania także techników i artystów. I oto mamy obraz pożądanego składu urzędów mających opiekować się zabytkami.

To są ramy ogólne; szczegóły w każdem poszczególnem państwie muszą być zastosowane do potrzeb i warunków miejscowych, przepisy mogą być surowsze lub mniej surowe, więcej lub mniej sprecyzowane i wyspecyalizowane, organizacya władz w jednem więcej centralistyczna w drugiem autonomiczna.

Odkąd w Austryi przebiło się po przez różne wątpliwości przekonanie, coraz szersze kręgi obejmujące, o potrzebie lepszego niż dotąd ustawowego unormowania opieki nad zabytkami, których to obszerne państwo zawiera tysiące z najrozmaitszych okresów kultury, w niektórych prowincyach przeszło 2000 lat liczącej — pojawiały się pewne projekty ustaw. Grzeszyły one początkowo pewną nieśmiałością.

Projekt ustawy przez J. E. bar. Helferta wniesiony w r. 1898 w Izbie Wyższej Rady państwa, odnosi się jedynie do zabytków architektury i to mających cechę zabytków publicznych. Nie dotyka wcale dotychczasowej organizacyi władz

konserwatorskich, pozostawia je, nie określając bliżej ich przyszłych atrybucyi i obowiązków. Żąda, by bez zezwolenia „władzy“ nie przedsiębrano żadnych zmian co do owych zabytków publicznych, ale nie mówi jaka to władza uprawnioną jest do dawania zezwoleń, nie przewiduje kar za przekroczenie tego przepisu. Nie oznacza także minimalnego wieku, wymaganego, by przedmiot uważanym był za zabytek. Jest to więc projekt z wielu względów niedostateczny.

W r. 1903 zaprojektowaną została inna redakcya ustawy, przez p. Cyhlarza, prawnika, prof. Uniwersytetu wied. Właściwie nie ma powodu nad nią się dłużej rozwodzić, gdyż nie była, a może i nigdy nie będzie przedmiotem obrad parlamentu. (Wniesioną jedynie została dodatkowo na podkomitecie Izby Wyższej, mającym zastanawiać się nad projektem bar. Helferta). Nad tym jej prawdopodobnym losem nie ma co ubolewać. Dobrą jej stroną jest jedynie to, że za postawę bierze spisanie inwentarza zabytków starszych nad lat 50 i że władzom rządowym daje prawo czuwania nad ochroną zabytków i karania zaniedbań lub złej woli w tym względzie. Zresztą słabych stron i jej nie brak. Przedewszystkiem pomija zupełnie ruchome zabytki, obrazy, rzeźby, dzieła przemysłu artyst. Rozciąga się tylko na budynki (Bauwerke) i urządzenia architektoniczne (Anlagen), do których zalicza cmentarze, zapewne też niektóre ogrody, fontanny i t. d. Wprowadzenie takiej ustawy byłoby pod niejednym względem cofnięciem się w tył. Dzisiaj obowiązujące bowiem rozporządzenia obejmują daleko szerszy zakres. Dalej projekt nie czyni żadnej różnicy między zabytkami ważniejszymi i mniej ważnymi, publicznymi i prywatnymi. Według niego państwo roztacza równą i bezwzględną opiekę nad wszystkiemi zabytkami wpisanymi w Inwentarze. Dając rządowi daleko sięgającą władzę, bo nawet prawo przymusu, karania i wywłaszczania, nie określa stosunku rządu do urzędów konserwatorskich, które jednak pozostawia. Słowem, bardzo wiele i tu niedostatku i niejasności.

Wreszcie również w r. 1903 wypracowanym został przez samą Komisyę centralną projekt ustawy i projekt orga-

nizacyi urzędów opieki nad zabytkami, mało dotąd znany i wydrukowany jedynie jako rękopism. Udzielano mi go poufnie tak, że nie mam niestety możności rozszerzać się nad nim szczegółowo. Mogę tylko stwierdzić, że o ile da się w teoryi osądzić, opracowany jest lepiej niż wszystkie projekty poprzednie, uwzględnia najnowsze postulaty nauki i kultury oraz doświadczenia praktyki konserwatorskiej, a nie idąc zbyt daleko wobec słusznych wymagań prawa prywatnego, w wielu punktach stosuje się w zupełności do zasad dobrej i odpowiedniej dzisiejszym pojęciom ustawy, które wyżej jako życzenie skreśliłem. Znosi ona Komisyę centralną, rozdzielając jej atrybucye administracyjno-urzędowe od działalności fachowo-naukowej i obywatelskiej. Władzę składa w ręce osobnych urzędów administracyjnych (Denkmalamt) — resztę zaś czynności w ręce rad i komisyi. Uwzględniając autonomicznie stanowisko krajów koronnych, tudzież interesy sprężystej i na bezpośredniej styczności z zabytkami opartej ochrony tychże, wprowadza racyonalną decentralizacyę, (Urzędy krajowe i Komisye krajowe w związku z Namiestnictwami), a z drugiej strony dla zachowania jedności działania ustanawia wyższą instancyę przy Ministeryum oświaty (Urząd centralny i Rada centralna, „Beirath“); waruje również prawa kościoła i innych instytucyi.

Zarówno ustawa jak organizacya są znakomicie obmyślane. Jedyną słabą stroną brak ścisłych przepisów co do ruchomości i co do zabytków będących własnością osób prywatnych.

W każdym razie wprowadzenie tej ustawy w życie byłoby nietylko krokiem naprzód, ale postawieniem Przedlitawii pod względem ochrony zabytków odrazu niemal na wysokości państw przodujących w kulturze. W swoim rodzaju byłaby ta ustawa i ta organizacya, jak sądzę, czemś wzorowem, a przy rozszerzeniu jej także na ruchomości i własność prywatną mogłaby się stać czemś doskonałem.

Ale pierwszym warunkiem premissą jej są inwentarze i klasyfikacya zabytków. Projektodawca uważa je za punkt wyjścia całego badania. Do tego jednak niema dotąd niestety najmniejszych przygotowań, i dużo czasu upłynie, zanim ta praca

zostanie przeprowadzoną. Właściwie gdyby istniały zatwierdzone stanowczo normy i formularze, mogłyby kraje koronne wziąć na siebie przygotowanie naprzód spisów rzeczowych, nie czekając, aż projekt zamieni się w obowiązującą ustawę. Wszak to rzecz pierwsza, rzecz, która powinna poprzedzić wszelką dalszą akcyę.

Wszakże i spisy bez ustawy na nic się nie zdadzą. Więc obowiązkiem wykształconych i znaczenie ochrony zabytków rozumiejących obywateli jest starać się, aby na projekcie ustawy się nie skończyło — jak niestety kończy się zbyt często.

U nas dobrej woli nie brak; w tej sprawie projekty ustawy konserwatorskiej świadczą o niej wśród społeczeństwa — różne zaś rozporządzenia rządowe w sprawie zabytków dowodzą, że dobra wola była i jest u rządu. Dość wspomnieć choćby tylko wydane już w najnowszej dobie przez p. Ministra oświaty reskrypty tyczące się ochrony zabytków architektury kościelnej, utrzymywania inwentarzy ruchomości kościelnych, restauracyi witraży i polichromii w kościołach: dalej reskrypty ministeryum wojny w sprawie zabytków znajdujących się w posiadaniu władz wojskowych. Ogłoszone w rocznem Sprawozdaniu *(Bericht)* Komisyi Centr. z r. 1897, są one niestety za mało znane i niewyzyskane. Już na ich podstawie mogłoby wiele zabytków być uchronionych od zagłady, uszkodzenia lub wywozu.

Ostatecznie jednak bez ustawy wszystkie usiłowania będą słabe, jeżeli nie daremne; wykonywaniu przepisów brak będzie ścisłości i mocy, bo brak jedynego skutecznego oparcia i poparcia. Rozporządzenia mają to do siebie, że wykonanie ich w znacznej mierze zależy od energii organów wykonawczych, ich dobrej woli i osobistej gorliwości dla sprawy. Zresztą w najlepszym nawet razie bywają zwykle przestrzegane w początkach, z czasem tracą swoją moc i skuteczność. Przykładów nie brak; wystarczy wskazać kilka najbliższych.

Istnieją rozporządzenia Ministeryum spraw wewnętrznych, Namiestnictwa gal., Wydziału kraj. gal. co do poparcia urzędowego, jakie Starostwa i Gminy winny dawać konserwatorom. Mimo to, i mimo wszelkich a wytrwałych zabiegów konserwa-

torów stały się możliwymi tak smutne fakty, jak gruntowne zeszpecenie wspaniałego wczesno-gotyckiego kościoła podominikańskiego w Oświęcimiu, zburzenie baszty w Czortkowie, siedzibie Starostwa i Rady pow., zatarcie śladów przeszłości przy przebudowie dawnego pałacu Lubomirskich, obecnie gmachu sądowego przez rząd prowadzonej w takiem mieście jak Rzeszów, wreszcze zniszczenie domu Stauropigii w stolicy kraju. — Wszak administracya wojskowa bywa bardzo sprężystą. Otóż znanymi są reskrypty specyalne Ministra wojny, by w zamku na Wawelu żadnych robót, nawet malowania nie przedsiębrać bez porozumienia z konserwatorem. Tymczasem co rok zarząd wojskowy smaruje na zielono, różowo, nawet czarno ściany pokoi, krużganki, rzeźby i niema sposobu temu zapobiedz. Reskrypty idą szybko w zapomnienie, faktu dokonanego cofnąć niepodobna. Kończy się na przeproszeniu konserwatora i obietnicy na przyszłość, która w roku następnym znów nie bywa dotrzymaną.

Inna rzecz, gdy istnieje jasna i stanowcza ustawa. I ona bywa skuteczną jedynie przy dobrej woli wykonawców. Ale bez niej nawet dobra wola nie pomoże. W braku ustawy musi chromać cała sprawa ochrony zabytków — szkoda trudu i czasu konserwatorów, idzie na marne gorliwość, którą produktywniej mogliby zużytkować w innym kierunku.

Zbyt już długo waży się rozmaite trudności i drażliwości stojące w drodze wprowadzeniu ustawy konserwatorskiej. A tymczasem szczupleje majątek narodowy i kulturalny zawarty w zabytkach. Jedną np. z przeszkód była w Austryi i jest podobno dotąd obawa wejścia w konflikt z władzami kościelnemi. Punkt to ważny, wszak kościoły i klasztory zawierają skarby zabytkowe. Jestem synem Kościoła katolickiego i broń mię Boże, abym chciał rękę przykładać do ścieśnienia praw lub obniżenia powagi Kościoła. Ależ tu nie chodzi o prawa i powagę w rzeczach władzy duchownej, w rzeczach religii, ani o swobodne rozrządzanie majątkiem kościelnym, tylko o kompetencyę rządców kościołów w sprawach tak specyalnych i można powiedzieć świecko-fachowych, jak znawstwo i ochrona umiejętna zabytków sztuki i przeszłości. Nikomu nie przyjdzie na myśl twierdzić,

jakoby przez ustawę np. o policyi budowlanej Kościół został ograniczonym w swych prawach. Policya konserwatorska byłaby czemś analogicznem. Jeżeli przepisy tamtej nie pozwalają budować wbrew technicznym zasadom wytrzymałości materyału i warunkom bezpieczeństwa — to przepisy tej ostatniej mogą z równem prawem przeszkadzać obchodzeniu się z zabytkami, sprzecznemu z zasadami nauki i z zasadami sztuki, a więc nieumiejętnym restauracyom, dyletanckim przebudowom i powiększaniom budynków kościelnych, naiwnym zamianom przybrukanych cennych starych ornatów, któreby jeszcze dziesiątki lat służyć mogły, na błyszczące szmaty fabryczne, z których za lat parę strzępy tylko zostają, marnowaniu artystycznych średniowiecznych obrazów i rzeźb dlatego, że komuś nie podoba się poza lub wyraz twarzy osób wymalowanych.

Nie zarzucam tu bynajmniej rządcom kościołów rozmyślnego niszczenia zabytków. Kościół był zawsze ich stróżem i obrońcą. Ale można być dobrym kapłanem, a nie znać się na sztuce i jej historyi. Jest to zapewne brak, atoli charakterowi duchownemu nie ubliża, tak samo jak szczytnemu urzędowi kapłańskiemu ujmy nie przynosi pewne ścieśnienie swobody co do dysponowania dziełami sztuki i zabytkami przeszłości, pewna pod tym względem urzędowa kontrola i fachowa opieka.

Godzi się wspomnieć, że przepisy i to nieraz surowe o ochronie zabytków wydawane były przez rząd papieski począwszy od XV wieku (Dekrety Piusa II z r. 1462 i Sykstusa IV z r. 1474). Ogłoszona w r. 1820 w państwie papieskiem *lex Pacca*, jest najdawniejszą formalną ustawą konserwatorską, pobudką i wzorem dla wszystkich ustaw tego rodzaju w państwach europejskich, które o lat kilkadziesiąt wyprzedziła. Jest to jedną z wielkich chlub papiestwa, a zarazem dowodem, że ustawa konserwatorska w swej istocie nie jest czemś przeciwnem zasadom Kościoła. Inaczej być zresztą nie może, bo przecie Kościół zawsze szedł w parze z kulturą i popierał cywilizacyę. Interes rzeczywisty kultury nie może być sprzecznym z interesem i celami Kościoła.

Streszczając całe powyższe roztrząsanie, stawiam w n i o s k i:

1) Zjazd uznaje, że bez ustawy konserwatorskiej skuteczna ochrona zabytków nie jest możebną i oświadcza się za jak najrychlejszem wprowadzeniem w Przedlitawii w życie takiej ustawy i poleca wybrać się mającej ku temu komisyi czynienie odpowiednich kroków, przy użyciu pośrednictwa Koła polskiego w Radzie państwa.

2) Zebrani na zjazd konserwatorowie i korespondenci Komisyi cetralnej uchwalają czynić starania o przyśpieszenie w Galicyi spisu zabytków w duchu zamierzonej przez Komisyę centr. ustawy.

Drugi ten punkt wymaga przedewszystkiem środków pieniężnych. Uchwała więc zawiera w sobie konieczny warunek starania się także o fundusze na ten cel. Obmyślenie sposobu przeprowadzenia spisu można również powierzyć komisyi wybranej do punktu 1-go.

*Dr. St. Tomkowicz.*

# DOKTRYNA LWA TOŁSTOJA.

(Ciąg dalszy).

Pogardę swą dla chrześcijańskich dogmatów Tołstoj usiłuje usprawiedliwić tą jeszcze okolicznością, że nie mają one jakoby nic wspólnego z kwestyą życia. „Nie mogę, powiada, zgodzić się na to, aby te bezmyślne, bluźniercze słowa (dogmat: Bóg jeden we trzech osobach) były jedyną odpowiedzią, jaką mogę otrzymać od mojego ojca na swoją modlitwę, aby mi dał poznać jak go pojąć i pokochać“ [1]. „Ten straszny, bluźnierczy dogmat nikomu i do niczego nie jest potrzebny, żadnej moralnej zasady z niego wyprowadzić nie można“. Podobnież zapatruje się Tołstoj i na inne dogmaty, np. dogmat Eucharystyi, oburzając się, że zamiast nauczyć dobrego życia, Kościół każe „zjeść z łyżeczki trochę chleba umoczonego w winie“, i zapytując: „jaka różnica między czuwaszem, smarującym śmietaną swojego boga, a prawowiernym, zjadającym kawałek swojego boga?“ [2] Pomijając zadziwiający u takiego, jak Tołstoj, estetyka brak delikatności w wyrażeniach i porównaniach, odpowiadamy, że dogmaty przedstawiają się bezmyślnymi tylko dla niewierzących, zapatrujących się na nie, jako na metafizyczne lub matematyczne łamigłówki. Chrześcijanin wierzący w każdym dogmacie znajduje obfity pokarm dla swego moralnego życia. Dog-

[1] „Krytyka teologii dogmatycznej“, str. 103.
[2] Tamże, str. 307.

mat Trójcy i połączony z nim dogmat Wcielenia nie są pustemi zagadkami dla umysłu, lecz mówią chrześcijaninowi, że tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, i uczą go kochać Boga i ludzi. Eucharystya w oczach wierzącego bynajmniej nie jest łatwą zamianą obowiązku dobrego życia na liturgiczną formułkę, lecz pobudką i siłą do wykonywania włożonych nań przez Boga obowiązków. Mówi Tołstoj, że moralne zastosowanie dogmatu, jakie napotykał u autora, z którego studyował teologię, są naciągane, zewnętrznie niejako przyszyte, nie zaś wypływające z danego twierdzenia. Nie chcemy się sprzeczać i bronić owego autora dogmatycznego podręcznika, lecz moglibyśmy wskazać Tołstojowi i takich autorów, którzy z dogmatu Trójcy nie mechanicznie i za pomocą gry wyrazów, lecz całkiem naturalnie i logicznie umieli wyprowadzić mnóstwo prawd z zakresu nie tylko prywatnej, ale i społecznej i politycznej moralności. Z pomiędzy ziomków Tołstoja dosyć zacytować myśliciela tej miary, co Wł. Sołowiew [1].

Jaka natomiast korzyść moralna z tołstojowskiego dogmatu o Bogu, którym jest sam rozum ludzki, płatający figle samemu sobie, lub o człowieku, przynoszącym swój charakter z innego nieznanego świata, — stanowczo nie widzimy; nieco zaś niżej przekonamy się, że raczej szkodę na duszy, niż pożytek odnieść z nich można.

Jeszcze słabszy jest inny zarzut Tołstoja przeciwko prawdom chrześcijańskim, podniesiony w najświeższej „Odezwie do duchowieństwa", datowanej 1 listopada 1902 r. w Jasnej Polanie [2]. Dogmat został tu przedstawiony, jako klin, wbity mię-

---

[1] Naprzykład w dziele: *La Russie et l'église universelle.*

[2] Jest to rodzaj encykliki i przedśmiertnego testamentu twórcy nowej religii, zaadresowanego do papieży, kardynałów, biskupów, superintendentów, księży i pastorów, słowem duchowieństwa wszystkich religii i sekt. W liście tym nawołuje Tołstoj duchowieństwo, aby się upamiętało i zaprzestało zwodzić lud swoją nauką. W tem piśmie można znaleźć w krótkości zebrane wszystkie poglądy Tołstoja, a zarazem podziwiać jego fanatyzm i manię wielkości.

dzy deski śpichlerzowej zagrody. Rozsadziwszy deski, tworzy dziurę, którą ucieka wszystko zboże, jakie się sypie do zagrody. „Podobnież i w głowie, do której wbito klin Trójcy, lub Boga, co się stał człowiekiem i męką swoją odkupił ród ludzki, a potem odleciał *(sic)* do nieba, — nie może się zatrzymać żadne rozumne i trwałe pojęcie życia... Jeśli możliwa Trójca, niepokalane poczęcie, odkupienie ludzkiego rodu krwią Chrystusa — w takim razie wszystko jest możliwem i wymogi rozumu przestają obowiązywać". Zawiele, hrabio Tołstoj, zawiele! Prosimy zajrzeć do historyi filozofii i przekonać się, że jeżeli przesypywało się bez przeszkody rozmaite zboże, a nie zawsze zboże, to bez wątpienia nie przez głowy wierzących, lecz tych, co wiarę stracili. Sceptyków najmniej spotkasz w obozie chrześcijańskim. Dogmat nigdy nie grał roli klina, rozsadzającego głowy, ale jest kotwicą, której się trzymając zabezpieczali się wierni od tego, by *nie byli uniesieni od każdego wiatru nauki przez złość ludzką, przez chytrość na oszukanie błędu*[1]. Za to w rozpatrywanej przez nas nauce nowego myśliciela jest tak wiele i tak grubych klinów, że gdyby wyznawcy jego chcieli je wszystkie sobie przyswoić, w rzeczywistości należałoby się obawiać o ich głowy.

Od każdego systemu żąda się przedewszystkiem konsekwencyi, a tej często brak w nauce Tołstoja, w której jedne twierdzenia wykluczają drugie. Kilka takich sprzeczności już wytknęliśmy, innych parę wyliczymy na tem miejscu. Wszystkich przytaczać niepodobna, taka ich liczba.

Raz Tołstoj przyznaje człowiekowi życie nieśmiertelne, śmierć nazywa złudzeniem i nawet ją wyśmiewa, a jednocześnie z tem i zmartwychwstanie ciała i nieśmiertelność duszy poczytuje za chimerę. Od „osobistości zwierzęcej" domaga się poddania pod prawo rozumu, a zaprzecza i tej osobistości i wogóle człowiekowi wolności woli, poczytując ją za takie oczywiste złudzenie, że go nawet zbijać nie warto. Niewiele świadczy o jego filozoficznej przenikliwości sposób, w jaki chce obalić wolność woli. Miesza on wolność woli fizyczną, dzięki której

[1] Efez. IV, 14.

człowiek jest panem własnych czynów, z wolnością czyli niezależnością od wszelkiego moralnego prawa. Pierwsza wolność jest pewnikiem zarówno teologii, jak wszelkiej zdrowej filozofii, podczas gdy drugą wolność a raczej samowolę potępia i wiara i rozum. Tołstoj, przytaczając dowody, wykluczające samowolę, konkluduje, że właściwa fizyczna wolność woli jest pojęciem, wynalezionem przez teologów i kryminalistów w celu usprawiedliwienia środków przymusowych.

Inny przykład. W nauce moralnej, według Tołstoja, właściwie nie może być mowy o celu naszego życia. Cel znany jest tylko Bogu (a któż jest ten Bóg według Tołstoja, jeśli nie rozum w człowieku mieszkający?). My możemy poznać tylko d r o g ę, która do celu prowadzi, jak koń nie wie dokąd na nim jadą, lecz po szarpaniach wędzidła poznaje drogę, którą kroczyć powinien[1]. W tej samej jednak książeczce powiada: „Ja żyję, aby wypełnić wolę tego, który mnie posłał w życie. Wola zaś jego n a t e m p o l e g a, abym swoją duszę doprowadził do wyższego stopnia doskonałości przez miłość, a tem samem dopomógł do ustanowienia jedności między ludźmi i wszystkiemi *(sic)* istotami w świecie“[2]. Lecz czyż to nie jest poznaniem celu życia? Czy wiodącą doń drogę poznaje Tołstoj jedynie po szarpnięciach wędzidła? Koń, gdyby na nim nikt nie siedział, nie poznałby ani celu ani drogi, lecz człowiek kierujący się rozumem musi znać i jedno i drugie.

Najwidoczniej wikła się Tołstoj w nauce swej o charakterze. Raz mówi, że charakter jest owem naszem j a, będącem substratem dla zmian ciała i aktów świadomości, pojmuje więc ów charakter na sposób pewnej, stałej substancyi; lecz natychmiast potem powiada, że charakter ten przynosimy ze sobą z pozaświatowego i pozaprzestrzennego istnienia, podsuwając tym sposobem inne jakieś *ja*, które przynosi ze sobą stamtąd ów charakter. Dalej, ów charakter jest absolutnie niezmienny i według różności jego rozmaicie działają na ludzi też same

[1] „O sensie życia“, str. 8.
[2] Tamże, str. 18.

przedmiotowo pobudki i okoliczności, pomimo jednak takiego determinizmu żąda Tołstoj od ludzi przyjęcia swej nauki, zmiany poglądów i poprawy życia — słowem zmiany charakteru. Lecz jeżeli w rzeczy samej charakter sprawia, że siłą konieczności jedno lubimy a drugiego nie lubimy, to czyż nie szkoda tego atramentu, którego tyle Tołstoj napsuł, aby ludzi przekonać i nakłonić do swej nauki? Kto jej nie lubi, ten żadnemi pobudkami nie da się skłonić do jej przyjęcia.

Jak teoretyczna część nauki Tołstoja bezpodstawnością i sprzecznościami, tak znowu praktyczna jej strona poraża nas przedewszystkiem swoją niemocą przy zastosowaniu do życia i ubóstwem programu pozytywnej działalności. Etyka jego jest stanowczo niezdolną do utrzymania człowieka w karbach cnoty, gdyż pobudki, na które się powołuje, by ludzi skłonić do powszechnej a bezinteresownej miłości, celu swego najzupełniej chybiają. Skodyfikowane przez Tołstoja przykazania moralne, dopóki nie oprze się ich na miłości Boga i wierze w życie przyszłe, jako nagrodę lub karę doczesnego żywota, mogą wystarczyć chyba tylko samemu Tołstojowi, lub, co najwięcej, małej garstce entuzyastów jego urojeń, i to na czas pewien, lecz niepodobna, aby zdołały skłonić do cnoty szersze masy, których potrzeby etyczne twórca systemu moralnego powinien był mieć na oku. Z codziennego doświadczenia wiemy doskonale, jak mało pewne osobistości zwierzęce ważą sobie nierównie silniejsze od tołstojowskich pobudki cnoty, wskazane przez wiarę chrześcijańską. Na takie więc motywa, jakie przytacza Tołstoj, każda osobistość zwierzęca — spodziewamy się — odpowie uśmiechem politowania. Wszak ona pragnie szczęścia i to nie jakiegoś szczęścia odległego i obcego, ale własnego, zaraz, tutaj, gdyż nie wie, czy później będzie mogła go używać. Aby się wyrzec szczęścia, które ma przed sobą, na rzecz odległych widoków, tego ona zrozumieć nie potrafi; nie widzi również racyi odmawiać sobie rozkoszy dla jakiegoś „ja“ rozumowego, z którem czasowe tylko łączą ją węzły. Wytłumaczy więc sobie, że lepiej używać świata, ile się da, a gdy suma napotykanych cierpień przewyższy sumę rozkoszy, to łatwo zakończy się chy-

bioną egzystencyę stryczkiem lub kulą, na czem ani ona sama, ani *ja* rozumowe źle nie wyjdzie. Rozumowe „ja", po najgorszem nawet życiu, pójdzie sobie na łono bóstwa, rozpłynie się w rezerwoarze wszechrozumu, a osobistość zwierzęca... zniknie wprawdzie, ale to w każdym razie, prędzej czy później, nastąpić musi.

Niech, ile chce, deklamuje Tołstoj przeciw zasadzie szczęścia osobistego, jako sprężyny czynów ludzkich, — ono pomimo to zawsze sprężyną życia pozostanie. Jest to tak dalece prawdą, że sam Tołstoj, po tylu wycieczkach przeciwko eudemonologicznemu pierwiastkowi w etyce, w końcu sam bez niego obejść się nie może. Czyż nie do niego bowiem się ucieka, gdy czytelników swych przekonać usiłuje, iż przyjęcie jego nauki oszczędzi im wiele cierpień i przyniesie dużo szczęścia? gdy żywymi kolorami maluje ów raj ziemski, w którym wszystkie pięć warunków doczesnego szczęścia znaleźć się mają? gdy zdobywa się na śmiałe twierdzenie, że Jezus wcale nie wskazuje zbawienia w ascetyźmie i dobrowolnych torturach, lecz w życiu, które daje nam w tym świecie mniej cierpień, a więcej radości, niż ich dostarcza życie samotne [1]? Starać się o pozyskanie dla swej teoryi zwolenników widokiem doczesnego szczęścia — jest to abdykować ze stoickiej zasady cnoty dla cnoty [2]. Nawet i wtedy wzywa Tołstoj na pomoc eudemonologiczny pierwiastek, gdy robotnikom i wydziedziczonym tego świata zaleca, aby się nie starali o nabycie własności, lecz owszem pozbyli się jej, gdyż nawet w chorobie i niedołęstwie będą mieli zapewniony kawałek chleba na równi z bydlęciem roboczem, od którego, jeśli nie w danej chwili, to w przyszłości właściciel spodziewa się usług. Nie wiem, czy ta perspektywa przemówi do serca ubogich i chorych, ale faktem jest, że bez zasady osobistego

[1] *Ma religion*, str. 183.

[2] Najwidoczniej opuszcza Tołstoj stanowisko stoika w wielu ustępach książeczki „O sensie życia". Mówi tam: „Życie nie może mieć innego celu, jak szczęście, jak wesele. Tylko ten cel — radość — w zupełności godzien życia". Mała ta książeczka tyle zawiera wewnętrznych sprzeczności, ile kart w sobie mieści.

interesu i jakiegokolwiek, choćby psiego, szczęścia Tołstoj nigdzie obejść się nie umie. Szkoda tylko, że nie przeprowadził dalej podjętej analogii, która aż się prosi, by wyciągnąć z niej wszystkie wnioski. Ludzie karmią chore bydlę, lecz dotąd tylko, dopóki spodziewają się jego wyzdrowienia; wiemy zaś jak postępują z bydlęciem sparaliżowanem, lub bezpowrotnie dotkniętem nieuleczalną niemocą. Wtedy wyrazem największego politowania ku choremu bydlęciu — dać mu pałką w łeb, co jeżeli ma być ostateczną nagrodą dobrowolnie ubogiego, a schorzałego wyznawcy Tołstoja, lepiejby było do końca teoryi wytrwać przy stoickiej zasadzie bezinteresownej i ofiarnej aż do śmierci cnoty.

Kościół i filozofia zdrowa nigdy się nie wyrzecze eudemonologicznej zasady, ale też nigdy jej treści tak obniżać nie będzie. Według nauki Kościoła i rozumu, motorem działań ludzkich, było, jest i będzie wyryte przez Stwórcę w naszej naturze dążenie do szczęścia, lecz jest to szczęście nie osobistości zwierzęcej, jak niesłusznie zarzuca Tołstoj Kościołowi, podsuwając mu wyniki własnej nauki, lecz szczęście indywidualnego i nieśmiertelnego ludzkiego ducha. Osiągnięcie tego szczęścia jest zarazem wypełnieniem woli Bożej i największą chwałą Tego, który pragnienie szczęścia wlał do człowieczego serca. Nauka chrześcijańska, przedstawiając wolę Bożą, doskonałość moralną i szczęście, jako różne strony jednej i tejże samej rzeczy, uświęca pragnienia naszego serca i zarazem ułatwia nam postęp moralny w kierunku wskazanego nam przez Boga ideału. Człowiek pewny życia przyszłego, w którem odbierze za cnotę nieskończoną nagrodę, a za życie złe karę, posiada dostateczną racyę podbijania pod prawo rozumu dążeń swej niższej natury i złożenia w ofierze dla cnoty, w razie potrzeby, nawet własnego doczesnego życia. Prawo zaś moralne bez sankcyi pozagrobowej jest fikcyą i zupełnem bankructwem etyki. W systemie materyalistycznym brak sankcyi pozagrobowej zastępuje się, przynajmniej częściowo, przez bojaźń kar doczesnych. Lecz jakiż hamulec nałoży Tołstoj dążeniom swoich osobistości zwierzęcych, które albo nie są zdolne, albo nie chcą zrozumieć piękności cnoty, skoro odbierze im wiarę w życie przyszłe, a na ziemi

usunie wszelkie środki przymusowe? Odpowie, że życie egoistyczne samo dla siebie jest karą, że zasługuje raczej na nazwę śmierci, niż życia? Samolub obawę tej filozoficznej śmierci pozostawi... filozofom, sam zaś pogoni za swojem realnem życiem bez żadnego wędzidła. Jesteśmy przekonani, że wydarcie masom ludu wiary w nieśmiertelność duszy nie tylko nie przyśpieszy obiecanego przez Tołstoja raju na ziemi, ale raz na zawsze uniemożebni jego ziszczenie. Niewielu również zwolenników cnocie zdoła pozyskać Tołstoj przedstawieniem owego szczęścia wewnętrznego, które staje się udziałem człowieka, co po tołstojowsku zrozumiał zagadkę życia. Aby szczęście to psychologicznie mogło oddziaływać na człowieka i skłonić go do życia cnotliwego, musiałoby mu być z góry znanem z własnego doświadczenia lub zapewnionem przez jakąś nieomylną powagę. Tymczasem owa wewnętrzna nagroda dobrego życia, w duchu tołstojowskim polegająca na tem, że duszy „staje się jasno", nie zawsze będzie dosyć jasną w chwilach, kiedy obowiązek zażąda bohaterskiego wysiłku. Zresztą nagroda tego rodzaju nie jest, w nauce Tołstoja, ściśle związaną z dobrem życiem. Ten zbytek rozkoszy duchownej łatwo sobie zapewnić tańszym kosztem. Weźmy do ręki pierwszą lepszą z szeregu powieść Tołstoja: „Zmartwychwstanie" czy „Śmierć Iwana Iljicza" lub też „Gospodarza i parobka". Prawie każdy z bohaterów Tołstoja, z początku wstrętny samolub, człowiek-zwierzę, w końcu końców dochodzi do tego samego celu, co i największy abnegat i to nie mocą własnej woli, ale jakiegoś zbiegu okoliczności lub nagłego światła. Całe życie będzie on jadł, pił, bawił się, znęcał nad drugimi, przychodzi jednak czas, choćby w chwili śmierci, że mu tołstojowska świeczka zabłyśnie w głowie, poznaje zagadkę życia i już zbawiony. Tak więc nie Kościół ani wiara chrześcijańska, ale sam Tołstoj, ogałacając prawo moralne z niezbędnej sankcyi, przykłada tem samem rękę do burzenia moralności w sumieniach ludzkich, kopiąc zarazem grób dla własnych ideałów.

Może jednak etyczne ideały Tołstoja, pomimo praktycznej niemocy swojej, przynajmniej wewnętrzną treścią zalecają się,

jeśli nie jako meta, do której dojść można, to jako gwiazda przewodnia, wskazująca ludzkości kierunek w jej progresie moralnym? Jest w obiegu tego rodzaju sąd o etyce Tołstoja. Uznaje się jej niepraktyczność, owszem zgubność dla całego porządku społecznego, pomimo to jednak nakazy tej anarchicznej moralności uważają się za „wspaniały wyraz usiłowań ducha", dodając, że przeciwko etyce Tołstoja nie wolno i niepodobna powstawać w imię etyki[1]. Na ten sąd zgodzić się nie możemy. Prawda, że w dobrem przeforsować nie można, ale w tem leży trudność, czy dany pojedyńczy nakaz moralny, oderwany od reszty stosunków lub przeszkadzający spełnieniu innych niemniej etycznych wymóg, pozostaje nakazem, a literalne jego wykonanie — dobrem i cnotą? N i e s p r z e c i w i a ć s i ę z ł e m u jest zasadą niewątpliwie dobrą, dopóki stosować ją będę bez uszczerbku czyichbądź praw. Lecz oto zdarzenie. Na niewinnego, spokojnego przechodnia w moich oczach napada gwałtowny rabuś. Czy będzie rzeczą moralną, w imię pomienionej zasady, pozostać obojętnym widzem napaści, lub ograniczyć się do prawienia napastnikowi morałów o zagadce życia? Sądzę, że o wiele moralniejszą będzie rzeczą, mając silne ramiona, schwycić napastnika za kołnierz i przechodniowi pozwolić odejść w pokoju. A jednak w tym wypadku zastosowałem osądzone przez Tołstoja środki przymusowe! Z umysłu użyłem banalnego przykładu, aby tem łatwiej wykazać, w jaką ciasną jednostronność wpada Tołstoj i ci jego wielbiciele, którzy poszczególne obowiązki moralne rozpatrują w oderwaniu od innych obowiązków. W cnocie nie można przesadzić, to prawda, ale dopóki cnota pozostaje cnotą; kiedy zaś jakiś czyn, będący kiedyindziej jej przedmiotem, staje w kolizyi z wymogami innych cnót, wtedy wykonanie jego jest rzeczą nie cnoty, ale występku. Kapitalną, zdaniem naszem, wadą Tołstoja w formułowaniu przykazań moralnych jest to właśnie, że rozciągając słowa Jezusowe, nie chce uwzględniać wielu postulatów rozumu, które słowom tym

[1] Wł. Karowski: „Lew Tołstoj i jego Zmartwychwstanie". Kraków 1900.

zakreślają naturalne granice. Może nam zarzuci ktoś, że nie wolno liczyć się z wymaganiami rozumu, gdy nas w przeciwnym kierunku nawołuje wyraźne prawo Boże. Odpowiadamy, że zarzut taki przedewszystkiem w doktrynie Tołstoja wcale nie na miejscu. Nie może bowiem być mowy o jakiemś prawie pozytywnem Boskiem w przykazaniach Jezusa, jeśli traktuje się go jako zwyczajnego człowieka, a z drugiej strony nie godzi się lekceważyć żadnego z postulatów rozumu, tego rozumu, który podług Tołstoja jest, jak wiemy, światłem Bożem, owszem Bogiem samym.

Przypatrzmy się poszczególnym partyom etyki tołstojowskiej. Ponieważ właściwie nie buduje ona niczego, lecz streszcza się w zdaniach o formie negatywnej, przeto i nam nie pozostaje nic innego, jak zestawić negacye Tołstoja ze zdrowym rozumem. Zaczniemy od kwestyi małżeństwa. Od nagany celibatu doszedł Tołstoj do potępienia małżeństwa, jako jednej z form nierządu, obstając jednak za nierozerwalnością raz zawartych związków, które pomimo to nie przestają być nienaturalnymi, grzesznymi, niegodnymi człowieka. Od razu kilka sprzeczności. Rzecz w naturze niezbędną czyni się przedmiotem zakazu, a jednorazowe przeciw temu ostatniemu wykroczenie ma pociągać za sobą ścisły obowiązek narażania się na dalsze tegoż rodzaju występki. Lecz stanowczo zgodzić się nie można, aby to, co jest naturalnie niezbędnem, było etycznie złem, lub znowu zło etyczne — obowiązkiem sumienia. Jeżeli Stwórca chciał egzystencyi rodzaju ludzkiego, w takim razie i środek jedyny, prowadzący do tego celu, istnieje z woli Jego i środek ten musi być dobrym, przypisywać bowiem Bogu p o z y t y w n e ustanowienie środków moralnie nagannych byłoby bluźnierstwem. Unormować w szczegółach zastosowanie tego naturalnego środka, przepisać pewne granice, poza które samowoli przekraczać nie należy, oto zadanie rozumu i prawa pozytywnego, ale od nagany i potępiania instytucyi Boskiego pochodzenia stanowczo wstrzymać się wypada. Nie uniknie Tołstoj zarzutu oskarżania Opatrzności wybiegiem swoim, że cel ludzkości — miłość bliźniego i że wolno przepowiadać i dążyć do zagłady ludzkiego

rodu, kiedy się ten główny cel osiągnęło. Pozostanie bowiem i w tym razie prawdą, że aby się ludzie miłować mogli nawzajem, potrzeba było pewnego rozrostu ludzkości, a ten nie inną drogą, jak za pomocą instytucyi małżeństwa mógł być osiągniętym. W swojem potępieniu małżeństwa powołuje się jeszcze Tołstoj, jako na argument, na przyrodzoną wszystkim wstydliwość, lecz nic nas nie zmusza, byśmy obecność wstydu poczytywali za dowód niemoralności małżeństwa, skoro istnieje dlań inna rola, mianowicie stróża świętości małżeńskich związków i ochrony przed nieporządnem ich zawieraniem. Okazyę do twierdzenia, że obowiązkowym ideałem chrześcijan jest czystość zupełna, dały Tołstojowi słowa Chrystusowe, że *w zmartwychwstaniu nie będą się ani żenić ani za mąż wydawać, lecz będą jako aniołowie Boga w niebie* [1]; ze związku jednak opowiadania ewangelicznego łatwo dowieść, że jest tam mowa nie o zmartwychwstaniu w sensie tołstojowskiego nawrócenia, lecz o zmartwychwstaniu do wiecznego poza grobem żywota, a zatem, że ustęp przytoczony w ewangelii nie tylko nie sprzyja Tołstojowi w kwestyi małżeństwa, lecz nadto zawiera wyraźną choć niepożądaną dla niego naukę o życiu przyszłem i istnieniu duchów.

Że Tołstoj jest za nierozerwalnością raz zawartego małżeństwa, to bynajmniej nie wpływa na złagodzenie jego sądu o niemoralności małżeńskich związków, lecz owszem całą naukę bardziej jeszcze gmatwa. Gdyby małżeństwo było rzeczą moralnie ujemną, to nawet ci, których namiętność raz do tych związków wciągnęła, spostrzegłszy grzeszność swego stanu, winniby byli jak najprędzej wycofać się z niego. Nakładać zaś na małżonków przeciwny obowiązek, połączony z blizką okazyą ciągłych upadków, znaczy to samo, co rozkazać złodziejowi, aby rzeczy ukradzionej nigdy nie zwracał, lecz trzymał ją mocno przy sobie.

Obrona jednak instytucyi małżeństwa bynajmniej nie pociąga za sobą nagany dla bezżeństwa i czystości. Małżeństwo jest niezbędnem dla rodzaju ludzkiego i jako takie istnieje z woli Bożej,

---

[1] Mat. XXII, 28.

lecz Opatrzność umie osiągać swe cele inną drogą, niż przez nakładanie obowiązku jednostkom. Obdarzywszy ludzi silnym pociągiem do życia rodzinnego, zabezpiecza na zawsze istnienie potrzebnej instytucyi, a jednocześnie silniejszej woli indywiduom pozostawia możność w stanie bezżeństwa nieść ludzkości takie usługi, jakich w małżeństwie wypełniać nie można, i uiszczać na tej już ziemi typ owego życia, które nam jest wskazane w wieczności.

Nie można w żaden sposób zgodzić się z zapatrywaniem Tołstoja na kwestyę własności. Zapewne, że zachodzi wielka różnica między posiadaniem własnego ciała z jego władzami i organami, a posiadaniem rzeczy zewnętrznych, lecz daleko stąd do wniosku, że człowiek posiada na własność jedynie swoje ciało. Owszem te dwa, że się tak wyrazimy, stopnie własności są tak ścisle ze sobą związane, że pierwszy z nich służy za źródło, z którego wypływa prawo własności względem rzeczy zewnętrznych. Albowiem, abym mógł rozwinąć swoją energię, czyli użyć własnych sił w pracy, potrzebuję rzeczy zewnętrznych: materyału, pola, narzędzi, które raz użyte przeze mnie stają w ściślejszym stosunku względem mnie, aniżeli względem innych ludzi. Ponieważ zaś wielu z tych przedmiotów nie tylko chwilowo, ale stale potrzebuję i muszę je mieć w wyłącznem rozporządzeniu swojem, by moja działalność była prawidłową, porządną i owocną, przeto koniecznością rzeczy rodzi się wykluczenie innych osób od posiadania wzmiankowanych przedmiotów, czyli powstaje prawo własności. Można utyskiwać na nierównomierny podział bogactw między ludźmi, można dążyć do tego, aby jak największa liczba ludzi korzystała z praw własności, można również, w przypuszczeniu pewnego stopnia doskonałości ludzkiej, który faktycznie nie jest udziałem historycznego człowieczeństwa, marzyć i rozprawiać o kolektywnej własności, lecz niepodobna potępiać samej zasady i wszelkiej formy własności bez zapoznania natury ludzkiej rozumnej, bez degradacyi społeczeństwa ludzkiego do rzędu zwykłych gromad zwierzęcych. Zwierzęta nie potrzebują własności, bo ani sieją ani orzą, lecz człowiekowi rozkazano pracować i z ziemi wydobywać

swój kawałek chleba. Nie wolno Tołstojowi zamykać oczu i na ten znaczący fakt, że o ile historya zdoła sięgnąć w głąb ubiegłych czasów, wszędzie nam wskazuje prawo własności, jako normalne zjawisko stosunków społecznych. Ten fakt powszechny tem mocniej godzi w teoryę Tołstoja, że on, jak wiemy, nie chce słyszeć o żadnem pierworodnem skażeniu natury ludzkiej i obecny jej stan uważa za normalny.

Jak silnie wyryte prawo własności na sercach ludzkich, Tołstoj miał sposobność przekonać się z własnego nawet doświadczenia. Pozbycie się wszelkiej własności postawił on w szeregu najważniejszych i najpilniejszych postulatów swojej nauki; urzeczywistnienie tego rozkazu uważał za niezbędne dla wiernego wyznawcy niby Jezusowej nauki i zarazem za rzecz tak prostą i łatwą, jak przebicie pajęczyny lub otwarcie pudełka w bajce Kryłowa. Należało się spodziewać, że jeśli kto, to sam mistrz poprze swoją naukę własnym przykładem; tymczasem Tołstoj, jak przed swojem mniemanem nawróceniem, tak i po niem, był i pozostał właścicielem bardzo pokaźnych włości, owszem majątek jego, dzięki energicznej połowicy hrabiego, Zofii Andrzejównie, coraz bardziej się zaokrągla. Przyszła mu wprawdzie kiedyś chęć rozdania ubogim całej majętności, lecz na chęci się skończyło. Było to tak. Pewnego razu szedł Tołstoj z cieślą Szymonem. Spotkali żebraka. Szymon dał mu trzykopiejkową monetę, żądając dwie kopiejki reszty. Gdy żebrak odparł, że reszty wydać nie może, Szymon przeżegnał się i dla Chrystusa całe trzy kopiejki pozostawił biednemu. Tołstoj zaś dał mu dwadzieścia kopiejek. Potem robi Tołstoj z sobą następujący obrachunek. Jeżeli Szymon, mając półsiodma rubla gotowej oszczędności, dał trzy kopiejki, w takim razie ja, posiadając 600 tysięcy rubli w zasobie, winienem był dać nie 20 kopiejek, lecz najpierw trzy tysiące rubli, następnie zażądać dwa tysiące reszty, a skoro żebrak wydaćby jej nie mógł, przeżegnać się i iść dalej swoją drogą. A i w takim razie byłbym jeszcze w położeniu, niż Szymon, owszem nie zrównałbym się z nim nawet 100 tysięcy, gdyż pozostałoby mi jeszcze [illegible] odczas gdy Szymon jest właścicielem zaledwie

sześciu rubli. Z tego czarującego swą naiwną prostotą obrachunku wyprowadza Tołstoj wniosek, że wtedy tylko będzie w stanie uczynić rzeczywiście coś dobrego, wtedy dokona ofiary i stanie się podobnym do Chrystusa, gdy nic posiadać nie będzie. Wraca tedy do domu i oznajmia hrabinie Zofii o swoim zamiarze rozdania majątku; lecz gdy zamiast uznania spotkał się z energicznym protestem swej gospodarnej małżonki, która z czterech zadań arytmetycznych na dwóch tylko się znała, — jak prędko się zapalił do wykonania swego zamiaru, tak jeszcze prędzej od niego odstąpił. Cóż robić, powiada, — chcąc się wyzwolić od jednego zła — własności, musiałbym wywołać inne — gniew mojej żony i stanąć z nią w sprzeczności, wbrew przykazaniu Jezusa: nie sprzeciwiajcie się złemu. Skończyło się na tem, że Tołstoj, nie chcąc znać swego majątku, puścił go w zręczne dłonie hrabiny Zofii wraz z całą odpowiedzialnością za nieposłuchanie głosu ewangelii. Tymczasem wielbiciele filozofa ogłaszają światu, że on już nic nie posiada; sam apostoł ubóstwa z kwitkiem odprawia natrętów, proszących o jakieś nadzwyczajne datki; natomiast szanowna małżonka jego wysila się na to, aby życie staremu małżonkowi jaknajbardziej umilić, wszystkim jego zachciankom, chociażby najekscentryczniejszym dogodzić, iżby nie miał potrzeby wtrącać się do gospodarstwa, chyba tylko dla rozrywki, a za to miał jaknajwięcej czasu do pisania. Ona sama przepisuje nowe utwory męża, załatwia rachunki z wydawcami, inne rzeczy wydaje własnym nakładem, prowadząc nawet korektę, i z producyi wezwań do wyrzeczenia się własności ciągnie niepoślednie zyski. Prawda, że w swym domowym budżecie hr. Tołstojowie przeznaczają corocznie niemałą kwotę na cele dobroczynne, że wielu dobrodziejstwami obsypali okolicznych chłopów, ale cała ta działalność nie przenosi zysków, które się ciągnie z wydawnictw hrabiego. W każdym razie jest ona nie czemś więcej, jak owemi trzema kopiejkami cieśli Szymona.

Opowiadamy całą tę historyę nie w tej myśli, jakobyśmy chcieli brać za złe Tołstojowi, że zamiaru swego nie uskutecznił; owszem winszujemy hr. Zofii trzeźwego rozsądku i energii,

która ją i liczne potomstwo zachowała od nieuniknionego ubóstwa; stwierdzamy tylko fakt, że rozdanie całego majątku, zwłaszcza gdy się ma bliższe obowiązki względem własnej rodziny, nie jest rzeczą tak łatwą jak przebicie pajęczyny, lub otworzenie skrzyneczki w bajce.

Stan dobrowolnego ubóstwa, podobnie jak celibat, może w społeczeństwie ludzkiem przypaść w udziale tylko pewnej liczbie jednostek i wtedy jest on pożytecznym dla całego społeczeństwa. Z realizacyą jednak tego ideału nie potrzeba było czekać na naukę lub przykład Tołstoja, gdyż dobrowolne ubóstwo dla Chrystusa oddawna jest znanem w Kościele.

Nie tylko z wyliczonych dotąd powodów nie kwalifikuje się teorya Tołstoja na kodeks ustroju społecznego ludzkości. Najbardziej bolącą jej raną, niszczącą u źródła wszystkie siły, jest anarchizm tejże teoryi, anarchizm, który tak ją przenika, że stał się niejako jej duszą i celem, ku któremu zmierza cała logomachia filozoficznych wywodów Tołstoja. Usuńmy ten cel, a tołstoizm znika nam z przed oczu i wszystkie rozumowania jego tracą racyę bytu. Że jednak anarchizm nigdy nie stanie się formą ludzkich stosunków, nie potrzeba długo dowodzić. Dopóki człowiek pozostanie, tak jak jest, istotą z natury swej społeczną, dopóty wszelkie próby anarchizmu w praktyce pozostaną bezowocnemi. Choćbyśmy wszyscy wolni byli od samolubstwa i przejęli się najwyższą miłością bliźniego, jeszcze bez władzy obejść się nie możemy. W najbardziej nawet idealnem stadyum swego moralnego rozwoju ludzkość będzie potrzebowała widzialnego społecznego centrum, skupiającego wszystkich ku ogólnym celom; takie zaś centrum, bez względu na formę w jakiej się objawi, będzie rzeczywistą władzą. Gdybyśmy wszyscy bez wyjątku zawsze gotowi byli zdążać do wspólnego celu społecznego, władza straciłaby wprawdzie jedną ze dwóch cech — użycie przymusu, lecz nie przestałaby pomimo to być władzą, w znaczeniu organu przewodniczącego i kierującego działalnością społeczną. Pomimo zapewnień Tołstoja, ludzkość, składająca się z indywiduów tak różnego charakteru, zdolności, zapatrywań, nigdy przy najlepszych nawet chęciach nie skry-

stalizuje się w rozumne kształty życia bez środkowego atomu, określającego formę przyszłego kryształu. Wszak i w proponowanych koloniach inteligentnych oraczy nie obejdzie się bez pewnej organizacyi i podziału pracy, gdyż niepodobna, aby wszyscy wszystkiem się zajmowali według własnego widzimisię. Nie każdego inteligentnego oracza natura wyposażyła w tak wszechstronne przymioty, jak Tołstoja, aby mógł i orać i budować i buty szyć i kuć żelazo, jeździć na welocypedzie i pisać powieści. Większość z nich, jeżeli odda się tylko kilku z tych zajęć, okażą się na każdem polu partaczami. W dodatku żadna z kolonii nie wystarczy sama sobie. Pług wprawdzie w każdej wsi zrobić można, ale żelazo nie wszędzie się znajduje, i stąd same kolonie nie będą mogły oddać się jednorodnej pracy, lecz muszą podzielić takową pomiędzy siebie, przyczem nie uniknie się nawet takiego typu kolonii, w których praca na roli stanie się niemożebną.

Sama ta organizacya i podział pracy, choćbyśmy ją, w myśl Tołstoja, sprowadzili do jak najpierwotniejszych form, będzie wymagała stałego kierownictwa; stosunki między koloniami, zwłaszcza ekonomiczne, dla uniknięcia braku lub hyperprodukcyi pewnych artykułów wyrobu, nie obejdą się bez jakiegoś zarządu centralnego; niektóre zawody potrzebują fachowego wykształcenia, a zatem szkół, których utrzymanie i dobry kierunek da się uskutecznić tylko przy dosyć skomplikowanej i szerokie koła ogarniającej organizacyi.

Tołstoj imaginuje sobie wszystko bardzo prosto. Ja umiem robić pługi, więc zrobię i dla siebie i dla sąsiada, on nawzajem utka mi płótna na koszulę, trzeci zdolniejszy umysłowo poświęci parę godzin nauce naszych dzieci i t. d. Znajdzie się czas na wszystko; nawet sztuka i poezya przestanie być przywilejem jednej kasty. Jeżelibyśmy jednak nie wyobraźnią poety, lecz ołówkiem statysty na trzeźwo obliczyli nasze siły i zdolności, przyszlibyśmy do przekonania, że w urządzonym po tołstojowsku społeczeństwie nie tylko zabrakłoby poezyi i malarstwa, ale i pługów nie byłoby z czego robić i na koszule płótna by nie starczyło, co

tem gorzejby się odbiło na zwolennikach Tołstoja, pozbawionych futer, z powodu zakazu zabijania zwierząt.

Ale wróćmy do rzeczy. Nie potrzebujemy zajmować się przyszłą organizacyą społeczną, według planów Tołstoja, gdyż dowodów niepraktyczności tych planów dostarczyły aż nadto podjęte gdzieniegdzie próby urządzenia tego rodzaju kolonii. Najgorętsi nawet zwolennicy Tołstoja doznają ustawicznie na tem polu niemiłego rozczarowania. O tego rodzaju niefortunnych próbach pisano już dosyć, nie mamy przeto potrzeby zatrzymywać się nad niemi. Zaznaczamy tylko, że jedynym powodem upadku tołstojowskich osad, jest zawsze to, iż inteligentni oracze bardzo wiele dysputują o zagadce życia, ale za to bardzo mało robią i rządzić się nie umieją. Po krótkim przeto czasie wspólnego pożycia, rozłażą się na wszystkie strony, narzekając na mistrza, co ich naraził na tak niemiły zawód.

Władza przeto w każdem społeczeństwie jest niezbędną. Mogą od czasu do czasu, wedle potrzeby, zmieniać się jej formy, lecz istota rzeczy nie ulegnie zmianie, bo uledz nie może. Nie wolno również myślicielowi negować zasady z powodu nadużyć, które często jej towarzyszą. Błędów i nadużycia nie uniknie żadna ludzka instytucya, dlatego właśnie, że jest ludzką. Forma znowu władzy i jej pomoc w osiąganiu społecznych interesów, z tego już powodu nie może w całości odpowiedzieć rzeczywistym potrzebom, że formy społecznego zarządu idą po za rozwojem samego życia, które wciąż naprzód kroczy. Bywa, że zanim zdoła się wprowadzić to, co się uznało za rzecz konieczną, życie uszło dalej i nowowprowadzona forma okazuje się przestarzałą. Ten nieunikniony defekt otwiera za to pole dla prywatnej inicyatywy i pracy tych sfer, które bardziej bezpośrednio, niż organa oficyalne, trzymają rękę na pulsie społecznego życia.

Gdy na władzę zapatrujemy się, jako na postulat zdrowego rozsądku, nicość zarzutów Tołstoja występuje w całej swej nagości. Nie wynika wcale z pojęcia władzy, aby posłuszeństwo względem niej miało być poniżeniem godności człowieczej. Upokarzałoby ono człowieka wtedy tylko, gdyby

w panującym czy rządcy nic innego widzieć się nie dało, oprócz uzurpacyi i tyranii; kiedy jednak w przedstawicielu władzy upatruje się, już nie powiem obleczonego powagą z góry tłumacza Bożej woli, ale choćby tylko naturalny, rozumny organ kierowniczy społecznego ciała, wtedy posłuszeństwo innych ludzi względem niego nie więcej ich poniża, jak podporządkowanie nóg, rąk, ramion i t. d. głowie w ciele ludzkiem.

Skoro znowu władza raz zostanie uznaną za niezbędną w społeczeństwie, a z drugiej strony widocznym jest fakt, że społeczeństwo nie składa się z samych najlepszych istot, wolnych od egoizmu i gotowych do wszelkich usług na rzecz bliźnich, w takim razie i środki przymusowe, sądy i kary, znajdują zupełne usprawiedliwienie. Jeśli wierzę w Opatrzność, nie mogę się na to zgodzić, by Bóg, nasz ojciec wspólny, nie pozostawił nam możności i prawa powściągać moralnie zwyrodniałe jednostki od występku i zapobiegać zupełnej ich samowoli z krzywdą spokojnych ludzi. Jeśli zaś jestem zwolennikiem panteizmu, to i wtedy ludzkości muszę przyznać prawo do leczenia, a nawet bolesnej amputacyi schorzałych swych członków. Żądanie to znajduje usprawiedliwienie nawet w metafizyce Tołstoja, podług której jednostka ludzka istnieje nie dla siebie, lecz dla wyższej całości.

Nie wynika również z pojęcia władzy, aby ją piastowali jedynie ludzie najniższej etycznej wartości. Tołstoj tak rozumuje: władza używa przymusu, a ponieważ przymus jest złem, przeto władzę mogą tylko źli ludzie reprezentować. Że znowu od ludzi złych niczego dobrego spodziewać się nie można, a więc wszystko, co czyni władza, jest złem. Łatwo dostrzedz sofizmat w tem rozumowaniu. Przymus jest złem dla jednostek, względem których jest stosowanym, ale złem fizycznem, żeby zaś stąd przejść do twierdzenia o etycznej niegodziwości użycia przymusu, należało przedtem skądinąd udowodnić bezprawność władzy. Dokąd bowiem nie udowodni się tego, dotąd nie wolno przeprowadzać ścisłego paralelizmu między złem fizycznem, a moralnem, a w takim razie usuwa się tołstojowską podstawę zarzutu niemoralności władzy, wyjąwszy, rozumie się, świadome nadużycia

jej przedstawicieli. Wobec tego upada również zarzut przeciwko przysięgom, jakoby przez nie ludzie zobowiązywali się do wszelkich możliwych występków.

Kościół przysięgi nie potępia, ale też nigdy nie naucza, że wolno zobowiązywać się nią do spełnienia grzechu. Co jest złem, tego żadna przysięga nie uświęci, i choćby kto przysięgą zaciągnął się w służbę grzechu, to nie mniej, jak każdy inny człowiek, obowiązany jest powstrzymać się od obiecanego występku. Kiedy więc obywatel, urzędnik, żołnierz, składa przysięgę wierności panującemu, bynajmniej to nie znaczy, że obiecuje działać na przyszłość wbrew swemu sumieniu. Pomimo przysięgi, kiedy go dojdzie rozkaz jawnie niezgodny z prawem moralnem, chrześcijanin odpowie bez wahania, że trzeba być posłusznym raczej Bogu, aniżeli ludziom. Przedmiotem przysiąg w chrześcijaństwie są rzeczy tylko dobre (choć może nie w pojęciu Tołstoja), a sam akt przysięgi jest tylko wezwaniem Boga na świadectwo szczerości obietnicy czy zeznania, które się składa. Ponieważ jednak czyn tak poważny, jak wzywanie prawdomowności Bożej, jest rzeczą świętą, przeto nie godzi się używać go do fraszek, czynić zeń przyzwyczajenie, a tembardziej narzędzie osłony swego kłamstwa. W tem też znaczeniu potępił Chrystus Pan nadużycia faryzeuszów, którzy wysilali swój dowcip na tworzenie tego rodzaju formułek, któreby miały wszystkie cechy przysięgi, a zarazem dawały się użyć, niby bez obrazy Bożej, do przykrycia kłamstwa i obłudy.

Nie wiele zaszczytu sprawia Tołstoj Jezusowi Chrystusowi, wkładając w Jego usta wyrok potępienia na to, co pochwala, lub czego wprost domaga się zdrowy rozsądek. Choćbyśmy nie posiadali pozytywnych historycznych świadectw uznania władzy państwowej, sądów i t. d. przez Jezusa Chrystusa, jeszcze nie mielibyśmy prawa twierdzić z Tołstojem, że „albo niemasz państwa, albo niemasz chrześcijaństwa“, ani też, że „wyrazy: państwo chrześcijańskie znaczą tyle, co ciepły, gorący lód“. Raczej musielibyśmy przypuścić, że Chrystus, zwłaszcza jeśli był Bogiem, w żadnym razie nie mógł stanowić praw, sprzeciwiających się wymaganiom rozumu. Wieki podziwiały niezliczone mnó-

stwo prawdziwych i wielkich miłośników Jezusa, a zarazem ludzi umysłu niepospolitego, z których jednak żadnemu nie przychodziło do głowy, że dla zostania wiernym uczniem Chrystusowym trzeba z gruntu rzeczywistości przenieść się w świat fantasmagoryi.

Mniej więcej to samo da się również powiedzieć o rzekomem odrzuceniu przez Jezusa wszelkiej miłości ojczyzny. Dopóki Tołstoj ma na myśli wybujały w naszych czasach nacyonalizm, spoganiałą w wielu razach politykę brutalnego interesu i gniotący narody militaryzm, przyklaskujemy chętnie jego protestom. W rzeczy samej dosyć powszechnie pojmuje się patryotyzm, zgodnie z definicyą Tołstoja, jako „uczucie przenoszenia swego narodu i państwa po nad wszystkie inne narody, i pragnienie dla swojego narodu i państwa największej pomyślności i potęgi, które można osiągnąć i w rzeczy samej osiąga się ze szkodą dla pomyślności i potęgi innych państw i narodów". W imię takiego patryotyzmu wybuchają niesprawiedliwe wojny i eksploatacye słabszych narodowości przez mocniejsze, przykryte niekiedy płaszczykiem mniemanej misyi kulturalnej. Zjawiska te tworzą najsmutniejsze karty w historyi ludzkości, lecz odpowiedzialności za to nie można składać ani na Kościół, ani na naukę chrześcijańską. Nie mniej dowolnem jest twierdzenie, że oprócz opisanej powyżej, nie możliwą jest żadna inna forma patryotyzmu. Kościół, począwszy od św. Pawła Apostoła, zawsze głosił powszechne braterstwo ludów i przepowiadał ewangelię pokoju; przeciwko dzisiejszej polityce Kościół głośno protestuje, uważając ją za skutek zapoznania swojej nauki. Nie da się też zaprzeczyć, że dotąd wiele już działał pod tym względem. Reszta należy jeszcze do przyszłości. Zwalczanie jednak egoizmu narodowego co innego, a co innego znowu brak wszelkiego patryotyzmu. Miłość każdą można rozpatrywać z dwóch stron: pozytywnej i negatywnej. Negatywna jej strona mówi: nie czyń bliźniemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono, i przykazanie to nie dopuszcza żadnego stopniowania. Mamy się powstrzymać od krzywdzenia ludzi zarówno dalszych, jak bliższych. Lecz jest inna strona miłości — pozytywna, nakładająca na nas

pewne realne obowiązki tak uczuć, jak i czynu. Ponieważ jednak, z powodu swojej ograniczoności, nie posiadamy okazyi ani sił do czynienia pozytywnego dobra wszystkim ludziom, przeto rozum i natura wskazują nam pewne jednostki, czy pewne grupy ludzi, ku którym przedewszystkiem winniśmy skierować nasze czyny. Miłość przeto, z tej strony rozpatrywana, dopuszcza pewien porządek i pewne stopniowanie. I tak nie wolno mi nikogo topić, ale wolno mi z dwóch jednocześnie tonących, ratować pierw tego, który mi jest bliższy krwią czy przyjaźnią. Podobnie w stosunkach narodowych. Nie wolno eksploatować innych narodowości, lecz wolno i chwalebnie skierować swą pracę do podniesienia czy ekonomicznie czy intellektualnie najbliższego otoczenia we własnym kraju. Podnieść zaś ekonomicznie kraj własny można zarówno dobrze bez krzywdzenia innych narodowości, jak rolnik przez melioracyę swej ziemi, ulepszanie narzędzi i t. d., dochodzi do większej zamożności bez krzywdzenia swego sąsiada. Nie powinienem ganić cudzych obyczajów, języka, instytucyi, lub gardzić niemi, lecz to nie przeszkadza mi bynajmniej być przywiązanym przedewszystkiem do własnego języka i obyczajów i tradycyi, które z piersi matki wyssałem. Rozumny patryotyzm nie ubóstwia własnej narodowości, ale liczy się z faktem istnienia narodów, różniących się językiem, obyczajami, charakterem. Ten zaś fakt nie pozwala nam poczytywać ludzkość za bezładną kupę jednakowych atomów ludzkich, lecz każe nam widzieć w społeczeństwie wspaniały ustrój organiczny, w którym rozmaite narodowości, wzajemnie się uzupełniające, niby żywe narządy w ciele, pracują ku wspólnemu dobru całości.

Z tego krótkiego przeglądu najwybitniejszych ustępów nauki Tołstoja dostatecznie można się przekonać, jak dowolnymi, jednostronnymi i nie zadawalniającymi wymagań rozumu są etyczne i socyologiczne poglądy filozofa z Jasnej Polany. Kiedy się doda jeszcze cały szereg sprzeczności w jego metafizyce, trzeba się będzie zgodzić na to, że doktryny Tołstoja nie tylko nie można uważać za program życia ludzkiego, ale że nie może ona rościć sobie prawa nawet do nazwy udatnego poematu.

Przedewszystkiem każdego myślącego człowieka razić musi owa nieproporcyonalność między burzycielską robotą Tołstoja, a tem, co pozytywnie stawia na miejsce zburzonego porządku. Życie świata we wszystkich swych przejawach, zdaniem Tołstoja, jest złem, jest powszechną moralną klęską ludzkości; trzeba więc zburzyć wszystko, co dotąd ludzkość zbudowała, aby świat odrodzić. Gorące serca, słysząc taki wyrok wygłoszony nad zepsutym światem, rwą się do pracy, chcą leczyć chorobliwe stosunki, dźwigać upadłe jednostki, pokrzywdzonym wymierzać sprawiedliwość; lecz skoro zapytają Tołstoja, co w tym względzie czynić, ten oblewa ich zimną wodą: nic nie robić, tylko porzucić służbę, pracę w fabrykach i warstatach, własność i rozleźć się po szerokiej ziemi, siać gdzie się komu spodoba, szyć samemu sobie buty, gotować obiad, aby uniknąć wyzyskiwania cudzej pracy. Oto cały program. Czy na wiele się to przyda ginącym z głodu masom, nie mającym ani kawałka pola, ani nie umiejącym na niem pracować, gdy ja zaprzestanę korzystać z ich pracy i usług — o to już Tołstoj nie dba. Zamiast pracy społecznej wskazuje on amatorski sport i kwietyzm. Winszujemy Tołstojowi, że się umiał w swej Jasnej Polanie urządzić poetycznie i sielankowo, ale protestujemy przeciwko jego oskarżeniu, że wszelki inny rodzaj życia jest wyzyskiem i pasożytnictwem, i przeciw twierdzeniu, że inaczej nie można być pożytecznym ludzkości, jak tylko wtedy, kiedy się da dymisyę wszystkim szewcom, krawcom i kucharzom, każąc im iść szukać sobie wolnego pola do założenia kolonii inteligentnych oraczów.

W pewnych kołach zjednywa sobie Tołstoj sympatyę swoją jakoby szeroką tolerancyą wobec wszelkich religii i wierzeń. Mieliśmy jednak sposobność przekonać się, jakie uczucia żywi on względem wszystkich chrześcijańskich wyznań, zwłaszcza względem instytucyi i osób służących Kościołowi. Wprawdzie pod koniec „Swojej religii“ udzielił był wszystkim swym zwolennikom wspaniałomyślnego pozwolenia na wyznawanie dogmatów jakiejkolwiek religii, byleby jego pięć przykazań zachowali. Wyraził tam zdanie[1], że jego nauka nie stoi w sprzeczności

[1] *Ma religion*, p. 242 ss.

ani z judaizmem, ani z koranem, ani z zasadami Konfucyusza czy Buddy, ani z żadną nowożytną szkołą filozoficzną, ani tem bardziej z dogmatami chrystyanizmu. Ona tylko przynosi ludziom to, czego im żadna religia dać nie może, mianowicie prawo moralne. Pozwolił więc wierzyć nawet w zmartwychwstanie, w raj, piekło, Trójcę, papieża i Kościół, trzymać się swojej kosmogonii, praktykować liturgiczne przepisy. Te szerokie koncesye na rzecz istniejących starych religii, po tem wszystkiem, co przeciwko nim w tejże książce napisał, dyskredytują do reszty filozoficzną wartość całego systematu. Są one koroną wszystkich sprzeczności Tołstoja. Czytelnik nie może oprzeć się chęci posądzenia filozofa o rozmyślne postawienie pułapki w celu łatwiejszego zjednania wierzących prostaczków dla swoich teoryi. Zdaje się jednak, że nie tyle zła wola dyktowała te ustępy, jak raczej, że wymknęły się one Tołstojowi z pod pióra w chwili mocnego roztargnienia, którego dowody i w innych utworach jego często spotkać można. Tak się i sam Tołstoj zapatruje na swoje koncesye, o ile sądzić można z późniejszych jego pism. Zwłaszcza ostatnia jego odezwa do duchowieństwa wszystkich narodów rozsiewa wszelkie możliwe pod tym względem wątpliwości. Dogmaty, nauka kościelna, duchowieństwo ma być winą wszystkiego złego na świecie i lepsze czasy nie prędzej nastąpią, aż duchowni wyrzekną się swej wiary i zamiast dogmatów chrześcijańskich poczną wpajać w lud naukę Tołstoja. Wobec tak nieprzejednanego stanowiska, na jakiem stoi Tołstoj względem Kościoła, nie będzie mógł ten ostatni skorzystać z rady zacytowanego wyżej krytyka polskiego każącego nie upatrywać w Tołstoju wroga Kościoła, lecz potężnego sojusznika w walce ze złem. Wieszczy głos Tołstoja nie zapala i zapalić nie może miłości ku Kościołowi Chrystusowemu z tej prostej przyczyny, że jest głosem nienawiści ku niemu. Stąd też i mniemaną tolerancyę tołstojowską względem wszelkich wierzeń umieszczamy w szeregu złudzeń wielbicieli jasnopolańskiego proroka.

(Dok. nast.)

*Ks. J. Urban.*

# Afazya, agrafia, aleksya, amnezya i abulia

## jako objawy fizyologiczno-psychiczne.

(Dokończenie).

Jako przykład klasyczny dla niemoty ruchowej służyć może przytoczony już poprzednio pacyent Broki: Tan. Znam też wieśniaczkę, której z całego zasobu wyrazów, jakim dawniej rozporządzała, pozostał wskutek przestrachu na widok płonącego domostwa jeden tylko wyraz: „Jezus“; tym wyrazem prosi o wsparcie, nim dziękuje, tym wyrazem się modli. A. Daudet opowiada, że kiedy poeta Baudelaire został tknięty paraliżem, zdołał wymawiać później tylko te słowa: *cré non, cré non.* Chory, obserwowany przez d-ra Trousseau, powtarzał stale na wszystkie zapytania: *Il n'y a pas danger* (niema niebezpieczeństwa); inny mógł wymówić tylko: *concini,* a gdy był rozgniewany, krzyczał: *saccon.* Zresztą najrozmaitsze się zdarzają odmiany tego gatunku afazyi; niekiedy afazya tyczy się tylko mowy, a nie śpiewu; tak dr. Grasset opowiada o oficerze francuskim, który nie potrafił wymawiać wyrazów: *enfant* i *patrie,* gdy mu przyszło recytować pierwszą zwrotkę Marsylianki; lecz kiedy mu przyszło śpiewać, nie doznawał najmniejszej trudności przy wyrazach wspomnianych. W razie, gdy chory posiada biegle kilka języków, może afazya odnosić się do jednego lub wszystkich naraz nie wyjmując języka ojczystego, który podług badań d-ra Balleta najdłużej opiera się skutkom afazyi[1]. Słuszna też jest uwaga Ferranda, że między dotkniętymi afazyą ruchową wyróżnić na-

[1] Por. Ferrand j. w. str. 74.

leży dwie kategorye: takich, co po utracie mowy przyjmują swe nieszczęście z obojętnością, i takich, co robią wysiłki najrozmaitsze, aby odzyskać dar mowy, a w jej braku posługują się mimiką, aby wyrazić innym swe pragnienia. Otóż w tej drugiej grupie można najłatwiej napotkać objawy czystej niemoty ruchowej, podczas gdy u chorych kategoryi pierwszej obok afazyi zjawiają się i inne upośledzenia. Jeżeli afazya jest postępową, to znaczy obejmuje coraz większą grupę znaków, wówczas chory traci najprzód zdolność wymawiania rzeczowników, potem dopiero przychodzi kolej na słowa, następnie na przymiotniki, a najdłużej pozostają spójniki i reszta części mowy. Kussmaul, który na ten szczegół zwrócił uwagę baczniejszą, dodaje: „Im bardziej zmysłowe jest wyobrażenie, tem łatwiej przy zaniku pamięci ginie wyraz do jego oznaczenia służący. Możemy to sobie tłumaczyć tylko w ten sposób, że wyobrażenie osób i rzeczy tworzy węzeł mniej ścisły z ich nazwą, aniżeli pojęcie oderwane ich właściwości i przymiotów. Osoby i rzeczy łatwo sobie wyobrazić zdołamy bez nazwy, bo tu chodzi więcej o obraz zmysłowy, aniżeli o znak umysłowy, czyli o nazwę, która tylko w stopniu małym przyczynia się do ułatwienia w pojmowaniu osób lub rzeczy. Pojęcia zaś bardziej oderwane nabywamy głównie za pośrednictwem słów, gdyż tylko słowa mogą im nadać postać stałą. Dlatego też czasowniki, przymiotniki, zaimki, a bardziej jeszcze przysłówki, przyimki, spójniki pozostają w związku ściślejszym z myśleniem, aniżeli rzeczowniki. Możemy sobie wystawić, że dla wytworzenia pojęcia oderwanego zachodzić muszą w korze mózgowej daleko liczniejsze pobudzenia i połączenia, aniżeli dla wytworzenia wyobrażenia zmysłowego, a stąd też ściślejsze będzie zespolenie nazwy odpowiedniej z pojęciem oderwanem, aniżeli z wyobrażeniem zmysłowem“ [1]. Lecz może niemota ruchowa posunąć się poza samą utratę mowy a dosięgnąć ośrodków ruchu, wskutek czego chory nawet gestem, mimiką nie potrafi wyrazić swej myśli. Kussmaul jednak zaznacza, że mowa mimiczna znika bardzo rzadko. Podług Hughlings Jack-

[1] Por. Kussmaul: *Störungen der Sprache*, str. 164.

sona[1], który badał tę kwestyę, nie mogą afemici śmiać się, ani uśmiechać, ani płakać, chyba tylko wtedy, kiedy wzruszenie jest niezmiernie silne. Ten sam badacz zauważył, że niektórzy chorzy potwierdzają lub przeczą za pomocą gestów zupełnie naoślep; jeden z nich, który mógł wydawać z siebie kilka wykrzykników, używał ich zupełnie nieodpowiednio i bezsensownie. Dr. Trousseau opowiada o dotkniętym amimiką: „Układałem swoje ręce i poruszałem palcami, jak człowiek, grający na klarnecie i mówiłem choremu, żeby to samo uczynił. Wykonał to samo zupełnie dokładnie. Widzisz pan, mówiłem mu dalej, że wykonywam ruchy, używane przy grze na klarnecie. Chory to potwierdził. Po kilku minutach prosiłem go, żeby jeszcze raz powtórzył te same ruchy. Namyślał się i po większej części nie był w stanie powtórzyć tej zupełnie prostej mimiki". Na pochwałę Ribota, którego afekta dla pozytywizmu zbyt dobrze są znane, powiedzieć trzeba, iż lojalnie dla prawdy uznał, że poza owymi znakami, które choroba może znieść, poza niezdolnością wykonywania ruchów, potrzebnych przy mówieniu lub mimice, kryje się czynnik inny, którego afazya nie może dotknąć, mianowicie myśl rozumna, która kombinuje znaki z ruchami. Zresztą Ribot nie mógł nie potwierdzić faktu, że afemicy mimo utraty mowy posiadają władze umysłowe nienaruszone, skoro po uleczeniu sami zeznawali, iż dobrze rozumieli zapytania swych lekarzy, a tylko nie byli w możności dać na nie odpowiedzi. Jeden z nich, jak przytacza za Legrauxem Ribot[2], tak o sobie po wyzdrowieniu opowiadał: „Nie pamiętałem ani jednego wyrazu, ale wiadomości moje i wola pozostały nienaruszone. Wiedziałem dobrze, co chciałem mówić, ale nie mogłem mówić. Kiedy lekarz zadawał mi pytania, doskonale go rozumiałem; czyniłem wszelkie możliwe wysiłki, żeby odpowiedzieć, ale w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć potrzebnych do tego wyrazów".

Pod kategoryę niemoty ruchowej podciągnąć można agrafię.

---

[1] Por. Ribot: „Choroby pamięci" j. w. str. 155.

[2] Ribot j. w. str. 142.

Afazya ruchowa tem się różni od agrafii ruchowej, że afemicy potrafią odczytać i napisać to, co chcą wypowiedzieć, a tylko nie mogą wymówić głośno wyrazów; tymczasem agraficy nie umieją złączyć znaku pisanego z fonetycznym obrazem pamięciowym. Co do ośrodka, którego uszkodzenie ma pociągać zanik zdolności pisania, istnieją, jak wspomniałem, zdania podzielone między badaczami. Charcot, Pitres, Exner i Wernicke uznają konieczność takiego ośrodka, spajającego ruchy, potrzebne przy pisaniu, z obrazami wzrokowymi liter, i umieszczają go u podstawy drugiego zwoju czołowego w półkuli lewej; natomiast Déjerine, Viallet, Miraillé odrzucają wyodrębniony ośrodek dla agrafików. Nie naszą rzeczą rozstrzygać ten spór.

Przykład klasyczny agrafii całkowitej przytoczył profesor Pitres[1], co do niejakiego p. Leopolda L..., który był handlarzem win w Bordeaux. W chwili, kiedy p. L... został dotknięty agrafią, liczył 31 lat; na swe nieszczęście przed laty 10 uległ chorobie syfilitycznej, po której w r. 1882 dnia 30 czerwca zjawił się atak paralityczny, który unieruchomił prawą połowę ciała. W r. 1884 paraliż trwał jeszcze w dolnych kończynach ciała, ale górne kończyny były oswobodzone i chory mógł wykonywać niemi ruchy dowolne. Nie zauważono u niego ani porażenia twarzy, ani też objawów afazyi, a tylko skonstatowano hemianopsyę prawą. Pitres świadczy, że w chwili badania posiadał ów pan L... całkowitą przytomność umysłu, nie zdradzał żadnej trudności przy wymawianiu wyrazów, mógł czytać całkiem głośno tak z pisanego jak i drukowanego; za to utracił on zdolność pisania ręką prawą, wskutek czego był zmuszony ćwiczyć się w pisaniu lewą ręką i doprowadził też do tego, że pismo jego było całkiem czytelne. Kiedy go posadzono za stołem i dano ołówek do ręki, ujął ołówek zupełnie prawidłowo w rękę prawą, wszystkie jednak próby napisania tą ręką nazwy miasta Bordeaux spełzły na niczem. Przytem wszystkiem to dziwne, że chory zdawał sobie sprawę z wyglądu liter, składających się na ten wyraz, gdyż je rozpoznawał w dzienniku. „Wiem bardzo

[1] Por. *Extrait de la Revue de médecin.* Novembre 1884, n. 11.

dobrze, powiedział on, jak się pisze wyraz Bordeaux, lecz kiedy go chcę napisać ręką prawą, nie umiem tego uczynić". Ręką lewą napisał ten wyraz zupełnie czytelnie; co więcej, kiedy mu kazano prawą ręką skopiować wyraz, napisany ręką lewą, mógł to uczynić, ale z wielkim trudem. Nie umiał też w razie kopiowania wyrazów drukowanych podstawić w ich miejsce znaków pisanych, lecz wyrazy drukowane kopiował jako drukowane. Chory więc ten, dodaje Pitres, nie posiada ani ślepoty ani głuchoty wyrazów, nie ma afazyi czuciowej; nie wykazano również, iżby posiadał amnezyę wyrazów, ani nie posiadał zboczeń w zdolności ruchowej, skoro mógł kopiować wyrazy drukowane i pisane, a więc nie masz u niego porażenia mięśni czy to w górnych częściach, czy też w ręce i palcach, bo szkicował dość wiernie osoby widziane; jego agrafia odnosiła się wyłącznie do ręki prawej.

Agrafia, podobnie jak afazya, zjawiać się może w formach najrozmaitszych. Charcot wspomina o oficerze rosyjskim, który biegle władał 3 językami: rosyjskim, francuskim i niemieckim, lecz nie mógł ani jednego wyrazu z tych języków napisać; inni potrafią nakreślić litery pojedynczo, ale nie złożą ich w jeden wyraz; inni nie mogą napisać wyrazu, ale pisanie cyfr nie sprawia im trudności; niekiedy jeden tylko wyraz potrafią napisać jako odpowiedź na różne pytania; znane są wreszcie przykłady, gdzie chory napisze cały frazes, ale podstawi w nim zamiast wyrazów właściwych, inne, niemające sensu, a ten objaw nazwał Kussmaul paragrafią[1].

Przy niemocie czuciowej, chory albo nie rozumie znaczenia słów słyszanych *(Worttaubheit)*, albo nie odgaduje znaczenia wyrazów pisanych *(Wortblindheit)*. Zajmujący przykład przytacza dr. Ferrand. Niejaka Dezyderya B..., licząca 51, dostała się do szpitala w Vaucluse 11 marca 1891 r.; poprzednio trudniła się nakłuwaniem bucików, a przed samą chorobą zajmowała się krawiecczyzną. Jej córka zauważyła już r. 1887, że jej matka nie rozumie tego, co się do niej mówi, chociaż posiadała słuch dobry,

[1] Por. dr. Ferrand j. w. str. 85.

gdyż powtarzała do niej skierowane słowa. Odkąd chora znalazła się w szpitalu, narzekała bezustannie na swój stan i nie dopuszczała innych do słowa. Zauważono przytem, że jej pamięć i zdolności umysłowe nie przedstawiały żadnych zboczeń widoczniejszych. Gdy ją zagadywano frazesami oklepanymi, np.: dzień dobry, jak się pani ma i t. p., odpowiedzi były prawidłowe, i chora często z jednego wyrazu odgadywała, czego od niej żądano; lecz kiedy rozmowa wchodziła na tory mniej banalne, chora zdawała się być głuchą lub przekręcała wyrazy słyszane: Na pytanie: *En quelle année sommes-nous?* dawała odpowiedź: *Somme? quelle somme?* Albo: *La mémoire est-elle bonne?* Odpowiedź: *Armoire? je n'ai pas d'armoire. J'entendens bien tout ce que vous me dites, je ne suis pas sourde, mais je ne comprends pas.* Afazya u tej chorej stawała się coraz ogólniejszą, postępową. Kiedy dr. Sérieux podyktował jej w r. 1893 frazes: *Il était tout plein de son succès, qu'il n'avait obtenu qu'à force de persévérance et de ruses*, otrzymał od chorej taką trawestyę: *Ledet boumat bonson sequette tomet coptand courses deusone deuse.* Zanik zdolności zrozumienia mowy posuwał się coraz dalej; zjawił się z czasem zanik pamięci i okazało się zboczenie umysłowe. Uwagi godną jest rzeczą, że chora zdradzała nadto niezrozumiałość tonów muzycznych *(l'amusie)*; tony nizkie wydawały się jej grzmotem a tony wysokie dźwiękiem dzwonu; trąbkę poznawała jako „muzykę wojskową", skrzypców nie umiała nazwać, ale sobie przypominała, że widywała ten instrument na koncertach w czasie uroczystości narodowej 14 lipca; głos fletu obudzał w niej uczucia religijne, chociaż grano walca, marsylianka nastrajała ją pobożnie, a wesołe śpiewki brała za śpiew poważny, kościelny.

Podług Kussmaula, Johna Turnera, Girandeaua, Nettera i Ferranda powstaje niemota słuchowa wyrazów pod wpływem uszkodzenia pierwszego zwoju skroniowo-sfenoidalnego w półkuli lewej nieco wyżej nad bróżdą Sylwiusza. Inni inny ośrodek wskazują.

Chory, dotknięty afazyą czuciowo-wzrokową nie zdradza najczęściej żadnego zboczenia umysłowego; rozumie i słyszy to, co się do niego mówi, odpowiada i mówi bez najmniejszej tru-

dności, lecz za to nie potrafi przeczytać wyrazów ani pisanych, ani drukowanych. Gdy mu się pokaże książkę, będzie spostrzegał punkty czarne na tle białem, co więcej, będzie wyróżniał kształty liter, lecz nie odczyta wyrazu pomimo nieuszkodzenia wzroku. Niejaki H. P..., tak opowiada Charcot[1], mający 35 lat, był szefem i właścicielem domu handlowego. Wykształcenie posiadał mierne, był jednak umysłowo dobrze rozwiniętym, przytem ruchliwym, a jako kupiec prowadzić musiał korespondencyę rozległą. Przy czytaniu poruszał mimowolnie wargami a rzadko tylko czytał samemi oczami. Pewnego dnia był na polowaniu u swego przyjaciela i wziąwszy jego psa ulubionego za zwierzynę zastrzelił go. Wypadek ten tak go przeraził, że kiedy po południu zmierzał się do zająca, padł na ziemię i tknięty paraliżem utracił świadomość, którą dopiero dnia następnego odzyskał, atoli prawa strona ciała była porażona. Kiedy po odzyskaniu świadomości chciał przemówić, wydawał dźwięki bełkotliwe albo brał jeden wyraz za drugi; rozpoznawał atoli dobrze osoby i przedmioty. Po 4 dniach ustąpiło porażenie z kończyn górnych, a po dniach 15 nie doznawał innego zboczenia prócz tego, że się mylił w doborze wyrazów i podstawiał wyrazy niewłaściwie, pisał jednak dobrze ręką prawą. Przez czas choroby narosła korespondencya, rekonwalescent zasiadł tedy do pisania i napisał poprawnie list do pewnej firmy handlowej. Po napisaniu chciał sprawdzić zawartość listu, i oto ku swemu niemałemu zdziwieniu i przerażeniu spostrzegł, że zupełnie nie rozumie tych zygzaków, jakie porobił w liście. Próbuje czytać inne listy, ten sam rezultat; bierze książkę w rękę, ani rusz odgadnąć, co tam wydrukowano; chce się rozerwać, idzie do kawiarni, aby zagrać w bilard, nowa zgryzota: widzi tylko połowę zielonego sukna, połowę kija i kuli. A zatem z jednej strony spostrzegamy u chorego przytomność umysłu nie przyćmioną, z drugiej możność wykonywania dowolnie ruchów rąk, warg, języka; stracił on więc tylko zdolność czytania, zdolność skom-

[1] Por. Charcot: *Leçons sur les maladies du système nerveux.* T. III, str. 153.

binowania obrazów wzrokowych z grupą innych obrazów. Chory pisał dobrze, nawet ortograficznie, nie pomijał wyrazów w zdaniu, ale oświadczył: „Piszę, jak gdybym miał oczy przymknięte, i nie mogę odczytać tego, com napisał".

Dodać należy, że formy rozmaite afazyi rzadko występują w stanie izolowanym, lecz najczęściej występuje kilka form razem. Racyi tego faktu szukać należy w tych danych anatomicznych, na jakie poprzednio zwróciliśmy uwagę, w rozgałęzieniach włókien nerwowych, przy których uszkodzenie rzadko się da zlokalizować co do jednego tylko włókienka lub komórki nerwowej.

## IV.

Jakby pięciu kanałami płyną do nas pięciu zmysłami wrażenia ze świata zewnętrznego. Jedne z nich są słabsze czy to pod względem swego natężenia, czy też znaczenia dla nas, prędko też ulatniają się z naszej świadomości; inne żywsze, głębiej nas obchodzące, utrzymują się przez czas długi na powierzchni świadomości naszej, póki pod wpływem świeższych nie podzielą losu tamtych, nie znikną z horyzontu pamięci. Lecz nie przepadają one w nicości; często gęsto sami umiemy je wydobyć z pyłu zapomnienia, kiedyindziej znów zjawiają się one przed nami w chwili, gdyśmy się tego najmniej spodziewali lub życzyli. Każde atoli takie wrażenie odtworzone nosiło będzie na sobie ślady źródła, przez które do nas się dostało; a więc przedstawiać się będzie świadomości naszej jużto jako obraz wzrokowy, jużto słuchowy, jako obraz rzeczy smakowitej, pachnącej lub woń nieprzyjemną wydzielającej. Do tych pięciu typów fizyologicznych przy odnowie wrażeń dołączyć trzeba szósty, obraz ruchów, jakie wykonywają mięśnie. Nazwijmy ten obraz kinestezycznym. Fizyologicznie tylko rzecz biorąc, każdy z tych typów ma równe prawo do swej odnowy; doświadczenie atoli poucza nas, że pewne grupy obrazów zajmują wobec reszty obrazów pod względem swej odnowy stanowisko uprzywilejowane. To jasne, że im częściej nerw jakiś był wprawiony w ruch, tem ruch jego łatwiej może być odnowiony; a że naj-

większą część wrażeń naszych odbierzemy zmysłami wzroku i słuchu, przeto też we wspomnieniach nowych te dwa typy zjawiać się będą najczęściej [1]. Zresztą, kiedy chodzi o gatunek typów, jaki przeważa w czyjejś pamięci, trzeba uwzględnić także i rodzaj czyjegoś zatrudnienia w życiu codziennem, sposób kształcenia i rodzaj kształcenia pamięci. Bezwątpienia inaczej się przedstawia pamięć artysty malarza, inaczej muzyka, inaczej u mechanika, inaczej u kucharza zawodowego aniżeli u prostego wyrobnika. Stąd też u jednych przeważać będzie typ wzrokowy obrazów, u innych słuchowy, a u innych kinestezyczny. Dla Horacego Verneta wystarczyło dwa lub trzy razy dobrze się komuś przyjrzeć, aby wykonać portret jak najwierniejszy. Mozart dwa razy tylko słyszał *Miserere* Allegrego w kaplicy sykstyńskiej i potrafił odtworzyć cały ten utwór. G. Lewes [2] wspomina o człowieku, który przebiegłszy dość szybko ulicę $^1/_2$ mili długą, zdołał wyliczyć wszystkie sklepy i dokładnie oznaczyć miejsce ich położenia. Wystarczy nieco tylko poddać analizie obrazy, przesuwające się w pamięci naszej, aby się przekonać, że jedni przypominamy sobie wrażenia przeżyte głównie w formie obrazów wzrokowych, inni słuchowych. Szczególnie częstym jest typ akustyczny, tak, że dochodzi on nieraz granic hypermnezyi, i niejeden, którego głowy czepiać się nie chce żadne inne wrażenie, zapamięta sobie dobrze raz tylko słyszaną aryę lub melodyę. Czasem u idyotów zdarza się spotkać pamięć nadzwyczajną liczb, dat, imion własnych. Ribot [3] przytacza przykład idyoty, który pamiętał najdokładniej ilość pogrzebów, jakie się odbyły w jego parafii w ciągu 35 lat. Mógł on z rzadką dokładnością powtórzyć nazwiska i wiek pochowanych, wyliczyć osoby, które do konduktu należały. Poza tym regestrem pogrzebowym nic się w głowie jego pomieścić nie mogło, na żadne inne pytania nie umiał dać odpowiedzi, co gorsza, nie

[1] Por. Dr. Franz Fauth: *Das Gedächtnis.* Gütersloh 1888, str. 132—156.— Lucien Arréat: *Mémoire et imagination.* Paris 1893, str. 22 nastp.

[2] G. Lewes: *Problem of Life and Mind.* 5 ser., str. 119.

[3] Por. T. Ribot: „Choroby pamięci". Z francuskiego przełożył Julian Steinhaus. Warszawa 1886, str. 117.

umiał on nawet jeść. Wiele takich faktów zebrał dr. Rouillard [1], poczem dochodzi do wniosku, że hypermnezya nie jest bynajmniej stanem anormalnym, patologicznym pamięci, lecz że polega ona na doskonaleniu pamięci w jednym kierunku. Przemawiają za tem wyjaśnieniem fakty znane, że wodzowie jak Cyrus, Aleksander W. i Cezar pamiętali nazwy wszystkich swych żołnierzy, lub że matematyk Wallis pamiętał liczbę złożoną z 53 cyfer, i wyciągał z niej na pamięć pierwiastek drugi, wynoszący 27 cyfr. Jest też twierdzenie Rouillarda i z tego względu słuszne, że w pamięci nie może być nic innego, tylko to, co się do niej dostało; ale czy wybujanie pamięci w jednym kierunku nie pociąga jej obniżenia co do innych kierunków? Czyż z równą łatwością odnawiają się inne typy, jak i typ uprzywilejowany? Otóż co do tego punktu doświadczenia Jonasza Cohna [2], d-ra Toulouse'a nad Zolą [3], wreszcie Bineta [4] co do matematyków i słynnych szachistów nie popierają tezy Rouillarda; przekonano się bowiem, że natężenie pamięci w jednym kierunku jest połączone z jej osłabieniem co do innych kierunków. Słynny Lineusz, taki systematyk w botanice, do końca życia nie umiał deklinacyi rzeczowników łacińskich; rzadkością też są umysły uniwersalne; między kilkudziesięciu kolegami, jakich miałem, prawie z reguły ci, co mieli zdolności do matematyki i nauk przyrodniczych, szwankowali w historyi i naukach klasycznych języków. Grający w szachy rzadko pamiętają o tem, jak wyglądają ich partnerzy, lub jaka jest barwa stołu, szachownicy, gdyż cała ich uwaga jest skupiona na położenie figur, i ciągnięcia, jakie mają zrobić.

Lecz jeżeli przyczyny łatwiejszej odnowy danego typu szukać należy w tem, że dane włókna czuciowe lub ruchowe

---

[1] Rouillard: *Essai sur les amnésies principalement au point de vue étiologique. Thèse.* Paris 1885, str. 65 nastp.

[2] Por. *Zeitschrift für Psychologie und Physiologie der Sinne.* Leipzig 1897. Bd. XV, str. 161—185.

[3] Por. dr. Toulouse: *Émile Zola, enquête médico-psychologique.* Paris 1896, str. 182—183.

[4] A. Binet: *Psychologie des grands calculateurs et joueurs d'échecs.* Paris (Hachette) 1899.

częściej drgać musiały, to z drugiej strony te właśnie włókna prędzej ulegnąć mogą uszkodzeniom, aniżeli włókna innym typom obrazów odpowiadające, a w ślad za tem uszkodzeniem nastąpi zanik pamięci już to całkowity, już też częściowy. Przy afazyi czuciowej poznaliśmy jeden z gatunków amnezyi. Gatunek to dla życia naszego niesłychanie ważny, bo do wyrażenia na zewnątrz naszych uczuć, myśli najtajniejszych i pragnień potrzebna nam mowa, ale gatunek to nie jedyny. Nauka jednak daleką jest jeszcze od tego, aby miała dać klasyfikacyę amnezyi dokładną, opartą o znajomość przyczyn dla poszczególnych gatunków amnezyi. Stąd też różni autorowie rożne podają podziały; dr. Bouilland np. dzieli amnezye[1] na: 1) amnezye agenezyczne *(amnésies agénésiques)*, wynikające z braku dostatecznego rozwoju mózgu jak u kretynów i idyotów; 2) amnezye mechaniczne, przez ucisk mózgu powstające; 3) amnezye hyperemiczne; i 4) amnezye asteniczne *(amnésies asthéniques)*. Wspomniany już dr. Rouillard przyjmuje: 1) amnezye wrodzone; 2) traumatyczne; 3) amnezye związane z chorobami mózgu; 4) amnezye wskutek anemii mózgu; 5) amnezye wskutek silnej newrozy; 6) amnezye wskutek ostrej choroby; 7) amnezye wskutek intoksykacyi (zatrucia). Dr. Sollier uznaje tylko trzy gatunki: a to amnezye postępowe czyli dysmnezye; amnezye krótkotrwałe; amnezye jako zjawiska uboczne przy innych chorobach; Ribot zna 4 gatunki: 1) amnezye czasowe; 2) peryodyczne; 3) postępowe; 4) wrodzone[2]. Jeszcze zwięźlejszą klasyfikacyę przyjął Van Biervliet, bo tylko dwa gatunki: amnezyę uleczalną i nieuleczalną, co zależy od tego, czy włókna, spajające ośrodki dla różnych obrazów, doznały tylko przeszkody w swej czynności, czy też zostały zniszczone.

Czynnikiem, wywołującym amnezye uleczalne jest traumatyzm, któremu daje początek silne wstrząśnienie mózgu czy to

---

[1] Amnezya pochodzi od ἀ *privativum* i μνῆσις = pamięć. Podług dykcyonarza Tollarda *(Dictionnaire des sciences médicales)* wprowadzili ten wyraz do medycyny Sagar i Sauvages.

[2] Por. dr. Albert Guillon: *Les maladies de la mémoire.* Paris 1897, str. 28.

pod wpływem uderzenia, czy upadku, czy przestrachu nagłego, czy wstrząśnienia moralnego. Przypadek taki wywołuje utratę świadomości, a w ślad za nią idzie amnezya, i to wsteczna, obejmująca okres mniej lub więcej długi życia chorej jednostki. Pewien clergyman, tak opowiada Ribot[1], wskutek wstrząśnienia, wywołanego upadkiem, stracił na kilka dni świadomość. Kiedy przyszedł do siebie, przekonał się, że zapomniał wszystko, czego kiedykolwiek się nauczył, nawet języka ojczystego; stał się po prostu dzieckiem, ale intelligentnem. Rad nie rad zaczął się uczyć języka ojczystego i języków klasycznych, a po upływie kilku miesięcy pamięć wróciła stopniowo tak, że w kilka tygodni później umysł jego posiadał siłę dawną i wykształcenie. Inny znów chory, 30-letni, wykształcony, zapomniał wskutek choroby wszystko, nawet nazwy najprostszych przedmiotów. Kiedy powrócił do zdrowia, rozpoczął naukę od samego początku jak dziecko; zrazu uczono go nazw przedmiotów otaczających, później przeszedł do czytania, następnie do nauki łaciny. Postępy jego były szybkie. Gdy jednego razu przerabiał z bratem, który był jego nauczycielem, lekcyę języka łacińskiego, zatrzymał się nagle, podniósł rękę do czoła: „Czuję w głowie, zawołał, coś dziwnego; zdaje mi się, że dawniej umiałem już to wszystko". Od tej chwili w czasie bardzo krótkim wszystko sobie przypomniał[2].

Obydwa te przykłady są charakterystyczne z tego względu, że po amnezyi czasowej nastąpił powrót pamięci, szybkie jej odświeżenie. Fakt ten można wyrozumieć tylko w przypuszczeniu, że zaszło tu porażenie włókien, kojarzących rozmaite ośrodki nerwów. Dr. Azam tak tę sprawę ilustruje. Przypuśćmy, powiada on, że fotograf jakiś poukładał systematycznie tysiące klisz w szafie; naraz szafa wskutek jakiegoś wstrząśnienia przewraca się; klisze nie zostały wprawdzie rozbite, ale fotograf musi jąć się pracy, aby na nowo je uporządkować. Otóż rzecz ma się podobnie i przy amnezyi czasowej. Chory traci po prostu

[1] Ribot: „Choroby pamięci" j. w. str. 78.
[2] Ribot j. w. str. 79.

zdolność połączenia obrazów, jakie posiadał przed chorobą, z obrazami, jakie uzyskał czyto w czasie choroby, czy też po niej; utracił zaś tę zdolność wskutek ubezwładnienia dróg czucia i ruchu w mózgu. Lecz oto zjawia się obraz nowy, który wywołuje obraz pokrewny dawniejszy, a za tym ostatnim zjawiają się inne wspomnienia przeżyte. Niekiedy jedno słowo, jedno spostrzeżenie przedmiotu danego zdolne jest do obudzenia szeregu obrazów, że tak powiemy, uśpionych; niekiedy znów powrót do świadomości chwil przeżytych odbywa się stopniowo pod wpływem całego szeregu obrazów nowych. W ten sposób da się też wyjaśnić przypadek, przytoczony przez Ribota, co do młodej kobiety, która wpadła niespodzianie do wody i tylko z trudem została ocalona. Kiedy ją wydobyto z wody, wpadła w stan omdlenia, w którem przeleżała 6 godzin, poczem przyszła do siebie, ale już po 10 dniach wpadła w osłupienie, trwające 4 godziny. Kiedy się przebudziła, spostrzeżono, że utraciła pamięć całkowicie, nie poznawała osób, przedmiotów, straciła węch, słuch, mowę, zapomniała nawet jeść i musiano ją odżywiać jak niemowlę, połykała ona też wszystko bez wyboru, automatycznie. Po całych dniach siedziała nieruchomo i targała w strzępki drobne wszystko, co jej pod rękę podpadło, a ze strzępków układała wzorki dziwaczne. Z trudem nauczono ją cerowania, ale gdy raz dostała igłę w rękę, już jej nie chciała wypuścić; nie pamiętała jednak tego, co robiła dnia poprzedniego, i co rana rozpoczynała robotę na nowo. Dwa obrazy najwcześniej się w niej obudziły, a to: wody, bo ilekroć jej ukazywano widoczki z wodą, okrętami, stawała się bardzo niespokojną; przy przelewaniu wody dostawała tężca, połączonego ze znieczuleniem; gdy się zaś myła, kładła ręce do wody, ale nie poruszała niemi; drugi obraz, to jej kochanek, który ją odwiedzał w czasie jej choroby. Ilekroć przyszedł, okazywała pewne zainteresowanie się nim, podczas gdy zazwyczaj nikt i nic jej nie obchodziło; pod pływem rozmów z nim zaczęła przychodzić do siebie, ale gdy ją chciano odłączyć od niego i wywieźć na wieś, stan chorej znacznie się pogorszył. Zwolna odzyskała mowę (pierwsze wyrazy wymówiła; „co się stało?“—

gdy widziała swą matkę zmartwioną) i rozpoczęto ją kształcić na nowo, gdy naraz, jak grom z nieba, spadła na nią wieść, że jej kochanek ma poślubić inną kobietę. Zazdrość i oburzenie spowodowały atak zupełnie podobny do pierwszego. Atak ten był początkiem powracającego zdrowia. Gdy bowiem przeszła nieczułość, powróciła pamięć całkowicie; po 12-tumiesięcznym śnie chora obudziła się w posiadaniu wszystkich swych zdolności i dawniejszych wiadomości, ale nie pamiętała nic z tego, co się z nią działo w czasie między obu atakami, nie przypominała sobie nawet odwiedzin swego kochanka.

Z przykładu powyższego wynika ta dalsza konsekwencya, że nie tylko fizyczne wstrząśnienia, ale i moralne wywołać mogą zanik pamięci, tak, jak wywołują siwiznę włosów. Dość często się też zdarza, że przestrach nagły, wywołany niebezpieczeństwem utraty życia, zamiast zaniku pamięci, sprowadza hypermnezyę. F. Winslow[1] opowiada o człowieku, którego wydobyto z wody i już nie dawał znaków życia. Pod wpływem nacierań i sztucznego oddychania udało się go jednak uratować. Otóż, kiedy przyszedł do świadomości, zeznał on, iż w chwili tonięcia stanęło naraz całe jego życie przed oczyma duszy, i to ze wszystkimi szczegółami, a każdemu czynowi współtowarzyszyło poczucie winy lub pochwały. Pewien znów pan inteligentny przechodził przez szyny, gdy naraz spostrzegł tuż około siebie nadjeżdżający pociąg. Miał on zaledwie tyle czasu, aby się ułożyć w środku między szynami; kiedy pociąg stanął nad nim, poczucie niebezpieczeństwa zbudziło w nim wspomnienia wszystkich wypadków życia, jak gdyby przed nim leżała otwarta księga sądu ostatecznego[2]. Niemniej wywołać może silna gorączka stan hypermnezyi. Opowiada Abercrombie[3], że pewne dziecko czteroletnie zostało poddane trepanacyi z powodu pęknięcia czaszki. Kiedy powróciło do zdrowia, nie pamiętało ono zgoła ani wypadku ani operacyi. Dopiero w jede-

[1] Por. F. Winslow: *On the obscure diseases of the brain and disorders of the mind.* str. 303. Podług Van Biervlieta j. w. str. 185.

[2] Ribot: „Choroby pamięci" j. w. str. 159.

[3] Por. Abercrombie: *Essay on intellectual powers*, str. 120.

naście lat później opowiedziało ono w stanie gorączki wysokiej cały przebieg operacyi, wyliczyło osoby, które wtedy były obecne, opisało ich ubrania i inne drobne szczegóły z niezwykłą ścisłością. Do owej chwili nie słyszało ono o tych szczegółach i samo też o nich nigdy nie wspominało.

Amnezye czasowe wsteczne zdarzają się również pod wpływem chorób, jak róża, ospa [1], epilepsya, wreszcie pod wpływem zatrucia organizmu substancyami narkotycznemi, które jak opium, morfina, alkohol, nikotyna i t. d. wywołują w pierwszej chwili podniecenie, a następnie prostracyę i zaćmienie władz. W miarę nadużywania tych substancyi amnezya czasowa staje się postępową. Bardzo dobrze skreślił Ribot objawy amnezyi postępowej. Pierwszą przyczyną choroby jest uszkodzenie mózgu, jak np. krwotok mózgowy, apopleksya, rozmiękczenie, paraliż ogólny, atrofia na starość i t. d. W pierwszym okresie choroby bywają tylko częściowe rozstroje. Chory zapomina bardzo często wydarzenia najświeższe; jeżeli przerywa jakąś pracę, zapomina o niej i nie dokończa jej wcale. Wydarzenie wczorajsze, pozawczorajsze, postanowienie przedsięwzięte, rozkaz otrzymany, wszystko to natychmiast znika z pamięci. Taka amnezya częściowa jest najzwyklejszym symptomatem paraliżu ogólnego. Szpitale obłąkanych są przepełnione chorymi tego rodzaju, którzy na drugi dzień po wstąpieniu do szpitala twierdzą, że już są w nim rok, pięć, dziesięć, takich, którzy niedokładnie pamiętają, iż opuścili dom i rodzinę, takich, którzy nie pamiętają dnia, tygodnia lub nazwy miesiąca. Ale wspomnienia, nabyte przed chorobą, trzymają się jeszcze dość krzepko. Wiadomo też, że u starców osłabienie pamięci odnosi się do wydarzeń najświeższych [2].

Aby wyjaśnić te fakty kliniczne, trzeba co do wydarzeń najświeższych zrobić różnicę między pamięcią ustalającą wrażenie, a pamięcią reprodukującą. Jeżeli czyto przewody, czy też

---

[1] Por. Toussaint Barthélemy: *Recherches sur la variole.* Paris 1880, str. 85.

[2] Ribot: „Choroby pamięci", str. 102.

ośrodki zostaną do tego stopnia osłabione, iż przeprowadzona przez nie podnieta nie pozostawi po sobie śladu głębszego, nie wyryje się w nich mocniej, więc też i chory nie będzie mógł reprodukować w swej pamięci tego, co w niej nie zostało utrwalone. To, co na skórze zauważamy, że z biegiem lat staje się coraz mniej plastyczną, dziać się też może z komórkami nerwowemi i ich wypustkami, że wskutek atrofii stają się mniej sposobne do odbierania podniet, zwłaszcza nie dość silnych. Przeciwko tej niesposobności nerwów reagujemy w życiu zwiększaniem uwagi na wrażenia, wskutek czego mogą się wrażenia silniej zapisywać w pamięci naszej; lecz starzec, zobojętniały na wrażenia codziennie odbierane, nie wysila swej uwagi, nie skupia jej na takich wrażeniach, a stąd z braku ich utrwalenia zapomina łatwo o nich. Ale też taka amnezya już jest nieuleczalna.

Przy takich amnezyach postępowych[1] znikają najprzód wrażenia najświeższe, po nich następuje kolej na wiadomości szczegółowe (np. znajomość języków), przychodzi kolej na uczucia, a w końcu amnezya rozciąga się na akty organicznego życia. „Wielu chorych, powiada Ribot, może jeszcze wtedy wstawać, ubierać się, spożywać regularnie potrawy, kłaść się na spoczynek, wykonywać ręczne roboty, grać w karty i inne gry, niekiedy nawet z zadziwiającą zręcznością, kiedy rozum, wola i uczucia wygasły w nich na zawsze. Te automatyczne czynności, które każą przypuszczać tylko *minimum* pamięci świadomej, należą do owej niższej formy pamięci, dla której zwoje mózgowe, rdzeń przedłużony i rdzeń pacierzowy zupełnie wystarczają".

Natomiast odnowa wrażeń pod wpływem leczenia odbywa się w porządku odwrotnym do tamtego. Z wielu przykładów, jakie dla udowodnienia tego odwrotnego odnawiania się wspomnień zebrał Ribot i Van Biervliet, przytoczmy ten, o którym H. Taine[2] wspomina: „Niedawno pewien astronom rosyjski uległ

[1] Ribot j. w. str. 106.

[2] H. Taine: *De l'intelligence*, t. I, liv. II, chap. II, § 4.

następującej chorobie pamięci. Z początku zapomniał wydarzenia z ostatnich dni, później z całego roku ostatniego i t. d., aż nakoniec pozostały mu tylko wspomnienia lat dziecinnych. Zdawał się być zgubionym. Ale nagle rozkład pamięci się zatrzymał i rozpoczął się powrót w kierunku odwrotnym; najpierw wróciły się wspomnienia z lat młodzieńczych, później wspomnienia z wieku dojrzałego, później jeszcze wspomnienia z lat ostatnich, nakoniec wspomnienia dni ubiegłych. Gdy umierał, pamięć była już zupełnie zdrową". Mogłoby się, z tego przykładu sądząc, zdawać, jakoby wspomnienia nasze układały się warstwami w mózgu. Słusznie jednak przestrzega Ribot przed takiem pojmowaniem rzeczy. „Byłoby, powiada on, dziecińśtwem przypuszczać, że wspomnienia układają się w mózgu w formie warstw według prawa starszeństwa, jak pokłady geologiczne, i że choroba, schodząc z powierzchni do warstw corazto głębszych, działa jak eksperymentator, wycinający warstwa za warstwą cały mózg zwierzęcia" (Ibid. str. 113). Gdy się niekiedy mówi o warstwach pamięci, rozumieć przez to należy większe, silniejsze lub słabsze skojarzenie ośrodków dla różnych obrazów; im skojarzenie silniejsze, tem łatwiej opierać się będzie czynności rozkładowej choroby. Tem się też wyjaśnia fakt, że skojarzenia świeże mniej są silne, aniżeli dawniejsze, częściej powtarzane, a więc też i prędzej znikają z pamięci, aniżeli tamte. Racyi filozoficznej owego zaniku wspomnień szukać należy nie tylko w niedostatecznem odżywianiu się komórek, ale i w jakości tego czynnika odżywczego, jakim jest krew. Częste krwotoki, polucye zwłaszcza onanistyczne, liche odżywianie się, zimno lub wielkie gorąco sprowadzają anemię, a w ślad za nią idzie i amnezya.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia amnezya, którą Ribot nazwał peryodyczną, a która bardziej jest znana pod nazwą rozczepienia, podwojenia osobowości. Osobniki, dotknięte tą niemocą, popadają w dwa, zauważono nawet pięć, odmienne stany pamięci, i w każdym z nich zachowują się odpowiednio do roli, w jakiej się być mniemają; gdy zaś mija jeden z tych stanów, nie pamiętają zgoła o tem, co w nim robiły; natomiast

stany jednorodne łączą się w jeden łańcuch wspomnień. Głośny i znany jest przykład, opisany początkowo przez Amerykanina Mac Nisha [1], a następnie przez d-ra Azama [2]. Amerykanka, nazwano ją Felidą, bardzo wykształcona i zupełnie zdrowa, wpadła raz bez żadnych uprzednich symptomatów w sen głęboki, po którym utraciła pamięć tego wszystkiego, czego kiedykolwiek się nauczyła. Trzeba ją było na nowo uczyć sylabizować, czytać, pisać, poznawać osoby i przedmioty. Kilka miesięcy później znów nastąpił sen głęboki; po przebudzeniu się z niego przypominała sobie wszystko, co umiała przed pierwszym atakiem senności, za to cały peryod kilkumiesięczny życia między jednym a drugim atakiem całkowicie jej wypadł z pamięci. Przeszło 4 lata przechodziła z jednego stanu w drugi, lecz zawsze po długim, głębokim śnie. Wypadek ten o tyle jest charakterystyczny, że obydwa stany były rozdzielone amnezyą tak, iż jeżeli ktoś chciał był stale rozpoznawanym przez Felidę, musiał jej być przedstawionym w obu jej stanach.

Nie brak atoli przykładów, gdzie chorzy mieli w stanie podnieconym świadomość tego, co przeżyli w stanie normalnym, i dr. Azam [3] oraz dr. Dufay [4] zebrali kilka przykładów. Azam opowiada o pewnej histeryczce, która od r. 1865 żyła życiem podwójnem. W stanie normalnym (podług Azama: pierwszym) była cichą, skromną, poważną i pracowitą; ale gdy pod wpływem snu głębokiego wpadła w stan anormalny (podług Azama: drugi), zmieniał się jej charakter: stawała się wesołą, hałaśliwą, pomysłową, kokietką. W tym stanie pamiętała wszystko, co przeżyła w stanie normalnym; za to przy powrocie do stanu normalnego nie pamiętała tego, co robiła w stanie anormalnym.

Bardziej zajmującym jest fakt, opowiedziany przez Férégo [5], a to dlatego, że chory wywoływał sam, przez rodzaj autosug-

[1] Mac Nish: *Philosophy of Sleep*. 1830.

[2] A. Binet: *Les altérations de la personnalité*. Paris (Alcan) 1892, str. 4 następ.

[3] W *Revue scientifique* r. 1876 20 maja, 16 września; r. 1877 10 listopada; 1879 8 marca.

[4] Tamże, r. 1876, dnia 15 lipca.

[5] Por. Ch. Féré: *Pathologie des émotions*. Paris (Alcan) 1892, str. 345.

gestyi, to przechodzenie z jednego stanu w drugi. Pewien kupiec 35-letni pochodzący z familii neurasteników, miewał w czasie dzieciństwa swego częste napady przestrachu a w dzień napady melancholii. Nie jest on jednak histerykiem, ożenił się od lat 2, ma 2 dzieci. Familia jednak zauważyła, że od czasu do czasu traci on świadomość swego otoczenia; wezwano tedy lekarza, przed którym chory złożył wyjaśnienie swej słabości. Od dziecka ulegał, prócz melancholii, napadom gniewu szalonego, ale że go nie mógł objawiać wobec bardzo surowego ojca, więc krył się po różnych zakątkach domu, szukając samotności. W takich chwilach począł marzyć, że buduje pałac w Hiszpanii. Z początku owe marzenia nie były ciągłe; co w wyobraźni postawił zamek, znów go burzył i stawiał inny; później jednak powracał do marzeń z dni poprzednich, ulepszał swe budowle. W ten sposób przeszedł on kilka kolei życia, bo bawił się w budowniczego, to znów w żołnierza, inżyniera i żeglarza. Kiedy po wyjściu ze szkoły powrócił do domu rodzicielskiego i oddać się musiał kupieckim zajęciom, nie miał czasu i sposobności oddawać się swym marzeniom. Lecz od jakich 4 lat ostatnich stale wracał do swego ulubionego planu: zdawało się mu, że w Cheville wystawił sobie willę z ogródkiem. W wyobraźni przekształcał ustawicznie owe budowle, dodawał nowe, ogródek zamieniał w park angielski, budował stajnie i hodował konie. W wyobraźni osadził tam piękną kobietę jako swoją żonę, z którą miał dzieci, dzieci te pieścił i żonę, a tymczasem niecierpiał rzeczywistej żony i dzieci, a przytem zaniedbywał interesy kupieckie. Kiedy go się raz zapytano, gdzie był ostatniej niedzieli, uwierzył, iż był w kościele z żoną na mszy św. o godzinie 10-tej; ale dodał; „Gdyby mi tego nie powiedziano, byłbym przysięgał, iż byłem w Wersalu na zakupno świeżych kwiatów do sali jadalnej w Cheville“. Otóż chory ten wiedział o tem, że się sam niejako rozdziela, że czyni to z całą świadomością, ubolewał nad tem, lękał się, aby go nie poczytano za waryata. W jego więc świadomości istnieją dwie grupy wspomnień, całkowicie wyróżnione: pierwsza obejmuje akty życia rzeczywistego, druga stanu marzenia; ale chociaż te grupy różnią się od siebie, nie są jednak

oddzielone, gdyż chory przenosi się z łatwością z jednego stanu w drugi i w każdym z nich posiada całą świadomość tego wszystkiego, co w jednym i drugim stanie przeżył. Lecz gdybyśmy przecięli spoidła, łączące obie grupy, już nastąpiłby zanik świadomości co do obu stanów równocześnie, otrzymalibyśmy to rozdwojenie, jakie co do Felidy przytoczyliśmy, lub jakie przy każdym głębszym śnie hypnotycznym otrzymujemy. Wszak hypnotyzowana osoba zapomina całkowicie na jawie to, co czyniła w czasie snu, a jeżeli sen nie był dość głęboki, ma tylko ciemne wspomnienia. Podobnie się ma rzecz przy somnambulizmie; w tym razie jedna grupa wrażeń intenzywnieje ze szkodą innych, nabiera pozorów rzeczywistości do tego stopnia, że śpiący zrywa się ze swego łoża i poczyna chodzić automatycznie; wystarczy jednak jakiemkolwiek innem, dość silnem wrażeniem zrównoważyć grupę tamtych, a śpiący przychodzi do siebie i przestaje chodzić.

Jakże sobie mamy tłumaczyć fakt rozdwojenia świadomości? Tu zastrzedz się musimy przeciwko wyrażeniu: „rozdwojenie osobowości“ [1], bo łatwo takie wyrażenie może doprowadzić do przekonania, jakoby osobowość polegała jedynie na świadomości samego siebie, swych stanów. Być też może, że właśnie nazwa powyższa wypłynęła z błędnego pojmowania istoty osobowości, a którego to pojmowania twórcą był Locke, Kant i Günther. Lecz nic fałszywszego nad taki pogląd. Czyż dlatego, że ktoś dostał ataku epilepsyi lub dla jakiegoś innego powodu utracił świadomość siebie, ma być po przyjściu do siebie inną osobą, aniżeli był przed swem omdleniem? Chyba nikt się na to nie zgodzi. Co innego jest osoba, a co innego jest świadomość swej tożsamości. Abyśmy mogli czuć się wciąż tą samą osobą, potrzebne jest współdziałanie trzech władz: świadomości, która nam objawia nasz stan obecny, pamięci, która wiąże różne nasze stany w jeden ciągły łańcuch, wreszcie, nie jak powiada Ribot: cynestazyi [2], ale rozumu, który przez zestawienie różnych stanów

[1] Por. naszą rozprawę: „Nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu i nowoczesnej nauki“. Kraków 1895, str. 211—229.

[2] Ribot: „Choroby pamięci“ j. w. str. 95.

jaźni naszej, widzi, że ten sam jest podmiot owych rozmaitych wrażeń, odbieranych w czasach rozmaitych. Otóż świadomość się nie myli, bo donosi ona dokładnie każdemu z nas, co czynimy lub czego doznajemy. Za to w pamięci może nastąpić luka, może wypaść jedno lub drugie ogniwo z łańcucha wspomnień, lub nawet cały ich szereg, cały peryod życia, a wówczas też i rozum będzie mógł wydawać sąd swój o tem tylko, co w świadomości istniejącego zastaje. Owo zniknięcie pewnej grupy wspomnień musi mieć swoją przyczynę fizyczną, patologiczną, i dlatego też z rozmaitych wyjaśnień stanu rozdwojenia świadomości najwięcej przemawia nam do przekonania wyjaśnienie Van Biervlieta [1], który przyczyny zaniku pamięci jednego stanu względem drugiego każe szukać jedynie w uszkodzeniu spoideł, wypustek komórkowych, które kojarzą ośrodki rozmaitych grup wspomnieniowych. Czy zaś owa przerwa w spoidłach międzykomórkowych następuje wskutek anestezyi częściowej, jak chce Piotr Janet [2], czy dla jakiejś innej racyi, jest to dla psychologii kwestyą wagi podrzędnej.

## V.

Przeróżne są formy, w jakich się objawiać może niemoc woli. Dotąd też nie posiadamy ich klasyfikacyi ustalonej; jedni dzielą je na częściowe i całkowite; inni na czasowe i stałe. Ribot [3] przyjął 4 gatunki, a to: 1) osłabienie woli z braku impulsów; 2) osłabienie z nadmiaru impulsów; 3) osłabienie uwagi dowolnej; 4) zachcianki czyli ów stan, w którym wola nie ustala się nigdy lub tylko przypadkowo. Lecz i ten podział nie rości sobie pretensyi do tego, aby był podziałem dokładnym, na znajomości przyczyn choroby opartym, a Ribot używa go dla celów metodologicznych. Przedstawienie dokładne tych stanów, poczynając od różnych gatunków fobii (lęku), że wymienimy:

[1] Van Biervliet j. w. str. 223.

[2] Pierre Janet: *Automatisme psychologique.* 2-éd. Paris 1894, str. 85 następ.

[3] Por. T. Ribot: „Choroby woli". Tłumaczył z franc. J. K. Potocki. Warszawa 1887, str. 41.

agorafobię, amazofobię, aurofobię i hipsofobię, kremnofobię, klaustrofobię, psychrofobię i aerofobię, pyrofobię, kleptofobię, antropofobię, ginofobię, hematofobię, zoofobię i t. d.[1], a posuwając się do epilepsyi, hysteryi, idyotyzmu, aż do całkowitego zaniku woli, czyli tak zwanej przez lekarzy: abulii (ἀ-βούλη), wymaga ręki fachowej i bogatego materyału klinicznego, oraz dzieła obszernego. Co do pierwszego warunku, nie będąc lekarzem, nie czuję się kompetentnym, a co do drugiego, nie mogę rozszerzać zbytnio ram niniejszego artykułu. Poprzestanę na naszkicowaniu objawów najgorszej z niemocy woli, abulii. Dr. Guislain taką daje charakterystykę stanu abulicznego, przyczem zwracamy uwagę na to, że co innego jest niechcenie czegoś, a co innego owa niemoc woli, gdzie chory chce czegoś, a jednak nie może powziąć decyzyi ostatecznej, po którejby nastąpiło przejście do czynu, do wykonania postanowienia powziętego. Akt niechcenia czegoś jest aktem, tak samo zatwierdzającym istnienie woli prawidłowej, jak i pozytywne dokonanie przez nią wyboru jakiegoś. „Chorzy, powiada Guislain, mogą chcieć tylko wewnętrznie, umysłowo, według wymagań rozsądku, mogą doświadczać pragnienia jakiejś działalności, lecz są niezdolnymi postępować odpowiednio. W głębi ich umysłu jest jakaś niemoc. Chcieliby oni pracować, nie mogą... Wola ich jest niezdolna przekroczyć pewne granice, rzekłbyś, że ta siła czynna podlega otamowaniu; ich „chcę“ nie przeobraża się w wolę pobudzającą, w postanowienie czynne. Chorzy dziwią się sami niemocy, jaką jest dotknięta ich wola“ [2].

Z wielu przykładów pozwolimy sobie przytoczyć jeden dla abulii czasowej i to peryodycznej, a dwa inne, gdzie abulia albo wprost staje się nieuleczalną, albo też tylko wskutek gwałtownego wstrząśnienia następuje opamiętanie się całkowite.

Ojciec pani Fly... liczącej 22 lat, był alkoholikiem. Jako dziecko dostawała ona często drgawek konwulsyjnych; z czasem

---

[1] Por. dr. J. Dallemagne: „Człowiek zwyrodniały“. Z francuskiego przełożyła dr. Józefa Joteyko. Warszawa 1898, str. 634 następ.

[2] Guislain: *Leçons orales sur les phrenopaties*, t. I, str. 46 i 255. Podług Ribota j. w. str. 42.

przestały te napady i dziewczyna czuła się całkiem zdrową aż do lat 14, kiedy po raz pierwszy zjawił się u niej peryod. Panienka dostała w tym okresie jakby napadu *delirium*, tak przynajmniej otoczenie skwalifikowało jej stan. Od tego czasu ulegała ona co 2—3 miesięcy w okresie *mensium* dziwnym dolegliwościom. Czuła się wtedy bardzo znużoną, doznawała bólów gwałtownych w głowie, zwłaszcza na wierzchołku, miała dolegliwości w rękach i nogach, w żołądku doznawała czczości i czucia głodu ustawicznego. Powoli ustępowały te dolegliwości, a przynajmniej mogła sobie chora zdawać sprawę ze swego stanu, który tak przedstawiła: „Nie mam najmniejszej chęci jąć się czegoś, nie mogę także uważać, źle sobie zdaję sprawę z tego, co widzę lub słyszę, jakby jakaś zasłona rozpościera się nad całą moją osobą, staję się zobojętniałą na wszystko, a co gorsze, nie kocham swej córeczki maleńkiej, chociaż kiedyindziej bardzo się o nią troskam“ [1]. Stan taki trwał zazwyczaj kilka dni, a tylko raz całe 3 miesiące. Zwolna znika owa zasłona, o której chora wspomina, chora wraca z całą świadomością do swych zajęć codziennych, nie zdradza przytępienia władz, ale po 2—3 miesiącach wraca choroba.

A oto przykład trwałej abulii. Pan Ly... nie był dziedzicznie obciążony, przynajmniej co do rodziców sprawdzono, że nie podlegali żadnym zaburzeniom umysłowym. Jako chłopiec nie mógł aż do 8—9 lat powstrzymywać w czasie snu moczu. Kiedy to ustąpiło, zjawiło się jąkanie, trwające do lat 20 życia. Mimo to p. Ly... skończył szkołę średnią, uczęszczał na prawo i wstąpił jako pomocnik na praktykę do adwokata. Z początku praca bardzo go zajmowała i podobała się, otrzymywał też utrzymanie dostatnie; niestety, po pewnym czasie porzucił służbę. Zapytany przez lekarza, dlaczego tak postąpił, odpowiedział: „Ponieważ mi się wydawała rzeczą ciężką i nie do zniesienia wszelka odpowiedzialność. Musiałem przepisywać akty, podpisywać inne, prowadzić rachunki, zdawało mi się, żem

[1] Por. Prof. Raymond et Pierre Janet: *Les obsessions et la psychasthénie*, vol. II. Paris 1903 (Alcan), str. 32.

się pomylił. Musiałem się decydować do tej lub owej pracy, na nieszczęście nie mogłem się zdecydować. Bynajmniej nie praca mi się nie podobała, owszem boleję, żem pozostał bez zajęcia, ale chodzi o zdecydowanie się na nią". — „Lecz cóż za przyczyna tego, że decyzya Pańska była taka ciężka, taka trudna? Czy pan ulegał obawom, lękowi, które przeszkadzały w powzięciu postanowienia?" — „Niekoniecznie, odpowiedział chory; czułem bardziej znużenie, aniżeli lęk, pozostawałem nieokreślenie przy stoliku i moich papierach nie mogąc się zdecydować ani co do pisania ani podpisywania, i odkładałem swe postanowienia nazajutrz, i póki moje postanowienia były odkładane, byłem spokojny. Wiem to dobrze, że kiedy koniecznie musiałem coś postanowić, sprawiało mi to mękę i boleść; lecz nie zdarzało się to często, bo postanowiłem raczej nic nie robić, aniżeli się wystawiać na uczucie lękliwości, o której pan mówisz. Żyję w biedzie wielkiej, za to spokojnie. Czułem nieraz, że to nierozsądnie, ale nigdy nie pomyślałem, żeby to była choroba" [1].

Podczas kiedy chory powyższy tylko w stopniu słabym zdawał sobie sprawę ze swej niemocy, przeciwnie pacyent d ra Billoda znał stan swej woli wybornie. Chodzi tu o mężczyznę 65-letniego, budowy mocnej, temperamentu limfatycznego, wielkich zdolności, zwłaszcza w zakresie interesów handlowych. Przez długie lata był on notaryuszem, lecz w końcu sprzedał swe biuro innemu. Następnie popadł on w stan głębokiej melancholii, nie przyjmował pokarmów, uważał się za zrujnowanego, i w rozpaczy usiłował pozbawić się życia, poczem umieszczono go w zakładzie dla obłąkanych w Ivry. W celach leczniczych postanowił on odbyć podróż do Włoch wraz z panem Billodem. „Kiedy mu oznajmiono, tak opowiada Billod, o bliskim jego odjeździe, odpowiedział: „Nie będę mógł nigdy tego uczynić, chociaż mię to dręczy". W przeddzień odjazdu oznajmił znowu, iż „nie będzie mógł nigdy". W dzień oznaczony wstał o godzinie szóstej z rana, aby oświadczyć to samo panu M...; spodziewano się więc pewnego oporu; skoro jednak uka-

[1] Por. *Les obsessions* j. w. str. 22.

załem się, nie sprzeciwił mi się bynajmniej; jednakże czując, że wola może go opuścić, zawołał: „Gdzie jest dorożka, siadajmy co prędzej!“

„Zbytecznem byłoby zmuszać czytelnika, aby towarzyszył wszystkim przypadłościom choroby, wydarzonym podczas owej podróży. Objawy te dadzą się sprowadzić do trzech lub czterech najgłówniejszych, jakie przytoczę, aby dać wyobrażenie o wszystkich innych. Pierwszy wypadek zdarzył się w Marsylii. Chory przed wypłynięciem na morze, powinien był dać upoważnienie żonie do sprzedaży domu; sporządziwszy akt ten osobiście, przepisawszy go na papierze stemplowym, miał się już podpisać, gdy wtem zjawia się przeszkoda, jakiej nikt z nas nie oczekiwał. Po napisaniu imienia nie mógł on w żaden sposób napisać nazwiska. Z trudnością tą walczył napróżno, najmniej sto razy wykonywał ręką nad arkuszem papieru ruchy niezbędne do tej operacyi, co dowodzi jasno, że przeszkoda nie leżała w ręce; sto razy wola jego uparta nie mogła rozkazać jego palcom, aby przyłożyły pióro do papieru. Pan P.... złości się i zżyma, porywa się z miejsca, tupie nogami, znowu siada i nowe czyni usiłowania: pióro, jak przedtem, nie może dotknąć papieru. Czy zaprzeczymy tu, że p. P.... miał żywą chęć dokończenia swego podpisu, i że rozumiał ważność tego czynu? Czy zaprzeczymy, iż organ, mający wykonać robotę, znajdował się w stanie zupełnego zdrowia? Działacz zdaje się tu być tak zdrowym, jak i narzędzie, lecz pierwszy nie może zapanować nad drugiem. Widocznym jest brak woli. Walka ta trwała przez 3 kwadranse, i w końcu szereg wysileń został uwieńczony skutkiem, o jakim już wątpiłem, podpis chociaż bardzo niedokładny, bądź co bądź, został wykonanym. Byłem świadkiem tej walki, obchodziła mię ona bardzo żywo, i oświadczam, iż niepodobnaby było skonstatować w sposób bardziej widoczny niemożności chcenia pomimo życzenia“.

„W kilka dni później skonstatowałem znów niemożebność tego samego rodzaju. Chodziło o małą poobiednią przechadzkę, p. P.... życzył jej sobie jak najbardziej; pragnąłby on, jak powiadał, mieć pojęcie o fizyognomii miasta. W ciągu pięciu dni

z rzędu brał do rąk kapelusz i wstawał, zabierając się do wyjścia; lecz płonna nadzieja: wola nie mogła nakazać jego nogom, aby się zaczęły poruszać i przeniosły go na ulicę. „Jestem widocznie więźniem samego siebie, mówił chory — to nie pan przeszkadzasz mi wyjść, i nogi moje nie sprzeciwiają się temu, cóż to więc być może?“. Pan P.... skarżył się w ten sposób, iż nie może chcieć pomimo ochoty, jaką posiadał. Nakoniec po pięciu dniach udało mu się z najwyższym wysiłkiem wyjść z domu; w pięć minut jednak powrócił spokojny i zadyszany, jak gdyby w biegu przebył kilka kilometrów drogi; sam dziwił się mocno temu, co zrobił.

„Przykłady podobnej niemocy powtarzały się co chwila; niekiedy pacyent życzył sobie być na przedstawieniu, lecz nie mógł chcieć pójść do teatru; czasem znów, znajdując się w gronie współbiesiadników u stołu, radby był wziąć udział w rozmowie, lecz znowu prześladowała go niemożność chcenia. Prawda, iż często niezdolność ta istniała, że tak powiem, tylko z obawy; chory obawiał się, iż nie będzie mógł czegoś uczynić; niekiedy udawało mu się strachy te pokonywać; często znowu, wyznać to trzeba, były one uzasadnione“.

„Inna okoliczność jeszcze wyraźniej ukazuje nam nadwyrężenie woli. Przybyliśmy do Rzymu w sam dzień obioru Piusa IX; mój pacyent powiedział mi: „oto właśnie okoliczność, którą nazwałbym szczęśliwą, gdybym nie był chory; chciałbym być obecnym na koronacyi, lecz nie wiem, czy będę mógł — spróbuję“. W dzień obrzędu koronacyjnego chory wstaje o godzinie piątej, ubiera się, goli, i t. d., mówiąc do mnie: „widzisz pan, robię wiele, nie wiem jeszcze, czy będę mógł“ — nakoniec za zbliżeniem się stosownej godziny, dzięki wielkiemu wysileniu, pacyent z trudnością wyszedł z hotelu. Lecz w 10 dni później, podczas uroczystości św. Piotra, takie same usiłowania nie doprowadziły do żadnego rezultatu. „Widzisz pan, powiedział mi wtedy, jestem zawsze swoim więźniem; nie chęci mi brak, gdyż zbieram się od trzech godzin, ubrałem się, ogoliłem, włożyłem rękawiczki, i oto nie mogę stąd wyruszyć“. Rzeczywiście niemożebnem było dla niego udać się na uroczystość.

Billod dodaje, że ruchy instynktowe pacyenta nie były tak skrępowane, jak te, które można nazwać dowolnymi. Pokazało się to przy powrocie do domu; kiedy bowiem ich powóz przejechał jakąś kobietę, która wpadła pod koła, wówczas pacyent odzyskał całą energię, i nie czekając, aż się powóz zatrzyma, odrzucił płaszcz, otworzył drzwiczki, i pierwszy stanął obok nieszczęśliwej. Chory odzyskał całkowitą swoją działalność wskutek wypadków 1848 r. i otrzymanych stąd wruszeń [1].

Co mamy sądzić o tych faktach, jak je sobie mamy tłumaczyć? Rozwiązanie tego pytania nie tak łatwe, jakby ktoś mógł przypuszczać. Przedewszystkiem słuszna jest uwaga Sollier'a [2], że dotąd nie udało się wskazać ośrodka nerwowego, w którymby można umiejscowić wolę, podobnie jak można umiejscowić niektóre czynności czuciowe. I nie może być inaczej. Wola rozumna nie jest władzą organiczną, jak pamięć; każdy jej akt jest czemś metafizycznie prostem, niezłożonem z części fizycznie rozdzielnych, a stąd też nie można jej zamykać w jakiejś komóreczce.

Powtóre nie na wiele się przyda powoływać się, jak to czyni James Mark Baldwin [3], na przykład ze zwierzętami, którym mózg wyjęto. Zwierzęta bowiem, mózgu pozbawione, nie odbierają wrażeń normalnie, skoro brak im ośrodków nerwów czucia, a wskutek tego, że brak im również ośrodków dla nerwów ruchu, nie może być u nich mowy o wyższej formie odruchu, zapomocą którego mogą świadomie zmierzać do osiągnięcia czegoś. Taki wypadek nie zachodzi przecież ani co do pacyenta Billoda, ani pacyenta Janeta, skoro obaj pacyenci mieli nienaruszone władze czucia i ruchu.

Już prędzej możnaby wezwać na pomoc znane nam przy-

---

[1] Por. Billod: *Annales médico-psychologiques*, str. 172. Podług Ribota: „Choroby woli", str. 46—52.

[2] Por. dr. Paul Sollier: *Psychologie de l'idiot et de l'imbécille.* Paris (Alcan) 1891, str. 249.

[3] Por. James Mark Baldwin: *Die Entwickelung des Geistes beim Kinde und bei der Rasse.* Berlin 1898, str. 367 następ.

kłady niemoty ruchowej; ale znów i to wyjaśnienie nie da się zastosować z dobrym skutkiem przy abulii.

A jednak przyczyny faktów szukać musimy nie w chorobie samej woli, bo ta, jako władza niezmysłowa, nie może ulegać dezorganizacyi, lecz w narządach, które w normalnym stanie podlegają rozkazom dowolnym woli. Chodzi tylko o to, czy przyczyną ową będzie stan patologiczny ośrodków nerwów czucia, czy też ośrodków nerwów ruchu, czy jednych i drugich razem wziętych. Otóż co do tego punktu nauka nie dała odpowiedzi rozstrzygającej; istnieją tylko hypotezy, mniej lub więcej prawdopodobne.

I tak Ribot, który wolę uważa tylko za wyraz wyższej działalności odruchowej, za sumę warunków, aby wybór jakiś, oparty na powinowactwie rzeczy upragnionej z naszą naturą, mógł nastąpić, upatruje przyczynę abulii jedynie w osłabieniu strony czuciowej organizmu ludzkiego. Chorzy na zanik woli poprostu nie doznają dość silnych motywów i wstrząśnień, któreby ich wyrwały ze stanu apatyi i skłoniły do wykonania jakiegoś czynu; ich czucie wogóle jest upośledzone, a ich rzekoma zdolność działania, czyli ich chcenia, jest w gruncie rzeczy tylko złudzeniem dla nich. Niestety, pojęcie, jakie sobie Ribot urobił o woli, nie da się żadną miarą zastosować do woli ludzkiej, która może dokonywać wyboru nie tylko między dobrami, pod zmysły podpadającemi, ale i między motywami całkiem idealnymi, których zmysłami nie sposób dostrzegać. Stąd też wyjaśnienia powyższe przyczyn abulii mogłyby tylko częściowo być zgodne z prawdą. Przy pacyencie Billoda nie da się ono zastosować. Człowiek, który potrafił sporządzić cały dokument, i to sam, przepisał go nadto, położył swe imię, a tylko nie może dopisać swego nazwiska, ten człowiek nie ma chyba naruszonych władz czucia, ani też nie cierpi na brak zrozumienia ważności swego podpisu.

Sam Billod [1] przypuszczał, że abulia zawisła od porzedniego

---

[1] Billod: *Annales médico-psychologiques.* Juillet 1847: *Maladies de la volonté.*

zamieszania w zdolności czucia i z niej wynikającego osłabienia czynności umysłowych; ilustruje swą hypotezę przykładem cierpiących delirium dotyku, w którem chory boi się dotknąć klamki u drzwi, kluczy i t. p., aby się nie zawalać. Lecz i ta hypoteza nie jest dostateczną, bo nie zawsze tego rodzaju deliria chodzą w parze z abulią.

Magnan, Legrain i Déjerine, opierając się na naturze działania nerwów hamujących (np. nerw błędny względem serca), mniemają, że u abulików zachodzi inhibicya, otamowanie czynności nerwów ruchu przez jakiś ośrodek nerwu hamującego [1]. Słusznie jednak zauważył Binet [2], że to wyjaśnienie da się zastosować co najwyżej do cierpiących na manię upartości, będącej spotęgowaniem ducha sprzeczności *(esprit de contradiction)*.

Janet Piotr podaje jako powód abulii amnezyę, zapomnienie sposobu, na jaki ma być wykonany dany akt. To wyjaśnienie również tylko do niektórych gatunków abulii dałoby się zastosować [3]. Atoli Janet zna i inne jeszcze wyjaśnienie [4]. Powiada on, że abulia jest niczem innem, jak tylko niemożnością dokonania psychologicznej syntezy. Dla chorego wydaje się czyn, który ma spełnić, czemś nowem; aby ten akt nowy mógł być prawidłowo wykonany, powinienby chory przyjąć go niejako w swoją jaźń, uznać za akt swój, i powiązać zresztą treści w swej jaźni, a więc i z narzędziami działania. Otóż tej syntezy chory nie może dokonać.

Jeżeli prawdę mamy powiedzieć, to to wyjaśnienie przyczyny abulii jest najsłabsze ze wszystkich, a w dodatku zawiera ono błąd *petitionis principii*, skoro o to właśnie chodzi, czemu abulicy nie mogą powiązać aktu, którzy spełnić mają, z resztą treści w swej jaźni.

---

[1] Por. Langle: *De l'action d'arrêt dans les phénomènes psychiques.* Paris 1886, str. 10.

[2] *Année psychologique,* artykuł Bineta, r. 1895, str. 887.

[3] Pierre Janet: *Contribution à l'étude clinique des aboulies.* Paris 1891. str. 11.

[4] Pierre Janet: *Stigmates mentaux des hystériques.* Paris 1893, str. 122.

Tak tedy brak dotąd wyjaśnienia przyczyny właściwej abulii; miejmy jednak nadzieję, że połączonym usiłowaniom fizyologii i patologii uda się rzucić na ten punkt nieco więcej światła, światła, któreby lepiej pozwoliło ocenić tajemniczy ów sposób połączenia dwóch różnych substancyi, ciała i duszy, w jedność natury ludzkiej.

*Ks. dr. Franciszek Gabryl.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

**Przegląd dziejów literatury powszechnej.** *Dr. Ludomił German.* T. I: Starożytność str. 248. T. II: Wieki średnie str. 173. T. III: Czasy nowsze str. 303. Lwów 1903.

Rzecz to oddawna i powszechnie znana, że w kulturze, naukach i poezyi naszej dawnych wieków w różnych okresach uwydatniały się wpływy cywilizacyi europejskiej, a rosły one w miarę wzmagania się zależności naszego życia od polityki, oświaty i literatury zachodniej. Naukowe badania literackie świadome są tego pewnika, że tylko wykrycie w jak najszerszym zakresie pokrewieństw i analogii zarówno w toku naszych, a europejskich prądów, jak w rozwoju poszczególnych działalności literackich, jakoteż w koncepcyi i szczegółowem wyrobieniu dzieł może nam umożliwić wynalezienie racyonalnego podziału całego obszaru literatury na okresy podług głównych prądów. Ważna kwestya naukowa stała się wielce aktualną, odkąd posypały się mniejsze i większe rozprawki o wpływach obcych na naszą poezyę romantyczną, a zwłaszcza odkąd szkolne nauczanie literatury ojczystej poczęło się liczyć z koniecznością zapoznawania młodzieży, bodaj z arcydziełami powszechnego piśmiennictwa. Wnet też wyłoniła się nieodzowna potrzeba podręcznika. Nie żebyśmy go całkiem nie mieli: owszem było kilka, ale nieodpowiednich. Nie mówię tu oczywiście o przestarzałem czterotomowem dziele Lewestama z r. 1863 p. t. *Historya literatury powszechnej,* ani o cząstkowych opracowaniach Szujskiego, Siemieńskiego, Langego, ani też o wielkiem, na dziesiątki tomów zakrojonem dziele Święcickiego, bo te albo nie czynią zadość potrzebom, albo nie są

podręcznikami. Posiada jednak nasze piśmiennictwo trzy dzieła, do których musiało się sięgać po informacye: Historyę literatury powszechnej Szerra w przekładzie Zawadzkiego, zbiorową takąż Historyę w kilku tomach pod redakcyą Chmielowskiego i Grabowskiego wydaną przez Lewentala i dwutomową Historyę literatury Gostomskiego. — Pierwsza pod wielu względami bardzo dobra — ma jednak trzy ważne braki: jest za obszerna jako podręcznik, ponieważ dwa tomy obejmują tysiąc pięćset stron oktawy, zawiera zbyt wiele tytułów, bibliograficznych nazw i liczb, nie opatrzonych chociażby wzmianką o treści; po trzecie zaś pisana jest ze stanowiska skrajnie liberalnego i to stanowisko tendencyjnie zabarwia nie tylko oceny dzieł, ale nawet działalność pisarską wielu autorów. Druga Historya literatury powszechnej nie umie utrzymać granicy między podręcznikiem a dziełem naukowem; w niektórych partyach pisana jako podręcznik, w innych nie może się otrząsnąć z pretensyi monograficznej. Ten brak jednolitego tonu i jednostajnej wartości w częściach wysoce nie zadowalnia, gdyż odejmuje dziełu zaufanie uczącego się, który musi sprawdzać czy dana partya należy do lepszych czy gorszych ustępów dzieła. Nareszcie dwa tomy Gostomskiego są w przeważnej mierze wyciągiem powyższego dzieła, niestety zredagowanym tak zawile, nasyconym taką masą dogmatycznych sądów, a tak mało stosunkowo uświadamiającym, że nie spełnia swego zadania. „Przegląd dziejów literatury powszechnej“ dr-a Germana ma na celu zaokrąglić znajomość literatury, wskazać wzajemną zależność twórczości u różnych narodów i zwrócić uwagę na najważniejsze wpływy. Dzieło nie jest oparte na samodzielnych naukowych dociekaniach, ale pilnie i skrupulatnie uwzględnia wyniki najnowszych badań. W pierwszych tomach rozpatruje rzecz podług ludów, szerzej zastanawiając się nad poezyą indyjską, grecką i rzymską. Jasno, przystępnie i treściwie, wciąż dbając o jak największą ilość informacyi, roztacza obrazy pięciu epok rozwoju poezyi indyjskiej, łącząc z nią widok duszy danego plemienia w różnych okresach. W poezyi greckiej najlepsze ustępy poświęcone tragedyi: kwestye trudne dla pojęcia dojrzałej młodzieży, kwestye nie zawsze należycie uświadomione nawet gdy się tragedye w całości i oryginale czyta, — jak istota sofoklesowej tragiczności, różnice pomiędzy Sofoklesem a Eschilem, rola ananke, węzły tragiczne poszczególnych kreacyi uzyskały w książce dr-a Germana oświetlenie doskonałe równie co do swej rzeczowej poprawności jak i formalnej prostoty.

Opracowanie wieków średnich, zawarte w drugim tomie, nastrę-

cza niejakie wątpliwości w ogólnym układzie. Od kilkunastu lat uczę w średniej męskiej szkole literatury powszechnej i wiem, że układ materyału w obrębie średniowiecza zgoła nie jest łatwy. Z natury rzeczy wynika chęć i usiłowanie objęcia całości jakimiś wielkimi rysami syntezy, wyśledzenia przewiewających wiekami prądów, ale rozmiary czasu zbyt są wielkie, ferment narodowości, ludów i państw zbyt silny, naukowe rozpoznanie tych zmiennych wieków zbyt małe, aby podręcznik mógł się kusić o wytworzenie szczegółowych grup i prądów: im one będą ogólniejsze, im ich będzie mniej, tem lepiej. W *Przeglądzie* dr-a Germana oprócz poddziałów wyróżniam sześć części: poezya kościelna, ludowa, arabska i rycerska. Inne kierunki średniowiecznej poezyi. Dramat średniowieczny. Zdaje mi się, że dwie końcowe części dałyby się bez wielkiego wsiłyku rozsnuć w czterech pierwszych, że niby na tem nie straciła poprawność, a znacznie zyskała przejrzystość tomu.

Bezwarunkowo najlepszym jest tom III: Czasy nowsze. Tu autor zmienia tok wykładu: w szeregu rozdziałów śledzi rozwój głównych prądów i na tle ich omawia dzieła. Z samej metody wypływały i tu mnogie trudności. Obszar zjawisk niezmiernie rozległy; na tej ogromnej przestrzeni czterech wieków i mnóstwa krajów wyróżniają się społeczeństwa ze swą kulturą, związek życia społecznego z prądem głównym europejskim i czynniki miejscowe, rodzinne — zatem wzgląd polityczny czy społeczny i wzgląd artystyczny — a dalej, gdy się już przezwyciężyło te najogólniejsze trudności — idzie wybór pisarzy, przegląd dzieł, wzajemna zależność pisarzy i dzieł, całe grupy i szeregi dążące śladem prądu, pełne jawnych i osłonionych pokrewieństw i analogii. I znów wyznaczenie tego, co jest nawiewem obcym, co wytworem rodzinnej kultury i życia. Dr. German nie oszczędził sobie żadnej z tych trudności. Plan książki przejrzysty i łatwy: na czele prąd, a więc początki Odrodzenia, Odrodzenie w rozkwicie, zwrot ku ideałom religijnym, późny renesans i t. d. W artykułach zajmujących się poglądowo prądem cywilizacyjnym podkreśla się działanie na duszę ludzką: potem przegląd objawów rozwojowych, prądu u każdego narodu z osobna, oczywiście o ile się te objawy uwydatniły w twórczości i dziełach. Tylko najwięksi twórcy i największe dzieła poddane krytycznej analizie; tylko niektóre życiorysy pisarzy przytoczone (Dante, Tasso, Cervantes, Szekspir i t. p.) i to o tyle, o ile znajomość ich może rozwidnić istotę twórczości. Zawsze w miarę możności objaśnia się nawzajem człowiek przez epokę, dzieło przez człowieka i epokę — a dopiero razem doskonale można zjawiska, w przyczynowem spięciu

ze sobą będące, zrozumieć [1]. Jednakże choćbym powiedział, że ten tom trzeci daje znakomity obraz literatury czasów nowszych w zwięzłym zarysie, to jeszcze pozostaje mi stwierdzić, czy dobrym on jest równie dla szkoły? Owoż książka przeznacza się dla dojrzałej młodzieży — i jako taka posiada zalety pierwszorzędnej dobroci podręcznika szkolnego. Przedewszystkiem informuje i uświadamia, nie zaś sądzi i wyrokuje. Ponieważ atoli bez sądów w tak długim poglądzie dzieł obyć się niepodobna, przeto i one nie są wykluczone, ale zachowana w ich ferowaniu miara, wskazana względami różnorodnej natury. Oprócz nauczającego odgrywa tu znaczną rolę pierwiastek wychowawczy. Autor w zupełności świadom tego, kieruje się w sądzeniu ową szlachetną tolerancyą i wyrozumiałością pełną kultury dla niepodzielanych przekonań, pojęć i wyobrażeń, ale niema przykładu, aby uniesiony piękną formą zalecał dzieło, cechujące się obrazami czy to nieprzystojności obyczajowej, czy rozszalałego fanatyzmu. Wspomina np. i o „Dekameronie", i o „Opowiadainach kantorberyjskich", i o „Heptameronie" Małgorzaty de Valois, ale w porównywanie i szczegółową ocenę dzieł z łatwych do zrozumienia względów nie zapuszcza się. Objektywizm autora w sądzeniu godzien tak samo uznania, jak dążność, aby jak najwięcej informować, a jak najmniej wydawać wyroków. Wie on np. z doświadczenia, jak pochopną bywa dzisiejsza dojrzała młodzież do odsądzania od czci i wiary, rzeczy i pisarzy dawnych; wie o tem i pilnie wystrzega się sądów ujemnych, równie jak nauk moralnych, równie jak poddawania i wtrącania różnych międzynawiasowych ocen z punktu widzenia dzisiejszych wyobrażeń.

Dalszą zaletą dydaktyczną jest ciągła pamięć i uprzytamnianie sobie wpływów i analogii pomiędzy literaturami, pisarzami i dziełami, subtelne utrzymywanie całokształtu w logicznym związku wewnętrznym przy współczesnem wskazywaniu rozwoju prądów. Na pozór ten trzeci tom składa się z kilkunastu poddziałów, a w tych poddziałach rozpatrują się przedmioty i ogólnie i szczegółowo; na pozór wydać się może sprawą niełatwą, ściągnąć jednorodne znamiona do wspólnego mianownika prądu: w istocie atoli przy rozumnej nauce taki tylko myślowy proces bywa w wysokim stopniu kształcącym, a choć wymaga niejakiego wysiłku uwagi i pamięci, to jednak plon wart zabiegów i trudów. Do uzmysłowienia informacyi znakomicie przyczyniają się dwie właściwości *Przeglądu:* liczne przykłady i streszczenia wybitnych dzieł. Pierwsze wybrane są zawsze starannie i poddane w tłumaczeniach

[1] Ob. np. III. 63. Rabelais i jego dzieła.

albo najcelniejszych naszych pisarzy, albo też w przyswojeniu własnem, zazwyczaj poprawnem, częstokroć pełnem poezyi. Drugie nie są oschłe i pedantyczne, lecz celują obok zwięłzości i jasności także barwami, dramatycznością, werwą stylu, a nawet niekiedy wytwornością poetycznego obrazowania, jeśli tego wymagał sam utwór. Wzorowem nazwać muszę np. streszczenie tak trudnego dzieła, jak „Boska Komedya“ na str. 6 trzeciego tomu. Przyzna mi w tem niezawodnie słuszność każdy, kto kiedykolwiek dla celów pedagogicznych podejmował tę pracę, zwalczał nastrzępione trudności, a usiłował nie uronić nic z istotnych czarów arcydzieła. Pomijam już takie zalety książki, jak nie przeciążenie datami i bibliografią, jak wskazywanie znaczenia i wpływu genialnych pisarzy i dzieł przez wymienienie naśladowców (Ariosta III. 53, Tassa III. 72, Moliera III. i t. d.), jak wskazówki, kto i kiedy dzieło obce przyswoił naszej literaturze: wszystko to potrzebne i uwzględnione. W treściwie zebranej, zajmująco i przystępnie opracowanej całości znajdą się artykuły wyjątkowo dobre, z precyzyą i dokładnością, a w sposób szkicowy umiejące odtworzyć charakter pisarza i dzieł jego: do tych artykułów należą zaznaczone wyżej: o literaturze indyjskiej, o dramacie greckim, o poezyi rycerskiej, o Don Kiszocie, o Marlowie i Szekspirze, o Boileau, Roussie i Lessingu. Ustępy te mogą służyć za wzór, jak należy przy nauczaniu, czy to ciągłem, czy epizodycznem literatury powszechnej traktować całe działy z wieków odległych, oraz dzieła i pisarzy z okresów bliższych.

W książce dr-a Germana piśmiennictwo nasze szkolne zyskało pożądany i doskonały nabytek. Nie ulega wątpliwości, że w miarę jej upowszechniania znajomość tego przedmiotu podniesie się. Niestety brak nam takich wypisów i arcydzieł w całkowitym przekładzie. Niestety dr. German dociągnął dzieło swe tylko do końca XVIII wieku: podobno wiek XIX ma się ukazać w obszerniejszem opracowaniu. Skoro się to stanie, dzieło zapełni lukę w podręcznej naszej literaturze, wyruguje najpowszechniej używaną książkę Szerra i znajdzie się niezawodnie we wszystkich podręcznych bibliotekach samouków, nauczycieli i szkół wszelkiego zakroju. *Antoni Mazanowski.*

**X. Piotra Skargi Soc. Iesu Kazania Sejmowe.** Z pierwodruku r. 1597 wydał i przedmową poprzedził *Ignacy Chrzanowski.* Warszawa 1903. (Biblioteka dzieł chrześcijańskich).

Najnowsze wydanie Kazań Sejmowych przypomina nam znowu niezwykłą, niecodzienną osobistość Skargi.

„Przypomina“: może zbyt silne wyrażenie. Wszak Skargi nie potrzeba polskiemu społeczeństwu przypominać. Postać ta żyje w naszej pamięci i w naszem sercu. Tylko że może więcej wskutek tradycyi. I wskutek obrazu Matejki. Obraz to tak potężny, tak silnie wbił się w pamięć naszego narodu, że przezeń mamy bardzo wyraźne i silne wyobrażenie samego Skargi — zdaje się nam, jakobyśmy tę postać znali oddawna i dokładnie. Tymczasem znajomość ta mniej się może opiera na osobistem, głębszem wczytaniu się w dzieła natchnionego kaznodziei, a więc na wrażeniu własnem, nie narzuconem przez genialnego malarza. Wobec tego zaś każde nowe wydanie któregokolwiek z pism Skargi, a zwłaszcza najcharakterystyczniejszych dla niego Kazań Sejmowych, to osobiste poznanie ułatwia, i przez to postać Skargi nam na nowo przypomina.

Zwłaszcza, gdy to jest wydanie tak staranne, tak dobre, jak wydanie Biblioteki dzieł chrześcijańskich, dokonane przez I. Chrzanowskiego.

Jest ono naprzód ze wszystkich dotychczasowych przedruków najwierniejsze. Ostatnie czasy nauczyły nas szanować myśli i pisma autorów dawnych; więc dzisiaj nie mamy odwagi, jak to robiono jeszcze do niedawna, poprawiać autorów dawnych, wykreślać słowa, zdania, nawet ustępy, które nie miały szczęścia podobać się nam — dziś przedrukowujemy pisma dawne wiernie. Prawda, że jeszcze zamieniamy pisownię dawną na dzisiejszą, przyczem, jeżeli nie jesteśmy biegli w historyi języka polskiego, ta lub owa forma padnie ofiarą, ale to się już robi ze względu na ogół czytelników, którychby może dawna pisownia odstraszyła. Z tym jednym wyjątkiem szanujemy utwory wieków ubiegłych, nie zmieniamy w nich myśli, przechowujemy starannie ich właściwości językowe. Tak też jest i w wydaniu Kazań Sejmowych. Pisownia dzisiejsza (z jednym wyjątkiem: ó wydawca nigdzie nie kreskuje, czego powodów nie możemy zrozumieć), ale wszystkie właściwości języka z przed lat trzystu zachowane bardzo wiernie.

Przedruk Chrzanowskiego opiera się na wydaniu pierwszem z r. 1597. Jedynie, jak się nam zdaje, racyonalne postąpienie. Bo zazwyczaj pierwsze wydania przedstawiają najlepszą redakcyę utworu, najrzetelniejszą. To jest pierwsze a więc najszczersze skrystalizowanie się myśli i pomysłów. Wydania następne (mówimy o wydaniach, dokonanych jeszcze przez samych autorów) już tej świeżości nie posiadają. Już psychologicznie nie są tak ciekawe. Doskonałym na to dowodem są właśnie Kazania Sejmowe. Wydanie trzecie z r. 1610 nie zawiera

kazania o monarchii — wiemy, z jakich powodów — otóż jakżeby dziwnie wyglądał dzisiaj przedruk tego trzeciego wydania, bez tego właśnie kazania, w którem zawiera się pogląd Skargi na istotę rządu! Ale znowu i te zmiany, jakich autor dokonywa w swoim utworze, wydając go po raz drugi i trzeci, są także ważne, należy je przechować; tak też robi wydawca Kazań Sejmowych, podając waryanty wydania drugiego (r. 1600) i trzeciego w przypiskach. Waryanty te są interesujące: Skarga w następnych wydaniach dawał poprawki i wygładzenia stylowe, zastępował wyrazy obce rodzimymi; czasem trzeba było złagodzić jakie przyostre wyrażenie, choć myśli ostrej, gromiącej, nie łagodził nigdy.

Dzięki wydaniu Chrzanowskiego mamy więc przed sobą tekst pierwotny, nieskażony, nie zmieniany dowolnie, i możemy się rozczytywać w tem mistrzowskiem skojarzeniu rzeczy Boskich i ludzkich, które się nazywa Kazaniami Sejmowemi. Staje nam znów przed oczyma postać cichego zakonnika, skromnego mieszczanina, który zgromadzonym najjaśniejszym stanom, bogom ziemskim, posłom i senatorom, wyrzuca ich grzechy względem ojczyzny, gromi, karci, przeraża widokiem przyszłych nieszczęść z odwagą, jaką go mogła natchnąć tylko niezmierna miłość swego społeczeństwa i świętość powołania. Dziwne są te Kazania Sejmowe, dziwny rodzaj wymowy. Proste nadzwyczajnie, żadnych ozdób stylistycznych, żadnej retoryki, a jest w nich ogromna siła i rozumowania i uczucia. Dziś na nas w czytaniu robią wrażenie ogromne — na nas, co już z rozmaitemi wrażeniami jesteśmy obyci. Jakże więc silne musiały być wtedy, kiedy je kaznodzieja wygłaszał i wobec umysłów, z pewnością mniej skomplikowanych, niż dzisiejsze. Postać samego zaś kaznodziei rysuje się w nich szczególnie. Pojedynczych rysów nie znać, nie widać w nich pełnej i wszechstronnej charakterystyki Skargi, bo wszystkie rysy, wszystkie znamiona, choćby nie wiedzieć jak silne, ustępują przed jednym, panującym nad wszystkimi, usuwającym wszystkie w głąb, przed uczuciem miłości kraju, miłości wynikającej i łączącej się bezpośrednio z miłością Boga. W kazaniach Sejmowych Skarga jako osobistość, jako indywidualność, znika, zostaje tylko jakieś wcielenie uczucia.

* * *

Wydanie nasze poprzedza obszerna (136 stron) przedmowa Chrzanowskiego. Jest to monografia o Kazaniach Sejmowych. Przedmiot to — rzecz dziwna — niezbyt dotąd opracowywany. Dziedu-

szycki w książce o Skardze, Tarnowski w dziele o Pisarzach politycznych XVI wieku; prócz tego dwie prace (Bobrzyńskiego i Szulca), poświęcone już samym Kazaniom; toby było wszystko z rzeczy ważniejszych, czyli w stosunku do wartości i znaczenia dzieła niewiele. Tem pożądańszą jest rozprawa Chrzanowskiego.

Pomimo pewnych zarzutów (sięgających czasem dość daleko), któreby jej trzeba zrobić, i z którymi załatwimy się niżej, uważam tę rozprawę za rzecz wielkiej wartości. Ujemną jej stroną jest jej rozwlekłość, pewne powtarzanie się myśli; w związku z tem może pewien trud, pewna niemożność jasnego, zdecydowanego przedstawienia samego Skargi. Szczegółów jest dużo i bardzo ciekawych, ważnych — postać główna nakreślona nie dość żywo. Nie nagradza tego niedostatku sposób pisania, usiłujący często być namaszczonym. Rozumiemy dobrze i pojmujemy, że każdy, piszący o Skardze, chce pisać z jakiemś skupieniem i podniesieniem ducha; ale nie wiedzie do tego celu ton, czasami jak na rozprawę historyczno-literacką zbyt kaznodziejski. A Skarga sam uczy, że największą sztuką, jest prostota. Rozbiór treści Kazań (od rozdziału siódmego do jedenastego włącznie) najbardziej choruje na rozwlekłość, jest zbyt obszerny. Daleko ważniejszą rzeczą było rozwieść się szczegółowiej (w rozdziale dwunastym) nad pytaniem, jakie jest stanowisko Kazań w literaturze XVI wieku. Zbytecznem wydaje mi się usprawiedliwianie Skargi z jego stanowiska wobec protestantów, bo przecież człowiek nieuprzedzony nie będzie tej sprawy sądził wedle dziś panujących poglądów, uprzedzony zaś przy swem uprzedzeniu zostanie i argumenta mu nie przemówią do przekonania. Dodajmy wreszcie, że wyliczając wydania Kazań, autor jedno pominął, tak, że jego wydanie jest nie trzynastem ale czternastem z rzędu.

Toby były mniej więcej najważniejsze pretensye, jakie mamy do wydawcy Kazań Sejmowych i autora przedmowy. Słuszną jest rzeczą pokazać teraz zalety i wartość rozprawy Chrzanowskiego.

Więc naprzód ów rozbiór treści Kazań. Jest on, prawda, czasem zbyt rozwlekły; często jest tylko rozszerzoną parafrazą myśli i ustępów z Kazań. Ale z tem wszystkiem ma on jedną bardzo wielką zaletę. Autor ciągle porównywa myśli Skargi z innymi pisarzami XVI, a często i XVII wieku, którzy pisali o tych samych sprawach — przedewszystkiem zaś (co jest rzeczą zupełnie naturalną) z moralistami i statystami. Przez to myśli Skargi ukazują się nam nie oderwane, nie zawieszone w powietrzu, ale w ścisłym związku z całą ówczesną literaturą; możemy je z innemi zestawić, porównać, stąd zaś ich od-

rębne indywidualne znamiona dają się dostrzec tem łatwiej. Jest to ten sposób postępowania, ta metoda, która w historyi oddała tak wielkie usługi, metoda, która nam daje może mniej przekroje ludzi, ale za to tem silniej przekroje czasów. Epoki całe wstają przed naszemi oczami, widzimy całe kierunki myśli i pojęć.

Autor rozprawy o Kazaniach Sejmowych tem się jednakże jeszcze nie zadawalnia. Kreśli naprzód związek Kazań z życiem, ze stosunkami ówczesnymi, politycznymi i społecznymi ( w rozdziale III przedewszystkiem), głównie zaś ze stosunkami w latach 1588—1597, kiedy wzrasta rostrój państwa w pierwszych latach Zygmunta III. Prawda, że obraz tych lat jest u autora trochę jednostronny, same ciemne strony; ale chcąc je zestawić z Kazaniami Sejmowemi, to przedewszystkiem musiało się zaakcentować, bo przecież nie jasne ale ciemne strony ówczesnego życia napełniły serce Skargi żalem i trwogą.

To łączenie Kazań Sejmowych z całym ówczesnym światem, z jego pojęciami i czynami, to kreślenie postaci Skargi na tle epoki, zaznaczmy jeszcze raz silnie, bo ono nadaje rozprawie Chrzanowskiego wartość bardzo wielką i sprawia, że w literaturze o Skardze stanowi ona jej wzbogacenie i krok naprzód. Są i inne cenne ustępy tej rozprawy. Tak np. kwestya chronologii Kazań (kiedy były napisane) i kwestya wygłoszenia ich. Autor zbiera bardzo starannie wszystkie dane, które mu mogą pomóc do rozwiązania tych pytań. Naznacza powstanie Kazań na koniec r. 1596 i początek r. 1597 (str. 45 i poprz.); ostatnie zaś wykończenie i wygładzenie tekstu przypada na czas po sejmie r. 1597 (str. 40). Pytanie, czy kazania te były istotnie wygłoszone, pytanie, rozstrzygane dotąd różnie, Chrzanowski rozstrzyga potwierdzająco (str. 41 i nast.); argumenta, które za swem zdaniem przytacza, są przekonywujące [1]. Jest dalej bardzo dobra charakterystyka

[1] Mnie osobiście zastanawia jednakże jeden szczegół. Skarga mówi w Kazaniach Sejmowych posłom i senatorom w oczy rzeczy wprost niesłychane. Przytoczę na chybił trafił taki np. ustęp:

„Dał wam Pan Bóg bogactwa i dostatki wszelakie, a drugie podobno nie od Boga, ale z ucisku poddanych, z lichwy i wydzierania i z niesprawiedliwości zebrane“ (w kaz. trzeciem).

Albo:

„Kto tu na was, ze wszech stron Królestwa zebrane, i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszystkiej koronie panują“! (w kaz. ósmem).

Wiadomo, że co do wygłoszenia Kazań Sejmowych nie mamy żadnego świadectwa bezpośredniego i współczesnego. Ale czy takie słowa,

stylu i języka Skargi (str. 110 i nast.), tego materyału, którego on używał do wywołania potężnych wrażeń. Jest dalej interesujące zestawienie, pokazanie związku Kazań Sejmowych z poprzedniemi pismami Skargi (p. szczególniej str. 33—39). Ale nad tymi wszystkimi szczegółami, ważnymi i cennymi, góruje ten najcenniejszy i najpoważniejszy; to łączenie jednego dzieła, jego myśli, jego uczuć, jego formy, z całą epoką, ze wszystkimi podobnymi i analogicznymi objawami. Dla przykładu kilka szczegółów.

Rozdział drugi rozprawy (str. 5—15) mówi o poprzednikach Skargi w dziedzinie kaznodziejstwa politycznego, w w. XV i XVI, głównie o Stanisławie Sokołowskim (orationes ecclesiasticae septem, r. 1587) i Hieronimie Powodowskim (Kazania Sejmowe z różnych czasów, np. z r. 1578). Są oni poprzednikami Skargi, włączając w swoje kazania także materye polityczne, ale rodzaj kazania ściśle i wyłącznie politycznego (np. kazanie o monarchii) stworzył Skarga.

Pokrewieństwo wielkie z Kazaniami Skargi ma broszura Powodowskiego „Propozycya z wyroków Pisma św.“ r. 1595, w której tak samo jak w Kazaniach jest roztrząsanie sumienia narodowego. Jest więc Powodowski i w treści tego pisma poprzednikiem Skargi (p. str. 26—33, a zwłaszcza 32—33).

Bardzo interesujący jest rozdział ósmy (str. 69—79). Mówi o pojęciu miłości ojczyzny u Skargi, o tem, jak to pojęcie wyraża się u innych autorów i w życiu publicznem, wskazuje, w czem pojęcie to u Skargi jest wyższe niż u wszystkich współczesnych, obszerniejsze, a nadewszystko szlachetniejsze (p. zwłaszcza str. 75—77). Niemniej ważnem i interesującem jest, co autor mówi o pojęciu rządu u Skargi i w całej naszej literaturze politycznej, u Modrzewskiego, Warszewickiego, Górnickiego i Rotundusa, Karnkowskiego, Łukasza Opalińskiego i innych o poglądach na zakres władzy królewskiej i na sejm (str. 86—94) Piękne jest zestawienie Skargi jako charakteru ze współczesnymi pisarzami i pokazanie jego wyższości (str. 105—107) — tylko może pragnęłoby się, aby to wszystko było omówione i pokazane jeszcze szerzej, szczegółowiej. Jednym z najciekaw-

---

jak powyżej przytoczone, bogowie ziemscy znieśli w milczeniu? Rozumujemy, że o takie rzeczy powinny były powstać hałasy na sejmie, rekryminacye, tumulty! Wyobraźmy sobie, jakaby się dzisiaj burza zerwała przeciwko kaznodziei, któryby się ośmielił coś podobnego powiedzieć. Otóż to zupełne milczenie świadczyłoby trochę przeciwko wygłoszeniu? Nie rozstrzygam, rzucam tylko zapytanie.

szych jest rozdział piętnasty (str. 118—123); zajmuje się owym proroczym nastrojem Skargi i znowu pokazuje jego w tym względzie związek z literaturą poprzednią i współczesną; od proroctw średniowiecznych, ogólnych, mistycznych, ciągnie się ten szereg przez przewidywania przyszłości już więcej ziemskie, więcej realne przez Krzyckiego, Reja, Orzechowskiego, Solikowskiego, Kochanowskiego, Sokołowskiego, aż najwspanialszy, najpiękniejszy i zarazem najgroźniejszy, najwięcej przerażający wyraz znalazł w natchnionych przepowiedniach Skargi.

Toby były najważniejsze zdobycze cennej i ważnej rozprawy Chrzanowskiego; wiele mniejszych, a także przecież ważnych, trzeba było pominąć. Rozpisaliśmy się i tak dość obszernie. Ale na wytłumaczenie nasze możemy podać jeden powód wystarczający: mówiliśmy o pracy, która się zajmuje Skargą.

*Dr St. Dobrzycki.*

**Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve.** Préface de *M. Ioseph Kallenbach.* Paris 1902. 2 tomy.

Wydana w latach 1882—1887 korespondencya Krasińskiego obejmuje listy przeważnie późniejsze, od 1834 r. naprzykład. Jedynie listy do Gaszyńskiego pochodzą z lat wcześniejszych, jeden z 1829, reszta od r. 1832. Mamy więc w tej korespondencyi materyał dla poznania dalszych lat Krasińskiego, dla poznania poety już po „Nieboskiej Komedyi". Tymczasem przed „Nieboską Komedyą" mamy owe młodzieńcze nieudolne pisma, owe „Gastołdy" i „Groby rodziny Reichsthalów" i „Mściwych karłów". Otóż przeskok od jednych do drugiej wydaje się zbyt nagłym, odstęp zbyt wielkim. Nie zapominajmy, że i „Nieboska komedya" wyszła z pod pióra poety bardzo młodego, dwudziestojednoletniego. Musiał więc — tak dawniej przypuszczano — na lata 1829 a 1833 przypaść jakiś przełom, jakieś wzmocnienie i pogłębienie ducha, w tych latach musiał umrzeć dawny autor niezdarnych utworów a narodzić się autor „Nieboskiej komedyi" i „Irydyona". Przypuszczenie to stało się teraz pewnikiem, a sprawiła to wydana w r. 1902 korespondencya Krasińskiego z Anglikiem Reeve'm, sławnym później publicystą i politykiem; przypuszczenie o przełomie potwierdziła ona w sposób stanowczy a przytem bardzo interesujący. Stanowczy, bo w korespondencyi tej widzimy rozwijanie się pojęć, myśli, uczuć Krasińskiego niemal dzień za dniem; odnosi się to zwłaszcza do listów z r. 1831, tego roku, który w historyi ducha poety

zajmuje miejsce jedno z najważniejszych. Ciekawy zaś przez to, że w tych listach, młodzieńczych przecież przeważnie, pisanych przez młodzieńca osiemnasto-, dziewiętnasto-, i dwudziestoletniego, widać przy całem ich pogłębieniu tę młodzieńczość bardzo wyraźnie, widać dojrzałość i głębokość myśli połączoną nieraz z prawdziwą naiwnością. Otóż w listach tych możemy tak szczegółowo studyować duchowy rozwój Krasińskiego, przetwarzanie się młodzieńca w człowieka dojrzałego umysłowo. Pod tym względem inne listy poety nie budzą już tak wielkiego zajęcia, nie są tak ciekawe, bo nie mówią o tak ważnym okresie życia, o latach, które wykuły cały żywot poety późniejszy.

Jest więc korespondencya z Reeve'm materyałem dla historyi Krasińskiego pierwszorzędnym, naprzód przez to, że obejmuje lata, o których mieliśmy dotąd wiadomości nadzwyczaj mało, a powtóre przez to, że te lata to kto wie, czy nie najważniejsza epoka w historyi ducha poety.

Krasiński, po znanem zajściu ze współuczniami w uniwersytecie warszawskim wysłany przez ojca za granicę, przybył w zimie r. 1829 do Genewy. Tu poznał młodego Anglika, prawie rówieśnika swojego Henryka Reeve'go. Zrazu była to tylko zwykła znajomość, potem nastąpiło zbliżenie się obu młodzieńców, wspólne przejażdżki, rozmowy, dyskusye, aż w lipcu r. 1830, pisząc do ojca, Krasiński nazywa już Reeve'a swoim przyjacielem (p. *Bibl. Warsz.* 1901, I, str. 33—35 w art. Ad. Krasińskiego „Poeta myśli"). Z tego też roku mamy pierwszy list Krasińskiego do przyjaciela, datowany z Genewy, 26 czerwca r. 1830. Reeve znajduje się wtedy w odległem o parę godzin Vevey. Od tej chwili korespondencya ciągnie się przez parę lat, przerywana wtedy, kiedy obaj przyjaciele są razem (np. całą wiosnę r. 1832). Obejmuje ona: dwa miesiące roku 1830, cały rok 1831, styczeń, luty i od lipca po koniec r. 1832, pierwsze cztery miesiące i koniec r. 1833, następnie lata 1834—1837 i kończy się na r. 1838, jedynym listem z tego roku. Najobfitszą, najbogatszą jest korespondencya z r. 1831: 45 listów Krasińskiego, 37 Reeve'a. Później listy stają się rzadsze, w r. 1836 mamy tylko osiem, w r. 1837 siedem listów Krasińskiego, w r. 1838 jedyny i ostatni. Życie rozdzieliło obu przyjaciół, już nie mieli z sobą tylu punktów stycznych, przyjaźń przestawała, aż w końcu przestała być rzeczywistością a stała się wspomnieniem. Rzecz zwykła i naturalna. Ale przynajmniej wspomnienie było i piękne i silne; dzięki temu też możemy dzisiaj te listy czytać, przechowane i ustrzeżone od

zagłady przez jednego z przyjaciół, który je chował jako pamiątkę po epoce, nazwanej przezeń ich epoką heroiczną.

Zajmuje nas przedewszystkiem pytanie, jak Krasiński w tej korespondecyi wygląda. Wspomnieliśmy już, że listy te objaśniają nam przełomową epokę w życiu poety. Czynią zrozumiałym odstęp między „Władysławem Hermanem“ np. a „Nieboską komedyą“; ten odstęp wypełniają, robią przejście. Przynoszą wiele nowych danych co do dzieł Krasińskiego; tak np. możemy na ich podstawie określić bliżej datę „Agaj Hana“; widzimy w nich powolne ale ciągłe gromadzenie się tych pierwiastków, z których złoży się „Nieboska komedya“; dowiadujemy się dokładniej, aniżeli wiedzieliśmy dotąd, o pierwszym planie „Irydyona“; stwierdza się wyrażone dawniej (przez T. Piniego) przypuszczenie o współczesności powstania obu poematów, przypuszczenie, które usuwa uznawane przez długi czas określenie Klaczki o zstępowaniu Krasińskiego od tematów ogólniejszych do ściślejszych. Przyszły monografista Krasińskiego będzie miał w tych listach wielkie bogactwo takich i podobnych szczegółów. Ale na razie najwięcej nas interesuje strona psychologiczna, ogólne wrażenie, jakie z czytania tych listów o Krasińskim wynosimy; szukamy w nich duchowego portretu poety z tych czasów. Pytanie bardzo obszerne, na rozprawę znacznych rozmiarów, nie na krótki referat. Wyzyskiwali też ten materyał pod tym właśnie względem Adam Krasiński (w cytowanej wyżej pracy, dokonanej przed wydrukowaniem korespondencyi) i prof. Tarnowski („Nowe odkrycia o Krasińskim“ w *Przeglądzie Polskim*) i prof. Kallenbach w przedmowie do „Korespondencyi“. Tam też (i oczywiście do samejże korespondencyi) czytelnika odsyłając, tutaj podajemy tylko parę uwag, głównie dlatego, że chcą one zaakcentować może nieco inne momenta, aniżeli owe rozprawy.

Uderza w tej korespondencyi jedna właściwość, która pozostała w Krasińskim do końca, tak jak była już w jego najwcześniejszych młodzieńczych utworach; właściwość, która mu w życiu tyle złego zrobiła, przez to po prostu tragiczna, a której my nie możemy współczuć, przez to niesympatyczna. Jest to brak prostoty, brak naturalności. To jest cecha wszystkich utworów Krasińskiego. Cecha ta przechodzi często we wspaniałą retorykę — żaden z naszych poetów nie jest w takim stopniu i tak pięknie retorycznym, jak Krasiński. Ale obok strony dobrej zbyt często widać patos robiony, zbyt często widać koturny, teatralność i sztuczność bije w oczy, a bije często nieprzyjemnie; zbyt często podpatrujemy poetę, jak sobie przywiązuje skrzydła a przez to

zatracamy w sobie zdolność do spostrzegania cierpiącej twarzy i krwawiącego serca — nie czujemy szczerości, bo nie dostrzegamy duszy. Czy to tylko trudność technicznego tworzenia, jak się to czasem starano objaśnić?

Ach! w sercu mojem są niebiańskie dźwięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje,
Ludzie usłyszą tylko twarde szczęki,
Ja dniem i nocą słyszę serce moje!

W części i to się przyczyniało, to prawda; trud tworzenia i ubierania obrazów w słowa mógł nieraz sprawić, że poeta mówił jakoś inaczej, aniżeliby chciał. Ale to nie jest jedyny i wyłączny, nie jest też najważniejszy powód tej nienaturalności.

Leży on głębiej: w usposobieniu Krasińskiego, w jego poetyczności. W tej poetyczności, którą sam uwiecznił — i osądził — w Henryku z „Nieboskiej komedyi". W poetyczności fałszywej, niezwiązanej niczem z życiem, szukającej pomysłów nadzwyczajnych, sytuacyi niezwykłych, słów wielkich, ale i te pomysły i te słowa nie wychodzą z głębi duszy, nie są odczute i nie są szczere. Powstaje poza, udawanie, nieszczerość, nienaturalność. Powstaje przyglądanie się sobie samemu, przypatrywanie się swojej wielkości, swojej piękności. Powstaje ów typ, stworzony przez romantyzm, typ, który żyje w nader licznych odmianach w literaturze, a w owym czasie także i w życiu. Przypomnijmy sobie w jakich sytuacyach Henryk słyszy głos, mówiący mu: „Dramat układasz". Słowa te można z najzupełniejszą słusznością zastosować do Krasińskiego, ujawniającego się nam w korespondencyi z Reevem. Wszystkie listy Krasińskiego są takie nienaturalne, obliczone na efekt, są to listy do druku ale nie do znajomych i przyjaciół. Ale listy do Reeve'a mają te właściwości stanowczo w najwyższym stopniu. Dziwne nam się to wydaje; w listach do przyjaciela jest się przecież naturalnym i szczerym i prostym. U Krasińskiego przeciwnie. Ma się wrażenie, że on pisze nie do przyjaciela, ale przedewszystkiem do siebie, patrząc równocześnie po słuchaczach, czy mu dadzą oklaski. W chwilach, w których musiał rzeczywiście i głęboko cierpieć (więc przedewszystkiem podczas powstania, kiedy się znalazł między miłością ojczyzny a miłością ojca), to cierpienie jest dla niego przedewszystkiem materyałem dla prób poetyckich, on się mu przygląda, usiłuje je przekształcić na obrazy poetyckie, ale przedewszystkiem sam siebie podziwia, sam sobie się podoba. Przy czytaniu tych listów ma się dla niego nieraz bardzo silne współczucie, bo jednakże czuje się, że ten czło-

wiek cierpi, ale cóż, kiedy ciągle ma się uczucie i chciałoby się mu powiedzieć: „Dramat układasz“. Tu dusza nie chce nigdy czy nie może wyrazić się po prostu a szczerze, nie krzyknie nigdy z bólu, ale szuka nieustannie takich zwrotów, wyrażeń, obrazów, w którychby jej cierpienie mogło się wyrazić najpiękniej.

Może to cokolwiek za brutalne, za ostre wyciąganie wniosków, ale „przeciw prawdzie rozumu nie“. Inna rzecz dopiero, gdybyśmy się starali tę rzecz wyjaśnić, skąd się wzięła, skąd takie jej zapanowanie nad umysłem poety; gdybyśmy ten objaw rzucili na tło epoki i z niej starali się go wyjaśnić; gdybyśmy się zastanowili nad warunkami, w jakich zeszła młodość Krasińskiego. Wtedy niezawodnie znalazłoby się wiele punktów łagodzących, zrozumienie stałoby się przebaczeniem. Ale to nie jest naszym celem tutaj, jak nie był celem poprzednio żaden sąd, bo powyżej chcieliśmy tylko skonstatować to, co z korespondencyi wyczytać się musi. Nie chcemy wcale sądzić. To rzecz tak trudna — i niewdzięczna. Tem bardziej, że bądź co bądź widzi się nieraz i czuje, że ten człowiek naprawdę cierpi. Tylko z tym kontrastem treści a formy tak się nam trudno pogodzić.

Jednym z objawów „poetyczności“ Henryka jest jego stosunek do żony. „Ty będziesz pieśnią moją“, mówi Henryk do niej w dzień ślubu; na co ona odpowiada: „Będę twoją żoną“. Ten stosunek jest już zarysowany w korespondencyi. Krasiński poznał w Genewie młodą Angielkę, Henryettę Willan — i powstała miłość między nimi. Jej historyę śledzimy w korespondencyi niemal dzień za dniem. A raczej nie historyę miłości, tylko historyę rozmaitych rojeń i myśli i uczuć, jakie ona w Krasińskim wzbudziła. Są to najzupełniej te same myśli, tylko że przed ślubem, jakie ma Henryk, takie same pojmowanie małżeństwa, myśl, że ono zabija poezyę, że to nie jest życie dla poety. Ten sam objaw w zasadzie, o którym mówiliśmy poprzednio przy cierpieniach poety, takie same przypatrywanie się sobie i podobanie się sobie. Przyczem znowu zastrzeżenie, że niepodobna twierdzić absolutnie, jakoby Krasiński Henryetty Willan nie kochał na prawdę — ale znowu to poetyzowanie wszystkiego sprawia, że nie wiemy, gdzie się kończy *Dichtung* a zaczyna *Wahrheit*, granice są zatarte.

Wreszcie trzeci podobny objaw. Przyjaźń prawdziwa i szczera obu młodzieńców nie ulega wątpliwości. A jednakże jak i to uczucie staje się dla Krasińskiego znowu przedewszystkiem materyałem dla poetyzowania! Jak i z tego robi przedewszystkiem „literaturę“!

Otóż ten cały sposób pisania listów robi wrażenie dziwne, a nie

można powiedzieć, że sympatyczne. Ale widocznie było to osadzone głęboko w usposobieniu, w temperamencie poety, skoro pozostało i w późniejszej jego korespondencyi i w utworach poetyckich, chociaż z biegiem czasu straciło swój pierwotny zapęd. O ile jednakże dla nas dzisiaj jest to dziwne, o tyle dla poety było pożyteczne w najwyższym stopniu. Tak samo, jak były pożyteczne utwory poetyckie z tego czasu, o których niżej. Były to po prostu ćwiczenia w stylu poetyckim. Była to praca ciężka a wytrwała, ucząca, jak wewnętrzne obrazy, czucia, dźwięki, przenosić na papier. Była to dla Krasińskiego szkoła pisania.

Taką szkołą były też i utwory, powstałe w tych latach pobytu w Genewie. Wartość ich niesłychanie mała. Stoją na równi z dotychczasowymi polskimi. Panegiryki, jakie się o nich czasem odzywają, to tylko panegiryki. Rzeczy te napisane zostały przez „romantycznego geniuszka", są też ultraromantyczne, bez żadnej wartości bezwzględnej. Ale względna ich wartość znowu znaczna, one wyrobiły formę poezyi Krasińskiego, na nich się ćwiczył. Wydane razem z Korespondencyą (obejmują dwie trzecie drugiego tomu), są jak listy materyałem dla poznania dróg, któremi chodził poeta, zanim stworzył pierwsze — i największe — swoje dzieło „Nieboską komedyę".

A teraz jeszcze kilka słów o wydaniu książki. Wydanie bardzo piękne, z pysznymi trzema portretami, przeznaczone przedewszystkiem dla zagranicy. Tylko w takim razie, jeżeli się chciało Krasińskiego dać poznać z najlepszej strony, po co było dodawać te nieszczęsne próby poetyckie? Ładne wyobrażenie będzie miał o polskiej poezyi i o polskich poetach ten, kto ich będzie z tych utworów poznawał. Mają one interes tylko dla Polaka, a i to nie dla każdego, bo będzie je umiał w należytem sobie postawić świetle tylko historyk literatury.

Książka poprzedzona jest przedmową prof. Kallenbacha. Przedmowa ta ma na myśli głównie cudzoziemców, im wyjaśnia i pokazuje postać poety, objaśnia wiele szczegółów — ale mimo to tak jest napisaną, tyle zawiera rzeczy nowych, tyle spostrzeżeń ciekawych, że i krytyka polska obojętnie obok niej przejść nie może.

*Dr St. Dobrzycki.*

# Z piśmiennictw obcych.

**Theologiae moralis institutiones,** quas in Collegio Lovaniensi Societatis Iesu tradebat *Eduardus Génicot* ex eadem Societate, edit. IV. Lovanii.

**Casus conscientiae** propositi ac soluti a *R. P. Eduardo Génicot S. I.* Opus posthumum accommodatum ad Theologiae moralis institutiones, eiusdem auctoris. Lovanii.

Autor przedwcześnie przed kilku laty zmarły pozostawił nam w powyższych dwóch dziełach nader cenną spuściznę. *Theologiae moralis institutiones* w przeciągu lat kilku, bo od r. 1896 do 1902 w czterech wyszły wydaniach. W wielu seminaryach francuskich i belgijskich używane jako podręcznik szkolny, u nas znane teologom z zawodu, znalazły przychylną krytykę po dwakroć w *Gazecie kościelnej*. Ponieważ obecnie, o ile słyszeliśmy, okazuje się potrzeba nowego wydania, przeto chcieliśmy na nie zwrócić uwagę czytelników *Przeglądu*.

Zamiarem autora było podać jakoby kwintesencyę z najnowszych dość licznych dzieł teologiczno-moralnych, a w szczególności z dzieła słynnego profesora teologii moralnej w Rzymie O. Balleriniego, uzupełnionego objaśnieniami O. Palmierego, teologa św. Penitencyaryi; nadto kwestya socyalna żywo teraz zajmująca wszystkie umysły, wymagała szczególniejszego uwzględnienia. Otóż autor wziął sobie za zadanie tę kwestyę, ujętą oczywiście w ramy podręcznika szkolnego, przedstawić należycie w jej stosunku do obowiązków sumienia.

Oto cel dzieła — a jakież jego główne zalety? Pierwszorzędną zaletą, to praktyczność, — a najprzód praktyczność w doborze materyi. Pominięto w niem wiele kwestyi nie będących obecnie na czasie, chociaż wielu nawet nowszych autorów jeszcze je porusza. Natomiast uwzględniono wszystko, co kapłan w dzisiejszych czasach znać powinien, jeśli zechce z pożytkiem dla dusz w konfesyonale pracować. Do takich kwestyi zaliczamy dziś bardzo aktualną rzecz o spirytyzmie i hypnotyzmie — treściwie ale gruntownie obrobiony dział o książkach zakazanych na tle nowego prawa, różne rodzaje kontraktów, a w szczególności o asekuracyi, grze, loteryi, giełdzie i t. d. Jasno przedstawione wzajemne prawa i obowiązki pracodawców i robotników (na uwagę zasługuje rozprawa o strejkach), obowiązki lekarzy, sędziów, adwokatów i t. d.

Dla spowiedników, osób zakonnych ważnem jest zrozumienie kon-

stytucyi *Quemadmo dum omnium* o spowiednikach kongregacyj i zdawaniu sprawy sumienia. Kierownicy osób dążących do doskonałości chrześcijańskiej znajdą bardzo trafne prawidła w rozdziale p. t. *Dispositiones pro communione frequenti.* Autor odrzuca słusznie zdanie niektórych dawniejszych teologów, wznowione przez Frasinettiego, jakoby wystarczającem usposobieniem do codziennego przyjmowania Komunii św. był stan łaski poświęcającej — następnie podaje pewne normy, jakich trzymać się winien spowiednik w udzielaniu takiego pozwolenia, wreszcie oznacza w tym poglądzie zakres władzy zwyczajnych i nadzwyczajnych spowiedników zakonnic.

Nie potrzebujemy chyba wspominać, jak ważnym jest dla spowiednika traktat o Sakramencie pokuty. Wszystkie inne działy teologii moralnej mają na celu przygotowanie spowiednika do godnego sprawowowania Sakramentu pokuty. Otóż ten właśnie traktat obrabia nasz autor z szczególniejszą ścisłością, rozwagą i roztropnością. W artykule o rozgrzeszaniu umierających autor za uczonymi tej miary jak La Croix, Gennari, D'Annibale jest dość łagodnym, gdy idzie o chorych pozbawionych świadomości, a naszem zdaniem twierdzenie swoje opiera na gruntownych dowodach. Owszem twierdzi stanowczo, że spowiednik umierającemu o b o w i ą z a n y jest dać rozgrzeszenie, skoro tylko według rzeczywiście prawdopodobnego zdania teologów takowe dać m o ż e, choćby sam prywatnie tego zdania nie podzielał. *In extremis extrema tentanda.* Nader praktyczne są wskazówki odnoszące się do zezwalania na spowiedź generalną, która nie jest konieczną, jako też do sposobu słuchania tychże. Również cenne są uwagi „o r o z t r o p n o ś c i w s t a w i a n i u p y t a ń“ (n. 362) i „p r a k t y c z n y m s p o s o b i e p y t a n i a“, a nadewszystko artykuł obszerny: „o u d z i e l a n i u, o d m a w i a n i u l u b o d ł o ż e n i u r o z g r z e s z e n i a“ (n. 366 sqq.).

W traktacie o m a ł ż e ń s t w i e zasługują na uwagę nn. 459 o w a r u n k a c h, które s p r z e c i w i a j ą s i ę i s t o c i e m a ł ż e ń s t w a i 462 sq., które należy mieć na oku, aby z a w a r c i e m a ł ż e ń s t w a b y ł o d o z w o l o n e. W n. 463 rozbiera autor szczegółowo pytanie, co czynić wypada proboszczowi na wypadek, gdy ślubu kościelnego domagają się grzesznicy jawni albo też ci, co notorycznie popadli w cenzury.

Omawiając przeszkodę r ó ż n o ś c i w y z n a n i a, podaje autor pewne prawidła, oparte na odpowiedziach św. Inkwizycyi, jakich trzymać się należy w razie uzasadnionej wątpliwości co do ważności chrztu św. jednej ze stron.

W kwestyi o małżeństwie cywilnem idzie za łagodniejszem zdaniem Gasparriego i Santiego, utrzymując, że asystencya urzędników cywilnych w pewnych ograniczonych wypadkach i z pewnemi zastrzeżeniami może być niekiedy dozwoloną. Również w dodatku o rozwodzie cywilnym roztrząsa kwestyę, czy samo ogłoszenie rozwodu jest czynnością z natury swojej niegodziwą, czy też obojętną i przechyla się na zdanie Ballerinigo, Waffelaerta, Beckera, Sabettiego, którzy przeciw Bucceroniemu, Gasparriemu, Matharanowi i Rossetowi przyjmują obojętność tego aktu. Ponieważ jednak ogłoszenie rozwodu pociąga za sobą zwykle nader smutne następstwa, przeto nie wolno rozwodu żądać, ogłaszać, brać udziału w jego obronie bez bardzo ważnego powodu, odpowiadającego stosunkowi między przyczyną a skutkiem, stopniowi współdziałania, większej lub mniejszej nadziei przeszkodzenia większemu złemu. Stąd wyciąga praktyczne wnioski dla stron żądających rozwodu, adwokatów, urzędników i t. d.

W ostatnim traktacie II tomu obrabia autor cenzury i *irregularitates*. W szczególności rozbiera każdą z osobna cenzurę zawartą w konst. *Apostolicae sedis*. Do sekt zakazanych pod karą klątwy zwykłym sposobem zastrzeżonej papieżowi zalicza także socyalistów, ponieważ rzeczywiście należą do tych stowarzyszeń, które *contra ecclesiam vel legitimas potestates seu palam seu clandestine machinantur*. Na tem miejscu podaje sposób postępowania z sekciarzami, pragnącymi się szczerze nawrócić.

Całość uzupełnia dokładny spis rzeczy i nazwisk autorów. Mamy zatem dzieło praktyczne w doborze materyi, ale praktyczne również w metodzie. Autor uważa za konieczne połączyć metodę scholastyczną z kazuistyczną, a względnie i z mistyczną (która jednak zdaniem autora właściwą jest raczej dziełom ascetycznym niż teologiczno-moralnym). W każdej więc kwestyi wyłuszcza jasno zasady moralne, a następnie na ich podstawie rozwiązuje trudniejsze zagadnienia obyczajowe, a gdzie tego potrzeba, podaje środki do postępu w dobrem. Łącząc te metody powołuje się autor na powagę i zdania św. Alfonsa [1].

---

[1] Qui ad munus (excipiendi confessiones) inhiant, non facile sibi persuadeant, quod satis idoneos ad tantum munus se reddere possint sine diuturno studio scientiae moralis, pro qua certe non sufficit aliquam percurrere summulam earum quae circumferuntur, nec satis est, generalia principia huius facultatis scire, ut quidam, qui casuistas contemnentes litteratorum arrogant sibi nomen, autumant (lib. VI, n. 628).

Ta praktyczność w metodzie nie odbiera dziełu wcale cechy naukowej. Każde zastosowanie jest tylko dalszym wnioskiem z przesłanki, naukowo uzasadnionej dowodami zaczerpniętymi z racyj wewnętrznych lub powagi uczonych moralistów. Większe jednak znaczenie mają u autora powody wewnętrzne, aniżeli powaga przytoczonych przez siebie pisarzy.

Praktyczność objawia się następnie w samym podziale dwutomowego dzieła. Autor trzyma się w głównych zarysach porządku *Medulli* Busenbauma. A więc zatrzymał główny podział przedmiotu: na teologię ogólną i szczegółową. W części ogólnej wyjaśnia podstawy i czynniki porządku moralnego i naruszenia tegoż, w szczegółowej obowiązki chrześcijanina. W pośród nich obowiązek ćwiczenia się w cnotach teologicznych, zachowania przykazań Bożych i kościelnych, — obowiązki pojedynczych stanów, obowiązki wynikające z ustanowienia Sakramentów śś., a w końcu krótki i jasny przegląd kar kościelnych. Autor w podziale materyi nie szuka dróg nowych, ale idzie utartym już przez innych torem. Czytelnik ma tę korzyść, że łatwo się w całości zoryentuje i każdej chwili bez trudności odnajdzie, czego szuka.

Druga zaleta dzieła, to nadzwyczajna jasność i przejrzystość wykładu — najsubtelniejsze kwestye umie autor przedstawić i rozwiązać tak przystępnie dla każdego, że nawet umysł znużony z łatwością myśl autora i jego dowody zrozumie.

Z tą jasnością łączy się wielka rozwaga i roztropność sądu. Przeczytawszy ważniejsze ustępy dzieła, nabiera czytelnik przekonania, że autor jest nie tylko uczonym moralistą teoretykiem, ale że to zarazem wielki znawca serca ludzkiego, jego dobrych i złych skłonności, jego potrzeb i dążności.

To też krytyka przyjęła ogółem życzliwie teologię moralną O. Génicota. Jedyny zarzut, jaki w niektórych recenzyach albo wprost albo między wierszami wyczytać można, to zarzut pobłażliwości. Jeżeli przez pobłażliwość rozumiemy stawianie tez zbyt wolnych lub pojedynczych zdań sięgających poza granicę rzeczywistego, pewnego i uzasadnionego prawdopodobieństwa, to zarzut ten stanowczo odeprzeć musimy. Autor jest wprawdzie zdecydowanym probabilistą i przyznać trzeba, że systemu swego nie odstępuje w zastosowaniu, nie staje w połowie drogi lękliwie, ale będąc przekonanym o jego prawdziwości idzie śmiało naprzód, nigdy jednak granic zakreślonych nie przekracza. Zresztą kto dobrze rozumie, kiedy jakaś opinia jest *vere, certe et solide probabilis,* ten pozna, że wiele bardzo po-

trzeba czynników, aby ją za taką uznać i w czyn bezpiecznie przeprowadzić. Jeśliby się komuś wydawało, że w niektórych twierdzeniach autor w swej pobłażliwości idzie za daleko, to na ten zarzut odpowiadamy, że pragnie przez to wskazać granicę, której spowiednikowi po zbadaniu stanu penitenta przekroczyć nie wolno, — a nie stawiać normy obowiązującej każdego. A ważną to rzeczą, wiedzieć z jednej strony o ile słabemu penitentowi ustąpić można bez narażenia go na zgubę duszy, a z drugiej strony, skąd z nim bezpiecznie zacząć potrzeba, by go dalej doprowadzić i w dobrem umocnić.

II. *Casus conscientiae* wydano już jako dzieło pośmiertne. Zalety cechujące *Institutiones morales* i w tym dziele na jaw występują, — ta sama przejrzystość, rozwaga i ta sama praktyczność. Metodę obrał odmienną od metody Guryego, Bucceroniego i Lehmkuhla. Na wstępie nie wykłada zasad odnośnych, ale od razu przystępuje do samego rozwiązania, odsyłając jednak czytelnika przy każdej odpowiedzi do swej teologii moralnej. W tem dziele szczególniej poznać można doświadczonego spowiednika; uczy on jak się należy zabrać do penitenta, jak uwzględnić wszystkie okoliczności osoby, jej usposobienie, stan duszy, trudności zewnętrzne, jakie zasady trzeba mieć przed oczyma w danym wypadku, jakie zadać pytania penitentowi gdy się niedostatecznie wyraża, co mu polecić na przyszłość i t. d. Gdyby autor żył dłużej, możeby niektóre „kazusy“ opuścił, inne dodał, w innych drobne poczynił zmiany. Jest to widocznie materyał zebrany przez autora, który zwolna przygotowywał do druku. Wydawcy nie chcieli nic zmieniać, co jednakże wartości dzieła żadnej ujmy nie przynosi.

*Ks. R. Kudasiewicz.*

**Dubrownicka Trylogia.** Allons enfants. — Suton. — Na taraci. (Zmrok.— Na terasie). *Ivo Vojnović.* Wydała Matica Hrvatska. Zagrzeb 1902. Druk C. Albrechta. (Jos. Wittasek).

II.

Trzecią część nazwał autor: „Na Terasie“. — Jest to terasa starej willi Menčeitićów, leżąca w zatoce Gružkiej, gdzie wogóle wiele z wlasteli dubrownickiej miało swe wille. Kto był w Raguzie pamięta choć jedną taką terasę pełną róż, nakrytą delikatnym cieniem palm — terasę, której „płyty wygładzone jak marmur krokami żyjących i zmarłych już wlastelinów“ — terasa, w której głębi wznosi się fronton, z dzwonniczką malenkiej kaplicy, mająca wdzięk nieporównany tych miejsc,

przez które wiekami płynęło życie jednej rodziny, więc jednej wyodrębnionej jednostki. Terasa służąca za lożę, z której pokolenie po pokoleniu patrzyło na rodzinne morze, na Petkę ciemną, na te zachody szerokie, na cały jednem słowem czarowny krajobraz, który Vojnović po mistrzowsku nam przed oczy stawia.

Gdy się czyta podobny opis, pytamy, dlaczego moderniści chorwaccy, zamiast naśladować poezyę nowożytną, często niezręcznie, nie zaczną mówić po prostu owej poezyi, która naturalnie jakby kropla po kropli sączy się w ich dusze od dzieciństwa. Vojnović pozwolił się wziąć czarowi i dlatego opisami swymi tak chwyta za serce. Patrząc razem z autorem na krajobraz, w którym czuć jeszcze „drżenie wygasłej dubrownickiej duszy", żałujemy, że opisów w całości podać nie możemy, na szczęście wiemy, że się ktoś do tłumaczenia owego dzieła zabrał.

Cały nastrój skupia autor w postaci Gospara Lukszy Menze (Menčeatića). „Ostatni wlastelski pieśnik, który zamknął w tej czarownej samotni całą swą gorzką pogardę nad rumowiskiem wszystkich narodowych i politycznych ideałów". Doświadczenie życiowe streszcza przed nami dyktując głośno proboszczowi rozprawę pod tytułem: „Czemu w końcu XIX wieku niestało wlasteli w Dubrowniku" — „Kiedy zostali bez woli, bez pragnień, bez pracy".

Scena między spokojnym, dumnym, trochę ironicznym wlastelinem a proboszczem jest nadzwyczajną. Żeby ją lepiej zrozumieć, trzeba wiedzieć, że księża nieraz przez dubrownicką szlachtę traktowani byli nie jak duchowni, ale raczej jak funkcyonaryusze, często też w tę rolę i sami wchodzili. Dum Marin zdziwiony, przerażony prawie tem co słyszy, tem co spisywać musi. „Trzeba przed śmiercią dokonać dzieła pokajania" — mówi gospar Luksza. Niezrównany jest ten akcent głębokiej prawdy, przeplatany miejscami sarkazmem, w którym się odbywa ów bolesny przegląd przeszłości, prawie spowiedź za siebie i przodków. „Gdy nam nie stało owej prastarej, pięknej, wrzącej rozkoszy panowania, trzeba było zatoczyć rękawy i przygiąć się do niej, do ziemi — trzeba było tę ziemię, którąśmy tysiąc lat gnietli i wsławiali dla siebie, ukochać dla niej samej... pełnią krwi i miłosierdzia. Powinniśmy byli pielęgnować w ludzie duszę, którąśmy na tych skałach osadzili. — A zamiast tego dawaliśmy się temu, który nam lepiej płacił".

U Vojnovića nie jest to ciężki monolog, ale scena barwna, uroz-

maicona uwagami lub wzdraganiem się Dum Marina i zewnętrznymi małymi epizodami dobrze stosowanymi i podkreślającymi charakterystykę.

„I niech jeszcze to stoi czarno na białem. Kiedyśmy za czasów wolności zamykali córki nasze w puste klasztory, by tam więdły... było naszą powinnością, byśmy w czasach poddaństwa wprowadzili w nasze puste i niepłodne domy zdrową latorośl, którąśmy sami po Konawelskich górach zaszczepili".

I tu mamy znowu tę kwestyę wracającą ciągle w Tryłogii, kwestyę małżeństw surowo utrzymywanych w ciasnem kółku wlastelskiem i warunki anormalne stąd powstające. W części „Na terasie" mamy aż trzy postacie, zachodzące z tego powodu w cień samotni. Gospar Luksza, brat jego Niko, wybierający się w 70 latach w świat, bo nie może znieść widoku zatoki Grużskiej, zepsutej cywilizacyą: torem kolejowym, dla którego usunięto sławne Grużskie warsztaty okrętowe i mnóstwo starych rybackich domów, nie może oddychać powietrzem popsutem dymem węglowym; nie może się patrzeć na miejsce, gdzie stał starożytny pałac Lorko, zburzony przez praktycznego Amerykanina, bo w nim duchy straszyły. Amerykanin postawił natomiast dom nowy, porządny, w którym prócz pustki wiejącej z rzeczy nowych, nic nie straszy. Trzeci typ to stara ich siostra ociemniała: „widzę głosy wszystkich, jak ty widzisz ludzi żywych". Czuje się bardzo opuszczona i wstydzi się prawie swego rozczulenia względem brata. „Zabrali jej wszystko co lubiła a ona powiedziała „kłaniam" i odeszła do raju" (w abstrakcye). — „Niko, Mare, ja i finis". — „Każdego ranka gdy na siebie popatrzymy mam ochotę zapytać: Co? tyś jeszcze tu?" — „Tysiąc lat krwi, mózgu, prawego życia, a teraz masz!... cztery kości pod cyprys!" — Oto co zostało z rodu Menčetićów, wedle uwag Lukszy.

Na tle tych trzech melancholijnych postaci, z radością witamy podmuch zdrowego, żywego (nie zamierającego) życia, w młodej dziewczynie Idzie, siostrzenicy uprzednich. Wraca z gór, z ogromnym pękiem kwiatów, niesie wrzos, który „pokrył skały, jak błogosławieństwo Boże" i miholjice (dzikie lewkonie) wywołujące swą wonią przed oczy ociemniałej ciotki obraz, który Ida maluje słowami: „Jedna za drugą idą, idą, a gdy są zmęczone spoczną w cieniu oliw i szepną sobie owo słowo, którego w drodze zapomnieć nie wolno, i znów zapalą swą małą latarkę. — Tak, tak takie malutkie, żółte, przygięte do czarnej ziemi, a spokojne, jak kwiaty na ołtarzu, zda ci się, że to świece na procesyi Bożego Ciała. One wiedzą, gdzie idą!" — „Do Mihajla! (cmentarz wlasteli dubrowackiej) prawda?" — kończy gospodja Mare i wy-

rywa się jej serca okrzyk, jedyna myśl jej życia: „O jak nam one tam świecić będą! o! jak zawołam z pod płyty grobowej: Nakoniec! otom jest wpośród swoich!“ — „A tymczasem?“ — „O bella! trzeba żyć, trzeba pracować!“ — Czytający Vojnovića nie ma wątpliwości, że ostatnie słowo jest w ustach gospodji Mare pustym komunałem, ale nie jest nim dla Idy, jak nie jest pustem poetyzowaniem, co mówiła o miholjicach — ona zna także to słowo, którego zapomnieć nie wolno, i ona także zawsze chciała wiedzieć gdzie idzie, a dziś wie, i właśnie to całe śliczne dziewczęce przymilanie się, jest tylko chęcią osłodzenia ciotce ciosu, bo wie, że to, co powie, ciosem będzie dla arystokratycznej ciotki: oto ma w ręku dyplom nauczycielski. Zaskoczonej tą nowiną ciotki pyta, czyby wolała ją widzieć żoną bogatego Amerykanina. „Nie, tyś nie stworzona na to!“ — Właśnie! Ida wie co robi: „Mieć dużo, dużo dzieci wiejskich, pilnować by im obcy nie wykradli duszy, jak mówi wuj Luksza, nasadzić trochę tych małych żółtych kwiatów, by nam zawsze pachły naszą ziemią“.

W rozmowę tę wpada od morza idący śpiew i okrzyki. Ida podszedłszy do okna, widzi, że to wesołe, znajome im towarzystwo podpływa łodzią „z oficerami z morza i z lądu“. A teraz korzystając ze znajomego domu wtargną całą bandą. Ida wysuwa się, by matce dyplom pokazać. Gospodja Mare ich także widzieć nie będzie, pójdzie tymczasem do kaplicy, bo ma i tak pacierze odmówić: „Oto mają terasę i ogród, niech szaleją!“ Ten szczegół mały, świadka zamkniętego w kaplicy, przeszkadza czytelnikowi w całej następnej scenie, jak ziarnko piasku w oku.

Teraz wpada na ten cichy, smutny, poważny dom, patrzący na życie, jak na przeszłość, szalony wir rozbawionego, rozśpiewanego, roztańczonego, w tonie półświatkowym, wesołego towarzystwa. Ramy i sposobność ku temu podaje próba operetki, Zarzuela. Chansonetki i pozy baletowe, to jedyny, zdaje się wyraz, w którym może się usposobienie tego towarzystwa wypowiedzieć. Wśród tego głośnego uniesienia, niejako na niedokończonym piruecie baletowym, przychwytuje całe towarzystwo dźwięk dzwonka z kaplicy: „Pst... terasa się poświęca“ — szepce żartobliwie baronowa Lidya, wódz całego towarzystwa — ale szał zmrożony, Lidya, utrzymująca się do końca w swej roli, rzuca swojej trupie: „Jak przyszli, tak niech idą“. Ucichł nagle śmiech, zagasły jaskrawe ognie sztuczne, terasa znów cicha, oddana nocy zapadającej, gwiazdom wschodzącym, milczeniu i tym ludziom przeszłości.

Ostatnia scena łączy się logicznie z pierwszą. Tam widzieliśmy

Lukszę w godzinie co serca ludziom otwiera i każe mówić ustom prawdę, zobaczymy go tutaj, gdy się w nim budzi despotyczny absolutyzm pokutujący w wlastelskich rodach. Tam słyszeliśmy teoryę: „Wprowadźmy w nasze puste i niepłodne pałace zdrową latorośl, którąśmy sami po konawelskich górach posadzili“, tu woła Luksza: „A gdyby mię Dum Marcin słyszał! to co innego, jak teorye!“

Vuka, chłopa z Konavli, interes gospodarski sprowadził do domu jego pana. Kocha on dziewczynę będącą w służbie u Lukszy i korzystając ze sposobności powtarza ponawianą już nieraz prośbę, by mu ją dali. Mówi z prostotą trochę naiwną i nieśmiałą, a razem ze spokojem siły. Krótka odpowiedź: „A ja ci jej nie dam!“ Vuko nieporuszony: „A dlaczego mi jej nie dacie?“ — „A kto cię nauczył pytać: dlaczego?“

Ostatnia nadzieja, list, który przyniósł od proboszcza, zawiodła, bo Luksza nie odpieczętowując go mówi: „Możesz mu powiedzieć, że mu się kłaniam i że darmo się trudzi“. Vukowi odchodzącemu wyrywa się okrzyk: „Ej dołoż moja! Boże mój!“ Ów okrzyk doszedł ucha gospodji Mare. — Tym samym głosem słyszała wymówione te same słowa, kiedyś, gdy Luksza był młody, ulegając rodzicom, rzucał dziewczynę kochaną. „Dziś pierwszy raz słyszę u ciebie głos twej młodości“. — „Mój głos u niego?“ — Luksza tknięty tą myślą rozrywa list dowiaduje się, że Vuko to syn jego — ostatnia prośba matki była, „gdy syn będzie w nieszczęściu, niech go ojciec broni...“

Lukszę z wstrząsających go uczuć, najwięcej wzrusza myśl, że widzi przed sobą zmartwychwstałą krew ojców swoich, dumny, że Vuko wspaniale wygląda, „zupełnie jak nasi starzy“, ale dusza? czy ich dusza mieszka w tym jego synie? A gdyby zrobił to, o czem mówił w pierwszej części, „aby wprowadził w puste pałace...“

Rozmowa z Vukiem, którego przywołał, dobrze przeprowadzona: „Czyj ty syn?“ — Vuko: „Co panu do tego?“ — „A gdyby ci kto powiedział: ojciec twój był wielkim panem, zostawił ci wspaniały dom... ot np. taki, jak ten, cobyś zrobił?...“ I tłumaczy mu się: „Ot, spać nie mogę, a przecie wolno mi rozmawiać z kim mi się podoba“. — „Ej, prawdę powiedziawszy... sprzedałbym go!“

Sprzedałby go! więc marzenia chwilowe Lukszy na nic. Dusza wlastelska, którą naturalnie utożsamia z tradycyą, z miłością rodu i domu umarła w nim, niema jej śladu.

„Powiesz proboszczowi żeś widział, jakem darł list jego“. — „Powiem, panie“ — chce odejść. — „Gdzie idziesz?“ — „Do stajni“. —

Lukszy powieki zadrgały, oczy spuścił: „Idź!“ — zapatrzył się na syna, serce jednak rwie się do niego: „A za dni czternaście ożenisz się z Idą“.

Wszystko powiedział, co miał mu do powiedzenia, resztę, mękę, dla siebie zostawi. Ród umarł. W Lukszy zatrzymał się prąd ów tradycyi idący przez tysiąc lat, uświadomiony w nim do najwyższego stopnia.

Ostatni raz widzimy Lukszę, gdy wstał postarzały, schyłony, i długiem spojrzeniem objął czarne milczenie martwej, ciemnej terasy, zdawałoby się, „że stoi nad płytą jakiego starego grobu“. Wstrząsnął się, jakby odganiał niewidzialne mary i idąc ku drzwiom izby mówi: „A teraz idźmy spać“.

Książka, którąśmy tu przejrzeli, zostawia wrażenie stałe, wrażenie prawdy i harmonii. Autor otworzył przed nami świat, który nam już znanym pozostanie. Zaciera się w całości parę drobnych niezręczności, zostaje ogólne i głębokie wrażenie artystyczne. Zmuszać ono jeszcze nieraz będzie czytelnika, wrócić się myślą do tego Dubrownika, tysiącletniej wolnej rzeczypospolitej, do wlasteli, wykwitu cywilizacyi bardzo dawnej i bardzo charakterystycznej, na którą składały się żywioły tak różne. Słowiańska tęsknota i fantazya, latyńska sprężystość, wschodnia powaga, grecki spryt i giętkość, wenecki przepych i wykwintność — zostało na niej, zdaje się, jeszcze coś z pozłoty przywiezionej z bajecznych Indyi, wspominanych tak często w południowosłowiańskich ludowych pieśniach. Więc też w ostatniem spojrzeniu umierającej rzeczypospolitej odbić się musiało to wszystko. Odkłada się książkę z zamyśleniem głębokiem. Słuchając Vojnovića słyszymy nie opowieść obojętną świadka, ale mowę, w której dźwięczy przywiązanie i żałoba synowska. Szlachetne serce, które potrafiło to tak odczuć i tak wyrazić.

Ukazanie się tego dramatu jest bezsprzecznie wydarzeniem pierwszorzędnem w literaturze chorwackiej.

*Saryusz-Nagoda.*

**Lukas Delmege.** Ein moderner Seelsorger-Roman. *Patrick A. Sheehan.* Autriosierte Übersetzung aus dem Englischen von *Anton Lohr.* München.Allgemeine Verlags-Gesellschaft m. b. H. (str. 372).

Powyższa powieść znanego już angielskiego autora zrobiła rozgłośne wrażenie w świecie literackim. Pisano o niej, że jest to najwybitniejsza katolicka powieść ostatnich lat, że żadnemu katolickiemu

utworowi beletrystycznemu nowszych czasów nie mierzyć się z „Łukaszem Delmege“. Wrażenie, jakie ta powieść wywołała i dzięki któremu została już przetłumaczoną, zawdzięcza ona przedewszystkiem zasadniczej myśli, jaką przedstawia i głębokiemu rozwinięciu charakterów.

Sheehan zajmuje się tu kwestyą pogodzenia Kościoła z nowożytnymi prądami i modnemi ideami. Młody, irlandzki kapłan, pełen zapału dla dobrej sprawy, zostaje z ojczystego kraju przeniesiony do Anglii jako zwykły kooperator. Wkrótce zyskuje sobie rozgłos i sławę, ale równocześnie traci na dawnej gorliwości i pobożności i wchodzi powoli, choć zawsze najlepszymi powodowany zamiarami, na niebardzo bezpieczną drogę reformatorów obecnego ustroju Kościoła. Na wszystkie przedstawienia w tej mierze ma stereotypową odpowiedź: „nie rozumiecie ducha czasu. Cały kierunek ludzkich myśli dąży dzisiaj do tego, by pogodzić objawienie z rozumem i z tej dopiero harmonii wyprowadzić nową erę ludzkiego szczęścia. W tem odrodzeniu chodzi o to, byśmy się znaleźli na odpowiedniem stanowisku. Śmiało i świadomie musimy współdziałać i objawienia przyrodzone i nadprzyrodzone w wolnem, szerokiem znaczeniu tłumaczyć... albo milczeć“. Sława Delmege'a, jako wybitnego kaznodziei i mowcy rośnie z dniem każdym, ale zaprzyjaźnienie się z eklektykami i dość liberalnem towarzystwem pcha go coraz dalej po pochyłej drodze, aż odstępstwo od Kościoła pewnego konwertyty angielskiego, spowodowane jednem z jego wolnomyślnych kazań, otwiera mu wreszcie oczy. Przykłady życia i zbawiennej pracy świątobliwych kapłanów, heroiczna ofiara pewnej dziewczyny, złożona za ginącą duszę brata, różne wewnętrzne i zewnętrzne doświadczenia prowadzą go do przekonania, że nie łączenie się z duchem czasu, ale nadprzyrodzone działanie, ofiara i zaparcie zdobywają dusze. Na drodze krzyża dochodzi do pokoju; kończy swoje życie jako pokorny kapłan na jakiejś wsi irlandzkiej, czując że nie mógł tak zużytkować swoich zdolności, jak o tem marzył. Tajemnicę Opatrzności, która zawsze była dla niego zagadką, tłumaczy mu dopiero śmiertelne łoże.

Łukasz Delmege doszedł więc swojem postępowaniem do wręcz przeciwnych skutków; nie pogodził swych wysokich aspiracyi z nowożytnymi prądami, a u kresu życia stanął znów tam, skąd zaczął. Jego działalności przeciwstawia Sheehan działalność innych księży irlandzkich i angielskich; ludzie to po większej części prości, o małem wykształceniu, nie liczący się wiele z nowymi kierunkami, ale ich skromna, cicha praca, prowadzona w duchu Chrystusa i życia nadprzyrodzonego, obfituje w zbawienne owoce i bogate skutki. Gdyby

Sheehanowi chodziło tylko o to, by pokazać, że w tej wielkiej, dzisiaj ludzkość trawiącej walce, jednostka nic nie zdziała, owszem nie wkroczy kojąco w walczące szeregi, lecz rozdwajająco, możnaby się na jego tezę zgodzić; wypadki, jakie w ostatnich latach zaszły np. w Niemczech lub we Francyi stwierdzają aż zanadto jego poglądy. Ale Sheehan idzie, zdaje się, dalej; tak przynajmniej można wnioskować między innemi z słów ciężko już chorującego Delmege'a: „jestem zmęczony, zmęczony jak dziecko po gorącem, letniem dniu, zmęczony nierozumnem życzeniem, żem pragnął pogodzić rzeczy, które pogodzić się nie dadzą" i tego ostatniego twierdzenia nie rozumiemy i nie pojmujemy, dlaczego Kościół i współczesne prądy ducha ludzkiego należeć mają do rzeczy, które się pogodzić nie dadzą. Leży w tem wielka trudność ze strony natury ludzkiej, nie ma jednak sprzeczności wewnętrznej; chodzi tylko o to, by inicyatywa nie wyszła od z wszystkiego niezadowolonych jednostek, ale działała pod wpływem wyższej powagi.

Wchodząc w szczegóły tej tezy Sheehana, można jedynie powiedzieć, że nie jest on wielkim zwolennikiem seminaryów; stara się wykazać z ciętą lecz delikatną ironią, że wychowanie w seminaryach nie przygotowuje młodego kapłana do zadań i trudów przyszłego życia.

Bogactwo myśli, jakie ta książka po za tą zasadniczą ideą roztacza, jest istotnie zdumiewające. Sprawy angielskie i irlandzkie, protestanckie i katolickie, socyalne i polityczne, omawianie tychże i poglądy na nie, całkiem naturalnie wplecione w tok akcyi, pojawiają się na każdym kroku i nadają książce charakter dzieła wielce aktualnego.

Większe wrażenie wywołuje jednak w czytelniku druga własność powieści, głębokie, psychologiczne obrobienie charakterów. Sheehan wchodzi tu w najdrobniejsze nawet szczegóły, szczegóły czasami tak nieznaczne, że znikają w praktyce codziennego życia, ale z tych drobnych szczegółów wydobywają się potężnie narysowane postacie.

Łukasz Delmege, świeżo wyświęcony na kapłana, wychowany w wielkim zakładzie duchownym w Maynooth, otrzymuje w dniu ukończenia nauk prawie sam jeden z pomiędzy 560 współuczniów wszystkie nagrody. Teraz już chyba świat cały stoi mu otworem, a jego nazwisko pewnie w ustach wszystkich się znajduje. Dumnie spogląda na stacyi kolejowej dokoła siebie — nikt go nie zna; gorączkowo przerzuca gazety — żadnej o nim wzmianki; rozgląda się po wystawach fotograficznych — jego tam nie ma i oto pierwsze rozczarowanie. W domu wprawdzie rodzina i sąsiedzi spoglądają z uszanowaniem na grube, w cielęcą skórę oprawne książki, boją się ich jednak dotknąć, „bo

któż tam wie, co w nich zawarte", a stary wikary, Ojciec Pat, wzdryga się na widok tych foliałów i dziękuje Bogu, że nigdy z nimi nie miał wiele do czynienia, za to kanonik gdzieś coś słyszał o odznaczeniu się Delmege'a, zapomniał jednak o tem i tytułuje go zimno „panem Delmege" — to dalsze rozczarowanie; wielkość jego nikomu nie imponuje, a już przelała się czara goryczy, gdy na proszonym obiedzie u kanonika nie tylko nikt się Łukaszem nie zajął, ale on, który w seminaryum jedną formułką *sic argumentaris doctissime Domine* miażdżył przeciwnika, dziś nie umiał odpowiedzieć na kilka pustych frazesów młodego, znudzonego życiem studenta medycyny. Przynajmniej więc biskup go oceni i jakieś zaszczytne stanowisko dla niego zachowa — lecz ku jego przerażeniu i zgorszeniu pokazuje się, że i biskup nie potrafił ocenić jego zdolności; wysyła go na pracę misyjną do Anglii, gdzie się niczem nie będzie mógł odznaczyć.

Niezaradność i teoretyczne pojęcie życia objawiają się u Łukasza w całej pełni. W Anglii przed rozpoczęciem pracy duszpasterskiej żądają od niego egzaminu; Łukasz sądził, że zapytają go, jacy autorowie stoją po jednej stronie jakiejś metafizycznej, abstrakcyjnej kwestyi, jacy po drugiej, a tu mu dają pytania aktualne, jak np. udowodnić potrafi brak święceń kapłańskich w kościele anglikańskim; tego się on nie uczył, boś przecież jasne, że one nie ważne. Egzamin też wypadł po temu, i kilkakrotnie nagrodzony w Maynooth widzi, że jednak istnieją na świecie kwestye, o których nie ma pojęcia. Przychodzi sobota, a z nią pierwsza praca w konfesyonale. Jakiś stary, poczciwy irlandzki marynarz przystąpił do kratek; spowiedź nie trwała długo, ale Łukasz przypomniał sobie wszystko, co teologia moralna powiada o penitentach przemilczających swe grzechy, o świętokradzkich spowiedziach i tak się zabrał do starego, że ten skruszony z głębi duszy bił się w piersi i mruczał pod nosem: „muszę być chyba większym grzesznikiem, jak to sobie dotychczas wyobrażałem; takiego kapitulum jeszcze nie słyszałem". Oryginalniejszym był pierwszy występ na ambonie. Łukasz słyszał, że w Anglii popłacają najwięcej kazania w kwestyach spornych, kazania, które raczej przekonywują, aniżeli zapalają; słyszał też coś o odmiennych zapatrywaniach kościoła anglikańskiego na łaskę i zdawało mu się, że tu trzeba szukać wroga we własnym obozie. „Wyciągnął więc swoje stare notatki, przygotował kazanie na piętnaście stron, wyuczył się go dobrze na pamięć i wygłosił je bez błędu z tym delikatnym odcieniem akcentu iryjskiego, który trzymał na uwięzi większość jego słuchaczów, a który dla swej ory-

ginalności zachwycił również mniejszą, lecz bardziej wybraną część towarzystwa. Łukasz był Molinistą i o tem zaraz słuchaczów swoich poinformował. Najpierw zbił Kalwina i Knoxa, a gdy się z nimi załatwił, wyłożył zdziwionym słuchaczom, że pozycye Tomistów i Skotystów są szturmem wzięte, a nad niemi powiewa zwycięzki sztandar Molinistów. Mówił im jeszcze wiele innych rzeczy, które ich zdumienie powiększały. I kiedy zeszedł z ambony, zdawało mu się, że nawrócenie Anglii z tą chwilą dopiero się rozpoczęło". O wrażeniu, wywołanem tem kazaniem, lepiej nie mówić; pewna część słuchaczy sądziła, że Łukasz przemawiał do nich po łacinie, a kiedy w kilka dni wikaryusz generalny zapytał go: „Delmege, masz ksiądz jeszcze więcej takich kazań?", a Łukasz pewien pochwały skwapliwie odpowiedział: „tak jest, Sir, naszkicowałem już całą seryę", zdziwił się nie mało, gdy usłyszał z ust starca: „spal je, jesteś na zupełnie fałszywej drodze". Tak mogła przez usta generalnego wikaryusza przemawiać chyba zazdrość!

To są wszystko rysy wyrwane z fotograficzną wiernością, a ta wierność pojawia się nie tylko w obserwowaniu drobnych szczegółów z życia bohatera, lecz przenika najskrytsze tajniki jego serca i pokazuje się przedewszystkiem w tragicznej grozie tych przejść i walk wewnętrznych, które zaprowadzają Delmege'a na początek tej samej drogi, na którą przed wielu laty wstąpił. Jedna jeszcze okoliczność zasługuje na wyróżnienie. Z bólem serca opuszczał Delmege Irlandyę i długo tęsknił za krajem; z bólem serca opuszczał również Anglię i długo bawiąc w kraju, tęsknił za Anglią, nie czując się szczęśliwym w ojczyźnie. W malowaniu tej przemiany, zaszłej w duszy bohatera, jest Sheehan mistrzem; wszystko do uwidocznienia tej przemiany prowadzi i służy. Obrazy nawet przyrody irlandzkiej za pierwszego pobytu tamże Łukasza chwytają za serce i każą kochać zieloną Irlandyę; obrazy tej samej przyrody za jego powrotu przygnębiają i przygniatają duszę, nie można prawie zrozumieć, jak tu żyć.

I koło Łukasza grupuje się cała galerya oryginalnych typów. Najpierw kanonik Murray, arystokrata poważny, zimny, roztaczający chłód dokoła siebie; mimo to wszystkich sobie zjednywa, choć wielu go nie rozumie. Ma swoje słabostki, ale to słabostki nie szkodliwe, objawiają się raczej w rozmowach, jak w czynach. Na pierwszej wizycie złożonej kanonikowi prosi go Łukasz o pozwolenie na odprawienie prymicyi w domu rodzicielskim. „Niepodobna, zapewniam pana, mój — hm — kochany panie Delmege. Przepis — hm — biskupa

nie pozwala na to. Biskup nieszczęściem — hm — i prawdopodobnie bez zastanowienia — sądzę, że mi wolno tak twierdzić — zastrzegł sobie to pozwolenie. Nie jestem — hm — zupełnie pewny, czy nie jest to — hm — kanonicznem wykroczeniem przeciwko prawom — hm — proboszczów. Ale po co to mamy tutaj — hm — rozbierać. Jesteś jeszcze pan — hm — bardzo młody". Swoją drogą postarał się u biskupa dla Łukasza o pozwolenie na odprawienie trzech Mszy św. za każdym jego pobytem w domu rodzicielskim. Lud trzymał się od kanonika najpierw z daleka, później uwielbiał go, gdyż znalazł w nim jedynego doradcę i potężnego obrońcę. Gdy chodziło o jaką ważną sprawę parafian, wyciągał kanonik z stolika papier listowy z herbem swego rodu: indykiem i dwoma skrzyżowanemi mieczami i dewizą *Sâns tâche*, a wtenczas nie było wypadku, żeby mu czegoś odmówiono. Gdy się zaś warunki zmieniły, i wszystkie jego zabiegi, by parafian od wielkiej klęski ratować, spełzły na niczem, tak sobie wziął do serca ich nieszczęście, że padł rażony apopleksyą.

Już to w malowaniu charakterów Sheehan jest mistrzem; czy przedstawia wysokie towarzystwo angielskie, czy matkę Łukasza tak pełną uszanowania dla jej syna-kapłana, że ciągle upomina córkę, by nie mówiła do brata „Łukaszu", lecz „Ojcze Łukaszu, panienko, ile razy mam ci to przypominać", czy też tylko epizodycznie pojawiające się sylwetki włościan irlandzkich, zawsze pozostaje sobą i nie ma wypadku, by jakiś rys nie był odtworzony z ścisłą psychologiczną dokładnością. Potrafi się on w tym względzie wznieść bardzo wysoko. Wzruszające sceny roztacza przed nami w klasztorze Dobrego Pasterza, w którym za dawne występki czynią zadość sprawiedliwości Bożej pokutnice irlandzkie; dużo nagrzeszyły, ale więcej umiłowały i spokój do ich serc zawitał. A najpiękniejszą z tych wszystkich postaci, to postać siostrzenicy kanonika Barbary Wilson. To dziewczę z wysokiego roku poświęca się, by ratować duszę brata, i ten anioł niewinności przywdziewa na siebie szatę pokutnic, naraża się na tysiączne, bolesne upokorzenia. Mówią dokoła o występkach jej przeszłego życia, o tem, że dla jej pięknej twarzy niejedna dusza dziś gorzko pokutuje, a ona to wszystko cierpliwie i z uległością znosi, aż po kilkunastu latach, w czasie których rodzina jej ślady zgubiła, wychodzi na jaw jej heroizm i odnosi zasłużoną nagrodę.

Z prawdziwie pięknymi, za serce chwytającymi opisami, czy to przyrody, czy życia irlandzkiego, czy też instytucyi kościelnych, jak np. pierwszych spowiedzi Łukasza, lub odprawianych w katedrze

dublińskiej Mszy św., łączy Sheehan zdrowy, niewyczerpany humor i dowcip, szczególniej tam, gdzie przedstawia nam starej daty księży irlandzkich. Materya to dość delikatna i łatwo w niej zbłądzić; Sheehan nigdy nie uchybia i nie idzie za daleko. To takie postacie pierwotne, trochę nie ociosane, ale takie zarazem złote serca, taka gruntowna w nich pobożność, taka poczciwa ich praca, że kochać ich trzeba tak, jak ich kochał lud irlandzki i zawsze do nich powracać.

Doskonałą jest scena, w której trójka takich księży, Ojcowie Marcin, Pat i Tim przygotowują Łukasza do pierwszego jego występu na obiedzie u kanonika. Przystępują do tej sprawy z całem przeświadczeniem o jej ważności.

„Powiedz mi no, zaczął Ojciec Tim... powiedz mi, Łukaszu, potrafisz ty ująć zgrabnie kieliszek za nóżkę?“

„Oczywiście“.

„I wznieść go do góry?“

„Bez wątpienia“.

„Potrafisz się rozkoszować zapachem wina, pić je kropelkę po kropelce i zawołać: ha! to mi winko! Ten *Chateau Yquem*, sir, jest z pewnością siedemdziesięciopięcioletni. O! ja umiem to ocenić i winszuję kanonikowi jego piwnicy“.

„Niestety, tego nie potrafię“, odpowiedział przygnębiony Łukasz...

„Znasz się ty choć trochę na botanice?“, zapytał znowu po pauzie.

„Sądzę, że odróżnię stokrotkę od kaczeńca“, odpowiedział śmiejąc się Łukasz.

„Nie mógłbyś — będziesz mógł, jeżeli tylko zechcesz — tak w środku obiadu naraz się zerwać i w tonie bezgranicznego zdumienia wyjąkać: naprawdę! to jest *Amaranthus Durandi!* Ja zawsze sądziłem, że tylko jeden egzemplarz tej rzadkiej rośliny istnieje w Irlandyi, a mianowicie w oranżeryach księcia Leicester w Carton“.

Łukasz śmiał się i przecząco trząsł głową.

„Brak ci dowcipu, mój chłopcze, i odwagi twej rasy“...

Po dłuższej pauzie zaczął znowu: „słyszałeś ty już coś o pewnem indywiduum, nazwiskiem Botticelli?“

„Nigdy“ odpowiedział śmiejąc się Łukasz.

„No! to twoje wychowanie, mój drogi chłopcze, jest bardzo zaniedbane. Cóżeś ty więc ostatnich sześć, ośm lat robił, żeś nic o Botticellim nie słyszał?

„Starałem się bez niego obejść“, odpowiedział Łukasz, „Czemżesz on właściwie był? kucharzem?“

„Tu już nic nie pomoże, mówił z rezygnacyą Ojciec Tim, kiwając głową. On się tam strasznie zblamuje i nam wszystkim hańbę przyniesie“.

I teraz następuje lekcya szczegółowa, jak trzymać ręce, jak jeść łyżką, nie dziękować służbie, ani delikatnie nie prosić, bo to znakiem nizkiego wychowania, nie kosztować wszystkich potraw, lecz na jedno, drugie danie spoglądnąć z pewną pogardą i odpowiedzieć kategorycznie „nie“ — aż znowu wraca pierwsze pytanie:

„Nie mógłbyś jednak przy tym kieliszku wina — wiesz! tak przymrużyć jedno oko i wypowiedzieć te słowa, których cię uczyłem?“...

Takich ustępów w książce dosyć i one też dziełu, skądinąd wcale poważnemu, nadają dużo wdzięku i powabu.

Wiele dodatnich i oryginalnych stron pominęliśmy w tem sprawozdaniu, lecz już z tych kilku wyżej przytoczonych uwag widać, że rozgłos powieści jest uzasadniony, i że zasługuje ona istotnie na bliższe zapoznanie się z nią.

Aby jednak czytelnika przypadkiem w błąd nie wprowadzić, zaznaczamy, że tłumaczenie niemieckie, aczkolwiek skądinąd bardzo doskonałe, nie jest dokładne. Dużo prawdziwie pięknych i dla książki charakterystycznych ustępów tłumacz z wielką stratą powieści pooopuszczał.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

**La Prusse et la Révolution de 1848.** Par *Paul Matter*. Paris. Felix Alcan. **1903.** Str. 304.

Wielka rewolucya francuska podminowała stanowczo podstawy despotycznego monarchizmu, jaki na gruzach jedności kościelnej przy pomocy humanizmu pod koniec wieków średnich rozwijać się począł, aż w Ludwiku XIV doszedł do swego zenitu i ku upadkowi się pochylił. We Francyi rewolucya z 1789 nie tylko cel swój osiągnęła, ale ponieważ odbyła się drogą gwałtownego, rozumem żadnym nie kierowanego przewrotu, więc też osłabiła raz na zawsze powagę władzy, rzucając ten kraj na pastwę anarchii, z której do dziś dnia otrząść się nie może. W innych europejskich państwach proces ten o 50 lat się opóźnił. Reakcya, wywołana wojnami Napoleona, na kongresie wiedeńskim stanowczo odzyskała przewagę, i korzystając z niej, mimo

danych obietnic, stłumiła na razie wszelkie zachcianki obywatelskich swobód, za jakiemi powszechnie w Niemczech szczególnie wzdychano. Nie wytępiła ich jednak. Niezadowolenie ludów środkowej Europy wzrastało coraz więcej, aż żywiołowym sposobem wybuchło w rewolucy w 1848 r. Ta zadała ostatni cios monarchii absolutnej. Wprawdzie jeszcze w Austryi święciła ona Pyrrhusowe zwycięstwo, ale nie na długo. Nie przeszło lat 15, a z nielicznymi wyjątkami wszędzie w Europie zaświeciła era swobód konstytucyjnych. Czy wszędzie jednak z równym pożytkiem pojedynczych krajów? To znowu nie; dlatego, że w różnych warunkach dokonywało się przejście z jednego systemu w drugi i tam tylko utworzył się rząd silny przy reprezentacyi ludu, gdzie monarcha absolutny nie z p r z y m u s u, ale zupełnie dobrowolnie podzielił się władzą z podwładnymi w chwili takiej, że i organizm państwa przez nowy czynnik decydujący się odświeżył i powaga władzy nadwerężoną nie została.

W tym kierunku najwięcej zmysłu politycznego okazały Prusy. Kiedy prędkie i gruntowne stłumienie buntu zdawało się zapowiadać reakcyę, wtedy Fryderyk Wilhelm IV z własnej inicyatywy nadał ludom swoim taką konstytucyę, jakiej oczekiwano. Stąd nie tylko parlamentaryzm właśnie tam najpoważniej się rozwinął, ale i władza nic na swej powadze nie ucierpiała. Przyczem ileż to nas nie uczy ten fakt, że jak długo niezdecydowany i nastraszony król pruski wahał się zarówno przed wprowadzeniem stanowczej reformy jak i przed stanowczą represyą ruchu, może nigdzie anarchia tak zuchwale sobie nie poczynała, jak właśnie w Berlinie. Pomyślmy, że 22 lata przed Sedanem tłum wzburzony z a ż ą d a ł od króla, aby wyszedłszy na balkon uczcił w ten sposób ciała poległych w walce z wojskiem królewskiem rewolucyonistów, a król nie tylko żądanie to spełnił, ale na dalsze po prostu rozkazy zdjął kapelusz i nawet zszedł na ulicę, pozwalając robić ze sobą, co tylko chciano (148). Kiedy w dalszym ciągu zażądano, aby za grudniową ruchawkę skazanych Polaków ułaskawił, znowu Fryderyk Wilhelm IV wydał rozkaz, aby natychmiast wypuszczono ich z więzienia w Moabicie; a kiedy Mierosławski na czele uwolnionych powstańców szedł przed pałac królewski, aby podziękować za uwolnienie, król wyszedł na balkon i na znak radości powiewał swym kapeluszem. O! *tempora mutantur!* Zapomniano nad Sprewą, że Polak i tam także był synonimem wolności, swobody i godności świadomego swych praw człowieka! Mniejsza o to. Dodajmy, że niezłomny i z nowym kursem nie chcący się pogodzić książę pruski, ten tak sławiony cesarz Wilhelm I,

musiał ze swego kraju uciekać do Anglii, aby znienawidzoną swą osobistością nie rozdrażniać umysłów.

To akt pierwszy, akt smutnej kapitulacyi rządu i władzy, poprzedzający zazwyczaj akt końcowy całkowitej anarchii i wyuzdania społecznego albo tej reakcyi krańcowej i mściwego pastwienia się nad ostatecznie zwyciężonym ruchem.

Otóż zmysł polityczny pruski umiał wybrnąć z trudnego tego położenia i wybrnął po mistrzowsku. Przedewszystkiem trzeba było zachować powagę władzy. Zaledwie przekonano o tem króla, a już żelazna ręka generała Wrangla dała poczuć Berlińczykom, że z królem żartować nie można i nic wymusić się nie da. Dopiero jak nastał porządek i nikt nie mógł wątpić, że Fryderyk Wilhelm jest panem sytuacyi, wtedy ogłoszono nadanie przezeń konstytucyi takiej, jakiej sobie naród życzył. I tak się stało, że procesów historyczny odbył się prawidłowo dając swobodę a nie nadwerężając powagi i siły władzy.

Pan Matter z dziwną objektywnością traktuje swój przedmiot i daje nam bardzo ciekawy, jasny i pouczający obraz tych ciężkich dla państwa pruskiego czasów. Wtedy ani cesarz Wilhelm ani Bismark nie byli jeszcze współzawodnikami Francyi ani nawet Austryi, bo mimo kuszących insynuacyi nie chcieli naruszyć tradycyjnych praw domu austryackiego. Wtedy ich działalność ograniczała się na ratowaniu od zguby własnego państwa i tu im właśnie z autorem przyznać musimy wielkie zasługi i wielki zmysł polityczny. Szczególnie postać księcia pruskiego jak mur stawiającego czoło rewolucyi, gdy wszyscy głowę tracą, nie tylko imponuje, ale jest sympatyczną. Tu przekonać się można niemal namacalnie o tem, że w zjednoczeniu Niemiec zasługa Wilhelma I niedosyć jest uznaną wtedy, gdy przynajmniej na równi przypisywać mu ją trzeba i jego żelaznemu kanclerzowi.

*Ks. Aleksander Mohl.*

# ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

**Obowiązek wybierania.** *Dr. Zygmunt Gargas.* Lwów 1903.

Zasadniczą tezą wymienionej na wstępie broszury jest ustanowienie przymusu spełniania obowiązków obywatelskich. Państwo dając obywatelowi prawo wybierania reprezentantów do ciał samorządnych, winno z drugiej strony prawu temu przeciwstawić obowiązek uczestni-

czenia przy wyborach i wykonywania tego prawa wyborczego. Naszem zdaniem prawo w tym wypadku nie koniecznie musi się łączyć z obowiązkiem tak pojętym, by państwo mogło środkami przymusowymi wyegzekwować jego wykonanie. Bez kwestyi na ogół wzięcie udziału w aktach wyborczych jest obowiązkiem moralnym. Ale mogą być wypadki, w których obowiązek ten nie może sięgać tak daleko, by jednostkę krępował bezwzględnie, nakazując jej *ex officio* brać udział w życiu politycznem. Nie leży to w interesie państwa, dla którego interesów obojętne, czy jeden lub drugi z osobników władzy jego poddanych prawa swe konstytucyą mu udzielone — wykonywa. Państwu wystarczy, jeśli organizacya, jaką sobie nadała, istnieje i funkcyonuje.

Abstynencya pewnej części obywateli, nie wpłynie jeszcze ujemnie na działalność organizmu państwowego. Jeśliby wykonywanie praw wyborczych było w interesie danego obywatela, to onby prawdopodobnie z prawa tego nie zrezygnował: jeśli czyni to jednak dobrowolnie, jest to jego własną szkodą i nie jest rzeczą państwa czuwać w tym względzie nad jego czynnościami. A więc zapytajmy, *cui bono* ma służyć przymus wybierania? Najprawdopodobniej interesowi partyi politycznych, którym zależy na ilości stronników. Jeśli zachodzi ten wypadek, to jest rzeczą partyi, a nie państwa, utrzymywać solidarność i karność w łonie danego stronnictwa. Zresztą, wyznawać pewne przekonania polityczne, należeć do pewnej partyi jest prawem, a nie obowiązkiem; każdy należąc nawet już do jakiegoś stronnictwa, może zeń każdej chwili wystąpić. Zastosowanie tu jakiegoś przymusu ze strony państwa zupełnie jest nie tylko nie uzasadnione, ale wprost narusza bez potrzeby jedno z najcenniejszych dóbr: wolność.

*Dr. A. B.*

**Teraźniejszość, a przeszłość Austryi.** Przyczynek do historyi obecnego jej przesilenia. Napisał *Roman Buczyński.* Kraków 1903.

Ostatnich kilka lat, to czasy ciężkiej niemocy życia konstytucyjnego w Austryi. Nad uzdrowieniem tej choroby, sanacyą stosunków politycznych nie od dziś myślą najlepsze głowy monarchii. Recept namnożyło się dosyć, wykonania jednych próbowano, jak dotąd, bez skutku, drugie pozostały tylko na papierze, nie zamieniły się w czyn.

Do zakresu prac omawiających dzisiejsze położenie Austryi i podających lekarstwo na jej niemoc zaliczyć można i pracę niniejszą. Autor zaczyna od wywodu historycznego, genezy i dyagnozy choroby. Przechodząc ważniejsze wypadki z dziejów Austryi, wiele z nich swoją drogą wplatając zupełnie niepotrzebnie dla celów swej pracy, dochodzi do przekonania, że rządy austryackie popełniły błąd nie do darowania znosząc dyplom październikowy uwzględniający odrębności poszczególnych ludów i krajów, wchodzących w skład Austryi, a wprowadzając dyplom lutowy z r. 1861 i konstytucyę grudniową z r. 1867. Ale *factum est.* Cóż tedy dalej pozostaje robić pragnącym dalszego prawidłowego istnienia Austryi. Autor odpowiada: należy faktycznie pochować konstytucyę grudniową. Dwie drogi wskazuje autor w tym celu. Albo rządy tymczasowe z pomocą § 14, sposób praktykowany już od roku 1897, niebezpieczny na dłuższą metę,

albo też sposób radykalny: zawieszenie obecnej konstytucyi i zwołanie konstytuanty celem utworzenia nowej na zasadach dyplomu październikowego. Ta ostatnia zasada uwzględniająca narodowości, rozszerzająca autonomię poszczególnych krajów, mogłaby nas zadowolnić. Ale od postawienia zasady do jej wykonania to przepaść daleka. Czyby wobec zaognionej kwestyi narodowości, szowinizmu poszczególnych grup, wzmożenia się wogóle żywiołów radykalnych konstytuanta proponowana zdobyła się na uchwalenie i wprowadzenie w czyn konstytucyi owianej zasadami słuszności, godzącej sprawiedliwie sprzeczne interesy konglomeratu ludów wchodzących w skład monarchii? Naszem zdaniem rzecz to bądź co bądź wątpliwa. W obecnem przesileniu chodzi nie tyle o wynalezienie zasad, bo te wszyscy mniej więcej znają i rozumieją, lecz o trafne, godzące strony przeciwne ich przeprowadzenie. To rozwiązać, to zadanie obecne ludzi chętnych, a mających na oku dobro państwa. To też praca autora, krytykująca system dotychczasowy i stawiająca tylko tezy ogólne, nie może liczyć na swą skuteczność, spotka ją los, jak wiele jej poprzedniczek: w nauce wzmianka w rejestrze piśmiennictwa politycznego, a w praktyce przejście po nad jej wynikami do porządku dziennego.

*Dr. A. B.*

**O niemoralności wśród młodzieży nieletniej i o jej przyczynach.** *Dr. Benedykt Dybowski.* (Artykuł opracowany na tle odczytu, mianego w Stryju). Lwów 1903.

Jako objawy zepsucia wśród młodego pokolenia podaje autor rozpustę pijaństwo, złodziejstwo, fanatyzm, teatromanię, karciarstwo, łobuzeryę i gogostwo. Przyczynami wytworzenia tego zepsucia jest przedewszystkiem zły przykład starszych i brak staranności o wychowanie młodzieży. To przyczynia się do przedwczesnego rozbudzenia złych popędów, przyzwyczajenia do używania trunków i tytoniu, rozbudzenia się w duszy dziecięcej uczucia fanatyzmu, złości, nienawiści, pielęgnowania egoizmu, a usuwania z przed wyobraźni młodzieńczej ideałów altruizmu. Tezy swoje uzasadnia autor wywodami naukowymi i przykładami życia praktycznego. Kończy broszurkę swą kilku aforyzmami, streszczającymi jego zasadnicze wyniki:

1) „Stańmy się sami moralnymi, a młodzież będzie moralną".

2) „Trzeźwość prowadzi do cnoty, ta ostatnia do szczęścia społeczeństwa".

3) „Tylko w szczęściu bliźnich swoich widzieć powinien cnotliwy szczęście własne".

Zasadniczym błędem broszury jest, że nie tylko nie uwzględnia ważnego w tej sprawie wpływu religii, ale staje na stanowisku religii wprost nieprzychylnem.

*B.*

**Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi.** *Karol Józef Fischer,* biskup tytul. mal. sufragan przemyski. — (Odbitka z „Echa przemyskiego"). Przemyśl 1903.

50-letni jubileusz ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Panny Maryi poruszył cały świat katolicki. Obok uroczystości kościelnych wprawił on w ruch naukę i prasę katolicką, która czy to w obszerniejszych dziełach, czy skromnych artykułach, historycznie lub dogmatycznie omawia

znaczenie i istotę tego dogmatu. „Echo przemyskie“ pomieściło też artykuł o Niepokalanem Poczęciu, którego odbitkę mamy właśnie przed sobą. Dostojny autor kreśli w nim w sposób przystępny genezę ogłoszenia dogmatu, dalej program uroczystości jubileuszowej ułożonej przez komisyę wybraną *ad hoc:* przedstawia wreszcie, jak Polska czciła Pannę Maryę Niepokalanie Poczętą, szczególnie w szeregu pieśni to opiewających.

Rzecz ze wszech miar godna najszerszego rozpowszechnienia.

*L.*

**Konferencye.** *O. Ravignan T. J.* Przekład z francuskiego. Kraków 1903.

Z pracy powyższej zdawał *Przegląd Powszechny* sprawę w swoim czasie po jej ukazaniu się w oryginale francuskim Skoro obecnie spotykamy ją wydaną w szacie polskiej, nie widzimy potrzeby omawiać powtórnie jej wysokich zalet; przypominamy ją tylko i polecamy pamięci naszych czytelników.

*K.*

С. Л. Пташицкій. Новѣйшіе труды по исторіи польской литературы, (Бигелейзенъ, Хмѣлёвскій и Тарновскій), С.-Петербургъ. 1902. Стр. 19.

W wymienionej w nagłówku niniejszego sprawozdania broszurze, będącej osobnem odbiciem z wydawanych przez petersburską Akademię Umiejętności „Izwiestij otdielenija russkawo jazyka i słowiesnosti“ (t. VII), prof. St. Ptaszycki nie zajmuje się krytycznym rozbiorem trzech obszernych literatur polskich, opracowanych przez H. Biegeleisena, P. Chmielowskiego i hr. St. Tarnowskiego, wykazaniem lub sprostowaniem błędów, usterek lub opuszczeń, ani podnoszeniem zalet, lecz zaznajamia z możliwą dokładnością i wiernością przedewszystkiem rosyjskiego czytelnika, z ogólnym charakterem tych literatur, z ich zawartością, z rozkładem materyału i z poglądami ich autorów na ogólny bieg dziejów naszego piśmiennictwa. O „Literaturze“ A. Brücknera nic nie mówi, albowiem ta ostatnia ukazała się z druku już po napisaniu wymienionego referatu.

O „Illustrowanych Dziejach Literatury Polskiej“ d-ra Henryka Biegeleisena (t. I. Literatura średniowieczna. Okres Piastowski; t. II. Okres Jagielloński; t. III. Odrodzenie. Okres Zygmuntowski) wyraża się autor, że stanowią one „zbiór artykułów w różnych kwestyach mogących mieć jakikolwiekbądź związek z historyą kultury w Polsce, począwszy od czasów przedhistorycznych. Artykuły te, ułożone są częstokroć z prac autorów odmiennych poglądów i kierunków; wszystkie one są bardzo ciekawe i książka p. Biegeleisena służyłaby za bardzo pożyteczne wypisy, jeśliby autor był wskazał w odpowiednich miejscach imiona autorów, z których prac poczynił wyciągi“.

O „Historyi Literatury Polskiej“ d-ra Piotra Chmielowskiego (tom. 6) pisze prof. Ptaszycki: „To już nie szereg artykułów, niczem ze sobą nie związanych, a jednolity, pragmatyczny obraz rozwoju myśli polskiej... Chmielowski wyśmienicie zna wszystkie badania dotyczące się literatury polskiej, on je przestudyował, przetrawił, zaznajomił się z samymi zabytkami piśmiennictwa, i jego książka jest ostatecznym rezultatem jego poglądów na to lub owo zjawisko literackie“. Zaznajamia też autor czytelnika dokładnie z podziałem

Chmielowskiego Literatury polskiej na epoki, okresy i doby.

Wreszcie o „Historyi Literatury Polskiej“ prof. Stanisława Tarnowskiego (tom. 5) pisze, że stanowi ona „zupełne przeciwieństwo do dwóch wyżej omówionych Literatur“. Prof. Tarnowski „żadnych podziałów na epoki nie wprowadził do swej książki, lecz wykłada historyę literatury w ściśle chronologicznym porządku pojawiania się utworów literackich, doszukując się tylko między niemi genetycznego związku. Przytem utwory tego samego autora rozpatruje on w różnych miejscach swej pracy“...

Charakterystyki tych Literatur — trafne i skreślone umiejętnie; autor, mimo, iż pisze o każdej z nich z osobna, dość często porównuje je między sobą, przez co referat zyskał na plastyczności i rzecz całą czyta się z przyjemnością i korzyścią.

*H. U.*

**Slovanská legenda o sv. Václavu**, podle rukopisu charvátsko-hlaholského a rumjancevského vydal, překladem a poznámkami, jakož i úvodem opatřil *Dr. František Pastrnek*, c. kr. profesor slovanské filologie při české universitě. V. Praze. 1903. Nákladem královské české společnosti nauk. (8-ka, str. 88).

Znany wydawca i komentator pomników starosłowiańskiego języka, obdarzył nas, jak rok rocznie, nowym, cennym przyczynkiem, wydając krytycznie tekst słowiańskiej legendy o św. Wacławie. Bez wątpienia pobudką do jej wydania był fakt coraz to większego zainteresowania się tym zabytkiem, jakie w ostatnich latach objawiło się u zawodowych slawistów, jak nie mniej u czeskich historyków. W ostatnich bowiem latach tyczyły się tej legendy prace: prof. J. Kalouska *Obrana knížete Václava svatého* (Praga 1901), znakomita rozprawa J. Pekarza *Nejstarší kronika česka* (1903), prof. V. Jagića *Legenda o św. Wiaczesławie*, (Warszawa 1902), gdzie wydany został zupełny tekst legendy według wersyi chorwacko-głagolskiej, brewiarza lublańskiego, tegoż autora *Analecta romana* z nowym głagolskim tekstem z brewiarza rzymskiego i dr-a V. Vondraka rozprawa o tekstcie pierwszym Jagićiowym. Prof. Pastrnek otrzymał odmianę legendy o św. Wacławie, zawartą w chorwacko-głagolskim brewiarzu z miasta Novi w rękopisie z końca XV wieku. A że tekst ten nowy różnił się w wielu miejscach od innych, przeto prof. Pastrnek postanowił wydać go zarówno, jak też tekst rękopisu Rumiancewskiego. Wydanie samo zostało poprzedzone obszernym wstępem, który objaśnia dokładnie historyę tego zabytku słowiańskiego i rozpatruje krytycznie dotychczasowe o nim uwagi tych wszystkich, którzy się nim zajmowali, a więc: Wostokowa, Palackyego, Szafarzyka, O. Brodjańskiego, M. Büdingera, Miklosicha, Srozniewskiego, Vondraka, Sobolewskiego, aż do najnowszych powyżej już wskazanych. Dopiero po takich gruntownych uwagach następuje tekst brewiarza z Novi wraz z odmiankami tekstów: lublańskiego, rzymskiego i moskiewskiego (ozdobiony podobiznami dwu kart brewiarza), a w dalszym ciągu zupełny tekst legendy t. z. Vostokowskiej. Dokładny rejestr nazwisk autorów kończy całą pracę. *T. P.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

POLSKA PIELGRZYMKA W RZYMIE.

Tegoroczna pielgrzymka polska udała się, jak rzadko która i zostawiła najlepsze wspomnienia. Uczestnicy wyrażali się z wdzięcznością o organizacyi, która nie wywołała najmniejszego rozdźwięku a umiała zadosyćuczynić najdrobniejszym nawet potrzebom codziennego życia i przewidzieć wszystkie ewentualne trudności.

W pierwszych czasach, kiedy zaczęto mówić o tej pielgrzymce, wyrażano dość głośno obawę, że wyższe warstwy społeczeństwa nie wezmą w niej udziału, że złożą się na nią przeważnie księża i sfery pracujące, przez co pielgrzymka straci na swem ogólniejszem znaczeniu i przyjmie raczej charakter jakiejś pobożnej procesyi, a nie religijnej manifestacyi polskiej — te wszystkie powątpiewające przewidywania okazały się szczęściem nieuzasadnione. U stóp Ojca św. w Rzymie stanęła reprezentacya narodu; złączeni węzłami jednej wiary stanęli tam ci, którzy przodują narodowi na polu nauki i pracy obywatelskiej, i ci, którzy cichem, mozolnem wypełnianiem codziennych, ciężkich obowiązków dla dobra wspólnej matki-kraju się przyczyniają. Jak tyle razy dotąd, ujawniło się i teraz, że *Polonia semper fidelis,* że w niej wiara nie chowa się tylko pod strzechę, ale

swą ożywczą moc na cały kraj rozszerza. To też nie zadziwi nikogo serdeczność i ojcowskie ciepło, z jakiem w Rzymie Polaków przyjęto.

Prawdą jest, że od czasów Piusa IX Polaków w Rzymie zawsze życzliwie i chętnie widziano, nigdy jednak nie czuli się tam tak w domu, jak obecnie. Prywatne audyencye, których Ojciec św. tak licznie polskim pielgrzymom udzielał, łzy, które na posłuchaniach w oczach papieża się pojawiały, pochwały udzielane za polską pobożność, która publiczność włoską budowała i wprowadzała w zdumienie a nadewszystko te szczerem współczuciem tchnące słowa: *Poloni sunt gens pauperrima et infelicissima,* mówiły głośno o sympatyi, jaką naród Polski w Rzymie się cieszy.

Główną jednak wartość i ważność nadaje pielgrzymce dopiero alokucya polska i odpowiedź papieska na nią. Po raz, zdaje się, pierwszy sformułowali Polacy tak jasno i szczerze, a zarazem publicznie i uroczyście swe żale i bóle i wszystko, co im dolega. Ów ustęp przemowy: „Oto nasza św. wiara katolicka, wiara przodków naszych wystawiona jest na gwałtowne zamachy... gdzie niegdyś stały świątynie, ojców pobożnością zbudowane i zdobione, teraz innowiercze odprawiają się obrzędy. Nadto gwałtem i niesprawiedliwemi ustawami wydziedziczają nas z własnej gleby, a nawet język, drogą po przodkach spuściznę, wyrwać nam chce nienawiść nieprzyjaciół“ — ów ustęp zawierający w sobie streszczenie naszych cierpień i pragnień, musiał wywrzeć głębokie wrażenie — i wywarł je. Świadczy o tem ta obszerna odpowiedź Ojca św., odpowiedź w przeciwstawieniu do odpowiedzi danych innym pielgrzymkom, długa i szczegółowa; świadczy o tem przedewszystkiem i to, że o ile nam wiadomo, po raz pierwszy w Watykanie padły słowa o „Królowej Korony Polskiej“, to same słowa, które przed dwustu przeszło laty również po raz pierwszy na polskiej ziemi przedstawiciel papieża, nuncyusz, wypowiedział; świadczą wreszcie końcowe ustępy przemowy papieskiej, w których Ojciec św. uznaje nasze skargi, zachęca, by mimo wszelkich przeciwności w obronie praw Kościoła i w wykonywaniu dzieł życia chrze-

ścijańskiego, nie upadać na duchu, pomnąc na przeszłość, owszem tem bardziej pobudzać się do zbawiennej czujności i do skutecznej pracy i iść dalej wytrwale za sprawiedliwością, by tym sposobem cały naród polski za przodków przykładem znajdował się stale w hufcach i szeregach wojującego Kościoła. Ostatnia obietnica Ojca św.: „Co się Nas tyczy, synowie ukochani, to sprawy katolickiej u was strzedz i bronić nigdy nie przestaniemy a was wszystkich gorąco Bogu polecamy, aby was Wszechmocny pomocą swoją podtrzymywał a wszystkie czyny wasze kierował na dobro i pożytek religii, na duchowe wasze zdrowie i zbawienie, na całego narodu polskiego pomyślność“ — ta ostatnia obietnica zadzierzgnęła silniej węzły między Stolicą Apostolską i narodem polskim a pamięć tych słów długo w sercach polskich żyć będzie.

PROTEST WATYKANU PRZECIWKO FRANCYI

W stosunkach między Francyą a papieżem nadchodzi, zdaje się, chwila przełomowa, a przyczyniła się do tego podróż prezydenta Loubeta do Rzymu. Już Pius IX postanowił nie przyjmować w Watykanie żadnego panującego katolickiego, któryby odwiedził Rzym jako gość króla włoskiego. Tej regule pozostał wiernym Leon XIII, nie odstąpił od niej i Pius X. Papieże opierali się na zasadzie, że monarcha katolicki, odwiedzając króla włoskiego w jego stolicy, uznałby tem samem dom sabaudzki za prawowity i zabór państwa kościelnego za legalny, a papież sam, przyjmując takiego monarchę, zgodziłby się z aktualnym stanem rzeczy; z nim jednak papieże zgodzić się nie mogą.

Dotychczas katoliccy panujący szanowali te słuszne, na sprawiedliwości oparte, zapatrywania papieskie; pierwszym, który niemi pogardził, jest prezydent Francyi. Ojciec św. miał się wyrazić, że osobiście niby nie miał przeciwko przyjęciu Loubeta w Watykanie, nie jest jednak w stanie tego uczynić, gdyż mogłoby to komu nasunąć myśl, że wchodzi na nowe, odmienne drogi a zanadto jest blizki świetnego pontyfikatu Leona XIII, by mógł wprowadzić w życie sprzeczne z jego poglądami postępowanie. Było więc całkiem zrozumiałem, że o przyjęciu Lou-

beta w Watykanie nie mogło być mowy; równocześnie nie można też było zaprzeczyć, że wychodząc ze stanowiska zapatrywań na dworze papieskim panujących, podróż Loubeta do Rzymu przyjęła w obecnych warunkach wprost charakter obrazy papieża i to siłą rzeczy samej, choć może nie było tego zamiaru. Tak ją też w Rzymie pojmowano i to spowodowało uroczysty protest papieża przeciwko tej podróży, protest wysłany do Francyi i do panujących, zostających w stosunkach dyplomatycznych ze Stolicą św. Protest jest tem znamienniejszym, jeżeli prawdziwem jest twierdzenie brukselskiej *Indépendence Belge*, że aczkolwiek zainicyowany w Watykanie, doszedł on dopiero do skutku za przyczyną Austryi a pośrednio i Prus. Co do Austryi nie mamy poza twierdzeniem *Indépendence Belge* żadnych danych; wpływ wywarty pośrednio w tym kierunku ze strony Prus nie wydaje się zbyt nieprawdopodobnym, szczególniej jeżeli uwzględnimy dziwne zachowywanie się cesarza Wilhelma we Włoszech w czasie pobytu Loubeta w Rzymie, zachowywanie, które kazało objawiać swą sympatyę dla Watykanu w chwili, gdy Francya okazała się tak przyjazną dla wrogów papieża; Niemcy też na zaostrzeniu stosunków między Watykanem a Paryżem najwięcej zyskać mogą.

Że protest Piusa X wywołał we Francyi niemiłe wrażenie, to nikogo zdziwić nie może a twierdzenia, że Francya uważa protest za niebyły, nikt chyba na seryo nie bierze. Żeby jakkolwiek wyjść z tej nieprzyjemnej sprawy, uciekniętо się do grubiaństwa — Francya nie przyjęła protestu[1] a dzienniki rządowe zaczęły walczyć osobistemi insynuacyami i podejrzeniami, obrzucając równocześnie obelgami Ojca św. Nie można jednak powiedzieć, że ten sposób postępowania rządu francuskiego był szczęśliwem wywikłaniem się z całej tej dla Francyi niekoniecznie przyjemnej sprawy; zwykle bowiem, zdaniem znawców, nie przyjmuje się do wiadomości jakiegoś dokumentu dyplomatycznego, gdy słuszności zawartych w nim twierdzeń zakwe-

[1] Dziwnem wydaje się twierdzenie *Osservatore Romano* z 16 maja, który, jak donosi *Kölnische Volkszeitung* w numerze 406, przeczy oficyalnie tej wiadomości.

styonować nie można, gdy innemi słowy widzi się, że się zbłądziło. Nieprzyjęcie nie jest jednak rozwiązaniem i równa się w powyższym wypadku zupełnemu prawie zerwaniu stosunków. Stronnictwa rządowe pochwaliły, rozumie się, ten krok rządu, choć zerwania stosunków nie wszyscy pragną, gdyż na zerwaniu Kościół z pewnością nie najgorzejby wyszedł. Coraz częściej odzywają się dzisiaj głosy we Francyi, że przyczyny wszelkich zaburzeń trzeba szukać w konkordacie, nie jako takim, ale w tym, który istotnie we Francyi istnieje. Jak na razie korzyści z konkordatu czerpie pełnemi rękami rząd; on go łamie na każdym kroku, a z drugiej strony ma przez konkordat w swym ręku biskupów i cały kler, hamuje i ubezwładnia ich działalność. Te poglądy rozszerzają się dzisiaj nawet w wysokich sferach kościelnych a ich wyrazem są słowa zmarłego biskupa z Annecy, msgr. Isoarda, który jaskrawie namalował wszystkie szkody z aktualnego konkordatu francuskiego dla Kościoła wypływające. Możliwem więc, że do zupełnego zerwania prędzej czy później przyjdzie. Pierwszą bowiem odpowiedzią na protest papieski, jeżeli można wierzyć zapewnieniom paryskiego *Journal*, jest postanowienie kancelaryi legii honorowej, że odtąd ordery nadawane przez papieża, nie będą we Francyi uznane. Zapisywanie orderów i uznanie ich przysługuje we Francyi kancelaryi legii honorowej. Zdaniem kancelaryi są ordery nadane przez papieża nieważne, gdyż tytuły i ordery mogą być nadawane jedynie przez panujących, jakim od r. 1870 papież już nie jest. Tak więc i pod tym względem jest Francya pierwszem państwem katolickiem, które odmawia uznania odznaczeniom przez Stolicę Apostolską nadanym i zaprzecza papieżowi jego powagi monarszej.

Gdyby to zależało tylko od Combesa i idącej za nim na ślepo partyi, doprowadzonoby pewnie bezzwłocznie do zupełnego zerwania stosunków; tak przynajmniej można sądzić z tymczasowego odwołania ambasadora francuskiego przy Watykanie. Ale i Combes liczyć się musi z tem, że takie stawianie kwestyi na ostrzu miecza, otworzyłoby prawdopodobnie do reszty oczy i tak już niezadowolonym z jego rządów elementom. Przyjęta

żywymi oklaskami mowa deputowanego Doumera, byłego gubernatora Tonkinu, republikanina z przekonania, twierdząca, że Combes wdawszy się w walkę z Kościołem, rozsiał ziarno niezgody we Francyi, że dopuszcza się samowoli i brutalnych gwałtów, jest oznaką dość znamienną.

W całej tej, istotnie bolesnej sprawie, zadziwiło nas stanowisko, jakie zajął jeden z naszych dzienników, *Nowa Reforma* w numerze 111. Pomijam już, choć to dość ciekawie wygląda, że *Reforma*, prawdopodobnie bezwiednie i w najlepszej wierze, każdą ważniejszą sprawę łączy z Jezuitami. Przed kilku miesiącami zrobiła kardynała Steinhubera, podpisującego dekret na Loisy'ego, generałem Jezuitów, przedtem jeszcze doniosła o agitacyi Jezuitów, zwróconej przeciwko wyborowi na papieża niemiłych sobie kardynałów, dziś znowu dowiadujemy się ku naszemu zdumieniu, że sekretarzem stanu jest kardynał Merry del Val, „młody Jezuita hiszpański". Ale mniejsza o to, choć poważny dziennik powinien mieć lepsze i dokładniejsze informacye. Nie rozumiemy jednak, czemu *Reforma* tak się gorszy tym protestem papieża. Nikt przecież nie może zaprzeczyć, że zabierając państwo kościelne dopuszczono się na papieżu gwałtu, że więc papież ma wszelkie prawo do tego państwa, skąd tedy ta dwojaka miara w ocenianiu tej samej czynności? Wszak i my często protestujemy, choć dobrze wiemy, że bezpośredniego celu protestu protestem naszym nie osiągniemy, choć może nie raz jeden byłoby roztropniej milczeć, choć nawet nasz protest wprost przeciwny wywołuje skutek; mimo to protesty takie uznajemy i pochwalamy, gdyż nie chodzi nam o osiągnięcie bezpośredniego celu protestu, ale o zamanifestowanie przed światem naszych słusznych praw. Ma to być niedozwolonem tylko papieżowi?

ORGANIZACYA W HOLANDYI.

Dziwny tymczasem widok przedstawia nam akcya katolików holenderskich, tem dziwniejszy, gdy zważymy bezczynność i niezaradność katolików francuskich. Na katolickim kongresie fryzyjskim zwrócił wódz katolików w Holandyi, dr. Aalberse, uwagę na to, że w tej bezczynnośc francuskiej leży odstraszający przykład dla innych narodów·

Katolicy francuscy umieli i umieją tylko protestować, z tym ich protestem nikt się jednak nie liczy. Byłoby więc lepiej gdyby trochę mniej głośno protestowali a natomiast w skruszeniu serca wyrzekli swoje *Mea culpa* i zabrali się do praktycznej polityki. Jak tę praktyczną politykę w Holandyi rozumieją, pokazuje nam świeżo zawiązana tak zwana „Katolicka akcya socyalna", obejmująca swą organizacyą całą Holandyę. Powstanie tego związku zawdzięczać należy w pierwszej linii d-rowi Aalberse. Od dawna zajmował się on tą sprawą, studyował podobne związki w Niemczech i w swym organie *Katholiek Social Weekblad* przygotowywał rolę pod nowe ziarno. Według statutów nowego związku ukonstytuowano w każdej dyecezyi komitet dyecezalny, a w ważniejszych gminach i parafiach nadto komitety lokalne dla katolickiej akcyi socyalnej. Wszędzie, ile możności, będą zakładane biblioteki ludowe, składające się z dzieł omawiających kwestye religijne, moralne i socyalne; równocześnie mają się drukować ulotne, przystępnie napisane broszury po cenie dwóch centów a wybitniejsi mowcy będą zaznajamiać szerszy ogół z bieżącemi kwestyami socyalno-politycznemi. By ten potrójny cel łatwiej osiągnąć, wybiorą sekretarze dyecezalnych komitetów wraz z zarządem sekretarza generalnego, którego staraniem będzie powyższe trzy punkta wprowadzić w życie. Wkładka pojedynczych członków wynosi rocznie pięć centów.

Ponieważ jednak Holandya jest rozdzielona na pięć samodzielnych dyecezyi, rozdzieli się stowarzyszenie na pięć również samodzielnych grup dyecezalnych; tak sobie życzył episkopat. Nie wyklucza to wprawdzie utworzenia jednej wielkiej grupy centralnej pod zarządem generalnego przewodniczącego i wspólnej akcyi w naprzód określonych sprawach, może ta okoliczność jednak osłabić wpływ związku.

Świeżo zawiązane stowarzyszenie nie dąży bynajmniej, jakby się to może zdawać mogło, do rozwiązania innych podobnych już istniejących, choć na mniejszą skalę obrachowanych związków; chce ono tylko praktyczną działalność holenderskich katolików na polu socyalnem rozszerzyć i wzmocnić.

Tak więc katolicy w Holandyi pokazali, że odczuwają i ro-

zumieją ducha czasu i jego potrzeby. Już dzisiaj grają oni w życiu publicznem swego kraju wcale wybitną rolę; wpływ ich wzrośnie, gdy rozwiną bardziej jeszcze energiczną i rozumną działalność na tak ważnem obecnie polu kwestyi socyalnej. Zasługa ich jest tem większą, że okoliczności, wśród których katolicy w Holandyi pracują, sprzyjają im, mimo to nie zaniedbują niczego i na nic się nie spuszczają. W żadnym kraju nie żyją protestanci i katolicy w takiej zgodzie, jak w Holandyi. Rząd jest im przychylny, wszak sam wnosi projekt prawa, mocą którego ma być podwyższona na koszt państwa pensya nauczycieli w szkołach wyznaniowych, tak że nastąpi zrównanie stanowiska nauczycieli państwowych i nauczycieli szkół wyznaniowych. Na kongresie filologów znowu, który się odbył w tygodniu wielkanocnym w Utrechcie, a na który zjechało się około trzystu holenderskich uczonych, przeważnie akatolików, wybrano prezydującym kongresu ks. d-ra van Oppenraay T. J. Ten, jakby go gdzieindziej nazwano, zacofany człowiek przewodniczył z takim taktem, umiarkowaniem i roztropnością obradom, że gdy po posiedzeniu końcowem profesor van der Wyck wyraził mu w pełnych uznania słowach podziękowanie zgromadzenia, zerwała się burza oklasków i wszyscy uczestnicy powstali z swych miejsc, aby tym sposobem uczcić zasługi Jezuity. „Nie wątpię, powiedział przy tradycyjnym obiedzie prof. van Hamel, że każdy fakultet uważałby sobie za zaszczyt, módz zaliczyć takich wyznaniowych profesorów do swego grona“. Tem większa więc, powtarzamy to raz jeszcze, zasługa katolików, że nie zadawalniają się tem, co już osiągnęli, lecz wyżej dążą i na gorsze chwile się przygotowują.

O KONGREGACYE MARYAŃSKIE W NIEMCZECH

Łatwem było do przewidzenia, że dekret ministeryalny z 23 stycznia, pozwalający na zaprowadzenie kongregacyi maryańskich w niemieckich zakładach naukowych, wywoła w pewnych sferach wielkie niezadowolenie. Jedni sądzili, że kongregacye naruszą wewnętrzny porządek szkoły i jedność wychowania; odpowiedziano im, że będą one stały pod zarządem katechety a pewien nadzór nad niemi będzie miał

i dyrektor odpowiedniego zakładu, powyższa więc trudność upada. Chwycono się dlatego wprost przeciwnych dowodów. Jeżeli kongregacyami będą zarządzać katecheci i dyrektorzy, to jedni z uczniów wstąpią do nich dla przypodobania się swym przełożonym, inni z obawy a inni jeszcze z pewnych względów oportunistycznych, tym sposobem wyrobi się w uczniu obłuda i udawanie. Niektórzy poszli nawet tak daleko, że uznając słuszność żądania, by obok protestanckich znajdowały się w Niemczech i stowarzyszenia katolickie, a nie chcąc tych ostatnich, zażądali zupełnego rozwiązania tak protestanckich jak i katolickich związków.

Sprawa kongregacyi maryańskich dostała się nawet pod obrady pruskiej izby panów. Na posiedzeniu z 11 maja b. r. podniósł hr. York von Wartenburg zarzut, że między Jezuitami i kongregacyami maryańskiemi zachodzi ścisły związek, że liczba członków kongregacyi wynosi przeszło siedm milionów, co znowu musi przeszkodzić przynależności szkoły do państwa; szkoła dużo przez kongregacye cierpi. Prof. Löning z Halli utrzymywał nawet, że kongregacye maryańskie są bezpośrednio podległe generałowi Jezuitów i dlatego musi ich zaprowadzenie nadwerężyć spokój wyznaniowy, z tego też powodu rozmaite państwa związkowe poznosiły istniejące tamże kongregacye lub zakazały ich założenia.

To były najważniejsze i jedyne zarzuty; rozprawił się z nimi kardynał Kopp. Omówiwszy obszerniej pedagogiczne znaczenie kongregacyi dla młodzieży, przeszedł od razu do wyświecenia stosunku kongregacyi maryańskich do Jezuitów. Generał Jezuitów nie zakłada kongregacyi, pod jego nadzorem też one nie stoją. Ich zakładanie należy do biskupów i to nie mocą delegacyi, ale *de potestate ordinaria;* w dokumencie erekcyjnym mówi biskup wyraźnie: poddaję te kongregacye jurysdykcyi mojej i mych następców. Założone kongregacye otrzymują statuty, które wpierw jeszcze bada biskup; statuty te wręczają prezesowi kongregacyi a ten odsyła je wprawdzie generałowi Jezuitów do podpisania, ale ten podpis nie oznacza bynajmniej, że generał obejmuje nadzór nad kongregacyą, tylko że przy-

łącza on nową kongregacyę do już istniejących, aby tym sposobem przywileje przez papieży kongregacyom nadane i do nowo założonej się odnosiły. Aby przeciąć wszelkie w tym względzie wątpliwości, przeczytał kardynał Kopp list generała Jezuitów, ks. Martina, następującej treści: „Ponieważ widzę, że zniesienie paragrafu drugiego ustawy jezuickiej wywołało wielkie rozdrażnienie i ponieważ niektórzy sądzą, że kongregacye maryańskie od Jezuitów zależą... przeto oświadczam publicznie: 1) Generał Towarzystwa Jezusowego nie prowadzi kongregacyi maryańskich, nie stoją też one pod jego kierownictwem ani jakimkolwiekbądź sposobem pod kierownictwem Towarzystwa Jezusowego. 2) Zakładanie pojedynczych kongregacyi jest rzeczą biskupów dyecezalnych i nie zależy od przyzwolenia generała Jezuitów. 3) Wręczenie statutów kongregacyi maryańskich generałowi i jego podpis mają na celu jedynie przyłączenie czyli afiliacyę kongregacyi założonej do już istniejących. Tyle do wyświecenia prawdy i uspokojenia umysłów. Rzym 13 kwietnia 1904 r. Ludwik Martin, generał Jezuitów". Z wywodami tymi kardynała Koppa zgodził się zupełnie minister wyznań, Studt, a choć nie można powiedzieć, znając tendencye protestanckie, że kwestya kongregacyi jest już ostatecznie załatwiona i rozwiązana, trzeba jednak przyznać, że jest ona dostatecznie wyjaśniona; w każdym za to razie dziwnie wygląda fakt, że państwo protestanckie dekretem ministeryalnym pozwala na zaprowadzanie kongregacyi po zakładach szkolnych, a katolicka Austrya na to się zdobyć nie może.

KWESTYA KOŚCIELNA W PARLAMENCIE WŁOSKIM

Podróż Loubeta do Włoch nie wywołała jednak tej doskonałej harmonii, jak się we Włoszech i we Francyi spodziewano; Francya owszem usłyszała w kilka dni po ukończeniu podróży swego prezydenta dość gorzkie słowa z parlamentu włoskiego. Nieprzyjęcia Loubeta w Watykanie użył bowiem deputowany Alessio, jako przyczyny do ostrego wystąpienia przeciw Kościołowi. Socyalna i polityczna organizacya Kościoła, jaka się obecnie odbywa, kryje w sobie, zdaniem Alessia, niebezpieczeństwo dla państwa, jest

dowodem cofania się kultury, zagraża jedności narodowej i utrzymuje lud w zbytniej zależności od Kościoła; to niebezpieczeństwo potęguje jeszcze przypływ wydalonych z Francyi kongregacyi. Znaczenie Kościoła przełamie państwo wtenczas dopiero, gdy niższy kler od siebie zależnym i sobie oddanym uczyni. Do tego celu posłuży polepszenie doli niższego kleru, a będzie ją można polepszyć, oddając wszystkie dochody kościelne funduszowi religijnemu do administracyi; nie trzeba innemi słowy za wiele się liczyć z prawami gwarancyjnemi.

Taki pogląd wywołał żywe protesty. Deputowany Bianchi uznaje wprawdzie potrzebę, by państwo silnie stało przy swoich prawach, dodaje jednak równocześnie, że polityka proponowana przez Alessia byłaby polityką prześladowań a ta uśmiechałaby się pewnie wolnomularzom, stałaby za to w sprzeczności z uczuciem ludu.

Dalej poszedł deputowany Santini, naczelny lekarz wojskowy z ekspedycyi włoskiej do Chin. Rozdźwięk panujący między Kościołem a państwem jest przyczyną słabości państwa. Wielcy patryoci od Mazziniego do Cavoura nie kryli się z swemi religijnemi uczuciami i pragnęli porozumienia między królestwem a Watykanem; nie dało się ono przeprowadzić skutkiem sprzeciwiania się obcych mocarstw, a szczególniej Francyi. Obecny papież pokazał już wystarczająco, że nie myśli rządowi stawiać niepotrzebnych trudności, rząd zaś powinien się wystrzegać, by w swej polityce nie wstępował w ślady p e w n e g o i n n e g o n a r o d u, a pamiętał raczej o tem, że w całej Europie czuć nowe ożywienie się ducha religijnego. „Pius X czuje się we wysokim stopniu Włochem i objawia to przy wielu okazyach“. Skutkiem polityki papieża względem Francyi rośnie wpływ Włoch i to dzięki Kościołowi i mimo trudności stawianych Włochom przez Francyę.

Niemniej stanowczo wystąpił przeciwko Alessiemu deputowany De Cesare. Między obroną praw państwa a polityką prześladowań jest wielka różnica. Zadaniem Włoch jest obecnie rozwiązać problem, który pod względem prawnym i politycznym zdaje się być sprzecznym sam w sobie, mają one mianowicie

doprowadzić do wspólnego zgodnego przebywania dwóch monarchów w zakresie tych samych granic; polityka prześladowań tego nigdy nie dokona.

Te wywody, sprzeczne z poglądami Alesia, nabrały większego jeszcze znaczenia przez twierdzenia ministra wyznań, Ronchettiego. Utrzymywał on, że trzeba wyrobić poszanowanie dla praw państwa, ale trzeba się wystrzegać prześladowań, tem bardziej, że obecne prawa wystarczają zupełnie do obrony interesów państwowych. W sprawie kongregacyi przypomina swoje dawne słowa: prawo nie zakazuje ani swoim ani obcym noszenia kapłańskiej sukni lub łączenia się w kongregacye dla służenia swemu wyznaniu; co najwięcej możnaby odmówić stowarzyszeniom praw jurydycznych, w każdym zaś razie trzeba żądać, by się stosowały do przepisów krajowych.

Na porządku dziennym były jeszcze obrady nad misyami wschodniemi, które już z tego względu wysoce podniesiono, że przyczyniają się one w niemałej mierze do wzrostu wpływów włoskich w Oryencie.

Z tych wszystkich rozpraw nie można wprawdzie wyciągać przedwczesnych wniosków. Stwierdzały to przedewszystkiem słowa deputowanego Faniego, który utrzymywał, że hasłem Włoch powinno być dzisiaj: „wolność Kościoła i przekonań obywatelskich“, ale równocześnie dodał: „Mówią, że Pius X myśli o zbliżeniu się do Włoch. Dobrze! niech przyjdzie. Strzeżmy się tylko od zrobienia pierwszego kroku; jeżeli jednak na prawdę myśli on do nas przyjść, chętnie go powitamy“. Te słowa nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do dalszego usposobienia parlamentu, względnie rządu włoskiego, niemniej przeto są wszystkie te rozprawy w wysokim stopniu znamienne; czuć w nich zrozumienie potrzeby pewnej zmiany w nieznośnych obecnych stosunkach.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## Kronika ekonomiczna.

Bank krajowy. — Ostatni rocznik Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. — Bank melioracyjny.

Pojawiło się sprawozdanie z czynności Banku krajowego za r. 1903. Wedle niego obecny majątek banku w kapitale zakładowym i funduszach rezerwowych wynosi 7.466 tysięcy koron, z czego dwa miliony przypadają na pierwotną dotacyę, udzieloną przez Sejm w roku 1883 na założenie banku. Czysty zysk w roku 1903 wyniósł 379.459 koron, z czego, jak zwykle, lwia część przypadła na oddział bankowy. Zgodnie z przepisami statutu 40% czystego zysku przelała dyrekcya do funduszu zakładowego, 20% do ogólnego funduszu rezerwowego, 20% do specyalnej rezerwy oddziału hipotecznego, a 10% do rezerwy oddziału komunalnego.

Ilość listów zastawnych (4% i $4^1/_2$%) w obiegu wzrosła do 98,770.000 koron, w r. 1903 Bank wypłacił 1.145 pożyczek w kwocie ogólnej 11,123.100 koron, a mianowicie 29 pożyczek na dobra ziemskie w kwocie 3,155.000, 223 pożyczek na realności miejskie w kwocie 6,029.600, 863 pożyczek na dobra włościańskie w kwocie 1,938.500 K.

Z ogólnej sumy pożyczek, udzielonych przez Bank od początku jego istnienia przypada na kredyt hipoteczny miejski 53·79%, a zatem przeszło połowa, na wielką własność 34·89%, na drobne posiadłości rolne, przeważnie włościańskie 11·32%.

Z oddziału komunalnego korzystały także w pierwszym rzędzie miasta. Z ogólnej sumy udzielonych pożyczek od założenia Banku w kwocie 24,635.600 przypada 67·47% na gminy miejskie, na powiaty 26·74, a na gminy wiejskie 5·79%; z końcem roku poprzedniego znajdowało się w obiegu obligacyi komunalnych na 17,421.200 koron. Istnieje także trzeci typ papierów, emitowanych przez Bank, a mianowicie 4% obligacye kolejowe, których łączna suma z końcem r. 1903 wynosiła 18,289.600 koron. Z tego źródła czerpie Bank krajowy fundusze na udzielanie pożyczek przedsiębiorstwom budowy kolei lokalnych.

W czasokresie objętym sprawozdaniem udzielił Bank sześć pożyczek melioracyjnych w gotówce, zabezpieczonych hipotecznie, na podstawie znanej ustawy z r. 1896, zapewniającej pierwszeństwo przed innymi długami, pożyczkom zaciągniętym w celach melioracyjnych; niestety sprawozdanie milczy o bliższych szczegółach tej akcyi. Rolnicy

nasi zbyt mało korzystają z udogodnień zawartych w ustawie o kredycie melioracyjnym, byłoby zatem rzeczą pożądaną, ażeby dyrekcya Banku krajowego bliższe dane swej akcyi na tem polu podawała do wiadomości często i wyczerpująco. W r. 1903 rozszerzył Bank zakres swych operacyi przez wprowadzenie nowej formy kredytu hipotecznego w połączeniu z ubezpieczeniem życiowem. Zdaje się, że na razie nikt jeszcze nie korzystał z tej nowej kombinacyi.

Rozwój przemysłu popierał Bank przez zakupno udziałów w przedsiębiorstwach tego rodzaju, przez eskontowanie ich weksli, udzielanie im kredytu na skrypta dłużne i w rachunku bieżącym, w charakterze członka przystąpił Bank do lwowskiej fabryki chemicznej „Tlen".

* * *

Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych ogłosił wykazy statystyczne za rok 1902; podobnie jak poprzednie roczniki także i obecny, dwudziesty dziewiąty z rzędu, nie ogranicza się do ogłaszania cyfr, odnoszących się do stowarzyszeń do związku należących, podaje nadto szereg cennych wiadomości o stowarzyszeniach, stojących poza jego obrębem. Wywiązanie się z tego dobrowolnie na siebie wziętego obowiązku, staje się z roku na rok trudniejszem, ponieważ wzrasta liczba stowarzyszeń, usuwających się z pod kontroli związku, mimo tego wydawcy roczników nie zaniechali tej tak pożytecznej działalności, pomnażającej nasz szczupły zapas wiadomości o stosunkach gospodarczych Galicyi.

Z 1271 stowarzyszeń, zawiązanych na podstawie ustawy z r. 1873, istniało pod koniec r. 1902 tylko 964, z czego 846 zajmowało się interesami kredytowymi. Rocznik nie podaje cyfr statystycznych o 192 spółkach oszczędności i pożyczek, wykazanych przez patronat Wydziału krajowego, uwzględnia zatem tylko pozostałych 654 stowarzyszeń, z których 85 całkiem nie nadesłało bilansów a w 33 wypadkach trzeba było przedrukować bilanse z r. 1901. Do związku należy 148, poza obrębem związku stoi 506, z których 427, zdaniem wydawców rocznika, ma charakter wyznaniowo-żydowski, używa przeważnie języka niemieckiego, ma firmę niemiecką, zapisaną w rejestrze handlowym. Stowarzyszenia żydowskie operują głównie w Galicyi wschodniej, „geograficzne ich rozmieszczenie wskazuje, że ilość ich w pewnej okolicy stoi w prostym stosunku do ubóstwa i nizkiej kultury ludności wiejskiej". W Stanisławowie jest ich 20, w Kołomyi i Przemyślu po 11,

w małych miasteczkach, jak Podhajce, Husiatyn, Skałat, Gliniany po 6—8, niektóre z nich wykazują znaczne obroty.

Liczba członków w stowarzyszeniach kredytowych wynosiła 478.954, z czego na 140 instytucyi związkowych, które dat dostarczyły, wypada 210.842; rocznik podaje zestawienie zawodów, do których przynależni są członkowie stowarzyszeń związkowych, a mianowicie przypada na włościan 74%, na wielkich właścicieli ziemskich $1^1/_2$%, na rękodzielników i przemysłowców przeszło 9%, na handlarzy i kupców przeszło 5%, na umysłowo pracujących 7%, na kapitalistów, właścicieli realności miejskich, ludzi bez określonego zajęcia blizko 3% i t. d. Zauważyć należy, że włościanie stanowią także i w stowarzyszeniach żydowskich bardzo znaczny procent członków, ale w wydziałach zasiadają Żydzi.

Udziały członków dosięgły z końcem 1902 r. kwoty 24.635 milionów koron, wzrosły zatem w porównaniu z rokiem poprzednim o 11.08%, podczas gdy liczba członków wzrosła tylko o 3.19%. Z powyższej ogólnej sumy udziałów przypada 9.761 milionów koron na stowarzyszenia związkowe, w przecięciu na jedno stowarzyszenie kredytowe wypada udziałów 33.372 koron, a na jednego członka 51.44 K; dla stowarzyszeń związkowych cyfry te wynoszą 69.728 i 46.30, a zatem mimo tego, że stowarzyszenia związkowe mają znacznie większą sumę udziałów, przecie na jednego członka przypada przeciętnie mniej udziałów, ponieważ ich liczba członków jest znacznie wyższą.

Fundusze rezerwowe wynoszą 8·124 milionów koron, z czego przypada na stowarzyszenia związkowe 3·8; objawem bardzo znaczącym jest, że wzrost funduszów rezerwowych w porównaniu z r. 1901 wynosił 7.96%, ale, biorąc pod uwagę wyłącznie stowarzyszenia związkowe, dojdziemy do wzrostu funduszów rezerwowych o 12.02%; dowodziłoby to racyonalniejszej gospodarki w stowarzyszeniach związkowych, gdyby nie to, że stowarzyszenia związkowe mają mniej funduszów rezerwowych, mają zatem więcej powodów do ich szybszego pomnażania.

Stowarzyszenia zaliczkowe czyli kredytowe miały z końcem r. 1902 wierzytelności w formie pożyczek udzielonych członkom na łączną kwotę przeszło 137 milionów koron, z czego $58^1/_2$ przypadało na związkowe; w porównaniu z rokiem poprzednim wzrost w tym dziale wynosił 8·49%, ale u stowarzyszeń związkowych 11·95%.

Wypożyczenie tak znacznych kwot okazało się możliwem głów-

nie dzięki wkładkom oszczędności, obficie napływającym do kas stowarzyszeń zaliczkowych, a których ogólna suma wynosiła z końcem roku 1902 przeszło 94 milionów koron — na stowarzyszenia związkowe przypadało $43^1/_2$ milionów. Resztę funduszów potrzebnych na udzielanie kredytu dostarczyły udziały i pożyczki zaciągane przez stowarzyszenia w większych instytucyach finansowych w łącznej sumie 24.663 milionów koron, z czego przypada na związkowe 8.399; długi bankowe wzrosły w porównaniu z rokiem ubiegłym o 4.40%, zaś u stowarzyszeń związkowych o 10.55%. Rocznik wykazuje instytucye, w których stowarzyszenia związkowe zaciągnęły długi, a mianowicie trzy miliony dostarczył Bank krajowy, po $1^1/_2$ miliona Galicyjska Kasa Oszczędności i Bank austro-węgierski, 387 tysięcy nowo utworzony Akcyjny bank związkowy.

Stopa procentowa jest jeszcze ciągle nadmiernie wysoka w związkowych stowarzyszeniach; stopą normalną, najczęściej stosowaną, jest $6^1/_2$—8%; niezwiązkowe, które udzieliły wyjaśnień, pobierają od swych dłużników 7—10%, 3 towarzystwa zaliczkowe niezwiązkowe przyznają się do pobierania 12%, 219 niezwiązkowych odmówiło odpowiedzi na to pytanie; przypuszczać wolno, że tajemnicę zachowują stowarzyszenia pobierające procent wyższy, jak normalny. Wysokość stopy procentowej, sama przez się, nie daje nam należytego wyobrażenia o ciężarach, ponoszonych przez dłużnika. W stowarzyszeniach, przedewszystkiem niezwiązkowych zagnieździły się inne formy wyzysku, bardzo dotkliwe dla dłużnika, a dogodne dla wierzyciela, bo mniej jawne i mniej uchwytne, jak wysokość stopy procentowej. Przy wyrabianiu pożyczki dyrekcye tych instytucyi lichwiarskich każą sobie płacić za formularze druków, na których wnosi się podania, za dostarczanie dokumentów, tytułem kosztów administracyjnych i t. d. Te należytości uboczne podrażają kredyt, ponieważ chodzi tutaj najczęściej o drobne pożyczki; przy większych kwotach te należytości uboczne nie odgrywałyby roli, ale przy mniejszych stanowią istną klęskę, zwłaszcza dla włościan. Dalszym sposobem wyzysku są olbrzymie procenta zwłoki, wymówione przy udzielaniu pożyczek, a o terminie płatności raty z zasady dłużnika się nie zawiadamia.

Wobec tego nie dziw, że towarzystwa zaliczkowe mogą płacić wysokie dywidendy i stosunkowo znaczne procenta od wkładek oszczędności. Zyski i stopy procentowe w stowarzyszeniach niezwiązkowych są oczywiście wyższe. Niestety nie dowiadujemy się z rocznika, jaka

zachodzi różnica w poszczególnych stowarzyszeniach między wysokością procentu pobieranego od pożyczek a płaconego od wkładek.

Do funduszu zaopatrzenia funkcyonaryuszów stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, założonego przez związek w roku 1882 należało 40 towarzystw, które opłacały wkładki za 116 swoich urzędników — udziały członków wynosiły z końcem roku 1902 koron 349.211.

* * *

Lwowska filia Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu utworzyła jeszcze w r. 1900 oddział melioracyjny, który w dwa lata później przeszedł na własność Banku melioracyjnego, stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką, z siedzibą we Lwowie. Leży przed nami sprawozdanie z czynności za czas od 1 lipca 1902 do 31 grudnia 1903 r.; obejmuje ono zatem pierwsze półtora roku istnienia tej pożytecznej instytucyi.

Z technicznej części sprawozdania dowiadujemy się, że bank wykonał w czasokresie, objętym sprawozdaniem drenowanie w 42 miejscowościach na obszarze 3432 morgów; na obszar ten złożyło się 1,605.774 bieżących metrów wykonanych drenów, wykonano nadto 5245 bieżących metrów rowów odpływowych, wydobyto z większych rowów odpływowych 15.394 $m^3$ ziemi. Bank dostarczył do wykonanych robót w 35 miejscach 4,520.087 sztuk rur drenowych, właściciele obszarów melioracyjnych dostarczyli w siedmiu miejscowościach wyłącznie, w trzech częściowo, rur własnego wyrobu.

Ogólny koszt prac wykonanych przez bank w okresie sprawozdaniem objętym wyniósł 422.353 K 19 h; przeciętny koszt z morgi był w poszczególnych gospodarstwach bardzo różnym, zależnie przedewszystkiem od właściwości danego terenu i oddalenia od cegielni. Sprawozdanie podaje przeciętny koszt z jednego morga dla 32 majątków, w których drenowanie było wyłącznie wykonane rurami sprowadzanemi i to dla każdego majątku po dwie cyfry, jednę wyższą, uwzględniającą koszta nadzwyczajne, drugą niższą bez tych kosztów nadzwyczajnych — niestety sprawozdanie nigdzie bliżej nie określa, co należy rozumieć przez „koszta nadzwyczajne“, a określenie takie byłoby tem bardziej potrzebne, ponieważ pojęcie „kosztów nadzwyczajnych“ jest z istoty swej nader nieuchwytne i może być przedmiotem licznych wątpliwości.

W tych 32 majątkach przeciętny koszt drenowania z morgi wynosił od 108·40 do 271·75 koron, przyczem uwzględniono tak zwane

koszta nadzwyczajne. W 25 wypadkach koszt drenowania jednej morgi nie przekraczał 150 K, tylko w siedmiu wypadkach okazał się wyższym, jak 150 K.

W osobnej rubryce sprawozdanie wykazuje przeciętny koszt samej robocizny na jednej mordze we wszystkich 42 majątkach, w których bank wykonywał drenowanie. Kwota 52·06 K przedstawia minimalną, a kwota 129·46 K maksymalną granicę przeciętnych kosztów samej robocizny z morgi, które tylko w ośmiu wypadkach były wyższe, jak 80 K, natomiast we wszystkich 34 dalszych wypadkach nie dosięgały tej kwoty. Przeciętny koszt jednego bieżącego metra drenu bez rur wyniósł 14·3 halerzy; nadmienić należy, że wysokie przeciętne koszta odnoszą się przeważnie do majątków, w których drenowano bardzo małe przestrzenie, natomiast koszta są stosunkowo nizkie w majątkach, w których znaczniejsze obszary poddano drenowaniu.

Bank przyjmuje gwarancyę trzechletnią za prawidłowe i wzorowe wykonanie powierzonych mu robót.

Prócz drenowań wykonał bank zdjęcia terenu i plany na drenowania w ośmnastu miejscach na łączny obszar 4224 morgów, w czterech zaś miejscach na melioracyę łąk w obszarze 466 morgów; wygotowano zatem plany przyszłych melioracyi na łączny obszar 4690 morgów, z czego jednak 2039 morgów przypada na majątek Dunajów w pow. przemyślańskim. Cyfry te podałem wedle wykazów tabelarycznych; w tekscie są inne, widocznie mylne.

Stowarzyszenie liczy 59 członków z deklarowanymi udziałami na koron 34.600, z których wpłacono 29.960. Znaczną część udziałów — 20.000 koron, jeśli mnie pamięć nie myli — złożył Bank krajowy, który popiera akcyę melioracyjną także przez udzielanie kredytu. Zamknięcie rachunków wykazuje czysty zysk za rok 1903 w kwocie 9.702 koron 24 hal., 10% czystego zysku przeznaczono do funduszu rezerwowego, do funduszu na poprawki 6.000 koron, a dywidendę oznaczono na 5%.

Społeczeństwo nasze ciężko krzywdzi swoje własne dobro przez obojętność wobec tej instytucyi. Obszar poddany melioracyi jest śmiesznie mały, jak na kraj, który, nie mogąc wyżywić nadmiaru swej ludności, bezsilny jest wobec wychodźtwa żywiołów najtęższych, a w którym setki tysięcy morgów wymagają niezbędnie melioracyi wszelakiego rodzaju. Drugim jaskrawym objawem tej obojętności jest wysokość udziałów. Jak trzeba założyć pismo, rozkupić akcye towarzystwa dla spożytkowania niewypróbowanego wynalazku Szczepanika lub kopać

naftę ze znacznym ryzykiem, pieniądze się zawsze znajdą, ale za biedni jesteśmy na kupno udziałów Banku melioracyjnego, na zakładanie spółkowych mleczarń i tym podobnych przedsiębiorstw, które fachowo pokierowane przynoszą zyski, może nie nadmiernie wysokie, ale pewne.

*Dr. Adam Krzyżanowski.*

## Związek katolicki społeczny.

Pracy społecznej i narodowej w naszym kraju przybywa świeży i poważny czynnik. Rolę tego czynnika powinna była odegrać utworzona na zasadach wielkich encyklik papieskich organizacya katolicka, która zasady te zamierzyła sobie wprowadzić w krew i życie społeczeństwa. Siły i środki jednak, jakiemi organizacya ta dotąd rozporządzała, nie mogły ogarnąć tego obszaru pracy, ścielącego się dla doniosłych haseł demokracyi chrześcijańskiej. I nic dziwnego. W kraju o tylu kontrastach politycznych, szarpanym przytem waśnią narodową, pole społeczne było i jest trudnym dla orki odłogiem. Poza kierunkiem charytatywnym, którego rozumne i odpowiednie celowi ujęcie i prowadzenie jest bez wątpienia zasługą katolickiej organizacyi, akcya jej w założonych pierwotnie licznie stowarzyszeniach robotniczych nie wydała wybitniejszych rezultatów. Przyczyny tego były wielorakie. Były niemi przedewszystkiem niezrozumienie i nieodczucie przez inteligentny nasz ogół idei czynnego katolicyzmu, brak chętnych do tej pracy ludzi a zwłaszcza młodzieży, a także rozproszenie i tych nielicznych sił, brak kierownictwa i jednolitej metody działania w łonie samej organizacyi.

Poczęła się już rozprzęgać i upadać, gdy arcypasterz dyecezyi lwowskiej w znanym swym liście pasterskim p. t. „W sprawie społecznej“ przemówił do społeczeństwa. Silne akcenty tego orędzia, pełne głębokiej treści wskazanie a zarazem wezwanie do zszeregowania się w imię najwyższych chrześcijańskich i narodowych haseł, nie mogły pozostać bez echa. W organizacyi katolickiej pod wpływem tego apelu nowe ozwało się życie. Wyrazem jego był odbyty w dniach 18 i 19 b. m. we Lwowie zjazd przedstawicieli stowarzyszeń katolickich i wielu wybitnych w pracy społecznej osób z różnych stron kraju. W dwudniowych obradach, w których wzięło udział również kilku posłów

sejmowych i do rady państwa i niektórzy profesorowie z obu uniwersytetów, poruszono cały szereg spraw pierwszorzędnej wagi, jak obowiązkową organizacyę zawodową, związki wytwórcze, wychodźtwo, ochronę prawną ludu i t. d. Główną atoli troską zebrania było obmyślenie sposobu usunięcia słabych stron w organizacyi, skupienie jej sił, zapewnienie kierownictwa i wytknięcie najbliższych dróg działania.

Utworzono więc „Związek katolicki społeczny“ jako stowarzyszenie, obejmujące całą działalność i program dotychczasowej organizacyi.

Cel „Związku“ prosty i bardzo wymowny: wspólna, jednolita praca nad poprawą stosunków społecznych w całym kraju w duchu zasad katolickich i narodowych a z wyłączeniem polityki.

„Związek“, na którego czele stanął jako prezes poseł sejmowy Tad. Cieński, jako zastępcy prof. Thullie ze Lwowa i Roztworowski z Krakowa, zakrojono na szerokie rozmiary. Członkiem może być każdy bez różnicy płci za roczną wkładką 1 kor., kto nie chce stać na uboczu i być jedynie biernym świadkiem walki o najżywotniejsze interesy własnego narodu. Nie wątpimy, że cel zamierzony przez „Związek“ może być i będzie osiągniętym, jeżeli „Związek“ oprze się o najszerszy ogół społeczeństwa, tę naturalną podstawę każdej społecznej pracy, a nie powinno mu zabraknąć członków, jak nie brak jeszcze w naszem społeczeństwie ludzi o szczerych i do czynu wiodących przekonaniach katolickich a owianych duchem prawdziwego patryotyzmu.

Dla informacyi podajemy, że wszelkie zgłoszenia adresować należy do biura „Związku“ w redakcyi *Gazety Niedzielnej* (ul. Grodzickich l. 2), które każdemu bliższych wyjaśnień w sprawie „Związku“ udzieli.

Do tego komunikatu *Gaz. Nar.* dodajemy statut Związku:

§ 1. Stowarzyszenie nosi nazwę „Związek katolicki społeczny“. Siedzibą centralną Związku jest Lwów; zakres działania stowarzyszenia rozciąga się na Galicyę z W. Ks. Krakowskiem.

§ 2. Celem Związku jest: wspólna i jednolita praca nad zmianą i poprawą stosunków społecznych w Galicyi w duchu zasad narodowych i chrześcijańsko-katolickich z wyłączeniem polityki.

§ 3. Cel ten osiąga Związek przez publiczne odczyty, zjazdy i kursa nauk socyalnych, przez popieranie i rozszerzanie pism, gazet i książek odpowiednich, przez działanie na opinię i ciała prawodawcze w kierunku sprawiedliwych zmian społecznych, przez czynne popieranie i zakładanie związków zawodowych i stowarzyszeń, oraz przez prowadzenie biur ludowych dla pośrednictwa w pracy, udzielania bezpłatnej porady prawnej, jakoteż i dla informowania członków we wszystkich sprawach celem Związku objętych.

§ 4. Członkiem Związku może być każdy katolik obojej płci oraz każde Stowarzyszenie katolickie, których przyjmie Zarząd centralny. Członek płaci do kasy Związku 1 K, stowarzyszenia 6 K rocznie.

§ 5. Majątek Związku stanowią wkładki roczne członków, dobrowolne dary i zapisy na cele Związku.

§ 6. Sprawami Związku kieruje Zarząd centralny we Lwowie złożony z prezesa, dwóch wiceprezesów i siedmiu członków corocznie przez Walne Zgromadzenie wybranych tudzież delegata, którego mianuje ks. arcybiskup rz. kat. we Lwowie. Sekretarza i kasyera obiera Zarząd z pomiędzy swych członków. Zarząd zajmuje się spełnieniem celów Związku, zwołuje Walne Zgromadzenie i zdaje sprawę z czynności Związku oraz z jego funduszów. Uchwały Zarządu zapadają większością głosów w obecności prezesa lub jednego wiceprezesa i przynajmniej trzech członków. Prezes, a w jego zastępstwie wiceprezes i sekretarz reprezentują Związek na zewnątrz i podpisują wszelkie pisma od Związku pochodzące.

§ 7. W miarę potrzeby mogą być przez Zarząd centralny ustanowione jemu podległe komitety dyecezyalne dla prowadzenia spraw Związku w poszczególnych dyecezyach. Komitetom dyecezyalnym może być dodany delegat z ramienia księdza biskupa odnośnej dyecezyi.

§ 8. Zwyczajne Walne Zgromadzenie odbywa się w pierwszym kwartale każdego roku pod przewodnictwem prezesa lub jego zastępcy. Walne Zgromadzenie udziela absolutoryum ustępującemu Zarządowi, wybiera Zarząd, załatwia wnioski Zarządu i członków, decyduje o zmianie statutu i o rozwiązaniu Związku. Uchwały zapadają większością głosów członków obecnych; dla zmiany statutu i rozwiązania stowarzyszenia potrzebną jest większość $^2/_3$ głosów członków obecnych.

Do ważności uchwał wymagana jest obecność jednej trzeciej części członków, gdyby się zaś taka ilość członków nie zebrała, następne Walne Zgromadzenie, najpóźniej do 14 dni z tym samym porządkiem dziennym zwołane, bez względu na ilość członków obecnych.

§ 9. Spory ze stosunków Związku wynikłe, załatwia sąd polubowny, do którego każda strona wybiera jednego sędziego, a ci znowu wybierają superarbitra.

§ 10. W razie rozwiązania stowarzyszenia majątek Związku rozdziela się na ręce ks. biskupów na poszczególne dyecezye dla organizacyi katolicko-społecznej w stosunku do wkładek z pojedynczych dyecezyi do Związku uiszczonych.

§ 11. Podpisani przyjmują pierwszych członków i zwołują Walne Zgromadzenie w celu wyboru stałego Zarządu.

Druk ukończono 31 maja 1904 r.

# Z PIELGRZYMKI DO RZYMU.

Pielgrzymki do Rzymu w ostatnich czasach stały się u nas tak częstymi, iż zdawaćby się mogło, jakoby przechodziły w pewną fazę utarcia się, w której już niewiele się o czemś myśli i nie wiele też mówi lub pisze. A jednak na pielgrzymce ostatniej nietylko nie zaciężył szablon apatycznej oswojeniem opinii ale nawet jakiekolwiek niebezpieczeństwo obojętności z góry było wykreślone. Całe zaś natężenie, z jakiem śledzono powszechnie przebieg jej, zdradzał dowodnie wielkie i żywe zainteresowanie się ogółu społeczeństwa polskiego. Bo też instynkt narodowy odczuł odrazu, że pierwsza pielgrzymka za rządów nowego Papieża, w wyjątkowych jeszcze pod niejednym względem dla narodu przedsiębrana warunkach, jest bezwątpienia faktem bezmiernej wagi i znaczenia.

Samo też wdrożenie akcyi przygotowawczej do pielgrzymki przez nasz Episkopat odpowiadało w zupełności powadze chwili.

Nie wspominam już o zawsze czynnym i ruchliwym ks. arcybiskupie lwowskim. Ale dosyć już jest napomknąć, na dowód, o skrupulatnej i przewidującej organizacyi technicznej pielgrzymki przez ks. biskupa Pelczara, uwieńczonej pod dzielnym przewodnictwem ks. Mazanka rezultatem niebywałym, bo ogólnem zadowoleniem pątników przez czas cały podróży i pobytu ich w Rzymie.

Ks. Kardynał Puzyna, jakkolwiek już drugi raz z rzędu w pielgrzymce udziału nie bierze, to jednak nie małe tu kładzie

zasługi, wziąwszy na siebie organizacyę adresów, odczytywanych Ojcu św., które tu teraz jak poprzednio, prawdziwy honor przynoszą zarówno uniwersytetowi krakowskiemu, jak i duchowemu organizatorowi.

Czy nic już więcej do życzenia nie pozostawało pod względem przygotowań do pielgrzymki?

W rzeczy samej nic. Ale ponieważ i dobrze urządzone sprawy mogą się jeszcze doskonalić w lepsze, więc by na później pole dla ewolucyj zostawić, zauważę to tylko, iż byłoby do życzenia, by obok organizacyi technicznej, którą nazwałbym bierną, bo przyjmującą i porządkującą dane zgłoszenia, na przyszłość większą jeszcze wagę położyć na organizacye pielgrzymek w porządku wyższym, gdzie się już występuje z inicyatywą w celu zszeregowania osób i to tych zwłaszcza, na których więcej zależeć musi. Trzeba sobie prawdę powiedzieć, że chociaż mieliśmy w pielgrzymce wybitne osobistości, to jednak liczba ich niestety względnie była arcyszczupłą, jak na doniosłość sprawy.

Możeby było wskazanem na przyszłość, by powtórzyć metodę przyjętą w innych krajach, u nas zaś stosowaną z dobrym skutkiem przez ks. Adama Sapiehę, kierownika pielgrzymki w roku 1888; dobrze by mówię było, by obok dostojników Kościoła działał w łączności z nimi komitet, na czele którego stanąłby wybitny w kraju człowiek świecki. Obok innych korzyści, spływających stąd bezpośrednio na samą pielgrzymkę, osiągnęłoby się i tę, iż świeccy panowie, przypuszczeni do współzarządu, żywszy mieliby interes i przyuczaliby się w praktyce do wnikania głębiej w stronę taktyczną stosunków z Rzymem, co dla nas jest rzeczą ogromnej doniosłości i wagi.

Ponieważ już jestem przy pielgrzymce z roku 1888, nie mogę się powściągnąć od jednej uwagi: wtedy jeszcze ks. Adam Sapieha mógł napisać, iż podejmie się przewodnictwa pielgrzymki tylko w takim razie, gdy wespół z Polakami będą i Rusini.

Jakże się rychło od tego czasu stosunki niestety zmieniły...

* * *

Cała uwaga wszystkich skupia się oczywiście około nowej postaci namiestnika Chrystusowego. Z natury więc rzeczy wrażenia z pielgrzymki nie mogą pominąć kontemplacyi tej postaci.

Zetknięcie się bezpośrednie z Ojcem św. nie jest, jeśli tak powiedzieć wolno, bez niespodzianek.

Jeszcze za krótki czas rządzi, by charakter jego osobisty mógł się już przebić i zarysować w całym pontyfikacie. Polega się w sądzie o Ojcu św. na tym pewnym, duchowym obrazie, który utkany jest z tych tysiącznych informacyi dziennikarskich, obracających się jużto około prywatnego życia Ojca św. w Watykanie, jużto sięgających czasów Sarty, patryarchy weneckiego i jeszcze dalej wstecz. Mimowoli więc wyobraźnia nasza oswoiła się z pewnymi rysami duchowej fizyognomii wewnętrznej nowego papieża, a gdzie jej szczegółów brakuje, tam je sama uzupełnia pewnymi znamionami, które zwykły być nieodłącznymi w skojarzeniu cech charakterystycznych. I tak — jest się przygotowanym, słysząc tyle i czytając o formalnym zamachu Ojca św. na etykietę watykańską, na pewne wrażenie obniżające urok majestatu zewnętrznego papieża. Tymczasem prawdziwą niespodziankę gotuje pewien odblask jakiejś aureoli, jaka idzie z wielkiej prostoty i dużej miłości, jest w niej siła majestatu o całkiem odmiennym, a sobie właściwym i przenikającym wyrazie.

Nasłuchaliśmy się tyle potem o tej popularnej dobroci Ojca św., która się zdaje całą jego postać duchową przetapiać w jeden wylew uczucia. To się wszystko u niego znajduje, ale jest jeszcze coś, co działa jakby niespodzianka dla wyobraźni nasyconej tem uczuciowem widzeniem wizerunku duchowego papieża. Już w wyrazie oka Piusa X wielka dobroć załamuje się z przenikliwością, a w rozmowie wystrzela raz po raz duży zmysł praktyczny i naturalny rozsądek, który przeszedłszy taką olbrzymią skalę sytuacyi a tak pełną i skończoną w prowadzeniu dusz, ma dziś w sobie właściwy a niezależny i bardzo urobiony kierunek. Wiem o paru kwestyach postawionych Ojcu św. powikłanych i skomplikowanych, które w okamgnieniu rozciął i rozwiązał prawdziwie po mistrzowsku: musiało się powiedzieć słysząc o takiej decyzyi, „jakie to naturalne“, ale się

dodawało, „że też to nikomu nie mogło przyjść do głowy“, tak jakoś naturalnie, poprostu i zdrowo rzecz była rozstrzygniętą.

Charakter uczucia Ojca św. jest także w swej zewnętrznej formie jemu właściwy; uczucie jego nie znaczy się skalą tkliwych tonów, które czują potrzebę przedzierania się raz po raz lub przynajmniej od czasu do czasu na zewnątrz. Znać wprawdzie, że struktura duszy na wskróś uczuciowa; ale serce nie tyle się objawia profuzyą i szczodrością zewnętrzną, ile raczej ukrywa się jako pierwiastek ożywczy, a formujący myśli i czyny. Cała postać duchowa Ojca św. ma w swej prostocie jędrność i zwięzłość, jakby żołnierską. Ale czeka nas jeszcze jedna niespodzianka.

Zdawało się bowiem, że po dwu wielkich pontyfikatach Piusa IX i Leona XIII Duch św. mówiąc po ludzku, jakby się wyczerpał i przystanąć zechce; zdawało się, że każda postać nowa na tronie papieskim będzie mogła co najwyżej powtarzać lub kontynuować plany i kierunki poprzedników. Tymczasem już przy pierwszem zetknięciu się z Piusem X dostrzegamy u niego nowy zupełnie rys, opierający się nie tylko o praktyczny rozsądek, nie tylko o bogate doświadczenie pastoralne, ale obok tego i przedewszystkiem o pewną wewnętrzną skłonność duszy. Tkwi w nim organizator, który szczególnie jest tkliwy i wrażliwy na wszystko to, co wewnętrznej organizacyi Kościoła dotyczy. Jako taki potrafił wycisnąć piętno na całym Watykanie i Rzymie. Trzeba to widzieć, aby to eksperymentalnie zrozumieć.

Ten jednak nowy kierunek rządu papieża znajdujący swój wyraz w jego haśle, *omnia restaurare in Christo* nie jest w niczem zerwaniem z ideami wielkiemi Leona XIII. To też ta skwapliwość nietórych w mówieniu, że Leon XIII został tak rychło zapomnianym, polega tylko na grubem przeoczeniu sytuacyi. Idee Leonowe zarysowały się nie na miesiącu, czy dwu, ale zaciężyły na całym nowym kierunku Kościoła; do nich należą wieki. Pius X, sam w sobie samodzielny, idący za popędem swojego kierunku, i zwracający swą całą uwagę ku ustrojowi

wewnętrznemu życia Kościoła, obok tego jednak najsilniej kontynuje i egzekwuje testament idei Leona XIII. Dość przypomnieć jego odezwy, a bardziej jeszcze zarządzenia praktyczne w kwestyi socyalnej. Dość się przyjrzeć innym aktom jego pontyfikatu, by się o tem dowodnie przekonać. Dla naszych stosunków zaś będzie niezawodnie rzeczą interesującą wiedzieć, że i w kwestyi Kościoła wschodniego Pius X idzie w ślad Leona. W obec jednego z naszych wybitnych polityków, podnosząc bardzo ks. metropolitę Szeptyckiego, dodał Ojciec św. słowa zdradzające ogromną pieczołowitość i przywiązywanie wagi dużej do kwestyi obrządków wschodnich.

* * *

Audyencye prywatne u Piusa X odpowiadają całemu jego charakterowi i są też wiernem i żywem duszy jego odbiciem. Oczywiście niepodobną jest rzeczą dotykać treści posłuchań u Ojca św.; chyba tylko wyjątkowe i ogólne powiedzenia papieża mogą się prześliznąć poprzez granice dyskrecyi. A i wtedy jeszcze czasem lękać się można, czy podając słowa Ojca św. w oderwaniu od nastroju bezpośredniego, przedmiotu omawianego, sposobu jego poddania i wdrożenia, tem samem nie ukrzywdza się poniekąd wyrzeczeń papieża. Co najwyżej niech mi wolno będzie rzucić tylko osobną uwagę o formalnym charakterze audyencyi u Piusa X.

Już sam wybór miejsca posłuchania jest dostrojony do całego nastroju i tonu. Idąc przez liczne pokoje watykańskie i zastępy służby, zatrzymujemy się w sali obitej ślicznym adamaszkiem, w której na wyniesieniu wznosi się tron papieski. I gdzież indziej może być miejsce posłuchań, jak nie tutaj, pomyśleć sobie musi każdy, kto choćby nie znając nawet sali tronowej, i nie wiedząc już o tem, że jest istotnie przeznaczoną na posłuchanie, wchodzi po raz pierwszy do podwoi Watykanu. Tymczasem o dziwo, ta wspaniała sala jest dziś tylko przedpokojem, w niej się czeka, aż monsignor pełniący służbę wezwie na posłuchanie do sąsiedniej komnaty.

Osobliwy to i bodaj jedyny w swoim rodzaju przedpokój,

bo nasyciwszy czekającego nastrojem majestatu, ustępuje miejsca właściwemu miejscu posłuchań, które jest jednak ni mniej ni więcej jak pracownią papieską.

Biurko jest tak blizko drzwi, że niema prawie miejsca na przepisane ceremoniałem trzykrotne przyklęknienia. Jeżeli stopa papieska, ułożona na poduszce z adamaszku i wzniesiona na tronie, sama już wzywa do pocałunku, to stopa ukrywająca się raz po raz przy biurku zdaje się zakreślać plan taktyczny, by zręcznie tego objawu czci wyminąć. Biurko zaś z rozrzuconemi papierami, nawet już bez zachęt papieża rzucanych, by pewną nieśmiałość do reszty rozbroić, jest symbolem schodzącego z wyżyn majestatu i spoufalającego się z nami już wprzód samymi znakami otoczenia, zanim jeszcze miało się sposobność i szczęście z ust papieskich i z jego postaci wydostać przeświadczenie, że jedyny nastrój duchowy, jaki przebiega atmosferę posłuchania, jest ten, jaki umożliwia mowę serca i stosunek ewangeliczny dziecka w Chrystusie do ojca.

W rozmowie podczas audyencyi, jak wszyscy wspólnie stwierdzają, Ojciec św. czeka na poruszenie tematu przez przybywającego. Przeważnie też nie bierze papież inicyatywy rozmowy przez zadawanie pytań i t. d. Pod tym względem charakter audyencyi różni się zasadniczo od audyencyi Leona XIII, który wciąż stawiał zapytania słuchanemu. Miało się wrażenie na posłuchaniu Leona XIII, że temat rozmowy i materyał jej spoczywał głównie w ręku papieża; dziś zdaje się ciężar operowania tematem stawać udziałem przybywających na posłuchanie. A jednak za dotknięciem kwestyi, Ojciec św. pośpiesza, by ją wspólnie omówić, sam też dorzuca tok myśli.

Różnica w przebiegu audyencyi u dwu papieży wypływa z odmiennych indywidualności. Leon XIII wprowadzając nowe idee społeczne i tworząc konstelacye polityki, indywidualizował ogólne myśli i przyoblekał w ciało materyał informacyjny, do kształtu swych idei dobierał materyału myśli, jak się dobiera farb do obrazu, sięgając pendzlem do palety i biorąc skąd się podoba i ile się podoba. Znowu u Piusa X sama idea rozkłada się na szereg postulatów praktycznych, które organiza-

cya umysłu jego kodyfikuje, gotowa do realizacyi w guście jakiegoś większego, czy mniejszego *motu proprio*. Takie szczegóły wydostając z sytuacyi, czy danej informacyi, przyjmuje gotowe zewnątrz, bierze je sobie podane niezależnie, jak to kto uczyni, a wtedy zdaje się nie tyle obracać je w pokarm ogólnych wytycznych kierunków, ile raczej dbać o jakąś choćby partykularną konkluzyę.

* * *

Jak była przyjęta pielgrzymka polska o tem wiedzą wszyscy, Mnóstwo szczegółów, opublikowanych w dziennikach, razem dały ogólne wrażenie pełnego jakiegoś i wielkiego zadowolenia z niej.

Zarówno poszczególne osoby, które otrzymywały prywatne audyencye, wychodziły z tych posłuchań formalnie oczarowane ujmującą postacią Ojca św., jak i suggestya masy, wytwarzająca się zawsze w takiem wielkiem środowisku, jakie tworzy pielgrzymka kilkuset osób, zgodnie stwierdzały, że wrażenia uniesione z Watykanu przeszły, rzec można, oczekiwanie.

To też zwolnionym się być czuję z obowiązku regestrowania szczegółów, co byłoby zresztą tylko reprodukcyą, i to już pozbawioną pierwszej świeżości; nie potrzebuję się nawet zatrzymywać przy odpowiedzi Ojca św. na adres pielgrzymki, tak się dostrajającej do ram ogólnego duchowego charakteru, w zamian zaś za to leciuchno zanalizuję podstawy tego tak nad wyraz korzystnego nastroju.

Oto odczuło się ciepłą atmosferę dla nas w Watykanie. Stopień tej ciepłoty był zaś taki, że musiał przejść istotnie choćby śmiałe oczekiwania. Zdawało się raczej, że jeszcze za krótki czas dla Polski, aby już sobie wysłużyć i zarobić na serce Ojca św.; zdawało się także, że w konstelacyi stosunków w niejednem już się wiele zarobi, skoro się tylko odrobi; zdawało się, że mieć choćby tylko czystą kartę, to już będzie bardzo wiele, choćby nie była już nawet zapisaną.

A tu najwyraźniej się dopatrzyli wszyscy, że cokolwiekby

było, albo mogło być na tej karcie zamazanego, wytartem doszczętnie zostało, i już mimo tak krótkiego czasu pontyfikatu, i mimo tak małej, ba, powiedzmy prawdę, prawie żadnej pracy ze strony naszej, są rysy na tej karcie jasne i śmiałe, które dziś już dają otuchę, i pozwalają snuć nadzieje na przyszłość.

Te pierwsze kontury kart naszych zawdzięczamy niewątpliwie krojowi polityki Piusa X. Jak rzekłem powyżej, jest w duszy papieża struktura myśli i poglądów, która się spiera i płynie z uczucia. Otóż nie rozdziela on sposobu snucia myśli prywatnej natury od publicznej, i stąd od razu w sercu jego narody więcej cierpiące mają bliższe miejsce przez pokrewieństwo uczucia.

Ale byłby to tylko nastrój przygotowawczy.

Co jest jeszcze bardziej pocieszającem, to ten objaw, że owa polityka uczucia już się dziś opiera na kadrach myśli trzeźwej, praktycznej, organicznie obejmującej naród i jego potrzeby, jak i niedolę. Takie powiązanie sympatyi naturalnej z urobionym już dziś poglądem trafnym i zdrowym jest doprawdy niespodzianką, która przeszła najśmielsze nadzieje, tak iż prawie lęk zbiera, byśmy za mało nie poczęli cenić tego, co się nam prawie, rzecby można, za łatwo dostało w udziale.

Jako *postscriptum* tych uwag godzi się i to zanotować, że kardynał Mery del Val jest odbiciem usposobienia i poglądów Ojca św.

A nadto i w nim czuć drgającą nić sympatyczną dla Polski. Kiedy po audyencyi u Ojca św. przybyli ks. biskupi, by złożyć kardynałowi sekretarzowi stanu podziękę za wszystko, wspomniał o tem jak miłe żywi uczucie dla Polski już przez samo wspomnienie, iż pierwszą osobistością, z którą w Rzymie bliżej się zetknął i przyjaźnią zespolił, był właśnie kapłan Polak, obecny arcybiskup Zaleski. A nie zawadzi tu przydać tego, czego kardynał nie powiedział publicznie, ale o czem dobrze się wie, że i dziś szczególniej wyróżnia i sympatyą swoją obdarza dwu kapłanów polskich, ks. prałata Skirmunta i ks. kanonika Sapiehę.

Lecz nawet nastrój cały otoczenia watykańskiego był tak

łatwy i życzliwy dla Polaków. Należy się tu szczególniej z uznaniem wspomnieć o Msg. Bisletim. I ten szczegółik nie jest tak małej wagi, jakby się to może wydawało. Dosyć sobie przypomnieć szczegół z pielgrzymki dawniejszej odbytej pod przewodnictwem ks. Adama Sapiehy w roku 1888, kiedy to książę, określając nastrój przybocznego otoczenia w Watykanie poza kardynałami i papieżem, wypowiedział zapewne przesadne słowa, ale i znamienne dla ówczesnej krystalizacyi stosunków: „Ojciec św. dla nas jest jak ziarno w orzechu słodkie i miękkie, lecz by dojść do jądra, potrzeba zgryść łupinę, a tę stanowi najbliższe otoczenie".

* * *

Pielgrzymka tedy w całości wypadła dobrze, a jeśli miała jaką ujemną stronę, to tę chyba jedynie, że wypadła za dobrze. Skłonniśmy bowiem bardzo do tego, by wyładowawszy własne uczucie, albo przyjąwszy skądś nam ofiarowane, na tem już zamknąć daną pozycyę w rachunku narodowym i powiedzieć sobie: to już załatwione. Tymczasem cały nastrój Watykanu potrzebuje utrwalenia i pogłębienia przez własną pracę. I to jest właśnie, o co się lękam patrząc w przyszłość, że nie będzie komu w Rzymie tworzyć resonans trwały dla tych pierwszych tak melodyjnych a ciepłych akordów. I tu niestety stwierdzić się musi, że w Rzymie brak jest czy osób czy ognisk polskich duchowych, któreby tego tak ważnego i wielkiego zadania podjąć się zdołały. Kiedy się czyta lub słucha o stosunku Piusa IX do Polski, to się podziwia doprawdy i tę różnorodność pozycyj papiestwa przy jednolitości ogólnego planu i tę pewność wprawną rzutów politycznych, i ten dar wnikania we wszystkie arterye sprzęgające kościół z narodem. Ale też polityka Piusowa, która ogólnym systemem przypomina ogólną politykę papiestwa dzisiaj, opierała się na współdziałaniu z wybitnymi postaciami jak Semenenki, Kajsiewicza i innych.

Dzisiaj niepodobna żądać od Ojców Zmartwychwstańców, by zupełnie wyjątkowy stosunek do Piusa ich pierwszych przeszedł w regułę, nie można domagać się tembardziej, że są nazbyt

zajęci utrwaleniem organizacyi własnego zakonu. Ostatni reprezentant polski, kardynał Ledóchowski, nie żyje; Arcybiskup Zaleski niestety z wielką szkodą wyjechał jako delegat za granice Europy; ksiądz biskup Symon przejściowo przebywa w Rzymie. Ale nawet salonu, jakiegoś ogniska duchowego brak wśród Polaków. Liczni wprawdzie przybywają, ale żyją rozbici i nie sprzęgnięci, a przytem salon nie tyle stwarza miejsce, ile raczej nastrój, a ten znowu idzie od ludzi. Tam, gdzie Rzym interesuje kogo przez teatr lub widowiska salonu z pewnością nie będzie.

Niech te uwagi moje nie tyle mają na celu krytykę teraźniejszości, ile raczej uświadomienie potrzeby, której należy podpomódz na przyszłość, daj Boże, na najbliższą przyszłość.

*Arcybiskup Teodorowicz.*

# MĘCZENNIKOM UNII PIERWSZE POKOLENIE.

(1874—1904).

Prawie nad kołyską naszego pokolenia, gdy w młodych umysłach, pierwsze ledwo o świecie, lekkie jak obłok poranny, tworzyły się sądy, zamykała się w martyrologium naszej ziemi nowa karta. Pierwszy prawie wypadek, jaki nas powitał na ojczystym progu, była śmierć naszych współziomków za wiarę, pierwszy blask, jaki uderzył o nasze dusze, był blask męczeńskiej krwi.

Lat temu równo trzydzieści — a więc przeciąg jednego pokolenia — jak rozgrywała się bohaterska tragedya w Drelowie i Pratulinie, na Podlasiu i na całem terytoryum unickiej dyecezyi chełmskiej. Tragedya pozornie rozegrana, bo ogłoszono urzędownie, że Unia istnieć przestała, ale tylko pozornie — trwa ona po dziś dzień, tylko z szerokiej widowni zeszła do katakumb, do kryjówki serc. Nieletnie dzieci, które z przerażeniem patrzyły na łunę pożogi, grad kul i śmierć wielkich ojców swoich, dziś już stanęły na czele nowych rodzin, a z tych strasznych, krwawych dni wyniosły święty ogień i moc niezłomną. W męczeńskiej krwi tkwi posiew nowej siły.

Jeżeli, wogóle, wspomnienia dziecięctwa znaczą się głęboko w duszy, to szczególniej takie wspomnienia. Ileż to razy to bohaterskie Podlasie przypominało się pamięci! Kraj cichy, szary, jak dola wieśniacza, a pod tą szarą opończą tak wielkiem sercem bijący. Dokoła dalekie, rozległe, płaszczyzny, oparem bagnisk

owiane, tu, na żółtych piaskach, porastające borem, ówdzie. przy drogach, rzędem niebotycznych topoli obsadzone. Cisza tu niezwykła, uroczysta, jakgdyby żywych istot nie było, tak, że wiatr donosi głuche szeleszczenie dalekich wiatraków, a w tej ciszy kładą się na błękicie krzyże, gromadami tu, jak drzewa rozsiane, po trzy, po cztery, po pięć, na polach, na groblach, przy drodze, w ogrodach. Ileż to razy słońce, gdy na olbrzymich widnokręgach Podlasia stacza się zwolna ku ziemi, bierze na swoją tarcz czerwoną czarne ramiona krzyża.

A dzieje tej ziemi! Słońce styczniowe ma się już ku wczesnemu zachodowi — bokiem, czerwona łuna wypogodzonego błękitu oświeca jaskrawo zwarty tłum włościan, co otoczył dokoła wrota swojej drewnianej cerkiewki. Na czele siwy starzec, z wielkim krzyżem w dłoniach, przy nim kilka kobiet w czerwonych chustach szepce pacierze, reszta ludzi uklękła i śpiewa pieśń: Kto się w opiekę poda Panu swemu. Stanęli tu na straży swojej świętości, w obronie swojej wiary, „nie wpuszczą schyzmatyka do cerkwi, choćby życie przyszło położyć". Przedziwna to walka. Garstka ludzi bezbronnych staje czoło w czoło do bitwy ze sprawioną w wojenny rynsztunek rotą żołnierzy — z modlitwą tylko i pieśnią na ustach. I płynie ta pieśń, z siłą, z gorącością, z wiarą ogromną, pieśń ufności o tym obrońcy Bogu, który od wszelkiej trwogi wyzwala, co człowieka z łowczych obieży wyzuje i w cieniu swych skrzydeł zachowa wiecznie — każdy dźwięk tej pieśni zdaje się być spiżowym, nieprzebitym puklerzem, a wszystkie razem niezdobytą twierdzą, tem bardziej, że choć dźwięki zamrą, choć w piersiach, z których te dźwięki płyną, serca bić przestaną, ta twierdza bohaterskich dusz pozostanie po wszystkie wieki, żadnej ludzkiej nieprzystępna sile. Już przebrzmiała bezskutecznie przemowa oficera, wzywająca do rozejścia się, słychać słowa komendy, odwodzenie kurków — pieśń z nieustraszonych pieśni płynie nieprzerwanie:

Stateczność jego tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,

Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Zagrzmiały karabiny, krótki jęk, kilkunastu włościan padło, śnieg zarumienił się krwią, ale pieśń płynie dalej:

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże
A drugi tysiąc...

Drugi rząd wyciągniętych luf zionął ogniem — przed drzwiami cerkiewki zatoczyły się nowe ofiary.

Właśnie słońce rzucało ostatnie promienie na ziemię i wiło z nich na skroni dogasających na skrwawionym śniegu męczenników czerwono-złotą aureolę.

* * *

Warto te chwile przypomnieć sobie dokładniej.

Zbytecznem chyba byłoby rozwodzić się nad tem, jak wrogie było zawsze stanowisko Rosyi względem Cerkwi unickiej. Każdemu, o ile wypadki te łączą się z naszą historyą, znane są losy Izydora, ingerencya Piotra Wielkiego, wzrost ingerencyi carskiej na losy Unii w drugiej połowie ośmnastego wieku, aż do masowego tępienia Unii za Katarzyny. Po epoce przejściowej Aleksandra i Pawła, ponowiło się z całą energią prześladowanie za Mikołaja I, nacechowane smutnem imieniem Siemaszki i jasnem imieniem matki Makryny i zakończyło się zniesieniem Unii na Litwie i Białorusi. W całem tem prześladowaniu chodziło oczywiście o wzrost potęgi politycznej, bo prawosławie idzie ręka w rękę z samodzierżawiem, ale może też temu planowi niszczenia towarzyszył i instynktowny lęk, aby to ziarno gorczyczne Unii nie rozrosło się kiedyś w ogromne drzewo nad Rosyą całą. W każdym razie, myśl ta przyświecała drugiej stronie, Rzymowi: „*Per vos Rutheni...*“

Z całej Unii, pod zaborem rosyjskim, ocalało, aż do chwili, o której piszemy, jedno jedyne biskupstwo chełmskie. Ponieważ ta część Polski dostała się dopiero później pod pa-

nowanie rosyjskie i jakiś czas cieszyła się konstytucyą, więc i Unia była tam bezpieczną. Liczny poczet wzorowych kapłanów i biskupów użył czasu pokoju korzystnie do pogłębienia wiary w sercach ludu tak, że wiara ta stała się wzorem dla świata całego, a czuł dla niej respekt i rozumiał jej nieprzepartą siłę i nieprzebierający w środkach, Mikołaj I. Kiedy mu raz o chełmszczyźnie wspomniano, machnął ręką i rzekł: „pozostawić tych chełmskich fanatyków".

Na zakusach jednak i wtedy nie brakło; zaczęły się one zaraz po nieszczęśliwem powstaniu polskiem 1831 roku. Zasiadał wtedy na stolicy chełmskiej, przezacny, pobożny, ale nieco chwiejny, biskup Szumborski. Pierwszemu naciskowi rządu, ażeby książki unickie w cerkwiach zastąpić prawosławnemi księgami, drukowanemi w Moskwie, sprzeciwił się, stanowczo też odrzucił namowy, ażeby przeszedł na prawosławie wraz z całą dyecezyą. Ale już w 11-ym roku rządów, pod naciskiem Petersburga, nakazał zmianę niektórych ceremonij przy Mszy św., zmianę zbliżającą nabożeństwo unickie do prawosławnego. Nakaz wywołał w duchowieństwie dyecezyi i wśród ludu pomruk, w wielu cerkwiach odmówiono mu posłuszeństwa, sprawa wreszcie poszła do Rzymu. Całe to jednak zajście miało w następstwach swoich opatrznościowe znaczenie dla ludu podlaskiego, pogłębiło w nim krytyczną świadomość położenia i zwiększyło odporność na zakusy rządu. Na naganne pismo Grzegorza XVI biskup wszedł w siebie, błąd naprawił, a zarazem dał dowód wielkiej zacności i prostoty duszy. W okólniku, w którym poprzedni swój nakaz odwołuje, czytamy takie słowa: „Błagam was przeto, najmilsi bracia w Chrystusie, przebaczcie ułomności, przebaczcie błędowi mojemu, który uznaję i odwołuję".

Była to tylko chwilowa porażka rządu, który raz wszedłszy na drogę zaborczą, postanowił nie cofać się z niej aż do ostatka, a w jednem miejscu pokonany, myślał o innym punkcie, sposobniejszym do zdobycia. Dalsze też dzieje Unii podlaskiej są jednym ciągiem to odpieranych, to nieodpartych ata-

ków. Po biskupie Szumborskim, po dobrym, ale słabym następcy jego, Teraszkiewiczu, jeszcze jedna jasna postać, na tronie chełmskiej dyecezyi, biskup Kaliński, obrońca sprawy bożej w wielkim stylu i za tę sprawę męczennik. Gdy z samym biskupem nic zrobić się nie dało, rząd, poza jego plecami, począł znosić się z niższem duchowieństwem, gdy i ta droga, wskutek energii biskupa, zawiodła, rząd odebrał mu pensyę, wreszcie w nocy 23 września 1866 roku aresztował go i wywiózł do Wiatki. Tam też, w miesiąc po wywiezieniu, wielki biskup życie zakończył.

Nad Cerkwią podlaską zaczęły teraz z dniem każdym zbiegać się coraz cięższe chmury, można powiedzieć, że z wywiezieniem Kalińskiego zaczynają się ostatnie chwile jej publicznego życia. Bez porozumienia się z Rzymem, rząd zamianował administratorem dyecezyi swego zausznika, ks. Wójcickiego, który odrazu zabrał się stanowczo do „oczyszczania“ obrządku unickiego. Gospodarka ta trwała dwa lata, skończyła się wreszcie rozlewem krwi męczeńskiej, gdy lud w obronie swego obrządku stawił wojsku opór. Rząd, tymi wypadkami zaskoczony, czas jakiś zwlekał; wreszcie cofnął się, przekonawszy się, że nie nadeszła jeszcze sposobna chwila, a ufny, że nadejdzie inna sposobniejsza, w której uda się cel osiągnąć bez smutnego rozgłosu, nieznacznie. W tym też celu oddał rządy dyecezyi potwierdzonemu przez Rzym, biskupowi Kuziemskiemu.

Kuziemski dzieło „oczyszczania obrządku“ prowadził gorliwie, ale w tem, czego rząd po nim głównie oczekiwał, że całą dyecezyę do prawosławia przyłączy, pokładane w sobie nadzieje zawiódł. Podszepty ku temu odrzucał stanowczo. To też wkrótce wypadł z łaski carskiej, a gdy przyłączyły się jeszcze nieprzychylne mu intrygi, otrzymał po trzechleciu dymisyę od rządu.

Znalazł wreszcie rząd sposobne dla siebie narzędzie, człowieka, który miał krwawe dzieje Siemaszki odnowić i dyecezyi chełmskiej koniec zgotować. Człowiekiem tym był smutnej pamięci odstępca, ks. Popiel.

Były to czasy, kiedy Bismark stanął u szczytu potęgi,

a z tej wyżyny rzucał hasło walki religijnej. Nie była już Rosya w tej walce odosobnioną, mniej też temsamem potrzebowała się liczyć z opinią Europy.

Pierwsze trzechlecie zeszło Popielowi na tem, by w łonie duchowieństwa wytworzyć sobie liczny zastęp uległych wykonawców swej woli. Trafił jednak na niezłomną skałę. Mimo ukazów rządowych, ścieśniających wolność osobistą duchowieństwa, mimo wyrzucania gorliwych księży do Galicyi, mimo kontrybucyj i deportacyj do więzień, na stu kilkudziesięciu księży krajowych, tylko ośmnastu, za rządów Popiela, odpadło od Unii. Trzeba było gdzieindziej poszukać za uleglejszem duchowieństwem, któreby miejsce opornych zajęło. W tym też celu sprowadza wielu księży z Galicyi, nadto otwiera seminaryum dla przybłędów ze świata całego. Alumnów takich wyświęcał na księży Bułgarzyn-apostata, biskup Sokólski; w pierwszych trzech latach wyświęcił przeszło stu.

Zorganizowawszy jako tako po swojej myśli hierarchię, przystąpił Popiel do dzieła. Rozpoczął od stolicy dyecezyi, od katedralnego kościoła; cały wygląd katedry, cały obrządek w niej odprawiany, wszystko to przystosowało się wkrótce do modły prawosławia. Miał to być wzór, podług którego cała dyecezya przetworzyć się miała; wzywano do Chełmu duchownych, aby przypatrzyli się nowemu obrządkowi, a przypatrzywszy się, aby trzymali się go w przyszłości.

Nie długo trzeba było czekać, żeby wybuchła walka między administratorem-intruzem a całą dyecezyą. Księża szli do więzień, na lud spadły kontrybucye.

Walka rozogniła się na dobre, gdy Popiel wydał okólnik, nakazujący, by z dniem 1 stycznia 1874 roku, nabożeństwa we wszystkich cerkwiach dyecezyi rozpoczęły się podług odnowionego obrządku odprawiać. To, czego świadkiem, w następstwie tego okólnika, była dyecezya chełmska, przypomina, ze strony prześladowców, najokrutniejsze tyranie, znane w historyi — ze strony męczenników, najjaśniejsze karty w martyrologium Kościoła.

Niniejsze wspomnienie tylko w kilku najogólniejszych rysach streścić pozwala te rozległe dzieje męczeńskie [1].

Gdy co lepsi pasterze, za nieposłuszeństwo okólnikowi, poszli do więzień, a ich miejsce zajęli nasłańcy Popiela, główna rola obrońcy wiary spadła na lud. Lud ten, ilekroć grozi nowy większy atak ze strony rządu, zgromadza się nocami po lasach. Tam starsi i doświadczeńsi udzielają rady młodszym, wszyscy zaś wzajem zachęcają się do wytrwałości. Stawało zazwyczaj na takich nocnych wiecach na tem, by duchownego, odprawiającego nabożeństwo wedle prawosławnego obrządku, do cerkwi nie wpuszczać, gdy się to nie uda, do takiej cerkwi nie uczęszczać, a modlić się w domu, lub w innych cerkwiach jeszcze prawowiernych, lub w łacińskich kościołach; sakramentów zaś, ani żadnej duchownej posługi od zwolenników Popiela nie przyjmować.

Wobec takiej postawy ludu, krwawe starcie z nieprzebierającym w środkach rządem stawało się nieuniknione. Przyszło też prędzej, niż można się było tego spodziewać.

W Drelowie, kiedy duchowny odprawiał w Nowy Rok mszę podług przepisów Popiela, lud wyprowadził go z cerkwi i klucze mu od niej odebrał. W kilka dni potem (5/17 stycznia) zjeżdża naczelnik powiatu z wojskiem. Gdy nie pomogły perswazye, by lud klucze wydał i do domów się rozszedł i by następnie na nabożeństwa uczęszczał, oficer kazał uderzyć wojsku na lud bronią sieczną. Wywiązała się walka, w ktorej kilkunastu włościan było rannych, ale też i wielu żołnierzom broń z rąk wyrwano. Na razie wycofał oficer wojsko, a równocześnie zapytał telegraficznie Petersburg, co dalej czynić. W kilka godzin nadeszła odpowiedź: „wymordować wszystkich“. Jeszcze raz próbuje oficer drogi pośredniej i każe strzelać ślepymi nabojami. Na to lud przez swego wysłańca oświadcza: „Strzelaj na prawdę, jeśli masz władzę, jesteśmy wszyscy gotowi zginąć,

[1] Por. Ks. Biskupa Likowskiego: „Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku“., nadto wydawnictwo ks. dr-a Chotkowskiego: „Z męczeńskich dziejów Unii“.

słodko jest umierać za wiarę". Padły strzały, kilkudziesięciu zatoczyło się rannych, pięciu zabitych. Na resztę rzuciło się wojsko: aresztowano sześćdziesięciu, innych skatowano.

W dziewięć dni potem rozegrała się jeszcze krwawsza scena w Pratulinie. Wojsko strzelało przez kilkanaście minut, dziewięciu włościan padło na miejscu trupem, całe mnóstwo rannych. A ile przepięknych, wprost wzniosłych scen, jakby z pierwszych wieków Kościoła wyjętych, towarzyszyło tym krwawym zapasom! Naczelnik powiatu wybiera jednego z poważanych powszechnie gospodarzy i każe mu przemówić do tłumu po myśli rządu. Wieśniak staje przed ludem i zabiera głos: „Chciałeś panie naczelniku, abym nauczył lud, jak ma postępować; dobrze, więc spełnię twą wolę, lecz to, co ja im powiem, oni oddawna wiedzą. Dla nas wszystkich jest jedna tylko droga, trzymać się silnie naszej świętej wiary, cokolwiek się z nami stać może". Po tych słowach klęka, dobywa krzyżyka, i rozpoczyna uroczystą modlitwę — za nim ściele się na kolana lud cały i jednym wzruszonym głosem powtarza jego słowa: „Przysięgam na zbawienie duszy, tak jak pragnę oglądać Boga przy skonaniu, że na krok nie odstąpię od naszej wiary. Święci męczennicy tyle mąk ponieśli za wiarę, nasi bracia za nią krew przelali i my także naśladować ich będziemy". A gdy potem rozlegają się strzały i padają ranni, żadnej obrony, żadnego nie widać niepokoju ani popłochu, ani jeden jęk złorzeczenia nie daje się słyszeć, rozlega się tylko daleko pieśń pobożna, na klęczkach przez bezbronnych śpiewana. Gdy matka jednego z męczenników, na wieść o śmierci syna, chce płakać, żona zamordowanego pociesza ją: „Nie płaczcie, matko, straty syna, tak jak ja nie płaczę straty męża; wszak on nie za zbrodnię, ani za występek zabity. Cieszmy się, że poległ za wiarę. O, gdybym ja była godną umrzeć z nim wczoraj!"

Ileż krwawych udręczeń, mąk wymyślnych, przez następny szereg lat, nie ponosił ten wielki lud za wiarę, ile nędzy nie przeniósł, ilu łez nie wylał. Po Drelowie i Pratulinie, rząd, obawiając się groźniejszych rozmiarów oporu, zaprzestał publicznego mordu, ale nie zaprzestał gwałtów i to najwyszukańszych. Po

miasteczkach i wsiach, gdzie mieszkała ludność, niezłomnie przy wierze trwająca, rozkwaterowano wojsko, któremu kazano ściągać kontrybucye i kosztem biednych wyrobników żywić się dopóty, dopóki opór nie będzie złamany. Niejedną miejscowość doprowadzono w ten sposób do najzupełniejszej nędzy; mieszkańcy niektórych wsi wynosili się pod osłoną nocy do lasów, całą wieś zostawiali pustą, a sami spędzali zimę pod gołem niebem. Nieraz wojsko wypędzało wszystkich wieśniaków w pole, oficer wybierał pierwszego lepszego z gromady i zapytywał go, czy pójdzie na odmienione nabożeństwo do cerkwi. Za odpowiedź odmowną katowano biedaka nahajkami dopóty, dopóki albo się nie poddał, albo nie zemdlał. Cała wieś musiała na to pastwienie się patrzeć w milczeniu, nikomu nie było wolno ruszyć się z miejsca pod grozą tej samej kary. Gdzieindziej, jak w Dołhorodach, z całą wsią w ten sposób postąpiono — wszystkich skatowano nahajkami. W Czołomyjach, przy 18° R mrozu, wypędzono całą wieś w pole, otoczono ją wojskiem i tak trzymano ją przez całą dobę bez pożywienia; puszczono ją potem do domu, ale zarazem pozwolono wojsku „pohulat". Takich i tym podobnych znęcań się i udręczeń było bez końca i miary — nieraz wprost potwornych. W jednej miejscowości wyrywano matkom kilkomiesięczne dzieci i bito kolbami dopóty, dopóki matki zrozpaczone nie przyzwoliły na żądanie rządu. W Łomazach znowu spędzono całą ludność na miejsce otwarte, oddzielono od mężczyzn niewiasty, i zamknięto je w ujeżdżalni. Gdy mężczyźni zapytani, czy przejdą na prawosławie, dali odpowiedź odmowną, wydał naczelnik żołnierstwu rozkaz: „marsz do ujeżdżalni, zróbcie, co chcecie". Co się dziać musiało w sercach ojców i mężów? Podpisali też, co im przedłożono, z tym dodatkiem, że „czynią to dobrowolnie i bez przymusu".

Po dziś dzień, gdy o tem wszystkiem się myśli, aż mrowie przechodzi, i nie można się opędzić natrętnemu pytaniu: czy takie o pomstę do nieba wołające zbrodnie mogą pozostać, na tej ziemi, bez kary?

W ten sposób rozszerzała prawosławna cerkiew Królestwo Chrystusowe na ziemi. Gdzie się nie dało nic zrobić obietnicami, tam używano gwałtu, kilkanaście podpisów w jakiejś miejscowości, podstępem lub przemocą wymuszonych, wystarczało, by ogłosić urzędowo, że cała miejscowość przeszła na prawosławie dobrowolnie. Gdzie i gwałt nie pomagał, tam setkami wywożono na wygnanie; w wielu wypadkach, w ten sposób, że rozmyślnie rozdzierano małżeństwa: mąż szedł na wygnanie, żona zostawała w domu, lub przeciwnie. Wedle urzędowych raportów ambasady angielskiej wywieźli Moskale do gubernii Chersońskiej, Jekaterynosławskiej i Saratowskiej 20.000 unitów.

Po kilku wstrętnych komedyach, jak w Białej i w innych miejscowościach, gdzie wsi bezbronne spędzono na nabożeństwo do cerkwi prawosławnej i ogłoszono, że lud dobrowolnie brał w niem udział, mógł już spokojnie Popiel jechać do Petersburga, z pokorną prośbą od całej dyecezyi do tronu, by miłościwie raczono włączyć dyecezyę chełmską do cerkwi rosyjskiej.

A lud ten biedny? Gdy w 8 lat, po zniesieniu dyecezyi chełmskiej, jechał nuncyusz papieski, Vanutelli, na koronacyę nowego cara do Moskwy, lud unicki Podlasia przekradał się nocami ze wsi do wsi, przez kilka dni o głodzie i chłodzie, jak spłoszona zwierzyna, błąkał się po lasach — czatował na pociąg. Wreszcie pociąg z nuncyuszem stanął na jakiejś pobliskiej stacyi. Wynędzniali wieśniacy, wypadając z lasu, rzucali się na kolana, niewiasty kładły się na szynach, by pociąg nie mógł prędko odejść, ze wszystkich stron rozlegał się konwulsyjny płacz i błagalne jęki, to po polsku, to po rusku: „Ojcze święty, ratuj Unitów... jesteśmy bez sakramentów, umieramy bez kapłanów... Otcze pomiłuj nas!“

* * *

Czyż można oderwać oczy od tej ogromnej wiary, jakiej równej chyba na całym świecie dzisiaj niema? A tem skwapliwiej

się do niej myślą wraca, im mniej dokoła siebie jej się widzi, im mniej znajduje się zrozumienia dla jej wartości i doniosłej roli.

Czy rocznica taka mogłaby w naszem społeczeństwie przejść niespostrzeżenie? Ci siermiężni wieśniacy, bohaterowie Pratulina i Drelowa, to przecież jedna z największych chwał naszej ziemi. Od piasczystego ugoru i lemiesza podążają oni do szeregu tych, których pod złoconemi sklepieniami naszych świątyń czcimy, w szereg naszych wielkich męczenników i opiekuńczych duchów, Jozafata, Boboli, Stanisława, Wojciecha. Ich kości może kiedyś spoczną na ołtarzach, a rocznica ich męczeństwa powinna już teraz, z roku na rok, z dziękczynieniem być obchodzoną.

Tem donioślejsza byłaby to rocznica, że udział w niej wziąść i zjednoczyćby się przy niej miały prawo i obowiązek dwa bratnie narody.

To pierwsza przyczyna, dla której odnawiamy pamięć tej rocznicy.

A druga, która nas bezpośrednio do skreślenia tego wspomnienia pobudziła, ma bezwzględnie aktualne znaczenie. Oto w ostatnich dniach, sprawę Unitów chełmskich poruszyła na nowo sama urzędowa Rosya. W 30 lat po zniesieniu dyecezyi chełmskiej, wyznaje ze smutkiem raport urzędowy, że istnieją tam unici i tych „opornych“ liczbę, oczywiście okrojoną, podaje na 79.340 dusz. Co z raportu tego przedewszystkiem przegląda, to bezsilność rządu wobec niezłomnej siły wyznawców. Pierwsze pokolenie okazało się godne swoich wielkich ojców.

Ale w raporcie tym zaznaczone są i środki, jakich względem opornych użyć zamyśla rząd w przyszłości. Skuteczności takich środków, jak pomnożenie cerkwi i klasztorów prawosławnych, można się mniej obawiać, ale już szkoła, jako środek propagandy, jest dość niebezpieczną. Najniebezpieczniej zaś przedstawia się ten ogólny podstępny kierunek, w jakim rząd iść zamierza. Czytamy w raporcie, że „jednym z najistotniejszych środków w celu przyciągnięcia parafian do cerkwi jest wprowadzenie w przyłączonych cerkwiach śpiewu ogólnego, według niektórych melodyi unickich“. A więc

już nie gwałt, tylko podstęp. Zasada ta, zastosowana do całego szeregu innych spraw, może wytworzyć bardzo niebezpieczną taktykę. Lud pozostający bez duchowieństwa, bez zachęty i bez bezpośredniej wskazówki w rzeczach wiary, dla którego wskazówką, co robić trzeba, w niejednym praktycznym wypadku jest ucisk rządu, wobec zmienionej taktyki, gotów niejednokrotnie znaleźć się bez należytej oryentacyi i na niebezpiecznej drodze. Tu obowiązek pamięci na całą sprawę chełmskiej Unii, na jej przyszłość i przeszłość, spada na społeczeństwo całe. I pamięć na przeszłość będzie miała wielkie znaczenie, bo cześć oddawana wielkim ojcom będzie dla ich synów i wnuków bodźcem i wskazówką, że tą samą drogą postępować powinni.

Za prędko u nas na męczenników Podlasia zapomniano i za długo ta niepamięć trwa.

*Ks. J. Pawelski.*

# SPIS RZECZY.

## Artykuły naukowe i literackie.


| | Strona |
|---|---|
| Nasza akcya katolicka. Przez *d-ra W. Czerkawskiego* . | 1 |
| W trzechsetlecie „Don Kiszota“. Przez *d-ra Lucyana Rydla.* . . . . . | 22 |
| Doktryna Lwa Tołstoja. (C. d.) Przez *ks. Jana Urbana T. J.* . . . . . | 36 384 |
| Alkoholizm i antyalkoholizm. (Dok.) Przez *d-ra Karola Kleckiego* . . . . . | 59 245 |
| Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości. III. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . . . . . | 84 |
| Ze świata agitacyi wśród naszych kobiet. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . | 165 |
| „Popioły“ Stefana Żeromskiego. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego* . . . . . | 183 |
| Afazya, agrafia, aleksya, amnezya i abulia jako objawy fizyologiczno-psychiczne. Przez *ks. d-ra Fr. Gabryla* . . . . . | 205 407 |
| Nowiny z historyografii polskiej. Przez *d-ra Feliksa Konecznego.* . . . . . | 231 |
| Z pielgrzymki do Rzymu. Przez *ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza.* . . . . . | 1*—10* |
| Męczennikom Unii pierwsze pokolenie. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . . . | 11*—22* |
| Umiejętność polityki ekonomicznej. Przez *d-ra Józefa Milewskiego* . . . . . | 329 |
| „Quo vadis“ Sienkiewicza i Minucyusza Feliksa „Octavius“. Przez *d-ra Adama Miodońskiego* . . | 346 |
| Reforma opieki nad zabytkami. Przez *d-ra St. Tomkowicza* . . . . . | 371 |

# Przegląd piśmiennictwa.

## Z piśmiennictwa polskiego.


Str.

Z zakresu filozofii: Ks. dr. Kazimierz Wais, prof. fil. i teol. w sem. duch. w Przemyślu: „Psychologia". T. III. *(Dr. M. Straszewski)* . 99

Materyały i prace Komisyi językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I, zeszyt 2. t. VI, zesz. 1. *(Dr. St. Dobrzycki)* . . . 114

Na srebrnym globie. Rękopis z księżyca. Napisał Jerzy Żuławski. *(W. S. T. J.)* . . . . . 116

W sprawie Psychologii ks. d-ra Waisa. Odpowiedź na krytykę mojej Psychologii, napisaną przez p. prof. d-ra M. Straszewskiego. *(Ks. Kazimierz Wais)*. . . . . 265

Stara gwardya. Elegia rycerska. Kazimierz Julian Jasiński. *(Lucyan Rydel)* . . . . . 281

Zabawy sierskich pasterzy przed dwudziestu laty. Ludwik Młynek. *(Henr. Ułaszyn)*. . . . . 285

Przegląd dziejów literatury powszechnej. Dr. Ludomił German. Tom I, II, III. *(Antoni Mazanowski)* . . . . . 437

X. Piotra Skargi Soc. Iesu. Kazania Sejmowe. Z pierwodruku roku 1597 wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanowski. *(Dr. St. Dobrzycki)* . . . . . 441

Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. Préface de M. Joseph Kallenbach *(Dr. St. Dobrzycki)* . . . . . 447


## Z piśmiennictw obcych.


Z literatury francuskiej. *(T. W.)* . . . . . 119

Die mexikanisghe Kaisertragödie. Die letzten sechs Monate meines Aufenthaltes in Mexico von Dr. Ernst Schmit Ritter von Tavera, k. k. Gesandter in R. — Geschichte der Regierung des Kaisers Maximilian I und die französische Intervention in Mexico. Tenże. *(Dr. B. Łoziński)* . . . . . 126

Que faire de la vie? Aux jeunes. A. Bitot. *(M. B. T. J.)* . . . . . 135

Čtenia v istoričeskom obščestvê Nestora Lêtopisca, rocz. XV i XVI. *(Wołyniak)*. . . . . 136

The story of a country gentleman and his family by Msr. Oliphant. II v. — The visits of Elisabeth by Elinor Glyn. *(T. Wodzicka)*. . . . . 139

Babylon und Christentum. Von Fr. X. Kugler S. I. *(J. R. T. J.)* . . . 287

Dreissig Vorbilder und Symbole der allerseligsten Jungfrau Maria in zweiunddreissig Vorträgen erklärt. Von Peter Bacher S. I. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* . . . . . 289

Das Rosenkranzgebet im XV und im Anfang des XVI Jahrhunderts. Von Wilhelm Schmitz S.I. *(K. K T. J.)*. . . . . 291

Dubrownicka Trylogia. Allons enfants. — Suton. — Na taraci. (Zmrok. — Na terasie). Ivo Vojnović. *(Saryusz-Nagoda)* . . 293 457

L'enfant et la vie. Henri Bremond. *(Ks. H. H. T. J.)* . . . . . 302

Theologiae moralis institutiones, quas in Collegio Lovaniensi Societatis Iesu tradebat Eduardus Génicot ex eadem Societate. Casus conscientiae propositi ac soluti a R. P. Eduardo Génicot S. I. Opus posthumum accommodatum ad Theologiae moralis Institutiones, eiusdem auctoris. *(Ks. R. Kudasiewicz T. J.)* 453

Lukas Delmege. Ein moderner Seelsorger-Roman. Patrick. A. Sheehan. Autoriesierte Übersetzung aus dem Englischen von Anton Lohr. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . . . . . 462

La Prusse et la Révolution de 1848. Par Paul Matter. *(Ks. Aleksander Mohl T. J.)* . . . . . 469

## Zapiski bibliograficzne.

Str.

I. Cztery portrety rodziny Oświęcimów w kościele OO. Franciszkanów w Krośnie. II. Kilka polskich portretów z końca wieku XVIII. Przez d-ra Jerzego Mycielskiego, prof. Uniw. Jag. *(T. W.)* . . . . . 141

Biblioteka „Prawdy“: Pogadanki o księgach gruntowych i o katastrze. Ułożył Mieczysław Szybalski. Wiadomości o należytościach skarbowych ze szczególnem uwzględnieniem spraw wiejskich. Zebrał Dr. Teodor Kosch. *(A.)* . . . . . 142

Wśród ruin Grecyi. Stanisław Bełza. *(E.)* . . . . . 142

Sny Maryi Dunin (Palimpsest). Pałuba. Karol Irzykowski. *(A. B.)* 143

O szkodach polnych. Pogadanka z dziedziny prawa. Napisana przez M. Szybalskiego *(Bi)* . . . . . 144

Pamiętnik starego żołnierza (1806—1814). Antoni Białkowski. Wydał Wacław Tokarz. *(el)* . . . . . 144

Wrażenia z podróży. Władysław Bełza. *(R. I.)* . . . . . 145

Tajemnice. Józef Mirski. *(K. S.)* . . . . . 145

Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Przez A. Kraushara. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1820—1824. *(G.)* . 304

W sprawie walki z pojedynkiem. Dr. Zygmunt Gargas. *(K. B.)* . . 305

Słowianie o poematach Lumira. Wydał jeden z przyjaciół jego. *(B. U.)* . . . . . 306

Bądź błogosławiony. Stanisława Dąbrowska. *(M. N.)* . . . . . 307

Akwarelle. Marya Kazecka. *(L. S.)* . . . . . 307

Życie nie jest życiem, albo wielki błąd XIX. wieku. Przez ks. biskupa Gaume. Przekład ks. W. M. *(A. R.)* . . . . . 308

Z wrażeń życiowych. Julia Zawadzka. *(M. B. T. J.)* . . . . . 308

Wiadomości początkowe z fizyki. Stanisław Kramsztyk. *(J.)* . . . . 309

Die Gesundheit der Jugend im schulpflichtigen Alter. Von Oberarzt Dr. E. Lobedank. *(A.)* . . . . . 309

Les marins en Chine. Souvenirs de la colonne Seymour. Par Jean de Ruffi de Pontevès *(B.)*. . . . . 309

Obowiązek wybierania. Dr. Zygmunt Gargas. *(Dr. A. B.)* . . . . . 471

Teraźniejszość a przeszłość Austryi. Przyczynek do historyi obecnego jej przesilenia. Napisał Roman Buczyński. *(Dr. A. B.)* . . 472

O niemoralności wśród młodzieży nieletniej i o jej przyczynach. Dr. Benedykt Dybowski. *(B.)* . . . . . 473

Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny. Ks. Karol Józef Fischer, biskup tytul. mal., sufragan przemyski. *(L.)* . . . . . 473

Konferencye. O. Ravignan T. J. *(K.)* . . . . . 474

С. Л. Пташицкій. Новѣйшіе труды по исторіи польской литературѣ, (Бигелейзенъ, Хмѣлёвскій и Тарновскій). *(H. U.)* . . . . . 474

Slovanska legenda o sv. Vaclavu, podle rukopisu chorvátsko-hlaholského a rumjancevského vydal, překladem a poznamkami, jakož i úvodem opatřil dr. František Pastrnek, c. kr. profesor slovanské filologie při české univers. *(T. P.)* . . . . . 475

## Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

Str.

### KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Z obozu protestanckiego. — Walka o zasadę „Cel uświęca środki“. — Zniesienie § 2 ustawy jezuickiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 146

Przegląd przygotowań do jubileuszu maryańskiego. II. Przez *Maryana Bartynowskiego*. . . . . 156
Z ostatniego kongresu „Wielkiego Oryentu“ francuskiego. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 161

## MAJ.

Sprawy Kościoła: Pius X o Francyi. — Dalsze fazy religijnej walki francuskiej. — Z powodu jubileuszu Grzegorza Wielkiego. — Ze zjazdu radykałów w Szwajcaryi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 310
Z dziedziny społeczno-ekonomicznej. Wojna rosyjsko-japońska. — Stosunki prawne oficyalistów. — Spis zwierząt domowych. — Bank parcelacyjny. — Towarzystwo wzajemnej pomocy obywatelskiej. — Komisya kolonizacyjna. — Ustawa pruska o osadnictwie. — Bank włościański w gubernii kowieńskiej. Przez *d-ra Adama Krzyżanowskiego* . . . . . 318
Korespondencya Redakcyi . . . . . 328

## CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Polska pielgrzymka w Rzymie. — Protest Watykanu przeciwko Francyi. — Organizacya katolicka w Holandyi. — O kongregacye maryańskie w Niemczech. — Kwestya kościelna w parlamencie włoskim. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 476
Kronika ekonomiczna. Bank krajowy. — Ostatni rocznik Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. — Bank melioracyjny. Przez *d-ra Adama Krzyżanowskiego* . . . . . 488
Związek katolicki społeczny. . . . . 494

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski.